

RYSZARD  
ĆWIRLEJ



GRANICA  
MOŻLIWOŚCI

W JADĄCYM Z NIEMIEC PASSACIE GINĄ KIEROWCA I PASAŻER.  
W AUCIE NIE MA PIENIĘDZY, DOKUMENTÓW ANI ŻADNEGO TOWARU...

RYSZARD  
ĆWIRLEJ  
GRANICA  
MOŻLIWOŚCI



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja: *Beata Mes*

Redakcja techniczna i skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Beata Kozieł*

Zdjęcie wykorzystane na okładce

© Gareth Harrison/Unsplash

© by Ryszard Ćwirlej

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2023

ISBN 978-83-287-2426-6

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

# Spis treści

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Podziękowania

# Prolog

**Okolice Opalenicy**

**Środa**

**15 sierpnia 1990 roku**

**Godzina 5.15**

Szosa pachniała deszczem i krwią. Nad jej połyskliwą, asfaltową powierzchnią unosiła się mglista poświata. Gdzieś z oddali, spomiędzy pni sosen, wyłaniały się pierwsze promienie słońca, wdzierające się oślepiającym blaskiem między drobne listki krzaków i ostre igliwie drzew. W górze było słycać ćwierkanie, gwizdanie i pohukiwanie ptasiej czeredy. Przez tę wrzaskliwą kakofonię przebijał się rytmiczny stukot dzięcioła poszukującego drzewnego robactwa, który starał się wprowadzać jako taki porządek w ten poranny tumult. To, co działo się niżej, przy drodze, a właściwie na jej skraju, nie interesowało pracowitego ptaka. Wbity w pień drzewa zielony passat należał do zupełnie innego świata, owszem, łączącego się z tym ptasim, jednak niemającego na niego niemal żadnego wpływu. Dramat w samochodzie był przecież niczym wobec hekatombi larw kornika drukarza, jaka w tej chwili działała się na pniu sosny. Dzięcioł morderca właśnie odłupał kawał kory i dostał się do miejsca, gdzie żerowały robaki. Zaczął je wydłubywać jeden po drugim i zachłannie pożerać. Stuk-puk, larwa, śmierć, stuk-puk, larwa, śmierć, stuk-puk...

Gdy u góry rozgrywała się metodyczna eksterminacja setek owadzych istnień, poniżej, w przydrożnym rowie, powoli, aczkolwiek nieubłagane, gasło właśnie zaledwie jedno życie. Oczy trzydziestoletniego mężczyzny wpatrzone były w poruszające się gałązki sośniny, kołysane podmuchami wiatru. Człowiek patrzył na nie, nieświadom morderczej sceny, która działała się nad jego głową. Słyszał stukanie dzięcioła, lekki szum wiatru i chyba czyjeś kroki, ale tego nie był pewny, dopóki nie zrozumiał, że nie jest sam. Naraz widok przesłonił mu jakiś niewyraźny kształt. Przez chwilę wpatrywał się weń i obraz się wyostrzył. Krótko ostrzyżony facet uśmiechał się, ukazując rząd pożółkłych od tytoniu zębów.

– Żyje, kurwa, jebany – stwierdził sepleniąco, rozbryzgując wokół siebie drobinki śliny.

– Ale kuma coś czy nic? – spytał ktoś z boku. Głos miał chrapliwy, jakby starty papierem ściernym.

– Chuj jego wie – odparł żółtozębny.

– To go, kurwa, zapytaj – poinstruował kolegę chropawy.

– Żyjesz, gościu? – zapytał.

– Pomocy... – wyszeptał ranny.

– Żyje, znaczy kuma coś, bo mi tu coś pierdoli, żeby mu pomóc czy jak...

– Zapytaj go, gdzie jest kasa. Gdzie mają kasę, znaczy się.

– Gdzie jest kasa, gościu?

– Po... mooo... cy... proszę...

– On nie łapie, w czym rzecz. Chyba już odjeżdża. Ja pierdolę, jemu tu leci krew z bebechów.

– To mu czymś zatkaj.

– Co, kurwa?

– Zatkaj.

– Ale niby że jak...?

– No jakąś szmatą czy czymś. Skąd ja, kurwa, mam wiedzieć, czym się zatyka? Co ja lekarz jestem?

– Nie mam szmaty!

– Kurwa, ktoś jedzie!

Mężczyzna w turkusowym dresie i białych adidasach spojrzał na drogę. Jeszcze nie widać było żadnego pojazdu, za to słychać wyraźnie silnik o dużej mocy, najprawdopodobniej ciężarówki. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy i wyraźnie się zbliżał.

– Może przejedzie bokiem – powiedział ten obcięty na krótko. Też miał na sobie bluzę dresową w kolorze żółtozielonym, wpadającym nieco w beż, nazywanym powszechnie jak Polska długa i szeroka sraczkowatym. Ale spodnie nosił jak najbardziej eleganckie, dżinsowe, mocno powycierane na brudno marmurkowo. Widać nie cenił tak bardzo jak jego towarzysz modnego sportowego stylu i hołdował nieco już przebrzmiałej targowiskowej elegancji.

– Jak, kurwa, bokiem. Łysy, ty się, kurwa, obudź! – zganił go towarzysz. – Przecież tu, kurwa, nie ma żadnego boku, tylko droga przez ten las jedzie prosto w chuj od granicy do samego Poznania. Nie ma gdzie zakręcić. Zaraz tu będzie ten samochód, a my się pierdolimy z jakimś jebańcem. – Wskazał głową na rannego mężczyznę.

– To co robimy? – zapytał zganiony. – Spierdalamy stąd?

Dresiarz pokręcił głową.

– No coś ty. Tyle dobra zostawić? Trzeba go wysłać w pizdu.

– Aha, znaczy się jak?

– Jak się zatrzyma, to ja już mu powiem, że ma spierdalać, a ty, żebyś z czymś nie wyskoczył, lepiej trzymaj ryj na kłódkę.

– A jak się nie zatrzyma? – Łysy wolał wyjaśniać od razu wszystkie wątpliwości.

– Jak się nie zatrzyma, to chuj cię on obchodzi?

W oddali widać już było wyraźnie maskę dużego samochodu ciężarowego nadjeżdżającego od strony Opalenicy. Mogła być to ciężarówka jadąca z zagranicy, więc ten w dresie pomyślał, że jeśli prowadzi ją polski kierowca, to jakoś da się go zakręcić. Zagranicznych w ogóle się nie obawiał. Zresztą ci nie palili się do pomocy i była duża szansa, że szofer jednak wcale się nie zatrzyma.

Zatrzymał się. Najpierw dresiarz i jego kolega usłyszeli ryk silnika i od razu zrozumieli, że kierowca redukuje biegi. Mercedes na niemieckich numerach zaczął gwałtownie zwalniać. W końcu wytracił prędkość, by stanąć tuż przy należącym do tej dwójki pomarańczowym opłu kadecie, zaparkowanym na poboczu. Mężczyzna w białej czapce z daszkiem opuścił szybę i wychylił głowę na zewnątrz.

– Co tu się stało? – zapytał po polsku, jednak z silnym niemieckim akcentem.

Ten w dresie wziął się pod boki i spojrzał na kierowcę, marszcząc brwi.

– A pan to Polak?

– A jaka różnica? Ja się pytam, co się stało, żeby ewentualnie pomóc. – Wskazał na wbitego w drzewo passata.

– Nie trzeba żadnej pomocy. My już pomagamy. Tu trwa właśnie akcja ratunkowa i proszę nie przeszkadzać, bo każda chwila jest droga.

– To może trzeba zawiadomić policję?

– Nie trzeba, my jesteśmy policja – wyjaśnił facet w dresie, a jego ostrzyżony kumpel spojrzał na niego zdziwiony. Na szczęście nie odezwał się ani słowem, bo przecież kolega mu zakazał. Zaraz zresztą odwrócił się do tego leżącego, bo ranny jęknął.

– Wy jesteście policja? – zdziwił się kierowca. – Policja ma mundur! I jeszcze ma auto z napisem POLIZEI, i w ogóle...

– Nie wymądrzaj się, gościu, bo cię zaraz weźmiemy na przesłuchanie jako świadka. Mamy cię zatrzymać na czterdzieści osiem godzin? My jesteśmy policja, ale po cywilnemu. Tajna policja, rozumiesz? Służba Bezpieczeństwa. My jesteśmy polskie Stasi, *fersztejen*?

Kierowca zaniemówił.

– No co, *panimajesz* czy nie? – dodał dresiarz po rosyjsku dla zwiększenia efektu, bo wiadomo, że Niemcy mają respekt przed ruskimi.

– Tak jest. *Polnische* Stasi – potwierdził ten drugi, łysy gość.

– No *ja*. – Kierowca z RFN rozumiał w końcu złożoność tej nietypowej sytuacji. Enerdowskiej tajnej policji bali się wszyscy Niemcy, także ci z Łaby, bo dobrze wiedzieli, że z tymi draniami lepiej nie zadzierać. Tacy, którzy próbowali, kończyli jako karma dla ryb w Sprewie. A ci polscy tajniacy pewnie byli równie źli jak ich wschodniemieccy koledzy, więc nie warto było wchodzić z nimi w jakieś niepotrzebne dyskusje. – To nie wołać pogotowie? – zapytał jeszcze na wszelki wypadek, chcąc wymazać złe wrażenie po swoim niezdrowym zainteresowaniu sprawami, które nie powinny go obchodzić.

– Nie, bo my już wezwali, znaczy wezwaliśmy pogotowie i zaraz przyjadą. Jedź pan se i nic się nie martw – uspokoił go dresiarz i uśmiechnął się zachęcająco. Niemiec pokiwał głową.

– No to jak nic nie potrzeba, to ja jadę już – stwierdził i zaraz odpalił silnik mercedesa. Ciężarówka z żółtą budą, przykryta plandeką, ruszyła powoli przed siebie. Obaj „tajni policjanci” przez chwilę patrzyli jeszcze za oddalającym się samochodem, by zaraz wrócić do przerwanych oględzin.

Dresiarz zajął się metodycznym przeglądaniem wnętrza rozbitego passata. Zaczął od bagażnika. Wyjął z niego kilka pasiastych toreb i bez sprawdzania zawartości zaczął przenosić je do opla, którym przyjechali.

– No dalej, dowiedział żeś się czegoś? – zawołał do swojego kolegi, gdy bagażnik wypełnił się zabranym towarem.



– Nie, nic nie gada – odparł facet w dzinsach.

– To go pierdolnij w łeb! – poinstruował go kolega. – Czasu, kurwa, nie mamy, bo zaraz tu coś przyjedzie. Trzeba spierdalać!

– No wiem! A co niby mam zrobić? Jak go jebnę, to wyciągnie kopyta.

– A co się martwisz, i tak już jest po nim. – Dresiarz wrócił do rozbitego passata. Otworzył tylne drzwi i pochylił się, by sprawdzić, jak wygląda środek. Wiedział już, że niczego ciekawego tam nie znajdzie, bo przepatrzył wszystko przez okno. Auto wryło się w pień drzewa lewym reflektorem i w ten sposób wszystko to, co było za lampą, przesunęło się do tyłu. Dlatego kierownica wbiła się w klatkę piersiową mężczyzny, który prowadził, zabijając go na miejscu. – Nie wyciągnę go – dodał dresiarz, przyglądając się mężczyźnie. – On jest tu zaprasowany, jakby go ktoś walcem drogowym wgniół do środka.

– A ten mój właśnie kipnął – stwierdził jego łysy kolega, który podszedł do samochodu. – On nie miał przy sobie żadnej kasy. Może trzeba by jeszcze popatrzeć na podłódze?

– No ale idź z drugiej strony, a jak nic nie będzie, to spierdalamy, bo za długo tu już jesteśmy – zarządził dresiarz.

Łysy obszedł auto i zaczął myszkować z przodu. Nigdzie nie widać było saszetki z dokumentami, obowiązkowego wyposażenia każdego kierowcy. Rabuś pomyślał, że mogła wypaść podczas uderzenia w drzewo. Gdyby mieli więcej czasu, to przeszukałby wszystko dookoła, ale teraz nie było co ryzykować. W końcu i tak mieli sporo szczęścia, że w ogóle natrafili na ten wypadek i udało im się zgarnąć wszystko, co ci zabici mieli w samochodzie...

– Jest, kurwa! – zawołał. – Jest, kurwa, cała saszetka!

Jego kolega natychmiast obiegł wrak. Łysy wyszedł z samochodu i wyciągnął w jego kierunku dłoń, w której trzymał brązową, zapinaną na zamek niewielką torebkę ze skóry.

– Pokaż, co jest w środku! – Dresiarz chwycił ją i zaczął mocować się z zamkiem. Naraz do ich uszu doszedł wyraźny sygnał syreny.

– Kurwa, pewnie karetka jedzie! – krzyknął łysy.

– A może nie karetka, ale szkieły[1]! – rzucił jego kumpel. – Nie ma co czekać, stleniamy się stąd – zarządził i pognali do swojego opla. Przez chwilę stali jeszcze przy samochodzie, nasłuchując, z której strony zbliża się syrena.

– Od Opalenicy jadą – stwierdził łysy i wskoczył za kierownicę. Uruchomił błyskawicznie silnik. Auto ruszyło z kopyta w przeciwnym kierunku, w stronę Grodziska.

Nad pobojuwiskiem przez chwilę zrobiło się cicho, bo dzięcioł wydłubał już wszystkie larwy i zaczął uważnie przyglądać się korze, sprawdzając, gdzie by tu spróbować kolejnych poszukiwań. Nie zwrócił uwagi na niebieskiego poloneza z napisem POLICJA. Ten zjechał z drogi i zatrzymał się na poboczu, niemal dokładnie pod sosną tak uważnie przebadaną przez ptaka. Bo w końcu co go mogło obchodzić to, co działo się na dole. W jego świetle nie było żadnych wypadków. Jeśli ktoś ginął, to tylko dlatego, że kto inny był głodny.

# Rozdział I

**Opalenica**

**Poniedziałek**

**3 września 1990 roku**

**Godzina 7.30**

– A ten maluch to chyba już się raczej na złom nadaje.

– Sam się nadajesz na złom, chłopie. Przecież to jest prawie nowe auto.

– He, he, he... Jak to nowe? Z papierów wynika, że z siedemdziesiątego ósmego. To znaczy się, że ma... – Młody brunet spojrzął najpierw na białego fiata 126p z wyraźnymi, rdzawymi przegniciami na nadkolach, a potem na swoje brudne, uwalane smarami samochodowymi palce. Przez chwilę się zastanawiał, by w końcu rzucić niby całkiem obojętnym tonem:

– Ma dwanaście lat, to znaczy, że już jest stary.

– A ty, Włodziu, to ile masz lat? – zapytał właściciel warsztatu samochodowego, pięćdziesięcioletni, łysiejący na czubku głowy, postawny mężczyzna z wielkim brzuchem, świadczącym o zamiłowaniu do uciech, jakie oferuje suto zastawiony stół. Szef popatrzył z drwiącym błyskiem w oku na swojego ucznia. Stał w kanale pod autem i przeprowadzał fachowe oględziny samochodu. Chłopak został na górze, by podawać narzędzia i wszystko, co było potrzebne do wstępnego przeglądu.

– Ja, no zasadniczo... to będzie dziewiętnaście.

– To co, Włodziu, znaczy, że stary jesteś? Daj teraz lampkę, bo muszę mu zajrzeć pod ogon – stwierdził.

– No gdzie? – Chłopak pokręcił głową i zaraz na czoło opadła mu grzywka popersa. Podrzucił ją na bok, poruszając głową tym razem jeszcze bardziej zdecydowanie. – No ja to jeszcze niby młody jestem, nie. Ale jak na auto, to już on jest stary. – Wskazał na malucha.

– Stare auto to takie, co my chcemy, żeby było stare, Włodziu. A ten maluch młody jest i pojeździ jeszcze drugie tyle, co ma na liczniku. Bo my z tego auta zrobimy nówkę, taką co będzie wyglądać, jakby dopiero co z fabryki

w Bielsku-Białej wyjechała. Albo nawet i lepiej będzie wyglądać, bo wszystko w nim będzie działać na cacy, a nie jak w tych autach z Polmozbytu, co się psują zaraz, jak za bramę wyjadą – wyjaśnił młodemu adeptowi sztuki dawania drugiego życia starym gratom Alojzy Cegłowski, właściciel warsztatu naprawczego samochodów krajowych i zagranicznych, o czym informowała tablica ustawiona przy wjeździe do zakładu przy ulicy Wyzwolenia, na przedmieściach Opalenicy. Dwie podobne, tylko znacznie większe, stały przy krajowej jedenastce wiodącej ze Świecka do Poznania. Jak twierdził Alojzy, te znaki drogowe, informujące o naprawie aut, były najlepiej w jego życiu zainwestowanymi pieniędzmi. Bo od czasu, gdy zainstalował je przy drodze, potroiła się liczba naprawianych w jego firmie samochodów.

Na szczęście dla mechaników auta naszej rodzimej produkcji, czyli fiaty, polonezy czy syrenki, psuły się na potęgę. Podobnie rzecz się miała z samochodami z demoludów. Ten towar też był wielce zawodny, więc ich właściciele musieli korzystać z napraw w drodze. Najmniej naprawiało się samochodów zachodnich, bo te, nie wiedzieć czemu, nie szwankowały tak jak nasze, choć przez lata PRL-u władze próbowały przekonać naród o wyższości techniki krajów demokracji ludowej nad zgniłym kapitalizmem. Jednak od ponad roku w warsztacie Cegłowskiego można było coraz częściej zobaczyć passaty czy audi. Alojzy Cegłowski robił im przede wszystkim fachowe przeglądy. Bo były to samochody sprowadzane do nas z Zachodu na sprzedaż. Każde takie auto, przed opłaceniem cła i akcyzy, musiało mieć jeszcze zaświadczenie o sprawności technicznej, wydawane przez stacje kontroli, bo gratów rozsypujących się ze starości nie wolno było sprowadzać. Cegłowski z wydatną pomocą naczelnika gminy Opalenica wyrobił dwa lata temu papiery diagnostyczne i dzięki temu wszystkie auta przywożone z Niemiec przez okolicznych handlarzy trafiały najpierw do niego. A on, jako że był człowiekiem idącym ludziom na rękę, wystawiał takie zaświadczenia, jakich potrzebowali sprowadzający, czyli potwierdzające doskonały stan samochodu. Tyle że aut w doskonałym stanie praktycznie do kraju nie przywożono, bo kto by na takie wydawał pieniądze. W Niemczech kupowało się grata po wypadku albo rozsypujące się ze starości truchło, a warsztat Cegłowskiego dawał tym ledwo zipiącym trupom nowe życie. W ten oto sposób firma, która jeszcze niedawno zajmowała się tylko drobnymi naprawami, stała się w krótkim czasie centrum diagnostycznym z uprawnieniami i do tego stacją naprawczą aut zagranicznych z ośmioma stanowiskami obsługi w dużej i solidnej hali naprawczej.

– W autach z Polmozbytu to się wymienia wszystko, co się da wymienić – rzucił chłopak. – Mój kumpel był na praktykach w Polmozbycie w Poznaniu, to gadał, że jak tylko jakiś poldek albo maluch gwarancyjny wjedzie do środka na serwis od gwarancji, to zaraz jemu nowe części wyciągają i dają stare. A te nowe na boku sprzedają...

– I dlatego właśnie, Włodziu, cały czas jesteście w takim gównie. Bo w tym kraju nigdy nie będzie dobrze, póki ludzie nie robią na swoim, ale na państwowym. Bo państwowe jest niczyje, czyli każdy se myśli, że jak niczyje, to znaczy, że można z tego niczyjego rąbnąć, co tylko się chce. A jak robisz u siebie, to liczysz się z klientem i z własnymi pieniędzmi. I jeszcze pracujesz na własną opinię. Jak ja bym obrabiał z części auta tych, co do mnie przyjeżdżają do naprawy, to ludzie by się prędzej czy później zorientowali, że Cegłowski ich okrada. Dlatego zapamiętaj se, chłopaku, że pracujesz w prywatnej firmie i tu się robi na dobrą opinię dla zakładu. A im lepiej pracujemy, tym mamy więcej klientów. A jak mamy więcej klientów, tym lepiej zarabiamy. Dlatego u nas złodziejstwa nigdy nie będzie. Nie to, co w państwowych firmach. I dlatego te państwowe gówna muszą w końcu paść jak zdechłe wrony, bo ludzie są coraz mądrzejsi i będą jeździć tam, gdzie ich się traktuje dobrze, a nie tam, gdzie się ich rąbie w biały dzień. Podaj mi dwunastkę, Włodziu.

Chłopak sięgnął do skrzyni narzędziowej i nawet się nie zastanawiając, bezbłędnie wybrał nasadową dwunastkę. Miał dryg do tego zawodu i miarkę w oku, co Cegłowski zauważył już dawno, dlatego w tym roku znów przyjął go na praktyki. Jak chłopak skończy szkołę, to pewnie weźmie go na stałe do roboty, bo widać, że zdolny, a do tego jeszcze potrafi myśleć.

– Weź ino pizgnij jeszcze letko młotkiem w to nadkole przegnite – poleciał majster. Młody wziął do ręki młotek i popukał kilka razy ostrożnie, tak żeby nie uszkodzić za bardzo przeżartej rdzą blachy. – Mocniej teraz przywal!

Trzasnął znacznie bardziej zdecydowanie i młotek wbił się w karoserię.

– Dobra, Włodziu, wystarczy. Już widać wszystko, co jest z tym gównem. Nadkole się sypią, ale progi na szczęście w dobrym stanie. Widać, że auto w garażu nigdy nie stało. Samochód parkował pod blokiem. A swoją drogą ciekawe, jak ludzie mogą w blokach tak całe życie żyć i nawet swojego ogródka nie mieć.

– W bloku nie jest najgorzej. – Chłopak wzruszył ramionami. On całe swoje życie od urodzenia mieszkał w bloku. I jakoś mu to życie w trzypokojowym

mieszkanu na drugim piętrze w niczym nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, uważał, że mieszka w doskonałej lokalizacji, bo wszędzie ma blisko. A poza tym wcale nie tęsknił do ogródka, bo pracy w ziemi szczerze nienawidził. Wystarczało mu tego, czego doświadczył w szkole, gdy co roku jesienią trzeba było jeździć na wykopki, pomagać zbierać ziemniaki w jakichś PGR-ach. Na myśl, że musiałby pracować w swoim własnym ogrodzie, robiło mu się niedobrze.

– No w sumie, jak się mieszka w Opalenicy, to jeszcze nie jest najgorzej – zgodził się z nim majster. – Tu powietrze dobre i w mieście zielono, a i zaraz za miasto można wyjechać, żeby pójść gdzie na spacer. Ale w miastach dużych to się żyć nie da. Weźmy na ten przykład Poznań. Widziałeś te wielkie bloki?

– No – odparł Włodziu Włodarek, ale bynajmniej nie z niechęcią. Poznań to był przecież inny świat. Wiele by dał, żeby wyrwać się z tego zadupia i tam przenieść. Z przyjemnością zamieszkałby w wielkim bloku, żeby z okien widzieć całe miasto i ludzi. Szczególnie pięknie musiało tam być nocą, kiedy świeciły się światła w domach i neony na sklepach...

– To teraz weź idź do tego passata – zarządził szef, wrywając go z zamyślenia i marzeń o nocnym Poznaniu.

– Że co?

– No ten passat, co stoi tam pod płotem. Ten rozpiardolony. Trzeba by go zacząć... – przerwał, bo musiał wydostać się z kanału. Wdrapał się więc na drabinkę, po czym wyszedł na powierzchnię. – Musimy zacząć go powoli rozbierać – wyjaśnił chłopakowi.

– Że niby jak? – Włodziu nie zrozumiał, o co chodzi.

– No normalnie, chłopaku. Wyciągniemy z niego wszystkie nowe części, znaczy takie, co się jeszcze do czegoś będą nadawać, i włożymy tam stare. Bo, wiesz, te nowe można pogonić, jak ktoś z passatem do naprawy przyjedzie...

– Ale przecież szef mówił przed chwilą, że części z aut się nie bierze, jak kto ma prywatny zakład. – Uczeń był autentycznie zdziwiony, bo to wszystko, czego się dowiedział przed chwilą o funkcjonowaniu prywatnej przedsiębiorczości, miało się nijak do polecenia, które właśnie otrzymał.

– No widzisz, ty jeszcze nic, bracie, nie kumas. – Cegłowski położył mu rękę na ramieniu. – Popatrz na tego czerwonego golfa. – Majster wskazał na auto stojące na hydraulicznym podnośniku. – Ty wiesz, co to jest za fura?

– No czerwony golf.

– Słusznie, a od kogo jest ten golf?

– No od Szczepaniaka.

– Masz rację. Czyli że od naszego klienta. To znaczy się, że dla nas taki klient jest święty. On musi mieć pewność, że jak daje swoją furę do nas na przegląd, to ten samochód wyjedzie w lepszym stanie, niż wjechał. Rozumiesz? I na tym polega zaufanie do firmy, że my jemu nic nigdy nie wymontujemy. A teraz popatrz się na tego passata. – Wskazał ręką na rozbite auto, stojące pod płotem.

Już dwa tygodnie tu stało. Początkowo, zaraz po przywiezieniu, przez pół dnia oglądali je policyjni technicy i Włodziu miał wrażenie, że chcą rozkręcić każdą śrubkę. Ale po tym, jak skończyli swoją robotę, pies z kulawą nogą przy samochodzie się nie pojawił. Za to Włodziu owszem. Oglądał auto z bliska, a nawet z bardzo bliska, bo wsiadł do środka, żeby przeszukać wszystkie zakamarki. Opłaciło się, bo w schowku znalazł cztery kasety magnetofonowe niemieckiej firmy BASF. Oczywiście zabrał je, bo nikomu nie były potrzebne. Na pewno nie tym, którzy zginęli w samochodzie, a dla niego były bardzo przydatne, ponieważ jak każdy młody człowiek nagrywał na swoim magnetofonie piosenki z radia.

Popatrz więc na passata, tak jak mu kazał majster.

– Ten passat jest rozbity i jego właściciel przeniósł się do Świętego Piotra. To znaczy się, że to jest auto niczyje. A nawet jeśli za jakiś czas się po nie zgłosi ktoś z rodziny, no to my samochód jak najbardziej oddamy. Ale może się nikt nie zgłosi. A jak nikt, to przecież nie może się zmarnować. I dlatego wymontujemy, co się da, i wymienimy na stare klunkry[2]. Dlatego idź tam teraz i zacznij wymontowywać. A jak skończysz, to przyjdź na fajrant i powiedz, coś wyciągnął. Rozumiesz?

Chłopak pokiwał głową. Oczywiście, że rozumiał. Nic niepotrzebnie nie powinno się marnować. Tak jak te kasety, na których już zdążył nagrać sporo piosenek, między innymi najnowszą płytę Depeche Mode, zatytułowaną *Violator*, wydaną zaledwie kilka miesięcy temu. Jego znajomy disc jockey, Adam Wiśniak, przywiózł ją niedawno z Berlina Zachodniego na sprzedaż. Ale zanim sprzedał, jeszcze obaj ją sobie przegrali, bo skoro trafiła się okazja, to trzeba było przecież z niej skorzystać.

Prezes Banku Ziemskiego Ryszard Grubiński wdusił przycisk budzika i sypialnię na chwilę wypełniła błoga cisza, choć w głowie nadal tłukł się gdzieś ten terkoczący, metaliczny dźwięk starego zegara, kompletnie niepasującego do nowoczesnego wnętrza sypialni. Wszystkie meble, czyli trzydrzwiowa szafa, łóżko i komoda, wykonane były z niezwykle modnej, ale i bardzo drogiej laminowanej, białej płyty. Do tego ściany pomalowano również na biało, więc pokój wyglądał niemal tak sterylnie, jak szpitalne prosektorium. Ten porządek burzyły trochę części ubrań męskich i damskich, rozrzucone w nieładzie na również białym, puszystym dywanie. Jedynym odstępstwem od tej estetycznej nowoczesności był ten stary budzik, stanowiący jedną z nielicznych pamiątek po dziadkach. Podobno Anatol Grubiński, który był człowiekiem zajmującym się handlem i interesami giełdowymi, kupił ten budzik w chwili, gdy wraz z babcią wprowadzali się do pierwszego własnego mieszkania na Garbarach. Zegar był jednym z nielicznych przedmiotów materialnych, które dotrwały do współczesności, i dlatego Rychu za nic nie zamieniłby go na jakiś nowszy model. Zresztą uważał, że te nowoczesne plastikowe zegarki na baterie nie mogły się równać z takim solidnym czasomierzem GF Gebruder&Fortwängler z Warszawskiej Fabryki Budzików.

– Ryszard, nie udawaj, że śpisz. – Usłyszał głos dochodzący gdzieś z oddali. Głęboki, zmysłowy i melodyjny należał niewątpliwie do kobiety. Wydawał mu się nawet znajomy, tylko nie bardzo mógł sobie przypomnieć, co to za znajomość...

– No wstawaj, bo się spóźnisz. Przecież specjalnie nastawiałeś ten budzik! – Tym razem głos był znacznie bliżej. Zaraz, czy ona powiedziała „Ryszard”? Przecież nikt tak do niego się nie zwracał. Wszyscy mówili „Rychu” albo „panie Rychu”, ale „Ryszard”... W ten sposób zwracała się do niego tylko Magda. Ale ona przecież nie mogła go budzić, bo mieszkała gdzie indziej. A poza tym co niby miałyby robić u niego w domu? Bo tego, że jest we własnym domu, był pewien. Przecież miał ten swój budzik po dziadku Tolku.

Otworzył oczy i zdziwił się, kompletnie zaskoczony. Magda pochylała się nad nim, uśmiechając się promiennie. Boże, jaki ona ma piękny uśmiech, pomyślał, patrząc na nią i mrużąc przy tym powieki, bo nie był pewny, czy ta oślepiająca jasność bije z jej twarzy, czy może to wina słonecznego dnia i promieni wpadających do środka śnieżnobiałego pomieszczenia przez, a jakże, białe firanki.

– No co się tak patrzysz, jakbyś zobaczył ducha?



– Nie jesteś jakąś zjawą? – zapytał na wszelki wypadek.

– Możesz mnie dotknąć, żeby się upewnić.

Wyciągnął rękę i pogładził Magdę po twarzy. Zamruczała cicho jak kotka, gdy się ją drapie za uchem.

– Jesteś prawdziwa.

– Jestem.

– Co tu robisz? – zapytał i od razu zrozumiał, że popełnił błąd, bo wyprostowała się, zaciskając zęby. Zobaczył, że ma na sobie jego koszulę. Tę zwyczajną, domową, flanelową koszulę w zielono-czarną kratkę, kupioną dawno temu w sklepie myśliwskim. Zawsze wisiała na krześle w sypialni, tak na wszelki wypadek, gdyby trzeba było szybko się ubrać. Zdaje się, że Magda zrobiła z niej dzisiaj właściwy użytek, bo potraktowała ją jak szlafrok. Jego gruby, frotowy, byłyby dla niej dwa razy za duży i wyglądałaby w nim jak Yeti.

– Nie pamiętasz nic? – stwierdziła raczej, niż zapytała.

– Nie... no pamiętam, oczywiście, że pamiętam. Tak tylko powiedziałem. Wiesz, no...

– Przestań pieprzyć, Ryszard – rzuciła chłodno. Po jej uśmiechu nie było już śladu, a magia chwili się ulotniła.

Przyszło mu do głowy, że zniknęła błyskawicznie jak szpieg z Krainy Deszczowców. Pomyślał nawet, że powinna powiedzieć jeszcze „carramba”, żeby wszystko wyglądało tak jak w telewizyjnej kreskówce, i omal się nie roześmiał. Na szczęście w porę się opanował.

– No co ty, Magda, przecież ja tylko tak... – Nie wyglądał zapewne zbyt przekonująco w tej swojej pasiastej koszulce bez rękawów. Spojrzał na nią i pomyślał, że idealnie wpasował się w sytuację, bo podobną nosił Smok Wawelski w mniej oficjalnych momentach. Ale jeśli on był smokiem, to kim była ona, przecież nie kucharzem Bartolinim Bartłomiejem, herbu Zielona Pietruszka...

Poczuł zapach kawy dobiegający z głębi mieszkania. To stamtąd musiała wołać do niego przed chwilą. O Boże, Magda, która nie wiadomo skąd się wzięła w jego domu, zrobiła mu śniadanie. Przyszła go obudzić, a on wszystko spieprzył przez tę swoją gruboskórność. No w końcu był niezgrabny jak ten smok.

Siedziała na fotelu na wprost łóżka i zakładała właśnie czarne rajstopy na te swoje nieprawdopodobnie zgrabne nogi. Ale cały czas miała jeszcze na sobie jego koszulę. Więc nie wszystko stracone. Musiał coś zrobić, coś powiedzieć, żeby ją zatrzymać. Przecież zależało mu na niej jak cholera. Od dłuższego czasu myślał tylko o niej, no i teraz, gdy wreszcie spełniło się jego marzenie i ta piękna kobieta znalazła się u niego w domu, on wszystko to zepsuł jednym głupim stwierdzeniem. Czy te kobiety muszą być takie wrażliwe, i to zupełnie bez powodu?

– Magda, no przestań. Proszę cię, chodź tu do mnie. Pogadajmy.

Wyciągnął rękę w jej kierunku, ale ona wydeła tylko wargi.

– Daj spokój, Ryszard. Nie mam czasu na nic nieznaczące gadanie. Muszę iść do zakładu. Dzisiaj mamy dostać nową partię materiału prosto z Chin. Podobno jest nie do zdarcia. Jak dobrze pójdzie, to liczę, że z tego będzie jakieś pięć tysięcy par džinsów.

– Co ty mi pierdzielisz o džinsach? Magda, proszę cię.

– Zaleję rynek marmurkami z chińskiego džinsu. Ha, ha, ha! Dobrze, nie? Ludzie nawet nie będą się domyślali, że mają na sobie džinsy z materiału wyprodukowanego w Pekinie czy jakimś Szanghaju, ale uszyte w Polsce. Będą to nasze polsko-chińskie džinsy z Poznania, džinsy marki Richie. Nieźle, co?

Mówiła i mówiła o tych džinsach, które niewiele go obchodziły. Patrzył na nią i zastanawiał się, co zrobić, żeby wrócić do chwili sprzed piętnastu minut, kiedy jeszcze nie zadzwonił budzik, a on nie zdążył niczego popsuć.

Magda podniosła się z fotela, odwróciła się do niego plecami i zdjęła koszulę. Potem sięgnęła po stanik i szybko go założyła. Widząc jej gołe plecy i kształtną pupę ukrytą pod białymi majtkami, na które zdążyła już naciągnąć rajstopy, poczuł przypływ podniecenia. I wtedy przypomniał mu się cały wczorajszy wieczór spędzony z nią na dancingu w hotelu Merkury, a później powrót do jego nowego domu, który kupił bardzo okazjnie kilka miesięcy temu od pewnego adwokata. Gość był mu winien sporo pieniędzy i jak się okazało, nie mógł spłacić długu gotówką, a że modernistyczna połówka willi na stoku Cytadeli prezentowała się bardzo okazale, postanowił, że zostawi ją dla siebie. Przyjechali do tej willi dzisiejszej nocy i niemal natychmiast poszli do sypialni. Zdążył jeszcze zabrać z kuchni butelkę czerwonego wina, ale chyba nie mieli okazji do wznoszenia toastów, bo otwarta flaszką stała na nocnym stoliku, a w kieliszkach nie było śladu po cabernecie.

– No nieźle – odpowiedział, nie myśląc wcale o powodzi dzinsów zalewającej Poznań i okolice. Nic go nie obchodziły jakieś wycieruchy. Obchodziła go tylko ona. – Magda, nie obrażaj się o jakieś bzdury.

– Ryszard, o jakich bzdurach mówisz? – Spojrzała na niego, a on poczuł natychmiast, że domyśliła się, w czym rzecz.

Wiedziała, że on nic nie pamięta. Zdaje się, że za dużo wypił i dlatego przypomina sobie tylko chwilę, w której zaczynają się całować, stojąc koło łóżka. Ona rozpina mu białą koszulę na piersi, on wsuwa rękę pod czarną spódniczkę, tę samą, którą ona teraz zakłada...

– No tak ogólnie. Wszystko to bzdury.

– To, co mówiłeś mi wczoraj, to bzdury?

– No nie, wczoraj mówiłem... Nie o to się rozchodzi. – Czuł, że coraz bardziej się pogrąża. Co jej, do cholery, mówił? Nie miał zielonego pojęcia. Przecież mógł po pijaku powiedzieć wszystko. Nawet to, że ją kocha... No ale gdyby tak powiedział, to czy aby nie wyznałby prawdy? A może poprosił ją o rękę?

– Nic nie pamiętasz? Zdaje się, że dziś mogłabym ci wmówić, że mi się oświadczyłeś, a ty byś nie wiedział, jak z tego wybrnąć.

– No wiesz... Jeśli cię poprosiłem...

– Nie, nie... Nie musisz się martwić. – Sięgnęła po torebkę, przewiesiła ją przez ramię i odwróciła się do niego. – W sumie to spędziliśmy bardzo przyjemny wieczór. No i noc była też przyjemna...

– Bo ja...

– Nic nie mów.

– Może zjemy razem śniadanie. No wiesz, pogadamy jeszcze...

– Chwila uleciała, Ryszard. Nie da się jej złapać. Już po wszystkim. Muszę zamówić taksówkę, bo raczej mnie nie odwieziesz. Chyba musisz jeszcze trochę odczekać, zanim usiądziesz za kierownicą.

– Nie, ja nie, ale mogę wezwać Mariana. On cię odwiezie. – Wstał wreszcie z łóżka i poczuł, że kręci mu się w głowie. Miała rację, nie nadawał się do jeżdżenia. Zresztą nie był zbyt dobrym kierowcą, bo prawo jazdy miał od niedawna i nawet na trzeźwo nie jeździł zbyt pewnie. Dlatego samochód najczęściej prowadził Marian, jego ochroniarz i szofer w jednym. Ale ten miał przyjść dopiero na dziesiątą, a teraz była...

Spojrzał na budzik po dziadku Tolku. Wskazywał ósmą dwadzieścia.

– Jak chcesz, weź mercedesa. Zadzwoń do Mariana, żeby podjechał do ciebie do szwalni i odebrał samochód i potem przyjechał do mnie.

– O, to miłe z twojej strony – ucieszyła się. – Gdzie masz kluczyki?

– W przedpokoju, na wieszaku.

– Okej, to lecę. Dzięki.

Podeszła do niego i cmoknęła go w policzek. Chciał ją przytrzymać, ale zrobił to zbyt niezdarnie, więc szybko wywinęła się z tego niezgrabnego uścisku. Wyszła z pokoju, zostawiając go w gaciach i z niezbyt mądrą miną. Po chwili usłyszał trzask zamykanych drzwi. Nie bardzo wiedział, co ma teraz ze sobą zrobić. Nawet nie pamiętał, po co nastawiał budzik na tak wczesną porę. Miał chyba dokądś jechać, ale nie miał pojęcia dokąd. Zresztą co za różnica? Nigdzie nie pojedzie. Zostanie w domu i może napije się kawy.

Poszedł do kuchni. W ekspresie podgrzewał się szklany dzbanek wypełniony do połowy czarnym płynem. Aromat niemieckiej kawy Jacobs wypełniał pomieszczenie, osłabiając w ten sposób smród niewyrzuconych petów, zalegających w popielniczce na stole. Kawa była dobrym pomysłem na gardło wysuszone przez wczorajszą wódkę. Ale może najpierw coś zimnego? Otworzył lodówkę. Wewnątrz stał równy rząd butelek piwa Poznańskiego. Sięgnął po pierwszą z brzegu. Zdjął kapsel otwieraczem w kształcie drewnianej beczułki, pamiątki z jakiejś niemieckiej winnicy. Z flaszką w dłoni podszedł do okna. Na podjeździe stał jego ciemnogrnatowy mercedes. Auto wyglądało, jakby przed chwilą zjechało z taśmy produkcyjnej. Marian jak zwykle zanim odstawił samochód do domu, umył go, tak żeby rano można było wyjechać nim bez wstydu do miasta.

Magda podeszła do samochodu i odwróciła się, spoglądając w kuchenne okno. Ich spojrzenia się spotkały. Machnął do niej, ona skinęła głową i włożyła kluczyk do zamka. Otworzyła drzwi i z wdziękiem wskoczyła do środka.

Pociągnął łyk piwa, potem drugi i opróżnił całą butelkę. Zimny napój spłynął mu do gardła, przyjemnie je podrażniając. Samochód jęknął, ale silnik nie zaskoczył. Uśmiechnął się pod nosem. Widać Magda miała wyjątkowy talent do samochodów. Jego mercedes palił przecież od pierwszego przekręcenia kluczyka, a ona... O, proszę, rozrusznik zazgrzytał drugi raz i nic się nie wydarzyło. Silnik nie zaskoczył. I naraz zrozumiał, że już nie zaskoczy. Ktoś mu

kiedyś opowiadał, że jeśli do kabli rozrusznika podłączy się kable ładunku podłożonego pod siedzenie kierowcy...

Boże, nie, Magda! Ja pierdolę, nie! – Cisnął flaszką w okno w nadziei, że to na sekundę przyciągnie jej uwagę. Butelka odbiła się od szyby i spadła na podłogę, a ułamek sekundy później wyleciała cała szyba, rozpadając się na tysiące kawałków, które jak w filmie, na zwolnionym tempie, wleciały do środka kuchni. Ogromny huk wybuchu momentalnie go ogłuszył, a fala uderzeniowa rzuciła nim o ścianę. Zdążył jeszcze pomyśleć, że to wszystko to chyba jakiś sen wariata, w którym nie wiedzieć czemu on odgrywa główną rolę.

## **Poznań**

### **Godzina 8.30**

Wybuch targnął powietrzem, a on z przyzwyczajenia otworzył usta. Za chwilę zaśmiał się w duchu ze swojej głupoty. Po pierwsze był za daleko od miejsca eksplozji, a po drugie robiło się tak sekundę przed hukiem, to znaczy wtedy, gdy było już pewne, że coś zaraz wybuchnie, więc otwarte usta uwolnią powietrze, które mogłoby pod wpływem wystrzału cofnąć się i zostać wtłoczone do uszu. Wielu artylerzystów z przypadku, którzy zapomnieli o tak oczywistej prawdzie, było głuchych jak pień. Ci bardziej doświadczeni, którzy przeżyli niejedną wystrzał, reagowali automatycznie, tak jak on.

Na wszelki wypadek chwycił się za nos, zatykając uściskiem obie dziurki, i wepchnął tam trochę powietrza przez usta. Poczł lekkie stuknięcie w bębenkach. Z jego słuchem było wszystko w porządku. Ciekawe, co ze słuchem kolegów? Oni byli bliżej. Spojrzał we wsteczne lustro. Niewiele jednak mógł zobaczyć prócz dymu zasnuwającego ulicę. A to znaczyło, że przynajmniej część zadania się udała. Samochód wyleciał w powietrze, więc była duża szansa, że człowiek, którego mieli wyeliminować, właśnie witał się ze Świętym Piotrem. Ale byli przygotowani na wszelką ewentualność, na jakiś wypadek przy pracy, dlatego mieli jeszcze dodatkowe zabezpieczenie w postaci snajpera, który czuwał naprzeciwko gotowy do strzału.

Ich zleceniodawca wyjaśnił precyzyjnie, czego od nich oczekuje. Tydzień temu spotkali się z nim na odprawie.

– Panowie, czasy się zmieniły i zadania, które mamy do wykonania, też są zdecydowanie inne. Przede wszystkim zmiana okoliczności sprawia, że teraz musimy liczyć tylko na siebie. A to oznacza, że jesteśmy jak górnicy albo lepiej

powiedzieć – przodownicy pracy, stachanowcy, którzy dobrze wiedzą, że im więcej węgla na przodku wyrąbią, tym więcej zarobią. Nikt nie martwi się już naszymi pensjami i ubezpieczeniami. Zostaliśmy porzuceni przez tych, którym przysięgaliśmy wierność. Dlatego sami musimy zadbać o nas, bo nikt nam w tym nie pomoże. Liczymy tylko na siebie i na...

– Swoich kolegów – rzucił szczupły mężczyzna w okularach, jeden z czwórki wykonawców zlecenia. W sztruksowej marynarce wyglądał jak nauczyciel z liceum.

Zleceniodawca znał go bardzo dobrze i wiedział, że jest specjalistą w swoim fachu. Jeszcze niedawno pracował w Pionie IV, zajmującym się walką z Kościołem. Ludzie mówili, że dopomógł kilku szczególnie pyskatym księżom w opuszczeniu tego świata. A to oznaczało, że w nowej rzeczywistości nie miał najmniejszych szans. Tacy jak on nawet nie stawiali do weryfikacji. Ich największym zmartwieniem nie była utrata pracy, ale utrzymanie się na powierzchni. Bo nowa władza zaczynała grzebać w teczkach i mogła się do czegoś dokopać. A oni wiedzieli dobrze, że ci z Solidarności, jeśli znajdą na kogoś kwity, to na pewno z nich skorzystają.

– O to właśnie chodzi, kolego – zgodził się z nim zleceniodawca. – Walczyliśmy o to, żeby w tym kraju było lepiej, mądrzej i sprawiedliwiej, a teraz nasz kraj nas porzucił mimo tylu naszych zasług. Więc musimy upomnieć się o siebie. Oczywiście zrobimy to najlepiej, jak umiemy, tak jak nas tego przez lata nauczono. Sami weźmiemy to, co nam się należy. I dlatego zaprosiłem tutaj panów, by wprowadzić was w szczegóły mojego planu.

Mężczyzna przejechał wzrokiem po zebranych. Wyglądali jak faceci, którzy właśnie wyszli z biura albo wpadli tu wprost z ulicy, idąc na zakupy. Żadnej ekstrawagancji w ubiorze, zwykłe, codzienne stroje, w których nie dałoby się znaleźć żadnego charakterystycznego elementu zapadającego w pamięć. Na pytanie, jak wyglądał ten człowiek, zwykły przechodzień, podrapawszy się po głowie, odpowiedziałby zapewne: „No... normalnie, jak każdy”.

Siedzieli przy dużym, czarnym stole w pokoju biurowym firmy polonijnej zajmującej się szyciem ubrań. W tym miejscu kierownictwo zakładu zapewne spotykało się ze swoimi kontrahentami, więc taka mała konferencja dla pięciu osób na nikim nie robiła tu wrażenia. Ot kolejni goście, załatwiający jakieś swoje handlowe sprawy, rozmawiają o tym, ile czego kupić i jak najkorzystniej to później sprzedać. Okno wychodzące na ruchliwą ulicę Obornicką, którą przez cały czas ciągnęły sznury samochodów wjeżdżających do Poznania

i wyjeżdżających z miasta, było szczelnie zamknięte, mimo tego i tak hałas z wylotówki był wszechobecny. Jednak ci mężczyźni nie zastanawiali się nad ulicznym ruchem. Ich świat daleki był od tego szarego, zwyczajnego, który toczył się na kołach codzienności po rozjeżdżonym i kruszącym się asfalcie drogi krajowej numer 11. Oni wjeżdżali właśnie na własną drogę, która miała ich poprowadzić ku spokojnemu życiu w dostatku i spokoju.

– Więc jak powiedziałem, z tego, co można by nazwać polskim tortem, że tak to obrazowo ujmę – wyjaśniał gospodarz – wszyscy, którzy mają właśnie w tej chwili coś do powiedzenia w tym kraju, wykrawają jak najlepsze i jak największe kawałki dla siebie. I jednocześnie patrzą innym na ręce, żeby ci przypadkiem nie wzięli więcej. Tak, panowie, wygląda polityka w naszym polskim wykonaniu. I teraz chodzi o to, żeby podczas tego wycinania wydłubać sobie tyle, ile się da, tak żeby nikt tego nie zauważył. Oni, ci giganci, biją się o to, co najwidoczniejsze, czyli o potężne firmy i przedsiębiorstwa, a my musimy skupić się na tych mniejszych, dla nich nieistotnych. Na jakichś zakładach tekstylnych, przetwórnich spożywczych i przedsiębiorstwach naprawczych. Będziemy brać to wszystko, na co nikt inny nie będzie miał ochoty, i nie będziemy szukać majątku w Warszawie, tam gdzie wszyscy wszystko widzą, ale w Pcimiu, Wąchocku i Gądkach. I w ten sposób zbudujemy największe w kraju imperium małych firm, na czele których stawiać będziemy naszych ludzi. Te firmy będą tworzyły nieformalny holding samopomocy. Stworzymy więc własną organizację firm na pierwszy rzut oka niemających ze sobą nic wspólnego. Ale do tego wszystkiego potrzebne są nam fundusze. O ile przejmowanie firm w całej Polsce przez naszych ludzi już się zaczęło, o tyle napotykamy kłopoty w postaci braku finansowania naszych inwestycji. Dlatego potrzebujemy pieniędzy. Ale nie doraźnej gotówki wyciągniętej z bankowej kasy. My nie jesteśmy jakimiś drobnymi złodziejaskami. Nie okradamy banków. My kradniemy całe banki, ha, ha!

Uczestnicy zebrania poczuli się naprawdę rozluźnieni. Początkowa rezerwa zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wróciła atmosfera narad i operatywek, kiedy omawiano bieżące zadania stawiane przed nimi przez resort. Teraz było podobnie, a zadanie wcale nie było bardziej skomplikowane i niebezpieczniejsze niż te wykonywane wcześniej przez nich, państwowych funkcjonariuszy. Teraz było tak samo, ale zmienił się ich status. W jednej chwili stawali się prywatnymi przedsiębiorcami działającymi na własną rękę. Jednak wcześniej musieli jeszcze coś zrobić.

– Samochód stoi każdej nocy zaparkowany na podjeździe. Podłączamy kable pod zapłon, a ładunek przyczepiamy od spodu. Zresztą mamy tu kolegów saperów, którzy się na tym znają najlepiej. – Gospodarz wskazał brodacza w ciemnych okularach top gun i dżinsowej marynarce oraz siedzącego obok łysego faceta w skórzanej kurtce. Obaj uśmiechnęli się, kiwając lekko głowami.

– Jakaś ochrona, myślę o ludziach? – zapytał łysy.

Zleceniodawca pokręcił głową.

– Kompletna beztroska.

– A zabezpieczenia auta? – Tym razem zainteresował się okularnik.

– Nie mam pojęcia. Ale to nowy mercedes, więc spodziewałbym się blokady z alarmem. Sprowadzony w tym roku z Niemiec, w wersji peweksowskiej, więc ma wszystko fabryczne. Ale z czymś takim sobie poradzicie – wyjaśnił gospodarz.

– Nie będzie problemu – potwierdził łysy.

– Czyli tu sprawa wydaje się prosta. Zakładamy ładunek i czekamy. Obiekt powinien tego dnia wyjść po ósmej, żeby dojechać na umówione spotkanie. Wy robicie wszystko w nocy i czekacie do rana. Chodzi o to, żebyśmy mieli pewność, że nasz obiekt nie wyjdzie z tego cało. I dlatego musimy się zabezpieczyć. A gwarancją bezpieczeństwa będzie kolega. – Wskazał na mężczyznę w sztruksowej marynarce. – Ja wiem, że to może dmuchanie na zimne, bo po waszej robocie nie będzie co zbierać, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże, jak mówią księża, od których kolega jest specjalistą. Zresztą nie tylko od czarnych, lecz także od broni snajperskiej.

– Rozumiem, że zabezpieczam miejsce i czekam do końca, póki nie upewnimy się, że wszystko zostało posprzątane.

– Najwyżej pięć minut. Potem zabieracie się stamtąd samochodem, oczywiście wcześniej ukradzionym, i po robocie. Samochód, którym odjeżdżacie, trzeba później zostawić gdziekolwiek. Tym się zajmie kolega... – Spojrzał na kierowcę. – Może być kolega kierownik? – zapytał. Ten skinął głową. – No właśnie. To najlepsze określenie. W końcu jest pan kierownikiem całej akcji. Kolega kierownik zajmuje się więc całą logistyką, zaopatrzeniem i koordynacją działań.

Kierownik w kilka dni wykonał wszystkie prace koordynacyjne, a teraz siedział w samochodzie i czekał na swoich ludzi. Gdy dym nieco się



przerzedził, otworzyły się tylne drzwi rozklekotanego poloneza, którego ukradł wczoraj na Ratajach. Dwaj specjaliści od wybuchów weszli do środka. Od momentu podłożenia ładunku siedzieli w punkcie obserwacyjnym naprzeciwko mieszkania likwidowanego obiektu. Bomba miała eksplodować po przekręceniu kluczyka w stacyjce, ale specjaliści zabezpieczyli się jeszcze na wszelki wypadek i dołączyli detonator na fale radiowe, gdyby ten pierwszy sposób nie zadziałał. W takim wypadku trzeba było tylko ręcznie nacisnąć przycisk. Ta zapobiegliwość okazała się całkowicie niepotrzebna. Samochód wyleciał w powietrze, tyle że w samochodzie zginął ktoś zupełnie inny.

– Kurwa – warknął łysy saper. – Chuj by to strzelił.

– Co jest? – zapytał kierownik.

– W aucie była jakaś baba – rzucił brodacz w ciemnych okularach.

– No trudno. – Kierownik wzruszył ramionami. – Na wojnie giną też cywile.

– Ale ona była tam sama. To znaczy ta babka była sama – wyjaśnił brodaty.

– Nic żeśmy, kurwa, nie mogli zrobić. Wyleciała do Bozi w pizdu.

– Kurwa! – jęknął kierownik, który już zaczął układać sobie w głowie wstępny plan poprawienia sfuszerowanej roboty. I wtedy do auta wsiadł czwarty członek grupy, ten z wyglądu przypominający nauczyciela liceum. Był najwyraźniej zadowolony.

– I co szczerzysz kły? – zapytał go kierownik.

– Bo naprawiłem to, co spierdolili nasi koledzy. Miałem szczęście, bo jak zobaczyłem, że jakaś laska idzie do auta, zacząłem szukać faceta. I zobaczyłem go w kuchni. Stał w oknie i pił piwo z flaszki. No to spokojnie mierzyłem, czekałem, aż pierdalnie ładunek, żeby się huk złał z wystrzałem, i pociągnąłem.

– I co? – zapytał saper w ciemnych okularach.

– Po śliwkach. Już go więcej nie widziałem.

– No to możemy jechać – zdecydował kierujący akcją.

– Ja się zrywam w takim razie – oznajmił snajper. Wyskoczył z samochodu, zatrzasnął drzwi i odszedł chodnikiem w kierunku skrzyżowania osiedlowych uliczek.

Kierownik odpalił auto, stykając ze sobą druty pod kolumną kierownicy. Silnik zagrał głośno, choć niezbyt harmonijnie. W końcu czego można wymagać od dziesięcioletniego poloneza.

## Poznań

### Godzina 9.15

Trzydzieścioro uczniów klasy VII a siedziało w ciszy wpatrzonych w postać przystojnego podporucznika policji i zasłuchanych w jego niezwykle interesującą opowieść. Nikt się nie wiercił, nie rozmawiał ani nawet nie zajmował się dłubaniem w nosie. Prócz głosu prelegenta słyszeć było tylko brzęczenie grubej muchy, bezskutecznie próbującej przeniknąć przez szybę, by wydostać się na zewnątrz. Uczniowie z przejęciem słuchali tego, co miał do powiedzenia funkcjonariusz, bo ten, wchodząc do klasy, zastosował chytrą sztuczkę. Obiecał, że osoby, które odpowiedzą poprawnie na jego pytania po zakończonej prelekcji, otrzymają w nagrodę zestaw znaczków odblaskowych, długopisy i kalendarze na rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty ze zdjęciem Komendy Wojewódzkiej Policji, a do tego wszystkiego jeszcze cukierki miętowe. Zwycięzca zaś miał dostać plastikowy piórnik z wydrukowanym na okładce policyjnym polonezem. Było więc o co walczyć. Każde dziecko w klasie oczyma wyobraźni widziało się już właścicielem piórnika wyróżniającego się na tle tych zwykłych, dostępnych w sklepie papierniczym. Policyjnego piórnika nie miał nikt. Dlatego każdy potencjalny właściciel słuchał w skupieniu opowieści klasowego gościa.

– I w związku z tym bardzo ważne jest, żeby wiedzieć, jak się zachować w trudnych sytuacjach. Na przykład, co zrobić, jeśli ktoś się topi w rzece albo w jeziorze. No wiecie, co wtedy się robi? – Kilka rąk natychmiast podniosło się ku górze. Podporucznik rozejrzał się po sali i wskazał szczupłą blondynkę z dwoma warkoczami. – Jak ci na imię?

– Mam na imię Karolina – odpowiedziała uczennica, wstając z krzesła.

– No to co zrobić, gdy się ktoś topi?

– Trzeba wezwać pomoc.

– A nie skoczyć do wody i wyciągnąć topielca?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Nie wolno wskakiwać do wody, bo taki, co się topi, może nas wciągnąć pod wodę i zamiast jednego topielca będą dwa nieboszczyki – wyjaśniła dziewczyna.

– Brawo, bardzo słusznie – pochwalił ją funkcjonariusz. – Masz całkowitą rację. Od ratowania ludzi są ratownicy. A wy, póki nie macie jeszcze kart pływackich i przeszkolenia...

– Mamy karty pływackie – wtrącił się wyrośnięty chłopak z ostatniej ławki pod oknem. – Ja chodzę na Chwiałkę na pływanie. I już kartę zrobiłem w piątej klasie – wytłumaczył.

– Brawo, bardzo dobrze, że umiesz pływać. Ale samo pływanie jeszcze nie wystarczy. Trzeba wiedzieć, jak się brać do ratowania, a to najlepiej wiedzą ratownicy. Dlatego nie ratujemy sami, ale wołamy dorosłych na pomoc.

Oficer spojrział na nauczycielkę, która stała pod ścianą, pilnie przysłuchując się pogadance. Uśmiechnęła się do niego i lekko skinęła głową. Policjant zrozumiał, że jego czas dobiegł końca.

– No to teraz mogę już powiedzieć – spojrział na obserwujące go twarze – że piórnik wygrywa dziś Karolina. Brawo, Karolino! – Jęk zawodu przeszedł przez klasę, jednak funkcjonariusz był na to przygotowany. – Ale pozostali też bardzo ładnie udzielali odpowiedzi i bardzo grzecznie się przysłuchiwali, dlatego wszyscy dostaniecie prezenty. Każdy z was otrzyma zestaw złożony ze świeatełka odblaskowego, długopisu, kalendarzyka i cukierków. – Szmer aprobaty przeszedł przez salę. – Sierzancie, dobrze, że jesteście, pozwólcie tu, pomożecie mi rozdawać. – Policjant zwrócił się do podoficera, który właśnie pojawił się w drzwiach, machając ręką, jakby oganiał się od muchy, a potem szybko podszedł do podporucznika i nachylił się do oficerskiego ucha.

– Panie poruczniku, spierdalamy stąd, bo szef dzwonił, że już mamy się zmywać.

– Że co?

– No, kurwa, Marcinkowski mówi, że mamy zapierdalać w podskokach – wyjaśnił z właściwą sobie prostotą starszy sierżant Mazurek.

– A, Marcinkowski. – Podporucznik Mariusz Blaszkowski od razu zrozumiał, że dzieje się coś ważnego. Jeśli sam szef wydziału dochodzeniowo-śledczego wyciąga go z prelekcji dla uczniów szkoły podstawowej, to znaczy, że sprawa jest niezwykle poważna. – No dobra, idź do samochodu i dowiedz się, co i jak, i gdzie mamy jechać...

– To ja już wiem. Stary kazał jechać na Cytadelę. Tam jakiś wybuch był. Ma pan wszystko sprawdzić.

– Spoko, już schodzę, tylko się pożegnaj – stwierdził, spoglądając na nauczycielkę.

Sierżant też spojrział, ale od razu wykluczył podejrzenie, że Blacha, bo tak nazywali w komendzie tego mierzącego sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu,

dobrze zbudowanego bruneta o szczupłej, starannie ogolonej twarzy, podrywa tę panią. Facet robił wrażenie na płci przeciwnej i pewnie tej nauczycielce też musiał się spodobać, ale raczej marne były szanse, żeby i ona wpadła mu w oko. Należała do grupy tych kobiet, o których mężczyźni zapytani, czy są ładne, mówili: „No tak, bardzo sympatyczne”. Blaszkowski raczej nie przyszedł na spotkanie z dziećmi dla niej. Chyba jednak była to sprawa czysto służbowa, myślał starszy sierżant Arkadiusz Mazurek, wychodząc na korytarz. Spojrzał przelotnie na stojącą tam szczupłą brunetkę w czarnej sukience za kolana, kremowej marynarce i z czarną torebką zawieszoną na ramieniu, ale wydała mu się za chuda. Owszem, była ładna, a nawet bardzo ładna, lecz nie spełniała podstawowego wymogu Mazurka, konesera kobiecych wdzięków. Według niego babka musiała mieć takie cycki, żeby było co złapać i jeszcze najlepiej, żeby się nie mieściło w łapie. Brunetka miała, według kategorii sierżanta, piersi sportowe, nieprzeszkadzające w bieganiu, więc dla Mazurka była w zasadzie niewidzialna.

Kobieta spojrzała na otwierające się drzwi do klasy, ale sierżant najwyraźniej nie był tą osobą, na którą czekała. Podoficer minął ją i zniknął na klatce schodowej, pochłonięty natychmiast przez szeroką falę uczniów, wylewającą się z sąsiedniej sali. Ci nie mieli tak atrakcyjnego rozpoczęcia roku z udziałem policji, jak klasa, w której z pogadanką wystąpił podporucznik. No ale żeby ktoś taki pojawił się na lekcji, trzeba było mieć dobre kontakty i znajomości. A kobieta stojąca przy oknie na korytarzu miała. Mama Karoliny, zwyciężczyni konkursu, Wiktoria Łabędzka znała podporucznika, bo byli sąsiadami. Mieszkali w tym samym bloku przy Kościuszki. Blaszkowski przeprowadził się tam kilka miesięcy temu, gdy wrócił do Poznania po ukończeniu szkoły oficerskiej w Szczytnie. Poznali się już pierwszego dnia.

– Pan tu u nas będzie mieszkał? – zapytał ośmioletni chłopak, gdy policjant wkładał klucz do zamka. Stał w uchylonych drzwiach prowadzących do mieszkania naprzeciwko.

– No chyba tak – odpowiedział Mariusz, próbując dopasować odpowiedni klucz spośród pęku kilkunastu, które dostał w wydziale socjalnym. Z tym mieszkaniem mu się udało, bo jako młodemu oficerowi przysługiwała mu kawalerka, na którą jednak trzeba było zapisać się do kolejki. Pierwszeństwo mieli ci z rodzinami. On, póki był sam, mógł liczyć od ręki co najwyżej na pokój w hotelu garnizonowym. Na szczęście jego podanie o przydział lokalu służbowego trafiło na biurko samego szefa dochodzeniówki, Alfreda

Marcinkowskiego. Ten miał je tylko zaopiniować, ale przypadkowo w tym samym momencie otrzymał pismo dotyczące pustego lokalu przy ulicy Kościuszki. Sekcja lokalowa pytała Marcinkowskiego, czy ten zamierza zachować do dyspozycji swojego wydziału mieszkanie po zmarłym pracowniku. Zdziwił się, bo po pierwsze nie wiedział, że jego wydział ma jakieś mieszkania do dyspozycji, a po drugie nie znał tego pracownika. Zapewne facet poszedł na emeryturę, zanim Marcinkowski trafił do pracy w dochodzeniówce. Fred nie zamierzał wnikać w szczegóły. Jeśli jakaś decyzja należała do niego, podejmował ją, nie czekając, aż ktoś zrobi to za niego. I tak mieszkanie po emerycie dostał Mariusz.

– A ten pan, co tu mieszkał wcześniej, to umarł. Nazywał się pan Stasiu. A pan jak się nazywa?

– Blaszkowski.

– A ja jestem Kuba Łabędzki.

– A ja mam na imię Mariusz.

– Pan Stasiu był fajny.

– Tak bywa w życiu, że jedni przychodzą, a drudzy odchodzą – rzucił filozoficznym tonem nowy lokator. – Ja też jestem fajny – powiedziawszy to, uśmiechnął się do chłopaka.

Ten zmarszczył brwi, dokładnie mu się przyglądając i zapewne oceniając stopień fajności nowego sąsiada.

– On też był milicjantem. I zbierał znaczki. A pan zbiera znaczki?

– Nie. – Mariusz pokręcił głową. Pchnął drzwi i natychmiast poczuł zaduch dawno niewietrzonego mieszkania, w którym odór starości można by było zdrapywać ze ścian jak wypłowiałą tapetę. – Nie zbieram.

– A co pan zbiera?

– Nic nie zbieram. Kiedyś zbierałem żołnierzyki. Aha, i jeszcze kapitana Żbika, znaczy komiksy...

– Kuba, co ty tu robisz? – usłyszał kobiecy głos dochodzący z głębi mieszkania naprzeciwko. Chłopak się odwrócił.

– Mamo, tu za pana Stasia będzie teraz mieszkał pan Mariusz. I on też jest szkiełem.

– Nie mówi się szkiełem, tylko policjantem – poprawiła go matka, otwierając szerzej drzwi.

Zobaczył trzydziestoparoletnią kobietę w obcisłych, czarnych dżinsach i stanowczo za dużej męskiej koszulce z krótkim rękawem. Ich oczy się spotkały. Mariusz poczuł coś dziwnego, jakby jej wzrok przekłuł go jak szpilka przeszywająca motyla i osadzająca go na ścianie przeszklonego pudełka. Na szczęście nie było za nim żadnej ściany nadającej się do zawieszenia policjanta z rozpostartymi skrzydłami. Musiała odczytać jego myśli, bo zaraz spuściła oczy i spojrzała na syna, czochrając go po ciemnych włosach.

– No przecież szkieł to nie jest brzydkie słowo – oburzył się chłopak.

– Kuba ma rację – poparł go Mariusz. – U nas na komendzie tak się mówi od zawsze.

– No to jak już będziemy mieć szkieła sąsiada, to przynajmniej będziemy tu się czuć bezpieczniej – zawyrokowała. – Nazywam się Łabędzka Wiktoria. – Wyciągnęła ku niemu szczupłą dłoń o długich palcach. Pomyślał, że mogłaby być pianistką. Niewiele się pomylił. Wkrótce dowiedział się, że kobieta pracuje w filharmonii i jest altowiolistką.

– Mariusz jestem. Dostałem przydział na to mieszkanie, więc wygląda na to, że będziemy sąsiadami.

Drzwi do klasy otworzyły się i ubrany w galowy mundur podporucznik Blaszkowski wyszedł na zewnątrz. Wiktoria uśmiechnęła się promiennie na jego widok. Podszedł do niej. Szybko się rozejrzał, ale nikogo w pobliżu nie dostrzegł, więc chwycił ją za biodro, delikatnie przysunął ku sobie i pocałował w usta.

– Jeszcze ktoś zobaczy – powiedziała, odsuwając się od niego. Ale wiedział, że wcale nie czuła się niezręcznie. Raczej był to wyraz kokieterii niż troska o dobre obyczaje niepozwalające deprawować dzieci na szkolnym korytarzu. – Co by powiedzieli twoi szefowie?

– Jak ich znam, to powiedzieliby, że Blacha wreszcie trafił na właściwą kobietę.

– Starą babę z dwójką dzieci.

– Stara to jest angielska królowa, a ty jesteś jak dojrzałe wino, co wygląda pięknie, a smakuje jeszcze lepiej.

– Hmm – mruknęła coś pod nosem, najwyraźniej zadowolona z komplementu. Ale to, co usłyszała chwilę później, raczej się jej nie spodobało.

– Na lody musicie pójść sami.

– Cholera!

– Jak się zadajesz ze szkielem, to niestety musisz się liczyć z takimi sytuacjami. Widziałaś tego sierżanta, który tu był przed chwilą? Kazał mi się natychmiast zbierać. Coś się stało, a ja mam dziś służbę.

– Dzieciaki nie będą zadowolone. Kuba się cieszył na to wyjście do Poloneza...

– Idź z nimi i powiedz, że wieczorem, jak skończę robotę, to wpadnę...

– Wpadniesz do nich czy do mnie? – zapytała.

Znów poczuł to spojrzenie, które przeszywało go na wskroś jak szpilka. Tylko ta szpilka była przyjemna jak diabli.

– No przecież jesteście jak head & shoulders, dwa w jednym – rzucił popularnym hasłem reklamowym, dał całusa i pobiegł w kierunku schodów. Minutę później zapinał pas bezpieczeństwa w niebieskim polonezie z dumnym napisem POLICJA na obu bokach, za którego kierownicą siedział sierżant Mazurek.

## **Poznań**

### **Godzina 9.45**

Na rynku Łazarskim, nieregularnym placu otoczonym z dwóch stron starymi kamienicami, z trzeciej blokami, a z czwartej otwartym szeroko na pobliską Głogowską, jak zwykle o tej porze było pełno ludzi. Sprzedający chwalili głośno swój towar i nawoływali kupujących. Ci chodzili powoli i lustrowali dokładnie stragany, bo tu nie trzeba było się przepychać jak w kolejce do rzeźnika. Na Łazarzu każdy mógł kupić to, na co tylko miał ochotę. Jak to w kapitalizmie decydujące były podaż i popyt, więc jeśli klient czegoś szukał, rynek musiał mu to dostarczyć.

Wszędzie wokół słychać było dźwięki muzyki, gdzieś rockowej, gdzie indziej popowej, ale najgłośniejsze, najskoczniejsze, a co za tym idzie najbardziej poszukiwane, było szmirowate disco po polsku. Skoczne rytmy tworzyły więc muzyczną oprawę dla ludzkiego mrowiska, które prócz zakupów szukało też odrobiny emocji.

– Czarna przegrywa, czerwona wygrywa. Każdy dzisiaj wygrać może, jeśli szczęściu dopomoże. Raz, dwa, trzy, szkielec nie patrzy. Komu, komu, bo idę do

domu!

Szczupły szatyn rozrzucił szybko trzy karty i rozejrzał się na boki. Jego fachowe oko oszusta od razu wyłowiło przynajmniej trzech gości, którzy mieli ochotę dziś przegrać. Przynajmniej trzech, bo był jeszcze czwarty. Ten od kilku minut przyglądał się uważnie rozkładaniu kart i widać było, że ma chęć spróbować. Ale on nie należał do zwykłych jeleni. To był gracz, który uważał, że rozpracował system, i zamierzał obstawić na pewniaka, czyli zgarnąć wygraną. Takich gości rozdający karty, Zdzichu, zwany Trąbą, szczególnie lubił. Uważał, że satysfakcja z przewalania takiego mądralińskiego jest podwójna. Co innego zwykli frajerzy. Ci przychodzili na Łazarz, żeby coś kupić albo sprzedać i widząc rozgrywkę na wysokim szczeblu, czyli karciany blat zawalony stertą gotówki, wchodzili do gry, licząc na szybką i pokazną wygraną. Bo wszystko wydawało się banalnie proste. Krupier, czyli w tym wypadku Zdzichu, miał w rękach trzy karty. To, że dwie z nich były czarne, a jedna czerwona, widzieli wszyscy, bo przed rozłożeniem ich na stole pokazywał je grającym. Nie było najmniejszej szansy, żeby mógł którąś kartę podmienić. Stał przecież na widoku i wszyscy go uważnie obserwowali. Stolik, na którym rozkładano karty i obstawiano wygraną, zrobiony był z zielonego, metalowego kosza na śmieci, odwróconego do góry nogami, a na wierzch prowadzący grę kładł drewnianą płytę meblową, która kiedyś była drzwiczkami do szafki w meblościance na wysoki połysk. Dzięki temu połyskowi karty ładnie się rozkładały na blacie i łatwo je było przesuwac. A tym właśnie zajmowali się podstawieni gracze, czyli ludzie Zdzicha. Jednak tego, że ktoś tu jest podstawiony, nie wiedzieli frajerzy wchodzący do gry i od samego początku skazani na porażkę. To właśnie dzięki nim codziennie Zdzichu i jego ludzie mieli co robić. Wszystko działo się niemal na środku rynku, na chodniku pomiędzy straganami, na których handlowano wszystkim, czym się dało, od gaci począwszy, przez kolorowe gazety z Zachodu, papierosy z peweksu, wódkę od ruskich, na niepotrzebnych nikomu starych, znalezionych na strychu śmieciach, skończywszy. Można tu było więc kupić to, co przydatne, i to, co na pierwszy rzut oka nikomu do niczego przydać się nie mogło, ale sprzedawcy wychodzili z założenia, że warto spróbować.

Zdzichu sprzedawał chętnym złudzenie szczęścia i bogactwa. Frajerzy, widząc pieniądze i trzy karty, obstawiali czerwoną i najczęściej przegrywali, bo oszuści rozkładali je szybko i do tego jeszcze zawsze w pewnym zamieszaniu. Trąba najpierw pokazywał odkryte trzy karty i każdy mógł się przekonać, że to nie żaden szwindel. Potem zaczynał je szybko tasować,



obserwowany przez kilkanaście par oczu. Tyle bowiem osób mogło stać wokół stolika, nie przeszkadzając sobie wzajemnie. W tłumie było zawsze trzech współpracowników, którzy pozorowali grę. Oni czekali na właściwy moment, gdy karty zostaną położone na stole. Dwaj obstawiali konkretne karty, najczęściej te przegrane, kładąc na nich pieniądze. Robili to z pełnym przekonaniem, tak aby frajerzy im uwierzyli.

– Tu jest czerwona. Ja pierdołę, widziałem, że tu jest czerwona, kurwa, daję na nią sto tysięcy. Dalej, gościu, pokazuj, co tam jest pod spodem. Daję sto tysięcy, kurwa. No proszę, odkrywamy – wołał zapalczywie facet w czarnej, skórzanej kamizelce i czapce z daszkiem. – No dalej, odkrywamy kartę!

– Spokojnie, gościu, spokojnie. – Zdzichu przytrzymał wszystkie trzy karty obiema dłońmi, żeby ktoś za wcześnie ich nie odkrył. – Taki żeś pewny, to kładź bejmy[3] na stół. Co, cykasz się, ćwoku? No dalej, dawaj stówkę!

– Ha, ha, w chuj się nie boję, daję dwie stówki na tą kartę.

– No to żeś już przegrał, człowieku, bo czerwona jest z drugiej strony – komentował niby zupełnie obojętnym tonem gruby facet z czarnym wąsem i starannie zaczesanym przedziałkiem z lewej strony, ubrany w zieloną koszulę i brązowe spodnie sztruksowe, które na okazałym brzuchu przytrzymały pasiaste szelki.

– Spokojnie, gościu. Ja mam swojego pewniaka – odpowiedział mu ten w czapce. – Sam se stawiaj na czarną.

– Na czarną! Ha, ha, ha. Widzicie, wiaruchna, co to za zasraniec jest? – krzyczał gruby. – On mi gada, że ja mam na czarną stawiać, jak on sam stawia na czarną. Ja pierdołę, skąd takie wały korbowe się biorą.

– Sam jesteś wał. Wskocz mi na wałek i zatańcz kawałek, ćwoku.

– Tak, no to patrz się, łachu cmentarny. Trzysta tysiączków stawiam. Widzisz pan? – Gruby zwrócił się do Zdzicha jak do najwyższego arbitra rozgrywki. – Sam pan widzisz, że gość jest durny jak mój lewy but. O, proszę bardzo, trzy stówki na tą kartę. – Położył trzy banknoty i przytrzymał je dłońią, dociskając do karty, tak żeby na pewno nikt mu jej nie podmienił.

Karta w środku była cały czas nieobstawiona. I wtedy przesunął się naprzód ten specjalista. Zdzichu trochę obawiał się takich cwaniaków, bo obserwując rozgrywkę, byli w stanie przejrzeć jego chytry plan, który wcale nie był skomplikowany. Jego ludzie zazwyczaj kłócili się o karty czarne, a wygrywającą ignorowali. W ten sposób na te najlepiej obstawione dwie karty

kładli swoją gotówkę także niezorientowani w rozgrywce frajerzy. Cwaniacy, którzy pojawiali się co jakiś czas, szybko orientowali się, o co chodzi. Wtedy zbliżali się do stołu i jak im się zdawało, niczego nie ryzykując, stawiali na pewniaka.

– Ja stawiam milion na tą środkową – powiedział szczupły facet w okularach, ubrany w białą koszulę i marynarkę. Przypominał Zdzichowi jego dawnego nauczyciela fizyki. Tamten też był taki zabiedzony, bo nic nie jadł, tylko żywił się nauką. Ten najwidoczniej postępował podobnie. Żył książkową wiedzą i tworzył teorie, a dziś postanowił jedną z nich wprowadzić w życie. Najpierw patrzył uważnie na grę i uderzył w najbardziej odpowiednim, jak mu się wydawało, momencie, czyli wtedy, kiedy był pewien podwojenia wygranej. Bo w trzy karty wygrywało się dokładnie tyle, ile się postawiło. Przegrywało się natomiast wszystko i nikt nie przyjmował reklamacji.

– Zastanów się, gościu – rzucił Zdzichu z troską w głosie, jakby chciał odwieść chudzielca od nierozważnego kroku. – Pomyśl dwa razy, bo wiesz, że to jest gra uczciwa i tu się bejmów przegranych nie zwraca. Jak się co przegra, to już umarł w butach, znaczy się po robocie.

To przemówienie tylko upewniło chudzielca, że ma słuszność.

– Stawiam milion i nie ma co gadać. Moje ryzyko, panie. No co, odkrywamy? – zawołał coraz bardziej pewny siebie.

– A ty skąd wiesz, że tu jest czerwona? – zapytał chudego gruby w szelkach.

– Mam pewność popartą doświadczeniem naukowym.

– Że niby co?

– Że wygram.

– To ja zamieniam – rzucił gruby i przełożył swoje pieniądze na środek.

– Ale z was łosie – zaśmiał się ten w czapeczce. – Już po waszej kasie, durnie. No patrzcie się, ludzie, kto wygra. Ja wygrywam i zgarniam bejmy. Proszę bardzo, dokładam jeszcze do pięciu stówek, znaczy się pół bańki stawiam, i po robocie, a ty, facet, płąć.

– Jak się wygra, się zapłaci. Jak się przegra, to ci chuja utną kaci – zawołał Zdzichu. – Ostatnia szansa na obstawę. Komu, komu, bo idę do domu?

Kilku frajerów postawiło jeszcze jakieś drobne kwoty na dwie obstawione karty. Ta, którą porzucił grubas w sztruksach, była nieobstawiona.

– Nie może tak sama se leżeć – stwierdził jakiś facet w koszulce z napisem Metallica i w porządnych peweksowskich lewisach. Zdzichu spojrzał na niego i zacisnął zęby, widząc, że ten sięga po pieniądze do kieszeni i wyciąga dwie stówki. – Żeby nie było jej łyso – stwierdził wesoło i mrugnął jednocześnie do Zdzicha, który przeklął pod nosem i zawołał:

– No to, szanowne państwo, jak to mówią, bimba[4] na pętli, znaczy się kłyniec Dymbiec[5] i bileciki do kontroli.

Najpierw odkrył tę z prawej, obstawioną przez gościa w czapce i kilku tych, którzy mu zaufali.

– Kurwa jebana! – zawołał obstawiający, gdy zobaczył czarnego króla. Ale nie dyskutował, tylko podał krupierowi pieniądze, które trzymał pod palcem.

– No to teraz chwila prawdy! – Zdzichu wydobył spod ręki chudego nauczyciela kartę, by zaraz szybko ją odwrócić. Nie musiał na nią patrzeć. Wiedział, co na niej jest. Zadowolony rzucił okiem na chudzielca, który zbladł momentalnie. Chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył.

– A żeby cię chuj jakiś zajebał w naukowy sposób, ty zasrańcu pierdolony! – krzyknął gruby w sztruksach i zaraz oddał wszystkie pieniądze Zdzichowi, a ten schował je do kieszeni.

Ale gra się jeszcze nie skończyła. Oczy wszystkich zwróciły się na ostatnią kartę, którą trzymał pod palcem gość w rockowej koszulce.

– No to wychodzi na to, że pan bankier płaci – rzucił, zadowolony.

– Odkryj pan kartę, bo to jakieś oszustwo grubsze jest! – zawołał przegrany chudzielec.

– Oj, nie zarzucaj, ty szmaciarzu pierdolony, oszustwa uczciwemu człowiekowi, co o swoją reputację codziennie walczy z takimi jak ty papudrakami – oburzył się Zdzichu, a potem wskazał kartę. – Proszę bardzo, szanowny pan odkryje i zobaczymy, czy ktoś tu kogoś oszukał, czy oskarżony zostałem niesłusznie i wew związku z tym komuś za zniewagę trąbę trzeba będzie natychmiastowo obiść, żeby mu się więcej nie zachciało ludności oskarżać – powiedział Zdzichu Trąba, którego ksywka wzięła się właśnie od trąby, w którą lubił walić tych, którzy weszli mu w drogę.

Facet w koszulce Metalliki odkrył kartę, a zebrani wokół ludzie jęknęli głośno. As kier wygrywał.

– No to płać pan po bożemu. – Rockman wyciągnął rękę ze swoimi dwiema setkami, a prowadzący grę, robiąc kwaśną minę, odliczył cztery pięćdziesiątki.

– Miałeś farta – stwierdził Zdzichu.

– Żaden fart. Trzeba mieć tylko oczy dookoła głowy. – Zwycięzca schował wygraną, a potem uśmiechnął się szeroko. – Widzę, że Trąba w dobrej predyspozycji zawodowej – powiedział i wysunął przed siebie pustą dłoń.

– A ty co, w szkodę chcesz mi wejść? – rzucił Zdzichu i potrząsnął ręką kolegi, z którym nie widział się sześć miesięcy. Wyszedł wtedy z więzienia we Wronkach, w którym spędził zaledwie rok z dwóch zasądzonych za napad i pobicie. Do żadnego z tych czynów się nie przyznał, ale musiał dla przyzwoitości odsiedzieć połowę, bo więcej za dobre sprawowanie nie dało się skrócić. Jego kolega spod celi, Marian, nazywany Falconettim, w skrócie Falco, od pewnego bohatera serialu *Pogoda dla bogaczy*, który podobnie jak on nie miał jednego oka, odsiedział wszystko, co mu zasądzono, skoro teraz dopiero pojawił się w Poznaniu. I od razu przyszedł do niego na Łazarz. To znaczy, że trzeba będzie ten powrót do świata normalnych ludzi dziś porządnie opić, pomyślał Zdzichu Trąba, rozglądając się na boki. Przy wywróconym do góry nogami śmietniku zastępującym kasyno gry zostali tylko we dwóch. Jego trzej ludzie, czyli gruby w sztruksach, długowłosa w bejsbolówce i trzeci wielki jak szafa, niegrający, ale pilnujący porządku podczas rozgrywki, poszli do pobliskiej piwiarni na rogu Głogowskiej i Engla, żeby przepłukać gardło i poczekać na szefa, odpoczywając po intensywnym poranku. Rozegrali już pięć partii i zarobili kilka milionów, więc należało im się trochę relaksu. Zdzichu chciał teraz do nich dołączyć, ale musiał coś zrobić ze swoim dawnym kumplem.

– Zostajesz w Poznaniu czy jedziesz gdzieś dalej? – zapytał, zdejmując deskę ze śmietnika.

– Dziś w Poznaniu, a jutro kto wie. – Falco się zaśmiał.

– To znaczy się dziś pijemy?

– Już pijemy – odpowiedział mu kumpel.

– Wiesz, mam gości do podziąłu. Poszli tam, do knajpy...

– Widziałem tych dwóch. Dobrze sobie radzą. A coś więcej dadzą radę zrobić?

– Że niby jak?

– Bo ja, jak mnie znasz, na dupie nie wysiedzę. A miałem trochę czasu na przemyślenia. I teraz mam jeden pomysł, co go chcę zrobić. I dlatego potrzebowałbym takich gości, co to się roboty nie boją.

- Moi się niczego nie boją. Tylko zależy, co to za robota.
- Mówiłeś mi kiedyś, że żeś ze swoimi chłopakami jeździł do Berlina i wszyscy oni mają prawko, znaczy są jeżdżący. No więc dla takich jest taka fucha, co to dużo można zarobić, i to kompletnie bez ryzyka.
- Nie ma takiej roboty, że się nie ryzykuje.
- Ryzyko jest takie, że trzeba tylko wsiąść w samochód i przejechać z jednego miejsca do drugiego.
- Znaczy bez ryzyka, ha, ha! To gdzie jest haczyk?
- Haczyk jest taki, teraz trzeba się napić i wszystko przegadać. I niech ja się nie nazywam Falco, jak wy od jutra przestaniecie rznąć wiarę na kartach na Łazarzu.
- Jesteś bardzo pewny siebie.
- Bo takie czasy, kolego, że trzeba być pewnym siebie i wiedzieć, jak wykorzystać moment. Dziś każdy może stać się miliarderem. Musi tylko wiedzieć, jak to zrobić. A ja wiem – stwierdził Falco i klepnął Zdzicha w ramię.

Ten wziął pod pachę swój blat do gry i postawił go jak zwykle za budką kiosku Ruchu, żeby był gotowy, gdy tu wróca. Bo nie bardzo chciało mu się wierzyć staremu kumplowi spod celi, że tak z dnia na dzień stanie się miliarderem i przestanie grać w trzy karty. W końcu to była jego normalna, codzienna robota, którą wykonywał najlepiej, jak umiał, od ładnych kilku lat. A takiej dobrej pracy się nie porzuca.

Odeszli w kierunku ulicy Engla, odprowadzani skocznymi dźwiękami przeboju muzyki chodnikowej *O-la-la* w wykonaniu zespołu Papa Dance.

## **Godzina 10.00**

– I co, wiadomo już coś w sprawie? – zapytał Blaszkowski Mazurka, który siedział za kierownicą służbowego poloneza. Auto zjechało z Niepodległości w lewo, przecięło przeciwległy pas i wbiło się w Solną. Do Cytadeli nie było daleko. W zasadzie mieli ją tuż za swoimi plecami, ale musieli objechać kawałek Poznania, żeby dostać się na Szelągowską, bo po ostatnich zmianach organizacji ruchu porobiono tu ulice jednokierunkowe i Mazurek, który nie był kierowcą, ale podoficerem śledczym, tylko od czasu do czasu siadającym za kierownicą, nie wiedział, jak trzeba teraz poruszać się po mieście. Dlatego

wybrał nieco dłuższy, ale za to pewniejszy objazd. Mariusz w ogóle nie zwrócił uwagi na to, że jadą okrężną drogą. Cały czas jeszcze był pod wrażeniem tego spojrzenia Wiktorii. Było w tej kobiecie coś takiego, co nie pozwalało mu się skupić na sprawach służbowych, musiał myśleć o niej i o tym, co czeka go dziś wieczorem. A że wieczór zapowiada się ekscytująco, wiedział doskonale.

Ostatnio każdy był właśnie taki. Wiktoria przychodziła do niego, ponieważ w swoim mieszkaniu czuła się jakoś niezręcznie. Przede wszystkim przez dzieci, a poza tym nie mogła pozbyć się wrażenia dziwnej obecności nieobecnego męża. Łabędzki wyjechał w osiemdziesiątym trzecim do Niemiec, a ona została tutaj. Był działaczem Solidarności, który od wprowadzenia stanu wojennego działał w podziemiu i się ukrywał. Gdy w końcu wpadł, władze dały mu prosty wybór – albo pójdzie siedzieć, albo wyjedzie na Zachód. Wybrał wolność. Ale warunek był taki, że wyjedzie sam. Nie miał więc wyjścia. Ustalili z żoną podczas widzenia w areszcie przy Młyńskiej, że pojedzie, jakoś się tam urządzi, a potem ściągnie ją i dzieci do siebie przy pomocy Czerwonego Krzyża. W ten sposób udawało się w tamtych czasach łączyć rodziny. Wyjechał, a ona została tutaj właściwie już spakowana i w każdej chwili gotowa do drogi. Oficjalne łączenie rodziny jednak się nie udało, a Łabędzki przestał się regularnie odzywać. W osiemdziesiątym szóstym dostała ostatni list. Pisała jeszcze kilka razy do męża, by w końcu otrzymać z powrotem dwa swoje listy z niemiecką adnotacją, że adresat jest nieznany. Rok temu przysłało jej urzędowe pismo z Chicago, w którym adwokat John Lukasky informował, że prowadzi sprawę rozwodową jej męża i że podstawą do orzeczenia rozwodu ma być trwały rozkład pożycia. Dlatego wzywa ją do potwierdzenia stanu faktycznego, czyli tego, że nie żyją ze sobą od osiemdziesiątego trzeciego roku. Podarła ten list i wyrzuciła do kosza. Dzieciom nic nie powiedziała. Nikomu niczego nie powiedziała. Dopiero gdy Mariusz zapytał jakieś dwa miesiące po tym, jak się wprowadził do swojego mieszkania, zrzuciła cały ten ciężar z siebie. Siedzieli na kanapie, która tak jak większość mebli w tym mieszkaniu została po poprzednim właścicielu, i pili bułgarskie wino Sophia.

– Ten gnój niczego mi nie wytłumaczył, rozumiesz? Nie powiedział, że ma mnie w nosie. Nie napisał ani słowa. On po prostu zniknął z dnia na dzień z mojego życia. Z naszego życia. Zostawił mnie jak psa przywiązanego na łańcuchu do budy. A ja jak ten pies czekałam na niego, wsłuchując się w kroki na korytarzu i zaglądając codziennie do skrzynki pocztowej.

– Może coś mu się stało... – wtrącił się zupełnie niepotrzebnie. Nie miał zamiaru bronić tego gościa. Po prostu powiedział, żeby w ogóle coś powiedzieć, bo w zasadzie w takich sytuacjach czuł się całkowicie bezradny. Nie umiał pocieszać, a nawet gdyby, to nie bardzo wiedział, czy ona potrzebowała jakiegoś pocieszenia.

– Stało się tyle, że pewnie poznał tam kogoś. Przecież ludzie nie zostawiają ot tak sobie rodziny bez powodu. To jego dzieci, za które dałby się zabić, tak mówił. Ale co tam dzieci. Przecież on chciał umierać za Polskę. Mówił, że wszystko, co robi, to dla ojczyzny. Cała ta jego walka w podziemiu, to poświęcenie dla innych to była prawda? Jeśli tak, to czemu się nie dał zamknąć jak Kuroń, Michnik czy Komorowski, tylko wziął paszport i z podkulonym ogonem pojechał sobie układać życie? Bo to właśnie jest cały on, mój bohater narodowy, który wszystkich ma w dupie i myśli tylko o sobie. Mordę ma pełną wyświechtanych frazesów, z Bogiem, honorem i ojczyzną na ustach i jakąś laską na boku.

– To dobrze, że już go nie ma – powiedział Mariusz i ją objął. Odstawiła kieliszek na ławę i przylgnęła do niego całą sobą, mocno, tak jakby się bała, że i on za chwilę zniknie. Nie miał zamiaru zniknąć. Czuł, że jest we właściwym czasie i miejscu z kobietą, na której zależy mu jak na nikim nigdy wcześniej.

– Dyżurny mówi, że tam w jednej willi na Cytadeli wyjebało tak, że szyby we wszystkich oknach w okolicy powypadały. – Do rzeczywistości sprowadził go głos sierżanta. Mazurek, tak jak Mariusz, miał dwadzieścia pięć lat. I podobnie jak on w tym roku trafił do wydziału dochodzeniowo-śledczego Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu. Z tym że Blaszkowski był tu w zasadzie u siebie. To tu zaczynał służbę w osiemdziesiątym piątym, przeniesiony z ZOMO. W szarej masie milicyjnego narybku wypatrzył go wtedy porucznik Mirek Brodziak i spowodował, że Marcinkowski wziął go do pracy w wydziale. Chłopak już podczas pierwszego śledztwa, w sprawie o kryptonimie „Łowca głów”[6], pokazał się z jak najlepszej strony i to zdecydowało, że został na stałe w ich zespole. Po roku pracy otrzymał od szefa skierowanie do szkoły oficerskiej. Mazurek tymczasem wcześniej pracował w komendzie dzielnicowej na Wildzie, przy Chłapowskiego. Tam był zwykłym krawężnikiem, ale na szczęście dla samego siebie skorzystał z okazji, jaką dało mu życie, w osobie komendanta komisariatu, majora Chwalby. Ten wezwał chłopaka kilka dni po tym, jak napisały o nim wszystkie miejscowe gazety. Bo Mazurek, wtedy starszy szeregowy, został bohaterem. W zasadzie sam nie

wiedział, jak to się stało, a kolegom opowiadał, że to był zwykły odruch, którego nie potrafił opanować, bo gdyby potrafił, to może by się zastanowił i gdyby zaczął sprawę analizować, to pewnie by tym bohaterem wcale nie został. Ale on się nie namyślał, tylko skoczył na lód mniej więcej na wysokości mostu Marchlewskiego. Przechodził tam całkiem prywatnie, idąc do kolegi, który mieszkał na osiedlu Młodych, po drugiej stronie Warty. Gdy już był prawie na ratajskim brzegu, spojrzął na zamrożoną rzekę i zobaczył, że na środku, tam gdzie nurt nie był jeszcze skuty lodem, tkwi coś ciemnego, jakiś nieruchomy punkt. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakaś kaczka próbuje wdrapać się na lodową taflę... I naraz zobaczył, że ta kaczka macha ręką. Nie zastanawiał się ani sekundy. Krzyknął do ludzi idących jak on przez most, że ktoś się topi, i nie czekając na ich reakcję, popędził, ile sił w nogach, na dół. Już w biegu zdejmował szalik i palto. Tak jak go uczyli na kursach ratunkowych, położył się na lodzie i zaczął się czołgać w kierunku topielca. Dopiero wtedy dostrzegł, że to jest dziecko, które trzyma się ostatkiem sił krawędzi tafli i zaraz będzie musiało się puścić. Odpiął pasek od spodni, przewlekł go przez rękaw płaszcza i zapiął, po czym podał jakiemuś chłopakowi, który był tuż za nim. Tych chłopaków było jeszcze pięciu i z każdą chwilą ich przybywało, bo studenci polibudy, którzy szli przez most, zaczęli wołać kolegów z przystanku.

– Ja idę, a wy dopinajcie swoje paski – zarządził, a studenci zaczęli posłusznie zdejmować paski od spodni i kłaść się na lód. Mazurek czołgał się dalej. Po chwili był już metr od dziecka. – Trzymaj się – zawołał i wtedy lód się pod nim załamał. Dziecko, które było nieco powyżej, popłynęło w jego kierunku, ale Mazurek chwycił je pewnie, po czym złapał się krawędzi tafli. Najbliższy student był już na skraju lodowej połaci. Podrzucił mu jego palto z paskiem zapiętym w pętlę. Mazurek wyciągnął dziecko na lód i zaraz chwycili je inni leżący studenci. Sam jednak opadł z sił i zrozumiał, że za chwilę będzie już po nim. Dlatego tak na wszelki wypadek zaczął powtarzać: „Zdrowaś Mario... łaskiś pełna”. Wtedy usłyszał tuż przy sobie głos i jakaś silna dłoń chwyciła go za kołnierz marynarki, a potem poczuł, jak ląduje na lodzie.

– Dobrze jest nieraz poprosić naszą Panienkę o pomoc. – Potężny jak kłoda drewna chłopak wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu. Później okazało się, że ten gość, który go wyciągnął z wody, to nie żaden student politechniki, ale kleryk z pobliskiego seminarium na Śródcie.



Mazurka w nagrodę za uratowanie dziesięcioletniego chłopaka, który wszedł na łódź, żeby się trochę poślizgać, komendant miejski wysłał na specjalistyczne kursy do szkoły podoficerskiej w Pile. To zaważyło na jego karierze, bo szybko dostał awans na sierżanta i trafił do wojewódzkiej, do zespołu Marcinkowskiego. Potem zastanawiał się, czy ten, który go wyciągnął, też dostał awans w duchownej hierarchii, ale nie znalazł żadnej odpowiedzi na to pytanie, bo gazety nic na ten temat nie pisały. W ogóle nie pisano o żadnym kleryku, tylko o bohaterskim milicjancie, który po służbie uratował dziecko, i że pomogli mu studenci politechniki, których rektor uczelni docenił, wręczając im listy pochwalne. Mazurek postanowił, że odnajdzie tego księdza, żeby mu podziękować, bo wtedy jakoś nie było okazji, ale jak dotąd nie znalazł na to czasu.

– Może to wybuch gazu? – zapytał Blaszkowski sam siebie, ale Mazurek zaraz pokręcił głową.

– To nie gaz, panie poruczniku. Pierdalne w samochodzie, co stał przed chatą. Ktoś podłożył bombę pod auto.

– Ja pierdziele, co tu się u nas wyrabia?

– Gdzie tu? – zapytał podoficer.

– Ogólnie rzecz biorąc w naszym kraju – odpowiedział podporucznik. – Mówię o tym, że wszystko się tak zmienia, że jakieś pojeby używają ładunków wybuchowych, żeby zabijać ludzi...

– Ładunki wybuchowe są do zabijania ludzi – stwierdził Mazurek, który zawsze umiał sprowadzić filozoficzną dyskusję do jak najbardziej przyziemnego wymiaru. – O, jest zablokowana ulica. – Wskazał brodą przed siebie.

Mniej więcej na wysokości skrzyżowania Szelałowskiej z Winogradami stały dwa radiowozy z włączonymi kogutami, bez sygnału dźwiękowego.auta, które podjeżdżały w to miejsce, były natychmiast zawracane przez policjantów w białych czapkach. Na ich poloneza żaden z nich nawet nie spojrzał. Za bardzo zajęci byli tłumaczeniem, że droga jest zamknięta i trzeba jechać objazdem. Dawniej, kiedy jeszcze była milicja, wystarczyło tylko groźnie spojrzeć na kierowcę, ale teraz, kiedy nastały nowe porządki, ludzie przestali bać się policji i nie dość, że nie słuchali poleceń, to jeszcze mieli o wszystko pretensje.

Mazurek skręcił w lewo i jeszcze raz w lewo. Auto wjechało na ulicę Na Stoku. Przejechali jakieś sto metrów i musieli się zatrzymać. Przed domem po prawej stronie stało kilka oznakowanych i nieoznakowanych aut policyjnych. Wszędzie widać było funkcjonariuszy pracujących wokół podjazdu piętrowej, bliźniaczej willi z płaskim dachem. Sierżant wyłączył silnik i obaj policjanci natychmiast wyszli z samochodu.

– Czy Marcinkowski kazał mi się zająć śledztwem? – zapytał Blaszkowski, bo lubił wiedzieć, jakie są priorytety. Jedno było pewne: skoro kazano mu przyjechać na miejsce, to sprawa była na tyle poważna, że od razu miała się nią zająć komenda wojewódzka, a nie miejska. Ci z miejskiej już tam pewnie byli i teraz będą patrzeć na niego jak na Michaela Jacksona, który wkracza na scenę w blasku reflektorów. Do tego jeszcze to jego ubranie. Miał przecież na sobie galowy mundur, założony specjalnie na występy w szkole. Na co dzień chodził ubrany po cywilnemu, a tu wejdzie za chwilę odpieprzony jak szkolny woźny na Pierwszego Maja.

– Jak kazał porucznika tu zawieźć, to chyba raczej tak. Ale czy mi takie rzeczy ktoś wyjaśnia? – Mazurek wzruszył ramionami. – Ja jestem od roboty, a nie od pytania.

– No to chodźmy się rozejrzeć. – Mariusz wskazał na spalony wrak samochodu, którego marki na pierwszy rzut oka nie dało się zidentyfikować. Wyglądało na to, że mają dziś przed sobą sporo roboty.

## Rozdział II

**Poznań**

**Godzina 10.15**

Z radia stojącego na półce regału popłynęły skoczne takty polki sygnalizującej najpopularniejszą audycję w kraju. Mimo że zaczął się dziś rok szkolny, „Lato z Radiem” miało jeszcze przed sobą dwadzieścia dni grania, do chwili aż zastąpi je pierwsza jesienna audycja.

– Ja to się nie do takiej milicji zapisywałem – stwierdził porucznik Teofil Olkiewicz, wpatrując się w przepływające po niebie chmury. Gdyby chciał się wpatrywać w co innego, to musiałby podejść do okna i wyjrzeć przez nie, by zobaczyć ulicę i budynek naprzeciwko. Ale żadne widoki w tej chwili go nie obchodziły. Jedyne, czym był zainteresowany, to jego przyszłość w tych niepewnych czasach.

– Milicji już nie ma – przypomniał mu chorąży Grzechu Kowal, który w wojewódzkiej pracował od siedemdziesiątego ósmego roku. Podobnie jak jego wyższy rangą kolega, zatrudniony był w wydziale dochodzeniowo-śledczym, ale nie jako podoficer dochodzeniowy, ale kierowca, dlatego te wszystkie zmiany zachodzące w firmie nie bardzo go obchodziły. „W moim fachu nie ma strachu”, często powtarzał, i było w tym sporo racji. Wiedział, że jako kierowca z uprawnieniami na samochody ciężarowe i autobusy zawsze znajdzie robotę.

Co innego Olkiewicz. On z niepokojem wsłuchiwał się w korytarzowe plotki i te wszystkie informacje mówiące o nadciągających zmianach. A zmiany rzeczywiście szły jedna za drugą. Najpierw te na najwyższym szczeblu przetaczały się nad głowami zwykłych obywateli kraju. W czerwcu ubiegłego roku wybory wygrała Solidarność i powstał rząd, na czele którego stanął pierwszy w powojennej historii niekomunistyczny premier, Tadeusz Mazowiecki. Póki w MSW był dawny szef, generał Kiszczak, wydawało się, że w firmie nic się nie zmieni. Ale zmiany musiały nastąpić. Zaczęło się od przekształcania SB, likwidowania jednych i konsolidowania innych pionów. Zmniejszono liczbę etatów i znaczną część najstarszych pracowników wysłano

na emerytury lub przeniesiono do policji. Ale Solidarność nie była zadowolona z tych zmian. Działacze, którzy szybko przeobrażali się w polityków, chcieli, żeby te były jeszcze bardziej zdecydowane. Dlatego odsunięto Kiszczaka, oskarżając go, że niczego nie reformuje, a wręcz przeciwnie, chce zachować wszystko tak, jak było dawniej. Mówiono, że zmieniał szyldy, ale nie ludzi, a w swoich reformach wykorzystywał esbeków, nie dopuszczając do struktur nikogo nowego. Dlatego w lipcu tego roku na jego miejsce powołano człowieka, o którym nikt w firmie niczego nie wiedział.

„Kto to jest ten Kozłowski?”, pytali milicjanci i esbecy, ale tylko ci z Krakowa mieli jako taką wiedzę na jego temat. Był dziennikarzem i działaczem opozycji, który o milicyjnej pracy nie miał zielonego pojęcia. Dlatego nie wrócono mu żadnych sukcesów, bo starzy wyjadacze zamierzali utopić go w łyżce wody. Tymczasem facet zabrał się energicznie do roboty i wkrótce Służba Bezpieczeństwa przestała istnieć. Jej miejsce zajął Urząd Ochrony Państwa. Przez dwa miesiące niewiele się działo prócz zmiany szyldu, ale jak się wkrótce okazało, była to cisza przed burzą. W końcu ruszyła weryfikacja, czyli proces oceny funkcjonariuszy SB, dzięki któremu w służbie mieli pozostać tylko ludzie nieskompromitowani.

– I komu to przeszkadzało? – zadał retoryczne pytanie porucznik, sięgając po papierosa z paczki ekstra mocnych leżącej na jego służbowym biurku. Wydobył jednego i zapalił. Niewielki pokój, w którym stały trzy odrapane biurka, szafa na dokumenty z rozpadającym się radiem Amator Stereo, niewielką szwedzką ławą i dwoma mocno zużytymi fotelami, tak zwanymi liskami[7], niemal natychmiast wypełnił się smrodliwym zapachem, przypominającym woń kopcającego się, starego siennika.

– Źle się kojarzyła – stwierdził kapitan Marjański, który wpadł do pokoju Olkiewicza posłuchać, co w trawie piszczy. – Bo milicja zajmowała się nie tym, co trzeba było, żeby się zajmowała – rzucił, siadając za biurkiem należącym do Mariusza Blaszkowskiego, który od rana był w jakiejś szkole z prelekcją. Marjański jeszcze niedawno sam siedział na tym miejscu, ale gdy Blaszkowski pojawił się znów w wydziale, musiał zmienić pokój. Nie miał nic przeciwko temu, bo nie znosił gryzącego dymu papierosów Olkiewicza, a poza tym uważał, że jako kapitan powinien urzędować w innym pomieszczeniu niż porucznicy. Jednak przed naradami, tradycyjnie odbywającymi się w gabinecie byłego szefa wydziału, pułkownika Żyto, lubił przejść się po pokojach, gdzie siedzieli najlepiej poinformowani koledzy, żeby przysłuchać się, o czym rozmawiają. Marjański bowiem lubił być człowiekiem dobrze

poinformowanym, ponieważ informacja była od pewnego czasu jego chlebem powszednim. Dwa miesiące temu jako człowiek mający ambicje literackie – kiedyś napisał milicyjną powieść kryminalną, ale nie doczekał się jej publikacji – został zaproszony do redakcji drukowanego na powielaczu „Głosu Policji”, czyli wewnętrznej gazetki poznańskiego garnizonu, w której policjanci redaktorzy pisali o najważniejszych sprawach dotyczących służby i ludzi. Piętnowali też wszystkie przeszłe nieprawidłowości i walczyli z obecnymi wypaczeniami, domagając się samooczyszczenia policji, która w nowych warunkach ustrojowych musi być nieskazitelnie czystą organizacją.

– Tobie, Maryjanek, też się źle kojarzyła? – zdziwił się Olkiewicz. – Z tego, co mi się nasuwa na pamięć, to żeś przyszedł do milicji chyba tak samo jak Miras Brodziak, co nie, Grzechu? – Spojrzał przy tym wymownie na Kowala. Ten od razu zrozumiał, gdzie uderza Olkiewicz. Cios był wymierzony celnie, bo w dość słaby punkt policyjnego reformatora.

– Brodziak był do nas przydzielony jakoś tak w grudniu osiemdziesiątego pierwszego – przypomniał sobie Kowal. – Chyba z nami jechał na akcję wtedy, trzynastego grudnia. Pamiętasz, Teoś, gdzie myśmy wtedy jechali?

– He, he, he! Co mam nie pamiętać? Na Pasterskiej my mieli zatrzymać jednego działacza Solidarności i wyszła z tego niezła gemela[8], bo tam my znaleźli truposza. Ale to nie był wcale ten, co my jego mieli wsadzić, ale inny, i też z Solidarności[9]. A ty żeś, Maryjanek, też wtedy musiał przyjść do służby, boś z Brodziakiem był w Szczytnie, i to znaczy się...

– O czym tu gadać – wszedł mu w słowo kapitan.

Moment, w którym zaczął pracę w komendzie miejskiej, rzeczywiście nie był najszcześniejszy. Tym bardziej dla kogoś, kto teraz starał się odnawiać moralnie instytucję, w której przepracował bez szemrania dziesięć lat, i to w niezbyt chwalebny dla milicji czasie. Wcześniej nie myślał o jej uzdrawianiu, a wręcz przeciwnie – uważał, że funkcjonariusze powinni kierować się ideologią socjalistyczną i stać na straży jedynie słusznych sojuszy. W takim też duchu napisał kryminał, którego głównym bohaterem był porucznik Teodor Markiewicz, milicjant wzorowany na postaci Teofila Olkiewicza. Swoją powieść przesłał na konkurs literacki, którego niestety nie wygrał. Niestety, tak myślał wtedy, bo główną nagrodą była publikacja w słynnej serii mikropowieści milicyjnych „Ewa Wzywa 07”. Wygrał kto inny, więc wówczas Marjański był przekonany, że spotkała go straszna krzywda. Jego żalu nie ukoili nawet pochlebna recenzja i informacja, że książka przewidziana jest do druku

w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. No i teraz z drzeniem serca przechodził codziennie koło kiosku Ruchu, sprawdzając dyskretnie, czy aby ta jego powieść nie została wydana. Bo gdyby Wydawnictwo Iskry jednak dotrzymało obietnicy złożonej mu kilka lat temu, to teraz byłby skończony. Nikt nie chciałby gadać z policyjnym reformatorem, który w swojej powieści pod niebiosa wychwalał poprzedni system. Były tam nawet takie sformułowania, które wtedy wydawały się całkiem uzasadnione, ale dziś byłyby dla autora jak wyrok skazujący przynajmniej na służbowe przeniesienie na jakąś głęboką prowincję.

*Markiewicz należał do partii i był z tego powodu dumny. Dumny był również dlatego, że w chwilach największej próby, gdy wielu członków partii odwróciło się od niej i przeszło na wrogie pozycje, on niezłomnie wierzył, że PZPR w swej mądrości zawsze znajdzie właściwą drogę, najlepsze rozwiązanie tych wszystkich problemów, które w codziennym życiu dotykały społeczeństwo. Dlatego wiedział również, że i on na swoim niewielkim, ale jakże ważnym odcinku powinien dać z siebie wszystko, żeby swoją robotę wykonać jak najlepiej, jak najsolidniej, jak kiedyś ci wspaniali i ofiarni przodownicy pracy socjalistycznej, odbudowujący z ruin i zgliszcz naszą Ludową Ojczyznę[10].*

– He, he! Jest o czym gadać, bo to widzisz, ludzie różni byli w tych czasach i teraz nawet każdego porządnego milicjanta będą prześwietlać – powiedział Olkiewicz. I wcale nie myślał o Marjańskim. Zastanawiał się mocno nad swoją przyszłością w firmie. Jeśliby jego zaczęli lustrować, to kto wie, co by z tego wszystkiego mogło wyjść.

– Na razie, czyli w chwili obecnej, nie ma planów weryfikacji funkcjonariuszy milicji – rzucił Marjański, który jako policyjny redaktor w tych kwestiach był dość dobrze poinformowany. – Tak że ciebie, Teofil, to nikt lustrować nie będzie.

– Nie? – zapytał Olkiewicz na wszelki wypadek.

– A po co by mieli cię lustrować? – zdziwił się Kowal, popijając kawę ze szklanki osadzonej w metalowym koszyczku. – Przecież ty żeś nic nadzwyczajnego nie robił w naszym wydziale – stwierdził zgodnie z prawdą. Teofil spojrział na niego z wyrzutem.

– Jak nic nadzwyczajnego nie zrobił? A tyle spraw rozwiązanych to niby nic? A kto tego świętego srebrnego w piachu znalazł w Gnieźnie? To nic

takiego? A jak ja bym tak niby nic nie zrobił, to ten tu Maryjanek to niby by mnie opisał w swojej książce. No powiedz sam, Maryjanek.

– Wiecie, ja już zasadniczo muszę iść – rzucił Marjański i poderwał się z krzesła. Wolał na wszelki wypadek nie poruszać niewygodnego tematu jego niewydanej powieści. Otworzył drzwi na korytarz i zaraz cofnął się do środka. Wepchnął go niemal siłą kapitan Mirosław Brodziak.

– Panowie, ja pierdołę, ktoś podłożył bombę pod auto Rycha Grubińskiego!

## **Godzina 11.30**

Adam Wiśniak, nazywany przez kolegów Wiśnią, w zasadzie nie grywał w karty. Kiedyś owszem, gdy był jeszcze chłopakiem, to jak najbardziej grał jak wszyscy w wojnę, bo tu zasady były proste, więc gra nie wymagała żadnej umiejętności liczenia czy w ogóle kombinowania. Bo w tych sprawach to on akurat nie był specjalistą i z liczeniem zawsze szło mu dosyć ciężko. No więc jeśli chwycił za karty, to wiedział, że albo przegra, albo wygra, jak dopisze mu szczęście. Dlatego lubił tę grę, bo była nieprzewidywalna i wszystko zależało w niej od ślepego losu. A zazwyczaj miał farta.

Później, gdy trochę podrośł, jego kumple przerzucili się na tysiąca. On też chciał, ale za nic nie potrafił zrozumieć, o co w tej grze chodzi. Trzeba było dodawać i odejmować, czyli przewidywać swoje szanse i grać tak, żeby przechytryć przeciwników. Wiśnia za nic nie potrafił się nauczyć tej sztuki. Nic mu się nie zgadzało podczas zliczania punktów i dlatego stale przegrywał. Próbował namówić kumpli do dawnej gry, ale oni, nie wiedząc czemu, wyśmiewali wojnę, która dawniej tak ich cieszyła. Nie miał więc z kim grać, bo tego cholernego tysiąca rzucił definitywnie, twierdząc, że to zajęcie dla idiotów, a on przecież idiotą nie był. Był człowiekiem, który miał szczęście w życiu, więc jako człowiek fartowny w gry, w których liczyło się obstawianie, najczęściej wygrywał.

Dziś też miał farta i prawie by wygrał, bo obstawił właściwą kartę, ale potem dał się zwieść temu grubemu kretynowi. Razem z nim przerzucił swoje skromne pięćdziesiąt tysięcy na drugą kupkę i wszystko stracił. A gdyby zaufał swojemu szczęściu, miałby teraz w kieszeni pięćdziesiąt tysięcy więcej, a tak nie miał nic. No prawie nic, bo w końcu miał przy sobie jeszcze parę groszy, akurat tyle, żeby zjeść bułkę z klopsem mielonym w kiosku spożywczym na rynku, popić piwem i do tego jeszcze kupić parę cameli sprzedawanych na

sztuki. Najedzony, opity i napalony mógł spokojnie poczekać na jakiegoś klienta zainteresowanego jego towarem. A dziś miał naprawdę dobry towar.

Na rynek Łazarski przyjeżdżał najczęściej po to, żeby kupić jakieś modne ciuchy. Wiśnia był przecież artystą występującym codziennie przed ludźmi, więc wygląd zewnętrzny w jego fachu disc jockeya był niesłychanie ważny, bo oczy wszystkich zwracały się na niego, gdy tylko wychodził na scenę, by dać swój niepowtarzalny koncert. Tak, koncert właśnie, a nie zwykłą dyskę. Wiśnia jako artysta tworzył muzykę na żywo, przeplatając ze sobą różne gatunki i style i miksując muzykę z magnetofonu oraz płyt. Zapowiedzi unikał, bo według niego były przeżytkiem, niepotrzebnym zgrzytem odciągającym uwagę, podczas gdy w prawdziwej dyskotecie najistotniejsza była muzyka. Tak wymyślił i tego się trzymał, dorabiając tę teorię do swojej największej słabości, jaką było jąkanie.

Tak, Wiśnia się jąkał i miał z tym problem od najmłodszych lat. Dlatego był pewny, że nigdy w życiu niczego nie dokona, ale kiedyś zupełnie przypadkowo poszedł na szkolną dyskotekę. To było jak uderzenie pioruna prosto w głowę. Poczuł, że jego świat wywrócił się do góry nogami. Całą dyskotekę przestał w jednym miejscu. Nie, wcale nie pod ścianą, czekając na zaproszenie do tańca. Wiśnia stał na środku parkietu wpatrzony w disc jockeya w białej koszulce, czapce z daszkiem i w wielkich słuchawkach na uszach. Facet puszczał muzykę i zapowiadał piosenkę po piosence, a wszystko to było okraszone migającymi lampkami. I odtąd uczeń ósmej klasy, Adam Wiśniak, zrozumiał, po co żyje. Musiał zostać takim gościem w czapce od puszczenia muzyki. Ale samej muzyki, bez zapowiadania, żeby jąkający głos nie przeszkadzał tańczącym.

Zaczął od dyskotek dla siebie we własnym pokoju. Puszczał płyty z adaptera Artur Stereo i magnetofonu Grundig. Gdy nabrał wprawy, zgłosił się do nagłośnienia klasowej imprezy. Ta udała się znakomicie i pozwolono mu zrobić dyskotekę dla całej szkoły, na szkolnym sprzęcie nagłaśniającym. Wtedy zdał sobie sprawę, że on z jego domową muzyczną elektroniką w porównaniu z tą szkolną jest jak Janko Muzykant wobec strażackiej orkiestry. Musiał więc postarać się o swoją aparaturę nagłaśniającą. Tyle że to wcale nie było proste. Pod koniec lat osiemdziesiątych w sklepach nie można było dostać praktycznie niczego, więc jeśli chciał mieć dobre głośniki, musiał je zrobić sam. Zapisał się więc do klubu technika w Poznaniu i zaczął raz w tygodniu jeździć na zajęcia. Tam poznał ludzi podobnie jak on zainteresowanych sprzętem nagłaśniającym i dzięki tym kontaktom udało mu się zmontować wzmacniacz,



kolumny i połączone z nagłośnieniem kolorowe lampy. Był więc gotowy do pracy. Akurat wtedy zlikwidowano w Opalenicy kino Orzeł, a w pustej sali tworzyła się dyskoteka o wdzięcznej nazwie Discoland. Szukali tam kogoś, kto zrobi im profesjonalne imprezy. Początkowo miała to być jedna dyskoteka w tygodniu, ale szybko okazało się, że zapotrzebowanie jest dużo większe. Trzeba więc było zwiększyć częstotliwość imprez, bo nie tylko młodzież chciała się bawić. Także dla starszych organizowano tu imprezy taneczne z nieco spokojniejszą muzyką.

Jednocześnie ze sławą muzyczną rozchodziła się po okolicy wieść o niezwykłych umiejętnościach Wiśni w kwestiach grającej elektroniki. A tej napływało do Polski z Zachodu coraz więcej. Wkrótce prócz organizacji dyskotek zaczął zajmować się też handlem. Kupował od przemytników, którzy nie mieli czasu ani chęci na sprzedaż detaliczną, przywożone z Berlina głośniki, gramofony i magnetofony i sprzedawał ten sprzęt okolicznym miłośnikom czystych dźwięków, znacznie podbijając cenę. Nic więc dziwnego, że to właśnie do niego trafili dwaj faceci, którzy mieli do sprzedania prawie dwieście radiomagnetofonów samochodowych marki Sonyx. Wszystkie były nowe i oryginalnie zapakowane. Wiśnia od razu dostrzegł okazję i wziął wszystko, jak leci, po dwadzieścia marek za sztukę, wkładając w ten biznes wszystkie swoje oszczędności. Dobrze wiedział, że sprzeda te radyjka w hurcie przynajmniej za dwa razy tyle, a jeśli poświęci trochę czasu, to w detalu wyciągnie znacznie więcej. Postanowił, że spróbuje pohandlować na Łazarzu i zobaczy, co z tego wyjdzie. Dziś zabrał ze sobą trzydzieści sztuk i pojechał do Poznania.

Gdy zjadł bułkę i napił się piwa, z papierosem w zębach ruszył między stragany, by znaleźć odpowiednie miejsce do wyeksponowania swojego towaru. Po kilku minutach przemierzania targowych alejek w końcu stanął obok stoiska z niemieckimi robotami kuchennymi, młynkami i maszynkami do mięsa. Oceniał, że towar wprawdzie elektryczny, ale zupełnie inny asortyment, więc handlarzowi o dziobatej twarzy nie wejdzie w szkodę. Postawił więc na ziemi torbę w czerwono-żółte pasy i wyciągnął kartonik z radiem. Ten dziobaty od razu się zainteresował.

– Co tam masz, gościu, w tym pudełku? – zapytał handlarz, robiąc przy tym groźną minę.

– Nic taaa... kiego, radyjko samochodooo... we.

– Radyjko, powiadasz?

– Nooo.

– A nie masz tam jakiegoś blendera?

– Blee... ndera? – zdziwił się Wiśnia. – A co to jest „blendera”?

– Łe, za dużo by gadać. – Handlarz machnął ręką. – A czemu nie idziesz tam, do pierwszej rajki, gdzie sprzedają radyjka?

– Tam myślą, że sprzedaaa... ją dobry sprzęt, a sprzedaaa... ją szajs, no to by mnie z moimi radyjkaaa... mi zaraz pognali.

– Aha. No i racja. Tam nie dadzą se wew kaszę nadmuchać. A ty masz niby sprzęt dobry?

– Naaa... jlepszy.

– A skąd?

– No jak skąd? Z Berlina.

– He, he, a w Berlinie to niby szajsu nie sprzedają? Sam jeżdżę do Berlina i kupuję swoje sprzęty, i wiem, że trzeba wiedzieć, gdzie kupować. Na ten przykład, jak się kupuje od Turasa, to wiadomo, że taki Turas człowiekowi będzie chciał opchać zwykły szajs, co się zaraz po jednym użyciu rozleci. Dlatego ja kupuję tylko u Serba. On ma dobry towar i ja wiem, że jak ode mnie klient kupi, to nie przyleci za tydzień z ryjem, że mu się coś przepaliło czy popękało. A młynki do kawy to mam takie dobre, że można by było mieć w nich kamienie.

– Kaaa... mienie? A po co mieć kaaa... mienie?

– Tak się tylko mówi, żeby, no wiesz, wrażenie zrobić, jak klient przyjdzie.

Wiśnia pokiwał głową i spojrzał na stoisko dziobatego. Ale przy jego wystawce sprzętu kuchennego nie było ludzi. Widać dziś nie był dobry dzień na kupowanie robotów.

– Ja się na Aaa... GD nie znam, ale widzę, że pan ma chyba dooo... bry towar – pochwalił sprzedawcę, tak na wszelki wypadek, bo w końcu mógł tu spędzić jeszcze kilka godzin, więc lepiej było mieć z kimś takim dobre stosunki.

– No przecież widać, że najlepszy na świecie. Popatrz się na te marki, proszę bardzo, Clatronix, Busch, Whirplex. To same światowe firmy. Najlepsze na rynku.

– Wiaaa... domo. Moje też pierwsza klasa – pochwalił się Wiśnia.

– Sonyx – przeczytał dziobaty. – Dobra firma. Chyba japońska. W peweksie są takie telewizory, że nie trzeba kręcić pokrętłem, żeby zgłośnić, tylko wystarczy takim lotnikiem z daleka, że się człowiek nie musi ruszać z tapczana i se tak leży...

– Pilotem – poprawił go Wiśnia.

– Co? – Handlarz nie zrozumiał, o co chodzi.

– Po ile to radyjko? – przerwał tę konwersację jakiś niezbyt wysoki brodacz w zielonej koszuli, brązowych spodniach i dżinsowej marynarce. Pod pachą trzymał niewielką, za to solidnie wypchaną skórzaną saszetkę. Na oczach miał ciemne okulary w złotych oprawkach, takie jak piloci z filmu *Top Gun*.

– Szeee... śćdziesiąt marek albo trzydzieeee... ści dolców – rzucił Wiśnia.

– A co to, peweks, że se w walucie liczysz?

– Towar z Niemiec przywieziony bezpośrednio, to podaję w markach. A złotówki też mogą być, ale wolę w markach od razu, bo i tak za chwilę się zaaa... granicę pojeee... dzie na zakup. Szkooo... da czaaa... su na chodzenie po kaaa... ntorach i wymianę kaaa... sy.

– A dobry to sprzęt? – pytał dalej facet podobny do pilota amerykańskiego myśliwca.

– Naaa... jlepszy – pochwalił się Wiśnia.

– A ile masz sztuk do pogonienia?

– A ile trzeba?

– Może trzeba ze sto, a może i więcej? Ale wszystko musi być nowe i nieużywane, bez żadnej ściemy.

– Ile trzeba, tyle się znajdzie – wyjaśnił chętnie sprzedawca.

– Jak spuścisz do pięćdziesiąt marów za sztukę...

– Czterdzieści za sztukę to nawet mogę, jak pan weźmie całą partię.

– A cała partia to ile niby?

– Dwieeee... ścię...

Facet zdjął okulary, wyciągnął z kieszeni spodni kraciatą chusteczkę i zaczął nią przecierać szkła. Widać potrzebował nieco czasu na zebranie myśli.

– A ten towar to masz w Poznaniu?

Chłopak pokręcił głową.

– Mieszkam w Opalenicy – wyjaśnił. – Wszystko mam w domu, zaaa... pakowane, nieee... ruszane, i w ogóle... – Top Gun założył okulary, a potem sięgnął do saszetki, wydobyl z niej kilka banknotów i zaraz podał je sprzedawcy. – To jest pięćdziesiąt maaa... rek. Za sztukę jest szeee... śćdziesiąt.

– Jak radyjko będzie chodzić i wszystko będzie spoko, to jutro przyjedziemy po resztę. Zapisz mi adres na pudełku.

Wiśnia spojrział na swoje odbicie w lustrzanych szklach okularów lotniczych, a potem odwrócił się do dziobatego sprzedawcy, który z zainteresowaniem przysłuchiwał się transakcji.

– Ma pan długopis?

Ten podał mu go niemal natychmiast. Wiśnia wpisał adres. Jeśli gość nie robił go w konia, to jutro zrobi interes życia. A jeśli wszystko się uda, będzie mógł kupić doskonały wzmacniacz firmy Sony. Bo Wiśnia jako człowiek zajmujący się techniką nagłośnieniową doskonale wiedział, że te wszystkie sonyxy to zwykłe podróby. Prawdziwy firmowy sprzęt musiał kosztować znacznie więcej, ale wart był swojej ceny. Czuł, że tym razem obstawił dobrą kartę i musi wygrać, tak jak kiedyś wygrywał na podwórku w wojnę. Przecież zawsze miał farta.

## **Godzina 12.00**

– Mirek, przepraszam, ale Fred powiedział, że masz iść do domu.

Brodziak spojrział na Blaszkowskiego z niedowierzaniem.

– Co ty pierdolisz, Blacha?

– No dzwonił przed chwilą i powiedział... Zresztą co ja ci będę mówił. Przecież lepiej ode mnie znasz procedury.

Mirek skinął głową. Znał procedury doskonale i wiedział, że w wypadku bliskich powiązań funkcjonariusza i osoby, której dotyczyło śledztwo, funkcjonariusz powinien natychmiast oddać się do dyspozycji swojego bezpośredniego szefa. W wydziale pracował od osiemdziesiątego pierwszego, czyli już prawie dziesięć lat. Więc te wyjaśnienia były zupełnie niepotrzebne.

– Tak, Blacha, ja wiem – przyznał Brodziak, chodząc w kółko po salonie. Jego najważniejszym meblem była kanapa z czarnej skóry i dwa wygodne fotele do kompletu. Między nimi stała ława o srebrnych nogach i szklanym,

zielonkawo połyskującym blacie. Na jednym z tych foteli siedział właściciel kanapy, ławy i obrazu wiszącego na ścianie, oprawionego w złote ramy, a przedstawiającego ułana na rozpedzonym rumaku, siekącego szablą uciekającego i zasłaniającego się przed ciosem bolszewika. Prawa ręka gospodarza była zawinięta bandażem, tak jakby przed chwilą dosięgła go ta ułańska szabla. Prócz tego miał jeszcze kilka skaleczeń na twarzy, które zostały zalepione plastrami. – Ale dobrze wiesz, że Rychu to mój kupel. I ja teraz mam go zostawić samego? Przecież widzisz, jak on wygląda.

– No widzę. – Mariusz pokiwał głową. Grubiński rzeczywiście nie prezentował się najlepiej. Ale wcale nie chodziło o te rany spowodowane odłamkami szkła z kuchennej szyby. Brodziak miał na myśli stan psychiczny przyjaciela. Ten wyglądał tak, jakby wpadł w katatonię utrwalaną potokami whisky, którą wlewał w siebie w milczeniu. Właśnie otworzył kolejną flaszkę czarnego johnniego walkera i nalał do kryształowej szklanki, wypełniając ją do połowy. – Dobra, zostań tu z nim i spróbuj go powstrzymać przed utopieniem się w gorzole. Przydałby się nam trzeźwy.

– Marne szanse – ocenił fachowo stan przyjaciela Mirek. Znał go doskonale, bo obaj wychowali się na tym samym podwórku kamienicy przy ulicy Woźnej na Starym Mieście, dlatego wiedział, że Grubiński w sytuacjach kryzysowych od razu rzuca się do walki, nie czekając na ruch przeciwnika. Tym razem było inaczej, bo Rychu, zupełnie jak nie on, popadł w rozpacz i wyglądał, jakby się poddał. Brodziak nie wiedział jednak, że zanim na miejscu pojawiła się policja i straż pożarna, Grubiński zdążył już wykonać kilka telefonów. Ten najważniejszy był do właściciela firmy ochroniarskiej i byłego komandosa z Czerwonych Beretów.

– Mówi Rychu Grubiński – rzucił do słuchawki, a po drugiej stronie odpowiedział mu zdecydowany głos:

- Dzień dobry, Braun, do usług. W czym mogę pomóc?
- Mam pewien kłopot – wyjaśnił.
- Kłopoty to moja specjalność – stwierdził mężczyzna.
- Wiem, dlatego dzwonię.
- Dziękuję za zaufanie, panie prezesie.
- Na zaufanie trzeba sobie zasłużyć.
- Jak w takim razie mogę to zrobić?

– Wystarczy mi odpowiedź na pytanie, kto dziś rano wysadził w powietrze mój samochód pod moim domem.

– O... – W głosie rozmówcy słyhać było nutkę autentycznego zdumienia. – Cieszę się, że mimo wszystko pan żyje.

– Ja żyję. Nie żyje ktoś inny.

– Ktoś z rodziny?

– Nie... – Tu zawahał się na moment, jakby szukał odpowiedniego określenia. – Więcej niż z rodziny.

– Rozumiem. Kiedy możemy się spotkać?

– Jak będę trzeźwy – stwierdził Grubiński, nalewając sobie pierwszą szklanekę alkoholu. Wiedział, że dzisiaj wypije ich jeszcze kilkanaście. – Wieczorem – dodał, oceniając jeszcze na trzeźwo szansę dojścia do ładu z własnymi myślami, które niedługo zaczną krążyć gdzieś ponad nim w całkowitym oderwaniu od coraz bardziej ciężkiego i pozbawionego sił ciała.

– Będę wieczorem – powiedział mężczyzna.

– Dobrze – stwierdził Grubiński i już chciał odłożyć słuchawkę, ale coś go naraz powstrzymało. – Znajdzie ich pan? – zapytał głosem, w którym dało się słyszeć pewną nutę wahania.

– Nie ma takich ludzi, których nie da się odnaleźć. Razem ich znajdziemy.

– Cieszę się – stwierdził i tym razem położył słuchawkę na widełki. Nie musiał nic więcej robić, bo wiedział, że gończy pies został spuszczonej ze smyczy i wróci wkrótce z zakrwawionym ciałem w pysku. A on mógł teraz spokojnie się napić, czekając na policję.

– No dobra – rzucił z rezygnacją Blaszkowski. Brodziak był uparty, a przy tym z Rychem wiązała go wieloletnia przyjaźń, więc Mariusz obawiał się, że Mirek łatwo nie ustąpi. Nie było więc o co kruszyć kopii. Niech tu zostanie, byleby nie przeszkadzał. Może będzie najlepiej, jeśli upije się z Grubińskim, a on będzie miał spokój. – Nie ruszajcie się stąd i z nikim nie rozmawiajcie. Nie ma na razie oficjalnego przesłuchania świadka ze względu na jego niezbyt dobry stan psychiczny. Porozmawiam z panem Grubińskim jutro, gdy przyjdzie do siebie.

– Dzięki, Blacha. – Brodziak pokiwał głową z uznaniem, po czym usiadł na kanapie. Rychu sięgnął po drugą szklanekę, która stała na niewielkim stolczku za fotelem. Tam miał przygotowaną całą baterię butelek z alkoholem. Nalał

whisky i bez słowa podsunął Brodziakowi. Ten stuknął szkłem w brzeg jego szklanki i wypił, nic nie mówiąc. Mariusz, widząc to, pomyślał, że ci dwaj właściwie nie muszą ze sobą wcale rozmawiać, żeby się zrozumieć. Niekiedy zresztą słowa były zupełnie niepotrzebne. Być może cisza w takiej sytuacji mówiła więcej niż to wszystko, co można by było powiedzieć na głos.

Zostawił ich i poszedł do kuchni. Technicy policyjni obfotografowali już całe pomieszczenie, a teraz jeden z nich robił zdjęcia zniszczonego auta na podjeździe. Na podłodze i na ścianie wszędzie widać było krwawe smugi. Grubiński musiał porządnie krwawić. Liczba ran na jego ciele wskazywała, że rzeczywiście stał na drodze fali uderzeniowej, która wepchnęła do środka szybę, a jej odłamki dotkliwie go pokaleczyły. To przemawiało na jego korzyść. Bo Mariusz musiał rozważyć wszystkie hipotezy, zaczynając od tej, że to Rychu sam, czy przy pomocy zaufanych ludzi, podłożył ładunek pod własne auto. Brodziak od razu odrzuciłby taką możliwość i skupił się na poszukiwaniu morderców w gronie tych, którzy nie życzyli Grubińskiemu najlepiej. I właśnie dlatego Marcinkowski postanowił odsunąć go od śledztwa. Ale jako zewnętrzny obserwator, przyjaźniący się z Rychem, mógł też się przydać. Kto wie, czy nawet nie bardziej, niż gdyby był oficjalnie zaangażowany w śledztwo.

– I jak? – zapytał Mariusz starszego chorążego Stefana Urbańskiego, który odłożył swojego pentaxa na stół i sięgnął do torby w poszukiwaniu nowej kliszy. Po chwili wyciągnął na wierzch tuleję z błoną fotograficzną, zerwał z niej czerwony na zewnątrz, a od środka czarny, światłoszczelny papier i szybko włożył kliszę do aparatu.

– A jak ma być?

– A jak jest na twoje oko? – Mariusz nie chciał niczego sugerować koledze.

– Na moje jest tak, że facet powiedział prawdę. Ta flaszka – wskazał na butelkę po piwie uwalaną srebrnym proszkiem do zdejmowania odcisków palców – ma lekki ubytek na dolnej krawędzi, a drugi na samym czubku szyjki. A to może oznaczać, że jest tak, jak ten gość mówi, czyli że rzucił butelką w szybę, ta w nią uderzyła, lekko się ukruszyła, odbiła się i spadła na podłogę...

– Nie rozbiła się.

– Jeśli upadła na krawędź szyjki, to nie musiała. Ta górna część jest najbardziej twardym elementem butelki. Uderzyła o podłogowy kafelek i się tam ukruszyła. Nie ma takiej możliwości, żeby oba ukruszenia powstały od

upadku na podłogę. Więc uważam, że on rzeczywiście pierdolnął tą flaszką w szybę, bo chciał ją wybić, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Za słabo rzucił? – domyślił się Mariusz. Technik pokręcił głową.

– Pusta flaszką.

– Co?

– Była za lekka. Gdyby nie wychłał piwa, miałby większe szanse.

– Czyli że zginęła przez alkohol – stwierdził Mariusz. Technik lekko uśmiechnął się pod wąsem.

– Nie ona pierwsza i nie ostatnia – dodał chorąży. – A facet rzeczywiście stał w polu rażenia, co widać po tym, jak fragmenty szyby rozłożyły się wokoło. Ten pas – tu wskazał na przestrzeń pomiędzy oknem a ścianą – jest prawie pusty, to znaczy walają się na nim drobiny, które odpadły od odłamków i poleciały na boki, a potem się roztrzaskały. Nie ma tu jednak większych fragmentów, bo te facet przyjął na siebie. Całe jego szczęście, że był ubrany w gruby szlafrok z froty, bo to on przejął większość odłamków. Jest nieźle podziurawiony, a pod każdą dziurą jest krwawy ślad. Czyli szkło przeszło przez materiał, ale straciło już impet i gość nie został poważnie uszkodzony, poza ręką. Kilka odłamków ominęło go i uderzyło w ścianę za nim. – Wskazał na miejsca, w których odprysnęła farba, ukazując szary tynk. – Miał, pierdolony, szczęście.

– Czyli jest poszkodowanym, a nie sprawcą – stwierdził zadowolony Mariusz. Jeśli tak było w istocie, Brodziak odetchnie z ulgą. No i jemu też będzie łatwiej skupić się na poszukiwaniach konkretnych ludzi, którzy podłożyli bombę pod auto. A te poszukiwania mogą się skończyć dość szybko, jeśli Rychu... No właśnie, czy on w ogóle będzie chciał współpracować? Przecież w jego świecie porachunki załatwia się samodzielnie. No ale niech tym się martwi już Brodziak, który powinien go namówić do współdziałania. Bo Mariusz miał wrażenie, że poraniony Grubiński dobrze wie, kto podłożył mu bombę do samochodu.

Zszedł na pierwszą kondygnację. W drzwiach prowadzących na podwórko kończące się podjazdem, na którym można było śmiało zaparkować pięć aut, natknął się na Mazurka.

– No i jak tam wygląda sytuacja? – zapytał podoficera.

– Ci z miejskiej już odpuścili, to znaczy nawet nie zaczęli niczego robić, bo wiedzieli, że jak jest taka gruba sprawa, to będzie ktoś z wojewódzkiej



proceedził. Podporucznik śledczy, co przyjechał z techniką, rozpuścił chłopaków po okolicznych domach, żeby zebrali informacje, ale mówi, że tu raczej nikt niczego nie słyszy. To taka spokojna dzielnica, gdzie ludzie patrzą tylko na czubek swojego nosa i uważają, żeby czasem nie wetknąć go sąsiadowi za głęboko.

– Olkiewicz przyjechał?

– Pan Teofil był, popatrzył na wrak i se gdzieś poszedł, to znaczy, że nie ma po nim śladu.

– I dobrze. – Mariusz lubił Olkiewicza jako sympatycznego człowieka, trochę marudę i starą pierdołę, natomiast co do jego śledczych umiejętności miał zawsze duże zastrzeżenia. W zasadzie uważał, że Teoś nie ma żadnych predyspozycji do prowadzenia jakiegokolwiek śledztwa, a jego sukcesy są jak dobry scenariusz komedii omyłek, w której główny bohater zawsze wychodzi cało z każdej, najtrudniejszej nawet sytuacji. Dlatego był zadowolony, że Olkiewicz zniknął, bo przynajmniej nie będzie mu teraz zawracał głowy... – Co to jest? – Wskazał ręką na coś dziwnego, co dostrzegł na ścianie willi stojącej po drugiej stronie ulicy. Mazurek popatrzył tam, gdzie wskazywał oficer.

– Jakiś bezpiecznik czy jak. Może taki porcelanowy jak od linii telefonicznej – ocenił sierżant, przykładając rękę do czoła i robiąc sobie tym samym daszek chroniący go przed promieniami słonecznymi.

– Na liniach telefonicznych są porcelanowe izolatory – stwierdził Mariusz.

– No to niech se będzie izolator...

– One są białe, a nie czarne.

– A co za różnica?

– Taka, panie sierżancie szanowny, że ja bym poprosił, żeby pan sprawdził, bo coś mi się wydaje, że to jest kamera.

– Co?

– Kamera. Widziałem taką na Targach Poznańskich.

– Po co komu kamera na ścianie?

– Żeby robić filmy. Od tego są przecież kamery, nie?

– A po co komu film z podwórka?

– Nigdy nie wiadomo, kiedy taki film może się przydać. – Uśmiechnięty od ucha do ucha Blaszkowski klepnął Mazurka w ramię. Ten pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że właśnie nadciąga koniec świata, bo ludzie kompletnie

powariowali i zamiast instalować kamery w sypialniach, zaczynają filmować srające pod płotem koty.

– Ja pierdolę – rzucił jeszcze na odchodnym podoficer i ruszył do domu naprzeciwno. – Kamery wymyślili. Jeszcze może będą kręcić film o Columbo albo jakimś Borewiczu... He, he... kryminał w Poznaniu... dobre. Nigdy w życiu!

## **Opalenica**

### **Godzina 12.20**

Pokój na posterunku policji w Opalenicy nie różnił się niczym od tysięcy podobnych we wszystkich policyjnych posterunkach kraju. Kilka biurka zawalonych papierami, szafa z zamkiem, do którego klucz zginął dziesięć lat temu, ściany pomalowane na szary kolor, ozdobione zgniłozieloną lamperią z olejnicy, i podłoga wyłożona wytartym do granic możliwości linoleum. Tę mizериę i służbową bylejakość uzupełniał aromat tytoniowego smrodu, który przez dziesiątki lat wgryzał się codziennie, systematycznie i z wytrwałością godną pasożytniczego organizmu w każdy, najdrobniejszy element tego pomieszczenia.

Siedzący za odrapanym biurkiem chorąży sztabowy Bogusław Smolarek spojrział na akta sprawy wypadku drogowego sprzed dwóch tygodni i uśmiechnął się pod sumiastym i mocno zrudziałym od nikotynowego dymu wąsem. Lubił takie oczywiste oczywistości. Wszystko tu się składało do kupy i dlatego za chwilę będzie można zamknąć dochodzenie. Nawet ta młoda prokurator Bocian, ta marudna, wścibska i przemądrzała baba, nie da rady.

– Nic ta cholera jedna nie poradzi wobec niepodważalnych dowodów dowodzących, że nic się nie stało.

– Co? – zapytał wyrwany z zadumy kapral Wiktor Wicher, który siedząc na wprost okna, udawał, że pilnie obserwuje ulicę Zamkową i widoczne w oddali drzewa parku, gdzie stał pomnik poświęcony bohaterom poległym za wolność. Wicher przypominał sobie właśnie, jak kilka lat temu pod tym pomnikiem pełnił wartę honorową w harcerskim mundurze. To było tak niedawno, a dziś miał na sobie zupełnie inny mundur. Choć dziś tak jak wtedy, podczas tej warty, chciało mu się spać.

Próbował się zdrzemnąć, bo wziął nocny dyżur za Zawiślaka, który miał urodziny żony i ktoś musiał go zastąpić. Wicher był najmłodszy, więc nie mógł

za bardzo odmówić starszemu koledze, dlatego wziął tę nockę, mimo że po niej miał swoją normalną służbę. Teraz był wykończony i marzył tylko o tym, żeby gdzieś się przekimnąć, ale wiedział, że raczej marne są na to szanse, więc wykorzystywał każdy moment, żeby złapać odrobinę snu. No i właśnie gdy był już na skraju jawy i letargu, odezwał się do niego jego bezpośredni szef Smolarek:

– Ty teraz nie śpij, ino się ucz – rzucił zadowolony chorąży.

– Że jak? – Wicher popatrzył nieprzytomnym wzrokiem przez okno. Pogoda była ładna, wrześniowa, i jak tak dalej pójdzie, to niedługo będzie można wybrać się na grzyby, przypomniało mu się naraz, co mówił mu wczoraj tata. Bo tata nade wszystko lubił grzyby i cały rok czekał na jesień, żeby pójść do lasu. On też lubił te spacerunki po lesie pachnącym żywicą i ściętym drewnem i zbieranie wilgotnych od rosy grzybów. A w lasach wokół Opalenicy grzybów było sporo. Zdarzały się takie lata, że można było je ciąć kosą, bo nie nadążało się ładować do koszyka...

– W zeszłym roku to my nazbierali – zgodził się z ojcem kapral Wicher.

– Co my nazbierali? – zdziwił się chorąży.

– Jak to co? – odpowiedział kapral, trochę wygłupiony, że ojciec nie pamięta, ile było tych grzybów.

– No jak myślisz o tym wypadku z TIR-em, co jemu wypadły te flaszki piwa, to nie powiem, że trochę się tych flaszek przywiozło do domu. Prawda, że cała komenda nazbierała tyle, że wiaruchna piła tego lecha eksportowego przez całe lato. U mnie w piwnicy to chyba ze dwieście flaszek było. A ty żeś ile nazbierał?

– Co? – Wicher, który cały czas był na grzybobraniu, ocknął się na chwilę.

– Pytam, ile żeś ty nazbierał w zeszłym roku.

– Wtedy to ja trzy koszyki. A tata to lepiej zbierał, bo on chyba aż cztery kosze, i musieli my do bagażnika luzem wrzucać, bo nie było jak zabrać.

– No proszę, to żeście razem zbierali. I słusznie, bo i tak cały transport na straty poszedł. Nic się nie mogło zmarnować.

– Nic się nie zmarnowało. Mama ususzyła, ale większość w słoikach do piwnicy zanesione i...

– No widzisz, takie dni bywają, że się człowiek nieźle obłowi, a sprawa jest oczywista i nie trzeba nic robić, bo sama się zamyka. Wtedy kierowca od tej

ciężarówka był pijany i od razu dostał sankcję za katastrofę w ruchu lądowym, a sąd wlepił mu dwa lata. I my się nic a nic nie narobili. A ile jeszcze my piwa wypili, to nasze i nikt nam nie odbierze. A stary prokurator Strugała to sam jeszcze namawiał, żeby brać i nie gadać, bo jak nie weźmiemy my, to miejscowe szuszwale[11] wszystko wypiją. To jak nie brać, jak samo dobro w łapy włązi. Ale z tą młodą gówniarą to człowiek się normalnie nie dogada. Ambitna cholera, chce się chyba wybić i polecieć w górę jak ten Ikar. Ale my jej tu pokażemy, jak się u nas w Opalenicy sprawy załatwia, co nie, młody?

– No – mruknął Wicher, który właśnie wyszedł z lasu i zamierzał założyć na plecy skrzydła, żeby trochę polatać, bo rzadko miał okazję oglądać okolicę z lotu ptaka, a właściwie Ikara, więc jak się nadarza okazja, to dlaczego by nie...

– Zaraz jak tu przyjdzie, się wyjaśni jej wszystko po kolei, jak chłop krowie na rowie, i wybije jej wszystkie te ostre zęby wampirzycy, a ona padnie bezradnie na biurko i powie, że niestety moje doświadczenie i wiedza operacyjna musi wygrać z niedoświadczeniem i no... normalnym brakiem wyrobienia. Bo tak naprawdę to ja do tych młodych i ambitnych nic nie mam. Byleby tylko byli bardziej pokorni i chcieli czerpać z doświadczeń starszych. Gdyby tylko chciała, mógłbym jej niejedno opowiedzieć o swoich śledztwach zakończonych umorzeniem z braku dowodów popełnienia przestępstwa. Bo gdy sprawa jest oczywista, nie warto grzebać, bo się człowiek do niczego nie dogrzebie. A wątpliwości trzeba wyjaśniać na korzyść poszkodowanego, czyli tutaj denata, żeby takiemu truposzowi, co zginął w wypadku, dać już spokój i nie grzebać, bo jeszcze się coś niepotrzebnie wygrzebie. A tak i milicja nie ma problemu, znaczy w chwili obecnej policja, a także rodzina, która nieboszczyka chowa w ciemnym grobie i raczej nie myśli o tym, by jego odkopywać. Bo kto by chciał, żeby jego bliskim spokój naruszać. Ty byś chciał?

– Co? – Wicher niczego nie chciał, jak tylko lecieć dalej, a tu go jakiś głos zaczynał ciągnąć ku ziemi. Gadać nie chciał, bo gadanie z lecącym powinno być zakazane, tak jak to jest w przypadku kierowców autobusów, o czym przecież informują tabliczki, że rozmowa podczas jazdy jest wzbroniona...

– I dlatego taka Bocian musi ludzkie uczucia szanować, a nie na trupach robić karierę, bo nie doleci. Jak ten Ikar pierdolnie głową w mur, bo głową muru nie przebijesz...

Naraz rozległo się pukanie do drzwi, a Wicher poczuł, jak spada i głową zaraz uderzy w mur. Ale chwileczkę, jaki mur? Czemu miałby przebijać głową mur. Ikar spadł przecież do morza, prosto do wody na łeb, jak w tym obrazie, co był w podręczniku do polskiego.

– Gdzie jest ta woda? – zawołał, przestraszony, ale wody nie było. Muru też nie było, tylko cztery ściany pomalowane na szaro, a być może kiedyś na biało, i pięć biurków zawalonych aktami oraz różnymi papierami, których przeznaczenia nikt nie potrafiłby odgadnąć, bo składowane były tu przez całe lata.

– A to, pani prokurator, jest nasz młody kolega. – Smolarek wskazał na Wichra, który rozglądał się zdziwiony, jakby właśnie wylądował na obcej planecie. – Młody jest i jeszcze niedoświadczony, choć muszę przyznać, że się szybko uczy, bo słucha starszych kolegów i czerpie z naszych doświadczeń. A jest z czego czerpać, trzeba tylko uważnie słuchać i umieć wyciągać wnioski.

– Nie traćmy czasu na jakieś niepotrzebne wstępy, panie chorąży. Mam najwyżej pięć minut, żeby mnie pan przekonał do swoich racji. Proszę bardzo, jestem otwarta na konfrontację doświadczenia i młodości.

Usiadła przy biurku Smolarka. Ten przysunął do siebie teczkę sprawy rozbitego passata, otworzył ją i zajrzał do środka, udając, że czegoś szuka. Niczego nie szukał, bo wiedział dobrze, co w niej jest, a właściwie czego tam nie ma. Nic w niej nie było, bo i co niby miało być, jak nic w tej sprawie się nie wydarzyło i wydarzyć się nie mogło, a ta cholera chciała chyba, żeby z tego zrobić międzynarodową aferę, najlepiej jeszcze związaną z walką wywiadów. Musiał jej wykazać, że nie ma się do czego doczepić i trzeba zamykać dochodzenie, bo nic się na nim nie ugra.

Spojrzał na młodą prokuratorkę, która pracowała w Opalenicy od roku i nie miała na swoim koncie jeszcze żadnego spektakularnego sukcesu śledczego, więc łaknęła go jak kania dżdżu. Blondynka o niebieskich oczach wydawała się nawet całkiem ładna jak na prokuratora, a różowa szminka uwydatniała harmonijny wykrój jej ust. Nie używała cieni, a malowała się tylko czarną kredką, podkreślając kształt oczu. Policzki zaróżowiła odrobiną pudru, nadając im nieco brzoskwiniowego koloru. Ten bardzo skromny makijaż zdecydowanie dodawał jej uroku, pomyślał Smolarek i nawet zdziwił się, że zamiast dać jej obuchem w łeb, zastanawia się nad jej urodą.

Bocian wyciągnęła z torebki papierosa i podpaliła go nie modną jednorazową zapalniczką, ale solidną starą benzynówką. To też mu się

spodobało. Z gracją odgarnęła kosmyk jasnych, prostych włosów, spiętych na karku w kitkę...

– Długo będzie mi się pan przyglądał? Możemy już zacząć?

– He, he, tak tylko patrzę, bo mi pani przypomina moją córkę. Ona też młoda jeszcze i nie zna życia...

– Do rzeczy, panie chorąży.

– No więc do rzeczy. W sprawie mamy kilka punktów stałych, jak pani to była uprzejma stwierdzić w ubiegłym tygodniu, co do których się zgadzamy, i kilka zmiennych, co do których istnieje pewna różnica poglądów, którą, mam nadzieję, wyjaśnimy wspólnie.

– *Ad rem.*

– Co? A, łacina. Do ad remu znaczy. A więc dwie osoby nie żyją. Zginęły w wypadku samochodowym, który wydarzył się niedaleko Opalenicy, na trasie pomiędzy Opalenicą a Grodziskiem Wielkopolskim...

– Nie traćmy czasu na oczywistości – weszła mu w słowo.

– Tak, jasne. No więc doświadczenie uczy nas, że jeśli nie ma śladów zderzenia z innymi autami, a droga była pusta i jeszcze do tego nie ma śladów hamowania, a tych nie stwierdzono, to raczej mamy do czynienia z zaślnięciem bądź zasłabnięciem osoby kierującej pojazdem. W związku z tym winna wypadku jest osoba kierująca. W tym przypadku osoba nieżyjąca.

– To wszystko wiemy, panie chorąży. Ma pan coś nowego?

– Ha, no właśnie nie mamy nic nowego i mieć raczej nie będziemy. I dlatego chciałem wnioskować o umorzenie, bo nie ma co naruszać spokoju umarłych, i w ogóle po co jeszcze się w tym grzebać, jak wiemy, kto jest winny i w ogóle, że to był wypadek i że nic takiego tu nie zachodzi, co by kazało nam się w tym jeszcze paprać, bo jak wypadek, to...

Kobieta pokręciła głową, a na jej twarzy pojawił się grymas zniecierpliwienia.

– I po to mnie pan do siebie zaprosił?

– Nie inaczej.

– Żeby powiedzieć, że nic pan nie ma i nic nie będzie miał?

– O to właśnie chodzi. Widzę, że pani zaczyna słusznie rozumować. Trzeba korzystać z doświadczenia starszych i bardziej doświadczonych, bo...

– Panie Smolarek, ja mam pełny szacunek do pana doświadczenia – przerwała mu ten wywód.

– Hmm – mruknął z zadowolenia, pewny, że już ją złapał za ucho i za chwilę wytarł ją jak niegrzeczną dziewczynkę, po czym sprowadził na ziemię. – Nie ma nic złego we wzorowaniu się na starszych. Starsi mogą wiele nauczyć młodych...

– Panie Smolarek, proszę odpowiedzieć na następujące pytania. Może być krótko: tak lub nie. Jeśli odpowiedzi mnie usatysfakcjonują, umarzam sprawę. Tak czy nie?

– Tak.

– Czy w takim razie odnalazł pan dwie osoby widziane przy aucie, które podawały się za przedstawicieli SB, a być może UOP?

– No... nie, bo w UOP-ie nic nie wiedzą o nich.

– Czyli nie?

– Nie, właśnie że nie, ale...

– Wypadek zgłosił jakiś niemiecki kierowca TIR-a. Czy przesłuchał pan tego kierowcę w sprawie tych dwóch mężczyzn widzianych przez niego na miejscu wypadku?

– No nie, bo ich nie odnaleziono. A ten kierowca to przecież mieszka w Niemczech, znaczy się w Berlinie. Co ja miałem jechać do Berlina?

– Tak czy nie?

– Nie.

– Czy ustalił pan, co ci dwaj przynosili z rozbitego samochodu do swojego opła kadeta koloru pomarańczowego?

– No nie, bo nie gadaliśmy z tym kierowcą, bo on jest z Niemiec, z Berlina znaczy się.

– Czyli nie?

– Nie.

– Panie chorąży, bilans naszej rozmowy to trzy razy nie. Jeśli jej efektem będzie trzy razy tak, proszę mnie zawiadomić. Wcześniej nie ma pan co mnie zapraszać, bo o naszych stałych nie zamierzam dyskutować. Niech pan z naszych zmiennych uczyni stałe i wtedy możemy rozmawiać.

– To co, może mam jechać do Berlina?

– Jeśli o mnie chodzi, to może pan lecieć nawet na księżyc, byleby tylko sprawa została należycie wyjaśniona i znalazły się odpowiedzi na wszystkie pytania.

Zaciągnęła się po raz ostatni papierosem i zgasiła go w popielniczce na biurku. Odwróciła się i przemierzając pokój sprężystym krokiem, wyszła na zewnątrz.

– A to wiedźma jedna! – Zdenerwowany Smolarek usiadł ciężko za swoim biurkiem. Naraz przypomniał sobie o obecności Wichra. Spojrzał w prawo. Głowa kaprala pochylona była w dół, a podbródek opierał się o pierś. Wyglądał, jakby spał. – Wicher, śpisz, do cholery! – zawołał chorąży.

– Co? – Chłopak właśnie miękko wylądował na powierzchni wody.

– Słyszałeś?

– Co?

– Tą prokuratorkę.

– Jaką prokuratorkę?

– No jak jej powiedziałem, co myślę...

– Tak jest, ale nie słyszałem, bo akuratnie byłem zajęty...

Całe szczęście, że młody zasnął, pomyślał Smolarek, bo mógłby jeszcze wyciągnąć jakieś niewłaściwe wnioski. Ale nie słyszał, to i dobrze, bo w takim razie...

– Ty, Wicher, to znasz niemiecki?

– No niby trochę, bo się uczyłem w szkole.

– To dobrze, bo pojedziesz do Berlina.

– Ja, a czemu ja?

– Bo znasz niemiecki – wyjaśnił chorąży, wstając z krzesła. – Berlin to piękne miasto. Sam bym pojechał, ale lepiej, że wy, młodzi, coś tam zobaczycie w świecie, a my, starzy, to już wszystko widzieli i nam świat niezwykły.

Uśmiechnął się, zadowolony, do swoich myśli. Niech jedzie, niech zwiedza i niech przesłuchuje tego Niemca, żeby można było tej przemądrzałej babie rzucić prosto w pysk, że nie będzie Niemiec pluł nam w twarz, i wydusi się z niego wszystko, co trzeba, a nawet więcej. Niech się ta czepialska udławi.



## Poznań Godzina 12.30

Teofil Olkiewicz, ubrany w szarą marynarkę, opiętą na dość okazałym brzuchu, i do tego w mocno już znoszony kremowy płaszcz Burberry, ładnych kilka lat temu kupiony na Łazarzu od jakiegoś marynarza, z założonymi na plecach rękoma przemierzał spacerowym krokiem ulicę Za Cytadela, by wkrótce, przy najbliższym skrzyżowaniu, skręcić w prawo, ku przecznicy wiodącej wprost na Winogrody. A tam, według tego, co pamiętał, bo dość rzadko bywał w tej ekskluzywnej, willowej dzielnicy, był mały sklep spożywczy, gdzie można było kupić coś do picia. Bo Teofilowi chciało się pić, gdyż pora była taka, że nadszedł już najwyższy czas na zwilżenie gardła. Tym bardziej że jakiś czas temu, kiedy milicja stała się policją, usłyszał gdzieś, że za picie w robocie będą wyrzucać na zbity pysk. I dlatego natychmiast pozbył się wszystkich butelek schowanych w biurku. Później okazało się, że z tym niepiciem w robocie to lekka przesada i że takie głupie plotki rozpuszczają ludzie, którym zależy na szerzeniu niepokoju w szeregach policyjnych. Ale Teofil na wszelki wypadek postanowił być ostrożny i po alkohol sięgał raczej poza budynkiem komendy. Prawda, że utrudniało mu to życie, bo przyzwyczał się przez lata funkcjonowania w firmie do innego systemu, ale postanowił, że będzie twardy i nikomu, kto by chciał się do niego przyczepić, nie da pretekstu w postaci wody pitej w biurze.

Ptaszki w ogródkach modernistycznych willi świergotały i ćwierkały, ciesząc się pogodnym dniem. W którymś z domów ktoś włączył głośno radio i Sinéad O'Connor zaśpiewała, że *nothing compares to you*. Ale Teofil nie znał angielskiego i nie miał pojęcia, o czym śpiewa ta kobieta, wiedział natomiast, że to nie żaden śpiew, ale zwykłe wycie, bo dla niego cała ta nowoczesna muzyka bigbitowa to było jedno zwykłe wyjstwo. Dlatego ucieszył się, że minął trzęsący się od muzyki dom i znów wszedł w strefę południowej ciszy. Pomyślał, że przy tej letniej pogodzie przyjemnie jest sobie pospacerować, oczywiście jeśli spacer ma jakiś określony cel, bo jako człowiek czynu nie lubił łązić bez celu. Nie lubił się też przepracowywać. Dlatego gdy trzeba było wyjechać gdzieś w teren, żeby przyjrzeć się z bliska jakiejś sprawie, on natychmiast ruszał przed siebie, podążając tropem, który wskazywał mu jego własny nos. Dzisiaj ten jednak niczego nie wskazywał, bo Teofil nie czuł się zbyt dobrze. Nie, wcale chodziło o zdrowie, a co za tym idzie kondycję fizyczną. To dopisywało mu całkiem nieźle, bo od rana czuł się rześki i wypoczęty. Raczej odczuwał dolegliwości natury psychicznej, spowodowane

niepewnością co do swojego dalszego losu. Te zmiany, które zachodziły w kraju, sprawiały, że czuł się mało komfortowo. Nowa władza tworzyła sobie nową policję i tylko kwestią czasu było, kiedy zabiorą się za przetrząsanie teczek byłych milicjantów. A jego teczka musiała być całkiem pokaźna. Przecież przechodząc z SB do dochodzeniówki, musiał podpisać zobowiązanie do raportowania o sytuacji wewnątrz wydziału. Dlatego co kilka miesięcy pisał charakterystyki swoich kolegów. Był więc kimś w rodzaju tajnego współpracownika bezpieczeństwa albo, jak to ujął Mirek Brodziak, bezpieczniackim kablem pod kontrolą. Bo ten kabel nadawał to, co było wygodne dla obserwowanych. Podpisał, co mu kazali esbecy, i jeszcze tego samego dnia zameldował się u swojego nowego szefa Freda Marcinkowskiego.

– Ja względem tego, że mnie tu przenieśli z SB, to chciałem nadmienić, że za darmo mnie tu nie dali – zaczął tłumaczyć, siedząc na krześle naprzeciw zastępcy kierownika wydziału. Ten uśmiechnął się pod swoim równo przyciętym jasnym wąsem. Pracował w milicji od pięciu lat i znał doskonale panujące tu stosunki, więc wiedział, że ten człowiek, przysłany przez bezpieczeństwo w noc wprowadzenia stanu wojennego niby do pomocy, tak naprawdę ma im patrzeć na ręce. Wszyscy byli przekonani, że Olkiewicz po kilku tygodniach pracy w wydziale, gdy sytuacja się nieco uspokoi, wróci do siebie. Tymczasem okazało się, że w jakiś sposób załatwił sobie przydział na stałe, co było o tyle dziwne, że z SB raczej nie przechodziło się do milicji. Ścieżka kariery wiodła w odwrotnym kierunku. Więc gdy wszystkie sprawy formalne zostały już załatwione, Teofil Olkiewicz zgłosił się na rozmowę do Marcinkowskiego. – Bo ja niby to byłem normalnym szkielem. Po to poszedłem do roboty w milicji, żeby być na ulicy, blisko ludzi. I tak było od sześćdziesiątego czwartego roku. A potem mnie wysłali do szkoły w Pile, a po ukończeniu kursów zrobili dzielnicowym na Chwaliszewie, znaczy się u siebie. I jak tam się czułem, że naprawdę coś robię takiego, że się przydaję, bom tam znał wszystkich ludzi od najmniejszego szczone[12] aż do starego dziada. I na Chwaliszewie nikt się przede mną nie ukrył, żaden pener[13] nie dał mi rady, a wywijasów tom se tak poobkręcał wokół palca. No i jak ja już se robotę poukładał, tak że nic tylko robić swoje, to się pojawili ci z SB i powiedzieli, że muszę do nich przejść, bo tam jest ważniejsza robota niż bycie zwyczajnym krawężnikiem, i że pensja dwa razy wyższa, a człowiek się nie przepracuje. No to co miałem robić, poszedłem, ale się okazało niby mało roboty, ino że za biurkiem człowiek musi siedzieć ciągle i pisać od rana do nocy. A ja, jeśli się rozchodzi o pisanie, to

tak, że tak powiem, średnio piszący, bo głowy do tego nie mam. Ale głowę do gadania z ludźmi to mam najlepszą, bo z każdym się dogadam.

– I co, teraz zapragnął pan wrócić do normalnej milicji? – zapytał Marcinkowski.

– Milicjantem to się jest przez całe życie, nawet jak każą mundur zdejmnąć i chodzić w marynarce. Bo to całe SB to nie robota dla szkieła, ino dla hycła.

– Już pan, panie chorąży, wykazał się w ostatnim naszym śledztwie, więc mam wrażenie, że przyda się pan w zespole. Jest tylko jedno ale... – Ta rozmowa odbyła się w marcu osiemdziesiątego pierwszego, kiedy zakończyło się śledztwo w sprawie dwóch morderstw dokonanych na działaczach Solidarności i związkowych pieniędzy, które zniknęły w tajemniczych okolicznościach. Zespół Marcinkowskiego, do którego dołączył chorąży Olkiewicz, wyjaśnił sprawę, a Teofil wykazał, że może być przydatnym elementem grupy[14].

– Ale jakie „ale”?

– Takie, czy jest pan z nami, czy się tylko nam przygląda.

– He, he! – Teofil się zaśmiał. – Ja to jestem człowiek prosty, obywatelu poruczniku. I wew związku z tym kombinować nie lubię. Znaczy się z tymi ludźmi, co ja z nimi pracuję, to ja żadnych kombinacji robić nie będę, bo dla mnie najważniejsza jest uczciwość do kolegów. I ja nie jestem żaden orzeł, co przyjdzie i do własnego gniazda narobi. Wiem, że to nieeleganckie. A mój tatuś zawsze powtarzał, że nie sra się tam, gdzie się je. No to ja powiem obywatelowi porucznikowi, że ja już nie jestem w SB, ino u was, w dochodzeniówce. A to się oznacza, że jem z wami przy waszym stole.

– A raporty? Przecież pewnie będziecie musieli pisać jakieś raporty o tym, co się u nas dzieje.

– Raporty można różnie pisać. Najlepiej tak, żeby każdy był zadowolony. Oni będą myśleli, że wszystko wiedzą, a my, że dajemy im to, co chcemy im dać. To ja se myślę, że jak co będę musiał napisać, to ja przyjdę do obywatela porucznika z brudnopisem i my oba wszystko tam poprawimy.

Marcinkowski pokiwał głową z uznaniem. Ten Olkiewicz spadał mu z nieba. Wiedział, że SB musi mieć w jego wydziale swojego człowieka i prędzej czy później zmusiliby kogoś do współpracy. A tu proszę, przysłali mu swojego Olkiewicza, a ten od razu przeszedł na drugą stronę. A to oznaczało, że kreta nie trzeba będzie szukać, wręcz przeciwnie, trzeba będzie z nim współdziałać.

I w ten właśnie sposób chorąży Teofil Olkiewicz stał się odwróconym agentem, działającym na korzyść tych, których miał szpiegować. Zresztą ta jego współpraca nie trwała zbyt długo. W końcu ktoś z SB zorientował się, że jego raporty, pisane raz na kilka miesięcy, to tak naprawdę laurki wystawiane milicjantom z zespołu. Na szczęście dla Teofila jego mocodawcy przestali zwracać uwagę na to, co dzieje się pod ich nosem w milicji, a bardziej zaczęli zajmować się samymi sobą i własną przyszłością, bo ta wcale nie malowała się różowo. W osiemdziesiątym dziewiątym wszechwładza bezpieczeństwa się skończyła, a Olkiewicz myślał wtedy, że wreszcie uwolni się od swoich prześladowców. No i rzeczywiście nikt mu już głowy nie zawracał i nie kazał pisać donosów. Ale przeszłość dopadła go w postaci weryfikacji. Jeszcze, co prawda, nikt go nie sprawdzał, bo nikt nawet nie pomyślał, żeby go postawić przed jakąś komisją, jednak on sam już widział siebie przesłuchiwanego przez weryfikatorów. Nawet ostatnio takie przesłuchania zaczęły mu się śnić po nocach. Najciekawsze jednak w tych snach było to, że za każdym razem przepytывał go pułkownik Bielecki, człowiek, który już dawno nie był esbekiem i nawet nie pracował w organach. Od kilku miesięcy był współnikiem Grubego Rycha w jego Banku Ziemi. Więc to dość dziwiło Olkiewicza, że bankier go egzaminuje i pyta o różne kwestie, między innymi o zasady ruchu drogowego. A on siedzi biedny i spocony, ociera czoło kraciastą chusteczką i poprawia opadające na bok włosy, które przykrywały mu łyse czoło, i nie ma zielonego pojęcia, co odpowiedzieć, bo nie zna się na tych cholernych zasadach, jako że nigdy nie zrobił prawa jazdy i nie umie prowadzić samochodu. Gdy Bielecki zadaje mu pytanie, kto ma pierwszeństwo na jakimś skrzyżowaniu, on chce coś odpowiedzieć, byle co, żeby tylko mówić, ale w tym momencie budzi się złany potem...

- O, pan chorąży Olkiewicz – usłyszał głos dochodzący gdzieś z boku.
- Nie chorąży, ino porucznik.

Odwrócił się i zdębiał. Na chodniku, tuż przy skrzyżowaniu, stał kapitan Alojzy Wróbel, człowiek, który był jego pierwszym dowódcą jeszcze w komisariacie Stare Miasto. Teofil potrząsnął głową, bo wydało mu się, że śni. Wróbel ubrany był w mundur wojskowy, a nie milicyjny, a na prawej piersi jego bluzy pysznił się cały rząd krzyży i medali.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Wróbel spoglądał na swojego dawnego podwładnego z drwiącym błyskiem w oku, jakby czekał, aż ten powie coś

mądry, ale jak zwykle się nie doczekał, bo Teofil zawsze przy tym człowieku tracił całą pewność siebie.

– No co tak stoicie, Olkiewicz, jak trąba jerychońska albo nawet puzon orkiestrowy, z głupią miną. Co, замуrowało was, że wasz dawny szef wygląda jak ruski generał obwieszony orderami. W końcu to ja zawsze wam mówiłem, że mundur nie kiecka, a milicjant nie choinka, żeby na nim wieszać, co popadnie. Ale wiecie, Olkiewicz, bywają takie dni, że człowiek, co jest starym weteranem, musi się na galowo ubrać, żeby uczcić pamięć tych, co odeszli, oddając swoje życie za wolność waszą i naszą. No może niedokładnie za waszą, Olkiewicz, bo nikt we wojnę o was nie myślał, bo wtedy nie myślało się o takich łachudrach i dekownikach i się to życie oddawało tak po prostu, zwyczajnie i bez patosu – mówiąc to, pstryknął palcami tuż przed nosem Teofila. – Najlepsi z nas oddawali, a myśmy ich potem musieli godnie zastąpić, stanąć za nich w szeregu tych, co kraj z ruin dźwigali. Oczywiście jak mówię „godnie”, to myślę o takich jak ja kombatantach, bo wy żeście na wojnie chyba nie walczyli. Co, Olkiewicz, dobrze mówię, że żeście nie walczyli?

– Za młody byłem – wyjaśnił szybko Teofil.

– No tak, a ja, mimo że młody, cały szlak chwały przeszedłem od Lenino do Berlina. – Przyłożył rękę do piersi, dotykając złota i srebra. – Stąd te medale, a wszystkie za przelaną krew. I jak człowiek widzi, że teraz krew dalej się przelewa niepotrzebnie, to się aż wewnątrz gotuje. Zupełnie niepotrzebnie ludzie płoną w samochodach, jak tam pod Studziankami nasi chłopcy w płonących czołgach...

– Kto płonie? – przerwał wojenną opowieść Olkiewicz, który natychmiast wyczuł, że stary ma coś do powiedzenia.

– No jak kto? Ta babka, co spłonęła żywcem tu, kilka domów dalej. Na własne oczy widziałem, jak auto wybuchło, bo akurat się ubierałem, żeby zdążyć na uroczystości tu niedaleko, pod pomnikiem Armii Poznań, bo ja tu teraz w willi u córki mieszkam, i wtedy, gdy zakładałem marynarkę, jak pierdałnęło, mówię wam, Olkiewicz, jakbym znów pod Lenino wrócił. A jak już wyleciało auto w powietrze, to odjechał ten samochód. Marki to ja nie pamiętam, ale numer rejestracyjny zapisałem. O, macie tu karteczkę, Olkiewicz, i zróbcie z niej użytek. A jakby co, to tam też napisałem mój adres i numer telefonu, tak żeby, wiecie, oddać go milicjantom, ale nie mogłem czekać, bo ja dziś w czwartej parze wieniec od koła ZBoWiD-u[15] składałem pod pomnikiem i nie mogłem się spóźnić. No to wiecie, macie tu wszystko, a jakby

co jeszcze było trzeba, to dzwońcie śmiało. Jeszcze na coś stary Wróbel może się przydać ludowej ojczyźnie. A, i uważajcie na siebie, Olkiewicz, boście zawsze byli niezgułą, i nie zgubcie tej kartki, bo innej nie mam, ha, ha! No to cześć pracy. I jeszcze jedno, pamiętajcie o oczach! Zawsze patrzcie przestępcy w oczy, bo oczy są odbiciem duszy – przypomniał mu swoje ulubione powiedzenie, którym niemal codziennie maltretował psychicznie Olkiewicza w pierwszych latach jego służby. W końcu klepnął Teofila w ramię i poszedł, zostawiając osłupiałego porucznika z kartką w dłoni.

– Cholera, chyba się muszę napić – powiedział do siebie Teofil. Sklep spożywczy był na szczęście całkiem niedaleko.

### **Godzina 14.40**

– Panie Wilczek, do jasnej cholery, uważaj pan na ten towar, bo za chwilę sam pan będziesz pakować te paczki – zawołał właściciel zakładu w kierunku magazyniera, któremu z wózka wypadła wielka paka ciasno owiniętych przeźroczystą folią kreszowych dresów w kolorze turkusowym.

– Ten wózek jest do dupy, panie prezesie. – Magazynier wskazał na jedną płożę nieco niższą od drugiej. – Gadałem Działdziakowi, żeby to naprawił, ale on ciągle gdzieś łązi, panie prezesie. A ja przecież nie znam się na technice i kółka nie nareperuję.

– Jak pan nie umiesz sobie poradzić z konserwatorem, to co z pana za magazynier?

– Magazynier, co tylko za dziewczuchami się obraca, hi, hi! – zaśmiała się Burzyńska, która zapisywała każdą spakowaną sztukę, trafiającą ze szwalni do magazynu. To zapisywanie było konieczne, bo tu, w prywatnej firmie, pracowało się zupełnie inaczej niż za komuny. Wtedy każdy zatrudniony wiedział, że niezależnie od tego, ile zrobi w ciągu zmiany, i tak dostanie swoją dniówkę. Więc opłacało się nic nie robić. Ale te komunistyczne porządki odeszły w zapomnienie, gdy upadającą szwalnię ubrań roboczych o wdzięcznej nazwie Dolores kupił prywatny inwestor. Gdy firmę zakładano trzydzieści lat temu, jej pełna nazwa brzmiała: Spółdzielnia Wytwórcza Odzieży Roboczej i Ochronnej imienia Dolores Ibárruri i Rewolucji Hiszpańskiej. Wtedy było to jak najbardziej na czasie, bo Hiszpanka Ibárruri była działaczką i pierwszym sekretarzem Komunistycznej Partii Hiszpanii. Ale teraz, gdy wszystko wokół się zmieniło, nowy właściciel postanowił nazwę skrócić. Pozostała tylko

Dolores, która jednocześnie stała się marką wyrobów szwalni w podpoznańskim Suchym Lesie. Szybko zmienił się też asortyment i robocze ciuchy zastąpiły niezwykle modne i doskonale sprzedające się dresy w krzykliwych, albo jak kto woli, wyrazistych kolorach.

– A co, niby na facetów mam patrzeć, jak tyle fajnych kobitek wokoło? – odpowiedział Burzyńskiej w tym samym żartobliwym tonie magazynier.

– Dobrze by było, żebyś pan od czasu do czasu obejrzał się za tym Działdziakiem, panie Wilczek. Bo jak on się będzie w robocie opierniczał, to za chwilę pójdzie na kuroniówkę. Czasy komuny się skończyły i jak kto nie chce robić, to na jego miejsce dziesięciu innych się znajdzie. – Prezes mówił to lekkim tonem, ale i magazynier, i zmianowa dobrze wiedzieli, w czym rzecz. Teraz pracy trzeba było się trzymać, bo sporo ludzi szło na bezrobocie. A tu, w Doloresie, jak firmę nazywali pracownicy, zarabiano się całkiem nieźle, ponieważ wypłaty uzależnione były od liczby wyprodukowanych dresów. Wszystkim więc opłacało się robić jak najwięcej i jak najlepiej. A jeśli ten Działdziak chciał, żeby było tak jak za komuny, to jego problem. Wilczek postanowił, że nie będzie mu więcej pobłażał.

– Się pan prezes nie martwi. Ja jemu dam ostatnią szansę i jak się nie zmieni, to może sobie iść na bezrobocie.

Prezes skinął głową i ruszył w kierunku przejścia prowadzącego z hali do części biurowej zakładu. Przechodząc łącznikiem, dostrzegł czarne bmw 320. Lubił takie zgrabne autka jak te beemki, ale cóż, nie dane mu było mieć takiego. Jeździł polonezem należącym do firmy. Na razie nie mógł sobie pozwolić na jakąś samochodową ekstrawagancję. Chciał przed pracownikami zakładu stawianego na nogi uchodzić za swojego człowieka, który, gdy trzeba, potrafi zdjąć krawat, zakasać rękawy swojej dwurzędowej marynarki... Spojrzał na marynarkę. Jej rękawy już były podwinięte, a raczej wywinięte na zewnątrz, ukazując jasną, pasiastą podszewkę. Co za moda obowiązuje w tym kraju. Ludzie całkowicie powariowali, pomyślał i poszedł szybko do swojego gabinetu, gdzie czekał już właściciel czarnego auta.

– Pani Kuropatwowa, pani robi kawę – rzucił w przelocie do starej sekretarki, która przepracowała z nim już chyba ze sto lat w ich poprzedniej firmie. Nie miał serca jej wyrzucić, więc postanowił, że dociągnie do końca, a potem na jej miejsce przyjmie jakąś superpiękną laskę, żeby odreagować ten czas spędzony z babcią, która może i była miła, ale niezbyt dobrze prezentowała się w szpilkach i miniówkach. A takiej młodej, dynamicznej

i dobrze wyglądającej obsługi biura potrzebował, tym bardziej że firma się rozwijała i stanowiła świetny przyczółek do głębszego wejścia w cały sektor branży ubraniowej. Zyski z dresów były natychmiast wrzucane w kolejne wyprzedawane za bezcen przedsiębiorstwa. Te od razu przechodziły restrukturyzację i zaraz potem zaczynały produkcję dresów i kolorowych pościeli. Dresy były towarem pierwszej potrzeby, a pościele w różnych kolorach, oczywiście jak najbardziej jaskrawych, spełniały marzenia setek tysięcy gospodyń domowych, których nigdy nie były w stanie zaspokoić państwowe zakłady z trudem nadążające z produkcją białych poszew. Gdy Polska kroczyła ku nowoczesności, ludzie pragnęli szybkiej odmiany i wieczorem, po zrzuceniu pomarańczowych dresów, chcieli zakładać seledynowe pidżamy, a potem kłaść się na żółtych prześcieradłach i przykrywać czerwonymi kołdrami. On i jego współpracownicy z innych miast zrozumieli szybko tę prostą rzecz, że szary tłum chłoporobotników chciał jak najszybciej stać się barwną masą, zasiadającą przed kolorowymi telewizorami, w których nadawano reklamy nie tylko Prusakolepu, ale United Colors of Benetton, mimo że nikt nie wiedział, kim jest ten Benetton.

– Już się robi, panie prezesie kochaniutki – zaszcebiotała pani Kuropatwa i chwyciwszy porcelanowy czajnik, poszła po wodę do łazienki.

Otworzył drzwi i zastygł na chwilę w wejściu, widząc minę siedzącego za stołem mężczyzny, którego wyznaczył na kierownika akcji. Obok niego siedział brodacz w okularach top gun, jeden z dwóch saperów odpowiedzialnych za podłożenie ładunków wybuchowych. Tym razem swoje amerykańskie szkła podniósł wyżej, na czoło, bo w pokoju nie było zbyt jasno. Obaj goście mieli niewesołe miny.

Natychmiast podnieśli się na widok szefa. Wojskowa skóra, druga natura, pomyślał z uznaniem, ale nie miał zamiaru chwalić ich za nienaganną postawę. Jego interesowały wyniki.

– Co jest, do cholery? – zapytał, zamykając drzwi. – Umarł ktoś?

– I tak, i nie, panie prezesie – odpowiedział kierownik.

– No to siadajcie. Zaraz będzie kawa. Kuropatwa już robi.

Usiedli. Brodaty wydobyl papierosa i zapalił. Jak on się, do cholery, nazywa? Prezes wiedział, że do niedawna pracował w Pile, ale co robił, tego nie potrafił sobie przypomnieć. Na razie istotne było tylko to, że znał się na zapalnikach. A może wcale się nie znał i spierdolił robotę?



Kobieta wniosła na tacy cztery filizanki. Postawiła dwie przed gośćmi, jedną przed nim, a gdy czwarta jej została, rozejrzała się bezradnie po gabinecie.

– Dobrze, że pani też dla siebie zrobiła kawkę. Niech pani sobie wypije i zrobi kilka minut przerwy, bo nie ma się co przepracowywać. – Pomógł jej wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Dziękuję, kochanieńki. Nasz pan prezes Marian Jeleń to jak prawdziwy ojciec dla pracowników – objaśniła gościom, żeby wiedzieli, z kim mają do czynienia. Ale oni, a przynajmniej jeden z nich, ten, którego nazywano kierownikiem, dobrze znał ciężką ojcowską rękę prezesa.

Wyszła z gabinetu, wyraźnie zadowolona. A wtedy uśmiech wywołany pochlebstwem sekretarki natychmiast zniknął z prezesowskiej twarzy.

– Raportujcie – rzucił i upił łyk kawy.

Kierownik wstał. Jeleń nie kazał mu siadać. Wiedział, że na stojąco trudniej jest się wyluzować, a człowiek spięty, używający większości mięśni do utrzymania wyprostowanej postawy, jest mniej skłonny do zmyślenia i kręcenia niż taki, który siedzi.

– No właśnie że...

– Bez owijania w wełnę. Żadnego pierniczenia. Co poszło nie tak?

– Zasadniczo wszystko było tak, jak powinno. Samochód wyleciał w powietrze, bo ładunek eksplodował. Znaczący się przygotowany był fachowo, że lepiej nie trzeba. – Kierownik spojrzał na sapersa i lekko skinął mu głową, a ten odpowiedział nieznacznym skrzywieniem ust, które zapewne było imitacją uśmiechu.

– Czyli co spierdoliliście?

– No zasadniczo nic. Tyle że zamiast obiektu do auta wsiadła kobieta i odpaliła silnik. Nie było nawet możliwości jej powstrzymania. Wsiadła i po wszystkim.

Jeleń pogładził palcem brzeg filizanki, jakby spodziewał się, że ta zacznie grać jak napełniony wodą kieliszek podczas ulicznych występów.

– A co z obiektem?

– No i wtedy, zanim doszło do wybuchu, na sekundę czy dwie przedtem, snajper zobaczył cel w oknie kuchni. I się nie zastanawiał, tylko strzelił...

– Trafił, kurwa?

Kierownik spojrział w okno za Jeleniem na przesuujące się po drodze TIR-y i auta osobowe.

– Tego nie wiemy.

– Jak nie wiecie?

– Po strzale obiekt zniknął i nie podnosił się do chwili, w której snajper zszedł ze swojego stanowiska, żeby zameldować o strzale. Ale potem nasz człowiek wrócił na obserwację. I on cały czas tam jest i patrzy. I wie, że może zejść z punktu, jak zobaczy obiekt żywy albo przyjedzie karawan. Na razie nie mam żadnych informacji o tym, co się stało, to znaczy, jaki jest efekt.

– Czyli spierdoliłicie – zawyrokował prezes. – Trzeba było po wybuchu wejść i się przekonać. A jeśli by był żywy, dokończyć. To nam teraz wszystko komplikuje. Teraz nasz przyjaciel będzie miał obstawę jak prezydent Bush, więc zbliżenie się do niego na odległość strzału armatniego będzie prawie niemożliwe. A do tego jeszcze może być tak, że to on przejmie inicjatywę i wystrzela nas jak kaczkę. Bardzo niedobrze, panowie. Bardzo niedobrze...

– Przecież on nie wie, że to my – próbował wybrnąć z trudnej sytuacji kierownik.

– Nie wie, ale się dowie. No dobra, trzeba pomyśleć, jak to naprawić.

– Zawsze jest szansa, że nie żyje – wtrącił się milczący dotąd saper.

– Nie widziałeś ciała, nie ma trupa – stwierdził Jeleń, który w tych sprawach był długoletnim praktykiem.

– Mogę tam pojechać i... – zaproponował kierownik, ale prezes przerwał mu, unosząc dłoń.

– Zanim tam wrócisz, ja już będę wiedział, jaka jest sytuacja. Wtedy wydam rozkaz. No dobra, nie ma co dłużej gadać. Trzeba brać się do roboty...

– Jest jeszcze coś, panie prezesie – odezwał się ten brodaty.

– Co? – zapytał obojętnym tonem.

– Znalazłem towar z Niemiec.

– Cały?

– Tylko radiomagnetofony.

– No to już coś. Kiedy będziemy wiedzieli coś więcej?

– Umówiłem się z tym, co je ma, na jutro. On mieszka w Opalenicy i ja myślałem, że...

– Ty nic nie myśl, chłopie. Ty jedź tam od razu i przywieź nam dobre informacje.

– Tak jest.

– Przypomnij mi, jak się nazywasz? – zapytał Jeleń, gdy obaj jego ludzie wstali.

– Melduję, że Leśniak. Porucznik Henryk Leśniak, pracowałem blisko z majorem Durajem, którego pan dobrze znał.

– Tak, tak, pamiętam go dobrze, Leśniak. – Jeleń pokiwał głową. Rekomendacja majora Duraja była w tej sytuacji całkiem na miejscu. Bo Duraj poległ podczas wypełniania obowiązków służbowych albo dokładniej rzecz biorąc, zginął zastrzelony przez niejakiego Ryszarda Grubińskiego w osiemdziesiątym drugim roku w pewnym domu pod Grodziskiem Wielkopolskim[16]. – Jedź, Leśniak, i zrób coś pożytecznego, bo inaczej uznam, że dzisiejszy dzień został przez was całkowicie spierdolony.

Obaj mężczyźni skłonili się sprężyć, jakby dalej byli na służbie. Nie odpowiedział im. Sięgnął po słuchawkę telefonu i wybrał znany sobie doskonale numer. Musiał sprawdzić, czy Ryszard Grubiński przeżył dzisiejszy poranek.

## Rozdział III

### Opalenica

Godzina 14.50

Włodziu Włodarek niezbyt długo pracował w warsztacie Cegłowskiego, ale musiał przyznać, że już sporo się nauczył. Choćby tego, że w rozbitym aucie nie powinno być benzyny. Przede wszystkim chodziło o względy bezpieczeństwa, bo taki samochód trzeba było przecież rozebrać na czynniki pierwsze. I do takiego rozbierania często używano się palnika acetylenowego, czyli żywego ognia. Więc gdyby ten ogień natrafił na paliwo, to mogłoby dojść do eksplozji i samochód zostałby rozwalony, a jeszcze dodatkowo wraz z nim mógłby wylecieć w powietrze każdy, kto by przy takim aucie się znalazł, czyli Włodziu, bo to on rozbierał passata. No a razem z nim ten młody Szymek Łopatka, który teraz stał obok i pluł dookoła benzyną, parszkając przy tym jak koń.

– No co ty, Łopata, nie lubisz się napić od czasu do czasu? – zażartował bardzo z siebie zadowolony Włodziu. Cieszył się, bo Szymek postąpił tak, jak powinien to zrobić początkujący uczeń zawodu w pierwszy dzień na praktyce, czyli dał się oszukać starszemu koledze. Szkoda tylko, myślał Włodarek, że nikt tego, co się stało przed chwilą, nie widział, no ale co zrobić. Kolegom będzie musiała wystarczyć jego opowieść, jak to chłopak dostał polecenie opróżnienia baku z benzyny i oczywiście nie wpadł na to, żeby użyć do tego celu pompki, tylko tak jak mu Włodziu kazał, zaczął ssać rurkę ustami. No i efekt był łatwy do przewidzenia. Chłopak napił się benzyny, a teraz parskał głośno, plując dookoła.

– Ja pierdolę, khy, khy, ale syf. Ja pierdolę!

– No coś ty, chłopie, nigdy żeś bendzyny nie pił.

– Ja chrzanię taką robotę, żeby bendzynę pić.

– A kto ci każe pić? Czy ja ci kazałem pić?

– Kazałeś mi ściągnąć z baku do kanistra, to jak miałem to robić?

– Ha, ha, ha. Ale z ciebie kretyn. Widać, że żeś nie był w wojsku. Tam cię nauczą myślenia. Wiesz, jak mówią w wojsku?

– A ty byłeś w wojsku? – zdziwił się Łopatka, który był młodszy od Włodarka zaledwie o rok i wiedział, że kolega jest trochę za młody na służbę w mundurze.

– A co to, żeby wiedzieć, jak w wojsku mówią, to trzeba być w wojsku? Mój brachol był. Na wiosnę wyszedł do cywila i mi mówił, że w wojsku mówią: „Jak masz łeb i chuj, to kombinuj”. Trzeba było kombinować. Tego nikt ci nie może zakazać, nie?

– Że niby jak?

– Trzeba pomyśleć, zanim się co zrobi.

– Czyli że jak?

– Patrz i się ucz, bo ja wiecznie żyć nie będę – rzucił tonem prawdziwego znawcy tematów samochodowych, którego pewność siebie wynikała z braku doświadczenia ukrywanego pod maską arogancji. Odwrócił się i ruszył do hali warsztatowej. Po chwili pojawił się ze starą pompką w ręce. Końcówkę przewodu podłączył do plastikowej rurki, która była włożona do baku passata. Postawił pompkę na ziemi, przydepnął ją dwoma stopami, a potem zaczął powoli zasysać strumień paliwa. Gdy przezroczysta rurka zabarwiła się na żółto, ścisnął ją palcami, odczepił końcówkę od pompki i włożył do kanistra. Zaraz rozległ się dźwięk spływającego do blaszanej bańki płynu. – Widział żeś? – zapytał dumny z efektu swojego działania.

– No – mruknął markotnie Łopatka.

– To teraz będziesz już wiedział na całe życie, że gębą można zasysać wino z gąsiora, ale nie bendzynę.

– No niby tak, ale ja se myślałem...

– Ty nic nie myśl, tylko rób tak, żeby było dobrze.

– No ja... O, przestało lecieć.

– E, niemożliwe.

– No chyba żeś za płytko wetknął rurkę.

– Nie płytko. Do samego końca, znaczy, ile się dało, to wepchłem. – Włodziu poruszał rurką w otworze baku. Coś mu wyraźnie nie pasowało. – No tej, patrz się, za mało tej rurki. O tyle więcej trzeba, żeby do dna doszła, o... – Zaczął wpychać, ale rurka stawiała opór.

– Co jest, kurde? – zapytał Szymek.

– No widzisz sam, że wlało tyle, ile wlało – burknął Włodziu.

Łopatka chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedział, co można by dodać. Ale zaraz o tym zapomniał, zdziwiony, że jego starszy kolega położył się na ziemi i zaczął opukiwać samochód od spodu.

– Co tam robisz? – zapytał Łopatka.

– Cicho siedź!

– Ale...

– Daj no młotek.

Chłopak szybko sięgnął po narzędzie, podał je koledze i sam położył się obok, żeby zobaczyć, co się tam dzieje.

– Co tam żeś zobaczył?

– Coś tu jest nie tak.

– Niby że co?

– Że ten wężyk się nie mieści. Tak jakby wchodził tylko do połowy baku.

– Może bak jest mniejszy?

– Jak mniejszy? Widzisz ten bak? No widzisz to? – Włodziu stuknął młotkiem w powierzchnię pojemnika.

– No widzę.

– No to widzisz, że jest normalny, taki jak każdy bak w passacie. Tyle że rurka nie wchodzi tak głęboko, jakby mogła, znaczy się powinna wejść.

– Czyli że co?

– Czyli że... nie wiem. Ale nie wiem, czemu nie ma tyle paliwa, co powinno być. Powinno być kilka litrów, a my wylali z niego może dwa, najwyżej dwa litry, nie?

– No.

– To znaczy się, że paliwa było mało. A tu, patrz się tu. Tu na boku, przy dnie, jest dziura, znaczy paliwo wyciekłoby przez tą dziurę. Widzisz ją.

– No widzę, ale kiepsko, bo nie ma światła.

– Tu jest dziura i paliwo powinno uciec przez tą dziurę – kontynuował wyjaśnienie Włodziu. – Tyle że nie uciekło, bo my żeśmy resztę wypompowali. Zgadza się, co?

– No zgadza się.

– No to czemu my je wypompowali, jak przy samym dnie baku jest dziura? – zapytał i spojrzał na kolegę. Ten zrobił głupią minę, bo nie miał zielonego pojęcia.

– A widzisz, ja też nie wiem. Bo coś w tym wszystkim jest dziwnego. Zobacz tą dziurę. Dotykam ją o tu i potem wącham, i nic. O, powąchaj moje paluchy. Czujesz coś?

– Niby nic. Tylko od ćmików[17] jest smród.

– No jak kto pali ćmiki, to mu paluchy śmierdzą tytoniem. Ale jak się dotknie benzyny, to ona zabija zapach tytoniu. To znaczy się, że jak dotykam tej dziury, to ona benzyną nie śmierdzi.

– Może już zwietrzała? – domyślił się młody.

– A ta, co ją masz jeszcze w gębie, też zwietrzała?

– Nie. Nie była zwietrzała.

– A widzisz. Czyli że tamta benzyna była dobra, a ta niedobra, bo nie pachnie. Znaczy, że jej tu nie ma. Wyżej jest, a tu, na dole, jej nie ma. To co to znaczy?

– Co to znaczy? – usłyszeli nad sobą głos Cegłowskiego.

– O, jest szef – ucieszył się Włodziu i natychmiast zaczął się wygrzebywać spod auta. Po chwili obaj uczniowie stali przed właścicielem zakładu. – Tam musi być fałszywy zbiornik – stwierdził chłopak. – Ja to wszystko sprawdziłem, panie szefie.

– No słyszałem, co żeś gadał. Ino że nie masz racji, bo się jeszcze na autach nie znasz i chcesz odkryć Amerykę, tam gdzie ona dawno odkryta jest...

– To co, szefie?

– To znaczy, że gadasz bzdury – skarcił go Cegłowski.

– Jak to? Przecież wszystko sprawdziłem. O, opukałem, tam wyżej jest taki pusty dźwięk, a poniżej taki jakby pełny – tłumaczył chłopak, bo był pewien swego.

– Głupiś. Kto to widział, żeby takie pierdoły gadać. Czego oni was w tej szkole uczą? Dobrze, że tu przyszedłem, bobyście jeszcze ten bak rozwalili. Ale na szczęście miałem nosa, żeby sprawdzić, czy jakiej głupoty nie zrobicie, i przyszedłem w samą porę. No dobra, ale nie ma o czym gadać. Idźcie do Marczaka, bo on wyciąga silnik przy tym polonezie. Pomóżcie mu, bo tam trzeba trochę siły, żeby go wyciągnąć. A tym rozbitym passatem se gitary nie

zawracajcie. Na razie nie będziemy go rozbierać, bo może jeszcze policja będzie coś chciała z niego wyciągnąć. No dalej, idźcie, bo robota czeka – ponaglił chłopaków, a sam poszedł w kierunku willi, która stała tuż obok warsztatu. Uczniowie zrobili, co im polecił, ale zaraz okazało się, że Marczak wcale nie potrzebuje pomocy. To znaczy nie potrzebuje żadnych pomocników do pracy przy silniku, bo ten był już wyjęty. Ale gdy zobaczył chłopaków, od razu znalazł dla nich zajęcie.

– Weźcie no tu tą siatkę z flaszками od piwa i idźcie do sklepu, i kupcie mi cztery poznańskie. I jeszcze paczkę radomskich mi kupcie. No macie tu bejmy i się przejdźcie. Przynajmniej do czegoś się przydadacie – stwierdził mechanik i zaraz wrócił do rozkręcania silnika. Dwaj praktykanci nie mieli innego wyjścia, poszli, aczkolwiek niezbyt chętnie. No ale co było robić, jak majster kazał. Ale nie do spożywcza. Włodziu wpadł na pomysł, że z czasu i tak nikt ich nie rozliczy, więc mogą pójść na zakupy do piekarni w centrum miasta. Piekarz Jan Koza miał swój sklep w podwórzu kamienicy przy 3 Maja. Od rana ustawiały się tu kolejki po gorący, świeży chleb i bułki. Ludzie przynosili tutaj również swoje własne ciasta do wypieczenia w porządnym piecu. Ale to przed sobotą. Dziś ruch był umiarkowany, więc dość szybko zaopatrzyli się w najlepsze w mieście szneki z glancem[18]. W drodze powrotnej kupili jeszcze to co trzeba dla majstra i dodatkowo dla siebie po butelce oranżady, i zaraz zrobili przystanek na skwerku koło pomnika Powstańców Wielkopolskich. Usiedli na ławeczce i zabrali się do jedzenia, obserwując siedzące na pomniku gołębie...

– Czerwona oranżada jest najlepsza – stwierdził Łopatka, delektując się smakiem. – A ty wolisz żółtą czy czerwoną? Bo żółta jest bardziej kwaskowa, a czerwona bardziej landrynkowa. Landrynkowa lepsza. Co myślisz? Bo orangina to wcale nie jest taka dobra jak ta...

– Możesz się na chwilę przymknąć? – warknął na młodszego kolegę Włodziu.

– Ale o co się rozchodzi?

– O to, żebyś zamknął dziób, bo ja muszę trochę pomyśleć.

– A o czym?

– Jak o czym? Ty, Łopata, to jesteś jednakowoż dębowa pała, twardy łeb niestety.



– O co ci idzie? Czepiasz się do mnie od samego rana i jeszcze się przezywasz. Co jest grane?

– Nic nie łapiesz, człowieku?

– Że co?

– Że żeśmy coś odkryli, dlatego Cegłowski nas odesłał, żebyśmy mu przy tym passacie nie grzebali, bobyśmy jeszcze coś z niego wyciągnęli.

– A niby co?

– To, co przewozili w tym baku.

– Co przewozili w baku?

Włodziu pokręcił głową z rezygnacją. Łopatka nic nie łapał i chyba nie nadawał się na partnera w rozwiązywaniu kryminalnych zagadek, bo że sprawa miała charakter kryminalny, tego Włodarek był pewien. W końcu czytał kolorowe zeszyty z kapitanem Żbikiem i wiedział, że przemytnicy korzystają z różnych metod, żeby przesznułować coś przez granicę. Więc dlaczego nie mieliby użyć takiego schowka, który łatwo było zrobić w baku na paliwo. Gdyby nie nadszedł szef, już by się tam do tego schowka dostał, a tak trzeba będzie poczekać na okazję. Tylko czy warto w takie sprawy wtajemniczać tego ćwoka Łopatkę, który teraz siedział zaopatrzonej bezmyślnie w ścianę budynku po drugiej stronie ulicy, przeżuwając kęs szneki? Ten facet niczego nie zrozumiał...

– W takim baku to można by przewozić złoto – stwierdził naraz chłopak podejrzewany przez swojego kolegę o intelektualną mizериę.

– Co żeś powiedział?

– No że jak przewozić, to coś cennego. Jak ktoś zrobił schowek, to nie po to, żeby tam wkładać kawę z Aldika, tylko coś, co można u nas dobrze opchnąć. A opchnąć można na przykład złoto. O to mi się rozchodzi – wytłumaczył Łopatka, a Włodziu aż otworzył szeroko usta, zdumiony nagłym przypiływem umysłowej bystrości kolegi. Być może to przez tę oranżadę, która sprawiła, że tępa pała zaczęła naraz myśleć? Spojrzał na swoją butelkę i pociągnął spory łyk.

– Jeśli tam coś jest, to musimy się dowiedzieć co – rzucił Włodziu i uśmiechnął się zadowolony. Lubił tajemnice, ale nade wszystko lubił przygody, a ta zapowiadała się całkiem obiecująco.

## Poznań

### Godzina 15.05

Bar Pomorski na narożniku Engla i Głogowskiej nie należał do miejsc ekskluzywnych. Niedawno ulica Engla zmieniła nazwę i teraz nazywała się Niegolewskich. Jednak dla stałych bywalców baru nie miało to najmniejszego znaczenia. Dalej chodzili ulicą Engla, choć nikt z nich nie wiedział, kim był ten Engel, podobnie jak nikt nie miał pojęcia, kim byli Niegolewscy. Za to każdy wiedział, że bar Pomorski nie ma nic wspólnego z Pomorzem, no chyba że chodziło o te hektolitry płynów, które każdego dnia wpływały do spragnionych gardeł i wypływały potem różnym strumieniem w barowym wychodku. Bywali tu ludzie o niezbyt wysokich wymaganiach estetycznych. Nie znaczyło to jednak, że byli zupełnie pozbawieni dobrego smaku. Ten odnosił się przede wszystkim do smaku piwa, które tu podawano. Ono zawsze smakowało biesiadnikom. Było świeże, gdyż nie miało najmniejszej szansy się zepsuć, bo było natychmiast wypijane.

Jeszcze całkiem niedawno, za czasów komuny, piwo sprzedawano tu tak jak wszędzie raz na jakiś czas. Agent nigdy nie wiedział, kiedy dostanie towar i ile tego będzie. Teraz wszystko się zmieniło. Gdy zaczął się kapitalizm, od razu okazało się, że można zamówić tyle piwa, ile się tylko chce, a browar dostarczy każdą ilość. Więc nowy właściciel, czyli dawny agent, który się sprywatyzował, szybko obliczył, że aby zaspokoić wymagania przychodzących tu klientów, dostawa powinna odbywać się co drugi dzień. A ruch w Pomorskim był duży, bo i jego lokalizacja była niemal idealna. Przychodzili tu przypadkowi przechodnie, zmierzający ruchliwą Głogowską, ale przede wszystkim ci, którzy odwiedzali oddalony o sto metrów rynek Łazarski. Trafiali tu również handlarze z rynku, choć oni rzadziej, bo mieli zupełnie inne wymagania. Po dniu pracy na targowisku chcieli się przede wszystkim najeść, a w Pomorskim owszem, jedzenie było, ale kiedyś. Jeszcze w osiemdziesiątym dziewiątym była tu kuchnia, w której kucharki codziennie gotowały bigos, flaki i fasolkę po bretońsku. Gdy nastały nowe czasy, agent wyrzucił kobiety, kupił przywiezioną z Berlina Zachodniego kuchenkę mikrofalową i podpisał z firmą gastronomiczną umowę na dostawę mrożonych zapiekaneł i pizzy. Kuchnia pomorska zmieniła się więc w europejską, a nawet światową, za sprawą egzotycznego dania kuksu. Chińskie zupki, zalewane wrzątkiem, podawano tu w kilku smakach, z kury, krabów, pomidorów i grzybów. Powiew Orientu wyparł zapachy gotowanych ziemniaków i kiszonej kapusty. Złota epoka wykwiłnej gastronomii w barze Pomorskim minęła więc bezpowrotnie,

a rozpoczął się czas nowoczesnych potraw o wschodnim zapachu sosu sojowego i smaku rozmoczonego kartonu, zalanego keczupem i majonezem. Klienci natomiast pachnieli tak samo, przetrawionym alkoholem, kiepskim tytoniem, a niektórzy przemysławką, którą nadal sprzedawano w kioskach.

Tę właśnie knajpę wybrał na swoją stałą siedzibę Zdzichu Trąba, może dlatego, że lubił w telewizji oglądać westerny. Bar kojarzył mu się z Dzikim Zachodem, ponieważ wejście wyglądało tak, jakby wyjęto je żywcem z salonu w Dodge City. Niektórzy klienci mogli nawet westernową scenę przeżyć osobiście, bo gdy któryś zbyt głośno okazywał swoją miłość do świata, wylatywał stąd jak z procy przez wahadłowe drzwi, zegnające go machaniem skrzydeł.

– To, że wódki nie sprzedawali do trzynastej, to w tym całym PRL-u było najgłupsze – stwierdził Zdzichu, wpatrując się w kieliszek czystej. – Ale to, że ten głupi przepis jeszcze ciągle nie jest zniesiony, to już jest jakieś kuzorium.

– Spokojnie – rzucił Falconetti, spoglądając swoim jedynym okiem na kolegę. Ten spuścił wzrok, bo zawsze czuł się pod tym spojrzeniem trochę nieswojo. Nie wiedział, czy aby na pewno to szklane oko Falconettiego jest tym szklanym, czy też jest odwrotnie. – Tak mi się zdaje, że do końca roku będzie już po tym zakazie i będzie można pić wódkę od samego rana. Pytanie tylko, czy to aby na pewno dobrze zrobi pijakom?

– Jak kto chce, to się nachleje od samego poranka, jak tylko wstanie z wyra – stwierdził gruby gość z czarnym wąsem i starannym przedziałkiem na głowie, współnik Zdzicha, nazywany Pyśka, którego ksywka wzięła się od pucułowatych policzków. To on wraz z drugim kolegą o pseudonimie Ulung, pochodzącym od ulubionej herbaty, rozgrywali dziś wspólnie trzy karty, goląc frajerów, aż miło było patrzeć. Nie było w tej rozgrywce żadnej pomyłki, a takie niekiedy zdarzały się w ferworze gry. Dzisiaj nie wygrał ani złotówki nikt przypadkowy, komu wygraną musiałby zabierać Wafel, najlepiej zbudowany członek klubu karciarzy. Kiedyś był całkiem dobrze zapowiadającym się sportowcem. Podnosił ciężary w wadze średniej, ale za bardzo lubił opijać swoje sportowe sukcesy i pił po każdych zwycięskich zawodach. Później zaczął pić nie tylko, gdy wygrał, lecz także, gdy przegrał, by w końcu przejść do najwyższego stopnia sztuki pijackiej wśród sportowców – picia codziennego. I tak z mistrza sportu stał się zawodowym mistrzem w chlaniu. Wtedy też dołączył do drużyny Zdzicha. Nie grał jednak w karty, bo nie bardzo wiedział, którą powinien obstawiać, żeby naciągnąć klientów, ale

przydawał się w roli porządkowej. Stał w tłumie, bacznie obserwował graczy i gdy przypadkiem któryś z nich wygrał przez nieuwagę Zdzicha, Wafel pozwalał mu odejść kilkanaście czy kilkadziesiąt metrów, po czym zatrzymywał delikwenta, grzecznie prosząc o oddanie pieniędzy, ponieważ nastąpiła pomyłka w rozdaniu. Jeśli ktokolwiek miał wątpliwości co do słuszności żądań Wafła, ten łapał takiego gościa za rękę, ścisnął mocno i tłumaczył, że nie ma wcale ochoty jej łamać. Skuteczność miał stuprocentową, bo nie zdarzyła się jeszcze sytuacja, by jakiś klient się z nim nie zgodził.

– Prawda, ino że robi to we własnej chacie, jak milicja nie widzi – rzucił Ulung, który zdjął swoją amerykańską czapkę z daszkiem i położył na blacie plastikowego stołu. Te białe stoły i fotele zastąpiły niedawno wysłużone wysokie stoliki i stołki z płyty laminowanej, choć tamte jeszcze całkiem dobrze się trzymały. Ale nowe, z plastiku, były o wiele bardziej komfortowe i eleganckie. Miały jeszcze jedną zaletę, w zasadzie nie można było nimi zrobić krzywdy współbiedniakom, bo w trakcie walki rozsypywały się w drobny mak, jakby były z papieru. – Ale kiedy by wyszedł na ulicę, toby zaraz dostał mandat albo nawet kolegium.

– Jak się łamie prawo, to się dostaje mandat. – Zdzichu wiedział, że z prawem nie ma żartów, bo łamał je codziennie, grając w trzy karty i oszukując nieświadomych oszustwa graczy. – I dlatego prawo łamać trzeba umieć, znaczy robić to tak, żeby się nikt nie skapnął, że jest łamane. Po co chlać na ulicy przed trzynastą, jak można po kryjomu?

– Prawda. Prawo jest po to, żeby je przestrzegać – zgodził się z nim Falco. – I dlatego przestrzegają jego wszyscy frajerzy. Ale jak ktoś ma poukładane pod kopułą, to dobrze wie, że frajerskie prawo trzeba łamać w mądry sposób. Taki na przykład jak wy to robicie w trzy karty – rzucił pochwałę, która została przyjęta przez pozostałych biesiadników pomrukiem aprobaty. Falco, który zaprosił chłopaków na wódkę, chwycił butelkę soplicy i rozlał do kieliszków. Podniósł swój i spojrzał na nich przenikliwie. – No to za tych, co wiedzą, jak zrobić, żeby zarobić, i jak szkiełów jebać i się nie bać! – Wypili bez słowa, bo toast był zgodny z ich zasadami. – I w związku z tym ja do was dziś przyszedłem, panowie, bo wiem, żeście wszyscy są w kursie codziennym, znaczy się robicie swoją robotę, goląc frajerów.

– Golimy, aż miło, ha, ha! – rzucił zadowolony Pyśka.

– A da się z tego wyżyć? – zapytał Falco, uśmiechając się lewą połową ust, podczas gdy prawa połówka pozostała nieruchoma.

– Może na wczasy w Monte Carlo nie wystarczy, ale na picie i jedzenie jak najbardziej – stwierdził Zdzichu.

– Ale do Monte Carlo byście pojechali?

– Może byśmy pojechali, a może nie. Od czasu do czasu tylko do Berlina jeździmy po jakiś towar, jak jest potrzeba, dla tych, co handlują na rynku. Ale na zwiedzanie? Po co nam to?

– Żeby świata trochę zobaczyć, poznać co ciekawego. Albo jakąś panienkę przelecieć. Któryś z was przeleciał kiedy Niemkę? – Wszyscy czterej spojrzeli uważnie na Falconettiego. Podróże jako takie nie pociągały ich wcale, ale perspektywa zaliczenia Niemki była ekscytującą, żeby nie powiedzieć egzotyczną propozycją. – No widzę, że nie próbowaliście. A jak zaczniecie działać ze mną, to każdy z was co tydzień będzie mógł mieć Niemkę, Ruską albo nawet Murzynkę.

– Co ty pierdolisz, Falco? – Zdzichu zaczął wietrzyć jakiś podstęp. Murzynki przecież były w Afryce albo Ameryce. Ale żeby w Niemczech ruskie i murzyńskie dziewczyny czekały na nich, to się nie trzymało kupy.

– He, he! Widzę, że nie wierzycie. Ale taka jest prawda. Nie dość, że będziecie mieć forszę na panienki w Berlinie, to jeszcze będziecie zarabiać tyle, że nie będziecie wiedzieć, co robić z kapuchą.

– Znaczy że jak? – Pierwszy otrząsnął się ze zdumienia Pyśka. – My będziemy zarabiać w Berlinie. A kto będzie tu grał w trzy karty?

– Nikt nie będzie grał. Co cię karty obchodzą. Jak zaczniemy naszą wspólną działalność gospodarczą, to w dupie będziecie mieć karty, razem z tym odwróconym do góry nogami śmietnikiem i tą płytą na wysoki połysk, co ją chowacie za kioskiem. Koniec, panowie, wycierania łokci na bruku. Wy macie talent, bo widziałem, jak gracie, jak współdziałacie ze sobą i jak potraficie kłaść bajer, i nawijać makaron na uszy. Wy po prostu jesteście artystami w swoim fachu. Tyle że dotąd nie rozwinęliście jeszcze skrzydeł. I dlatego jestem tu dzisiaj u was, żeby wam wskazać kierunki rozwoju waszego przedsiębiorstwa. Żebyście za rok czy dwa nie stali dalej tu na Łazarzu, tylko byli bogatymi biznesmenami. Okazja leży na ulicy, trzeba się tylko po nią schylić. Trzeba złapać życie za grzywę i walić je w mordę. Tak robią ludzie czynu. A szmacciarze stoją w miejscu. No a wy przecież nie jesteście szmacciarzami. Nie mam racji, panowie?

– Niby prawda – zgodził się z nim Ulung. – Ale jak mamy to życie walić w mordę, jak nie wiemy, o czyje życie się rozchodzi. Znaczy mamy komuś przypierdolić czy jak? Bo jakby co, to Wafel jest w tym dobry.

– No może przywalić komuś będzie trzeba. Czemu niby nie? – zgodził się z kolegą Wafel.

– Ale tobie się nie rozchodzi o walenie? – domyślił się Zdzichu, który odważnie spojrział w oczy koledze z Wroniek. – Nie po to żeś nas zaprosił na wódkę, żeby zlecić nam jednorazowe wyklepanie jakiejś michy. No to gadaj, w czym rzecz, bo my jesteśmy obyte chłopaki, i nie musisz nas tu brać pod włos, że my niby tacy jesteśmy akuratni w naszym fachu. Gadaj, z czym przychodzisz, bo może prawda jest taka, że warto coś w życiu zmienić.

– No i za to cię lubię, Trąba. Ty to zawsze umiesz naprostować niepotrzebne krzywizny, żeby trafić do celu. A cel jest prosty, panowie. To są pieniądze. Takie, o jakich się wam wcześniej nie śniło. To są tysiące marek tygodniowo na głowę. Bez ryzyka, bez nadstawiania łba i bez wysiłku. Tu nawet nie trzeba się schylać, by podnieść torbę z kasą. Kasa sama wskoczy wam do kieszeni. Tylko musicie chcieć.

Chcieli. Pół godziny później każdy z nich wiedział już, co ma robić. Wszyscy zgodzili się, że ryzyko żadne, a robota lekka, łatwa i przyjemna. Nic tylko się do niej brać. I rzeczywiście, w momencie kiedy przystali na propozycję Falconettiego, zrozumieli, że to, co robili dotychczas, to mało ambitne zajęcie. Więc najwyższy czas przejść na inny, bardziej odpowiedzialny odcinek przestępczej działalności, który powinien im w krótkim czasie przynieść fortunę. Wprawdzie żaden z nich nie wiedział, co zrobią z tą górą pieniędzy, ale to było zmartwienie na później, kiedy kasa zacznie im się wysypywać z kieszeni. Choć miało to nastąpić już całkiem niedługo. Bo jak powiedział Falco, idą nowe czasy, które niosą ze sobą nowe wyzwania, dlatego trzeba się brać do roboty i ukraść swój pierwszy miliard. A później będzie już można spokojnie zostać szanowanym biznesmenem.

## **Poznań**

### **Godzina 15.10**

– A pan to niby jak taką kasetę ogląda? – zapytał Mazurek. – Nie trzeba jej wywoływać, znaczy oddawać do fotografa, żeby zrobił się film?

– Ha, ha! No nie. To nie jest błona filmowa. Tu taśma jest magnetyczna, tak jak w magnetofonie.

Gospodarz, krótko ostrzyżony pięćdziesięciolatek w dżinsach i sportowej koszulce z napisem Chelsea London chciał swoim wyglądem sprawić wrażenie, że jest jeszcze młodzieńcem, ale wieku nie da się ukryć, nawet jeśli stosuje się codziennie do smarowania gęby krem Nivea, pomyślał sierżant, przyglądając mu się uważnie. Zwłaszcza jeden szczegół przykuł jego uwagę. Facet na stopach miał miękkie, czarne mokasyny. No i w tym nie byłoby jeszcze niczego nienormalnego, bo każdy może sobie po domu łązić, w czym chce, i jeśli dojdzie do wniosku, że w swojej własnej chacie chce zakładać na nogi płetwy do nurkowania, to jego problem. Tyle że ów gość założył te buty na gołe stopy. A takie mokasyny zakłada się na skarpetki. Najmodniejsze są oczywiście białe, takie jak ma Michael Jackson, no ale jak kto nie ma białych, to można i zwyczajne we wzorki. Ale na gołe giry, kto to widział? Sierżant był jednak obyty w świecie i nigdy w życiu nie zwróciłby uwagi gospodarzowi na niestosowność jego ubioru. W końcu w policji obowiązywała jakaś kultura.

– No rozumiem. Kasetka jak w kaseciaku, znaczy magnetofonie kasetowym, czyli taśma jest w środku. Tylko jak na taką taśmę można zapisać obraz, jak się jej nie naświetla jak w aparacie?

Mazurek jako człowiek dociekliwy lubił dużo wiedzieć, zwłaszcza w sprawach, które należało dogłębnie wyjaśnić. A tu potrzebne były wyjaśnienia, bo gdy już się wszystkiego dowie, będzie musiał tę wiedzę przekazać Blaszkowskiemu. Swoją drogą ten Blaszkowski to niezłe umiał się ustawić w wydziale. Niby taki młody, dopiero po szkole, a już mu dają śledztwo do poprowadzenia. Facet szybko zrobi karierę, więc warto się go trzymać, jeśli chce się coś osiągnąć w policji. Sierżant analizował sytuację zawodową i śledczą jednocześnie, patrząc, jak gospodarz wyciąga kasetę z magnetowidu.

– O, i proszę, jest kasetka, większa jak w magnetofonie, ale i więcej można na niej zapisać. Ta akurat to sto osiemdziesiątka, czyli wchodzi sto osiemdziesiąt minut zapisu.

– Z jednej strony czy z dwóch?

– Nie, nie, kasetka VHS ma zapis tylko jednostronny.

– Łe, to kasety magnetofonowe są lepsze.

– Lepsze, ale nie zapisują obrazu, ha, ha!

– A jak się nagrywa i odtwarza?

– Normalnie. Wsadza się ją do magnetowidu i już jest podłączona do telewizora, i można oglądać – wyjaśnił gospodarz.

– A, i to już wszystko? – zdziwił się sierżant, który wcale nie był zacofany technicznie i nieraz już widział magnetowid, z którego można było odtwarzać filmy. W końcu kamerę wideo mieli nawet chłopcy z techniki i tą kamerą mogli nagrywać różne obrazki potrzebne w trakcie śledztwa, na przykład wizję lokalną czy nawet rekonstrukcję zbrodni. I jak już to wszystko nagrali, to później mogli to odtworzyć z magnetowidu. Tyle że ten ich sprzęt był wielki jak magnetofon szpulowy, a to, co miał ten facet u siebie w salonie, to była jakaś miniaturka. – Dobra marka – stwierdził z miną znawcy Mazurek, przypatrując się nazwie wypisanej srebrnymi literkami.

– Widzę, że pan się zna na sprzęcie. To magnetowid peweksowski, nie żaden szajs od handlarzy z Berlina.

– To te z Zachodu są niedobre? – zdziwił się sierżant.

– Jak ktoś chce mieć dobry sprzęt, kupuje w sklepie z gwarancją, a tamte przywożone z Niemiec to najczęściej koreańskie czy chińskie podróbki. Wyglądają na pierwszy rzut oka tak samo, ale marka już nie ta. Na przykład mój magnetowid jest wyprodukowany przez firmę Panasonic, a podróby pojawiają się pod szyldem Panasonix. Tylko jedna literka różnicy, a jednak to już zupełnie inna jakość.

– Dużo pan wie o tej technice telewizyjnej.

– No interesuję się, czytam czasopisma...

– Ano tak, to już rozumiem, czemu ma pan kamerę na domu.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– To tylko taka zabawka.

– Co? Jak zabawka?

– A tak, że rzeczywiście wygląda jak prawdziwa kamera, ale niestety nic nie filmuje.

– To po co taką montować? – Mazurek był autentycznie zdumiony. Jak można było mieć na ścianie domu zainstalowaną kamerę, która nie nadawała się do filmowania?

– To jest atrapa. Chodzi o to, żeby złodziej, co przyjdzie na podwórko, zobaczył, że jest tu kamera i że nie warto się włamywać, bo zostanie nagrany



i od razu będzie wiadomo, kto się włamał.

– To zasadniczo nie jest głupie. – Wyjaśnienie najwyraźniej zaspokoilo ciekawość policjanta. Inna rzecz, że nie pomagało w śledztwie. – To szkoda, że nie ma pan żadnych nagrań z tego wybuchu, bo już se myślałem, że jak kto ma kamerę w chacie, to nagrywa.

– Niestety. – Mężczyzna rozłożył bezradnie ręce. – Na to nic panu nie jestem w stanie poradzić. Niestety też niczego nie widziałem. Nie było mnie w domu, kiedy doszło do tego wybuchu.

– To znaczy, że nic pan nie wie? – Sierżant był rozczarowany.

– Nic a nic. Nawet nie wiedziałem, że był jakiś wybuch. Dopiero jak przyjechałem do domu, to sąsiad, co mieszka na prawo ode mnie, powiedział, że auto wybuchło.

– I co jeszcze powiedział? – zainteresował się policjant.

– No że wybuchło. I że to jakieś pewnie porachunki gangsterskie.

– Aha, gangsterskie, mówi pan?

– No ja tak nie powiedziałem, sąsiad mówił. Najlepiej jakby pan do niego poszedł. On się na tych sprawach zna, bo jego teść w milicji pracował.

– A te kasety to gdzie się kupuje? – dopytywał policjant, dostrzegając na półce równy rząd VHS-ów, ustawionych tak, jak się stawia na meblościance książki. Tych kaset było tam ze dwadzieścia i każda miała inną okładkę.

– Kasety przywozi się z Niemiec.

– A jakie filmy są na nich?

– Różne – odparł najwyraźniej zmieszany gospodarz.

– Czyli że jakie? – ciągnął dalej coraz bardziej zainteresowany Mazurek. Zainteresowanie wzięło się stąd, że podszedł nieco bliżej solidnej, dębowej szafy i dostrzegł, że na kilku kasetach pod obcojęzycznymi napisami widać fragmenty nagich ciał.

– No fabularne, kostiumowe...

– I bez kostiumów? – zapytał podchwytliwie sierżant, sięgając po jedną z kaset, która wydała mu się szczególnie obiecująca. I nie pomylił się. Spojrzał na okładkę i naraz poczuł, że robi mu się ciepło w okolicach podbrzusza. Na okładce widać było kilka rozebranych do rosołu pań, które pochylały się nad leżącym w łóżku gołym mężczyzną. – No proszę, co my tu mamy? Zdaje się, że to pornografia jest. A pan wie, że w naszym kraju pornografia jest nielegalna?

– He, he. – Mężczyzna zaśmiał się sztucznym śmiechem. – Jaka pornografia? To przecie jest film erotyczny. A erotyka jest u nas dozwolona. Widać tylko trochę, ale żadnych szczegółów w tym filmie nie ma...

– Nie ma? Może trzeba by sprawdzić? – zapytał z nadzieją w głosie Mazurek. Nigdy w życiu nie widział jeszcze filmu pornograficznego. A filmu, w którym kilka pańek byłoby w łóżku z jednym gościem, nawet nie potrafił sobie wyobrazić. Pomyślał więc, że gotów jest zrobić wszystko, żeby tylko przekonać się, jak to wygląda w praktyce, bo jeśli można zrobić to w filmie, to da się także w życiu. – Wiecie, obywatelu, w pracy policyjnej często o wykryciu przestępstwa decyduje przypadek. Szukamy jakiegoś istotnego śladu w jednej sprawie, a naraz przypadkiem trafia się na inne fakty, na pierwszy rzut oka niezwiązane ze śledztwem, co my je właśnie prowadzimy. I mi się wydaje, że mamy tu do czynienia z takim właśnie przypadkiem. Niby nic nadzwyczajnego, zwykły magnetowid i mała kolekcja kaset, a tu proszę, nielegalne pokazy porno się mogą odbywać... – Zaatakował z grubej rury, bo wiedział, że lepiej takiego delikwenta od razu przycisnąć i w ten sposób zdobyć nad nim przewagę.

– Jakie pokazy, jakie porno? Panie sierżancie szanowny, przecież tu nic się takiego nie odbywa. To jakieś kompletne bzdury. – Gospodarz zaczął się bronić, ale robił to zbyt impulsywnie, kryjąc pod ekspresją oznaki zdenerwowania. Mazurek od razu spostrzegł, że trafił w czuły punkt. I dlatego przeszedł do improwizacji.

– A co do sąsiadów, to my w takich wypadkach od razu wywiad środowiskowy robimy. No wie pan, trzeba sprawdzić wszystko z każdej strony.

– Co pan ma na myśli?

– Wszystko, znaczy się na ten przykład, czy w ogólności jest spokój w domu, czy nie za dużo ludzi się kręci, i z wywiadu mamy informacje, że od czasu do czasu przyjeżdża tu sporo ludzi.

– Zaraz tam sporo. – Mężczyzna lekceważąco machnął ręką, próbując zbagatelizować oskarżenie. – Jak w każdym domu od czasu do czasu robi się party.

– Że co? Party to niby że partyjne spotkanie? – zapytał nerwowo Mazurek, bo wszystko, co partyjne, źle mu się kojarzyło, zwłaszcza w czasach, w których co chwilę powstawała jakaś nowa partia, która zamierzała przejąć całą władzę w kraju, mimo że wszyscy jej członkowie nie byli w stanie zająć wszystkich krzeseł przy stoliku w kawiarni.

– Party to po angielsku spotkanie, niby taka impreza... no prywatka.

– A, rozumiem. Znaczy robi pan porno party. – Mazurek ucieszył się z wymyślonego przez siebie właśnie nowego określenia, które wydało mu się szczególnie pasujące do sytuacji, mimo że jeszcze nigdy takiej imprezy porno nie widział.

– Ja bym nie przesadzał z tym porno, panie oficerze. – Oskarżony o rozwiązłość próbował wybrnąć z trudnej sytuacji. – Tu w ogóle o żadnym porno nie ma mowy.

– Tak pan mówi, to może zobaczymy któryś z tych filmów. Sprawdzimy i wszystko będzie jasne – zaproponował Mazurek.

– Proszę bardzo, niech pan sobie siądzie. – Sąsiad Grubińskiego wskazał na wielki wygodny fotel, jeden z dwóch tworzących wraz z kanapą komplet wypoczynkowy, który za nic w świecie nie zmieściłby się w mieszkaniu w bloku. Policjant ochoczo przystał na propozycję. Podeszedł do fotela i od razu zapadł się w pluszowe miękkości. Pomyślał, że właściwie byłoby dobrze, gdyby mógł zdjąć buty, ale przypomniał sobie, że jego skarpetki mają dziury na czubkach paluchów, więc ta opcja luzu odpadała. No a w ogóle był na służbie, więc nie mógł się kompletnie zrelaksować, bo w końcu prowadził tu śledztwo i zbierał dowody, nawet jeśli to były dowody na kompletnie inne przestępstwo niż to, które go tu przywiodło.

– Może się pan sierżant napije odrobinę łyskacza? – zaproponował gospodarz i natychmiast, nie czekając na odpowiedź, podeszedł do barku. Otworzył drzwi szafki, której wewnątrz rozbrły jarzeniowymi lampkami. Szybko wlał alkohol do szklanki z rżniętego szkła i podał ją policjantowi. Ten tylko skinął głową, jakby to częstowanie alkoholem było czymś zupełnie naturalnym i podczas każdego przesłuchania dawano mu whisky do degustacji. Prawda była jednak taka, że nie miał dotąd zbyt wielu okazji do kosztowania takich wykwinnych trunków. Kiedyś ktoś go wprowadził poczęstował łyskaczem, ale nalewał do kieliszka, a nie do szklanki, i podawał normalnie tak jak każdą wodę, z popitką. Teraz chciał nawet upomnieć się o jakąś oranżadę, ale zobaczył, że gospodarz, który sobie też nalał, od razu upił spory łyk bez zapitki. Mazurek był pojętym uczniem i szybko się uczył, więc też się napił i musiał przyznać, że ta ruda woda weszła mu o wiele lepiej niż vistula czy bałtycka.

– No to pokaż pan, co tam jest na tych kasetach.

– To ja może zaproponuję panu bardzo dobry film zatytułowany *Heidi*, dziewczyna z gór Schwarzwaldu.

Mazurek pokręcił głową.

– Nie, ten nie. Niech pan da ten, co miałem w ręce. Znaczy ten, co jego okładkę oglądałem.

– Ale on nie jest najlepszy. To w porównaniu z Heidi...

– Daj pan ten film – zażądał Mazurek, wskazując na kasetę leżącą na ławie.

– Ale kiedy ten film jest jakościowo bardzo...

– Ja chcę zobaczyć właśnie ten – oświadczył stanowczo Mazurek, który nie mógł się doczekać widoku faceta baraszkującego z kilkoma kobietami.

– Poza tym z tego filmu taśma się wciągnęła w odtwarzacz i są pogięcia, tak że niewiele widać. Ale *Heidi* to jest klasyka gatunku. Zobacz pan, że nie będzie zawodu. To najlepszy film...

Za bardzo mu zależy, stwierdził w myślach Mazurek, który wyczuł, że facet coś kręci. A jeśli rzeczywiście próbował go zwieść, trzeba było to sprawdzić. Bo jeśli mówił nieprawdę z tym filmem, to znaczy, że i z wybuchem u sąsiada też mógł kręcić.

– No dalej, puszczaj pan ten film, co mówię, bo ja nie mam czasu na pierdoły. Śledztwo samo się nie zrobi. Wkładaj pan tą kasetę, bo zaraz stracę cierpliwość!

Zrezygnowany właściciel domowego okna na świat podszedł do odtwarzacza, włożył do niego kasetę, a potem pilotem włączył telewizor.

– A co, nie mówiłem, że jest nagranie uszkodzone? Widzi pan, że nic nie widać. Jak mówię, to mówię...

– Zaraz, zaraz... – Mazurek wyprostował się na fotelu, bo naraz zauważył, że film, mimo że dość mocno nieczytelny, pokazuje znane mu wnętrze. – Co jest, do cholery? To jest film... z tego pokoju. – Rozejrzał się, żeby się upewnić, i zaraz wrócił spojrzeniem na ekran telewizora. W samą porę, bo akurat w tym momencie obraz się poprawił i stał się niemal idealny. Bez trudu więc dostrzegł, że gołym facetem na tapczanie, którego dosiadała szczupła blondynka o mizernych piersiach, jest gospodarz domu. Nad nim pochylały się jeszcze cztery inne nagie kobiety, które od tyłu były obejmowane przez czterech gołych facetów. Wszyscy rytmicznie poruszali biodrami, więc Mazurek aż zaniemówił z wrażenia. I wcale nie chodziło o to, że ci ludzie pieprzyli się ze sobą

w jednym pokoju. To, co było w tym wszystkim najbardziej ekscytujące, to fakt, że cała ta scena była utrwalana na taśmie magnetycznej. A to znaczyło, że byli jak kinowi aktorzy, którzy grają w filmie i jeszcze mają z tego prócz kasy też przyjemność. I wtedy sierżant Mazurek zrozumiał, że to jest właśnie jego prawdziwe powołanie i niczego tak bardzo nie pragnie w życiu, jak wziąć udział w kręceniu takiego niesamowitego filmu.

Wpatrzony w ekran, zapomniał nawet o szklance z whisky. Ale jak miał myśleć o takich przyziemnych sprawach w chwili, kiedy ten facet pokazał mu właśnie schody do nieba.

## **Opalenica**

### **Godzina 15.15**

Chorąży sztabowy Bogusław Smolarek miał już wolne, więc mógł iść do domu. Ale poczuł, że coś jeszcze powinien zrobić, bo ta prokurator nie dawała mu spokoju. Te baby to potrafią tak zaleźć za skórę, że potem nie wiadomo za co by się człowiek brał, to i tak będzie myślał o takiej cholercze. Nie jak o kobiecie, ma się rozumieć, tylko o takiej natrętnej końskiej musze, która lata ponad głową i czeka tylko, żeby ukąsić w tyłek. Był zły na prawniczkę, ale też trochę na siebie, że dał się jej tak wykołować. Bo powinien być bardziej twardy, jednak poddał się jej, no i przegrał. Gdyby był bardziej stanowczy, to ta główniara by mu nawet nie podskoczyła, ale dał się jej omotać...

I dlatego teraz postanowił, że jeszcze raz przyjrzy się sprawie, żeby tej cholerczej smarkuli utrzyć ostatecznie nosa. A jak już przytrze i wyjaśni wszystkie wątpliwości, to wtedy powie jej, co o niej myśli. Oczywiście niezłośliwie i bez chamstwa, bo chamem przecież nie jest. Powie jej tylko, że w nowoczesnym śledztwie też trzeba czasami postawić na doświadczenie, a nie na młodzieńcze przecucia. Tak właśnie jej powie, a ona się zrobi czerwona jak burak i będzie musiała przyznać mu rację. Nie będzie miała innego wyjścia.

– O, czołem, Boguś! – zawołał właściciel warsztatu na widok kolegi. Smolarek znał Cegłowskiego od dziecka, bo chodzili do jednej klasy w podstawówce. – Poczekaj no, zaraz do ciebie przyjdę! – krzyknął i wskazał policjantowi ławkę stojącą obok wjazdu do hali naprawczej. Chorąży podszedł do niej, usiadł wygodnie, rozpiął kołnierz mundurowej bluzy, bo było mu trochę gorąco od tego chodzenia. W końcu żeby z centrum dostać się na przedmieścia, musiał iść pieszo niemal piętnaście minut. Miał więc prawo trochę się zmęczyć.

Wydobył z raportówki wymiętą paczkę klubowych, włożył papierosa do ust i zapalił. Cegłowski tymczasem gadał z jakimś młodym, krótko ostrzyżonym człowiekiem, ubranym w seledynowy dres z białymi paskami naszytymi wzdłuż rękawów i nogawek. Policjant nie był specjalnym znawcą mody, ale jednego był pewien: trzeba się ubierać odpowiednio do okazji. Jeśli jest się w pracy, to zależnie od roboty w strój do pracy, taki jak na przykład roboczy kombinezon, który ma na sobie Cegłowski. A jak jest się na stadionie, to trzeba być ubranym na sportowo jak ten chłopak. Tyle że tu nie było żadnego stadionu, ale podwórko autonaprawy, więc nie rozumiał, dlaczego ten młodzieniec wystroił się, jakby miał zaraz wziąć udział w zawodach. Nawet na nogach miał białe adidas, jak sportowiec gotowy do biegu. A tu żadnych zawodów nikt przecież nie organizował. Naraz przypomniał sobie, że widział już na ulicy takich gówniarzy w dresach. To mogło znaczyć, że panuje moda na sport. Szkoda tylko, że na ubraniach się kończyło i ci młodzi niczego nie trenowali. Bo przecież mogliby chodzić do klubu ćwiczyć, na przykład strzelectwo albo cokolwiek...

Spojrzał na Cegłowskiego. Chłopak podał mu jakieś kwadratowe pudełko, a ten zaczął to uważnie oglądać. Każdy z nich coś mówił, ale co, tego policjant nie słyszał. No ale tak naprawdę to wcale nie był ciekawy. Podśluchiwanie rozmów kolegów szkolnych z dostawcami części zamiennych do aut nie wchodziło w zakres jego obowiązków. Tymczasem Cegłowski wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni kombinezonu, wyciągnął z niej plik banknotów, odliczył jakąś kwotę i podał pieniądze młodzieńcowi. Ten, zadowolony, schował je do kieszeni spodni i jednocześnie podał właścicielowi warsztatu swój towar. Transakcja została zawarta. Chłopak natychmiast wsiadł do opla, odpalił silnik i odjechał. Majster kiwnął ręką czekającemu policjantowi i zniknął w warsztacie. Widać musiał odnieść zakupioną część do magazynu.

Nim dopalił papierosa do połowy, mechanik siedział już obok na ławce. Też zapalił, ale lepszą markę. Widać, że dobrze mu się powodziło, skoro było go stać na camele. Smolarek w zasadzie też mógł sobie na nie pozwolić, zwłaszcza od czasu, jak zagraniczne papierosy zaczęły być ogólnodostępne. Za komuny nie można było ich dostać nigdzie poza peweksem, a gdy tylko skończył się socjalizm, od razu pojawiły się w handlu w takich ilościach i w takim wyborze, że nie wiadomo było, za co się chwytać. No i żeby nie oszaleć od nadmiaru dobrobytu, chorąży został przy tych, które palił od lat, czyli przy śmierdzących niemiłosiernie klubowych. „Może i śmierdzą, ale przynajmniej smakują tak, jak

zawsze smakowały”, powtarzał, gdy ktoś namawiał go do przejścia na zachodnie marki.

– Jak ty możesz palić to świństwo? – Cegłowski wskazał głową na klubowego kolegi. Ten spojrział na trzymanego między dwoma palcami papierosa, zaciągnął się, powoli wypuścił dym i uśmiechnął się lekko.

– A wiesz, że ostatnio się całkiem poprawiły? Jakby lepszy tytoń zaczęli do nich dawać. I wcale nie ma już w środku kołków. Mówię ci, od czasu jak nastał u nas ten kapitalizm, to jakby inaczej, no może nie od razu lepiej, ale coś się tam poprawia.

– Mówią, że będą zamykać PGR-y i spółdzielnie produkcyjne – rzucił Cegłowski.

– A co cię PGR-y obchodzą? Niech zamykają w cholerę. Tam zawsze był jeden wielki syf. Sami złodzieje tam pracowali. Nic, tylko wynosili wszystko, co się dało, części od maszyn, zboże, nawozy, narzędzia... Wszystko, co można było ukraść, kradli. Ty wiesz, ile ja razy byłem tam wzywany? Tu obok nas, w tym Urbanowie, tak dobrze im było przez całe lata, że codziennie rano pegerusy dostawali za darmo mleko rozlewane do kanek. Mleko się skończyło, gospodarstwo pada, a nas bez przerwy wzywają do jakichś kradzieży. A oprócz tego w tych blokach stale jakieś awantury, bójki, bicie żon i dzieciaków, i ciągle wóda. Jak Balcerowicz zlikwiduje te PGR-y, to wreszcie będzie spokój.

Mechanik pokręcił głową, uśmiechając się lekko.

– Z ciebie, Smoluch, to jest jednak fujara – stwierdził, używając przy tym szkolnego przydomka kolegi.

Policjant nie miał nic przeciwko temu, bo kto jak kto, ale kumpel ze szkolnej ławy mógł sobie pozwolić na więcej niż inni.

– Że niby o co ci chodzi?

– Ano o to, że patrzysz tylko do końca swojego nosa. A ty żeś jest stróż prawa i żeś powinien patrzeć się szerzej. Mówisz, będzie spokój, jak zlikwidują te PGR-y? No to se zapamiętaj, co ja ci teraz powiem. Gównem będzie, nie spokój. Będzie jeszcze większa patologia, jak była. Wiesz czemu? Bo mogą zlikwidować gospodarstwa i nawet wszystkie budynki, ale ludzi nie zlikwidują. Ludzie zostaną w tych blokach i nie będą mieli nic do roboty. Bo oni przecież swoich gospodarstw nie mają.

– To powinni podzielić ziemię i każdemu z nich dać kawał. Powiedzmy, po dziesięć hektarów, żeby se mogli uprawiać swoje. Jak to się nazywa? Uwłaszczenie. – Przypomniał sobie trudne słowo, zapamiętane z lekcji historii.

– Uwłaszczyć, mówisz? Może to i dobry pomysł. Ale jak se wyobrażasz, że taki traktorzysta z PGR-u dostaje ziemię i co z nią robi? Przekopuje łopata?

– Mogliby mu dać ciągnik... – zaproponował policjant, ale już dość niepewnie. Nie znał się na takich kwestiach i niezbyt dobrze się czuł w dyskusjach o prywatyzacji, o której mówili ostatnio cały czas w telewizji i radiu.

– Musieliby takiemu traktorzyście dać traktor, przyczepę, pług, bronę, krowę, świnie i jeszcze do tego dom ze stodołą i oborą. To, bracie, nierealne zupełnie. A kto takiemu gościowi, co całe życie robił to, co mu kazał kierownik, powie, kiedy ma wysiać albo zebrać? Przecież oni nie mają podstawowej rolniczej wiedzy... To się nie uda, bracie. Zobaczysz, ta likwidacja przyniesie więcej szkody niż pożytku. Już przynosi.

– W sensie znaczy się jak?

– Ano tak, że ci ludzie już wiedzą, że będą ich zwalniać. I wiedzą też, że dostaną odprawy, pięciokrotność czy jakąś tam krotność ich pensji. I oni, nie mając żadnej przyszłości, przychodzą do mnie i pytają się, za ile samochód można kupić. Ale nie jakiegoś malucha czy dużego fiata. Co to, to nie. Oni chcą sprowadzane z Niemiec zagraniczne fury. Rozumiesz to, stary? Chcą mieć luksusowe wozy. Przejebią na to całe odprawy i gównu im zostanie na przeżycie. Na benzynę nie będzie ich stać, jak stracą robotę, ale będą mieć passata. – Wskazał na rozbite auto, które stało pod płotem. – A jakbyś im dał ziemię, to ją zaraz sprzedadzą, kupią sobie telewizory, wideo i pojedą na wakacje nad morze. A jak wszystko przepierdolą, to wyciągną rękę do państwa...

– A ten passat rozbity to jeszcze tu musi postać trochę – powiedział z nutą usprawiedliwienia w głosie chorąży. Choć nie było w tym przecież żadnej jego winy, to czuł się w obowiązku wytłumaczyć przyjacielowi, w czym rzecz. – Wiesz, normalnie by była już sprawa zamknięta, ale jest taka jedna prokuratorka. Młoda gówniara, co się nazywa Brygida Bocian. Dopiero robotę zaczęła, a się wymądrza, jakby wszystkie rozumy zjadła. No i przez nią nie możemy dać śledztwa do umorzenia, tylko będziemy się z tym jeszcze długo pieprzyć.

– Brygida Bocian? Taka blondynka z prostymi włosami?



– No dokładnie ta sama.

– To jest córka tego adwokata Bociana, co mnie wybronił, jak mi chcieli dowalić domiar za przekroczenie progu i miała mi wyjść progresja. Ale on jest dobry prawnik – stwierdził z uznaniem Cegłowski. – Sprawę żeśmy wygrali.

– Może i stary dobry adwokat, ale córka padła daleko od jabłoni, znaczy potoczyła się dalej, niż trzeba, i się stoczyła zupełnie. Życ nie daje cholera jedna.

– Może by z ojcem pogadać? – zaproponował mechanik.

– No coś ty? Co mu powiesz, że ma nadgorliwą prokuratorkę w chacie? No przecież jak ją wychował, to wie, że jest czepialska.

– I mówisz, że ta cholera ciebie się czepia?

– Mnie nie, ale tego auta. Powiada, że trzeba zamknąć wszystkie wątki. Bo niby nie wiadomo, co w tym aucie przewozili...

– A co mieli przewozić? – zareagował trochę zbyt szybko Cegłowski. Ale Smolarek nie zauważył tego pośpiechu. – Nic tam nie ma w tym aucie. Ja je sam przejrzałem w każdym miejscu i nic podejrzanego tam nie ma...

– Ja bym jeszcze rzucił okiem – powiedział chorąży. – No wiesz, tak dla świętego spokoju. Żeby mieć pewność, że wszystkiego się dopilnowało, a ta młoda szuka dziury w całym, bo ma parszywy charakter.

– Jak chcesz, to patrz, ale tam nic nie znajdziesz. Tylko krwi dużo...

Policjant wzdrygnął się. Nie lubił krwi. W ogóle nie lubił żadnych oględzin ciał, miejsc zbrodni i wypadków drogowych. No ale taką miał pracę. Postanowił przezwyciężyć swoją ewidentną słabość i popatrzeć na to auto z bliska, żeby nie mieć później pretensji do siebie, że coś przeoczył.

– Ale ty już jesteś po służbie chyba, nie? – zapytał znieczeka Cegłowski.

– No zasadniczo to już skończyłem. Tak tylko dla świętego spokoju przyszedłem, no wiesz, żeby mieć pewność, że wszystkiego dopilnowałem.

– Tak, ja to rozumiem. To idź patrz sobie na tego trupa. Ale ja ci powiem, że tam nic nie ma.

– W sensie?

– W sensie, że nie ma nic podejrzanego. Fura rozpiardzielona i tyle. Możesz se patrzeć i nic nie wypatrzysz, bo już ci twoi spece od techniki ją przejrzel, a potem jak oni już wszystko przepatrzeli, to ja jeszcze tam zajrzałem i powiem

ci, że nie ma co, żebyś sobie tam mundur wycierał w jakimś rozpieprzonym aucie, jak ja mam w kanciapie bardzo fajną flaszczkę dobrej śliwowicy.

Policjant spojrzał uważnie na kolegę.

– Śliwowicy sklepowej? – zapytał podejrzliwie. Mechanik klepnął go w kolano i zaśmiał się głośno.

– No za kogo ty mnie masz, chłopie. To najprawdziwsza śliwowica z Buku, pędzona nocą, jak Pan Bóg przykazał, a więc całkowicie nielegalna.

– No jak ty masz nielegalną śliwowicę, to mnie jako przedstawicielowi organów ścigania natychmiastowo musisz ją pokazać, a ja jako policjant ci ją zarekwiruję, bo wiesz dobrze, że nielegalny alkohol...

– Nielegalny alkohol z dobrej bimbrowni jest najlepszy, bracie! – powiedział Cegłowski i podniósł się z ławki, a policjant natychmiast poszedł w jego ślady. Nie mógł przepuścić takiej okazji. Znał wszystkie bimbrownie w okolicy i musiał obiektywnie stwierdzić, że ta od starego Maliniaka z Buku nie ma sobie równych. Więc jeśli kolega częstował, nie miał wyboru, musiał spróbować, czy aby przypadkiem się nie skiepiła.

Po chwili starzy kumple zniknęli w hali napraw, tam gdzie swój kantorek miał właściciel warsztatu. Na ten moment czekali tylko dwaj młodzi adepci sztuki naprawczej. Uzbrojeni w odpowiednie narzędzia szybko przebiegli dziedziniec i kryjąc się za rzędem samochodów, dotarli do płotu, pod którym stał rozbity passat. Upewniwszy się, że nikt ich nie widział, wczołgali się pod auto. Mieli przed sobą trochę roboty.

## **Poznań**

### **Godzina 15.30**

– Gdzie jest ten pieprzony Mazurek? – zapytał Blaszkowski sam siebie, rozglądając się wokół. Na podjeździe technicy zbierali elementy zniszczonego auta i pakowali je do plastikowych skrzynek. Cały teren willi należącej do Grubińskiego został oddzielony taśmą od sąsiednich posesji. Policjanci zablokowali też część ulicy, tak że dostępny był tylko jeden pas. To wywoływało wyraźne niezadowolenie przejeżdżających tu sąsiadów, którzy głośno wyrażali swoją dezaprobatę dla policyjnych działań.

Jak to się wszystko zmieniło przez te ostatnie kilka miesięcy, myślał, patrząc na brodacza w polonezie, który tłumaczył chłopakowi z prewencji, że powinni mieć zgodę prokuratora na zamykanie ulicy, bo on zna swoje prawa i wie

dobrze, że nikt nie może mu ograniczać wolności. A jeszcze niedawno grzecznie by stąd pojechał, bez kwestionowania milicyjnych działań. Milicja jednak więcej mogła, a ci pyskacze to jest cena demokracji. Mariusz musiał jednak przyznać, że zdecydowanie woli pyskujących ludzi, którzy czuli wolność, niż takich stłamszonych przez komunizm szaraków bez właściwości. No ale wszystko ma swoje granice...

– Najpierw się, kurwa, naucz czytać i pisać, gnojku, a potem pouczaj spokojnych obywateli – zawołał brodaczu do młodego policjanta, który zrobił zdziwioną minę. – I na fujarzy sobie zagraj, a nie na gwizdku! Widzicie go, żeby taki gówniarz gwizdał na człowieka.

– Szeregowy, czy obywatel kierowca nie stosuje się do poleceń? – zapytał Blaszkowski.

– Melduję, panie poruczniku, że wpycha się na chama.

– W takim razie możecie mu wystawić mandat karny w wysokości dziesięciu tysięcy złotych za utrudnianie działań policyjnych, a jeśli nie będzie chciał przyjąć mandatu, napiszecie wnioski do kolegium do spraw wykroczeń.

– Zaraz, panie poruczniku! – oburzył się brodaczu. – Tylko nie tak ostro, bo ja mam swoje kontakty. Wy, kurwa, nie wiecie, kim jak jestem, psy pierdolone!

Facet chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Mariusz skinął na sierżanta, który zaintrygowany wymianą zdań podszedł, żeby sprawdzić, o co chodzi. Przekonawszy się, że jego podwładny ma kłopot, chciał już interweniować, ale gdy w sprawę wtrącił się Blaszkowski, pozostał w odległości pozwalającej na uważną obserwację.

– Sprawdźcie też obywatela na obecność alkoholu w wydychanym powietrzu, bo coś mi się zdaje, że mamy tu do czynienia z osobą prowadzącą pod wpływem.

– Już się robi, panie poruczniku. – Uśmiechnięty od ucha do ucha sierżant zsalutował i podszedł do poloneza.

– No, panie kierowco, poproszę o dowód osobisty, prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Niech pan wyłączy silnik. Za chwilę poddamy pana badaniu na...

Mariusz ruszył w kierunku domu, ale po przejściu kilku metrów przystanął. Właściwie to nie miał już po co tam iść. Z Grubińskiego niczego nie wycisnie, a z Brodziakiem nie było na razie o czym gadać, skoro podjął się niańczenia swojego kumpla. Rozejrzał się jeszcze, szukając wśród funkcjonariuszy znajomych twarzy. Jakoś mi się to śledztwo zaczęło trochę rozłazić, pomyślał.

Przede wszystkim rozłazili się ludzie. Najpierw zniknął gdzieś Olkiewicz, ale w tym nie było nic nadzwyczajnego. On zawsze zniknął i potem odnajdywał się w cudowny sposób. Taki już miał styl działania i nikt od dawna tego nie kwestionował. Olkiewicz był jak drużyna zwiadowców wysłana na przeszpiegi za linie wroga. Zbierał informacje przydatne i mniej ważne, ale zawsze można było wybrać z nich coś, co mogło w jakiś sposób wpłynąć na przebieg śledztwa w początkowej jego fazie. Przede wszystkim byli to świadkowie, których Olkiewicz potrafił wygrzebać spod ziemi. Więc jeśli teraz gdzieś przepadł, to musiał kręcić się w najbliższej okolicy i rozmawiać z ludźmi. Mariusz popatrzył na boki, jakby spodziewając się, że zaraz z którejś z sąsiednich posesji wyjdzie zadowolony Teoś i swoim zwyczajem zapyta, czy już czegoś się dowiedzieli, bo jak nie, to on, Olkiewicz, ma dla nich informacje... Ale nie wyszedł, za to Grzechu Kowal jak zwykle siedział w swoim samochodzie niezainteresowany dochodzeniem i oględzinami, tylko czytał jakąś książkę, paląc przy tym papierosa. Blaszkowski podszedł do niego i przystanął obok otwartych drzwi volkswagena transportera, który Kowal dostał niedawno w zastępstwie nyski, bo ta nadawała się już tylko na złom.

– Co czytasz?

– Kryminał.

– Mało masz kryminału w robocie?

– To co innego. Tu jest samo życie, nudne i przewidywalne. A w książkach jest zupełnie inaczej. Tam jest więcej tego, no... świata. Nawet w tych kryminałach, co są takie zwyczajne, też jest trochę inny świat. Bardziej taki jak z peweksu. No wiesz, o czym mówię.

Mariusz pokiwał głową. Wiedział. Też czytał kryminały. Gdy chodził jeszcze do szkoły podstawowej, zaczytywał się w komiksowych przygodach kapitana Żbika. To właśnie te opowieści sprawiły, że postanowił pójść do pracy w milicji. Chciał jak ten komiksowy kapitan rozwiązywać kryminalne zagadki i pomagać ludziom. Marzył, że kiedyś spotka prawdziwego Żbika, bo podobnie jak wielu młodych wielbicieli tej postaci wierzył, że ten milicjant naprawdę istnieje. Tym bardziej że w niektórych zeszytach kapitan na wewnętrznych stronach okładek zwracał się bezpośrednio do czytelników, opowiadając na przykład o tym, co zrobić, by zostać milicjantem. To akurat Mariusz dobrze wiedział, bo jego tata pracował w milicji. On nie podzielał zachwytów syna nad postacią kapitana i uważał, że te jego przygody to bajki wyssane z palca, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Wtedy myślał, że tata

zwyczajnie nie ma pojęcia o tym, jak wygląda prawdziwa milicyjna robota w warszawskiej komendzie głównej. Dopiero niedawno zrozumiał, o co chodziło ojcu, gdy twierdził, że te komiksy to historyjki dla grzecznych dzieci. Kiedy pojechał na kilka dni do rodziców do Piły, w swoim dawnym pokoju znalazł całą kolekcję komiksów, Żbików, Klossów i Tytusów. Sięgnął po pierwszy z rzędu zeszyt, zatytułowany *Wiszący rower*. Przypomniał sobie wtedy, jak wstawał o piątej, żeby zająć kolejkę pod kioskiem otwieranym o szóstej, bo wśród kolegów rozeszła się wieść, że przyszły nowe Żbiki, ale kioskarz otworzy paczkę dopiero nazajutrz i zacznie sprzedaż wraz z poranną prasą. Okazało się, że amatorów Żbika było znacznie więcej. Gdy przyszedł pod kiosk, stało już tam dziewięciu chłopaków, a za nim ustawilo się jeszcze ze dwudziestu. Szybko okazało się, że komiksów było tylko dziesięć. Pamiętał, jak kupował ten ostatni zeszyt, jak mocno trzymał go w dłoniach, żeby ktoś z tych, co czekali na próżno, nie wyrwał mu skarbu, i potem, jak oglądał obrazki i czytał sto razy. Nie zauważył wtedy tego, co dziś wydało mu się oczywiste. Fabuła opowiadała o zachodnich szpiegach, którzy z pokładu miniaturowej łodzi podwodnej, pływającej po jednym z mazurskich jezior, obserwowali wojskowe odrzutowce startujące z pobliskiego lotniska. Kapitan Żbik zastawił sidła i złapał przestępców. Pomogli mu w tym harcerze, którzy o wszystkim poinformowali milicjanta. Dopiero teraz, przeczytawszy ten komiks po raz drugi, zrozumiał, jak idiotyczna była ta kryminalna intryga. Szpieg, który zaproponowałby swoim mocodawcom, że z łodzi podwodnej, pływającej w polskim jeziorze, będzie obserwował samoloty, które bez przeszkód mógł z leżaka na plaży obserwować i liczyć każdy turysta z RFN, zapewne natychmiast zostałyby wysłany na badania do psychiatrii. Ale w PRL-u wszystko było możliwe i dzieciom opowiadka o szpiegach bardzo się podobała. Wtedy Mariusz chciał być takim harcerzem, który pomaga milicjantom w pracy. Ale miał utrudnione zadanie, bo kapitan Żbik był w Warszawie, a pod ręką był tylko sierżant Blaszkowski. Gdy zaproponował ojcu, że będzie dla niego śledził przestępców, ten kazał mu się zająć śledzeniem tego, co jest w książkach do matematyki, bo z tego przedmiotu szło mu niezbyt dobrze. Mariusz nie został więc milicyjnym obserwatorem i sygnalistą, ale z matematyki też się nie podciągnął. Za to wychowany na kryminałach dla młodzieży pozostał wierny temu gatunkowi literatury i czytał także te „dorosłe” powieści z serii z jamnikiem czy kluczykiem.

– Jaki tytuł?

– *Kuzyneczki*, autor Albert Wojt. – Kowal obrócił książkę w dłoniach, pokazując Mariuszowi okładkę przedstawiającą szklanę z czymś utopionym w środku.

– Nie znam tego pisarza.

– Bo to całkiem nowa książka. Z tego roku, ale jeszcze akcja się dzieje w milicji.

– O czym jest?

– O morderstwie. Taka prosta historia. Trzej młodzi ludzie jadą sobie na wakacje na Mazury, tam wypływają łódką na jezioro. Pogoda się zmienia, idzie burza, a ich omega nie jest przystosowana do pływania w takich warunkach. Trzeba spieprzać, ale na wodzie to nie takie proste, zresztą co ja ci będę mówił, przecież wiesz, jak jest na żaglach. – Mariusz wiedział. Od szkoły podstawowej pływał na łódkach. – No i spieprzają do przystani, ale nie można przecież przepłynąć obojętnie, gdy obok łódź się przewraca i cztery osoby wpadają do wody. Trzeba ich ratować. Udaje się wyłowić trzech chłopaków i dziewczynę. Wszystko kończy się dobrze, a następnego dnia obie grupy umawiają się na wspólne picie wódki, które kończy się rzyganiem, leżeniem pod stołem, awanturą, zerwaniem, nowym związkim, a w końcu mordobiciem. Czyli że tak powiem, rozpierducha na wodzie i na kempingu, ale to dopiero początek wydarzeń, w które wplątują się wszyscy uczestnicy wakacyjnego wyjazdu nad jezioro.

– Brzmi ciekawie. Jak przeczytasz, to mi pożycz.

– W porządku, zostawię ci na biurku. Tylko oddaj później Marjańskiemu, bo to jego książka. O, Teofil idzie. – Kowal wskazał głową kierunek. Mariusz odwrócił się. Rzeczywiście, Olkiewicz podążył w ich stronę. Co więcej, na chodniku pojawił się też Mazurek. Dostrzegł Olkiewicza i pomachał do niego. Teoś podszedł do sierżanta, zatrzymał się i zaczął mu coś wyjaśniać, wymachując przy tym rękoma. Mariusz przez chwilę wpatrywał się w swoich współpracowników, gdy naraz uświadomił sobie coś, co wcześniej przeoczył. Musiał natychmiast sprawdzić to swoje nagłe odkrycie, by mieć pewność, że się nie pomylił. Spojrzał na połówkę bliźniaka należącą do Grubińskiego. Ktoś stał w oknie, a właściwie w otworze po oknie kuchennym, i lustrował podwórko. Pewnie był to któryś z techników.

– O, jest Blacha! – zawołał zadowolony Olkiewicz. – Ty se tu stoisz i nic nie robisz, a my wew tym samym czasie znaleźli tyle ważnych rzeczy. I nie tylko ja, ale ten młody Mazowiecki też...

– Mazowiecki to jest premier. – Sierżant poprawił Olkiewicza głosem wskazującym na pewne poluzowanie wiązadeł języka. – A ja jestem Mazurek, jak nasz hymn państwowy. Mazurek Blaszkowskiego, hi, hi! – wyjaśnił niezwykle uradowany z żartu, spoglądając przy tym na Blachę, ale ten najwyraźniej nie docenił nieprzeciętnego poczucia humoru swojego współpracownika, bo odwrócił się i pobiegł w kierunku domu.

– Blaszkowski zawsze był dziwny – stwierdził z miną znawcy Teofil. – Wyobraź sobie, że jak przyszedł do nas do firmy, to wcale nie pił alkoholu.

– Teraz też nie pije. – Mazurek wzruszył ramionami.

– No patrz, tyle czasu w służbie i jeszcze nie wyszedł na ludzi. – Teoś klepnął młodszego kolegę w ramię. – Chodź do samochodu Kowala. Tam przynajmniej można spokojnie usiąść...

– Ja mam swój samochód. – Mazurek przeszedł na drugą stronę ulicy w kierunku auta, którym przyjechał. Czuł, że musi przemyśleć to wszystko, czego się dowiedział w tej willi naprzeciwko, ale przede wszystkim musi trochę wytrzeźwieć po tej szklance zdradliwego alkoholu, który smakował jak mocna herbata, a walił w głowę jak mocny biber.

Tymczasem Mariusz Blaszkowski wbiegł do domu i szybko wspiął się po schodach, by zaraz znaleźć się w kuchni. W środku stał chorąży Urbański, który pakował swoją torbę fotograficzną. Przed nim stała otarta butelka koniaku i wielki kieliszek.

– Gospodarz przyniósł na spróbe – wyjaśnił tonem usprawiedliwienia. Ale Mariusza nie obchodziło to, czy technik pił czy nie. W końcu w milicji jeszcze niedawno pili wszyscy. Wszyscy prócz niego...

– Zrobiłeś zdjęcia dziur w ścianie? – zapytał.

– No ogólny plan tej poraszplowanej[19] ściany to zrobiłem...

– A szczegóły?

– No nie...

– Można tu już chodzić? – Blacha wskazał kuchenną podłogę. Chorąży machnął ręką. Mariusz natychmiast podszedł do ściany naprzeciw okna. Przystanął przy niej i zaczął uważnie przypatrywać się poszczególnym śladom po odłamkach. Większość z nich to były powierzchniowe odpryski, ale jeden zdecydowanie się wyróżniał. Wystarczył mu tylko rzut oka, aby zrozumieć, z czym ma do czynienia. To tak jak z tymi komiksami, pomyślał. Może dlatego przypominały mi się te Żbiki? Wiedziałem, że coś jest z nimi nie tak, i dopiero

teraz zrozumiałem, o co chodzi, choć miałem to przed oczami... – Zrób jeszcze zdjęcie tego. – Pokazał Urbańskiemu odłupany kawałek ściany. Technik wydobył z kieszeni swojej dżinsowej kurtki etui na okulary, założył je na nos i podszedł do miejsca, które pokazał Mariusz.

– O kurwa! – rzucił, zrozumiawszy, z czym ma do czynienia. – Zobaczyłeś to z podwórka czy jak?

Blacha wzruszył ramionami.

– Kapitan Żbik pomógł – wyjaśnił.

## **Godzina 16.00**

Kierownik, przyłożywszy szkła lornetki do oczu, obserwował wejście do domu. Spalony samochód nadal stał na podjeździe, ale jego szczątki były dokładnie przebadane przez techników, więc nikt się już nim specjalnie nie interesował. Oczywiście oprócz gapiów, bo tych zatrzymywało się na chodniku, przy policyjnej taśmie broniącej dostępu do posesji, zdecydowanie zbyt wielu, jak na tę spokojną ulicę. Nie byli więc to przypadkowi przechodnie, zmierzający do swoich domów, ale ludzie z całej okolicy, którzy przyszli popatrzeć na efekty ich porannej akcji. Nic dziwnego, w końcu ludzie nie co dzień mają okazję oglądać wysadzone auto. Gdy jechał tu z Suchego Lasu po spotkaniu z prezesem, włączył lokalne radio i od razu natrafił na wiadomości. Pierwszą informacją dnia był news o wybuchu na Winogradach. Dziennikarz informował o tym, że pod jednym z domów położonych przy ulicy Za Cytadelą został wysadzony w powietrze samochód osobowy marki Mercedes. Według niepotwierdzonych jeszcze informacji na miejscu zginęła najprawdopodobniej jedna osoba.

– No to już mamy odpowiedź na pytanie, jak się nam udała nasza akcja – rzucił do kolegi sapersa.

– Kurwa – zaklął brodac, a dokładniej porucznik Leśniak, do niedawna zatrudniony w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Pile. – Trzeba by jednakowoż tam wrócić – stwierdził.

– Ty nigdzie nie wrócisz. Masz swoje zadanie w Opalenicy – odpowiedział mu kierownik, kapitan Emil Wąsacz z poznańskiej SB. – A tak swoją drogą, jakżeś namierzył tego gościa z radyjkami?

– E, nic nadzwyczajnego. Dałem informację, że szukam konkretnych radiomagnetofonów, jakby kto chciał sprzedać większą partię. No i dziś rano,



zaraz jak przyjechałem po robocie na chwilę do mieszkania, dostałem telefon z Łazarza, że stoi tam taki jeden i sprzedaje. A ten mój informator to gość, co handluje sprzętem AGD. A ten od radyjek akurat się koło niego ustawił. I jak ten sprawdził, że to właśnie o te radyjka się rozchodzi, to powiedział grzecznie sąsiadowi, żeby popatrzył mu na towar, bo on musi do kibelka, i sam poleciał do budki telefonicznej, żeby do mnie zadzwonić.

– I co dalej?

– Dalej to muszę ustalić, co się stało z samochodem i ludźmi, którzy to wszystko przewozili. Mam nadzieję, że dzięki temu gościowi być może jeszcze dziś się dowiem, co się wydarzyło. Trzeba to wyjaśnić dokładnie, żeby więcej takie sytuacje się nie zdarzały. Nie może być tak, żeby nasze dostawy rozpływały się w powietrzu, bo to jest towar, z którego forsa ma iść na nasze inwestycje.

– Gdzie cię dokładnie wysadzić? – zapytał kapitan.

– Samochód mam na parkingu przy tych akademikach, no jak one się nazywają? – Wskazał na szare bryły dwóch bliźniaczych budynków.

– Zbyszko i Jagienka – przypomniał mu Wąsacz. Był poznaniakiem, więc czuł się w obowiązku znać całe miasto. A te akademiki znał nawet dość dobrze, bo zdarzało mu się tam przeprowadzać jakieś rewizje w poszukiwaniu ulotek albo książek z drugiego obiegu.

Skreślił z ulicy Obornickiej, przecinając pas jezdni, i auto wtoczyło się na parking przed pierwszym z akademików. Kilka ławek przy chodniku wiodącym do drzwi akademikowego holu okupowały grupki studentów ukrywających butelki piwa i taniego wina.

– Zjeżdżają się na sesję poprawkową, nieroby – mruknął Leśniak, obrzucając roześmianą młodzież niechętnym spojrzeniem.

– Nie lubisz studentów? – zdziwił się kierownik.

– Ja bym ich wszystkich do roboty zapędził. Najlepiej na Żuławy Wiślane, żeby docenili robotniczy trud przy kopaniu rowów melioracyjnych. A ci se siedzą na ławkach i chleją za dnia. Kto to widział, żeby od rana pić jak jakaś menelia. I oni mają pracować na nasze emerytury? A tymczasem nauka czeka, a kraj potrzebuje ludzi dobrze wykształconych, a nie obiboków. Czy to w ogóle jest moralne? – zapytał sam siebie facet, który rano z zimną krwią wysadził w powietrze samochód z kobietą w środku.

– Moralne jest to, co nikogo nie krzywdzi i pozwala nam mądrze i dobrze żyć – stwierdził Wąsacz.

– Pierdolić to. – Leśniak najwyraźniej stracił cały dobry humor. Chyba mu jakoś ta moralność nie pasowała do tego, co robił. Jeszcze niedawno każdą podłość tłumaczył sobie dobrem ludowej ojczyzny, w imieniu której działał. Teraz robił dalej dokładnie to samo, ale nikt nie dał mu jakiejś nowej idei, w którą mógłby wierzyć, tak jak kiedyś w socjalizm. – Gdzie mam przywieźć tego gościa od magnetofonów? – zapytał, wysiadając z beemki.

– No jak gdzie? – zdziwił się Wąsacz. – Przywoź skurwiela do nas. Tam sobie z nim porozmawiamy.

– Dobra. Ale nie wiem, o której zjadę.

– Jak zrobisz swoje, to będziesz. – Kierownik machnął do niego ręką, a potem włączył radio. Chłopcy z Placu Broni śpiewali *Balladę o dobrym człowieku*.

Dziesięć minut później zaparkował przed połówką bliźniaka. Wszedł do środka, powiesił kluczyki na wieszaku w przedpokoju i poszedł na górę. W salonie nie było nikogo, mimo to radio było włączone. Podszedł do okna. Na parapecie leżała duża wojskowa lornetka. Z głośnika popłynął sygnał czasu i zaraz po nim rozpoczął się serwis informacyjny lokalnego Radia Poznań. Pierwszą informacją była ta o wybuchu. Przez chwilę Wąsacz poczuł się jak bohater dnia.

*Przez całe przedpołudnie technicy policyjni zabezpieczali teren, zbierając odłamki i elementy auta, które podmuch eksplozji porzucił w promieniu kilkunastu metrów. Janina Kowalska, która mieszka kilka domów dalej, mówi, że siła eksplozji była tak wielka, że z jej telewizora spadła ozdobna, kolorowa karafka.*

– *Ja, panie, akurat się szykowałam do kościoła, bo chodzę na rano codziennie tutaj do naszego nowego, co go wybudowali niedawno i taki jest piękny, że aż szkoda nie chodzić. I jak już się ubrałam, to nagle tak coś walnęło, że od razu pobiegłam do pokoju zobaczyć, czy to nie burza idzie, bo taki był grzmot. Ale pogoda za oknem była ładna całkiem i żadnej burzy, bo jakby była burza, tobym nie poszła do kościoła, bo jeszcze by mnie jaki piorun trafił. I patrzę, a tu na podłodze leży karafka, co stała na telewizorze. I ona w drobny mak rozbita, a ja ją w zeszłym roku dopiero kupiłam, jak byłam na wakacjach w Kołobrzegu.*

*Policjanci rozmawiali z właścicielami i mieszkańcami wszystkich sąsiadujących z miejscem zdarzenia posesji, a także z przypadkowymi przechodniami. Ale na razie niewiele udało się im ustalić. Ludzie widzieli tylko poloneza zaparkowanego jakieś sto metrów dalej. Władysław Kalina szedł wtedy akurat do pracy.*

*– Stał taki polonez, stary grat, że pożał się Boże, pięć złotych bym za niego nie dał. A w środku tam siedział jeden gość, co palił ćmika, a potem, jak już dalej byłem, to ten samochód koło mnie przejechał i w środku siedziało jeszcze dwóch innych facetów, i odjechali. Ale gdzie, to nie wiem. A jakbym wiedział, tobym rejestrację zapisał, ale nie zapisałem. Szkoda, boby można do tego programu w telewizji 997 napisać.*

*Policjanci nieoficjalnie mówią, że wybuch może być efektem gangsterskich porachunków. Rzeczniczka policji, podporucznik Ilona Mrzygłód, nie chce na razie ujawnić żadnych szczegółów.*

*– Na chwilę obecną trwają ustalenia i oględziny miejsca zdarzenia. Dopiero za kilka dni, gdy znane będą wyniki ekspertyz policyjnych, będziemy mogli na pewno stwierdzić, czy auto wybuchło na skutek ingerencji osób trzecich, czy też nastąpił wybuch z przyczyn niezależnych od działań ludzkich, to znaczy, czy przypadkiem zapłon w stacyjce nie przekształcił się samoistnie w samozapłon auta.*

*Policja prosi mieszkańców, żeby nie przyjeżdżali na miejsce zdarzenia i swoją obecnością nie przeszkadzali funkcjonariuszom w pracy. O wynikach śledztwa będziemy państwa informować w kolejnych wydaniach naszego serwisu informacyjnego.*

Serwis radiowy się skończył i zastąpiła go muzyka. Wpatrzony w willę naprzeciwko kierownik Emil Wąsacz odłożył na chwilę lornetkę na parapet, by sięgnąć po papierosa. Już chciał wrócić do przerwanej czynności, gdy usłyszał, że ktoś wchodzi do domu.

– Jestem już! – zawołał mężczyzna. Wąsacz rozpoznał w nim drugiego sapersa. – Czołem, kierownik – ucieszył się łysy, wchodząc po chwili do salonu.

– Gdzieś się szwendasz, Koper, a ja tu sam muszę się zająć robotą, żeby naprawić ten burdel, którego żeście narobili.

– Sam się narobił. – Koper wzruszył ramionami. – I co dalej, znaczy się, jakie są rozkazy?

– Skończymy sprzątanie – wyjaśnił Wąsacz.

– Jak trzeba, to się zrobi – stwierdził saper, siadając na kanapie. – A gdzie reszta?

– Snajper poszedł się położyć. Zluzowałem go, bo nie spał przez całą noc i dlatego teraz nic na oczy nie widzi. Leśniak pojechał do Grodziska załatwić sprawę zaginionego towaru, bo złapał trop... – Wąsacz spojrział w tym momencie na posesję naprzeciw i zamarł w bezruchu. Nawet nie musiał brać lornetki do ręki, by wiedzieć, że facet, którego dostrzegł, to Gruby Rychu. Grubiński wszedł do kuchni i stanął przy lodówce. Otworzywszy drzwi, przez chwilę przyglądał się zawartości. A gdy już podjął decyzję, zaczął wykladać na talerz jakieś produkty. Po chwili talerz był zawalony jedzeniem. Na ten widok kierownik poczuł, że chce mu się jeść. Ale teraz nie było czasu na takie przyziemne sprawy. Musieli wziąć się do roboty.

Zostawił lornetkę na parapecie, niedopalonego papierosa odłożył do kryształowej popielniczki, a potem poszedł budzić snajpera. Trzeba było obgadać plan działań. W końcu robota była najważniejsza. Tak mu powiedziano już pierwszego dnia, gdy przyszedł do pracy w SB, i tę zasadę stosował od tamtej chwili do dzisiaj. Najpierw obowiązki, a potem przyjemności. Dlatego postanowił, że po wykonaniu zadania w nagrodę pójdzie na Stary Rynek, a po drodze wstąpi do Kociaka na lody. Najlepiej na deser lodowy Ambrozja albo Melba... Od rana miał wielką ochotę na takie słodkie szaleństwo.

## Rozdział IV

### Opalenica

Godzina 16.20

- Podaj mi teraz młotek.
- No co ty? Chcesz młotkiem to rozwalać? Przecież usłyszą.
- Co usłyszą?
- No napierdzielanie młotkiem.

– Głupiś jest jak but. Co niby usłyszą. Że ktoś młotkiem wali? No przecież tu cały czas ktoś czymś trzaska. To nie jest czytelnia w bibliotece, tylko zakład naprawczy. Dawaj ten młotek – zaordynował Włodziu Włodarek. Młodszy kolega nie miał wyjścia. Sięgnął do torby z narzędziami, zabranej z warsztatu, i podał młotek.

- Daj jeszcze ten cienki pobijak.
- Co?
- No pobijak! Nie wiesz, co to jest pobijak?
- No takie dłutko jakby...
- Dokładnie, tyle że nie do drewna, ale do metalu. Jak się w ten pobijak uderzy, to...

- To co?
- To nic. Zaraz zobaczysz, tylko podawaj i patrz się.

Łopatka podał mu narzędzie i patrzył uważnie, co robi Włodziu. Ten przyłożył dłuto do krawędzi dziury powstałej w dolnej części baku paliwowego, a potem zaczął weń uderzać młotkiem. Powoli, nie za głośno, ale jak się szybko okazało, skutecznie. Blacha powoli, ale sukcesywnie się rozpruwała. Wszystko dlatego, że uderzał tak, żeby podążać za kierunkiem pęknięcia w pojemniku. Ten był wyraźnie naruszony przez siłę uderzenia i teraz zaczął się otwierać jak puszka sardynek.

- I co, widzisz tam coś? – dopytywał Łopatka, który leżał między autem a płotem, podczas gdy Włodarek ułożył się bezpośrednio pod samochodem.

Dzięki temu mógł pracować, ale i miał lepszy ogłąd sytuacji. Obaj konspiratorzy byli niewidoczni z warsztatu i dziedzińca zakładu, bo zasłaniał ich samochód, przy którym grzebali.

– Ja tu złota nie widzę – stwierdził Włodziu.

– To co widzisz? – Łopatka nie odpuszczał.

– Nie wiem, ale jakby worek foliowy tu był.

– Jak worek?

– No nie wiem, ale to wygląda jakby jakaś paczka.

– Jaka paczka?

– No taka, jakby ktoś jakąś paczkę obwinął workiem plastikowym, taką reklamówką foliową, i związał to jeszcze taśmą klejącą – wyjaśnił młodszemu koledze, żeby ten mógł się zorientować w efektach działania. Łopatka jednak nie dawał łatwo za wygraną i za nic nie chciał zrezygnować ze swoich złotych złudzeń.

– To musi być to złoto – stwierdził.

– Co ty gadasz? Złoto w torbie foliowej?

– No. Dokładnie o to się rozchodzi. Ktoś zawinął złoto w worek i powiązał taśmą, żeby się nie wydało, że przewozi złoto. – Łopatka był mocno przywiązany do swojej myśli o skarbie i nie chciał przyjąć do wiadomości, że paczka, na którą natrafili, może zawierać cokolwiek innego.

– A jak by się to niby miało wydać? – zapytał niezbyt przekonany do tej koncepcji Włodziu.

– No normalnie. Jakby ktoś zobaczył złoto bez opakowania, toby przecież od razu wiedział, z czym ma do czynienia. Bo złoto się świeci na złoto. Nie da się pomylić na przykład ze srebrem...

– He, he, he! Aleś ty jest cymbał, Łopata. Jak niby ktoś miałby zobaczyć złoto nieopakowane czy opakowane, jak ono było zamknięte w baku?

– No jakby otworzył bak... – stwierdził chłopak, ale jego pewność siebie powoli zniknęła. Chyba wyczuł, że jego złota teoria rozsypuje się jak zamek z piasku, złotego piasku oczywiście. No ale fakty były raczej bezdyskusyjne. Tym bardziej że Włodarek przeprowadził dodatkowe badanie. Wsadził palec do dziury, dotknął folii i lekko ją nacisnął.

– To jest nietwarde – ocenił. – A jak jest nietwarde, to nie może być to ze złota, tylko z czegoś miękkiego.

– A co może być miękkie i się ukrywa w baku? – zapytał Łopatka, przeprowadzając szybką analizę sytuacji, ale nie dała ona żadnych rezultatów. Miał za mało danych, które mógłby przeanalizować jego mózg. Właściwie nie miał żadnych danych, bo informacje, jakimi dysponował, były jednoznaczne: w baku przewozi się paliwo. Nie słyszał nigdy o niczym innym przewożonym w jakimkolwiek baku, więc nie mógł dopasować wiedzy wynikającej z doświadczenia do aktualnych potrzeb. Dlatego zaryzykował i podsunął niekonwencjonalne rozwiązanie.

– Można na przykład przewozić szynkę w puszcze.

– Co?

– No szynkę w puszcze. Bo szynkę, taką, co się u nas produkuje i zamyka w puszkach, taką, no wiesz, co się nazywa Krakus, to mój wuj załatwiał u rzeźnika takie puszkę i później woził to do RFN-u.

– Ja pierdolę. – Włodarek nie wytrzymał. – Łopata, ty się obudź wreszcie, barani łbie. Po pierwsze, jakby to była szynka w puszcze, toby nie była miękka, ale twarda. Puszkę są twarde, nie?

– No to może wyciągnęli z puszkę i dlatego tak pozawijali w worki, żeby nie prześmierdły.

– Trzymajcie mnie, bo zaraz tu padnę, tak jak leżę pod tym autem. Czy ty słyszysz, co gadasz? Ktoś przemyca do Niemiec szynkę w puszcze, ale bez puszkę? A po cholere?

– Bo jak się z puszkę wyciągnie, to się więcej da upchać – stwierdził Łopatka i tym razem jego odpowiedź była całkiem logiczna.

– Chłopie, ale to auto jechało z Niemiec do Polski. Znaczą, że za cholere nie mogli wieźć z Niemiec polskiej szynki.

– To może wieźli niemiecką?

Włodarek chciał coś odpowiedzieć, ale naraz usłyszał jakieś głosy, dochodzące z drugiej strony samochodu.

– Cicho bądź – syknął do kolegi. – Wsuń się tutaj – polecił i pociągnął go za ramię. Łopatka też usłyszał głosy, więc szybko wykonał polecenie kolegi.

– No i widzisz, tak wygląda ten passat. – Natychmiast rozpoznali nieco zmieniony przez alkohol głos szefa warsztatu. – Ale co ja ci będę gadał, jak chcesz, to sobie do niego zaglądać. Przecież ja ci nie będę bronił.

– Ale ja przecież wcale nie chcę – odpowiedział mu drugi, znacznie bardziej bełkotliwy głos, który musiał należeć do tego policjanta z wielkim brzuchem, z którym rozmawiał Cegłowski. – Ja ci wierzę bez żadnych zastrzeżeń. Komu ja miałbym wierzyć bardziej niż koledze, co ja z nim przesiedziałem w jednej ławce szkolnej osiem lat.

– Prawda, że kolega ze szkolnej ławki jest jak brat – zgodził się z nim majster.

– Co tam jak brat. Kolega ze szkolnej ławki jest jak dwóch bratów. Albo nawet lepiej, jak żona i brat – rozwinął swoją teorię braterstwa policjant.

– O nie! Jak żona to nie może być – uznał Cegłowski. – Bo żona, nawet najlepsza, może człowieka zdradzić. A dwaj bracia nie zdradzą nigdy.

– Dwaj bracia mogą zdradzić – przypomniał sobie naraz chorąży Smolarek.

– Jak mogą zdradzić? Brata? – nie dowierzał mechanik.

– A tak właśnie. A na ten przykład Lech, Czech i Rus to niby nie zdradzili? – Policjant najwyraźniej próbował na nowo zinterpretować starą baśń.

– Kogo? – Mechanik nie bardzo wiedział, o co chodzi koledze.

– No Lecha zdradzili Rusek i Czech – pośpieszył z wyjaśnieniem funkcjonariusz.

– Wałesę zdradzili? – zdziwił się znów gospodarz, bo nic ostatnio o żadnej zdradzie nie słyszał, mimo że kwestie polityczne śledził codziennie na bieżąco, oglądając te nowe „Wiadomości”, które zastąpiły dawny „Dziennik Telewizyjny”.

– Lecha naszego zdradzili, zdrajcy jedni. Ale to im się nie uda, bo Lechu wygra wybory na prezydenta i nikt go już nie zdradzi więcej. – Policjantowi historia powoli zaczęła się mieszać z teraźniejszością.

– A Czecha? – drążył mechanik.

– Jakiego Czecha? – Chorąży Smolarek powoli zaczął się gubić w gąszczu rozmowy.

– Polak, Czech, dwa bratanki... – Cegłowski sobie coś przypomniał, ale dokładnie nie wiedział, co to było.

– Tobie się całkowicie popierdoliło wszystko. – Naraz policjant wpadł na właściwy trop. – Polak i Węgier, dwa bratanki. A bracia to byli Polak, Rusek i Czech, a Węgier to był ich bratanek.



– Nie, właśnie wcale że nie. – Mechanik też złapał właściwy kierunek. Przez chwilę czuł się zagubiony, ale naraz uświadomił sobie, że przecież zna dowcip, który jest jak najbardziej w temacie. – Bo rozchodzi się o to, że Polak, Rusek i Niemiec lecieli samolotem. A Węgier to wcale tam nie leciał.

– A, to ja znam. – Chorąży pokiwał głową. – Słyszałem, ale bez Węgra. Węgier nie mógł lecieć, bo oni nie mają dostępu do tego no... do Morza Bałtyckiego. – Policjant zaczął wyjaśniać te skomplikowane niuanse geopolityczne, bo przerabiał je na kursach jeszcze w czasach poprzedniego systemu, kiedy wiedza polityczna była niesłychanie ważna dla każdego prowincjonalnego funkcjonariusza w celu ogólnego rozeznania w sytuacji międzynarodowej w obliczu nieustannego ścierania się postępowych sił socjalizmu ze światowym imperializmem... – I w związku z tym...

– Czesi też nie mają dostępu do morza – przerwał mu kolega. – Ale jak się witają, to mówią ahoy jak marynarze. Możesz mi wytłumaczyć dlaczego?

– No dlatego właśnie ani Czech, ani Węgier nie wyskakiwali z tego samolotu – stwierdził funkcjonariusz, nie mogąc się nadziwić, że jego rozmówca kompletnie nie orientuje się w politycznych niuansach.

– Jak wyskakiwali? – nie zrozumiał szef warsztatu.

– No normalnie, wszyscy wyskakiwali, bo się samolot palił. Nie znasz tego kawału? – Zdumiony chorąży pokręcił głową.

– A, ten o samolocie to ja znam, ale inaczej to leciało, znaczy oni lecieli i nie wyskoczyli, tylko mieli coś wywalić, żeby samolot był nie taki ciężki. I Rusek wywalił wódkę, bo mówi: „U nas tego pełno”, Niemiec wywalił piwo, bo mówi: „U nas pełno jest piwa”, a Polak wywalił Ruska, bo u nas tego pełno, he, he, he!

Przez chwilę zrobiło się cicho, jakby mężczyźni zastanawiali się nad dowcipem, a potem nagle obaj zaczęli się głośno śmiać. Śmiech w pewnym momencie jednak przycichł i zastąpił go dźwięk przypominający krople deszczu uderzające w blachę. Włodziu, który leżał bliżej miejsca, gdzie stali obaj rozmówcy, zrozumiał, że to nie deszcz pada, bo jego rękaw zrobił się nie tylko mokry, lecz także śmierdzący.

– Dobra, idziemy do kanciapy, bo tam jeszcze jedna flaszką jest do spróbowania – zarządził gospodarz, skończywszy podlewać rozbite auto.

– Masz jeszcze jedną... flaszeczkę? – W głosie chorążego dało się słyszeć wyraźne pragnienie.

– Jak bym miał nie mieć? Co ty se myślisz, że ze mnie jest gość, co zaprasza i nie ma czym poczęstować? Ale słuchaj no, Boguś, jakbyś chciał, to zajrzyj se jeszcze do tego passata. Proszę cię bardzo. Zaglądaj tam, ile se tylko chcesz.

– O nie! Co to, to nie, Alojzy! Nigdy w życiu tam nie zajrzę. Możesz mnie prosić nawet na kolanach, a ja nie zajrzę. Ja ci wierzę, że tam nic nie ma i dlatego nie zajrzę. Koniec, nie będę ci patrzył na ręce. Za kogo ty mnie masz? Ty se myślisz, że jak ja jestem policjant, to już szpicel jakiś czy co?

– Nigdy w życiu. Nigdy w życiu, nigdy. Idziemy, bo śliwowica czeka...

Odeszli w kierunku hali naprawczej, odprowadzani spojrzeniami dwóch praktykantów ukrytych pod rozbitym autem.

– Wyłazimy stąd? – zapytał Łopatka, stwierdziwszy, że majster z policjantem na dobre zniknęli w budynku. – Całe szczęście, że nie nalali na nas...

– Wyłaż spod samochodu, już: wypierdalaj stąd – warknął na niego Włodziu.

– No co, zrobiłem ci coś, że tak się niegrzecznie do mnie odzywasz?

– Wyłaż, bo muszę zdjąć kurtkę. Naszczali mi na rękaw!

Teraz dopiero młody zrozumiał, skąd wzięło się niezadowolenie kolegi. Szybko wyskoczył na zewnątrz, pozwalając tym samym Włodziowi wygrzebać się spod auta. Ten usiadł zaraz za samochodem i zdjął roboczy drelich z przemoczonym rękawem.

– Na mnie musiał akuratnie nalać ten pierdolony szkieł.

– Pewnie cię nie widział – stwierdził Łopatka. – Bo jakby cię widział, toby na ciebie nie lał.

– Ty, chłopie, to lepiej się już dziś nie odzywaj.

– Mogę się nie odzywać, ale co z tą szynką?

– Jaka, kurwa, szynką?

– No jak jaką? Tą szynką Krakus, co ją w tym baku przewozili.

Włodziu Włodarek z niedowierzaniem pokręcił głową. Że też właśnie jemu musiał się trafić taki gamoniowaty wspólnik. Gdyby miał pod ręką któregoś z chłopaków ze swojej klasy z technikum, to już dawno ten samochód razem z bakiem byłby rozłożony na części tak drobne jak te kolorowe klocki z Danii. Ale z tym cymbałem sprawa była zdecydowanie bardziej skomplikowana. Wszystko wskazywało na to, że nie wolno wdawać się z nim w żadne dyskusje,

bo ten Łopata to człowiek, który może swoim rozumowaniem zdemolować każde prawo fizyki.

Bez słowa wziął do ręki młotek i pobijak, położył się pod samochodem i wziął się do przerwanej roboty. Pół godziny później z otwartego baku wydobył kilka paczek szczelnie zawiniętych w folię. W żadnej z nich nie było szynki.

## **Poznań**

### **Godzina 19.15**

Czarny mercedes zatrzymał się przy chodniku, na wprost wejścia do Komendy Wojewódzkiej Policji. Wysiadł z niego mężczyzna w stalowym, dobrze skrojonym garniturze, z dwurzędową, wydawać by się mogło nieco zbyt obszerną marynarką. Elegancki strój wyglądał tak, jakby kupiono go w Londynie u Harrodsa. Jednak prawda była całkiem inna. Kazimierz Markowski garnitury szył sobie na miarę u własnego krawca w Poznaniu. Owszem, materiały były sprowadzane z Niemiec, ale cała reszta to była polska, miejscowa robota. Jeśli mowa o szyciu na miarę, wcale nie chodziło o kwestie związane z modą i najnowszymi trendami. Tu decydowały względy praktyczne. Markowski bowiem był człowiekiem dobrze, a można by powiedzieć nawet bardzo dobrze zbudowanym, a jego rozrośnięte ponad miarę ramiona i mięśnie karku nadawały mu wygląd atlety. Takiego gościa nie dałoby się wepchnąć w typowy garnitur z CDT-u. O ile jeszcze ze spodniami dałoby się coś zrobić, o tyle nie pasowała na niego żadna marynarka. Nie miał więc wyjścia, musiał zamawiać garnitury na miarę, tym bardziej że od pewnego czasu pracował na stanowisku wymagającym eleganckiego ubioru. Bo Markowski był szefem poznańskiego Urzędu Ochrony Państwa, czyli człowiekiem, który musiał sprawnie poruszać się na styku świata polityki i służb specjalnych. Nie mógł wyglądać jak konspirator w wyciągniętym swetrze, bo uważał, że czasy walki podziemnej dawno się skończyły i teraz trzeba zacząć funkcjonować w normalnym świecie. A ten wymagał drogich garniturów i umiejętności jedzenia nożem i widelcem.

– Czołem, panie pułkowniku! – Policjant stojący przy drzwiach zsalutował i pociągnął klamkę ku sobie, otwierając przejście.

Markowski skinął mu głową, uśmiechając się pod wielkim wąsem na myśl, że jeszcze całkiem niedawno taki jak ten funkcjonariusz zrobiłby wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby wsadzić go za kratki. A dziś pręży się przed nim na

baczność i tytułuje go pułkownikiem, choć ten stopień wcale mu nie przysługiwał. Dostał go niejako na wyrost. Żeby faktycznie zdobyć sobie szacunek podwładnych, jakim powinien cieszyć się pułkownik, musiał na to jeszcze zapracować.

Pogładził się po brodzie, jakby sobie o czymś przypominał, a potem odwrócił się i spojrzął w dół schodów, w kierunku swojego służbowego auta. Kierowca stał na chodniku i palił papierosa. Machnął do niego, wskazał na zegarek, a potem pokazał koniec ulicy. Kierowca zrozumiał, że szef pozwala mu już zakończyć dyżur, bo sam, zapewne tak jak co dzień, zamierza wrócić do domu pieszo. Nie miał daleko, bo mieszkał na Mickiewicza, a więc dosłownie dwa kroki od komendy.

Ta marynarska broda z wąsami pozostała mu jeszcze z czasów, gdy był działaczem podziemnej Solidarności i pod bujnym zarostem ukrywał swoją twarz ze zdjęcia w książeczce wojskowej, bo tylko takim dysponowali poszukujący go funkcjonariusze SB. Zarost skutecznie go maskował, ale prócz tego potrzebna była jeszcze pomoc wielu ludzi zaangażowanych w walkę z systemem. Dzięki nim i własnej pomysłowości, a także odrobinie szczęścia, przetrwał w podziemiu do osiemdziesiątego ósmego roku, kiedy to, mimo że był poszukiwany listem gończym na terenie całego kraju, przestano się nim interesować. Spadł bowiem z listy priorytetowych zatrzymań, gdy ludzie Kiszczaka, spodziewając się rychłych zmian, zaczęli potajemnie negocjować z Solidarnością warunki rozmów i ewentualnego podzielenia się władzą. Dogadywanie się opozycji z reżimem wszyscy widzieli na własne oczy, bo rozmowy odbywały się w obecności kamer i z włączonymi mikrofonami podczas obrad Okrągłego Stołu. Jednak zanim w ogóle do nich doszło, ludzie z SB zaczęli spotykać się z działaczami podziemia, by wypracować wstępne porozumienie. Na mocy tych ustaleń kilkunastu opozycyjnych działaczy trafiło do szkoły oficerskiej SB w Puławach. Był to chyba najtajniejszy kurs w historii tej uczelni. Szkoła Kadr Służby Bezpieczeństwa zaczęła przygotowywać swoich zaprzysiężonych wrogów do pracy we własnych szeregach. Na takie szkolenie dostał się także Markowski, który miał już wcześniej dobre przygotowanie. Pod koniec lat siedemdziesiątych służył bowiem w Czerwonych Beretach, czyli wojskach specjalnych, dosługując się stopnia sierżanta. Szkolenie okołowojskowe nie stanowiło więc dla niego żadnego problemu. Ze szkoleniem operacyjnym też sobie jakoś poradził i w osiemdziesiątym dziewiątym roku został wypromowany na podporucznika Milicji Obywatelskiej. Natychmiast dostał skierowanie do pracy w swoim mieście,

czyli Poznaniu. Tu trafił do wydziału dochodzeniowo-śledczego pod skrzydła majora Alfreda Marcinkowskiego.

Minął biuro przepustek, gdzie pełniący dyżur podporucznik na jego widok zerwał się na równe nogi i wcisnął przycisk elektronicznego zamka zwalniającego blokadę drzwi. Markowski przeszedł szybkim krokiem niezbyt obszerny hol i wspiał się schodami na drugie piętro. Po chwili był już w sekretariacie dochodzeniówki. O tej porze nie było sekretarki, a drzwi do pokoju zastępcy kierownika wydziału były szeroko otwarte. Na wszelki wypadek zapukał jednak we framugę.

– Wchodź śmiało – odezwał się ze środka lekko zachrypnięty głos.

Marcinkowski siedział za swoim biurkiem pod oknem wpatrzony w gazetę. Jego gabinet nie był zbyt obszerny. Wewnątrz mieścił się przystawiony do biurka stół konferencyjny z siedmioma krzesłami. Mogły się więc tu odbywać tylko niewielkie operatywki dla wybranych członków zespołu. Większe odprawy organizowano w sali konferencyjnej. Pod ścianą z prawej strony stał dwuelementowy segment meblowy, składający się z dwudrzwiowej szafy oraz półki na akta, z otwieranym od góry blatem barku, który w razie potrzeby stawał się podręcznym stolikiem do nalewania napojów. Przy przeciwległej ścianie było miejsce dla mniej oficjalnych gości. Przestrzeń wypoczynkowa składała się z czterech w miarę wygodnych foteli i ustawionej między nimi ławy szwedzkiej. Nad nią wisiał obraz w połączonych ramach, przedstawiający przysięgę powstańców wielkopolskich na placu Wolności w Poznaniu. O ile Markowski dobrze pamiętał, wcześniej, gdy gabinet należał do dawnego szefa wydziału, pułkownika Żyto, wisiał tam portret Dzierżyńskiego.

– A gdzie portret krwawego Felka? – Gość wskazał na obraz z powstańcami.

– Ten Feliks był tu na wyposażeniu od lat. Kiedyś nie można go było ot tak zdjąć bez narażania się na przykre konsekwencje, ale jak się wszystko zmieniło, to bydlak powędrował do śmietnika, a Żyto zawiesił tu Piłsudskiego. No a teraz ja przyniosłem z domu powstańców. Przyznasz, że prezentują się znacznie lepiej. – Marcinkowski się uśmiechnął.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. Tym bardziej że powstanie to nasza poznańska duma. Jedyne zwycięskie... A co z Piłsudskim?

– Podarowałem komendantowi. – Fred się zaśmiał. Nie przepadał za marszałkiem, któremu poznaniacy nie mogli wybaczyć, że im nie pomógł. – Mój

dziadek walczył w powstaniu od pierwszego dnia. Teraz już można o tym mówić. On był powstańcem, a potem komisarzem policji. Nazywał się Antoni Fischer. Pewnie by się ucieszył, że jego wnuk pracuje w policji.

– Czyli masz odpowiednie rekomendacje rodzinne. To dobrze, Fred, zwłaszcza że teraz może się rozpętać szaleństwo z tą weryfikacją.

– Myślałem, że ma dotyczyć tylko SB.

– Na razie SB, a później się zobaczy. Może się potoczyć jak kula śniegowa. Więc dziadek, przedwojenny policjant, może się przydać. Tym bardziej że już niedługo wejdziemy do NATO i Unii Europejskiej – rzucił zadowolony Markowski, rozsiadając się jednocześnie na jednym z foteli.

– Czego się napijesz? Kawa z Berlina, herbata z Berlina, koniak jeszcze radziecki, ale jak będziemy w Unii, tak jak zapowiadasz, to będę miał tylko francuski.

– Nie masz już sekretarki w pracy, więc nie ma co tracić czasu na gorące napoje. Nalej po kielichu.

Fred uśmiechnął się. Lubił tego gościa, jego bezpośredniość w kontaktach z ludźmi, a jednocześnie profesjonalizm. Bo mimo że Markowski w służbie był dopiero drugi rok, to pracą wywiadowczą zajmował się znacznie dłużej. Gdy działał w Solidarności, tworzył podziemne struktury wywiadu i kontrwywiadu, które miały za zadanie walkę z infiltracją podziemia, a także rozpracowywanie działań przeciwnika. Podobno współpracowało z nimi kilku oficerów SB, którzy przekazywali bezcenne informacje. Tak przynajmniej twierdzili ludzie dobrze poinformowani. Sam Markowski nigdy nie potwierdził tych relacji, mimo że dziś tym współpracownikom nic już nie groziło. Fred rozumiał, że z takimi sprawami trzeba być ostrożnym i nie wolno ujawniać swoich źródeł, tym bardziej że w UOP-ie pracowało jeszcze bardzo wielu funkcjonariuszy dawnej SB, którzy wcale nie pogodzili się ze zmianą ustroju i czekali na przywrócenie dawnego porządku.

Marcinkowski zetknął się po raz pierwszy z Markowskim w 1981 roku, w trakcie śledztwa dotyczącego dwóch morderstw dokonanych na skarbnikach Solidarności, którzy przechowywali pieniądze na cele konspiracyjne. Obaj prowadzili to samo śledztwo, tyle że Fred robił to oficjalnie z ramienia milicji, a Markowski dostał polecenie zbadania sprawy od zarządu regionu swojego związku. Jednocześnie w całą tę sprawę zaangażowała się SB, która za wszelką cenę chciała przejąć zaginione pieniądze. Tak się złożyło, że głównym podejrzanym był Markowski. Na szczęście dla niego Marcinkowski nie

dopuszczył do jego aresztowania. Być może więc Markowski zawdzięczał mu nie tylko kilka lat wolności, ale kto wie, czy nie życie, które w obliczu stawki, o jaką wówczas toczyła się gra, nie było zbyt wiele warte.

Fred otworzył barek, wydobyl z niego dwie koniakówki i rozlał do nich radziecki koniak Biełyj Aist. Nie był to zbyt wykwintny alkohol i język znawcy mógłby przy pierwszym łyku przekreślić się o sto osiemdziesiąt stopni, ale ci dwaj do koneserów trunków, podobnie jak mniej więcej dwie trzecie dorosłych Polaków, nie należeli. W tym kraju, w którym chlało się zamiast wina jabole, czyli zmieszany z wodą i spirytusem sok ze zgniłych jabłek, ludzie nie znali się na alkoholach. Pili to, co oferowały im sklepy monopolowe, czyli najczęściej wódkę, która niezależnie od tego, czy nazywała się Bałtycka, Vistula czy Stołowa, smakowała dokładnie tak samo. Każdą podczas konsumpcji należało popić dużą ilością oranżady, by zabić jej ohydny karbidowy smak.

– To kiedy wstąpimy do Unii? – zapytał Fred, siadając naprzeciw kolegi. Wiedział, że ten był zawsze dobrze poinformowany, bo w końcu kręcił się wśród polityków.

– Najpierw idziemy do NATO. W tej sprawie nie ma odwrotu. Najpierw struktury wojskowe, a potem dopiero rozmowy o unii gospodarczej z Zachodem.

– I co, tak to się zwyczajnie uda? Ruskie wojska wyjdą z Polski, a w opuszczonych przez nich koszarach pojawią się Amerykanie? Dobrze by było, ale powiedz mi, jak chcesz tę całą radziecką armię, która ma dowództwo w Legnicy i siedzi w przynajmniej kilkudziesięciu miejscach w całym kraju, stąd wykurzyć? Przecież oni się nigdy stąd nie ruszą.

Markowski uniósł kieliszek i upił niewielki łyk.

– Jak to zrobić? O to niech się martwią politycy. Nie wiem jak ty, ale ja chętnie zamienię rusków na Amerykanów, a ruski koniak na amerykańską whisky.

– I kto według ciebie załatwi to wycofanie wojsk z Polski? Mazowiecki, którego Moskwa ma w nosie, czy Jaruzelski, który boi się Gorbaczowa?

– He, he, he! Twój błąd, drogi przyjacielu, polega na tym, że nie umiesz patrzeć perspektywicznie. Mazowiecki to premier przejściowy na trudne czasy, który jest akceptowany przez obie strony. Taki miękki bohater. Jaruzelski to prezydent zastępczy na czasy przejściowe. Oni są jak wyrób czekoladopodobny, który tylko zastępuje prawdziwą czekoladę. Ale ich czas dobiega końca.

Niedługo wszystko się zmieni i zastąpią ich zupełnie inni ludzie. Tacy, z którymi liczy się cały świat.

– Co, papież zostanie naszym prezydentem? – rzucił drwiąco Marcinkowski, bo żaden inny autorytet, z którym liczący się na świecie, nie przyszedł mu do głowy. Markowski pokręcił głową, uśmiechając się z zadowoleniem.

– Wojtyła byłby niezły, ale on już ma całkiem dobrą robotę i wierz mi, na tym stanowisku może zrobić sporo dla Polski. Na szczęście dla nas jest ktoś lepszy.

– Kto?

– Też na W.

– Nie, nie myślisz przecież o...

– Dokładnie tak. Lech Wałęsa to będzie prezydent, jakiego potrzebujemy.

– Przecież to prosty elektryk.

– I laureat Nagrody Nobla.

– Nie potrafi skłecić poprawnie trzech zdań.

– To mu doradcy będą pisać przemówienia. Ma takich dwóch bliźniaków, co za nim noszą teczkę i piszą, co ma powiedzieć. Kaczyńscy się nazywają.

– Kaczyńscy? Nigdy nie słyszałem.

– Nikt nie słyszał, zresztą to nie o nich masz słyszeć, tylko o Wałęsie.

– Ale ten nikogo nie słucha, tylko samego siebie.

– I to jest jego atut. On ma nieprawdopodobny instynkt polityczny. W końcu to dzięki niemu mamy Solidarność i wolność...

Fred wypił koniak do końca. Nie był przekonany. Wałęsa, owszem, był wielką postacią, ale na czas walki z komunizmem, żeby być politykiem czasu pokoju, potrzebne są zupełnie inne cechy. Czas walki się skończył, teraz trzeba zacząć rozmawiać, a tego Wałęsa raczej nie potrafił... Mądrzejsi politycznie od nas Anglicy pokazali to już dawno temu. Zaraz po wojnie najlepszy wojenny premier Winston Churchill przegrał wybory. Czas wojowników mijał, gdy milkły armaty.

– No ale my tu o dużej polityce, a na naszym podwórku dzieją się sprawy, z którymi sami musimy się uporać – uciął ten polityczny wątek Markowski. – Mów, co wiesz o wybuchu.



– Na razie niewiele – stwierdził Fred. – Blacha zbiera śmieci na miejscu. Jedno jest pewne, samochód Grubego Rycha wyleciał w powietrze. Rychu miał nim jechać rano do pracy, ale zachlał i do auta wsiadła jego dziewczyna, narzeczona czy jakoś tak... Nazywała się...

– Magda Jankowska – rzucił Markowski. – Znam wszystkich właścicieli banku. Zaczęliśmy się im przyglądać jakiś czas temu, gdy dostałem informację, że część kapitału założycielskiego pochodziła z nielegalnych pieniędzy SB. Przetransferował je do banku pułkownik Bielecki.

– Tak, wiem, w czym rzecz. – Marcinkowski pokiwał głową. O pieniądzech Bieleckiego wiedział od Brodziaka. – Czyli to może oznaczać...

– Że Bielecki i jego kumple chcą przejąć cały bank. I dlatego postanowili sprzątnąć Rycha Grubińskiego.

## **Godzina 19.30**

Mariusz Blaszkowski nie lubił gorzkiej herbaty. Dlatego że była gorzka, nie dotykał wcale kawy, a herbata, no cóż, coś trzeba było pić w pracy, dlatego parzył sobie niezbyt mocną, ekspresową, której jeden woreczek potrafił obsłużyć trzy porcje. Wyciągnął go, gdy tylko woda zabarwiła się na słomkowy kolor, i wsypał do szklanki łyżeczkę cukru, potem spojrzał na cukiernicę i dosypał jeszcze jedną, a gdy już miał odłożyć łyżeczkę i oprzeć ją o krawędź podstawki, jakoś tak niby przypadkowo ręka zjechała mu nad cukiernicę i nabrał jeszcze jedną porcję.

Trochę się wstydził tego słodkiego uzależnienia, które wydawało mu się niezbyt męskie, ale nie potrafił się mu oprzeć. I tak był z siebie dumny, że tym razem ograniczył się tylko do trzech łyżeczek, bo tak starał się robić, gdy pił herbatę w czyjejs obecności. Kiedy był sam, najczęściej kończył dopiero na pięciu. A tym razem był w towarzystwie swoich współpracowników i jednocześnie podwładnych, więc nie chciał przy nich okazywać swojej cukrowej słabości. Jednak ci dwaj zajęci swoimi sprawami nie zauważyliby nawet, jeśli by Mariusz wsypał do szklanki całe kilo cukru, bo ani Olkiewicza, ani Mazurka to zwyczajnie nie obchodziło.

Teofil po dniu pełnym wrażeń drzemał na fotelu za biurkiem, na którego blacie nie leżało kompletnie nic, bo niczego do pracy nie potrzebował, Mazurek siedział na fotelu w kąciaku rekreacyjnym i czytał z wypiekami na twarzy kolorową gazetę. Właściwie to tekstu do czytania było tam niewiele, a nawet

jeśliby chciał go przeczytać, to i tak nie znał języka niemieckiego, więc miałby poważny problem ze zrozumieniem czegokolwiek. Ale Mazurek nie był zainteresowany żadnymi artykułami. To, co było ciekawe w tej gazecie, znajdowało się na kolorowych fotografiach.

– Ta to ale ma cyce. – Sierżant skomentował kolejne zdjęcie, tym razem przedstawiające akt czarnoskórej piękności siedzącej na koniu. – Ciekawe, że one mają wszystkie takie te cycki nieobwisłe? – zadał pytanie samemu sobie, bo Teofil, nawet jakby chciał, nie umiałby objaśnić tej skomplikowanej kwestii, a Blaszkowski raczej miał to w nosie, bo o kwestiach seksualności z nikim nie rozmawiał. Uważał te tematy za zbyt intymne, by poruszać je w gronie koleżeńskim, a gdy ktoś mówił o cyckach, on czuł natychmiast, że nie powinien tego słuchać, bo w takim gadaniu jest coś nieprzyzwoitego, co obraża kobiety. A on nikogo nie lubił obrażać, zwłaszcza kobiet.

– Bo one są ćwiczone – spróbował jednak podjąć trudny temat porucznik Olkiewicz, który właśnie się wybudził z drzemki.

– Jak ćwiczone? – Mazurek natychmiast spojrzał na Teofila, który pocierał obiema dłońmi zaspane oczy.

– Znaczy się, że takie modelki, co to występują na golasa przed aparatem, to one muszą codziennie ćwiczyć.

– Co ćwiczyć? – Mazurek już zaczął sobie wyobrażać ćwiczącą modelkę, ale wyobraźni starczyło mu tylko na szkolne ćwiczenia skłonów i wyprostów.

– No wszystko, co się da – rzucił Olkiewicz, który właśnie zauważył, że zabrnął w ślepią uliczkę. Coś tam obilo mu się kiedyś o uszy w kwestii tych ćwiczeń, ale do końca nie wiedział, czy to chodzi o to, żeby cycki były jędrne, czy o coś zupełnie innego. Wiedział od żony Jadwigi, że kobiety teraz ćwiczą przed telewizorem takie różne fikołki, które prezentuje córka tego kowboja z westernów, co się nazywał Henry Fonda. Jadwiga powiedziała mu, że ona też będzie ćwiczyć, bo tak robią wszystkie kobiety, a nawet modelki. Dlatego był w temacie, ale do końca nie wiedział, co i jak. Musiał więc dorobić nieco teorii do swojej tezy. – Mam takiego jednego znajomego fotografa, co robi zdjęcia rozebranych babkom. On ma swój zakład fotograficzny na Jeżycach, dokładnie na Szamarzewskiego, jak się idzie od rynku Jeżyckiego i się skręci w Szamarzewskiego, to tam po prawej jest taki kościół z czerwonej cegły, co się kiedyś nazywał garnizonowy, bo jeszcze przed wojną to chodzili tam na msze żołnierze ze wszystkich koszar. A tych koszar to tam, na Jeżycach, było kilka i jeszcze na Łazarzu byli ułani, ale czy oni chodzili do tego

garnizonowego na mszę, to ja już nie wiem. Ale mój tatuś to opowiadał, że do garnizonowego na Szamarzewskiego chodził zawsze na dwudziestego siódmego grudnia, bo to była dla niego najważniejsza msza w roku...

– Chyba dwudziestego piątego grudnia albo szóstego, bo to jest drugie święto w Boże Narodzenie – wszedł mu w słowo Mazurek. Teofil przerwał i popatrzył na niego, jakby ten właśnie został przysłany do ich pokoju wprost z wycieczki przodowników pracy socjalistycznej do poznańskiej opery.

– A ty żeś nie jest z Poznania? – zapytał podchwytliwie.

– Z Winograd – rzucił Mazurek z dumą w głosie.

– A nie przypadkiem z Ćwokowa Górnego?

– Ja już jestem poznaniak od dwóch lat, nie... od trzech... nie, od czterech prawie.

– Toś ty dupa wołowa jest, a nie poznaniak. Bo poznaniak to wie, jakie jest najważniejsze w mieście święto i że ono się każdego roku odbywa właśnie dwudziestego siódmego grudnia.

– A, już wiem – przypomniał sobie naraz Mazurek. – To jest święto kolejarzy czy jakoś tak. Mój wuja był kolejarzem i też w to święto chodził w mundurze galowym do kościoła.

– Trzymajcie mnie, bo zaraz nie wytrzymam i czymś go trzepnę w łeb – zawołał Teoś. – Dzień kolejarza jest dwudziestego piątego listopada!

– No przecież mówiłem, że jakoś tak będzie. Listopad to prawie grudzień, tylko mniej śniegu...

– No co za łachudra niemyta. – Olkiewicz wstał z krzesła, by spojrzeć z góry na młodego współpracownika. Nie był zbyt wysoki, a Mazurek nawet siedząc na fotelu, nie był za niski, więc Olkiewicz nie osiągnął zamierzonego efektu. Zresztą zaraz o tym zapomniał, celując oskarżycielsko palcem w nos sierżanta.

– Słuchaj mnie, ty koźle ratuszowy, to jest dzień, jak w Poznaniu wybuchło powstanie wielkopolskie. I mój tatuś, Anastazy Olkiewicz, był w tym powstaniu od pierwszego dnia, od chwili jak Paderewski przyjechał do Poznania, aż do samego końca, znaczy się do zwycięstwa powstańczego, a potem pojechał na wojnę bolszewicką i był w tych słynnych poznańskich Rogatych Diabłach, co rznąli bolszewików jak barany.

– Teoś, nie dręcz go. Przecież nie każdy musi wiedzieć, kiedy wybuchło powstanie. Tym bardziej że on się tu nie urodził.

– Każdy musi i koniec – odparł z przekonaniem Olkiewicz, sięgając po papierosa. Podpalił go trzęsącą się ze zdenerwowania ręką i zaraz opadł na krzesło.

Mazurek patrzył na niego zdezorientowany. Przecież nic takiego nie powiedział, żeby tak zirytować tego starego gliniarza. Zastanawiał się, czy nie trzeba by go jakoś udobruchać? I naraz jego spojrzenie zatrzymało się na ciemnych piersiach murzyńskiej piękności. Zamknął gazetę o nic niemówiącej nazwie „Hustler”, którą dostał w prezencie od tego sąsiada Grubińskiego, wstał z fotela i podszedłszy do biurka Olkiewicza, położył na nim pismo. Szkoda mu było, bo jeszcze wszystkiego nie obejrzał do końca. To znaczy, owszem, przejrzał już ze dwa razy, ale pobieżnie, i wieczorem miał zamiar, leżąc w łóżku, przeanalizować dokładnie każdy szczegół, no ale dla świętego spokoju niech ten Olkiewicz ma i niech się udławi tymi gołymi babami i całym tym powstaniem.

– Pan weźnie i se poczyta. Babeczki pierwsza klasa.

Olkiewicz spojrzał podejrzliwie na chłopaka, a potem na pismo. Nigdy dotąd nie miał takiego w ręce. Owszem, widział już takie na rynku Łazarskim u facetów, którzy sprzedawali zachodnie gazety, ale nie zdecydował się dotąd na kupienie albo nawet przejrzenie czegoś takiego, bo zwyczajnie było mu głupio. No ale teraz okazja sama pchała się w ręce, więc głupotą byłoby jej nie wykorzystać, tym bardziej że ci młodzi nie widzieli chyba w oglądaniu takich zdjęć niczego nadzwyczajnego.

– Ja tam się na takich rzeczach nie znam – rzucił Teofil dość niepewnym głosem.

– Ale do tego nie trzeba się na niczym znać. Baba to baba. Ma cycki i wszystko, gdzie trzeba, to popatrzeć można – przekonywał go Mazurek, wyczuwając wahanie porucznika. – Od samego patrzenia jeszcze nikt nie zgrzeszył.

Teofil wziął gazetę do ręki, otworzył pierwszą stronę i od razu poczuł, że robi mu się gorąco. Nie jedno, lecz kilka zdjęć nagich pańienek zapraszało go do podróży w głąb pisma. Pomyślał, że przez tyle lat swojego życia oglądał kolorowe gazety, w których nigdy nie było niczego ciekawego, a tu naraz odkrywa jedną stronę i od razu znajduje się w rajku.

– I co, nie mówiłem, że ciekawe te zdjęcia?

– No ciekawe... naprawdę ciekawe... – Gazeta pochłaniała Olkiewicza coraz bardziej i być może zapomnieliby już o całym bożym świecie, gdyby nie ostry dźwięk telefonicznego dzwonka na biurku Blaszkowskiego. Mariusz natychmiast chwycił słuchawkę.

– Blaszkowski, słucham. – Oczy obu kolegów natychmiast skierowały się na niego. Blaszkowski przez chwilę słuchał w milczeniu, w końcu chwycił notes i ołówek i zaczął coś zapisywać. – To teraz powtórzę – rzucił do słuchawki – siedem en czternaście, specjalny nabój do karabinka SWD. Nie ma mowy o pomyłce? – zapytał jeszcze, ale chyba zaraz pożałował tego pytania, bo ze słuchawki popłynęły jakieś ostre słowa, których ani Olkiewicz, ani Mazurek nie zrozumieli, ale ich sens pojęli natychmiast. Mariusz odłożył słuchawkę i spojrzął na swoich współpracowników. – No to znaczy się, że miałem rację – stwierdził, próbując rzeczowym tonem przykryć zmieszanie. – To, co wydłubaliśmy ze ściany, to jest nabój do karabinka snajperskiego.

– SWD to ruska snajperka, wprowadzana do służby w Wojsku Polskim w połowie lat sześćdziesiątych. W tej chwili jest ich około półtora tysiąca w jednostkach – wyjaśnił Mazurek. – Swoją drogą świetna broń.

– A ty to niby skąd wiesz? – zapytał z niedowierzaniem Olkiewicz.

– Ja jak poszedłem do milicji, znaczy się do ZOMO, to się jeszcze na unitarce okazało, że całkiem dobrze strzelam, znaczy najlepiej w kompanii, to mnie posłali na taki dwutygodniowy obóz snajperski na poligonie gdzieś pod Piłą, ale gdzie dokładnie, to nie wiem. Żeśmy ćwiczyli na tych ruskich swadach i jeszcze na kilku innych rodzajach. I było nas tam piętnastu z całej Polski, niby że mieli wybierać do antyterrorystów, ale nic z tego nie wyszło.

– Nie trafił żeś tam, gdzie było trzeba? – domyślił się Olkiewicz.

– Ale tam... – Mazurek machnął ręką, dając do zrozumienia, że temat jest niewart opowieści. Ale nie docenił Olkiewicza. Teoś był człowiekiem bardzo dociekliwym.

– Znaczy się albo przez gorzałę, ale to musiałbyś chyba wypić dowódcy jednostki jego własną flaszkę bez pozwolenia, albo mordobicie, tyle że jak kto się bije dobrze, to raczej nie zamkną mu kariery przed nosem, czyli że wychodzi przez babę...

Mazurek popatrzył na zadowoloną twarz Teofila, jakby miał do czynienia z jakimś prorokiem.

– Była tam taka jedna siostra w punkcie medycznym, co mi wpadła w oko, a ja jej też wpadłem chyba, bo już pierwszego dnia poszliśmy do lasu na spacer i ona taka była wyposzczona, że nie było rady, trzeba było jej dogodzić. No to tak ją wyobrażałem przez te dwa tygodnie, że się prawie zakochałem. Ale ona nie chciała się żenić, bo jej mąż by nie pozwolił. A mąż był jakimś majorem od zaopatrzenia, no i jakoś tak wyszło, że na potańcówce, co dla nas na koniec szkolenia zrobili, trochę się wypilo i ten major za bardzo podskoczył, to się go wzięło w ciemny las i tam zainkasował w mordę. No i nie wzięli mnie do komandosów, mimo że miałem najlepsze wyniki.

– Wszystko przez te baby. – Teoś postukał palcem w zdjęcie blond piękności leżącej nad basenem. – To, jak mi się zdaje, już my są po służbie i można sobie coś wypić, bo mi się już flaki od niepicia skręciły na ament – stwierdził i od razu pochylił się nad szafką w biurku. Od pewnego czasu nosił ze sobą do pracy małe butelki wyborowej, bo były bardzo poręczne do ukrycia i łatwo je było włożyć do kieszeni marynarki, a po wypiciu niepostrzeżenie się ich pozbyć. Teraz wydobył jedną, odkręcił zakrętkę i nalał sobie do wystygłej dawno herbaty. Wolał na wszelki wypadek zachować pozory. W końcu czasy się zmieniły i musiał uważać z tą wódką.

– Dosyć tych pierdół. W takim razie jutro, Mazurek, ty sprawdzisz te snajperskie karabinki w Poznaniu, to znaczy, ile ich jest i gdzie. Mówię o tych wojskowych. Ale oczywiście te milicyjne też trzeba sprawdzić. Zakładam, że coś tu znajdziemy – zaordynował Blaszkowski.

– A co ze mną? – zapytał Olkiewicz.

– Myślę, że kolega Teoś świetnie poradzi sobie z tym samochodem namierzonym pod domem Grubińskiego.

– Z jakim samochodem? – zapytał, bo nie przypominał sobie żadnego samochodu.

– Tego, który namierzył ten twój dawny dowódca, no jak on się nazywał?

– Wróbel – mruknął Olkiewicz. Samochodu mógł nie pamiętać, ale Wróbla będzie pamiętał do końca swych dni.

## **Poznań** **Godzina 22.30**

Warsztat samochodowy stał przy brukowanej drodze, niegdyś wylotówce z Poznania. Jakiś czas temu wytyczono nową trasę kilkadziesiąt metrów dalej,

przez pola biegnące na tyłach posesji pobudowanych wzdłuż płotu lotniska na Ławicy. Powstała tu szeroka, czteropasmowa droga, łącząca się z wjazdem do Poznania od strony ulicy Dąbrowskiego. Dalej miała iść w kierunku na Warszawę, przez Wolę i skraj Strzeszyna. Na planach się jednak skończyło. Po pokonaniu torów kolejowych z czterech pasów robiły się dwa i w ten sposób ruch tranzytowy z Niemiec na Warszawę wślaczał się w wąskie gardło niedokończonej inwestycji. Stara, pokryta równym brukiem wylotówka na Świecko stała się tymczasem lokalną ulicą, przy której rozłożyły się warsztaty i magazyny, jak to zwykle dzieje się na przedmieściach dużych metropolii. Zakład, do którego swoich nowych kompanów przywiózł Falco, wyglądał na nieczynny. Taksówka, popielaty polonez, zatrzymała się przed zamkniętą na cztery spusty stalową bramą.

– To na moje wychodzi, że to jest ten numer sto dwadzieścia osiem – stwierdził taryfiarz, spoglądając na siedzącego obok mężczyznę. Falconetti uśmiechnął się pod nosem.

– Jak pan tak mówisz, to znaczy się, że tak jest! – stwierdził i zaczął wydobywać portfel z kieszeni kurtki.

– To co, już jesteśmy? – zapytał Zdzichu Trąba, który właśnie się przebudził. Uniósł się nieco zbyt szybko i ten ruch sprawił, że natychmiast zaczęli się budzić także jego ludzie. Pyśka, Ulung i Wafel siedzieli bowiem na tylnej kanapie, a Zdzichu jako najmniejszy z nich wszystkich został ułożony jak baton na ich kolanach. Nie było innego wyjścia, bo początkowo taryfiarz nie chciał się zgodzić, żeby jechali z tyłu w czwórkę.

– Auto jest pięcioosobowe, więc z tyłu siedzi trzech – tłumaczył pijanym klientom, bo było ich o jednego za dużo. Jak chcecie w tyłu jechać, to se musicie wziąć drugie auto albo jednego zostawić.

– My swoich nie zostawiamy – zawołał stanowczo Wafel, robiąc przy tym groźną minę.

– Co mnie to może obchodzić. Kanapa jest trzyosobowa. – Taksówkarz był twardy jak Conan Barbarzyńca. Nie wiedział jednak, że konfrontacja z Waflem może być dla niego przeżyciem ekstremalnym, stąd brała się jego hardość. Ale były zapaśnik nie był jeszcze tak bardzo pijany, żeby wdawać się w awantury, więc postawił na łagodną perswazję.

– Mnie tam chuj obchodzi, że auto jest pięcioosobowe, a z tyłu siedzi trzech. Wew związku z tym, że nas jest do przewózki pięciu, to znaczy, że jak jest

pięcioosobowe, to jedzie pięciu, tak?

– Zgadza się – potwierdził właściciel poloneza.

– No dobra, chłopaki, wsiadajcie – rzucił Wafel. – Jak pięciu może ino jechać, to ty nie jedziesz? – Położył facetowi łapę na ramieniu i lekko ciągnąc ku sobie, wydobył go z auta.

– Co ty, gościu, robisz, kurwa! – zawołał przerażony taksówkarz. – Odpierdolcie się ode mnie, bo zawołam milicję. To jest, kurwa, napad!

– Chyba policję – poprawił go Pyśka.

– Milicji już, kurwa, nie ma – wyjaśnił Wafel.

– Jaki napad? – zdziwił się Falco, któremu towarzystwo targowych graczy podobało się z każdą chwilą coraz bardziej. – No przecież sam żeś gadał, że może jechać tylko pięciu ludzi. No to my pojedziemy, a ty se poczekasz.

– Nie możecie jechać moim autem, bo to będzie kradzież!

– Chłopaki, on nas oskarża o kradzież! – zawołał święcie oburzony Zdzichu.

– No patrzcie się, ludzie. – Pyśka był wyraźnie poruszony. Tylko Ulung nic nie mówił, a jego twarz wyrażała coś w rodzaju obojętnej aprobaty. Było mu wszystko jedno, co się dzieje, pod warunkiem że nikt nie będzie chciał od niego niczego, co mogłoby go narazić na jakiegokolwiek męczące działanie. Chciał spać i jednocześnie chciał pić. Dlatego toczył ze sobą wewnętrzną walkę, by nie dopuścić do świadomości żadnych bodźców zewnętrznych, które mogłyby zakłócić stan równowagi pomiędzy nadchodzącym snem a jawą w postaci flaszki, którą chował w kieszeni.

– Ale jest pewien sposób – zaproponował rozwiązanie Falconetti. – Jeśli pan chcesz jechać z nami – zwrócił się do taksówkarza – to znaczy, że z tyłu musi pojechać czterech. – Facet pokręcił głową, ale jakby mniej zdecydowanie. – I w związku z tym ci trzej bardzo sympatyczni panowie usiądą na kanapie, a tego najmniejszego obywatela – tu wskazał na Zdzicha – wezną sobie jak dziecko na kolana i w ten sposób rozwiążemy naszą kość niezgody polubownie, czyli bez mordobicia.

W tej sytuacji taksówkarz, chcąc nie chcąc, musiał się zgodzić, bo łatwiej było mu zawieźć jednego faceta na leżąco, niż zostać na przystanku bez auta, choć ten wielki facet, który chciał go zostawić na miejscu, zarzekał się, że auto jak najszybciej odstawią z powrotem. Zawiózł więc ich na sam koniec Poznania, tak jak kazali, i musiał przyznać, że jazda mu się opłaciła, bo ten z jednym okiem dał mu jeszcze dodatkowo pięćdziesiąt tysięcy.



Pasażerowie wysiedli z auta i jak to ludzie, którzy pozostają w szponach nałogu, od razu zaczęli przeszukiwać kieszenie swoich kurtek i marynarek, by odnaleźć ukryte w ich zakamarkach papierosy. Szybko znalazła się też butelka, którą zachował Ulung. Chciał ją wypić zaraz, jak tylko wsiadł do samochodu, ale gdy oparł się głową o szybę, natychmiast zasnął, zapominając o wyborowej. No i teraz się przydała. Butelka szybko obeszła krąg spragnionych mężczyzn, by po chwili wylądować na trawniku pod drzewem.

– To tam jest ten warsztat. – Falco wskazał zamkniętą bramę, obitą blachą, która skutecznie chroniła przed ciekawskimi spojrzeniami z zewnątrz.

– Aha – skomentował Pyśka, który bardzo lubił nowe wyzwania, choć nie miał zielonego pojęcia, o co chodzi temu Falconettiemu. Tym bardziej że jeszcze niedawno ten proponował im duże pieniądze i chętne niemieckie panienki, a teraz przywiózł ich do jakiejś podmiejskiej fabryki. A Pyśka nie miał zamiaru uczestniczyć w niczym, co byłoby pracą fizyczną, zresztą podobnie jak jego koledzy, którzy z daleka i od zawsze mijali wszelkie zakłady, w których pracowało się po osiem godzin dziennie od szóstej rano. Więc teraz nie bardzo rozumiał, o co tu się rozchodzi, bo jakoś nie pamiętał, żeby ich nowy kumpel wspominał o jakimś warsztacie. – A tak w ogóle to po co my tu jesteśmy? – zapytał, by od razu wyjaśnić wszelkie wątpliwości. – Bo ja się do żadnej produkcji nie nadaję.

– A kto tu mówi o produkcji? – Falco klepnął go w ramię. – Jedyne, co my będziemy produkować, chłopie, to są pieniądze. No to, żeby wasze wątpliwe i niewątpliwe wątpliwości wyjaśnić, zapraszam do naszej twierdzy.

Podszedł do furty osadzonej w świetle bramy, włożył do zamka klucz, przekręcił go dwa razy, potem przycisnął klamkę i dawno nieoliwione zawiasy otworzyły się, jęcząc przy tym jak potępieniec. Wszedł pierwszy, żeby pokazać, że nie ma się czego bać. Pozostali ruszyli za nim. Po chwili znaleźli się na typowym dla takich miejsc podjeździe, na którym mogło jednocześnie parkować przynajmniej pięć aut. Jednak teraz podwórko wyłożone ośmiograniastymi, betonowymi trelinkami było puste. Tak jakby warsztat samochodowy zasnął, a auta pochowały się w garażach. Rząd drzwi wiodących z podjazdu do hali naprawczej sprawiał wrażenie zastygłych w bezruchu i niemym oczekiwaniu na to, co być może się wydarzy. A wydarzyło się tyle, że Falco podszedł do skrajnej bramy po lewej stronie, która położona była najbliżej piętrowego domu mieszkalnego. Było w nim ciemno, więc

właściciele albo spali, albo opuścili go, bo jedno było pewne, Falco nie spodziewał się z ich strony jakiegokolwiek kłopotu.

– No co tak stoicie jak smutne dupy, dalej, chodźcie no tu, bo po coś żeście tu chyba przyjechali.

Musieli przyznać mu rację, bo mimo że nie bardzo wiedzieli po co, to jednak ciekawość zwyciężyła. Skoro otworzył tę bramę garażową, to przecież trzeba było zajrzeć do środka. Falco zapalił światło. Rząd silnych, białych lamp jarzeniowych rozblęsnął w jednym momencie i w pomieszczeniu zrobiło się jasno jak w dzień. Warsztat sprawiał dobre wrażenie, bo był wysprzątny, a dzięki białym kafelkom na ścianach i szarym na podłodze wydawał się wręcz sterylny. Nigdzie nie widać było najmniejszych oznak pracy mechaników, która nieodmiennie kojarzyła się z brudem i smrodem smarów i spalin. Tu pachniało niemieckim płynem do mycia podłóg o zapachu świeżych jabłek. Jedynym dowodem na to, że to miejsce przeznaczone dla samochodów, był srebrny volkswagen passat na niemieckich tablicach rejestracyjnych, stojący na wprost bramy, którą weszli do środka.

– No i co powiecie? – Falco rozłożył ręce szeroko, jak cyrkowiec po udanym skoku. – Nie uważacie, że to robi wrażenie?

– A coś do picia tu mają? – zainteresował się Ulung, który właśnie powoli wracał do rzeczywistości i wcale mu się tu nie podobało. Wrażenie zrobiłaby na nim jakaś butelka wódki, nawet tej najpodlejszej, vistuli, ale garaż z samochodem? Przecież taki warsztat nie mógł zaimponować człowiekowi, który miał znacznie szersze horyzonty od tych, jakie oferowała hala naprawcza ograniczona czterema ścianami.

– Picie, he, he! – ucieszył się Falco. – O picciu oczywiście zapomnieć nie można, bo bez tego człowiek nie wyżyje.

– Człowiek nie wielbłąd i pić musi – zgodził się z tym twierdzeniem Pyśka.

– Bo się inaczej rozeschnie. – Ulung wymownie podrapał się po grdyce.

– Bez picia nie ma życia – przypomniał sobie Wafel.

– Picie wody nie rozwiąże twoich problemów. – Zdychu też coś na ten temat wiedział. – Problemy rozwiązuje dopiero kaucja za flaszki.

Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem, choć tak do końca nikt nie wiedział, dlaczego się śmieją, bo przecież to, o czym mówili, to była najczystsza prawda, czyli samo życie.

– No to zanim przystąpimy do realizacji pierwszego punktu naszego programu, macie rację, panowie, że trzeba się napić. – Falco podszedł do bagażnika samochodu, otworzył go i zajrzał do środka. – To co pijemy? Wódeczka, koniaczek czy łyśkaczek? Do wyboru, do koloru, wszystko prosto ze sklepu niemieckiego z Berlina.

– O! – Wafel zajrzał mu przez ramię. – Jest tego dobrego tyle, że każdy może pić z gwinta z własnej flaszki – stwierdził, doceniając różnorodność oferowanego asortymentu.

– Bierzcie i pijcie z tego wszyscy – zachęcił Falco. – Bo dzisiaj, panowie, świętujemy. A święto jest szczególne, ponieważ będziemy oblewać rozpoczęcie interesu życia. No dalej, brać i wybierać, chwycić i otwierać, bo flaszeczki nie laseczki, same dziurki nie pokażą i w ręce same nie włożą.

Zaproszeni do picia, zaprawieni w bojach karciarze, pochylili się nad bagażnikiem, a ich dłonie wyciągnęły się w kierunku różnokolorowych płynów, mogących im zapewnić prawdziwą męską rozrywkę jeszcze przynajmniej przez godzinę, a tym najwytrwalszym może nawet i dłużej.

– To co my zasadniczo mamy robić? – zapytał Zdzychu Trąba, otworzywszy flaszkę whisky z czerwono-złotą naklejką.

– Zasadniczo to się napić – wyjaśnił Falco, poklepując kolegę spod celi po plecach. – Ale jak już przepluczemy gardła, to wam pokażę, co się robi z takim jak ten passatem.

– W sensie?

– Jak się go kroi.

– Nożem? – zdziwił się Trąba, bo w samochodowej terminologii nie był zbyt biegły.

– Żadnym nożem. Furę kroimy zręcznymi palcami i paskiem blaszki. – Nowi współpracownicy, każdy ze swoją butelką, otoczyli Falconettiego zaciekawieni tym, co miał im do przekazania. Ten upił łyk wódki, bo gustował w wyrobach krajowego przemysłu spirytusowego, otarł usta, a potem wysunął przed siebie ręce, ukazując dłonie jak magik przed występem, który chce zapewnić widzów, że w tym, co robi, nie ma absolutnie żadnego oszustwa, to jedynie sprawność połączona z odrobiną magii. – Krojenie fur, panowie, to prawdziwa sztuka. Dziś nic na ten temat nie wiecie, ale zapewniam was, że jutro każdy z was będzie potrafił w ciągu minuty sprzątnąć z ulicy każde auto, jakie se tylko

upatrzycie. A jak już nabierzecie wprawy, to mogę wam obiecać, że niedługo nie będziecie wiedzieli, co robić z bejmami.

Lekki pomruk aprobaty, który rozległ się w pustej hali, świadczył dobitnie, że wszyscy zebrani byli poważnie zainteresowani podniesieniem swojej stopy życiowej i przejściem na znacznie wyższy szczebel społecznej drabiny. Przecież wkrótce mieli się zmienić ze zwykłych oszustów amatorów w wykwalifikowanych złodziei.

## **Opalenica**

### **Godzina 23.15**

– Aaa teraz specjalnie dla was, bo widzę, że świetnie się bawicie, coś zupełnie odjazdowego, gdzie muzyka disco miesza się ze znanymi i lubianymi rytmami piosenki starej jak świat. Aaaaale nie bójcie się, piosenka jest starsza od was, ale to wcale nie znaczy, że jej nie znacie. Boooo w tym kraju znają ją wszyscy. Jednak w tej wersji nie słyszał jej jeszcze nikt! – Adam Wiśniak nie potrafił wymówić jednego zdania bez zajknięcia. Ale na tych zabawach dla starszych musiał jednak od czasu do czasu się odezwać. Ostatnio odkrył, że podczas zapowiadania piosenek gada jak nakręcony, lekko tylko się zacinając. Przekonał się więc, że ta robota to dla niego najlepsza terapia. Właśnie zapowiedział swój specjalny numer, który wymyślił zaledwie dwa tygodnie temu i dopracowywał przez ostatnich kilka wieczorów. Składał się z kawałka dyskotekowego bitu zespołu Eruption z siedemdziesiątego dziewiątego roku, nagranego raz za razem na magnetofon szpulowy, dzięki czemu ten rytmiczny utwór rozrósł się do prawie dziesięciu minut. W to tło dźwiękowe wpuszczał z małej płyty singlowej początek piosenki Mieczysława Fogga o pierwszym siwym włosie. Takie zestawienie bardzo przypadło do gustu młodym ludziom na sobotniej dyskotece. Teraz zamierzał po raz pierwszy zaprezentować je starszym miłośnikom szybkich rytmów. Bo dzisiejszego wieczora w Discolandzie Wiśnia puszczał muzykę dla rolników, lokalnych działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego, które wcześniej nazywało się Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, a jeszcze wcześniej Polskie Stronnictwo Ludowe... Ale to były sprawy historyczne, w które nikt się nie wgłębiał, bo nikogo przecież nie obchodziły, nawet samych zainteresowanych. Najważniejsza była ludowa tradycja, która kazała rolniczym działaczom partyjnym każdego roku robić imprezę okolicznościową, by uczcić dożynki i opić urodzaj na wesoło albo jego

brak na smutno. A że szło nowe, w tym roku postanowili zabawić się po raz pierwszy nie przy dźwiękach wiejskiej kapeli, ale nowocześnie, w dyskotecie.

Na parkiecie w rytm dyskotekowej rąbanki poruszali się już działacze i ich żony, a kolorowe światła sprawiały, że ich wijące się postaci wyglądały jak epileptycy podczas ataku padaczki, za wszelką cenę próbujący utrzymać się na nogach.

*Du, du, du, du, dam, du, du, du, dam, du, du, du...*

Dźwięk bębnów, wspomaganych diabolicznie rozedrganymi skrzypcami, niósł się po sali, a kiedy solówka skrzypiec zastygła przez ułamek sekundy w ciszy, z głośników popłynął aksamitny głos starego piosenkarza, podczas gdy migające dotąd światła zmieniły się i rozblęły delikatną, brzoskwiniową nutą, bez żadnych zmian tonacji i mocy.

*Spostrzegłem dzisiaj pierwszy siwy włos na twojej skroni.*

Wiśnia pomyślał nawet, że wyczarował w ten sposób atmosferę z lat pięćdziesiątych, przypominającą dawne zabawy wiejskie. Brakowało jeszcze tylko kurzu wzbijającego się pod sufit, ale na to na razie nic nie był w stanie poradzić. Niestety podłoga wyłożona linoleum nie kurzyła się tak, jak te drewniane w dawnych wiejskich salach. Ale widział w telewizji, jak podczas pewnego koncertu muzycznego na scenę wpuszczano jakąś parę imitującą dym, w której brodzili po kolana występujący artyści. Gdyby on miał takie urządzenie do wytwarzania tej pary, to jego dyskoteki zmieniłyby się w prawdziwą ucztę, nie tylko dla ucha, lecz także dla oka. Postanowił więc, że zacznie czegoś takiego szukać, tyle że jeszcze nie wiedział gdzie. Może powinien w tej sprawie wybrać się do Niemiec, pochodzić po berlińskich dyskotekach i sprawdzić, jak radzą sobie miejscowi DJ-e. Dlatego od pewnego czasu uczył się intensywnie niemieckiego z kaset magnetofonowych, kupionych od jakiegoś zapijaczego faceta, który opchnął mu je jako towar do nagrywania. Początkowo rzeczywiście chciał ich użyć jako taśm roboczych, na których nagrywa się jakieś kawałki do miksowania, ale coś go tknęło, gdy włożył pierwszą z kompletu do magnetofonu. Zamiast włączyć nagrywanie, wcisnął przycisk odtwarzania i z głośników popłynął melodyjny, przyjemny głos lektorki mówiącej po niemiecku. Co ciekawe, Wiśnia, który uczył się niemieckiego na kursach w domu kultury przez trzy miesiące, bo jakoś dłużej mu się nie chciało, naraz poczuł, że ten język obcy jest stworzony jakby dla

niego, ponieważ zrozumiał bez potrzeby tłumaczenia wszystko, co mówiła ta kobieta. A mówiła „dzień dobry” i przedstawiła się imieniem Kristina. Doszedł więc do przekonania, że skoro tak mu dobrze idzie, to powinien wykorzystać te swoje niesamowite zdolności i nauczyć się perfekcyjnie tego języka, a potem zacząć jeździć do Niemiec na dyskoteki, by podglądać, jak bawią się młodzi ludzie na zachodzie Europy. No a poza tym mógłby jako człowiek władający niemieckim kupować sprzęt muzyczny na miejscu, w firmowych sklepach, a nie od przygodnych polskich handlarzy za znacznie wyższą cenę.

Gdy tylko Mieczysław Fogg zaczął śpiewać, atmosfera tanecznego rozedrgania natychmiast się zmieniła. Rolnicy chwycili w pół swoje partnerki i zaczęli tańczyć po bożemu, tak jak ich tego nauczono w dawnych czasach, gdy na wiejskich zabawach grano walczyki i mazurki.

*I widzisz, miła, przed wzruszeniem trudno się obronić.*

Ciągnął dalej pan Mieczysław, a tańczący poczuli również wzruszenie łapiące ich za gardła, bo dla wielu te słowa były jak podróż do lat młodości.

*Mam przecież w oczach dzień, gdy pierwszy raz ujrzałem ciebie.*

Panie uśmiechały się tajemniczo, a mężczyźni się prostowali, wspominając, jak po raz pierwszy obejmowali dziewczęta swymi silnymi, umięśnionymi chłopskimi ramionami. Dziś żaden z nich nie dałby rady dokonać tej sztuki jedną ręką, bo biodra ich partnerek urosły jak ciasto chlebowe przed włożeniem do pieca, zmieniając dorodne ptaszęta w przerośnięte kwoki.

*Pamiętam każde słowo, każdy uśmiech twój.*

Muzyka jest jak klucz do duszy, myślał disc jockey, spoglądając na rozmarzone twarze tańczących, i tym bardziej cieszył się z tego, co zaraz nastąpi, gdy tylko Fogg zakończy frazę.

*Du, du, du, du, dam, du, du, du, du, dam, du, du, du...*

Gęste od potu i dymu papierosowego powietrze rozdarły dźwięki bębna, a delikatne światło zmieniło się w migające ostre barwy stroboskopów efekty, wywodzące się wprost z chorego umysłu szaleńca. Wygłupieni rolnicy i ich małżonki nie bardzo wiedzieli, jak mają się teraz zachować. Atmosfera

nostalgii rozwiła się i uciekła, a oni, ci zwyczajni i prości ludzie pracy, którzy chcieli się trochę odprężyć przed kolejnym starciem z nadciągającą świńską górką, nagle dostali obuchem w głowę i z właściwym sobie spokojem zaczęli wycofywać się z parkietu, zgrzytając zębami i gromadząc złą energię głęboko w zakamarkach swych chłopskich dusz.

– Dawniej chłop brał sprawy w swoje ręce i rznął panów, jak to bywało kiedyś w Galicji, a dziś, gdy chłop jest świątły dzięki telewizji, rznąć nikogo nie będzie. Co najwyżej ten od muzyki może dostać po mordzie za robienie sobie dowcipów – powiedział organizator wieczorku tanecznego, działacz gminny partii ludowej Marian Kaleta do swojej żony Elżbiety, którą odprowadził do stołu i kazał siadać, bo on musiał załatwić swoje sprawy.

– Ino żebyś mu zębów nie wybił, bo będzie jak z tym Strugałą dwa lata temu, co żeś mu musiał płacić za sztuczną szczękę. Więcej żeś na sądy wydał niż na ślub córki.

– Ty się, Elżbieta, nic nie bój, bo ja swój rozum mam, a poza tym na urzędzie jestem. A jak kto oleju w głowie nie ma, to trzeba jemu odrobinę nalać, żeby mu za mocno nie chlupotało.

Zostawił kobietę i ruszył w kierunku Wiśniaka, który właśnie przygotowywał kolejną niespodziankę. Chciał sprawdzić na rolnikach, jak zareagują na połączenie swojskich nut, wyśpiewanych przez znane i lubiane Mazowsze, z rytmem piosenki Donny Summer.

– Panie, nastąp się pan no tutaj. – Kaleta pomachał na Wiśnię, stojąc przy niewielkim podwyższeniu, na którym rozstawiony był stół ze sprzętem muzycznym.

– Nic nie słyszę. – Muzyk bezradnie rozłożył ręce i zaraz potem włączył pierwszą piosenkę *Ej, przeleciał ptaszek*. Zobaczył, że ten, który go woła, macha energicznie palcem, więc doszedł do wniosku, że może chce zamówić jakiś konkretny taniec dla swojej kobiety. Czemu nie, proszę bardzo. Zapłaci pięć stówek i nie ma o czym gadać, zagra mu wszystko, co będzie chciał, może nawet marsza wojskowego, jeśli tylko za pieniądze. Machnął więc do niego, że zaraz będzie dostępny, odczekał chwilę, aż wybrzmia słowa refrenu, i zaatakował salę szybkim rytmem disco. Ten rytm powinien trwać półtorej minuty, więc miał chwilę na załatwienie interesów.

– No... cooo... tam, gospodarzu? – zapytał protekcyjnie, zdejmując słuchawki z uszu.

- A chodź pan no tu za kotarę, żeby po cichu pogadać o ważnych sprawach.
- Ale ja tu muuuuzykę robię. – Wskazał głową na adapter z włączoną płytą.
- Muzyka nie zajęc. Chodź pan, bo tu o ważną rzecz idzie. No dalej, bo ja przecież nie będę stał jak dupa na wietrze.

Wiśnia wzruszył ramionami, pomyślawszy, że temu gościowi chyba naprawdę zależy, więc może warto go naciągnąć na jakiś ekstra numer.

- Poczekajcie, doooobry człowieku, niech tylko zmieeenię płytę.

Gdy Donna Summer przestała śpiewać, wrzucił początek płyty Mazowsza, dając sobie w ten sposób czas na nawet piętnastominutowe negocjacje. Odwiesił słuchawki na brzegu krzesła i zeskoczył z podestu. Rolnik złapał go pod łokieć i poprowadził szybko za kotarę. Gdy weszli w ciemność, naraz poczuł silnego kopniaka wymierzonego w sam środek tyłka.

– Ożeż ty chuju niemyty! – krzyknął działacz partyjny. – Ja ci, gnojku jeden, dam robić sobie szyderę z polskiego rolnika.

– Panie, coś pan, do cholery, zwariował? – zawołał disc jockey słabym i mocno przestraszonym głosem, co ciekawe, tym razem bez zająknięcia. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale solidny cios wyładował na jego szczęce, sprawiając, że niezbyt masywne ciało muzykanta poleciało na ścianę i zaraz spłynęło po niej w dół.

– Ty grajku elektryczny, ja ci pokażę zaraz, że z chłopca polskiego, co żywi i broni, śmiać się byle obesraniec nie będzie, i ja cię tu zaraz wypatroszę jak wieprzka, girami do góry powieszę pod lampą i kałdun rozetnę, aż ci wszystkie bebechy wylecą i wtedy psy się zlecą z okolicy i wszystko to zeżrą, i juchę wyliżą do czysta, żeby ślad po twoim gównie nie został, ty zasrańcu pierdolony.

- Ratunku, pomocy! – zawołał pobity demon dyskoteki.

– Ja cię zaraz uciszę na zawsze...

– Pomóc ci w czymś, Marian? – zapytał zastępca szefa okręgu Opalenica Wiesław Skoczylas.

- A gdzie mnie tam pomoc potrzebna na takiego zasrańca.

– Ty już jego lepiej zostaw, bo mu jeszcze krzywdę zrobisz.

– Krzywdę to on zrobił całemu polskiemu rolnictwu i za to trzeba by jego za koniem przeciągnąć po polu. Ale ma on szczęście, że ja tu dzisiaj nie tylko jako gość, ale jako reprezentant Zjednoczenia, więc w tej sytuacji ino splunę na niego i więcej se łap brudził byle czym nie będę.



– Racja, Marian. Widać, żeś jest chłop obyty. Na posta żeś powinien iść, żeby naszych spraw w Warszawie pilnować, żeby takie jak ten tu śmierziele nie robiły sobie z chłopstwa szydery.

– Myślisz? – Kaleta udał zdziwienie, tak jakby to posłowanie zaświtało mu w głowie dopiero w tej chwili. Ale myślał już o tym od dawna i Skoczyłaś mógł się przydać w realizowaniu tych planów. Dlatego spojrzął na muzyka leżącego pod ścianą, splunął na podłogę, a potem, biorąc się pod boki, dorzucił ostrym, nieznoszącym sprzeciwu tonem: – A teraz idź, łachudro magnetofonowa, do puszczenia muzyki, i żebyś mi do końca wieczoru grał tak ładnie, żeby ludziom się na sercach miło zrobiło. A zagrasz mi coś za głośno albo za szybko, albo tymi lampami po oczach oświecisz za ostro, to jeszcze raz powąchasz ty mojej piąstki. Idź i graj, i żebyś wiedział, że chłop polski przyłać po mordzie umie, ale i wybaczać umie, a i nagrodzić za dobrą robotę potrafi jak nikt inny. Powiedziawszy to, oparł swoją ciężką gospodarską rękę na ramieniu swojego zastępcy i obaj wrócili na salę. Po chwili Wiśnia też wrócił i od razu włączył płytę z walczykami, którą zamierzał wcześniej zmiksować z muzyką disco, ale zarzucił tę myśl, bo bardziej od eksperymentalnej muzyki cenił swoje własne zęby.

## **Godzina 23.05**

Porucznik Henryk Leśniak nie musiał się nigdzie śpieszyć. Wiedział dobrze, co ma robić, i robił to najlepiej, jak potrafił, czyli doskonale. To, czym miał się zająć, miało dopiero nadejść, więc teraz zajmował się tym, co lubił najbardziej, czyli robieniem niczego. Siedział w dziesięcioletnim fiacie, palił papierosa i patrzył gdzieś w dal, zastanawiając się nad swoją przyszłością. A ta nie wyglądała najlepiej, choć mocno wierzył, że to tylko kwestia chwili.

Wiedział, że ma przed sobą konkretny cel, który sprawi, że on i jego koledzy rozproszeni po całym kraju, ludzie niezwykle ideowi, wkrótce odnajdą swoje ścieżki, wejdą na nie i zaczną nimi kroczyć z podniesionym czołem. Bardzo mu się spodobało to, co mówił generał Jeleń. Facet miał głowę na karku i wiedział, jak realizować najbardziej skomplikowane projekty. Ta sieć małych firm i przedsiębiorstw połączonych ze sobą w jeden, niewidzialny organizm to przecież było nic innego jak ich dawny resort. „Wszystkie elementy współdziałają ze sobą i są zorganizowane jak podziemna armia”, mówił Jeleń, gdy widzieli się dwa miesiące temu. Było ich na tym spotkaniu ze dwudziestu, takich samych jak on ludzi, którzy odeszli z resortu, bo nie mieli szansy

przejścia pozytywnie weryfikacji. Wszystko ideowi towarzysze zaprawieni w bojach. Siedzieli w restauracji przy kawie, zasnuci tytoniowym dymem i mgłą niepewności. Jeleń im tę pewność siebie przywrócił.

– Każdy z was znajdzie sobie jakieś niewielkie przedsiębiorstwo. Ale pamiętajcie, niewielkie, takie, które zajmuje się jakąś produkcją. Obojętnie, co to będzie za produkcja, czy świeczek nagrobnych, czy konewek do podlewania kwiatów, czy rękawic roboczych. Albo nawet garnków emaliowanych. Asortyment jest całkowicie obojętny. Przede wszystkim chodzi o to, żeby była to firma w waszej okolicy, żebyście wy znali ludzi, miejsce i specyfikę regionu. Ważne jest, żeby był to zakład, co sobie nie radzi, ma kłopoty z rynkiem zbytu, z parkiem maszynowym, z urządzeniami produkcyjnymi, a na dodatek jeszcze ma kłopoty z załogą, czyli dyrekcja kłóci się ze związkami zawodowymi. Taki zakład musi mieć swoje hale produkcyjne, budynki biurowe, place składowe, magazyny i ogrodzenie, żeby byle kto tam nie zaglądał. Są tu wśród nas koledzy z całego województwa. Macie swoje miejscowości i pewnie macie też zakłady, z którymi kiedyś współpracowaliście. Nie widzę więc kłopotu w znalezieniu odpowiednich lokalizacji. Te zakłady musicie rozpracować operacyjnie. Musicie o nich wiedzieć wszystko, nie tylko od strony produkcyjnej, ale i ludzkiej. Pracownicy, kadra, dyrektorzy i ich kochanki. Gdy każdy z was będzie miał swój zakład rozłożony na czynniki pierwsze, przystąpimy do działania. Będziemy taką firmę doprowadzać do upadku pożyczkami, wielkimi zamówieniami nie do zrealizowania i tak dalej. A gdy zakład będzie bliski zamknięcia, wtedy będziecie pojawiać się wy, ludzie, którzy go uratują, mężowie opatrnościowi z programem modernizacji i restrukturyzacji w teczkach. Ale podstawowym elementem zmiany właścicielskiej będzie prywatyzacja. To wy na papierze staniecie się właścicielami Pompoli, Poldrewów, Budremów czy innych Rembudów. To będą wasze firmy połączone kapitałowo z przedsiębiorstwami innych kolegów. Będą działały osobno i niezależnie, ale wzajemnie będą sobie pomagały. Jednakowoż najlepsze w tym wszystkim jest to, że w każdym województwie, w każdej gminie, będziemy tworzyć własne banki, a właściwie instytucje bankowe. Kilka takich naszych firm będzie powoływać do życia miejscowy czy regionalny SKOT, czyli Spółdzielczą Kasę Oszczędnościowo-Transferową. Taka kasa będzie dawała waszym firmom nisko oprocentowane kredyty na działalność produkcyjną i będzie nastawiona na transfery pieniędzy z jednej firmy do drugiej. Otóż przedsiębiorstwa zakładające SKOT będą wpłacać do wspólnej kasy po dziesięć tysięcy dolarów. To jest kapitał początkowy. Później każde

bierze z państwowego banku kredyt na sto tysięcy dolarów. Zabezpieczeniem jest majątek firmy. Gotówkę z kredytu wpłaca do naszego SKOT-u. Jeśli dziesięć firm weźmie takie kredyty, to SKOT ma już milion kapitału obrotowego, który może wykazać. Mając ten milion, bierze kolejny milion w banku i udziela wam kolejnych pożyczek. Tymi pożyczkami spłacacie pierwszy kredyt, ten na sto tysięcy, i wtedy bierzecie jako wypłacalna firma kolejny kredyt na sto pięćdziesiąt tysięcy. SKOT może wówczas wystąpić do banku o półtora miliona. Jeśli któryś z was będzie chciał zakupić materiały do produkcji, jest już wiarygodnym kredytobiorcą, spłacającym kredyty. Dostaje więc pożyczkę na materiały od banku i jednocześnie spłaca odsetki, i tak dalej. A prócz tego są jeszcze inni ludzie, drobni ciułacze, którzy dostają niezwykle korzystne możliwości zakładania lokat i oszczędzania w naszych kasach. Wszystko obraca się tak szybko, kredyty są brane na bieżąco, na remonty, na produkcję, na maszyny, na pojazdy i wszystko cały czas się spłaca, bez jakiegokolwiek dnia zwłoki.

– Ja jak na razie niewiele z tego zrozumiałem – stwierdził Gienek Długosz z Wągrowca. – Ale mam takie wrażenie, że to jest coś w rodzaju perpetuum mobile.

– No świetnie żeście to, kolego, ujęli. Dla nas będzie to rzeczywiście mechanizm, który nie będzie się nigdy zaciął. A wiecie dlaczego? Dlatego że jeśli któraś z naszych firm nagle z jakiegoś powodu będzie niewypłacalna, to wszystkie zaprzyjaźnione zakłady w ciągu jednego dnia zrzucą się na firmę kolegi. A nasz SKOT wcale nie będzie się śpieszył z naliczaniem odsetek.

– A jak ktoś będzie miał ciągle kłopoty, a inni będą sobie dobrze radzić? – zapytał Olek Drewniak z Czarnkowa.

– Jak ktoś sobie nie będzie radził, to niestety odeślemy go na wcześniejszą emeryturę – stwierdził uśmiechnięty od ucha do ucha Jeleń.

Wszyscy zebrani wybuchnęli śmiechem. Propozycja generała była genialna. Dzięki niej wiedzieli, że nie zginą, że czeka ich świetlana przyszłość w przemyśle czy przetwórstwie.

Leśniak wkrótce po tej naradzie wytypował firmę dla siebie. Było to niewielkie przedsiębiorstwo zajmujące się przewozem towarów. Dysponowało kilkoma starymi, rozklekotanymi ciężarówkami i kilkunastoma nyskami w jeszcze gorszym stanie. Ale auta jeździły i co ważne – miały kierowców. Do tego firma miała swoją bazę w Pile, kilka hektarów ogrodzonych betonowym

płotem, garaże i halę naprawczą. No i budynek biurowy, w którym zatrudniono kilkanaście pań. Większość z nich sama nie do końca wiedziała, co tu właściwie robi, a ich praca polegała na picciu kawy i wypełnianiu formularzy oraz poleceń wyjazdu.

Swoje opracowanie dotyczące firmy Pil-Trans Leśniak przekazał Jeleniowi i teraz czekał na decyzję o przejęciu firmy. Był jednak dobrej myśli, bo przedsiębiorstwo spełniało wszystkie warunki do tego, żeby dało się je zarzącać, a potem postawić na nogi. No a oprócz tego miało jeszcze jeden atut. Było właścicielem ośrodka wypoczynkowego nad morzem, w Sarbinowie, na trzydzieści miejsc, z własnym dojściem do plaży. Już samo to sprawiało, że było o co walczyć, myślał Leśniak, siedząc w zdezelowanym fiacie przed domem należącym do faceta, który chciał mu sprzedać radyjka na Łazarzu.

Godzinę temu był w tym domu, ale nikogo nie zastał. Obszedł budynek, lecz we wszystkich oknach było ciemno. Pomyślał więc, że i tak nie ma nic do roboty, więc poczeka, aż facet wróci. Najpierw jednak przyszła jakaś kobieta. Pewnie była to matka, więc odczekał jeszcze chwilę i wysiadł z samochodu. Nie zamykał auta, bo i tak nie miał kluczy. To nie był jego samochód. Ukradł go wczoraj i jeździł nim, bo ta kupa złomu w kolorze wiśniowym nie rzucała się w oczy. Maluch miał przynajmniej dziesięć lat, przegniłe progi i nadkola, więc w zasadzie nadawał się tylko na złom. Wziął takie auto z ulicy, bo liczył na to, że właściciel trupa nawet się nie zorientuje, że ktoś mu je gwizdnął.

Zatrzymał się przed furtką, pchnął ją i podszedł do drzwi. Zapukał, bo nie znalazł dzwonka. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

– Pani Wiśniakowa. Ja do pani syna Adama – powiedział urzędowym, nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– A pan kto? – zapytała kobieta, która jeszcze nie zdążyła zdjąć palta i chustki po przyjściu do domu.

– Ja jestem z policji. – Wyciągnął swoją przeterminowaną, esbecką legitymację i machnął nią kobiecie przed oczyma.

– No i co? – zadała pytanie, na które Leśniak nie bardzo potrafił odpowiedzieć.

– No i nic. Chcę z nim rozmawiać.

– To przyjdź pan za dnia, jak będzie. Teraz jest noc i normalni ludzie z nikim nie rozmawiają.

– Ale ja muszę z nim...

– Za dnia niech pan przyjdzie. Syna nie ma. A poza tym skończyły się już czasy, jak szkieł tylko machnął człowiekowi przed gębą legitką i wszyscy stawali na baczność. Koniec tego dobrego. Syn będzie jutro, to se możesz pan z nim gadać, ile dusza zapragnie!

Zamknęła drzwi, a Leśniak stał jak słup soli, bo w jego dziesięcioletniej karierze funkcjonariusza jeszcze nigdy nie zdarzyła się podobna sytuacja. Ludzie zazwyczaj kulili się w sobie, wpadali w katatonię albo stawali się usłużni i przymilni, chcąc zaspokoić wszelkie życzenia funkcjonariusza, ale nigdy nie byli niemili i opryskliwi jak ta baba. W zasadzie to powinien jej dać po mordzie, ale za szybko zamknęła drzwi. Może by tak jeszcze raz zapukać, a gdy otworzy, wstawić nogę w szparę, złapać ją za twarz, pociągnąć za włosy, wbić kolano w podbrzusze... Rozmarzył się, przypominając sobie metody, którymi zmiękczało się kiedyś najbardziej zatwardziałe opozycyjne świnie. „Nauczę cię ja szacunku do SB, ty stara kurwo!”, syknąłby jej do ucha, a potem wymierzył jeszcze siarczasty policzek w gębę. A ona by zawyła, tak jak to te wszystkie opozycyjne szantrapy miały w zwyczaju, głośno, tak żeby wszyscy sąsiedzi słyszeli. Ale co go mogli obchodzić jacyś sąsiedzi. Jeszcze raz by przyłożył w tę wredną gębę, i jeszcze raz...

Piękne były czasy, pomyślał, wracając do auta. Minęło go dwóch chłopaków, którzy potraktowali go jak powietrze. On też nie zainteresował się nimi specjalnie i być może wróciłby do swoich myśli o przyszłej karierze przedsiębiorcy, gdyby jeden z nich nie wymienił znajomego nazwiska.

– Jak on się nazywa? – spytał niższy swojego bardziej postawnego kolegi.

– Adam Wiśniak, ale mówią na niego Wiśnia.

Leśniak zastygł nieruchomo, jak wartownik przed mauzoleum Lenina.

– A jak go nie będzie w chacie?

– A gdzie ma być?

– Może prowadzi dziś dyskotekę?

– W poniedziałek?

– Może być. W ośrodku sportowym są dyskoteki codziennie, a on jest tym, no, disc jockeyem!

Disc jockey, to słowo wbiło się jak błyskawica w mózg porucznika Henryka Leśniaka. Teraz już wszystko wiedział. Jako stary wywiadowca z wielkim doświadczeniem posklejał fakty. Był dwie godziny temu w osobliwej knajpie położonej obok cmentarza, którą pewnie w przyływie wisielczego humoru

właściciel nazwał Trupek. Usiadł tam przy plastikowym stoliku, na plastikowym fotelu i zjadł plastikową zapiekankę, odgrzaną w mikrofalówce. Przy pozostałych stolikach siedzieli obojętni na wszystko miejscowi pijacy, konsumujący piwo i papierosy.

– Pan pewnie na dyskotekę? – zagadnęła go czarnowłosa kelnerka, która pierwszych klientów obsługiwała zapewne w czasach gomułkowskiej małej stabilizacji.

– Jaką dyskotekę? – zdziwił się.

– No co, Discolandu. – Wskazała na budynek naprzeciwko. – Bo dzisiaj tam zabawę mają rolnicy, to se pomyślałam, że pan idzie się zabawić...

Zapłacił i podziękował za informację, ale nie zamierzał iść bawić się na rolniczą dyskotekę. Wtedy nie zamierzał, ale teraz sytuacja zmieniła się diametralnie.

## Rozdział V

**Poznań**

**Godzina 23.30**

Gruby Rychu mógł wypić bardzo dużo. Jego znajomi, którzy mieli okazję z nim biesiadować, patrzyli na niego z zazdrością, podziwem, a niekiedy i zawiścią. Bo umiejętność picia poważnych ilości bez konsekwencji w postaci bełkoczącej wymowy, zachwiania równowagi czy zasypiania w trakcie imprezy była w Polsce Ludowej traktowana na równi z nadzwyczajnymi umiejętnościami towarzyskimi, takimi jak ładny głos, nadający się do intonowania pieśni okolicznościowych przy biesiadnym stole czy zdolność do interesującego opowiadania kawałów. Czasy komunistycznej władzy w kraju już się skończyły, jednak ludzie tacy jak Rychu, potrafiący brylować w towarzystwie, nie wylewając przy tym za kołnierz, nadal byli uważani za niezwykle wartościowych gości.

Jednak nie zawsze mocna głowa była błogosławieństwem dla pijącego. Dziś oddałby swoją moc i upiłby się do nieprzytomności, ale wszelkie podejmowane od rana próby kończyły się niepowodzeniem. Owszem, przed południem poczuł, że za chwilę być może opadnie z sił, jednak była to tylko chwilowa słabość. Jego rudowłosy kolega Mirek Brodziak, który miał się nim zajmować, wyglądał znacznie gorzej. A właściwie wcale nie wyglądał. Leżał teraz na kanapie blady jak niedopieczony bochenek chleba i lekko pochrapywał. Widać było na pierwszy rzut oka, że nie jest to sen człowieka znużonego po fizycznym wysiłku, ale pijackie zamroczenie.

Rychu podniósł się z fotela, podszedł do barku i nalał whisky do dwóch szklanek. Jedną postawił na ławie przed swoim siedzeniem, a drugą podsunął pod nos Brodziakowi.

– Też, Miras, wstawaj! – mruknął niezbyt głośno, jednak na tyle stanowczo, że policjant natychmiast się poruszył. Otworzywszy oczy, przez chwilę zdziwiony wpatrywał się w bursztynowy płyn.

– Co jest, do cholery? – warknął jeszcze niezbyt przytomnie.

– Musimy przemyśleć to wszystko – powiedział Grubiński i omiół spojrzeniem salon. Na ławie stały trzy opróżnione butelki po łyskaczu i dwie duże, szklane po pepsi. Kryształowa popielniczka była pełna petów. Rychu chwycił leżącą obok paczkę cameli, ale okazała się pusta. Zgniół ją w dłoni i rzucił na podłogę.

– Ja mam jeszcze fajki. – Brodziak wydobył z kieszeni kurtki paczkę marlboro. Od razu zapalili. – Dobra, już jestem przytomny. – Mirek przejechał rozcapierzonymi palcami po głowie, starając się jako tako uporządkować swoją fryzurę. – To na czym to skończyliśmy? – zapytał, próbując wrócić do przerwanej kilka godzin wcześniej rozmowy. Wtedy zastanawiali się nad tym, komu mogło zależeć na wyeliminowaniu Rycha. Uznali, że takich ludzi było ostatnio dość dużo. Wszystko przez to, że Grubiński był człowiekiem niezwykle zamożnym i należącym do rynkowych potentatów w branży wymiany walut.

Przez całe swoje życie zajmował się lewymi interesami. Zaczynał jako młody chłopak od okradania ogródków działkowych i piwnic z kompotami. Mirek był jego współnikiem, dlatego obaj mieli duże szanse, by stać się wkrótce przestępcami z prawdziwego zdarzenia. Zresztą takie właśnie mieli plany. Pokrzyżowała je siostra Brodziaka. Chciała, żeby chłopak się uczył, a nie szlajał po podejrzanym melinach. Dlatego nie zgodziła się, by po skończeniu podstawówki poszedł do zawodówki, tak jak jego najbliższy przyjaciel. Po poważnej awanturze złożyła papiery brata do ogólniaka. I to właśnie ta szkoła rozdzieliła przyjaciół. Brodziak znalazł tam zupełnie inne towarzystwo ludzi, którzy mieli wyższe aspiracje. Jego koledzy i koleżanki chcieli po maturze iść na studia. On nie miał pojęcia, co chce robić dalej, i najchętniej nic by nie robił. Ale presja otoczenia okazała się decydująca. Któregoś razu zapytany przez koleżankę z klasy o plany na przyszłość odpowiedział, że pójdzie do milicji ścigać przestępców. To był żart, ale zbyt wiele osób usłyszało tę jego odpowiedź i Brodziak, chcąc nie chcąc, został klasowym szkiełem. Po maturze rzeczywiście zgłosił się do milicji, gdzie najpierw musiał odsłużyć dwa lata w ZOMO, a potem dostał się do szkoły oficerskiej w Szczytnie. Do Poznania wrócił kilka dni przed wprowadzeniem stanu wojennego i trafił do komendy wojewódzkiej pod skrzydła Marcinkowskiego. W tym samym czasie Rychu był już znanym w środowisku handlarzem walutą. Przed stanem wojennym wyjechał do Niemiec, żeby się tam rozejrzeć i poszerzyć horyzonty. W osiemdziesiątym drugim wrócił do Poznania i zaczął tu budować swoje imperium walutowe, szybko skupiając wokół siebie cinkciarzy pracujących pod poznańskimi peweksami. W ciągu kilku lat stał się



kimś w rodzaju króla podziemia. I gdyby socjalizm, który miał trwać wiecznie, nie upadł, Rychu nadal byłby przestępcą. Ale na szczęście dla Grubińskiego ustrój oszczędził za kulisy historii jak kiepski aktor o nadmiernie rozbudowanym ego, zdziwiony, że publiczność żegna go gwiazdami. Dzięki temu przed takimi ambitnymi ludźmi jak Grubiński otworzyła się szeroko brama wielkich możliwości. Skorzystał z tego, co dawał mu los. Dzięki swoim biznesowym kontaktom dowiedział się kilka tygodni wcześniej, że wkrótce w kraju zmieni się prawo i handel walutami stanie się całkowicie legalny. To była informacja warta każdych pieniędzy. Rychu utworzył sieć kantorów wymiany walut na przejściach granicznych z Niemcami i na trasie ze Świecka do Poznania dokładnie w dniu, gdy już można było zacząć działalność wymienną. Dzięki temu w ciągu kilku tygodni na całkiem legalnym biznesie zbił fortunę, którą postanowił ulokować we własnym banku. W ten sposób kilka miesięcy temu na placu Wolności powstał pierwszy w Poznaniu po czasach komunistycznych prywatny bank. Grubiński nie zapomniał o swoim przyjacielu. Zaproponował Mirkowi przejście z milicji do bankowości, ale ten nie bardzo wierzył jeszcze w powodzenie tego przedsięwzięcia. Zresztą nie musiał się śpieszyć. W Banku Ziemiakim miał udziały, które Rychu – mimo jego sprzeciwu – dał mu za pomoc w odzyskaniu dolarów zawłaszczonych przez konkurencyjną cinkciarską grupę. Kolejny pakiet właścicielski należał do Magdy, tej samej, która w aucie Rycha straciła dziś życie. Poza tą trójką był jeszcze jeden wspólnik...

– Bielecki... to ten skurwiel – warknął Brodziak.

– Też o tym myślałem, ale to chyba zbyt oczywiste. Bielecki miał motyw, ale czy by mu się opłacało? – zastanawiał się głośno Rychu.

– *Is fecit, cui prodest* – rzekł Brodziak.

– Co gadasz? – Rychu nie znał łaciny. Zresztą Brodziak też nie, ale kilka podstawowych sformułowań i sentencji musiał się nauczyć na studiach. Ta, która akurat mu się przypomniała, pasowała do sytuacji idealnie.

– Ten jest winny, kto zyskał – przetłumaczył.

– No to ja nie muszę znać łaciny, żeby to wiedzieć – stwierdził bankier, drapiąc się po brodzie. Ten mimowolny gest wykonywał zawsze, gdy nad czymś mocno się zastanawiał albo gdy przychodził mu do głowy jakiś głupi pomysł.

– No gadaj, co żeś tam wymyślił?

– Pomyślałem, że najprościej by było tak, żeby wziąć pojechać do Bieleckiego, związać go i przypalić mu pięty żelastwem.

– Ja pierdolę, Rychu, ty się obudź. To nie jest średniowiecze.

– A co to jest, jak zabijają moją... – Przez chwilę musiał się zastanowić, jak nazwać relacje łączące go z Magdą. To, że byli współnikami, to pewne, no i jeszcze fakt, że się lubili, był bezsporny. Czy mu na niej zależało? Owszem, myślał o niej bardzo często, a ostatnio spędzali razem coraz więcej czasu. Dzisiejsza noc mogła więc być solidnym początkiem czegoś naprawdę poważnego. Tymczasem najpierw rano on sam wszystko popsuł, choć to pewnie jeszcze dałoby się jakoś naprawić. Jednak tego, co stało się później, nie da się w żaden sposób odwrócić. Magda nie żyła i wszystko wskazywało na to, że to przez niego, że zginęła, bo on tu zawinił, być może nadeptując komuś na odcisk. Miras ma rację, że winny jest ten, kto mógłby zyskać na jego śmierci. A co zyskałby Bielecki? Chciałby przejąć kontrolę nad bankiem jako drugi pod względem liczby udziałów współnik. Mógłby też spróbować wykupić pozostałych. – Jak zabijają moją współniczkę – w końcu znalazł odpowiednie określenie, w zasadzie niewyjaśniające niczego w kwestii ich wzajemnych powiązań – to jest to właściwie zamach na mnie.

– A co, gdyby mu się udało? – zastanawiał się Brodziak.

– Potem musiałyby kombinować – rzucił bankier, uśmiechając się lekko pod czarnym wąsem.

– Musiałyby dogadać się z twoimi spadkobiercami – stwierdził Brodziak. – Zaraz, Rychu, a ty masz w ogóle jakichś spadkobierców?

– Coś by się tam znalazło. – Grubiński machnął ręką, najwyraźniej nie chcąc wchodzić w szczegóły.

Za to Brodziak zaczął szybko analizować, kto z rodziny Rycha mógłby po nim dziedziczyć. Wyszło mu, że tylko kuzyn i kuzynka, dzieci siostry ojca Grubińskiego, który zmarł jakieś piętnaście lat temu, krótko po tym, jak umarła jego matka. Nikogo bliższego Rychu nie miał, więc Bieleckiemu pewnie udałooby się jakoś zneutralizować rodzinę, spłacając ich. Wtedy to on stałby się właścicielem banku. To wydawało się całkiem realne, tym bardziej że obaj doskonale znali Bieleckiego jako bezwzględного człowieka, który zrobi wszystko, żeby dopiąć swego. Bo Stanisław Bielecki był pułkownikiem Służby Bezpieczeństwa, który nawet nie próbował odnaleźć się w nowej służbie. Kilka miesięcy temu, gdy Rychu zakładał swój bank, odszedł z SB jako człowiek bardzo zamożny, a jego pieniądze nie były zdobyte w legalny sposób.

Odchodził z resortu wyposażony również w bezcenne informacje. To one pozwoliły Rychowi otworzyć biznes walutowy w dniu wprowadzenia przepisów o handlu walutą. Więc tak naprawdę u podstaw biznesowego sukcesu byłego cinkciarza leżały esbeckie informacje. No i pieniądze, które miał Bielecki, też poszły na rozkręcenie interesu. Może więc były esbek, uważając się za ojca ich bankowego przedsięwzięcia, postanowił sięgnąć po więcej?

– Dobra, to akurat nie jest w tej chwili ważne. – Brodziak sięgnął po szklanekę whisky i upił łyk. – Myślę, że najważniejsze jest teraz się gdzieś przyczaić.

– Niby że mam gdzieś uciekać? – zapytał Rychu zdziwiony.

– Uciekać nie, ale posiedzieć gdzieś w bezpiecznym miejscu, w czasie gdy ja się będę mógł rozejrzeć.

– Jak chcesz się rozglądać, jak cię odsunęli od śledztwa? – przypomniał mu Grubiński.

– Nie muszę robić niczego oficjalnie.

– Oficjalnie czy nieoficjalnie, ale ja nie mam zamiaru się ukrywać. Już raz siedziałem schowany jak szczur.

– W wojsku nazywa się to wycofaniem na z góry upatrzone pozycje – usłyszeli głos dochodzący z za ich pleców. Odwrócili się natychmiast. W wejściu do pokoju stał Bielecki.

– Przyjechałem, jak tylko się dowiedziałem, co się stało. Bardzo mi przykro. – Podeszedł z wyciągniętą dłonią do fotela, na którym siedział gospodarz. Rychu podał mu swoją, mimo że miał chęć mu tę jego oderwać... Wolał jednak na razie zachować spokój. Ale Bielecki był zbyt wytrawnym graczem, by nie zrozumieć natychmiast, że był pierwszym podejrzanym. – Może to was nie przekona od razu, ale powiem, że nie miałem z tym nic wspólnego. Po co miałbym ją eliminować? Weźcie na zdrowy rozum, mnie się to w ogóle nie opłaca.

– Co ci się nie opłaca?

– No zabicie Magdy. Gdybym miał sprzątnąć ciebie, to co innego – zażartował, ale nikomu nie było do śmiechu.

– Ten zamach był nie na Magdę, ale na mnie...

Bielecki wziął z barku szklanke i nalał sobie czystej wódki. Nie gustował w kolorowych alkoholach. Upiwszy odrobinę, siadł na fotelu na wprost Rycha.

– Skąd wiesz? – zapytał.

Nie było sensu ukrywać tego, czego dowiedzieli się od Blachy. Brodziak powiedział mu więc o dziurze w kuchennej ścianie, którą wybił pocisk ze snajperskiego karabinka. Był pewien, że Bielecki nie szukał usprawiedliwienia przygotowania zamachu na Rycha. On był przekonany, że ktoś chciał zabić dziewczynę. I to w jakiś sposób stawiało go na razie poza podejrzeniami.

– Potrzebuję trochę czasu. Dzień, może dwa – stwierdził po namyśle Bielecki. – Tyle mi wystarczy, żeby dowiedzieć się, kto za tym stoi.

– A jak się dowiesz, to co zrobisz? – zapytał Rychu, smutno się uśmiechając.

– Jak to co? – Bielecki wstał z fotela. – Zabiję ich wszystkich.

## **Opalenica** **Godzina 23.40**

– Skąd wiesz, gdzie on mieszka?

– No bo ja jego znam. Jeszcze z przedszkola go znam. Jak byłem w maluchach, to on był w starszakach.

– Ano jak z przedszkola, to znaczy, że się od zawsze znacie.

– Niby tak, choć się nie kumplujemy.

– A co, taki niezbyt fajny? – domyślił się Włodziu. Łopotka pokręcił głową.

– Nie w tym rzecz. Bo jak myśmy byli mali, to on był całkiem fajny i się zdawało, że będzie normalny, ale później wyszło, że lubi chłopaków, a nie dziewczyny.

– A to gnojek jeden! Jak można lubić chłopaków?

– No jak nie można? Przecież to normalne, jak lubisz dziewczyny, to możesz też i chłopaków lubić. Na ten przykład weź dziewczyny. One lubią chłopaków, a nie inne dziewczyny.

– To co innego – machnął ręką Włodziu.

– Niby że czemu?

– Bo jak się całujesz z dziewczyną, to to jest fajne, a jak z chłopakiem, to raczej nie za bardzo fajne. Ja bym się z chłopakiem nigdy nie pocałował.

– A z dziewczyną? – zapytał Łopatka. Na razie nie miał żadnych doświadczeń ani z dziewczynami, ani z chłopakami, i właściwie było mu wszystko jedno, z kim pocałuje się po raz pierwszy. Grunt, żeby to w ogóle zrobić. Tyle że na horyzoncie nie było nikogo, kto miałby ochotę na całowanie się z nim.

– Z dziewczyną? Jasne, że tak. I to wcale nie z jedną, ale z kilkoma dziewczynami.

– Za jednym razem? – Łopatka nie mógł sobie wyobrazić, jak takie całowanie mogłoby wyglądać. Może dziewczyny siedzące w kółeczku, a w środku chłopak, który podchodzi najpierw do jednej, potem do drugiej i w ten oto sposób jest tych dziewczyn więcej, niż można by było sobie normalnie wyobrazić. Jemu wystarczyłaby jedna...

– Dobra, nie ma co wspominać, bo to dawne dzieje. Dalej, pukaj! – ponaglił go Włodziu, znudzony rozmowami na niewygodne tematy. Przecież nie będzie opowiadał temu gówniarzowi o wszystkich swoich pocałunkach, kiedy to całował się z ośmioletnią kuzynką Marcysią, którą namówił na to w stodole u dziadka i ona pocałowała go w usta, a potem uciekła. Później była koleżanka z klasy w podstawówce, gdy pojechali na wycieczkę do Poznania i wieczorem grali w kilkoro w butelkę. Trzeba było zakręcić pustą flaszką po pepsi i pocałować osobę, na którą wskazała butelka. Gdy zakręciła gruba Aśka, modlił się w duchu, żeby nie wypadło na niego. Ale tym razem nie miał szczęścia. Aśka przywarła do niego wilgotnymi ustami i było to najgorsze erotyczne wspomnienie jego życia, które sprawiło, że wcale nie palił się do tego całowania.

– Ale jak mam pukać? Do drzwi? – Łopatka wskazał ręką wejście do domu. Stali na chodniku prowadzącym do małego, jednorodzinного domku o spadzistym dachu. Furtka była otwarta, więc weszli, ale zaraz przystanęli koło jakiegoś krzaka, za którym było przejście do ogródka.

– No normalnie, pukasz do drzwi i już.

– A jak on nie otworzy, tylko na ten przykład jego matka?

– No to powiesz grzecznie „Dzień dobry” i zapytasz o Wiśnię, znaczy, czy jest w chacie, bo mamy ważną sprawę do niego.

– No dobra, niech ci będzie, ale późno już jest.

– Nieważne, że jest późno, przecież cię znają. Zapukaj, a potem się zobaczy. Przecież widzisz, że nie śpią. – Włodarek wskazał na srebrzystą poświatę

lampy kineskopowej czarno-białego telewizora, wypływającą przez okno do ciemnego ogrodu. – Jeszcze telewizję oglądają, to znaczy się, że można pukać.

Podeszli bliżej. Nie do końca przekonany Łopatka wszedł na ganek i już chciał zapukać najdelikatniej, jak potrafił, żeby nie wywołać złego wrażenia natarczywym waleniem, ale naraz zauważył po prawej stronie przycisk dzwonka. Pod wpływem nagłego impulsu zmienił więc swój plan i przycisnął guzik. Od razu tego pożałował, bo elektryczny gong zabił głośniejszym niż dzwon z miejscowego kościoła Świętego Mateusza.

Obaj młodzieńcy spojrzeli po sobie i już chcieli uciekać, gdy naraz drzwi otworzyły się i w smudze żółtego światła z przedpokoju stanęła kobieta przypominająca swoim wyglądem piłkę do futbolu amerykańskiego, z doczepioną na samym szczycie piłeczką do bejsbola. Na nogach miała filcowe papcie do kostek, a na sobie fartuch w czerwone kwiatki, taki jakie noszą gospodynie domowe, żeby nie ubrudzić ubrania, gdy pracują w kuchni albo biorą się do sprzątanía. Przez drzwi wypłynął na podwórko słodkawy, owocowy zapach świadczący, że gospodyni zajmowała się właśnie przygotowywaniem kompotów na zimę. Przy jej nogach stanął zaciekawiony wieczorną wizytą czarny kot.

– Dzień dobry pani, my do Adama. Jest w domu? – zaczął niepewnie Łopatka.

– O tej porze to się chyba śpi, nie? – oświadczyła niezbyt przyjemnym tonem.

– Wie pani, jak się ma ważną sprawę, to się nie śpi, tylko się załatwia – wtrącił się Włodziu.

– A ja ciebie znam. Ty jesteś ten Włodek od Włodarków. To co chcecie od Adasia?

– No pogadać, pani Wiśniakowa, chcemy.

– Pogadać to za dnia można przyjść. A jak po nocy, to na dyskotekę se idźta. Adaś dzisiaj gra w Discolandzie.

– W poniedziałek? – zdziwił się Włodziu.

– Poniedziałki to dzień na imprezy zakładowe. Ale co ja wam będę gadać. Chcecie Adasia znaleźć, to idźta na dyskotekę. O tej porze to jeszcze z godzinę będzie puszczał te płyty – wyjaśniła i nie żegnając się, zniknęła za drzwiami. Zrobiła to tak szybko, że przytrzasnęła ogon kotu. Ten zawył jak potępiona

dusza. – Ja pierdolę! Kiciuś, kurwa, włącz! – Pogoniła zwierzę, tym razem na dobre zatrzaskując drzwi.

Młodzieńcy wyszli na ulicę.

– Gdybyśmy mieli rowery, tobyśmy szybko obrócili – stwierdził Łopatka, oceniając dystans dzielący ich od celu.

– Ale nie mamy! – mruknął Włodziu. – Przecież nie pójdę do chaty po rower.

– To może byśmy jutro do niego przyszli? – zaproponował młodszy kolega.

– Jutro to się Cegłowski może skapnąć, że żeśmy wyciągnęli wszystko z baku. A jak się skapnie, to nas zapierdoli. To chyba już lepiej, żeby mu powiedzieć, że my nic nie mamy i że nic tam nie było. Bo jak pogonimy to temu Wiśni, to nie będziemy nic mieli przy sobie, znaczy będziemy czyści jak łąza. A tak w ogóle to majster i tak nie będzie mógł nam nic zrobić, bo na milicję nas nie poda...

– Na policję.

– Wszystko jedno, czy milicja, czy policja. Wiesz, o co chodzi, czy nie?

– No wiem, ale milicji już nie ma i jak nas ktoś ma aresztować, to tylko policja.

– Głupiś jest, Łopata. On nas nie poda, bo nie będzie wiedział, co tam było, i my nic mu nie powiemy. No i jeszcze nie będzie wiedział, czy żeśmy ten towar pogonili czy nie. Nic nie będzie wiedział, a my pójdziemy w zaparte, że żeśmy nic nie widzieli. I dlatego, na wszelki wypadek, wolę nie mieć tych paczek u siebie. – Wskazał na ortalionową torbę, przewieszoną przez ramię. – Trzeba to zostawić temu Wiśni, bo on pracuje w dyskoteci i na imprezach może to rozprowadzić. Kapujesz?

– No niby tak – zgodził się z kolegą Łopatka. Choć tak naprawdę nie bardzo potrafił sobie wyobrazić, jak Wiśnia będzie sprzedawał tę szynkę konserwową podczas dyskoteki. Przy tym migającym świetle będzie mu trudno kroić plasterki...

Ruszyli przed siebie szybkim krokiem, licząc, że takim tempem raz-dwa dojdą do dawnego budynku kina, w którym dopiero co rozgościła się dyskoteka. I doszliby na miejsce w pięć minut, gdyby nie policyjna nyska, która jechała do miasta. Prowadzący ją policjant na widok dwóch spacerujących po nocy młodych ludzi nieco zwolnił i po chwili zrównał się z nimi. Drugi

funkcjonariusz, ten siedzący od strony pasażera, przesunął szybę w bok i spojrzał groźnie na maszerujących.

– A dokąd to kawalerka się wybiera? – zapytał groźnie.

Chłopcy zatrzymali się i rozejrzeli bezradnie, jakby szacując możliwości ucieczki. Ale te na pierwszy rzut oka wydawały się marne. Domy z jednej i drugiej strony ulicy ograniczały przestrzeń uciezkową, a bieg wzdłuż drogi w przód czy tył niechybnie zakończyłby się tym pościgiem, w którym uciekający z góry skazani byli na porażkę. Jeszcze się taki uciekinier nie znalazł, który wygrałby zawody z policyjną nyską.

– My na spacer – rzucił dość niepewnym głosem Łopatka.

Drzwi auta otworzyły się i na chodnik wyskoczył kapral Wiktor Wicher. Obrzucił obu młodzieńców szybkim spojrzeniem i naraz uśmiechnął się szeroko.

– Włodziu, a tobie mama pozwala łązić po nocy?

– A co ma nie pozwalać? Przecież nic złego nie robię – odburknął zdemaskowany chłopak. Wicher znał go bardzo dobrze. Z bratem Włodzia, Tomkiem Włodarkiem, chodził do jednej klasy w podstawówce. Zresztą mieszkali obok siebie na tej samej ulicy, więc Wicher bywał częstym gościem w domu Włodarków. Przestał przychodzić, gdy Tomek wyjechał z Opalenicy na studia do Poznania. Siłą rzeczy te młodzieńcze kontakty musiały się kiedyś urwać, ale nie ustały definitywnie. A poza tym, mimo że wyrósł, to jednak młodszy brat kolegi był nadal tym samym bratem, którym trzeba się zająć w sytuacji, gdy nie ma nikogo, kto mógłby się nim zaopiekować. Wicher poczuł więc, że zrządenie losu, które akurat przywiało go o tej porze na tę ulicę, niezupełnie jest przypadkowe. Skoro tu jest, to przynajmniej zrobi tyle, że odwiezie gówniarza do domu.

– Wsiadajcie do samochodu – polecił, otwierając boczne drzwi.

– Ale panie policjancie, my musimy iść na dyskotekę. – Łopatka się nie poddawał.

– He, he, he! Dyskoteki dla niepełnoletnich są już zamknięte.

– Ja jestem pełnoletni – zaprotestował Włodziu.

– To co, jak pełnoletni, to znaczy, że możesz się szlajać w nocy po ulicach? Jakby to twój brachol widział, to już dawno byś dostał wpierdol od niego i siedziałbyś na obitej dupie w misce z zimną wodą – wyjaśnił policjant,



wpychając obu młodzieńców do auta. – Gdzie ciebie odwiedzić? – zapytał Łopatkę.

– Na Reymonta, znaczy na osiedlu mieszkam.

– No dobra, jedź najpierw na Reymonta, a potem pojedziemy na Zamkową.

Młody szeregowy, siedzący za kierownicą rozklekotanej nyski, nie miał nic przeciwko temu, by jechać tam, gdzie kazał kapral. Był w służbie w Opalenicy od miesiąca i dobrze wiedział, że jeśli chce zagrać tu miejsce, ma bez dyskusji robić, co mu każą. Więc jak ma jechać najpierw na Reymonta, to pojedzie, mimo że na Zamkową było bliżej, a przez tę Zamkową mogliby od drugiej strony podjechać na osiedle bloków. Ale to w końcu nie była jego sprawa. Decyzje podejmował kapral, nie on. Wrzucił więc jedynkę, skrzynia biegów zatrzeszczała, jakby miała się za chwilę rozpaść, a potem szybko przerzucił na dwójkę, żeby rozpedzić samochód.

– To co, z panienkami żeście się umówili? – Kapral Wicher odwrócił się za siebie, spoglądając na dwóch siedzących za nim chłopaków.

– Tak żeśmy chcieli tylko popatrzeć, jak dylają[20] – stwierdził Włodziu.

– W patrzeniu nic złego nie ma – stwierdził Wicher. – Ale wszystko musi mieć swój czas i miejsce. A teraz już jest za późno. No i jakbyście tam poszli, to pewnie z godzinę byście tam posiedzieli i później co, po nocy do chaty? Bez sensu. Cieszcie się, że was znalazłem. A tak w ogóle to ty, młody, chyba do roboty chodzisz, nie? – zapytał Włodzia.

– Obaj my u Cegłowskiego robimy w warsztacie.

– O proszę, to niezła wam się robota trafiła. Jak się wyszkolicie, to kiedyś własne warsztaty może założycie. Może będę do ciebie, Włodziu, przyjeżdżał naprawiać swojego trabanta.

– Jak ja będę miał warsztat, to trabanty już będą zabytkami. Teraz jak już nie będzie NRD, to nikt tego szmelcu nie będzie produkował. – Chłopak wiedział, co mówi, bo trabanty nie cieszyły się zbyt wielkim poważaniem wśród mechaników.

– Ja tam na swojego trampka nie narzekam. A tak w ogóle... – naraz Wicher sobie o czymś przypomniał – tam u was stoi taki passat z wypadku, co dwóch ludzi zginęło pod Opalenicą.

Żaden z chłopaków nie odpowiedział.

– Co jest, zatkało was?

- No jest – rzucił Włodziu.
- A nie zauważyliście tam nic dziwnego? – zapytał Wicher.
- My nic tam nie robiliśmy – zapewnił szybko Łopatka.
- Nie, w ogóle żeśmy go nie dotykali – potwierdził Włodziu.

Wicher nie ciągnął tych pytań, bo tak naprawdę odpowiedzi go nie bardzo interesowały. Przypomniawszy sobie tę poranną rozmowę z chorążym Smolarkiem, który kazał mu jechać do Berlina w sprawie passata. Ale na szczęście godzinę później odwołał to polecenie, gdy zastępca komendanta Olszewski zapowiedział mu, że delegacji do Berlina nie wypisałby nawet dla siebie, a co dopiero dla jakiegoś gówniarza, który ma tyle stażu, co oranżada gwarancji. Dzięki temu mógł dziś, zamiast siedzieć w pociągu do Berlina, wziąć nocną służbę, bo potrzebne mu były pieniądze na naprawę psującego się ciągle trabanta.

Gdy w końcu rozwieźli pasażerów do domów, kazał się wieźć na komendę, żeby się napić kawy. Wychodząc z nyski, spojrzął na tylne siedzenie.

– No proszę, na dyskotekę chcieli iść, a torby zapomnieli – stwierdził zupełnie bez sensu. Sięgnął po nią i poszedł zanieść na dyżurkę. – Pewnie jutro się po nią zgłoszą, gamonie.

## **Poznań**

### **Godzina 23.55**

Pół godziny przed tym, zanim zgasło światło w domu naprzeciwko, zrobili krótką odprawę. Usiedli w pokoju gościnnym na skórzanej sofie i fotelach. Kierownik Wąsacz miał przed sobą okno, z którego rozciągał się widok na obserwowaną przez nich wille, tak by podczas rozmowy nie przegapić niczego, co dzieje się po drugiej stronie. W każdej chwili byli gotowi do improwizowanej akcji, czyli reakcji na jakiś ruch przeciwnika. Zawsze przed akcją trzeba było omówić szczegóły albo choć zarys tego, co powinno się za chwilę wydarzyć. W tym wypadku jednak wszystko było improwizacją.

– Sprawa wydaje się banalnie prosta. Wchodzimy do środka my dwaj. – Wskazał na łysego sapersa, a ten skinął głową. – Ty idziesz na swoje stanowisko i obserwujesz – polecił snajperowi.

– Przecież nikt stąd nie wyjdzie, jak wy już tam wejdziecie. – Snajper miał wątpliwości.

– Nikt nie powinien wyjść – stwierdził Wąsacz. – Ale jak dobrze wiemy, chociażby po naszych porannych doświadczeniach, że zawsze mogą pojawić się okoliczności, których nie braliśmy wcześniej pod uwagę. I dlatego trzeba się zabezpieczyć.

– Ja nic nie mówię. – Snajper uniósł dłonie w pojednawczym geście. – Tak tylko powiedziałem, że dacie sobie radę.

– Damy, bo oni tam są już na pewno całkowicie uchłani. – Saper był przekonany, że wszystkie karty atutowe są w ich rękach. – Cały dzień ten rudy nosił flaszki z kuchni do pokoju. To znaczy, że goście ledwo trzymają się na nogach. Czyli nie widzę żadnych problemów. Szybko załatwimy robotę i jedziemy na piwo.

– Przede wszystkim nie lekceważmy przeciwnika – stwierdził kierownik. – Nasz obiekt to człowiek, który zaczynał od ulicznego złodziejstwa, a stał się jednym z najbogatszych ludzi w Poznaniu. To bezwzględny bandzior.

– Ciekawy z niego gość – zauważył snajper. – Ale nie było w tym stwierdzeniu podziwu dla zdolności człowieka, którego miał sprzątnąć. Raczej nutka zawodowego zainteresowania profesjonalisty, który lubi wiedzieć coś na temat kolejnego motyla z własnej kolekcji nabijanego na szpilkę. Zanim powiesi się go na ścianę, warto zawsze wiedzieć, w jaki sposób podpisać przeszkloną gablotkę, której ma być ozdobą.

– To taka wesz, która upała się na naszej krwi – podsumował Wąsacz. – Kiedy my żeśmy ciężko tyrali za marne grosze, poświęcając się dla kraju, ten gnój robił swoje przekręty. A teraz nas wyrzucili na śmietnik historii, a on sobie żyje jak pączek w maśle. I dlatego musimy dokończyć swoją robotę i posprzątać... – przerwał, bo w domu naprzeciwko zrobiło się ciemno. – No, panowie, zdaje się, że powoli musimy się zbierać. – Kierownik wstał z kanapy i wy dobył z kabury umieszczonej pod marynarką swojego czaka P-64.

– A ten drugi to co to za jeden? – zainteresował się snajper. – Czy jego też zdejmujemy w razie czego?

– Ten drugi to jest nikt – rzucił kierownik. Znał dobrze najbliższego kumpla Grubińskiego i wiedział, że ten rudy facet jest kapitanem policji. Ale nie miał zamiaru traktować go w jakiś wyjątkowy sposób. Skoro tu się znalazł, to nie mógł wyjść z tego cało. – To jest nikt – powtórzył. – I dlatego musimy go również wyeliminować. Nie zostawiamy żadnych śladów, żeby nie było potem niepotrzebnych kłopotów. – Idziemy!

Wyszli przez taras do ogrodu. Snajper zaczął wdrapywać się po drabince na dach. Stamtąd miał doskonały widok na to, co działo się po drugiej stronie ulicy, a jednocześnie sam był całkowicie niewidoczny dla kogoś z zewnątrz. Kierownik i saper tymczasem przeładowali pistolety i wyszli przed budynek, kryjąc się za żywopłotem.

– A jak zamek już naprawili? – Saper miał wątpliwości co do prostoty ich planu, który wcześniej przedstawił im dowódca. Powiedział to, co można było powiedzieć w tej sytuacji, kiedy nie mieli żadnego rozpoznania wewnątrz budynku, a mogli się tylko domyślać tego, co tam zastaną.

– Wchodzimy i walimy we wszystko, co się rusza, a potem wychodzimy. – Wąsacz nie miał wątpliwości co do powodzenia misji.

Snajper usadowił się na dachu, ujął w dłonie ruski karabin i spojrzał przez lunetę na drzwi do domu. Na szczęście na ulicy, jakieś trzydzieści metrów na prawo od obserwowanego budynku, stała latarnia. Nie tylko stała, ale nawet świeciła, co wcale nie było takie oczywiste. Dzięki temu dość podłemu, pomarańczowemu światłu widział obrys wejścia i kawałek chodnika. Po chwili na chodniku pojawiły się dwie postaci. Jego koledzy wyglądali jak zwykli przechodnie, którzy zastanawiają się, czy trafili pod właściwy adres. Podeszli w końcu do drzwi i ten wyższy, który szedł przodem, chwycił za klamkę, przycisnął ją i odepchnął od siebie. Obaj egzekutorzy zniknęli wewnątrz domu.

Leżał spokojnie z lunetą przy oku i czekał. Nic się nie działo. To dobrze, bo dzięki temu mógł uspokoić oddech i całkowicie się odprężyć. To odprężenie, a do tego luz w całym ciele to były warunki niezbędne, żeby osiągnąć sukces w tej profesji. Potrafił skupić się tylko na celu, opanować minimalne drżenie rąk i w końcu stać się jednością ze swoim karabinem. Gdy zastygał w bezruchu, mógł tak leżeć nawet godzinę bez najmniejszej zmiany pozycji. Ale teraz nie było to potrzebne, bo nikt go nie widział i właściwie nie musiał się niczego bać. Przecież ci dwaj zapici faceci nie wyjdą ze środka i nie wrzucą mu na dach granatu. Aż zaśmiał się w duchu, gdy wyobraził ich sobie na ulicy rzucających w górę granatami. Załatwiłby ich w kilka sekund. No ale żeby mogli się znaleźć na zewnątrz, musieliby wymknąć się jego kolegom. A ci nie byli przecież jakimiś amatorami. Niejeden raz pokazali już, co potrafią...

Wtem usłyszał coś dziwnego, jakiś odgłos, który dobiegł z domu naprzeciwko. Jakby coś dużego waliło się na podłogę. Zaraz po tym stłumiony huk wystrzału i rozbłysk, który oświetlił na ułamek sekundy ciemności za oknem. A potem jeszcze dwa błyski... W końcu zapadła cisza. No to po

robocie, pomyślał snajper. Ale na wszelki wypadek nie zdejmował jednak palca ze spustu. Wolał się upewnić, że wszystko jest w porządku... W oddali słyhać było wyraźnie odgłos zbliżającego się pociągu. Nic dziwnego, przecież stacja kolejowa Poznań-Garbary była całkiem niedaleko.

**Poznań**

**Wtorek 4 września**

**Godzina 0.15**

Zielony tramwaj z numerem dwa na białej okrągłej tarczy, umieszczonej ponad kabiną motorniczego, przejechał ostatni na swojej trasie fragment ulicy Dąbrowskiego i skręcił na pętlę Ogrody, na placu Waryńskiego. Żaden z zaspanych i wyraźnie zmęczonych nielicznych pasażerów dwuwagonowego składu nie zwrócił najmniejszej uwagi na srebrnego passata, który jadąc od strony przedmieść, wzdłuż Ogrodu Botanicznego, w ostatniej chwili wyhamował i zatrzymał się na brukowanej ulicy, przepuszczając dwójkę, która jako pojazd uprzywilejowany miała w tym miejscu pierwszeństwo. Motorniczy Wawrzyniak pogroził zaciśniętą pięścią nieostrożnemu kierowcy, a potem otarł pot z czoła.

– Żeby cię chudy byk wyruchał! – warknął, mocno zirytowany, że jeszcze na sam koniec dyżuru przytrafiła mu się taka sytuacja. No bo przecież gdyby nie zaczął dzwonić, to ten cymbał w zagranicznym aucie jak nic wjechałby mu pod koła. Nic wielkiego by się pewnie nie stało, bo na zakręcie prędkość tramwaju była niewielka, ale zawsze to jakaś kolizja. A jak wiadomo, każda taka stłuczka tramwaju z pojazdem samochodowym musi skończyć się interwencją policji i spisaniem protokołu. A to by oznaczało, że do zajezdni na Gajowej zjechałby najwcześniej za jakieś trzy godziny. Spojrzał w lusterko wsteczne, ale passata już nie było, bo gdyby jeszcze tam stał, kto wie, czy nie wzięłyby do ręki wajchy do przestawiania torów i nie poleciał do tego łachudry bez pojęcia o jeżdżeniu samochodem. Tych rozbijających się nowymi, sprowadzanymi zza niemieckiej granicy autami Wawrzyniak szczególnie nie lubił, bo nie dość, że dopiero uczyli się jeździć dobrymi samochodami i stąd częste wypadki, to skąd w ogóle mieli pieniądze na takie fury? Przecież jeszcze niedawno w Polsce Ludowej wszyscy mieli po równo, więc syrenka czy mały fiat to był szczyt marzeń. Ludzie oszczędzali na te samochody przez lata, zapożyczali się, ale w końcu kupowali, to znaczyło, że te wozy były w zasięgu przeciętnego Polaka. Ale te nowe passaty czy ople kosztowały przecież kilka razy więcej. To kto na coś takiego

mógł sobie pozwolić? Tylko kombinatorzy i prywaciarze, tacy, którzy już nie pojedą tramwajem.

Dwójka zatrzymała się na ostatnim przystanku, otworzyły się drzwi i kilka osób wysiadło. Motorniczy spojrzął za siebie. Jak zwykle nocą, także i dziś niektórzy dojechali wcale nie tam, gdzie mieli ochotę się znaleźć.

– Ej, wysiadka. Koniec trasy – zawołał głośno tramwajarz. Kilku zaspanych gości otworzyło oczy. – Wysiadka! Pętla Ogrody!

Mężczyźni zaczęli powoli podnosić się z siedzeń. Jedni rozglądali się wokół ze zdziwieniem, lustrując nieznanne widoki, inni przyjmowali je z dumą i godnością właściwą ludziom, których umysłów nie zaprzatają nieistotne drobiazgi. Jednak pośród spokojnych obywateli, lubiących komfort odgrywania ról drugo- lub nawet trzecioplanowych, zawsze znajdują się jakieś jednostki niepokorne o skłonnościach rewolucyjnych, niegodzące się na zastaną rzeczywistość i koniecznie chcące ją zmieniać.

– Panieeee, aaa na Dymbiec to zaaa ile paaan jeeedziesz? – zapytał facet w szarej kurtce i z teczką pod pachą, głosem zdradzającym, że wypowiedzianie niektórych samogłosek to poważne wyzwanie.

– Na Dębiec już się dziś nie jedzie. Teraz kurs bez pasażerów, zjazd do zajezdni.

– Jak nie na Dębiec? Przecie to jest dwójka. Dwójka jedzie na Dębiec! – Inny pasażer, niewysoki grubas w szarej marynarce, popisał się umiejętnością logicznego myślenia i wyciągania właściwych wniosków z prawdziwych przesłanek. Był najwyraźniej oburzony faktem, że zawieziono go w przeciwnym do oczekiwań kierunku, tym bardziej że miał całkowitą rację, dwójka jeździła na Dębiec.

– Na Dębiec jeździ dwójka, co jedzie na Dębiec, a na Ogrody dwójka, co jedzie na Ogrody – wyjaśnił mu motorniczy Wawrzyniak tę oczywistą prawdę, mówiącą o dwóch końcach jednej trasy. Ale to nie zadowoliło logicznego pijaka.

– Ale ja muszę do domu! Żona na mnie czeka z obiadem.

– Obiaaad w saaam raz będzie na juuutro – pocieszył go ten w kurtce.

– Na Dębiec! – Nie dawał za wygraną zagubiony logik. – Nie dam się porwać!

– Raaacja! – poparł go inny rewolucjonista.

– Wysiadka z tramwaju i to migiem, bo wezwę milicję! – Wawrzyniak jeszcze nie nauczył się, że milicji już nie ma. Za to wiedział doskonale, że z pijanymi facetami, którzy przejechali cały Poznań na śpiąco, nie ma co dyskutować, tylko trzeba brać ich krótko za mordę.

– Policję! – poprawił go ten w szarej kurtce.

– Nie bądź taki mądry, bo zaraz inaczej będziesz gadał. O proszę bardzo, patrol milicji już tu idzie. Panowie milicjanci, tutaj, tutaj!

Nie musiał więcej dodawać. Wagon opustoszał natychmiast, jakby niepokornych pasażerów wywiały jesienny wiatr, porywający zazwyczaj liście, nie ludzi. Dwaj młodzi policjanci podeszli do otwartych harmonijkowych drzwi na wysokości motorniczego. Ten pomachał do nich ręką z papierosem między palcami. W końcu mógł sobie zapalić przed zjazdem z trasy.

– Już nic nie trzeba, panowie. Jeden taki pener się naprzykrzał, znaczy chciał jechać na Dębiec, a nie na Ogrody, alem se z nim dał radę.

– Ale niby co robił? – zapytał niższy funkcjonariusz z jedną belką na pagonach.

– No normalnie, miał jakieś wąty, ale już nie ma se co nim gitary zawracać.

– Znaczy się wszystko dobrze?

– Już spoko, jadę teraz do zajezdni, ino ćmika se wypalę, bo się letko zdenerwowałem.

– To może jednak by trzeba było zgarnąć na przetrzeźwienie tego gościa? Gdzie on poszedł? – zapytał wyższy policjant.

Motorniczy Wawrzyniak nie był człowiekiem pamiętliwym i noszącym w sercu urazy. Zresztą co to była za uraza, jeśli jakieś pijaczki sobie trochę pokrzyczały. Nic w końcu złego nie zrobili. Chcieli tylko dojechać do chaty. Jakby byli mądrzejsi, toby grzecznie poprosili, rzucili trochę grosza i zawiózłby ich na Gajową do zajezdni, a stamtąd wystarczyło, że przeszliby kawałek przy Starym Zoo i była Kaponiera. No a z Kaponiery to już przecież prostą drogą na Dębiec. Ale jak ktoś nie potrafi żyć zgodnie z motorniczym, to musi chodzić pieszo. Spojrzał na oddalającą się sylwetkę faceta w szarej kurtce, powoli zanurzającego się w mroku niedoświetlonej pętli. Jej górną krawędź wyznaczał ciemny kontur piętnastopiętrowego wysokościowca, pod którym kryła się popularna kawiarnia Botaniczna.

Naraz dostrzegł coś jeszcze. To coś znacznie bardziej go zainteresowało. Po drugiej stronie pętli, na chodniku, stał srebrny passat. Widać go było dokładnie,

bo stanął akurat pod uliczną latarnią. Nie, to nie mogła być pomyłka. W końcu ile srebrnych passatów kręci się w okolicy o tej porze? Zmrużył więc oczy i zaczął go dokładniej lustrować. Naraz wydało mu się, że coś wewnątrz auta się poruszyło. A to mogło oznaczać, że ten kierowca, idiota, pirat drogowy i bandyta w jednym, siedział sobie tam i śmiał się w duchu z niego, motorniczego tramwaju, i jego nerwowej reakcji.

– Tam jest ten passat. – Wskazał na samochód po drugiej stronie placu.

– Jaki passat? – zapytał niższy policjant.

– No ten, co mało wypadku nie spowodował.

– Jakiego wypadku? – Policjant najwyraźniej się zainteresował.

– No co, nie mówiłem wam, że jak wjeżdżałem na pętlę, znaczy się zjeżdżałem z Dąbrowskiego, to on mało mi pod koła nie wjechał, baran jeden, bo nawet nie wie, że pojazd szynowy ma pierwszeństwo. I teraz se siedzi sprawca w aucie, o tam właśnie. – Jeszcze raz wskazał auto, w którym naraz przez ułamek sekundy zrobiło się jasno. Ktoś tam najwyraźniej palił papierosa. – To jest pirat drogowy. Ja mogę zaświadczyć.

– To niech pan nie odjeżdża jeszcze. Za chwilę przeprowadzimy konfrontację – wyjaśnił policjant i skinął na swojego kolegę. Ruszyli natychmiast, bo taka interwencja była zdecydowanie bardziej interesująca niż zatrzymanie jakiegoś pijaka. Z tego w aucie mogli wydusić jakiś mandat albo nawet kolegium, jeśli mu się udowodni wymuszenie pierwszeństwa i doprowadzenie do wypadku, prawie do wypadku.

Zaciekawiony tramwajarz zamknął drzwi obu wagonów i poszedł za policyjnym patrolem. W końcu nie mógł sobie darować akcji, którą sam zainicjował. Za chwilę ci dwaj mundurowi podejść do auta, wyciągną spluwy i rzucą na glebę tego kierowcę, a może jeszcze kogoś, kto tam siedzi. Nie pamiętał, czy widział tam dwie osoby czy jedną, ale to nie było istotne. Ten, co siedział w aucie, nie dość, że niemal doprowadził do katastrofy, to jeszcze się głupio śmiał i na dodatek groził mu ręką. Jakoś Wawrzyniakowi umknęła taka drobnostka, że grożenie ręką, owszem, miało miejsce, tylko że to nie jemu grożono, ale on wymachiwał. Zresztą jakie to miało znaczenie. Tego nowobogackiego pirata trzeba było wsadzić, żeby sobie gnojek za dużo nie myślał.

Wawrzyniak obserwował, jak policjanci podchodzą do samochodu. Widział w tym amerykańskim serialu o bandytach *Crime Story*, jak policja zatrzymuje



takich przestępców. Jeden staje z tyłu z wyciągniętym pistoletem w dłoniach, a drugi podchodzi do auta od strony kierowcy i każe mu położyć ręce na kierownicę, żeby czasami ten nie wpadł na pomysł, by użyć broni. No i rzeczywiście ci nasi milicjanci są chyba dobrze przygotowani, pochwalił ich w myślach, widząc, jak ostrożnie podchodzą do passata. Obaj zatrzymali się z tyłu i chyba zaczęli się naradzać. W końcu jeden ruszył... I zaraz za nim ruszył drugi.

A gdzie ubezpieczenie? – chciał krzyknąć motorniczy, ale nie zdążył. Policjanci podeszli do okna kierowcy i zastukali w szybę. Wawrzyniak ruszył biegiem w ich kierunku, żeby przestrzec, żeby powiedzieć, że działają źle i wystawiają się na niebezpieczeństwo, bo gdyby w środku siedzieli bandyci, toby było już po nich. Na szczęście to jest Polska, a nie Ameryka, przeleciało mu przez głowę.

Wszystkie drzwi auta otworzyły się i ze środka wyszło czterech facetów. Obstąpili funkcjonariuszy i nagle zaczęła się szarpanina. Trwało to może dziesięć sekund, tego Wawrzyniak nie był wcale pewny, bo gdy zaczęła się ta młócka, on stanął i zastygł jak pomnik Dzierżyńskiego na sekundę przed upadkiem z cokołu. Nim się poruszył, już było po wszystkim. Mężczyźni wsiedli do auta, a na chodniku została tylko policyjna czapka.

– A gdzie są szkieły? – zapytał sam siebie, ale nie znalazł odpowiedzi na to pytanie. Gdyby był nieco bliżej, zapewne zauważyłby, że dwaj funkcjonariusze zostali wciągnięci do samochodu, po czym auto ruszyło z piskiem opon i natychmiast odjechało, kierując się na zachód, na wylotówkę z miasta.

– Porwali, kurwa, szkiełów – stwierdził niepomiernie zdziwiony facet w szarej kurtce, ten sam, którego przed chwilą motorniczy Wawrzyniak wyrzucił z tramwaju.

## **Godzina 0.30**

Mariusz spojrział na telewizor, bo coś przyciągnęło jego uwagę. Dopiero w tej chwili zrozumiał co. Film zniknął z ekranu, a jego miejsce wypełnił niezwykle interesujący obraz kontrolny. Na środku koła do testowania jakości kolorów w telewizorze, które w jego starym odbiorniku było czarno-białe, zegar elektroniczny pokazywał pół godziny po północy. Siedział na kanapie ubrany w piżamę i czekał. Jeśli ma przyjść, powinna to zrobić w ciągu kilku najbliższych minut, inaczej będzie za późno. Dla niej, nie dla niego. Jutro rano

miała wyjechać na dwa dni na jakąś fuchę koncertowo-kabaretową gdzieś do Leszna czy Konina. Dokąd dokładnie, tego nie wiedział. Ale zapamiętał, że ma być o siódmej rano na dole przed blokiem, bo przyjedzie po nią mikrobus z Estrady, który ma zawieźć ją i jeszcze troje innych członków kwartetu smyczkowego na występy. Miała przyjść i zostawić mu klucze, i chyba mogła zostać tu na chwilę. Przecież nie powinna wyjechać bez pożegnania.

Podszedł do telewizora i go wyłączył. Obok stała wieża składająca się z trzech elementów. Na dole wzmacniacz Traviatta, na nim radio Faust, a na samej górze magnetofon Finezja. Dwa głośniki Altus, ustawione z dwóch stron solidnego przedwojennego kredensu, który przemienił się w szafkę na sprzęt elektroniczny, dopełniały reszty obrazu całkiem dobrego jak na warunki początku lat osiemdziesiątych sprzętu. Teraz jednak ta jego kombinowana wieża była już dość mocno przestarzała, ale Mariusz nie zastanawiał się wiele nad leciwością urządzeń. Kupił je w komisie zaraz po tym, jak się wprowadził do tego mieszkania. Wiedział, że jest to całkiem niezły zestaw stereo, bo jego kolega z bloku miał podobny. Gdy zobaczył go na sklepowej półce, wziął wszystko, łącznie z zestawem nagranych już kaset magnetofonowych, za dość okazjonalną cenę.

– Bierz pan i się nie pytaj, czemu tak tanio – namawiał go sprzedawca w sklepie na Łazarzu. – Wszystko mało używane, bo właściciel, zanim kopnął w kalendarz, był już dość stary i nie grał za dużo, a jak grał, to niezbyt głośno. Ale szanowny pan, jak weźmiesz w swoje szanowne ręce te graty, to jestem pewny, że dasz pan takiego czadu, że sąsiedzi będą wzywać milicję.

– A kasety? – zapytał, spoglądając łakomym wzrokiem na dwie tekturowe paczki. Kupował sprzęt grający, więc przydałyby mu się też kasety, a te w pudełkach sprawiały solidne wrażenie. Wszystkie to były peweksowskie BASF-y. Znał tę markę, jak każdy młody człowiek. Miał kilkanaście z nagranych płytami Floydów, Genesis czy Jethro Tull. Ale na jego zwykłym kaseciaku z radiem marki Grundig słuchanie muzyki nie miało tej magii, jaką wyczarowywał z nagrań dobry wzmacniacz w połączeniu z porządnymi głośnikami.

– Kasety dołączam w bonusie, jak pan weźmiesz wszystko. Tylko trzeba na nich se coś nagrać, bo ten, co to miał ten sprzęt, to gustował w jakiejś kościelnej muzyce. Mówię panu, słuchać się nie da. Włączyłem jedną i zaraz musiałem wyłączyć, jak zaczęli wyć jacyś goście. – Mariusz przysunął kasety

bliżej siebie i zaczął czytać, co równymi, drukowanymi literami wypisano na grzbietach wkładek: Bach, Beethoven, Grieg, Chopin, Dvořak...

O tych pierwszych słyszał, ale nigdy nie słuchał. Ten ostatni zaintrygował go swoim słowiańskim nazwiskiem, ale nie na tyle, by faceta sprawdzić w encyklopedii. A miał gdzie sprawdzić, bo po poprzednim lokatorze w mieszkaniu został całkiem pokaźny zbiór książek. Przede wszystkim były to książki historyczne o drugiej wojnie, ale znalazł wśród nich sporo różnych słowników. Przejrzawszy pobieżnie grzbiety stojących na półkach tomów, pomyślał nawet, że dzięki temu darowi losu będzie mógł podciągnąć na nieco wyższy poziom swoją historyczną wiedzę. Wybrał nawet jedną książkę opowiadającą o powstaniu warszawskim, *Zośka i Parasol*, ale jakoś dotąd nie dał rady przebrnąć nawet przez pierwszy rozdział. Leżała teraz porzucona, ale otwarta, pod blatem stolika, żywy wyrzut sumienia i dowód na to, że nie jest w stanie zrealizować nawet najprostszych zobowiązań. Te kasety były kolejnym dowodem rzeczowym. Gdy je kupował, od razu postanowił, że ponagrywa na nie wszystkie płyty, o których marzył. Nie nagrał ani jednej. Grzbiety kaset oskarżały go nazwiskami twórców muzyki, o której nie miał zielonego pojęcia. Pomyślał więc, że włączy cokolwiek, obojętnie którego – Bacha czy Mozarta – żeby tylko coś zagrało.

Włożył kasetę do magnetofonu, włączył przycisk start i zaraz pokój wypełniły przyjemne dźwięki Bachowskich suit. Od razu przypomniało mu się, jak Olkiewicz tłumaczył kiedyś ukryty sens i przesłanie piosenki Wodeckiego *Zacznij od Bacha*. Teoś stwierdził wtedy, że artyście nie mogło chodzić o jakąś Bachę, od której trzeba zacząć ranek, ale o flachę, bo od niej zaczyna swoje funkcjonowanie połowa narodu. A jego zdaniem słowo flacha zostało zastąpione przez słowo Bacha, żeby cenzura się nie czepiała i przepuściła utwór. Gdy Mariusz powiedział, że tu nie chodzi o jakąś Bachę, ale o Bacha, czyli znanego kompozytora, Marcinkowski, który przysłuchiwał się tej rozmowie, podniósł głowę znad swoich papierów, uśmiechnął się, a potem zapytał:

– No to powiedz mi, mój drogi, co ten Bach takiego skomponował, że Teofil powinien go znać?

Mariusz przez chwilę się zastanawiał. Tak naprawdę to nie znał żadnego utworu tego kompozytora... Nie, jeden znał, ale nie wiedział, jak się nazywa i czy to jest opera, czy msza, ale był to raczej jakiś kościelny utwór, bo wykonywany na organach. Kiedyś był w kościele na koncercie, żeby posłuchać,

jak brzmią organy, które w zasadzie były prawie nieużywane, bo organista w kościele Świętej Rodziny w Pile może by się sprawdził w graniu na fujarce w orkiestrze wojskowej, ale ponad dwustu fujarek i fujar w organach nie potrafił za nic opanować. Co innego ten muzyk, który przyjechał do Piły z jakiegoś dużego miasta. Nazywał się Joachim Grubich. Mariusz zastanawiał się przez chwilę, czy czasami ten facet nie jest jakimś kuzynem tego Bacha, bo nazwisko miał prawie że pasujące, a do tego jeszcze zagrał tak, że przy pierwszych taktach miał wrażenie, że wraz z muzyką za chwilę spadną na niego organy z całym chórem. Później jednak dźwięki popłynęły pod samą kościelną kopułę, rozeszły się po nawach i odbite od ołtarza wróciły do uszu młodego człowieka, kompletnie oszołomionego tym, co właśnie usłyszał.

– Tadadam, tadadadadam – zaśpiewał Mariusz, próbując naśladować dźwięk organów.

– *Toccata i fuga d-moll* – rzucił Fred. – To zna każdy miłośnik muzyki, niekoniecznie meloman. A *Koncerty brandenburskie*, a *Suity francuskie* albo *angielskie*, *Wariacje Goldbergowskie*? – wymieniał, cały czas lekko się uśmiechając.

Mariusz pokręcił głową. Nic mu te nazwy nie mówiły.

– No to widzisz, przyjacielu, że ty, który uważasz się za człowieka inteligentnego, nie masz pojęcia o kantorze z Lipska, a wymagasz od Teofila, którego śledcza intuicja jest odwrotnie proporcjonalna do wiedzy muzycznej, by wiedział dokładnie, co Wodecki chciał powiedzieć w swojej piosence. Bo moim zdaniem należy mu się uznanie za samą dociekliwość. Ilu ludzi przechodzi obojętnie obok zjawisk i sytuacji, wcale się nad nimi nie zastanawiając? Zwyczajnie widzą coś i przyjmują, że to coś jest i tyle. Nie próbują nawet pokusić się o wytłumaczenie sobie ich złożoności czy sposobu działania. A nasz Teoś wysłuchał Wodeckiego i przeanalizował piosenkę. A ta osobliwa analiza powiodła go w obszar filozofii hedonistycznej, o której nie ma zielonego pojęcia, ale jest jej szczerym wyznawcą. Trzeba mu pogratulować. A wiesz dlaczego? Bo w naszej robocie najważniejsze jest stawianie pytań. Milicjant, który nie ma ciekawości świata, nie poradzi sobie z rozwiązaniem najprostszej zagadki. Dlatego pytaj i przeprowadzaj analizę. Nawet jakbyś doszedł do absurdalnych wniosków, to one mogą być zdecydowanie lepsze niż ich brak. Postaw pytanie i szukaj odpowiedzi, a prędzej czy później trafisz do celu.

– Tak jak pan Teofil? – zapytał przekornie.

– A jesteś przekonany, że Wodecki pod Bachem nie ukrył flachy?

– No zasadniczo... nie.

– To znaczy, że Teoś może mieć rację. – Marcinkowski uśmiechnął się i wrócił do studiowania akt. Tylko Olkiewicz do niczego nie wrócił, bo zmęczony wprowadzaniem w życie hedonistycznych wartości, zasnął jak wyczerpany uczestnik bachanaliów.

Muzyka, płynąc z głośników, była niezwykle energetyczna. Zdziwił się, bo był przekonany, że takie starodawne koncerty muszą ciągnąć się jak flaki z olejem, a tymczasem były jak opowieść o okręcie żeglującym po spokojnych wodach, który z każdą chwilą nabiera dynamiki, by w końcu pomknąć pod pełnymi żaglami ponad grzbietami fal. Nawet nie zauważył, kiedy wszedł na pokład i dał się ponieść... Nie odpłynął jednak w nieznaną. Zaczął zadawać sobie pytania, tak jak na samym początku jego służby uczył go Marcinkowski. „Pytaj i szukaj odpowiedzi. Nawet te, które wydają ci się w pierwszej chwili zupełnie idiotyczne, mogą okazać się tymi właściwymi, przybliżającymi cię do rozwiązania...”

*Dlaczego ktoś miałby ochotę wyeliminować Grubego Rycha? – zapisał w notesie rozłożonym na blacie stolika.*

*Rychu nie oddał komuś pieniędzy.*

Rychu to cinkciarz, więc ciągle robi jakieś finansowe przewały. A może teraz już nie robi, bo ma bank, ale wcześniej owszem.

*Odbił komuś kobietę, czyli z zazdrości.* Ta Magda Jankowska, która zginęła, chyba nie była niczyją żoną ani narzeczoną. Podkreślił jednak to zdanie, żeby sprawdzić to dokładnie.

*Rychu kogoś okradł i ten ktoś się teraz mści.* Tu nie ma nic odkrywczego. Cinkciarze kradli na potęgę, więc i Rychu na pewno to robił.

*Sprawdzić, czy nie popadł w konflikt z kimś ważnym z przestępczego świata.*

*Rychu nie wszedł z kimś w szemrane interesy.* To mogłoby być całkiem realne. Ktoś mu coś proponuje, ale Grubiński uważa się teraz za człowieka niebrudzącego sobie rąk lewymi interesami i posyła tego kogoś w cholerę. No i ten ktoś się mści.

*Ktoś chce przejąć interesy Rycha.* Konkurencja nie śpi i niekoniecznie musi chcieć działać legalnie. Może wyeliminowanie go stworzy możliwości dla kogoś, kto wchodzi na rynek?

Na te pytania może odpowiedzieć Ryszard Grubiński albo Mirek Brodziak, który pewnie ma rozeznanie w jego interesach, napisał na dole kartki i podkreślił to czerwonym pisakiem. Trzeba będzie przede wszystkim jutro pogadać z Marcinkowskim, żeby on wpłynął na Brodziaka, a ten na Grubińskiego. Rychu musi wiedzieć, kto i dlaczego do niego strzelał.

Nie zamykał drzwi na klucz. Gdy ostrożnie je otworzyła, nawet nie usłyszał kroków w miękkich pantoflach. Podeszła i położyła mu ręce na ramionach.

– Myślałem, że już nie przyjdiesz – powiedział, ale nie było w tym stwierdzeniu pretensji. Raczej ulga, że wreszcie jest. Chwytał jej dłoń i przycisnął do ust.

– Nie wiedziałam, że słuchasz Bacha.

– No wiesz, tak od czasu do czasu – skłamał, żeby nie wyjść na kompletnego muzycznego ignorantą. – Oprócz Bacha jeszcze kilku innych by się też znalazło.

– Nie wiedziałam... – powtórzyła.

On też dotąd nie wiedział. Nie przypuszczał nawet, że po paru sekundach słuchania można rozpoznać, że to Bach. Przecież ta muzyka poważna była tak bardzo do siebie podobna, skrzypce i fortepiany, a do tego niekiedy jeszcze trąbki. Co innego Pink Floyd. Ich utwory rozpoznałby nawet po trzech sekundach. Ciekawe, czy ten Bach potrafiłby skomponować taki monumentalny album jak *The Wall*... Zaraz jednak przestał się nad tym zastanawiać, gdy poczuł, jak jej wilgotne usta przywierają do jego warg. Zdążył jeszcze pomyśleć, że nigdy w życiu nie kochał się przy muzyce poważnej. Przy rockowej też nie osiągnął szczytów możliwości, bo choć chęci były duże, to jak dotąd doświadczenie bardzo mizerne...

## Godzina 0.40

Leżał na dachu i nie miał pojęcia, co powinien był zrobić. To, co przerabiał na teoretycznych kursach, a później podczas ćwiczeń praktycznych, było zdecydowanie bardziej proste niż skomplikowana sytuacja, w której właśnie się znalazł. Atak i odskok, atak i odskok, tak go uczono. No, tylko że na razie nie mógł zaatakować, bo nie miał możliwości bezpiecznego odskoku. W ogóle nie miał jak się wycofać. Jesliby zaatakował, to właściwie byłoby już po nim. Co z tego, że zastrzeliłby jednego albo dwóch, no może nawet trzech ludzi. I na tym by musiał zakończyć. Nic więcej by nie zrobił, bo martwy nie dałby rady

cokolwiek działać. Może więc trzeba było siedzieć cicho, przyglądać się temu, co się dzieje, i czekać, żeby móc wezwać posiłki? Wszystko przez tych facetów z izraelskimi karabinkami maszynowymi Uzi w dłoniach, którzy pół godziny temu, krótko po tym, jak w obserwowanym przez niego budynku rozległy się strzały, podjechali przed dom dwoma volkswagenami transporterami.auta zatrzymały się przy krawężniku i ze środka wysypało się dziesięciu ubranych na czarno mężczyzn. Połowa z nich wpadła natychmiast do środka, a pozostali rozstawili się wzdłuż ulicy, obserwując uważnie to, co działo się dookoła. Więc gdyby zareagował tak, jak powinien, czyli otworzył ogień, już byłoby po nim. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to siedzieć cicho i nie zwracać na siebie najmniejszej uwagi, bo inaczej już po nim.

Na razie oddychał w miarę spokojnie i cały czas obserwował dom naprzeciwko. Ale nie działo się nic nadzwyczajnego. Czterech gości stało na ulicy odwróconych plecami do willi, którą zabezpieczali. Jeden poruszał się między nimi, patrolując pilnowaną przez nich połącz ulicy i podjazdu. Rozglądał się uważnie i wyszukiwał niebezpieczeństw. Jego na szczęście nie był w stanie dostrzec na tym dachu. Nie mógł zobaczyć też żadnego błysku na oksydowanej lufie karabinu, bo ten dawno został schowany i leżał teraz obok snajpera. Nie był mu teraz potrzebny, bo przecież nie będzie się nim w razie czego bronił. Gdyby miał karabin maszynowy, to zupełnie co innego. Jedną serią skosiłby przynajmniej trzech. Ale zanim puściłby drugą, dwaj już by zniknęli z pola widzenia. A pięciu w domu? Widać choćby po tym, jak się ruszali, że są dobrze wyszkoleni. Wszyscy mieli ten charakterystyczny, miękki chód komandosa, po którym z daleka i w tłumie bezbłędnie można dostrzec fachowca od specjalnej roboty. Szybko obeszliby jego stanowisko od tyłu i byłoby po zabawie.

W tym momencie zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze. Ci faceci weszli do willi Grubińskiego jak do siebie. Nie padł tam żaden strzał, nie gruchnął żaden granat hukowy ani nie odpalono żadnej świecy dymnej. To znaczy, że goście w czerni nie spodziewali się kłopotów. Czyli nie wkraczali, żeby walczyć, ale żeby ewakuować...

A jego koledzy? Strzały mogły więc oznaczać tylko jedno, kierownik i saper wpadli w zasadzkę. Zostali odstrzeleni, a gdy już było po wszystkim, do akcji weszła grupa ewakuacyjna. Teraz zabiorą tego Grubińskiego i już go nigdy nie namierzą. Facet nie pojawi się nigdzie bez ochrony. No chyba że... Jeśli chcą go ewakuować, będzie musiał wyjść z domu i dojść do samochodu. Do pokonania ma jakieś dziesięć metrów. Otaczać go będą faceci w czerni. Ale

nigdy nie jest tak, żeby otaczali chronionego człowieka tak szczelnym kordonem, by nie dało się do kogoś takiego strzelić...

Gdy Braun wszedł do salonu i oświetlił wnętrze latarką przytwierdzoną do czoła, jego zleceniodawca siedział na skórzanym fotelu przy ławie ze szklanym blatem. Przed nim stała butelka whisky Johnnie Walker i dwie do połowy opróżnione szklanki. Z boku, na kanapie, siedział dobrze zbudowany mężczyzna, jednak nie tak postawny jak gospodarz. Szef ochrony znał go i wiedział, że jest to Mirek Brodziak, stary kumpel gospodarza. Na stole oprócz szklanek było jeszcze coś. Przed Brodziakiem leżał amerykański pistolet Beretta M9, zaś przed Grubińskim czeski CZ 75. Na pierwszy rzut oka można by było pomyśleć, że to dwóch miłośników broni ogląda swoje kolekcjonerskie cacka, racząc się przy tym łyskaczem. Można by, gdyby nie facet z przestrzeloną głową, leżący w przejściu. Akurat w miejscu, w którym zatrzymał się Braun.

Mężczyzna zrobił krok do przodu i zza jego pleców wysypało się czterech mężczyzn w karabinkami Uzi w dłoniach. Szybko rozeszli się po kątach, sprawdzając, czy nie grozi im jakieś niebezpieczeństwo.

– Jest czysto – rzucił Grubiński. – W zasadzie można już zapalić światło.

– Tylko był jeden? – zapytał Braun, szukając na ścianie włącznika. Znalazł go i wcisnął. Od razu w środku zrobiło się przyjemniej.

– Nie, no dwóch jest. – Gospodarz wskazał fotel, który był odwrócony tyłem do drzwi. Ochroniarz podszedł więc bliżej i dopiero gdy znalazł się obok, dostrzegł bladego faceta z krótkimi włosami, ubranego, jakby właśnie wyszedł z biura, w marynarkę i garniturowe spodnie. Biała koszula z prawej strony była mocno poplamiona na czerwono.

– Oberwał w ramię, ale będzie żył – wyjaśnił Brodziak. – Tak na wszelki wypadek żeśmy mu ręce powiązali, ale raczej niepotrzebnie, bo nie wygląda na gościa, który lubi się bawić w chowanego. Zresztą chyba warto by przejrzeć na wszelki wypadek wszystkie pomieszczenia, jakby jeszcze komuś się zachciało...

– Przeszukać cały dom – zwrócił się Braun do najbliższego stojącego ochroniarza. Ten skinął głową i polecił, aby dwaj inni poszli za nim. Kolejny zajął pozycję przy oknie wychodzącym na ogród.

– Napije się pan? – zapytał Grubiński. Braun pokręcił głową.

– W pracy nie piję. Trzeźwa głowa od czasu do czasu może się przydać.



– He, he, a my żeśmy tych dwóch załatwili, można powiedzieć, między jedną a drugą szklaneczką. – Rychu podniósł swoją szklankę i dopił jej zawartość do końca.

– Co dalej? – zapytał dowódca grupy interwencyjnej.

– Wyjeżdżamy stąd – zdecydował Rychu.

– A co z tym? – zapytał Braun, wskazując bladego faceta, który nie wyglądał najlepiej. No ale kto wygląda dobrze z przestrzelonym ramieniem.

– Zabierzemy go ze sobą. Może opowie nam po drodze coś interesującego – odparł Grubiński. – Mój siedzący tu przyjaciel miał jednak rację. Trzeba było wyczekać i sprawdzić, czy się nie pojawią, żeby dokończyć to, co spierdolili. Co, myśleliście, że ja tu cały w nerwach siedzę, obgryzam paznokcie i nie wiem, co robić, tak? – zwrócił się do jeńca. – A tu tymczasem myśmy wszystko zaplanowali krok po kroku, tak żebyście wpadli do nas w odwiedziny. Siedzieliśmy sobie, popijaliśmy łyskacza i naradzaliśmy się z naszymi kolegami z grupy do specjalnych zadań. I ustaliliśmy, że wieczorem zgasimy światło, tak jakbyśmy już poszli nawaleni spać. No i ledwo żeśmy zgasili, panowie przyszli nas odwiedzić, ale nie spodziewali się, że zastaną tu dwóch gości, którzy właśnie na nich czekają. No i powitaliśmy was kulturalnie, co nie, Miruś? – Spojrzał na swojego kumpla, który pokiwał głową, a potem sięgnął po butelkę, żeby sobie nalać. Widać, że musiał w końcu odreagować ten dzień, zalewając nerwy alkoholem. Inaczej nie potrafił.

– Bardzo niekulturalnie zachował się ten biedny skurwysyn, co leży tam w drzwiach. Powiedziałem mu grzecznie, że ma rzucić broń. A on zamiast rzucić, podniósł pistolet i strzelił. Nawet, kurwa, nie potrafił dobrze wymierzyć. No ale co się dziwić, jak gość strzelał w ciemności. Ale myśmy go widzieli jak na dłoni w tych okularach, które nam podrzuciliście. – Brodziak wskazał na leżące na tapczanie gogle noktowizyjne. W tym momencie do pokoju wszedł jeden z tych, którzy przeszukiwali mieszkanie.

– Wszystko w porządku. Jest czysto. Ale w domu. Na zewnątrz chłopaki zabezpieczają, jakby co. Jeśli gdzieś się kryje jakiś gołębiarz, to raczej nie strzeli, bo nie miałby szansy na przeżycie.

– W porządku. – Dowódca przyjął raport. – Zrobimy tak. Zasłonimy gospodarza i wprowadzimy go do auta, a w tym czasie niech któryś z naszych puści serię tuż ponad dachem naprzeciwko. Tak na wszelki wypadek. Jeśli tam ktoś jest, to się posra w gacie, a my spokojnie odjedziemy. To co, panie prezesie, możemy?

– Tak jest. Niech ktoś tylko weźmie tą skrzynkę z wodą. – Rychu wskazał na karton whisky stojący na podłodze, tuż przy stoliku, i najwyraźniej przygotowany do zabrania w podróż. – Muszę się czymś zająć, jak stąd wyjadę. A, i walizka spakowana jest tam, przy drzwiach...

– Dobra, weźmiemy te graty. Chłopaki, schodzimy.

Zeszli schodami w dół, do niewielkiego korytarzyka prowadzącego do wyjścia. Dowódca uchylił drzwi i wezwał do siebie machnięciem ręki najbliższego stojącego na zewnątrz ochroniarza. Ten przybiegł natychmiast. Powiedział mu coś do ucha, a gdy upewnił się, że jego człowiek zrozumiał, kazał mu zająć pozycję.

Najpierw z domu wybiegł jeden z ochroniarzy, podszedł do transportera i otworzył boczne drzwi. Gdy auto było gotowe na przyjęcie pasażerów, podniósł rękę. Dwaj z przodu i dwaj po bokach otoczyli Grubińskiego. Pochód zamykał Brodziak ze swoją berettą w dłoni. Dziesięć sekund później prezes i jego kumpel siedzieli już w samochodzie. Ochroniarze przynieśli bagaż i zaczęli ładować się do środka. Kierowca odpalił silnik i ruszył w głąb ulicy. W tym momencie jeden z zabezpieczających ewakuację mężczyzn wycelował lufę karabinku w stronę położonej naprzeciw willi i wypuścił w jej kierunku serię. Zaraz wspomógł go drugi, który też wystrzelił. Huk karabinu automatycznego poniósł się ponad dachami domów i poleciał w górę, nad Cytadelę. Jednak chyba nikt z mieszkańców czy zapóźnionych przechodniów nie zwrócił uwagi na ten dziwny, terkoczący dźwięk. Ludzie nie mieli pojęcia, że to huk wystrzałów. Tyle lat po wojnie nikt w Poznaniu nie miał pojęcia, jaki odgłos wydaje pistolet maszynowy. Ale snajper wiedział doskonale. Gdy kule zaświstały mu tuż nad głową, poczuł, że robi mu się słabo.

## Rozdział VI

### Godzina 1.30

– I co teraz, kurwa, z nimi zrobimy? – Falco postawił pytanie, które od pewnego czasu dręczyło ich wszystkich. No może z wyjątkiem Ulunga, który nie zdołał nawet wysiąść z samochodu, gdy zaczęła się akcja z policjantami. Obudził się tylko na chwilę, by wszczać alarm, który był początkiem ciągu niefortunnych zdarzeń, i zaraz zasnął z powrotem, zmęczony nadmiarem alkoholu i wrażeń. Tymczasem pozostali wiedzieli aż za dobrze. W końcu wszyscy oni uczestniczyli w tym, pozał się Boże, incydencie, który im się zupełnie przypadkowo przytrafił na sam koniec tej niezwyklej imprezy. No i zamiast jechać teraz odpocząć do swoich domów, siedzieli w tym warsztacie, popijali zagraniczny alkohol bez specjalnego entuzjazmu, towarzyszącego im jeszcze kilka godzin temu, i próbowali odpowiedzieć sobie na pytanie, co powinni zrobić dalej. A rozwiązanie tej kwestii było kluczowe, bo jeszcze dziś mieli wyruszyć do zachodniego Berlina, żeby w praktyce sprawdzić, jak poradzą sobie z nową robotą. Ulung nie był brany pod uwagę, bo nie miał paszportu. Dlatego upił się na smutno. Ale pozostali mieli paszporty od dawna, bo już zdarzało się im jeździć po towar do Berlina, więc po dzisiejszym przeszkoleniu, które przeprowadził Falco, byli przygotowani do pracy.

Srebrny passat, który stał na środku garażu, posłużył im jako obiekt ćwiczebny. Na nim właśnie Falco objaśnił im wszystkie szczegóły.

– Auto stoi se na ulicy. Jak byliście w Berlinie, to żeście widzieli, że tam nawet najlepsze fury stoją se na ulicy zaparkowane i nikt ich nie pilnuje. U nas takie passaty czy beemki to się stawia na parkingu strzeżonym, żeby żaden juchciarz[21] ich nie skroił. A tam jest zupełnie inaczej, bo wiara ma w dupie, czy im te auto ktoś podpierdoli czy nie.

– Jak to? – Wszyscy kursanci byli autentycznie zdziwieni, ale głośno zdziwił się tylko Trąba, bo nawet w dziwieniu się miał pierwszeństwo jako kierownik grupy karciarzy. Teraz też wolał się odzywać na samym początku, żeby jego ludzie nie zapomnieli, kto rządzi. Falco mógł sobie dowodzić przedsięwzięciem samochodowym, ale najważniejszy w grupie był on.

– A tak to, że wszystkie samochody w Niemczech zachodnich muszą być ubezpieczone.

– Ubezpieczone? A po cholere? – Tym razem wątpiącym był Pyśka.

– Ubezpieczają w pakiecie OC i AC. Czyli jest ubezpieczenie od wypadków i od kradzieży jednocześnie. Dlatego jak ktoś pojeździ taką furą przez rok, to zasadniczo już się zaczyna modlić, żeby mu to autko ktoś podprowadził. Bo jak mu je podpieprzą, to on idzie do urzędu, co się nazywa ADAC, i tam przedstawia policyjny protokół, a tam jest napisane, że mu autko podpierzolili. Teraz rozumiecie? Płacą mu za to, że ktoś mu ukradł furę.

Trąba pokręcił głową z niedowierzaniem, utwierdzając się w przekonaniu, że Niemcy to jednak dziwni ludzie.

– To przecież jakby u nas tak wypłacali zaraz za każdą skrojoną furę, to wiaruchna by wcale nie czekała na to, że ktoś im samochód podprowadzi, tylko sami by je kradli. Wystarczy takim autem wyjechać gdzieś i wjechać nim do rzeki. No i już po śliwkach. Kto mi udowodni? – Wafel przedstawił swoje argumenty, ale Falco tylko uśmiechnął się pod nosem.

– A widzicie, wy patrzycie na Niemców i myślicie se, że oni są tacy sami jak my. Ale prawda jest zupełnie inna. Tam, jak ktoś przychodzi do urzędu i mówi, że mu skradli auto, to urzędnik mu wierzy.

– Co za ćwoki – rzucił Pyśka. – To przecież tych urzędników można walić w rogi w każdej kwestii, jak oni se myślą, że ci, co do nich przychodzą załatwić urzędowe sprawy, to są ludzie uczciwi, którzy nie chcą oszukać urzędu. Znaczą, że mało tam mają do czynienia z naszymi.

– Prawda, i dlatego będziemy mogli się na tych Niemcach odegrać za naszą krzywdę. Bo w Niemczech, panowie, to te urzędy są nastawione na to, żeby pomagać ludziom, a nie po to, jak u nas, żeby urzędnicy mieli wygodną robotę i mogli przez cały dzień pić herbatkę i gadać o dupach. I dlatego wszystko tam się załatwia na gębę i tylko podpisuje oświadczenie, że coś się stało, i urzędnik ma podkładkę do podjęcia decyzji o wypłacie odszkodowania. A takie oświadczenie trafia do urzędu najwcześniej na drugi dzień od kradzieży. I dopiero wtedy auto wpisywane jest do rejestru samochodów zaginionych. Czyli tak naprawdę mamy czasu jak gnoju, panowie, na to, żeby przewieźć nasze fury z Berlina do Poznania, bo gdy my będziemy przekraczać granicę, jeszcze nikt w Niemczech tej skrojonej fury nie będzie szukać. Więc jak mówiłem, sprawa kompletnie bez ryzyka.

– A sama granica? – Trąba miał jeszcze wątpliwości. – Jak przejedziemy? Jak nas zatrzymają, to zaraz będzie kwas, bo nie będziemy mieć papierów auta i w ogóle... Nie jesteśmy Niemcami!

– Żeby to sprawdzić, toby musieli was zatrzymać i zapytać, kim jesteście. A widzieliście na granicy kolejki niemieckich aut?

Adepci sztuki złodziejskiej w branży motoryzacyjnej spojrzeli po sobie. Na granicy, owszem, tworzyły się ogromne kolejki, ale w nich stali nasi. Wszyscy doskonale znali ten obrazek, kiedy ludzie zgrzytając zębami, czekali kilka czy kilkanaście godzin, a wzdłuż jechały sobie auta niemieckie bez żadnej kontroli i przejeżdżały granicę, odprowadzane złymi spojrzeniami udręczonych oczekiwaniem polskich kierowców.

– No Niemców nie kontrolują – potwierdził Wafel.

– Racja – zgodził się z nim Trąba.

– I o to właśnie chodzi. – Falco się uśmiechnął. – Jedziemy furą niemiecką, pewnie jak Niemcy, mijamy polskie kolejki, a niemiecki celnik, znaczy się były NRD-owski, tylko macha, żeby jechać dalej. Ci z ernerdowa to teraz chcą pokazać, jacy oni są dobrzy, i wcale nie kontrolują swoich braci z Zachodu, a nasi chcą pokazać, jacy jesteśmy europejscy i że nie mamy już nic wspólnego z komuną i jeszcze bardziej Niemców zachodnich nie kontrolują. Więc ryzyko żadne.

– A jak nas jednak sprawdzą? – Pyśka był z tych wątpiących i dlatego wolał znać odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania.

– Jak przechodzisz przez jezdnię na światłach – zaczął mu powoli tłumaczyć Falco – to przechodzisz i raz-dwa jesteś po drugiej stronie. Czyli nie ma ryzyka? No właśnie. Ryzyko zawsze istnieje. Przejdziesz tysiąc razy i raz się wpięprzysz pod koła jakiegoś wariata. Chodzi o to, żeby na takiego gnoja nie trafić. Bo jak się trafi...

– To co? – Pyśka czekał na jakieś genialne rozwiązanie problemu.

– Jak się trafi, to mówisz, że to nie twoje auto i że nie masz pojęcia, skąd się w nim wzięłeś.

To akurat zrozumieli wszyscy. Nie od dziś pracowali na ulicy i dobrze wiedzieli, że złodziej złapany za rękę mówi, że to nie jego ręka. Rzadko skutkowało, ale niekiedy można było w ten sposób zyskać na czasie.

A czas w ich przedsięwzięciu był sprawą kluczową, jak wkrótce się okazało. Falco uświadomił im to na przykładzie passata. Najpierw otworzył go

za pomocą podłużnej metalowej linijki, wsuwając ją w przestrzeń między szybą a drzwiami od strony kierowcy. Jeden sprawny ruch i dociśnięcie, a szyba się otwierała. Wystarczyło ją opuścić niżej, włożyć rękę do środka i otworzyć klamką zablokowane drzwi. Potem przychodził następny element układanki, czyli odpalenie silnika. Odpalenie za pomocą kabli ze stacyjki, połączonych na krótko, okazało się dziecinnie łatwe.

– Jak widzieliście, w sumie zajęło mi to około dwóch minut – wyjaśniał Falco swoim kursantom. – Ale tak długo, bo cały czas objaśniałem wam, co robię. No to teraz zademonstruję wam jeszcze raz to samo, a ty, Trąba, będziesz sprawdzał czas. Masz zegarek?

– Mam. Ze stoperem mam, elektroniczny – pochwalił się Zdzichu.

– No to ja podchodzę do auta, a ty mnie startujesz.

– Dobra. No to raz, dwa, trzy, start!

Falco powtórzył wszystkie czynności i odpalił silnik w czterdzieści pięć sekund. Uczniowie pogratulowali mu brawami, a on skłonił się przed nimi jak aktor po szczególnie udanym przedstawieniu.

– No to teraz może kolega Pyśka? – zaproponował.

– Ja, a czemu ja, może...

– Pyśka, nie pierdol – przerwał mu Trąba. – Wszyscy będziemy to robić, to nie stawaj okoniem, tylko zapierdalaj.

No i Pyśka zabrał się do roboty. Sam się zdziwił, kiedy okazało się, że odpalił auto w drugiej minucie. Wafłowi też się udało mniej więcej w tym samym czasie. Najszybszy był Trąba. On zrobił swoją pierwszą brykę w niecałą minutę.

– No proszę, jesteście niezli – pochwalił ich nauczyciel. – Idzie wam bardzo dobrze, dlatego teraz jedziemy na ćwiczenia praktyczne.

– Czyli że co? – Trąba myślał, że to jakiś żart. Praktyka po pijanemu? Przecież wszyscy byli mocno wstawieni, więc nawet z jazdą byłyby pewne kłopoty...

– Ja wypilem najmniej, to pojedę – zarządził Falco. – A wy, pijani czy nie, ale łązić możecie i passata żeście skroili, to teraz będziecie kroić na ulicy. Innej możliwości nie ma. Każdy z was zrobi swoją pierwszą furę, przejedzie się kawałek, a potem ją zostawi. Jasne?

– Jasne! – zawołali wszyscy zgodnym chórem, bo coraz bardziej zaczynała im się podobać ta zabawa.

– A co z Ulungiem? – zapytał Wafel na widok nieprzytomnego kolegi. Facet był najwyraźniej w innej rzeczywistości, bo nie obudził się ani razu, gdy jego współnicy, jeden po drugim, kradli auto, w którym spał.

– A niech śpi! – Falco machnął ręką. – Chrzanić go. Może jak się trochę przejedzie, to dojdzie do siebie.

Nie doszedł. Gdy przyjechali na osiedle przy Grochowskiej, nadal spał jak zabity. Falco zaparkował samochód przy krawężniku, a potem odwrócił się do tyłu, tam gdzie siedzieli obok siebie trzej jego niezwykle pojętni uczniowie.

– Panowie, brać, wybierać i nie zawracać gitary, bo sklep reklamacji nie przyjmuje. Każdy bierze jedną sztukę z tych, co tam widzicie. – Wskazał na rząd może pięćdziesięciu aut zaparkowanych przy osiedlowej uliczce. – Za chwilę podjeżdżacie tu swoimi furami. O, możecie ustawić się tam, pod pomnikiem. – Pokazał na obelisk poświęcony generałowi Świerczewskiemu i zielony skwerek, którego był ozdobą. – Ustawiacie się tam, żebym widział, i dopiero po ustawieniu każdy wraca do passata.

– A jak będą w aucie jakieś blokady? – przypomniał sobie nagle Pyśka. – Tego żeśmy na lekcjach jeszcze nie przerabiali – dodał jak uczeń w szkole podstawowej.

– Na blokady nie ma rady. Masz blokadę, pierdol furę i bierz następną.

Złodziejska banda ruszyła na łowy. Zadanie okazało się niezbyt trudne. W ciągu kwadransa pod pomnikiem stały dwa polonezy i jeden duży fiat. Ostatni przyjechał Wafel.

– Ta linijka jest jakaś za mała na moje łapy. Muszę se jakąś lepszą znaleźć – tłumaczył się w zasadzie zupełnie niepotrzebnie, bo „profesor” był z nich zadowolony. Wystarczyło jeszcze kilka ćwiczeń praktycznych i mogli jechać na pierwszą wyprawę do Berlina. Potem wyszkoli się jeszcze tego zapijaczzonego Ulunga i zacnie się życie, myślał Falco, prowadząc auto. Wjechał właśnie na skrzyżowanie z Dąbrowskiego i mało brakowało, a wpakowałby się wprost pod koła tramwaju. W ostatniej chwili udało mu się ominąć blaszanego kolosa, dodał gazu i przeciąwszy oś jezdni, wjechał na chodnik po drugiej stronie ulicy.

– Co to, kurwa, było?! – jęknął Pyśka.

– To był właśnie ten przypadek jeden na sto – stwierdził Falco. – Muszę, kurwa, zajarać. I dajcie mi butelkę, bo się zdenerwowałem. – Trąba podał mu

otwartą flaszkę. Nerwowo kierowca wypił, a potem wszyscy pociągęli po łyku, bo byli przecież ludźmi towarzyskimi i nigdy by nie pozwolili, żeby kolega spożywał sam. Tylko Ulung nie wypił, bo wydawał się pogrążony we śnie. Do momentu, kiedy naraz w okno samochodu zapukał policjant. Falco opuścił szybę. A wtedy przebudzony nagle Ulung krzyknął:

– Panowie, szkieły, lać gnoi!

No więc jego koledzy zareagowali tak jak zwykle w takich sytuacjach. Wskoczyli z auta, włali policjantom, a potem wrzucili ich na tylne siedzenie, żeby przypadkiem zostawieni na ulicy nie narobili niepotrzebnie hałasu. Falco ruszył z kopyta i po kilku minutach byli w garażu. Ale nie sami, lecz z poważnym kłopotem w postaci dwóch nieprzytomnych szkieł, z którymi nie wiadomo było, co robić.

## **Opalenica Godzina 4.30**

– Ja ci sam te klunkry[22] przeniosę. Ty się nic nie martw, kochanieńki. Po co się będziesz męczył.

– Nie, nie można tego tak se nosić, bo to skomplikowana aparatura jest.

– Skomplikowana aparatura to jest do robienia bimbru. Co nie, Wiechu? – Przewodniczący zarządu gminnego PSL Marian Kaleta uśmiechnął się do swojego zastępcy i mocno, po koleżeńsku, klepnął go w plecy. Zastępca zachwiał się niebezpiecznie, ale na szczęście zdołał oprzeć się o dach samochodu, do którego muzyk, umilający im ostatnie kilka godzin zabawy polkami i mazurkami, pakował teraz swój drogocenny sprzęt. Po początkowej wrogości nie było ani śladu. Co więcej, Adam Wiśniak zaimponował działaczom partyjnym swoją dogłębną znajomością muzyki ludowej, no i oczywiście doskonałym dobozem pieśni i tańców w zależności od nastroju i wymagań słuchaczy. Gdy trzeba było grać do tańca, wrzucał obertasy, a gdy do kotleta, żeby nie zagłuszać rozmów na najwyższym szczeblu, pełnych troski o przyszłość ojczyzny, puszczał nostalgiczne dumki z Małopolski i Białostocczyny.

Nawet nie przypuszczał, że będzie coś takiego grał. Owszem, miał w planach tę całą ludowszczyznę, ale jako element większego artystycznego projektu, łączącego stare przyśpiewki z dyskotekową nowoczesnością rytmu i świateł. Pomysł zrodził się przypadkiem, gdy któregoś dnia wybrał się do



Poznania po zakupy. Wiedziony jakimś przeczuciem zajrzał do księgarni muzycznej, tej na rogu Lampego i Dwudziestego Siódmego Grudnia, naprzeciw Okrągłaka. Poszedł raczej z przyzwyczajenia niż w jakimś konkretnym celu, bo dobrze wiedział, że niczego interesującego tam nie znajdzie. Ciekawe rzeczy działały się vis-à-vis, po drugiej stronie ulicy, gdzie swoje prowizoryczne stargany rozstawiali handlarze, którzy przywozili towar z Niemiec, z najtańszych marketów, i sprzedawali go przechodniom po niezwykle atrakcyjnych cenach. Można tu było kupić proszki do prania, kawę, kosmetyki, słodycze, ubrania, sprzęt AGD, czyli wszystko, czego rodzimy przemysł nie był w stanie dostarczyć na rynek. Sprzedawano tu też płyty i kasety magnetofonowe. Wiśnia przejrzał wszystkie stoiska, ale niczego nie znalazł. Zrezygnowany, poszedł więc do sklepu muzycznego i tam trafił na coś, co go zainteresowało. Był to przeceniony zestaw kaset magnetofonowych z muzyką ludową, tańcami i przyśpiewkami ze wszystkich regionów Polski, nagrany przez muzykologów i etnografów. Kasety zapakowane były w plastikowe, wytłaczane etui, zamykające się jak zeszyty. W każdym było sześć sztuk. A zeszytów było osiem...

Muzyka może nie najmodniejsza, ale kasetą jest kasetą, pomyślał Wiśnia, wykładając pieniądze na sklepowy blat.

– To dobry zakup – pochwaliła go sprzedawczyni o tlenionych blond włosach, ułożonych w misterny kok na czubku głowy, z zakręconymi lokami, spadającymi dwoma strumieniami wzdłuż zaróżowionych policzków.

– No widzę – mruknął Wiśnia.

– To kawał historii polskiej muzyki ludowej. Pan rozumie! – Mrugnęła do niego porozumiewawczo. – Wszystko same autentyki zebrane przez radiowców i etnografów. Kilka lat pracy zespołu i wszystko to miało iść na zmarnowanie. Niedoczekanie...

– Jak na zmarnowanie? – zdziwił się Wiśnia.

– No normalnie. Odkąd ci handlarze z drugiej strony ulicy dowiedzieli się, po ile u nas kasety z muzyką poważną chodzą, zaczęli wszystko wykupywać i nagrywać to swoje disco, co tam sprzedają na tych rozkładanych łózkach. I ten album Glogerowski też by pewnie wykupili, gdyby nie nasza akcja. Zadzwończyliśmy do profesora Mariusza Czubaja z etnologii, żeby przysłał swoich studentów dzisiaj od dwunastej, a my im obniżymy cenę, żeby to dobro trafiło w ich ręce. Pan jest pierwszy. A koledzy przyjdą? Niech pan powie,

żeby się pośpieszyli, bo to przecież prawdziwy skarb. A pereł przed wieprze się nie sypie.

– Aha, no tak – mruknął strapiony Wiśnia.

– Bo pan z etnologii, prawda? Od profesora Czubaja? – Kobieta obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

– No oczywiście – skłamał i szybko wrzucił kasety do plecaka, by zaraz potem zniknąć z tego sklepu, w którym udało mu się oszukać tę głupią babę...

Początkowo wcale nie przejął się tym jej gadaniem. Co go tam mogła obchodzić jakaś nawiedzona idiotka i ludowe przyśpiewki. Zaraz się te kasety zagra czymś dla normalnych ludzi. Bo te taśmy to był skarb. Czterdzieści osiem nowych kaset, na których można było nagrywać, co się chciało. Nie miał zamiaru dawać śpiewaczkom i śpiewakom żadnych szans na zaistnienie. Ułożył pudełka w domu na półce, by wkrótce zacząć ich używać w pracy nagraniowej. Ale jakoś czas płynął, a kasety stały i nic się z nimi nie działo. No a potem wpadł na pomysł, żeby łączyć nowoczesne disco z różnymi starociami. Musiał w duchu przyznać, że trochę mu było żal tych nagrań etno. Skoro ktoś, jakiś nieznany mu badacz, pojechał do jakiegoś pipidówka i nagrał tam chłopą, który zaprezentował się z jak najlepszej strony, to on nie może teraz tego ot tak sobie kasować. Niech chłop trochę jeszcze pośpiewa.

Gdy dowiedział się, że ma grać dla jakichś rolników, pomyślał, że gdy rozkręci ich już dostatecznie tymi przedwojennymi kawałkami, zacznie im puszczać utwory disco zmiksowane z obertasami. Ale gdy ten Kaleta kazał mu puszczać samą skoczną muzykę, pomyślał, że zrobi im na złość i zacznie podawać coś odpowiedniego do poziomu tych zacofanych muzycznie neandertalczyków. I kasety z Glogerowskiego zbioru poszły w ruch. Tego się jednak nie spodziewał. Działacze odrodzonego PSL-u ruszyli do tańca, jakby im ubyło po trzydzieści lat. Kręcili koła, wycinali hołubce i obracali zapamiętane swoje baby, a one piszczały i pokrzykiwały jak młódki. Bal przekształcił się błyskawicznie w najprawdziwszą ludową zabawę, bo działacze porwała nie tylko muzyka, lecz także słowa znane i od lat przechowywane gdzieś w zakamarkach pamięci.

*Maryniu, Maryniu, ksiądz jedzie.*

*Do kogo, do kogo, do ciebie.*

*A jaki, Wikary?*

*Nie chce go, nie chce go, bo stary!*

Po tej odśpiewanej chóralnie pieśni posypały się zamówienia na wielkopolskie piosenki, a wraz z zamówieniami popłynął strumień wódki, któremu w żaden sposób młody disc jockey nie mógł się oprzeć. Efekt był taki, że impreza, która miała trwać najpóźniej do pierwszej, skończyła się o czwartej, gdy już nikt z działaczy nie mógł ani tańczyć, ani śpiewać.

– Aleś nam piękną muzykę puszczał, kochanieńki. – Kaleta poklepywał Wiśniaka po plecach. – Nie można to było tak od razu? Po co człowiek ma się denerwować. Mało to nerwów ma na co dzień, i jeszcze żeby na zabawie. Co nie, Wiesiu? – zwrócił się do swojego zastępcy.

– Prawda, sama prawda – potwierdził Skoczylas. – Ty to masz zawsze rację. Senatorska głowa. Powiadam, senatorska głowa. Tobie do senatu iść, bobyś tam porządek zrobił. I najważniejsze, żeś jest nasz, chłop z naszej krwi, z naszego ludu, co żywi i obroni, kogo tam trzeba obronić.

– Obronimy, Wiesiu, obronimy, kogo się da. Ciebie też obronimy. A jak ty się właściwie nazywasz? – zapytał przyszły senator Wiśnię, który właśnie próbował w bagażniku swojego auta ułożyć wzmacniacz, tak żeby się czasami nie obił. Ale mu nie szło to układanie, bo jakoś nie mógł trafić w odpowiednie miejsce.

– Ja się nazywam Wiśnia... a właściwie to...

– Jakie nazwisko swojskie. Wiśnia. No proszę, Wiśnia jak najbardziej się nadaje na naszego człowieka – ucieszył się Skoczylas. – Z takim nazwiskiem to w Pe-ez-elu zrobisz, chłopie, karierę jak nic. Bylebyś tylko dobre piosenki puszczał, a my już pomyślimy, jak cię wykorzystać.

– Co tu myśleć dużo, Wiesiu. – Kaleta klepnął kolegę w plecy. – Będzie Wiśnia na naszych festynach występował i grał nam, a my będziemy śpiewać i wszystkie wybory będziemy wygrywać śpiewająco. Wszystkich ich pokonamy, i lewicę, i prawicę, i centrum. I będziemy tylko my rządzić w tym kraju. A jak już zaczniemy rządy, to wtedy zobaczą, jak umie gospodarzyć chłop polski. Pokażemy im wszystkim, pokażemy. – Spodobała mu się ta wizja rządów, bo wymachiwał pięścią coraz bardziej zapalczywie, ale naraz ta zawziętość gdzieś wyparowała, a zastąpiła ją nuta chłopskiej nostalgii, bo przecież wiadomo, że chłop żywemu nie przepuści, ale przy tym, jeśli chodzi o uczucia, jest miękki i skory do płaczu.

– Zaraz, jak to leciało? – zapytał sam siebie przyszły senator i zaśpiewał głosem czystym, przez lata całe ćwiczonym w kościelnym chórze...

*Jodła pyry, jodła sos, Anna, panna.*

*Łobrechtąta sobie nos, Anna, panna.*

Chciał jeszcze dalej ciągnąć ten koncert, ale jego nieodłączny druh Skoczylas, liczący na to, że jeśli wypchnie kolegę na posła albo senatora, to on zostanie w gminie jego następcą, wskazał mu wejście do budynku, w którym mimo braku muzyki życie jeszcze całkiem nie zamarło. Obaj działacze, wspierając się na swoich ramionach, ruszyli w kierunku drzwi do sali, gdzie przy stołach zastygło w bezruchu kilku najwytrwalszych uczestników zabawy z głowami wspartymi na poplamionych obrusach lub siedzących sztywno i wpatrzonych w niezwykle ciekawe wzory na ścianie, utworzone przez odłóżającą płatami farbę.

Mocno opity i z trudem trzymający się na nogach Wiśnia także wrócił na salę. Wiedział, że nie może pozwolić sobie na pozostawienie tam reszty sprzętu. Włożył wiązkę kabli do wielkiej torby, do drugiej zapakował płyty i ruszył z powrotem do auta. Na stole zostawił jeszcze ciężki magnetofon, bo tego wielkiego kłamota trzeba było nosić w dwóch rękach. Wychodząc, zobaczył, że jego zaprzysięgły wróg, a w końcu najlepszy przyjaciel, przewodniczący Kaleta, macha na niego od stolika, gdzie siedział nad otwartą flaszką ze swoim zastępcą. Odmachał mu i wyszedł na zewnątrz, zaciągając się łapczywie chłodnym porannym powietrzem. Robiło się już szaro, więc jedyne, o czym marzył, to znaleźć się we własnym łóżku. Na szczęście mieszkał niedaleko. Wystarczyło tylko wyjechać z ośrodka, skręcić w lewo i zaraz będzie w domu...

– Dzień dobry, panie Wiśniak – usłyszał jakiś głos za sobą. Pomyślał, że to któryś z rolników chce, żeby mu jeszcze coś zagrać.

– Nic z tego, panie, ja już jadę do domu, bo... – odpowiedział, nawet się nie odwracając. Udawał, że jest mocno zajęty układaniem sprzętu w bagażniku.

– To pojedziemy razem – powiedział natrętny facet.

– Panie, odpiardol się pan ode... – nie dokończył, bo nagle jakaś silna ręka chwyciła go za twarz, a cios wymierzony w skroń sprawił, że disc jockey Wiśnia zobaczył najpierw miliony świateł dyskotekowych, które eksplodowały mu w głowie, a zaraz potem nastąpiła ciemność. Zdążył jeszcze pomyśleć, że

pewnie ktoś, komu nie spodobała się ta ludowa muzyka, wykręcił złośliwie korki.

## **Poznań**

### **Godzina 6.20**

– Po naradzie żeśmy się zastanowili i wew związku z tym was nie utopimy, ale wypuścimy – powiedział mężczyzna odziany w bluzę od dresu, spodnie dżinsowe i dodatkowo przystrojony w czerwoną pończochę, naciągniętą na głowę. – Chociaż żeście zasłużyli na to, żeby was związanych wrzucić do Warty. Bo kto to widział, żeby porządnych ludzi napadać w nocy i żeby ich jeszcze bić. Na wasze szczęście są okoliczności, co za wami się wstawiły, i znaczy się dzięki nim będziecie łagodnie potraktowani.

Dwaj policjanci siedzieli ze skrępowanymi nadgarstkami i nogami pod ścianą jakiegoś piwnicznego pomieszczenia. O tym, że była to piwnica, świadczył przede wszystkim charakterystyczny zapach, który był mieszanką smrodu zgniłych ziemniaków, zbutwiałych, starych ciuchów i kocich szczyn. Dodatkowo za piwnicą przemawiało niewielkie, zakratowane okienko, umieszczone tuż pod sufitem, przez które do wnętrza wpadały pierwsze promienie wstającego dnia.

Facet w dresie stał teraz jakieś dwa metry przed policjantami, jakby chciał na wszelki wypadek zachować bezpieczny dystans. Choć było to całkowicie zbyteczne, bo dwaj młodzi funkcjonariusze nie byli skorzy do wyrównywania porachunków z ludźmi, którzy ich pobili. Dostali już po gębach, jeden miał podbite oko, a drugi rozbity nos i napuchniętą wargę, więc wcale nie kwapili się do tego, by jeszcze raz stawać do nierównej walki.

– A ty, łachudro niemyta, co żeś się zupełnie niepotrzebnie nawinał pod rękę, też masz dziś szczęście, bo jak my nie będziemy topić tych tu szkiełków, to tobie się też nic nie stanie i włosy ci ze łba nie odpadną. – Zamaskowany facet, odwróciwszy się bokiem do policjantów, naświetlił skomplikowaną sytuację chudzielcowi w czarnej czapeczce i czarnej skórzanej kamizelce, od którego z daleka czuć było woń alkoholu, tak intensywną, jakby się właśnie wykąpał w wannie z wódką. Mężczyzna również był związany, podobnie jak dwóch policjantów, ale na jego twarzy próżno było szukać przerażenia. Ci dwaj młodzińcy w mundurach autentycznie się bali, ale facet w czapce wyglądał na twardziela, który ma wszystko w nosie i na dodatek jeszcze rozdaje karty.

– Może i ja łachudra niemyta jestem, ale swoją godność mam i dlatego ze względu na to, że zostałem uprowadzony wbrew mojej dobrej woli, żądam natychmiastowo zadośćuczynienia w postaci najsampierw szklanki wódeczki, bo mi zaschło w gębie, i za chwilę nie będę mógł nawet splunąć pod nogi, a po drugie poproszę o ćmika, bo mnie się chce palić. I jeśli ja to wszystko dostanę i jeszcze zagwarantowane będę miał, że mnie grzecznie przeprosicie za nieporozumienie i wypuscicie mnie razem z tymi panami milicjantami, to ja skargi żadnej nie wniosę do żadnej instancji, pod warunkiem dodatkowym, że mi jeszcze wypłacicie... sto tysięcy, powiedzmy, albo dwieście, i koniec.

– Już się nagadał, ryju uślomprany?[23] – mruknął facet w czerwonej masce.

– Co powiedziałem, to powiedziałem i swoje warunki przedstawiłem. A jak się nie podoba, to trudno. Albo dostanę wszystko, co potrzebuję, albo będzie z wami źle, bo ja wszystko powiem tym tu milicjantom, co ze mną siedzą pod tą piwniczną celą, żeby się na nic nie zgadzali. A teraz idź po wódeczkę, bo już gadać nie mogę.

Obaj policjanci z wyraźnym zdziwieniem obserwowali ten słowny pojedynek. Bo z tego, co usłyszeli, wynikało, że to nie porywacz stawia warunki, ale porwany. Więc coś tu było nie tak i ten w pończosze na głowie powinien teraz podejść do tego pyskatego i przyłożyć mu kilka razy po gębie albo chociaż go skopać, tak żeby mu się odechciało tego mielenia ozorem. Ale nic takiego się nie stało. Wręcz przeciwnie. Porywacz chyba nie bardzo znał się na swojej kidnaperskiej robocie, bo pokiwał tylko głową i zaraz wyszedł z piwnicy. Młodzieńcy w mundurach popatrzyli na zamknięte drzwi, a potem na tego człowieka w czapce, który w tak zdecydowany sposób potrafił się przeciwstawić przemocy.

– Panie, o co tu, do cholery, chodzi? – zapytał niższy z policjantów o pucułowatej twarzy nastolatka.

– To kidnaping – wyjaśnił fachowo chudzielec.

– Że co?

Wyższy funkcjonariusz miał pagony nieskażone żadnym śladem awansu i w policji był od niedawna, więc nie znał jeszcze zbyt dobrze fachowej terminologii, zresztą podobnie jak ten, który ją przed chwilą zastosował w praktyce. Ale przynajmniej wiedział, o co chodzi w tym trudnym pojęciu.

– Jak się kogoś porwie, to jest właśnie kidnaperstwo. Coś jak penerstwo, tylko że jeszcze gorzej, bo penery się ino leją po ryjach, a kidnapery porywają dla pieniędzy.

– I nas porwali dla pieniędzy? – Ten niski był dociekliwym funkcjonariuszem i miał zadatki na dobrego glinę. Pod warunkiem, że przeżyje to porwanie.

– Oczywiście, że dla pieniędzy. Przecież inaczej się nie porywa nikogo. – Chudy najwyraźniej znał się na rzeczy.

– Zaraz, ale to pan powiedział im, że chce od nich pieniędzy – drążył dociekliwy policjant.

– No tak. Przecież mówiłem, że to porwanie dla pieniędzy.

– Ale to niemożliwe. To się nie trzyma kupy. – Wyższy policjant wiedział swoje. – Oni nic nie zapłacą. Jak się kogoś porywa, to się chce na tym zarobić.

– Racja – zgodził się chudzielec. – Dlatego jak już jest porwanie, to ja muszę zarobić. Inaczej to by mi się nie opłacało. Ja muszę wyjść na swoje. W końcu tu już trochę czasu straciłem – stwierdził, spoglądając na okno. – Musi być już południe.

– Skąd pan to wie? – Okrągły policjant też spojrział w okno, ale nie potrafiłby powiedzieć, która jest godzina.

– No jak skąd? Przecież słońce już jest wysoko.

– Bo my jesteśmy nisko – rzucił wyższy policjant i pewnie jeszcze by coś powiedział, ale nie zdążył, bo uwagę wszystkich przyciągnęły otwierające się drzwi. Do środka wszedł facet w pończosze. W ręce trzymał szklanę z przezroczystym płynem i zapalonego papierosa.

– No całe szczęście, bo już bym tu zdechnął z pragnienia – mruknął facet w czapce. – A jakbym tu umarł, to ale byście mieli problemy. Jak więzień umiera w celi, to klawisze stają do raportu i dostają w najlepszym wypadku po premii. A ja nawet nie jestem więźniem, ino tym no...

– Ćwokiem jesteś – warknął czerwonogłowy. – Masz, napij się i zajaraj, a potem bądź cicho, bo jak nie, to zaraz się za ciebie weźmiemy i przemielimy w maszynce do mięsa, a potem wyrzucimy na śmietnik, żeby cię kociambry[24] zeżarły i wysrały.

Zagrożony unicestwieniem człowiek najwyraźniej nic sobie nie robił z tych jawnych pogroźek, bo najspokojniej w świecie sięgnął po szklanę, wypił

połowę, a potem odebrał z rąk potencjalnego oprawcy papierosa i z wyraźną rozkoszą zaciągnął się dymem.

– Kto się weźmie? – zapytał policjant, ten dociekliwy.

– My, znaczy się Czarne Brygady – wyjaśnił ze spokojem czerwonogłowy.

– Co to są Czarne Brygady? – zapytał ten z policjantów, który wcześniej był mniej zainteresowany wyjaśnieniem sprawy, czyli sytuacji, w jakiej się znalazł.

– Czarne Brygady powstały, żeby ten, no... – Terrorysta zamilkł przez chwilę, by zebrać myśli. – Powstały, żeby walczyć o pokój na ziemi i o równość wszystkich ludzi.

– Jak Czerwone Brygady to byli komuniści, to Czarne Brygady to są faszyci – stwierdził dość refleksyjnym tonem facet w czapce.

– Zamknij ryj, chłopie, bo pożałujesz! – krzyknął ten w pończosze. – Zresztą będzie już dość tego gadania i zaraz was wypuścimy, ale muszą być spełnione nasze warunki. W związku z tym, że policja nie ma bejmów, bo jest biedna jak mysz kościelna, dlatego nie weźmiemy od policji pieniędzy za wasze marne głowy. I chcemy, żebyście przekazali swojemu dowódcy, że Czarne Brygady nie zabijają nikogo bez potrzeby. Dlatego dopomagamy się, żeby był pokój, żeby zniesiono karę śmierci w Polsce Ludowej i żeby czas oczekiwania na mieszkanie został skrócony do jednego roku, bo ludzie nie mają się gdzie podziać. Nasze postulaty zostały spisane na kartce i tą kartkę dostaniecie, jak już będziemy was wypuszczać, a wy macie się tu od razu przysięgnąć, że nic złego żeśmy wam nie zrobili i byliście traktowani bardzo dobrze i właściwie komfortowo, bo tego, żeście dostali po ryju, to przecież nie będziemy liczyć i wchodzić w jakieś niepotrzebne szczegóły. To co, zgadzacie się?

– Ja poproszę o jeszcze jedną szklaneczkę, bo mi się jakoś za szybko upiła.

Ku zdziwieniu obu funkcjonariuszy porywacz wyciągnął z kieszeni marynarki butelkę żytniej i ponownie napełnił szklanę.

– No proszę bardzo, synkowie, obsługa jak w hotelu Merkury. Takie rzeczy to tylko w Poznaniu. To co, idziemy?

– Zaraz, zaraz, bo nie wiem, czy panowie policjanci się zgadzają. – Człowiek w masce go powstrzymał.

– No zgadzamy się – oświadczył ten okrągłszy.

– A ty się nie zgadzasz? – zapytał drugiego policjanta coraz bardziej bełkotliwym tonem pijany zakładnik.



– No chyba nie mam wyjścia.

– Masz wyjście – stwierdził kidnaper. – Wyjście jest takie, że zaraz zobaczycie. Zaraz założymy wam worki na łeb, żebyście nie widzieli, gdzie was wieziemy, a jak dowieziemy, to wysiądziecie i pójdziecie se grzecznie. No i pamiętajcie, że żeście na warunki narzekać nie musieli – powiedział i wyszedł z piwnicy, zostawiając otwarte drzwi.

– No i co powiecie? – rzucił pijak. – Jak się dobrze człowiek zakręci, to i z Czarnymi Brygadami se poradzi. Tylko trzeba być twardzielem, a nie miękiszonem.

Nic nie powiedzieli, bo do pomieszczenia weszło trzech zamaskowanych mężczyzn. Ci, jak na Czarne Brygady przystało, mieli naciągnięte na głowy czarne rajstopy. Jeden z nich pochylił się nad policjantem, tym okrągłym, i rozciął mu sznurek krępujący nogi. Zaraz zrobił to samo z drugim funkcjonariuszem. Porwany cywil w tym czasie sam sobie rozwiązał niezbyt mocno skrupowane nogi. Porywacze pomogli wstać porwanym, założyli im na głowy białe poszewki od poduszek, po czym każdy członek brygady ujął pod rękę zakładnika. Osobliwy kondukt ruszył ku drzwiom, a potem schodami na górę. Po chwili policjanci poczuli na twarzach świeży powiew wiatru. Dostrzegli też stojący na dużym placu samochód, po prawej hale warsztatowe, a po lewej zamkniętą bramę wyjazdową, zapewne prowadzącą na ulicę. Ujrzeni to wszystko może niezbyt dokładnie, ale na tyle wyraźnie, by zorientować się w terenie. Wszystko dzięki poszwom od poduszek. Gdyby były czarne albo kolorowe, to być może nie mogliby niczego dojrzeć. Ale przez te białe, w dodatku niezbyt gęsto tkane, bo z cienkiej froty, w świetle dnia było widać wszystko bardzo dobrze. Tak samo jak dobrze widoczny był facet w czerwonej pończosze, który stał obok passata.

– Wsiadacie teraz do naszego auta – usłyszeli znany już sobie głos czerwonołowego. – Odwiozę was w bezpieczne miejsce i ani słówka nie chcę słyszeć po drodze. Bo jak będziecie gadać, to ja niestety od naszego dowództwa Czarnych Brygad dostałem rozkaz, żeby się z wami nie pierdolić, tylko każdego zastrzelić. Ale lepiej, żeby was nie zabijać i żebyście grzecznie dojechali na miejsce dostarczenia. Jeden z was ma włożoną do kieszeni marynarki listę naszych postulatów, bardzo słusznych, do spełnienia, bo jak nie będą spełnione, to co tydzień będziemy porywać jakichś niewinnych ludzi i ich mordować na zimno z krwią. Ale dosyć tego gładzenia, chyba że macie jakieś pytania.

– Ja mam pytanie – odezwał się cywilny zakładnik.

– Co?

– Poproszę o mój uzgodniony okup i jeszcze łyeczka wódeczki, bo się niedobrze zaczynam czuć i mogę się porzygać w aucie, gdyż cierpię na chorobę lokomotywową.

Jeden z oprawców w czarnej masce wcisnął mu w dłoń flaszkę i włożył coś do kieszeni. Porwany natychmiast podniósł skrawek poszwy i pociągnął łyk. W tym czasie policjanci zostali usadowieni na tylnej kanapie. Gdy już ich zapakowano, z przodu usiadł facet z flaszką w dłoni.

Porywacz w czerwonej masce odpalił silnik. Gdy ten zaskoczył, mężczyzna opuścił szybę i wyjrzał na zewnątrz. Jego trzech koledzy stali, jak na brygadę przystało, w równym szeregu, jakby oczekiwali na jakiś rozkaz. No i doczekali się.

– Wracam najpóźniej za dwadzieścia minut. A wy bądźcie gotowi, bo zaraz wyruszamy na akcję, na supertajną akcję wysadzania w powietrze bardzo ważnego budynku w Poznaniu. Ale jaki to budynek, powiem wam dopiero, jak wrócę. No to szykujcie się – powiedział.

Zdjął pończochę i wyrzucił ją na podjazd. Nie mógł przecież pokazać się na drodze z maską na twarzy, bo raz, że kiepsko przez nią było widać, a po drugie mogliby go zatrzymać policjanci z drogówki. A czego jak czego, ale kłopotów z policją Falco wolał dziś unikać jak ognia. Tych, które miał od nocy, wystarczyło mu aż nadto.

## **Godzina 9.30**

– O, mamy szczęście, bo pan jest w domu. – Mazurek ucieszył się na widok gospodarza.

– Zasadniczo to ja właśnie wyjeżdżam – rzucił mężczyzna niezbyt zadowolony z wizyty.

Rzeczywiście wyglądał tak, jakby za chwilę miał gdzieś wyjść. W dłoni trzymał nawet saszetkę na dokumenty i kluczyki. Ale Mazurek pomyślał, że być może usłyszał dzwonek do drzwi, zobaczył go przez okno kuchenne i zainscenizował to wyjście, żeby nie być zmuszonym do pogaduszek z natrętnym policjantem. Nawet z dwoma, bo tym razem Mazurek nie przyszedł

sam. Towarzyszył mu jeszcze Mariusz Blaszkowski, który po obejrzeniu rano kasety postanowił, że warto pogadać z jej właścicielem.

– Czemu żeś wczoraj nic nie powiedział o tej kasecie? – zapytał Mazurka.

– No bo ten, no, nie wiedziałem w sumie... zasadniczo, czy tam jest tak w ogóle co oglądać, i chciałem dać ją dziś do przejrzenia naszym gościom od elektro... wideo... coś tam, ale wczoraj se wieczorem pomyślałem, że może nie ma co im głowy zawracać, jak tam nic takiego może nie być, znaczy gdybym się pomylił. Ale jednak się okazało, że było coś interesujące, to ja...

– Masz magnetowid? – Olkiewicz był szczerze zdumiony. Sam myślał o tym, żeby sprawić sobie taki sprzęt do domu. Kilka lat temu kupił w peweksie kolorowy japoński telewizor, więc teraz jakby do tego jeszcze dołożył japońskie wideo, to mógłby w wolnej chwili usiąść przed tym telewizorem i obejrzeć jakiś film. Tym bardziej że od pewnego czasu na Łazarzu można było wymieniać kasety. Stali tam goście z pudłami pełnymi kaset z filmami. Trzeba było tylko kupić od nich jedną, obejrzeć film, a potem można było wrócić do faceta i wymienić tę swoją kasetę na inną, z innym tytułem, płacąc tylko za wypożyczenie. No ale na razie nie miał żadnych dodatkowych dolarów, które mógłby zainwestować w taki sprzęt, więc nie było o czym gadać. Jednak gdyby przypadkiem wpadła mu jakaś lewa gotówka do ręki, to kto wie... Ale żeby ten Mazurek miał wideo prędzej od niego...

– Sąsiad ma taki odtwarzacz, bez możliwości nagrywania, tylko do odtwarzania kaset. I tak se pomyślałem, że jakby on skończył wcześniej, to mógłby mi dać znać i pożyczyć, oczywiście do celów służbowych. A on, ten Stefański, powiada, że jak do służbowych, to mi nawet przyjdzie, podłączy i pokaże, co i jak. I jak już podłączył, to chciał, żebym włączył tą swoją kasetę, ale mu powiedziałem, że nic z tego, bo ona służbowa. No to poszedł, a ja włączyłem i obejrzałem wszystko od początku do końca.

– Całego pornola? – rzucił z pewną nutą zazdrości w głosie Olkiewicz.

– No wiecie, panowie, trzeba było na wszystko mieć oko. Poza tym jak ja już się tak patrzyłem, to nawet takie zapiski robiłem, kto jest na miejscu, a kto wychodzi, i kogo nie ma, i tak dalej. No i teraz wiem nawet, w którym momencie można patrzeć, znaczy, gdzie co jest. Wszystko wypisałem w zeszycie. – Sierżant wskazał na leżący na biurku szarobury zeszyt ze starannie wykaligrafowanym imieniem i nazwiskiem „Arkadiusz Mazurek klasa VII c”. – To jest mój stary zeszyt. Jak byłem u rodziców w domu, to zabrałem trochę tej

makulatury do wykorzystania, bo wiecie, że z papierem jest nie najlepiej, a na czymś pisać trzeba.

– I dobrze żeś zrobił – pochwalił go Blaszkowski, który pisał już z dziesięć razy do administracji o przydział notesów i długopisów, ale za każdym razem mu oddzwaniali, żeby coś sobie zorganizował we własnym zakresie, bo oni niczego nie mają do wydania. Więc wszyscy kombinowali ze starymi kartkami i zeszytami, czekając na lepsze czasy, które niebawem miały nadejść, ale jakoś nie nadchodziły. – Mam nadzieję, że kiedyś będziemy pracować w takiej firmie, w której nie dość, że będą na biurkach komputery, to jeszcze będzie papier toaletowy w kiblach – rzucił Mariusz, podnosząc się zza biurka.

– Komputery? A po co? – zdziwił się Teofil, który też właśnie się zbierał i sprawdzał w swojej starej, brązowej teczce, co mu żona zapakowała do jedzenia i czy aby czegoś jeszcze nie przekąsić, bo naraz poczuł się nieco głodny. – Ja tam bynajmniej mogę sobie popatrzeć w telewizor, ale komputery to już coś całkiem niepotrzebnego. Po co komputer, jak człowiek nie chce grać w tego tenisa czy coś tam...

– Komputery nie są tylko do grania, ale też do różnych innych rzeczy – wyjaśnił mu Blacha. – Można na nich pisać jak na maszynie.

– A dajcie mi spokój z pisaniem. – Teofil aż otrząsnął się z obrzydzeniem. Pisania na maszynie nienawidził, więc nie miał zamiaru pisać czegokolwiek na jakimś komputerze. Widział takie ustrojstwo na Targach Poznańskich w zeszłym roku i przez chwilę nawet obserwował, jak jacyś młodzi ludzie grali na nim, odbijając piłeczkę, ale po chwili wpatrywania się w latający punkt dostał oczopląsu i poszedł na inne stoisko, gdzie pracowała maszyna do kapslowania piwa. To urządzenie miało przynajmniej jakiś sens. Butelki jechały w kółko, a kapsłownica sama nakładała im kapsle i je zamykała. Robiła to bardzo solidnie, bo musiał się po tym niezłe natrudzić, żeby zdjąć ten kapsel za pomocą zapalniczki, bo scyzoryka akurat ze sobą nie zabrał. – Dobry gliniarz niczego zapisywać nie musi. Najważniejsze, żeby mieć wszystko w głowie – powiedział i postukał się palcem w czoło.

Ale Blaszkowski i Mazurek już tego nie widzieli. Poszli przejrzeć kasetę do pokoju techników. Pół godziny później Mariusz zdecydował, że muszą pojechać do właściciela nagrania, żeby z nim porozmawiać. Okazało się bowiem, że impreza wyglądała tak, jakby nagrywano ją z ukrycia. Kamera była umieszczona w kącie pokoju, pewnie pod sufitem, i to ona omiatała całą scenę, na której występowali uczestnicy orgii. To, na co od razu zwrócił uwagę

Mazurek, to skład gości. Same młode, bardzo ładne dziewczyny i starsi panowie z brzuskami.

– To wygląda jak burdel dla specjalnych gości – zauważył Mazurek. Faceci płacą za dupczenie, orgię i jak to się tam nazywa, i nie wiedzą, że są nagrywani. A potem takiego delikwenta wystarczy tylko namierzyć...

– Możesz mieć rację. Ale jak ktoś prowadzi taki interes, to znaczy, że wie wszystko o wszystkich w okolicy – stwierdził Mariusz. – Warto chyba pogadać z tym facetem. – Musieli sprawdzić swoje podejrzenia u źródła.

– To mamy dużo szczęścia, że żeśmy pana jeszcze zastali w domu – rzucił radosnym tonem Blaszkowski, ładując się do mieszkania. Mazurek pokiwał tylko głową, jakby chciał powiedzieć swojemu dobremu znajomemu: „No widzisz, stary, co ja z nim mam? Pcha się na chama, a ja muszę za nim chodzić”.

Mariusz ruszył od razu na górę, nie dając gospodarzowi zebrać myśli. Wiedział od sierżanta, że salon jest na pierwszym piętrze, ponad przyziemiem. Wszedł do obszernego pomieszczenia i od razu skierował się do okna. Spojrzał przez nie uważnie, szukając czegoś podejrzanego, ale prócz wybitego, a teraz zabitego płytą paździerzową okna z kuchni Grubińskiego niczego nie zauważył...

– Panowie, ja naprawdę nie mam czasu. Jestem umówiony w mieście, a wy mnie nachodzicie, jakbym był jakimś przestępcą.

– Ależ skąd, my wcale pana o nic nie podejrzewamy. – Mariusz z uśmiechem odwrócił się do gospodarza.

Ten dopiero teraz mógł mu się uważnie przyjrzeć. Policjant ubrany w dzinsy i dzinsową kurtkę, narzuconą na czarną koszulkę z obrazkiem przedstawiającym kolorową dłoń z palcami złożonymi w literę V, sprawiał wrażenie studenta, a nie funkcjonariusza. Zresztą ten drugi, który wszedł właśnie do salonu, też nie prezentował się lepiej. Miał na sobie dzinsy i zamszowe buty, a do tego jeszcze kraciastą koszulkę z myśliwskiego sklepu. Wyglądał jak tania podróbka kowboja, któremu zginął kapelusz.

– To dlaczego mnie nachodzicie?

– Jak pan zauważył, u pańskiego sąsiada doszło do tragedii – zaczął wyjaśniać spokojnym głosem Mariusz. – Jego samochód wyleciał w powietrze, a w środku, jak pan pewnie wie, zginęła kobieta.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Na razie jeszcze tego nie wiemy, ale się dowiemy – rzucił Mazurek, który zmienił nieco nastawienie do gospodarza po tym, jak obejrzał film. Wcześniej mu imponował, ale gdy przyjrzał się dokładnie wszystkim scenom, doszedł do wniosku, że ten facet to jest jakiś oszust, bo tylko udaje, że te wszystkie panienki uczestniczące w grupowym seansie są jego zdobyczą. Owszem, próbował chyba z każdą z pięciu kobiet coś zrobić, ale z żadną mu nie wyszło. Więc Mazurek stracił do niego cierpliwość, bo niby był taki z niego demon seksu, a się okazało, że demon zniknął i został tylko seks do oglądania, ale w wykonaniu innych.

– Jak się dowiecie? Jak ja tu nic nie zrobiłem, bo i co niby miałbym zrobić? To jakaś paranoja.

– Niech się pan uspokoi. – Mariusz był nadal nieprawdopodobnie miły. – Przede wszystkim niech mi pan powie, jak pan się nazywa i czym się pan zajmuje.

– Robert Kocięba, jestem pisarzem marynistą.

– O, to bardzo ciekawe. – Blacha się uśmiechnął. – To znaczy, że uprawia pan wolny zawód.

– Tak jest w istocie. – Kocięba potarł dwoma palcami skroń, a zaraz potem spojrział wymownie na zegarek.

– To w takim razie, jako że jest pan człowiekiem biegle posługującym się piórem, nie sprawi panu kłopotu, jeśli poproszę, żeby pan spisał imiona i nazwiska wszystkich uczestników spotkania, które miał pan okazję nagrać.

– Jak to wszystkich? – zdziwił się Kocięba.

– No tak, wszystkich. Musimy z nimi porozmawiać.

– Ale to nie będzie możliwe. Bo ja ich wszystkich nie znam.

– Ja to pan nie zna? Zaprasza pan do domu nieznanym ludzi?

– No wie pan, to znajomi znajomych.

– To proszę zapisać nazwiska znajomych i ich znajomych. Tak żebyśmy za dużo nie musieli szukać.

– Ale ja...

– A ja w tym czasie, jeśli pan pozwoli, chciałbym zobaczyć, jaki jest widok z drugiego okna.

– Jakiego okna?

– No tego tu za ścianą. Drugie okno też chyba wychodzi na sąsiednią posesję...

– Zaraz, zaraz, a ma pan nakaz przeszukania?

– Jakiego przeszukania, człowieku? – odezwał się niezbyt przyjaznym tonem Mazurek. – Jak chcesz z nami po urzędowemu, to zaraz dostaniemy nakaz. Co, panie poruczniku, bierzemy go na komendę i załatwiamy nakaz. Posiedzi cztery osiem, to zacznie współpracować.

– Ależ, panowie, tak nie można. Ustaliliśmy przecież, że jestem tylko świadkiem i o nic nie jestem podejrzany.

– Tak ci się, gościu, tylko wydaje. – Mazurek na dobre przejął inicjatywę. Zauważył, że trzeba mężczyznę zmiękczyć, więc zastosował znaną taktykę. Musiał go przestraszyć. – Każdy jest podejrzany, dopóki nie złapiemy mordercy. I w związku z tym możemy każdego przymknąć. A szczególnie tego, co nie chce z nami współpracować. A jak ktoś nie współpracuje, to znaczy się, że może mieć coś do ukrycia.

– Ja nic nie mam do ukrycia! – krzyknął Kocięba. – Niech sobie pan pójdzie do sypialni. Proszę bardzo, niech sobie pan tam pogrzebie w brudnych gaciach. – Spojrzał z wyrzutem na Blaszkowskiego, który który uśmiechnął się półgębkiem i ruszył przed siebie.

Drzwi do sypialni były uchylone. Pchnął je i wszedł do środka. Nigdzie nie było brudnych gaci. Można właściwie powiedzieć, że panował tu idealny porządek. Wrażenie to potęgowało połączenie czerni i bieli. Czarne podwójne łóżko, czarna szafa i komoda ze zdjęciami w białych ramkach, do tego jeszcze dwa czarne fotele, a wszystko na białym tle ścian, białych zasłon i białych puszystych dywaników.

Mariusz starał się nie nadepnąć na tę śnieżnopuszystą biel, ale nie do końca mu się udało. Musiał wejść na ten największy dywan między łóżkiem a ścianą, żeby dostać się do okna. Podszedł do niego, odsunął białą firankę i spojrzał na dom naprzeciwko.

Jeślibym chciał zastrzelić kogoś w tamtej kuchni naprzeciwko, to to miejsce byłoby doskonałe, pomyślał, mierząc do zabitego dechami okna z wyciągniętej w przód dłoni. A potem popatrzył, w zasadzie odruchowo, w prawo, tam gdzie stała komoda z czterema szufladami. Zrobił w jej kierunku dwa kroki, przykucnął i spojrzał pod spód. Przestrzeni było mało, ale i tak dostrzegł coś

błyszczącego. Żeby po to sięgnąć, musiał wyciągnąć szufladę. Wewnątrz były starannie poukładane męskie białe majtki.

– No i miał rację, że będę mu grzebał w gaciach, tyle że w czystych – powiedział sam do siebie, a potem wepchnął szufladę z powrotem. W zasadzie to nie miał tu już nic do roboty. Reszta należała do techników. A Kocięba miał pecha. Tak jak mu to zapowiedział Mazurek, jednak będzie musiał wpaść na komendę, i to wcale nie na chwilę, ale przynajmniej na czterdzieści osiem godzin.

## **Godzina 10.05**

– Więc mówicie, obywatelu, że to byli terroryści? – zapytał oficer w stopniu kapitana.

– Jak najbardziej – odparł obywatel, który zapachem wódki Wyborowej wypełnił pokój przesłuchań tak skutecznie, że przesłuchujący go funkcjonariusze mogli poczuć się jak pijani. Nie pomogło nawet otwarcie drzwi i okna na oścież. Alkoholowy smród wylewał się z ust byłego porwanego, ale nie mogli pozwolić sobie na przerwanie przesłuchania, bo sprawa była pilna, a porywacze na wolności.

– A co możecie o nich powiedzieć?

– Że byli bardzo grzeczni i w ogóle to bardzo kulturalni ludzie – stwierdził Ulung, któremu coraz bardziej podobała się jego nowa rola i sposób, w jaki traktują go policjanci. Bywał już na komisariatach, w pokojach przesłuchań, ale zawsze jako podejrzany. Dlatego te rozmowy nigdy nie były miłe. Zazwyczaj na samym początku dostawał po gębie, jak to mówili policjanci, dla przełamania pierwszych lodów i rozwiązania języka. Tym razem jednak nikt go nie bił, a ci dwaj wydawali się całkiem sympatyczni i sprawiali wrażenie, jakby rzeczywiście chcieli się od niego czegoś dowiedzieć. No i on wpisywał się w te oczekiwania, opowiadając dużo i ze szczegółami, tak żeby ta miła atmosfera trwała jak najdłużej. Bo też przede wszystkim zależało mu na czasie. Im dłużej gadał te głupoty, tym dłużej policja była na fałszywym tropie. Taką właśnie rolę wyznaczył mu nowy szef ich grupy, Falconetti.

– Słuchajcie, głupio wyszło z tymi szkiełkami – mówił do swoich ludzi, początkujących złodziei samochodów. – Mamy tych szkiełków zamkniętych, ale musimy coś z nimi zrobić, nie?



Siedzieli na skórzanej, starej kanapie i równie wysłużonych fotelach w biurze zakładu mechanicznego, skąd przez duże okno widać było całą halę naprawczą i jedyny samochód, który tam stał. Tym właśnie passatem dowieźli tu uprowadzonych przez siebie policjantów i nim mieli jeszcze dziś ruszyć w drogę do Niemiec. Dlatego trzeba było przeprowadzić akcję dezinformacyjną.

– Może trzeba by ich utopić? – zaproponował Pyśka. – Jakby ich wrzucić do Warty z kamieniem u szyi...

– Kamień jest niepotrzebny. Wystarczy tylko ich razem związać pasami i chlup. – Ulung wykazał się inicjatywą godną racjonalizatora.

– A po co tyle zachodu? – Jak zawsze praktyczny Wafel wzruszył ramionami. – Wystarczy ich gołymi rękami zadusić. O tak... – Wyciągnął ręce do przodu, chwycił Pyśkę za szyję i potrząsnął nim, udając duszenie.

– No weź się. – Pyśka odepchnął dusiciela, a ten zaczął się śmiać, jakby to, co zrobił, było zabawne. Ale nikomu innemu nie było do śmiechu.

– Naprawdę chcecie ich pozabijać? – zdziwił się Trąba. Znał swoich kumpli od lat, bo wszyscy wychowali się razem na Łazarzu i tam zajmowali się swoimi lewymi interesami i oszukańczymi rozgrywkami, ale nigdy dotąd nikt z nich nie musiał podejmować decyzji dotyczących życia innych. Owszem, zdarzało się, że podczas jakichś awantur ktoś dostawał po ryju, a niekiedy nawet potrzebna była interwencja lekarska, ale zabijanie? Z tej strony ich nie znał. – Czy wy, kurwa, słyszycie, co mówicie? Zabić tych młodych chłopaków? – wyrzucił z siebie, patrząc po kolei na swoich ludzi. – Utopilibyście ich jak ślepe kociambry? A co byście potem powiedzieli ich matkom? A może któraś z nich mieszka na Łazarzu albo na Jeźycach? I co, do końca życia będziecie uciekać na drugą stronę ulicy, jak będzie przechodzić matka chłopaka, którego żeście utopili? Nie ma co, niezłe z was skurwysyny.

– No co ty, Trąba, my ino tak – zreflektował się Ulung. – Ja nawet bym kota nie utopił, a co dopiero człowieka.

– Na żartach się nie znasz, he, he! – zawtórował mu Pyśka. Tylko Wafel nic nie powiedział, bo nie bardzo wiedział, co miałby powiedzieć, skoro już powiedział wszystko wcześniej.

– No i właśnie w tym jest problem – odezwał się w końcu Falco, lustrując uważnie swoim jedynym okiem twarze potencjalnych zabójców. – Nie jesteśmy jakieś męty, żeby ludzi zabijać. Dlatego musimy z tego się wykręcić. Na

szczęście te szkieły nie bardzo wiedzą, kto im dał po ryju, bo było ciemno, a teraz siedzą w ciemnicy i też nic nie widzą. Trzeba ich wypuścić i zmylić pogoń, żeby nikt nie myślał, że to my. A my w tym czasie pojedziemy se do Berlina, tak jak żeśmy planowali, po nasze fury. A ich wypuścimy. Tyle że trzeba to zrobić tak, żeby oni nie wiedzieli, kto ich trzymał. Znaczą, żeby wiedzieli kto, ale żeby myśleli, że kto inny.

– Czyli że jak? – zapytał Trąba, który podobnie jak jego koledzy zrozumiał, że muszą uwolnić policjantów, ale nie rozumiał, na czym polega genialność planu Falconettego.

– Oni powinni myśleć, że porwali ich terroryści. I w tym pomoże nam kolega Ulung.

– Ja? – zdziwił się Ulung, któremu rzadko powierzano samodzielne zadania, bo w kombinowaniu był raczej kiepski.

– A tak. Bo przecież nie pojedziesz z nami do Berlina, skoro jeszcze nie masz paszportu. Reszta ma, bo żeście już jeździli do Niemiec na zakupy. A Ulung nie może przekroczyć granicy. Więc wykorzystamy go do dezinformacji przeciwnika.

– Do czego? – Ulung trochę zaniepokoił się swoją rolą, której jeszcze nie rozumiał.

– Wsadzimy cię z nimi do piwnicy i z nimi razem cię wypuścimy. A ty będziesz opowiadał różne głupoty, żeby namieszać im jak najwięcej we łbach. A potem jak cię będą przesłuchiwać szkieły, będziesz robił dokładnie to samo. Masz ściemniać tyle, ile się da, żeby oni nic nie zrozumieli, a my w tym czasie pojedziemy do Berlina i nikt nas nie będzie szukał. Więc pamiętaj, Ulung, twoja rola jest kluczowa i od niej zależy, czy wszystko nam się uda.

Ulung lubił kluczowe role, choć wcześniej nigdy takich nie odgrywał. No ale jak już nadarzyła się okazja, postanowił dać z siebie wszystko. Dlatego gdy kapitan policji zapytał go o wygląd porywaczy, mógł stwierdzić z całą stanowczością, że wie bardzo dużo, ale na temat wyglądu niestety niewiele.

– Wyglądali strasznie, jak terroryści – stwierdził Ulung.

– Czyli jak? – dopytywał policjant.

– Mieli na głowach pończochy.

– Jakie pończochy?

– Jak jakie? No wiadomo, że kobiece. Bo faceci to noszą skarpetki. A skarpetki to się raczej na gębę nie da naciągnąć.

– I co mówili?

– Mówili, że wszystkich zabiją. A właściwie, że zabiją w szczególności tych młodych szczonów, znaczy się szkiełów, co ze mną ich złapali. I że jada dzisiaj wysadzać w powietrze coś, ale co, to ja nie wiem. Chyba jakąś szkołę albo dworzec PKP, albo most...

– Nie mówili dokładnie, co mają wysadzać?

– Nie mówili. Ale wysadzą wszystko w powietrze i będzie dopiero bajzel. A może tą raketę na Targach Poznańskich. Tak, chyba raketę...

– A jak to się stało, że pana złapali?

To było pytanie, na które Ulung czekał, bo odpowiedź na nie opracował z Falco w najdrobniejszych szczegółach.

– No to jak wysiadłem z tramwaju, bo ja jechałem tramwajem na Ogrody, żeby się spotkać z jednym koleśkiem, co na Szamarzewskiego mieszka, no to zaraz chciałem iść na tego Szamarzewskiego, ale tak stałem obok tramwaju i patrzę, a tu jakieś gnoje napadły na szkiełów. No to ja se myślę, że nie może być tak, żeby szkiełów bili na ulicy. I poleciałem z pomocą, znaczy na ratunek. No i wskoczyłem między tych, co bili, i zacząłem ich bić. Ale było ich za dużo i mnie niestety pokonali w walce. Bo oni mieli broń w postaci pałek, a ja ino gołe pięści. Ale i tak jednego z nich rozłożyłem, a potem przywalili mi w ryj i już było po mnie, a jak się ocknąłem, to siedziałem w jakimś pokoju powiązany i oni mnie, tak samo jak panowie tutaj przesłuchują, też przesłuchiwali i mówili, że oni są z Czarnych Brygad i że musiałem słyszeć, że Czarne Brygady to terroryści. To ja im na to, że słyszałem, że są Czerwone Brygady. A oni na to, że Czerwone były, jak był komunizm i rządili komuniści, a teraz jest inaczej i rządzi Kościół, to oni są Czarne Brygady. I że mam nic nikomu nie mówić, to mnie wypuszczają, bo oni mnie przypadkowo wzięli na zakładnika, bo im chodziło o szkiełów. I na przeprosiny dali mi wódeczki, ale ciepła była niestety, i odprowadzili mnie do piwnicy, gdzie siedzieli ci dwaj młodzi, i potem to już nas wywieźli na Gołęczin, co to panowie wiecie, że posadzili nas związanych na ławce i uciekli. A nas dobrzy ludzie rozwiązali. No i jak chciałem se już iść do chaty, ale ci młodzi, co ze mną ich wzięli na zakładników, kazali zostać, żebym był na potwierdzenie, że ich terroryści porwali. No to potwierdzam. I jeszcze dodatkowo potwierdzam numer rejestracyjny ich samochodu, co się nazywał opel i miał rejestrację PN 54–64,

bo zapamiętałem na wszelki wypadek, i też zapamiętałem, że kolor to on miał bordowy. I tyle, co pamiętam, i jeszcze chce mi się tak pić, że nic już nie powiem, bo mi w gębie całkowicie wyszło. – Policjant szybko zapisał numer. – Jeszcze raz powtórzyć? – zapytał Ulung.

– Nie, nie trzeba. Już zapisałem. Ma pan dobrą pamięć – pochwalił go kapitan.

– A pan oficer to taką kiepską bardziej. Bo jak się pytam, czy powtórzyć, to nie o numery rejestracji się pytam, ino o to, co powiadałem względem zaschnięcia gęby. Pić mi się chce i jak nie dostanę czegoś do picia, to dalsze nasze pogaduchy uważam za bezcelowe.

Kapitan uśmiechnął się pod nosem. Niezły gość z tego porwanego człowieka. I jeszcze jaki odważny! Lubił takich wygadanych facetów, na których od czasu do czasu udawało mu się trafiać podczas przesłuchań. Dlatego w swoim notesie zapisał całą wypowiedź świadka i porwanego, ale wcale nie do celów służbowych. Kapitan Marjański zapisywał co ciekawsze cytaty po to, żeby wykorzystać je w swojej nowej książce, która będzie opowiadać o współczesnym śledztwie i problemach policji, na jakie trafiają funkcjonariusze każdego dnia swojej pracy. Akurat ten wątek o Czarnych Brygadach wydał mu się szczególnie obiecujący, bo te rewelacje porwanych policjantów, których przesłuchiwał wcześniej, potwierdzone przez tego tu obwiesia, mogły świadczyć o tym, że w Polsce zmienia się model przestępczości i zaczynają pojawiać się problemy, z którymi kiedyś milicja nie miała tu do czynienia. Terroryzm przecież dotyczył krajów zgniłego Zachodu. A teraz, kiedy ten Zachód przestał już być zgniły, to zgnilizna najprawdopodobniej zaczęła się przerzucać do nas. I mamy zamiast naszych zwyczajnych i codziennych pijanych przestępców, którzy zabijali się wzajemnie za pomocą noża czy pustej flaszki, przestępców zorganizowanych, z którymi walka będzie zdecydowanie trudniejsza.

Kapitan Marjański początkowo niechętny wezwaniu z komendy miejskiej teraz cieszył się, że Marcinkowski przydzielił go do tej sprawy. Rano Fred kazał mu się stawić u siebie w gabinecie i przekazał polecenie:

– W komendzie miejskiej jest jakiś problem. W nocy porwano dwóch policjantów i jednego cywila. Ci funkcjonariusze mówią, że to porwanie zaplanowane zostało przez jakichś terrorystów. To pewnie kompletne bzdury, bo niby skąd u nas terroryści. Raczej myślę sobie, że ci dwaj się gdzieś uchlali i bali się wrócić na służbę pod wpływem, więc wszystko sobie wymyślili.

Dlatego przyjrzyj się tej sprawie i podejmij decyzję, czy zajmujemy się tym, czy to kosmiczna bzdura. Bo jeśli to rzeczywiście jakaś terrorystyczna organizacja, to wdrażamy śledztwo...

– Tak jest, dziękuję za wyróżnienie.

– Nie ma za co. Nikt nie ma dziś czasu na takie bzdury, bo mamy tu wybuch samochodu. To jest prawdziwy terroryzm.

– Mimo to dziękuję, obywatelu majorze.

– Panie majorze – poprawił go Marcinkowski, który nie przepadał za tymi milicyjnymi zwrotami. Wolał zdecydowanie tradycyjny, jeszcze przedwojenny sposób zwracania się do siebie w policji.

Marjański uśmiechnął się na myśl o Marcinkowskim. Nie wierzył w terrorystów, a tu proszę, przyniesie raport nie tylko potwierdzający działanie na terenie Poznania terrorystów, ale do tego jeszcze rzuci mu na biurko pierwsze opracowanie dotyczące organizacji Czarne Brygady, wywodzącej się bezpośrednio od Czerwonych Brygad, a kto wie, czy niepowiązanej z frakcją Czerwonej Armii i słynnych terrorystów, Andreeasa Baadera i Ulrike Meinhoff. To dopiero będzie sensacja na skalę europejską, gdy uda mi się unieszkodliwić taką organizację. A jak już to zrobi, opíše to wszystko w książce.

– No przynieście mi, sierżancie, coś do picia, bo się nam biedak udusi – nakazał Marjański, zadowolony z przebiegu przesłuchania.

– A co ma być, woda czy...? – zapytał sierżant protokolant.

– A czy ja zwierzę jestem, żeby pić wodę? – obruszył się były zakładnik, który bronił się przed męczeńską śmiercią z pragnienia. Marjański wziął zeszyt i długopis, po czym zapisał tę jakże udaną myśl.

– A dajcie mi, co tam chce – rzucił po chwili do sierżanta, a ten skinął głową. W bufecie można było kupić oranżadę mieszaną pół na pół z wódką. Może kupić, ale zapisze to na zeszyt na konto kapitana, bo za wódkę dla przesłuchiwanego ani myślał wykładać z własnej kieszeni.

## **Opalenica** **Godzina 10.15**

– Musicie go szukać.

– Spokojnie, obywatelko. Proszę się uspokoić.

– Jak spokojnie, jak ja jestem niespokojna!

– Usiądźcie sobie, obywatelko, i ja zaraz zawołam kogoś, kto przyjmie od was zawiadomienie, i wtedy...

– Jak przyjmie? To wy nie możecie, znaczy się pan nie może przyjąć prostego zawiadomienia?

– Ja mogę, ale lepiej, jak przyjmie podoficer, bo ja w zasadzie nie mogę, bo jestem na warcie.

– Aha, a gdzie jest podoficer? – Marzena Wiśniakowa obrzuciła szeregowego policjanta uważnym spojrzeniem wnikliwej obserwatorki, która na dodatek była mocno zdenerwowana. Ale czy mogła nie być, skoro rano okazało się, że jej syn zniknął. A dokładniej nie wrócił po nocnej dyskotecie do domu. Gdyby był zwykłym uczestnikiem zabawy, gdyby poszedł tam potańczyć, to jeszcze mogłaby zrozumieć. W końcu był młody, a młodość musi się wyszaleć. Więc gdyby po dyskotecie znalazł jakąś panienkę i poszedł do niej na noc... Nie żeby Wiśniakowa popierała chodzenie na noc do dziewczyn, a tym bardziej wpuszczanie przez dziewczyny chłopaków do swoich łóżek. No ale gdyby któraś wpuściła Adama, no to trudno. Jakby była w nim zakochana, to mogłaby to zrozumieć, bo wiele by wybaczyła, żeby jej Adaś wreszcie znalazł jakąś pannę dobrze wychowaną, miłą i ładną, a do tego taką, coby w kuchni umiała ugotować. Więc nawet to łóżko pierwszej nocy by wybaczyła, gdyby tylko taka noc przybliżała ją choć trochę do upragnionego ślubu, wesela i chrzcina.

– No ale on nie był przecież na dyskotecie się bawić – powiedziała sama do siebie, siedząc na korytarzyku przed biurem przepustek, które nadal było puste. Ten młody, pryszczaty policjant wytłumaczył jej, że podoficer zaraz przyjdzie i że ona ma czekać, bo obywatel chorąży poszedł za swoimi sprawami. Tylko dlaczego on chodzi do kibla, jak ja mam tak ważną i niecierpiącą zwłoki sprawę? – chciała powiedzieć głośno i z wyrzutem, żeby zrozumieli jej obawy i troski, tyle że nie miał kto zrozumieć, bo nikogo nie było, a jedyny policjant w pobliżu uśmiechał się do niej z plakatu powieszzonego na ścianie na wprost. Obok niego stała niezwykle urodziwa policjantka patrząca z uwielbieniem na swojego przystojnego kolegę. Napis na plakacie zachęcał: „Wstąp do policji. Czekaamy na ciebie!”.

Ale ładni policjanci czekali tylko na plakatach. Ten, który wchodził właśnie do pomieszczenia za szybą, wcale nie był ładny. Nawet nie można było

powiedzieć o nim, że jest przyjemny z wyglądu. Był ponury, a minę miał taką, jakby już z daleka chciał dać do zrozumienia wszelkim petentom, żeby się trzymali od niego z daleka. Ale niesympatyczna gęba policjanta nie była w stanie zniechęcić matki szukającej utraconego syna.

– Panie, ja chciałam zgłosić, że mój synek zaginął.

Chorąży sztabowy Bogusław Smolarek obrzucił ją badawczym spojrzeniem, ale nie na tyle przenikliwym, by przeszło i spaliło jak laser z *Gwiezdnych wojen*. Niestety nie umiał zabijać wzrokiem, choć taka umiejętność powinna być trenowana w policji. Ileż to nieszczęść można by uniknąć, gdyby policjant tylko spojrzął na jakiegoś oprycha, a ten padałby od razu ścięty wzrokiem, wijąc się w konwulsjach. Nic z tego. Tacy ludzie jak on musieli niestety w bardziej przyziemny sposób radzić sobie z przestępcami i natrętnymi petentami.

Dziś Smolarek marzył o tym, żeby nikt nie próbował mu przeszkadzać i prawie mu się to udało. Rano, gdy tylko zaczął dyżur, zawołał młodego wartownika i powiedział, że idzie się położyć do pokoju socjalnego na kanapę, a on niech zniechęca wszystkich, którzy będą czegoś chcieli, i niech mówi im, że sprawy się nie da załatwić albo żeby przyszli później. No chyba że byłoby coś naprawdę ważnego, z czym by sobie nie poradził, to w ostateczności niech go wtedy woła. Na szczęście rzadko zdarzały się takie sprawy z tych trudniejszych, więc chorąży liczył na to, że przynajmniej do południa będzie mógł jeszcze odespać i odpocząć po wczorajszej degustacji bimbrowy w warsztacie samochodowym Cegłowskiego. Dziś rano ledwie zwłóknął się z łóżka – nie było mowy o jakimkolwiek śniadaniu, bo na myśl o jedzeniu robiło mu się niedobrze – umył się, odział i ruszył na komendę. Na szczęście miał niedaleko. Gdy tylko dowlóknął się do socjalnego, wyciągnął z torby butelkę piwa, otworzył ją i pociągnął spory łyk. Od razu poczuł się lepiej.

Smolarek nie był wcale alkoholikiem, nie był nawet jakiś zapamiętałym pijaczną. On zwyczajnie, od czasu do czasu, lubił wypić, a gdy zaczął, tracił umiar i pił, ile się tylko dało. Tak było wczoraj, kiedy z kolegą mechanikiem obalili po dwie butelki na głowę. To było stanowczo za dużo, dlatego dziś trzeba było odchorować. Na szczęście wiedział, jak się walczy z kacem. Najważniejsze w tej walce było zimne piwo. Przyniósł do pracy trzy butelki, bo tyle wystarczało podczas opracowanej przez lata praktyki terapii. Polegała ona na tym, by trzeźwiejący i walczący z alkoholowym zatruciem organizm nie rozregulował się całkowicie. Dlatego w miarę czyszczenia przez wątrobę

krwiobiegu z resztek wczorajszej wódki, trzeba było przyjmować niewielkie dawki alkoholu w ciągu kilku decydujących godzin. Pierwszą dawkę należało wypić jak najwcześniej rano. No to wypił małe piwo Noteckie, bo ono najlepiej się nadawało do kuracji. Było go we flaszcze nie za dużo i nie za mało, lecz akurat. Dwa pozostałe wsadził do lodówki na później. Kolejne miał wypić koło jedenastej, a następne przed drugą. W ten sposób do obiadu powinien już być w miarę w formie. Ale na razie był po pierwszym piwie i przerwanej drzemce. Nic więc dziwnego, że nie miał najlepszego humoru, kiedy dowiedział się o jakimś babsku, co zgubiło dziecko.

Otworzył służbowy notes i zaczął protokołować.

– Imię i nazwisko – mruknął, nawet nie patrząc na kobietę.

– Marzena Wiśniakowa.

– Zamieszkała?

– Opalenica, ulica Poznańska...

– Gdzie się zgubił pani synek?

– Nie wiem gdzie.

– Jak to „nie wiem”? – Tym razem podniósł przekrwione oczy, lustrując zgłaszającą, ale było to zbyt trudne, więc powieki mu zaraz opadły, a ciężka głowa pochyliła się mechanicznie.

– Jak matka nie wie, gdzie zgubiła dziecko?

– No bo ja z nim nie byłam, jak on się zgubił.

– To z kim był?

– Nie wiem właśnie.

– Coś pani tu kręci, pani Wiśniakowa. Kiedy pani się ostatni raz widziała z dzieckiem?

– Wczoraj o siedemnastej zjadł odgrzewany obiad, a potem zaraz poleciał...

– Na podwórko? – domyślił się chorąży.

– No nie. Poleciał do miasta.

– Jak do miasta? Puściła pani dziecko samo do miasta?

– Nie, same nie, bo samochodem pojechał. Volkswagemem, ale nie takim garbusiem, tylko takim z prostym dachem. Z Niemiec se przywiózł, znaczy z Berlina Zachodniego. Był w robocie dwa miesiące i po tych dwóch



miesiącach już se samochód przywiózł. A jaki piękny, niebieski volkswagen, ale nie garbaty, prosty...

– Golf – odpowiedział jej chorąży i zaraz dotarło do niego, co mówi ta kobieta. – Dziecko przywiozło sobie golfa? Co mi tu pani za głupoty wygaduje?

– Żadnych głupot. Prawdę powiadam. Przywiózł, i wszystko legalnie, bo cło opłacił, podatek i co tam jeszcze trzeba było, i samochód zarejestrował. Wszystko sam zrobił. A teraz syn zaginął bez wieści. – Powiedziawszy to, otarła zaraz wierzchem dłoni łzę, która zakręciła się jej pod okiem.

– A, znaczy się mąż przywiózł auto? – Smolarek ucieszył się, że wreszcie pojął, o co chodzi kobiecie.

– Ady tam! Mój stary nigdy nie umiał jeździć samochodem. A nawet jakby umiał, toby auta nie kupił, bo wszystko, co zarobił, zaraz przechłał. Adaś przywiózł, znaczy synek. To po mnie taki zaradny. I prawo jazdy nawet zrobił. I jeździ tak ładnie, że aż miło patrzeć. A mnie to do kościoła w niedzielę z fasonem podwozi. Choć sam nie chodzi. Powiada, że nie ma czasu na kościół. Kto to widział, żeby na kościół...

– Pani, do cholery jasnej. To jakie dziecko zginęło?

– No jak jakie? Przecie gadam, że mój Adaś. Wczoraj wsiadł do auta i pojechał robić dyskotekę. Bo on jest tym, no takim, co z megafonów puszcza muzykę do tańczenia.

– Disc jockeyem – odpowiedział jej chorąży i znów złapał się na tym, że wyłączył się w trakcie tego gadania. Chyba już nadszedł czas, żeby napić się piwa, bo organizm zaczynał się domagać kolejnej dawki. A na szczęście ta baba nie miała żadnej poważnej sprawy, bo jeśli nie zginęło dziecko, ale jakiś dorosły chłop, to można ją było spławić w cholerę... Sięgnął po papierosa i zapalił, udając, że się nad czymś zastanawia.

– No i jak rano wróciłam z zakupów, bo byłam w domu handlowym... A jak już się wróciłam z zakupami, to poszłam go obudzić, znaczy się Adasia, bom se myślała, że śpi w domu po nocce w robocie. I poszłam do niego, a tam łóżko zaścielone. I wtenczas przyszedł ten Lewandowski z tego ośrodka sportu, co tam jest za stróża, i on powiada, żebym przysłała Adasia, żeby zabrał resztę swoich klunkrów, bo oni tam robią porządek na sali. No to ja jemu powiadam, że on się nie wrócił do domu, a on na to, że to niemożliwe, bo sam mu jeszcze w nocy pomagał przy pakowaniu. Ale wszystkiego ponoć nie dał rady zabrać na jeden raz. Tyle ma tych klunkrów do grania... Musicie jego szukać!

– Obywatelko – wszedł jej w słowo policjant – co my musimy, to my wiemy. A wiemy przede wszystkim to, że zgłoszenie o zaginięciu osoby pełnoletniej przyjmujemy dopiero w dwadzieścia cztery godziny od zaginięcia. A tu jeszcze nie ma chyba tyle czasu, czy mi się tak zdaje?

– No ale jak to? Przecież jak ktoś jest wcześniej zaginięty niż w dwadzieścia cztery godziny, to chyba można...

– Nic nie można, obywatelko. Przepisy są przepisami. Idźcie więc do domu, odetchnijcie trochę, a potem poczekajcie, jak wróci. A jak nie wróci, to wtedy przyjdźcie tu...

– No przecież przyszłam!

– Zgłoszenie przyjmujemy w dwadzieścia cztery godziny od...

– Panie, co mi pan tu pierdoły opowiada? Jak mój synek zaginał, to go szukajcie. Niebieskiego volkswagena szukajcie. Niech pan gdzie zadzwoni. Może do szpitala? Może mu się co stało zwyczajnie, zasłabł albo co. Może jaki wypadek był w nocy, a on w szpitaliku teraz umiera. No dalej, zrób pan coś, do cholery, bo jak nie...

– Wy mi tu, obywatelko, nie groźcie. Co wy se myślicie, że ja wam nie chcę pomóc? Ale przepisy to przepisy i nic na to się nie poradzi. Ale mogę coś dla was zrobić. Mogę sprawdzić, czy w nocy nie było żadnego wypadku. O, widzicie, tu jest księga raportowa, co ją dyżurny zapisuje, i właśnie widzę wpisy z nocy. – Zaczął przesuwać palcem po otwartej szeroko stronie, a Wiśniakowa przysunęła się najbliżej, jak się dało, do szyby oddzielającej interesantów od władzy, ale nie była w stanie niczego dostrzec. – No i widzi pani, tu nic nie ma. Żadnego wypadku nie było. Bo jakby był, toby był zapis. U nas się wszystko zapisuje. I w takim razie niech się pani nie martwi, bo nic mu się nie stało. Pewnie pojechał gdzie do jakiej panny, przewraca się teraz w ciepłym łóżeczku na drugi bok, a pani się denerwuje. Niech pani idzie do domu i se odsapnie z tych nerwów, a jakby co, to proszę do nas przyjść. Choć z doświadczenia powiem pani, że nie będzie takiej potrzeby.

Udało mu się ją w końcu spławić. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale wymownie wskazał na telefon, który rozdzwonił się akurat w momencie zakończenia rozmowy. Podniósł więc słuchawkę i rzucił do niej służbowym tonem:

– Komisariat Policji w Opalenicy, słucham.

– Mówi Wicher.

– No co tam, meldujcie!

– Melduję, że na drodze do Grodziska, dokładnie to nie powiem gdzie, ale gdzieś pod Sielinkiem, znaleźliśmy rozbite auto marki golf, koloru...

– Niebieskiego – rzucił Smolarek.

– A skąd pan chorąży wie, jaki kolor?

– A kierowca? Co z kierowcą? – przerwał mu przełożony.

– A... z kierowcą to nic. Bo tu żadnego kierowcy nie ma. Ale krew jest, to znaczy się, że musiał się zranić. A jak się zranił, to się w szpitalu znajdzie. Pewnie nachlany był i jak rąbnął w drzewo, to uciekł i teraz gdzieś się zaszył.

Smolarek z sykiem wypuścił powietrze. No i miał rację, nic się nie stało. Opalenica to za małe miasto, żeby coś się mogło tu stać. Bo przecież tu nikt jeszcze nie zaginął, ot tak sobie, z powodów kryminalnych. Od początku roku odnotowano tu dwa samobójstwa, siedem włamań do obiektów społecznych, cztery kradzieże, trzy wypadki drogowe, pięćdziesiąt dziewięć osób ukarano mandatami i skierowano osiem wniosków do kolegium. A pijanych kierowców, którzy wymykali się statystykom, bo nikt ich nie złapał, zawsze było sporo. Taki kraj, cholera. Przynajmniej matka się ucieszy.

## Rozdział VII

**Poznań**

**Godzina 10.30**

Pokój, gdzie urzędował Marcinkowski, kiedyś wydawał mu się znacznie większy. No ale wtedy, gdy od czasu do czasu, jednak niezmiernie rzadko, bywał tu w latach osiemdziesiątych, nie oglądał go z perspektywy człowieka, który ma cokolwiek ciekawego do powiedzenia, ale z pozycji stojącego na baczność szeregowca, prężącego się przed swoim dowódcą. Wtedy szefem był pułkownik Żyto, stary gliniarz, który prawie nigdy, poza specjalnymi świętami resortowymi, nie zakładał munduru. Łysy jak kolano dowódca chodził do pracy ubrany w znoszony stalowy garnitur, białą koszulę i ciemny krawat nieokreślonego koloru. Okulary w szylkretowych, dawno już niemodnych oprawkach nosił spuszczone do połowy nosa, tak by móc zawsze szybko przeczytać to, co dostarczano mu na biurko, i jednocześnie zlustrować czujnym spojrzeniem szarych oczu swojego rozmówcę.

Mariusz Blaszkowski w tamtym czasie nie przesiadywał na naradach, bo był zbyt niskim rangą funkcjonariuszem, żeby go zapraszano na spotkania. Mimo to jednak ten pokój odegrał ważną rolę w jego życiu. Tu bowiem Żyto wezwał go, by mu zakomunikować, że wkrótce będą następować zmiany, więc powinien się na nie przygotować.

Po raz pierwszy stanął przed pułkownikiem w osiemdziesiątym piątym, jeszcze jako funkcjonariusz odbywający zasadniczą służbę w ZOMO.

– Słuchaj no ty, proszę ja ciebie – rzucił Żyto, patrząc mu prosto w oczy znad swoich grubych okularów. – Fred Marcinkowski i do tego jeszcze Brodziak powiedzieli mi, że żeś się dobrze sprawił podczas tego śledztwa, co ma kryptonim, proszę ja ciebie, Łowca głów[25]. I w związku z tym oni wnioskuje, żeby ciebie, proszę ja... ciebie, wziąć z tego ZOMO na stałe do nas, żebyś się zaznajamiał z naszą robotą, a potem, jak już skończysz służbę, to się zobaczy, co dalej z tobą będzie. Ale jak się już u nas doksztalcisz, to na pewno gdzieś dobre miejsce w milicji znajdziesz.

Bez wahania zgodził się na tę propozycję, która była spełnieniem jego marzeń. Chciał zostać kiedyś oficerem śledczym, a taka praktyka w wydziale dochodzeniowo-śledczym komendy wojewódzkiej dla młodego człowieka była bezcenna. Został w wydziale, a już rok później wezwano go do gabinetu szefa kolejny raz.

– Fred Marcinkowski mi powiadał, proszę ja ciebie, że żeś bardzo dopomógł przy sprawie z tym srebrem i w związku z tym szkoda jest cię trzymać u nas na etacie podoficerskim, bo tu się teorii nie nauczysz, a tej ci trzeba, bo oficer bez teorii jest jak dupa bez portek, proszę ja ciebie. I w związku z tym dostajesz delegację do Szkoły Oficerskiej Milicji w Szczytnie. Tylko żebyś nam tam wstydu nie przyniósł, proszę ja ciebie, bo tą szkołę to kończył i Fred, i Mirek...

Nie przyniósł. Skończył ją z jedną z najwyższych lokat i zaraz po awansowaniu na pierwszy oficerski stopień wrócił do Poznania. Teraz jego pozycja zmieniła się całkowicie. Na operatywkach siadał na dawnym miejscu Marcinkowskiego, bo ten zajął fotel emerytowanego pułkownika.

– To może wyglądać na gangsterskie porachunki – stwierdził Blaszkowski.

– Jasne, mamy byłego gangstera Grubińskiego, tylko kto jest jego przeciwnikiem? – zapytał Marcinkowski, zdejmując granatową marynarkę, by powiesić ją na oparciu swojego fotela. Oznaczało to, że szykuje się na dłuższe spotkanie. Potwierdził to, przyciskając guzik interkomu łączący go z sekretarką. – Pani Dominiko, niech pani zrobi nam trzy kawy, nie, przepraszam, dwie kawy i herbatę. – Spojrzał przy tym na Blaszkowskiego, a ten skinął głową w geście aprobaty. – No i jeszcze butelkę oranżady – dodał, patrząc na Olkiewicza, który nie przepadał za gorącymi napojami.

Po chwili drzwi otworzyły się i do gabinetu weszła dwudziestoletnia brunetka w skromnej spódniczce za kolana, z tacą w dłoniach. Uśmiechnęła się do Freda, rozstawiła szybko naczynia przed zebranymi oficerami i skinąwszy grzecznie głową, wyszła z pokoju. Nikt nie skomentował tego wejścia sekretarki, ale wszyscy natychmiast zauważyli, że obsługa lokalu znacznie się poprawiła. Dominika wygrywała w każdej konkurencji ze swoją poprzedniczką, panią Jolą, której nigdy nie było na miejscu, bo przesiadywała całymi dniami na pogaduszkach u koleżanek w kadrach. W końcu Fred nie wytrzymał i załatwił jej przeniesienie tam na stałe, a sam przyjął pierwszą dziewczynę, którą przysłały kadry na rozmowę kwalifikacyjną. Dominika miała więc szczęście, bo była jedyną osobą, z którą rozmawiał jej przyszły

pracodawca. Zadał jej tylko kilka pytań i podpisał na podaniu o przyjęcie do pracy swoją zgodę. Następnego dnia, gdy przyszedł do biura, czekała już na niego gorąca kawa.

Olkiewicz uśmiechnął się na widok oranżady, choć nie było w tym uśmiechu wielkiej radości. Mógł ją wypić, choć zdecydowanie wolałby coś innego. No ale to inne musiał załatwić sobie we własnym zakresie i oczywiście później, po naradzie.

– Rychu twierdzi, że to nikt z rynkowych graczy, to znaczy raczej nikt z tych, co w tej chwili siedzą w Poznaniu i pracują w branży bankowo-walutowej – wyjaśnił Mariusz. – Z nimi wszystkimi jest dobrze poukładany, więc nikt z nich raczej nie robiłby takich numerów. Zresztą już wszyscy w tej sprawie dzwonili do niego i zapewniali o swojej lojalności. Był nawet Bielecki.

– Nie rozumiem, jak Rychu może współpracować z tym gnojem? – Fred przypomniał sobie przystojnego, dobrze ubranego zawsze w drogi garnitur z Mody Polskiej, funkcjonariusza SB, z którym ścierał się podczas śledztw, w które bezpieka próbowała ingerować. – Co powiedział Bielecki?

– Też uważa, że to ktoś z zewnątrz. Ktoś chce przejąć rynek i dlatego Bielecki uważa, że on też jest zagrożony. Powiedział, że uruchomi w tej sprawie swoje kontakty, znaczy dawnych esbeków – stwierdził z pewną rezerwą w głosie Blaszkowski. Nie lubił esbeków, bo to właśnie ich, zgodnie zresztą z prawdą, obwiniał o to, jak ludzie postrzegali całą milicję.

– W niczym nam to nie może przeszkodzić. Niech szukają. – Marcinkowski pokiwał głową. – Byleby tylko Bielecki nie przychodził do nas na narady. – Uśmiechnął się pod jasnym wąsem, wyobrażając sobie, jaką sensację w komendzie wywołałoby pojawienie się byłego pułkownika SB, który zresztą do niedawna pracował w tym budynku. Miał jednak za dużo za uszami, żeby utrzymać się w tym zawodzie. Odszedł, gdy tylko powiał wiatr zmian, i było jasne, że bezpieka musi się całkowicie zmienić albo zniknie z powierzchni ziemi. Bielecki wolał zniknąć sam. Przebranżowił się, bo szybko okazało się, że z funkcjonariusza przeistoczył się w wiceprezesa prywatnego banku.

– Bielecki to gnida, ale o swoje interesy umie zadbać – odezwał się w końcu milczący dotąd Olkiewicz.

– Zawsze dbał przede wszystkim o siebie, więc lepiej na niego uważać. No to, Blacha, podsumujmy, co wiemy – polecił major.

Błaszowski chrząknął, otwierając notes leżący przed nim na stole. Przed naradą wypisał sobie wszystko po kolei, więc teraz nie musiał się zastanawiać nad tym, co ma do powiedzenia.

– Ładunek podłożony pod samochód to według naszych techników czechosłowacki semtex, czyli plastik wybuchowy. Do takiego materiału mają dostęp żołnierze i policja, ogólnie służby. Na wolnym rynku raczej nie do kupienia. Wykluczamy więc amatorów, którzy sami mogli skonstruować bombę z trotylu wygrzebanego z niewypału. Wniosek jest taki, że zrobili to fachowcy. Kolejna sprawa świadcząca o tym, że to nie była robota amatorów, to kula wydobyta ze ściany w kuchni Grubińskiego. Ktoś chciał się zabezpieczyć i zrobić wszystko, żeby Rychu zginął. Czyli ładunek plus snajper. Mówię „snajper”, bo do przeprowadzenia zamachu użyto karabinka snajperskiego SWD. Świadczy o tym zidentyfikowany nabój 7N14, specjalny nabój do tej broni. Dokładnie taki sam znaleźliśmy w domu naprzeciwko. Właściciel mieszkania został zatrzymany. Teofil od rana ustalił, że w poznańskiej policji jest jeden taki karabinek i ma się całkiem dobrze, zamknięty w zbrojowni. Według informacji Teofila...

– Nie moich, tylko mojego kolesia, co pracuje w wojsku, a pochodzi z Chwaliszewa – wszedł mu w słowo Olkiewicz. – I w ogóle to żeśmy razem chodzili do powszechniaka. To on, ten Lutniak Kazimierz w stopniu chorążego, sprawdził wykazy i mi powiedział, nieoficjalnie powiedział, że w wojsku, w całym poznańskim garnizonie, w wykazie mają dwadzieścia takich sztuk i nikomu nie meldowano, żeby jakiś taki karabinek ukradli albo co. No i nie wiemy tylko jednej rzeczy, znaczy się wiemy, że esbecja miała takie giwery, ale nie wiemy, ile i czy je mają, bo z esbecji to nikt ze mną gadać nie chce.

– Chyba z UOP-u – poprawił go Błaszowski.

– Jak się tam teraz oni nazywają, czy esbeki, czy upowcy, psia ich mać, to wszystko jedno, ale jak kto był wbezpiece, to bezpiecznikiem już zostanie.

– Biorę to na siebie – rzucił krótko Marcinkowski. W końcu miał doskonałe stosunki z samym szefem UOP-u. Niech on mu to sprawdzi. – No, Blacha, mów dalej.

– Dalej to mamy film porno nagrany przez właściciela domu, z którego chyba strzelano. Znalazł tę kasetę Mazurek i przejrzał. Impreza nagrywana jest z ukrytej kamery, młode laski, pewnie prostytutki, i starsi faceci uprawiają tam seks. Być może jest to miejsce, gdzie nagrywa się takich gości po to, żeby ich potem szantażować. Kasetę mają nasi technicy, żeby sprawdzić, na ile da się ten

obraz powiększyć, żeby kogoś z tego filmu zidentyfikować. No i jeszcze jedno. Teofil zdobył numery rejestracyjne auta, które parkowało niedaleko domu Rycha i odjechało zaraz po wybuchu.

– To powiedział mi porucznik Wróbel, mój dawny szef, jeszcze jak byłem w prewencji na komisariacie Nowe Miasto...

– Czyli mamy jak na początek dość sporo – podsumował Marcinkowski. – Byleby z tego materiału udało się teraz uszyć płaszcz. Ale, Blacha, myślę, że sobie poradzisz. No dobra, to do roboty, panowie, nie ma co tracić czasu – zarządził.

Olkiewicz, który już dawno dopił swoją oranżadę, przyjął to polecenie z wyraźną ulgą. W torbie czekającej przy jego biurku, mimo strachu przed zdemaskowaniem, miał jak zwykle coś na wzmocnienie, a po tej oranżadzie, nie wiedzieć czemu, bardzo chciało mu się pić.

## **Opalenica**

### **Godzina 13.10**

Kapral Wicher podjechał gazikiem pod budynek komendy i gdy tylko wysiadł, natknął się na panią prokurator. Ta uśmiechnęła się do niego, ale on od razu wyczuł, że w tym uśmiechu nie ma żadnej czułości. Kobieta śmiała się jak modliszka, która za chwilę ma odgryźć łeb swojemu partnerowi. Przypomniawszy sobie film przyrodniczy, w którym ta paskudna samica pożerała żywca samca podczas aktu kopulacji. Wzdrygnął się na to wspomnienie. Na szczęście nie jestem jej partnerem, pomyślał nieco uspokojony, ale modliszka skierowała ku niemu swój długi wskazujący palec, z pomalowanym na czerwono paznokciem. Od razu zauważył, że kolor lakieru jest idealnie dobrany do koloru czerwonej szminki. No w sumie nie była najbrzydsza ta prokurator, stwierdził, ale zaraz odechciało mu się analizować ją pod kątem przejawów kobiecości. „Prokurator to wróg najgorszy i trzeba na niego uważać, bo nigdy nie wiesz, kiedy cię przerobi na kotlety siekane”, pouczał go jego przełożony Smolarek, więc miał się na baczności przed tą ostrą jak brzytwa kobietą i wolał jej schodzić z drogi. Ale tym razem się nie udało.

– Pan wie, gdzie jest warsztat Cegłowskiego? – zapytała bez żadnych grzecznościowych wstępów.

– No wiem... – bąknął. Każdy w Opalenicy wiedział.

– To dobrze, jedziemy do niego.



– Jak jedziemy? – Był autentycznie zdziwiony, ale nie miał zamiaru łatwo się poddać. – Kiedy ja muszę zameldować o wypadku, bo czeka na mnie chorąży Smolarek...

– Sprawa załatwiona. Smolarek wszystko wie. Powiedział, że ma pan ze mną tam jechać i jakby co, wszystko mi pokazać.

– Mogę pokazać – powiedział, wzruszając ramionami, bo nie bardzo wiedział, co miałby pokazać. No ale jak się upierała, to trzeba było się jej podporządkować. – Niech pani wsiada. – Wskazał swój niezbyt komfortowy pojazd. Ruskie gazy kiepsko nadawały się do jeżdżenia po mieście, bo były wielkie i trudne w prowadzeniu. Ale jako wozy terenowe spisywały się całkiem nieźle. Tyle że oni nie jechali w teren, ale parę kroków stąd, w kierunku wylotówki prowadzącej do drogi na Świecko.

– Nie macie lepszych samochodów? – powiedziała z wyrzutem prokurator Bocian, usiadłszy na brezentowym siedzeniu obok kierowcy.

– Mamy, co mamy – odparł filozoficznie kapral. Nie zamierzał wdawać się z nią w jakieś dyskusje. Wyznaczyli go do roboty, to robił, co mu każą, i tyle.

Kilka minut później byli na miejscu. Brygida Bocian miała taką minę, jakby przywieziono ją tu za karę. Wysiadła z auta i już miała odejść, gdy jej spojrzenie wylądowało na tylnej kanapie.

– Co to, sprzedajecie radia samochodowe? – zapytała ironicznym tonem.

– Nie, to z wypadku.

– Zabraliście radia z miejsca wypadku? – Zrobiła wielkie oczy, a Wicher znów złapał się na tym, że ocenia jej urodę. Niebieskie oczy miała wyjątkowo ładne.

– Zabrałem, żeby nie ukradli, bo to były radia, co miał kierowca w samochodzie z tyłu. Pewnie na handel, nówki sztuki. To zabrałem, żeby nie zginęły, jak będą tego golfa ściągać z drogi i wieźć na parking. Pani wie, że ludziom to się może wszystko do łap przykleić. No to zabrałem, żeby nikt nie gwizdnął.

– O, witam panią prokurator – przerwał mu te wyjaśnienia właściciel zakładu.

– Pan Cegłowski, jak się domyślam – powiedziała służbowym tonem, pozbawionym jakichkolwiek emocji.

Wicher pomyślał nawet, że na tych prokuratorskich studiach to muszą ich uczyć tego, jak być nieprzyjemnym dla ludzi. Spotkał w swoim życiu jeszcze dwóch prokuratorów i żaden nie był sympatyczny. Ta widać się dopiero wdrażała, bo od czasu do czasu dało się w niej wyczuć odrobinę normalności.

– Znamy pani tatę. Pomagał mi w pewnej sprawie...

– Kwestie służbowe mojego ojca mnie nie interesują. Pan wybaczy, ale ja tu w sprawie rozbitego passata.

– Jeszcze wam się chce w to bawić? – rzucił Cegłowski. – Przecież wasi technicy rozebrali go prawie do śrubek.

– Dlatego tylko chcę się upewnić, że wykonali dobrą robotę. Może nam pan pokazać auto?

– Dlaczego by nie. – Mężczyzna wzruszył ramionami i poszedł przodem, wkładając dłonie do kieszeni roboczych spodni. Policjant poczuł wyraźną woń alkoholu, która popłynęła za nim jak welon na wietrze za panną młodą. Prokurator też to musiała wyczuć, bo zmarszczyła nos i zrobiła zabawną minę, mówiącą wszystko na temat stanu właściciela warsztatu. Wicher natychmiast złożył fakty do kupy. Cegłowski śmierdział tak samo jak jego szef Smolarek. – O, tu jest ten passat. – Mechanik wskazał poważnie uszkodzone auto. – Nic z niego nie będzie, pójdzie na części.

– No chyba że się jacyś właściciele odezwą – rzucił Wicher.

– No i bardzo dobrze. Niech się odzywają. – Cegłowski poklepał karoserię. – Jak się odezwą, to za każdy dzień parkowania będą musieli wybulić. Już ja im policzę.

– Zdaje się, że na razie policja panu płaci – przypomniał sobie kapral, choć wcale nie był tego taki pewien.

Wiedział za to na pewno, że wszystkie rozbite auta trafiały właśnie tutaj, bo mechanik miał jakiś układ ze swoim kumplem Smolarkiem. Na potwierdzenie tego przez szeroko otwartą bramę na podwórko wjechał samochód z lawetą, na której stał niebieski golf.

– O, to jest właśnie ten golf, co się dziś rozbił. – Policjant wskazał palcem wjeżdżające auto.

– To samochód tego młodego Wiśniaka, co robi dyskoteki – wyjaśnił Cegłowski. – Ale na pierwszy rzut oka to roboty nie będzie tam dużo. Tylko trochę powyginany – stwierdził właściciel warsztatu, obrzucając golfa fachowym spojrzeniem.

– To właśnie z niego, pani prokurator, są te radyjka. – Wicher chciał jeszcze coś dodać o aucie i wypadku, ale prokurator machnęła ręką.

– Prokuratura się zainteresuje, jak jakiegoś trupa pan znajdzie w aucie – powiedziała, a potem spojrzała na mechanika. – Może pan otworzyć maskę passata i bagażnik?

– Proszę bardzo. Niech se pani go ogląda, ile dusza zapragnie. Ale może niech pani powie, czego tam dokładnie szuka, to ja przeszukam szybciej i znajdę, co trzeba.

– Chcę się tylko przyjrzeć.

– Można się patrzeć do woli.

Cegłowski otworzył obie klapy, a kobieta zaczęła uważnie oglądać samochód, obchodząc go dookoła. Wicher wyciągnął paczkę papierosów Marlboro i wsadził sobie jednego do ust. Całkiem niedawno przeszedł na te zagraniczne fajki, bo dotąd palił polskie, popularne. Jednak od jakiegoś czasu można było kupować od handlarzy przyjeżdżających z Niemiec wszystkie gatunki zagranicznych fajek dostępnych za grosze w niemieckich automatach. Podobno te urządzenia łatwo było oszukać, wrzucając tam polskie pieniądze, dziesięciozłotówki zamiast pięciomarkówek. Ale jaka była prawda, tego funkcjonariusz Wicher nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Grunt, że fajki były tanie i dobre.

Zapalił papierosa i zadowolony, zaciągnął się aromatycznym dymem...

– A co tu jest? – Z zamyślenia wyrwał go głos Brygidy Bocian.

– Co? – mruknął niezbyt zadowolony majster.

– Tu, pod autem. – Wskazała ręką, a potem szybko pochyliła się i przyklęknęła na jedno kolano. – No tu, tu jest chyba bak...

– Bak paliwowy, he, he, he! – Cegłowski się zaśmiał, ale w tym śmiechu była jakaś fałszywa nuta. – Samochody mają przeważnie baki. Bo jeżdżą na paliwo, a to paliwo trzeba gdzieś wlać. Do kieszeni się nie da nalać...

– Panie Wicher, chodź no pan tu – zawołała. Zaintrygowany policjant w sekundę był przy niej.

– Weź no się pan połóż tu – wskazała miejsce – bo ja sobie spódnice wybrudzę.

– A ja to się niby nie pobrudzę?

– Ale pan ma mundur, a to jest chyba ubranie robocze, a nie galowe.

Nie było co z nią dyskutować. Położył się tam, gdzie mu kazała.

– Widzi pan ten bak?

– No widzę, cholera... że tu jest rozprute... Ale by się światła trochę przydało, bo mało widać.

– Ma pan jakąś lampkę? – zapytała mechanika. Ten potwierdził, skinąwszy głową.

– Zaraz przyniosę – burknął i odszedł w kierunku hali naprawczej.

– To jest tak, jakby tam było jakieś drugie dno. Zaraz sprawdzę, tylko zapalniczką sobie oświetlę.

– Zwariował pan? Przecież tam mogą być opary benzyny!

– Opary są w górze, a nie na dole, nie? O, jest światło. Kurwa!

– Co?

– Nic, nic. Tak tylko mi się powiedziało. Jakby pani zobaczyła to, co ja...

– Co?

– Jest podwójne dno. Ktoś tam coś przewoził na dnie baku. Ale nic tam teraz nie ma. Zabrali.

– Jest pan pewien?

– Niech pani sama zobaczy.

Brygida Bocian przez chwilę zastanawiała się nad tym, co powinna zrobić. Była ubrana w granatową marynarkę, spódnicę do kolan, białą koszulę i białe rajstopy. W końcu ciekawość zwyciężyła. Przykucnęła, oparła się dłońmi o ziemię, rozprostowała nogi obute w delikatne czółenka i zrobiła całkiem fachową pompkę. Nie oparła jednak ciężaru ciała o podłoże, ale zawisała na opuszczonych rękach.

– Świeć to światło – zawołała, sapiąc z wysiłku, gdy jej twarz znalazła się tuż obok Wichra. Ten przycisnął zapalniczkę. Zrobiło się jasno. Prokurator przez moment wpatrywała się w rozorany brzeg baku paliwowego, który wyglądał jak otwarta puszka sardynek, z tym że była to puszka dwupoziomowa.

– Ja pierdykam! – rzuciła jednym z najcięższych przekleństw z własnego repertuaru, a Wicher nie miał pojęcia, czy to z powodu skrytki, czy dlatego, że ręce nie wytrzymały i pani prokurator klapnęła na brudną ziemię.

Mrucząc coś pod nosem, wyczołgała się spod auta. Policjant stanął przy niej, przyglądając się, jak bezskutecznie próbuje strzepać szary pył z białej

bluzki.

– Mam w aucie kurtkę moro, jakby pani chciała. Nie będzie widać – zaoferował.

– Teraz mi dopiero pan to mówi?

– A czy ja jestem prorok jaki czy coś? Skąd mogłem wiedzieć, że będzie się pani ze mną czołgać pod tym autem?

– Mam latarkę, a pani prokurator to się trochę uśłomprała... – odezwał się drwiącym głosem Cegłowski.

– A ja bym na pana miejscu wcale nie była taka radosna, panie szanowny – warknęła na niego jak groźny pies. Mechanik powinien był wiedzieć, że z niedostatków kobiecego stroju nie warto żartować. Zaraz się jednak o tym przekonał.

– Ale ja nic nie mówię – zaczął się wycofywać.

– To dla pana lepiej by było, żeby jednak zaczął pan mówić. I to jak najszybciej powiedział nam, co było w baku, który został fachowo rozpruty i opróżniony.

– Co? Opróżniony...? – W tym momencie Cegłowski zdał sobie sprawę z tego, co się wydarzyło. Był przekonany, że w porę odpędził tych dwóch gówniarzy od samochodu. A teraz okazało się, że odeszli, by po jakimś czasie wrócić. I skoro ona mówi, że bak jest rozpruty...

Podszedł do auta, opadł na kolana, a potem wczołgał się pod spód. Po chwili pani prokurator i policjant usłyszeli głośne sapanie, a potem krzyk:

– Ja ich zamorduję, tych małych skurwysynów. Ja im nogi z dupy powyrywam i jeszcze na policję podam! Ja im pokażę... – Mechanik podniósł się i spojrzał autentycznie zdenerwowany na Bocian i Wichra. – To ja już wszystko powiem jak na spowiedzi, a tych gnojków, co zrobili ten bak, to ja osobiście podam do raportu i oskarżę o kradzież z włamaniem. Nie ma zmiłowania dla złodziejki.

– A co panu ukradli? – zapytał Wichra.

Cegłowski bezładnie rozłożył ręce.

– A diabli to wiedzą. Ale od tego w końcu jest policja, nie? – Popatrzył na brudną prokurator i uśmiechnął się do niej. – I prokuratura, ma się rozumieć, również.

## Poznań Godzina 14.15

Kapitan Marjański wyszedł z komendy wojewódzkiej, nikomu nic nie mówiąc. Miał dziś jeszcze sporo papierkowej roboty, bo sprawa Czarnych Brygad nabierała rumieńców, tym bardziej że terroryści wystosowali ultimatum i grozili, że teraz naprawdę wezmą się do zabijania zakładników. Postanowił więc, że wszystko ładnie, tak jak pozwalają mu na to jego nadzwyczajne umiejętności pisarskie, opíše i jutro rano przedstawi ten porażający terrorystyczny raport Marcinkowskiemu. Ten przeczyta, pokiwa swoim zwyczajem głową i powie tylko: „Dobra robota”, a potem weźmie te papiery i pójdzie wyżej, do komendanta wojewódzkiego albo nawet jeszcze dalej. Pośle raport do Warszawy, do komendy głównej, a tam trafi na biurko... Nie, nie chciał nawet myśleć, kto jeszcze mógłby ten raport przeczytać. Ale że ci najważniejsi, tego był pewien. W końcu to nie byle co, ale terroryzm w najczystszej postaci, czyli plaga końca dwudziestego wieku.

Do takiego raportu musiał usiąść ze spokojną głową i czystymi myślami, dlatego postanowił się trochę przewietrzyć i wyskoczyć na godzinkę, żeby sprawdzić, jak tam mają się jego prywatne sprawy. Dokładnie chodziło mu o kwestie literackie. Całkiem niedaleko stąd, od komendy może jakiś kilometr, w przedwojennej willi przy ulicy Noskowskiego mieściła się siedziba Związku Literatów Polskich. To właśnie tam, w związkowym biurze, mniej więcej dwa lata temu Marjański złożył ważne dla siebie podanie. Prosił w nim przedstawicieli związku o przyjęcie w poczet członków tej szacownej instytucji. Doszedł bowiem do wniosku, że jako człowiek piszący, i to całkiem niezłe piszący powieści kryminalne, powinien już wspiąć się znacznie wyżej, niż był dotąd w hierarchii ludzi piszących. Dotychczas był amatorem, a jako autor powieści przyjętej do druku powinien być już profesjonalnym pisarzem. Dlatego wypełnił wniosek, który dała mu sekretarka w siedzibie związku, do tego dołączył jeszcze podanie i... Nie dołączył książki, ale odbitkę listu, który dostał z Wydawnictwa Iskry, w którym informowano go, że książka po dokonaniu odpowiednich poprawek, wskazanych przez redakcję, zostanie opublikowana w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku.

– A gdzie są książki, które pan wydał? – zapytała wtedy sekretarka, uśmiechając się z życzliwością, na jaką stać tylko sekretarki w związku literatów, kobiety bezgranicznie kochające literaturę i wszystkich literatów, także tych, którzy literatami jeszcze nie są, ale kto wie... – Zdaje się, że pan nie

doczytał punktu regulaminu przyjmowania nowych członków. Otóż nasz regulamin mówi o tym, że do wniosku o przyjęcie do związku trzeba dołączyć także trzy egzemplarze swojej ostatniej książki.

– Ale ja jeszcze nie mam wydrukowanej ostatniej książki – zaczął tłumaczyć swoją trudną sytuację Marjański. – Proszę, tu jest list z wydawnictwa, będzie wydana...

– To ja niestety nic nie mogę zrobić, jak tylko poprosić pana prezesa związku, żeby się z tym zapoznał i przesłał do Warszawy. Oni tam, w centrali, będą wiedzieli już, jak do tego podania podejść. Sam pan rozumie, my w Poznaniu musimy ściśle stosować przepisy, ale w Warszawie to ho, ho!

Nie wiedział, co to „ho, ho” ma znaczyć, ale domyślał się, że tej miłej pani chodziło o nieograniczone możliwości tych, którzy w stolicy decydowali o jego losie. No i decydowali już prawie dwa lata, a sekretarka za każdym razem, gdy przychodził zapytać, jak tam się mają sprawy, robiła zafrasowaną minę i niestrudzenie powtarzała mu, że musi uzbroić się w cierpliwość, bo oni tam, w Warszawie, to mają takich podań na pęczki i nie wiedzą, za co się łapać. On wolałby oczywiście, żeby złapali się za jego podanie i jak najszybciej podjęli decyzję na tak lub na nie, bo zawsze to był jakiś konkret. Od negatywnej decyzji można się było odwołać, a jeśli się żyje w zawieszeniu tak jak on, to można co najwyżej chodzić i pytać.

Dawno nie był w siedzibie związku, bo już chyba ze dwa miesiące, więc postanowił, że dziś pójdzie i będzie twardy jak pisarz Roman Bratny. Walnie pięścią w stół i powie, że już dość tego czekania i on, jako funkcjonariusz odrodzonej Policji, nie życzy sobie, żeby sprawy były rozpatrywane tyle czasu. Musiał to w końcu załatwić, bo był już ten obiecany przez wydawnictwo rok dziewięćdziesiąty i jakoś nikt go nie informował nie tylko o wydaniu książki, ale nawet o rozpoczęciu prac redakcyjnych nad utworem. Miał więc nadzieję, że przyjmą go do związku tylko na podstawie tej wydawniczej promesy, bo jeśli obiecany rok wydania minie, a książki nie będzie, to straci swój jedyny argument.

Przeszedł pod kolejowym mostem z czerwonej cegły, po którym akurat przejechał pociąg składający się z czterech piętrowych, zielonych wagonów, zasnuwając niebo kłębamii pary wydobywającymi się z komina lokomotywy. Gdy wydostał się na wolną przestrzeń ulicy Libelta, zatrzymał się na chwilę, by przepuścić auta jadące od strony alei Niepodległości, która niedawno przestała

być Stalingradzką, i już chciał przejść na drugą stronę jezdni, gdy naraz usłyszał obok siebie głos. Drgnął, zdziwiony, a właściwie przestraszony.

– Dobrze pana widzieć, kapitanie – powiedział właściciel dość cichego, ale jednak pełnego siły głosu.

– O, to pan. – Odwrócił się w lewo, gdzie stał człowiek, którego zawsze się obawiał.

Pułkownik Stanisław Bielecki z SB nie należał do grona osób, które wywoływały w Marjańskim pozytywne uczucia. A już na pewno nie podzielał jego radości ze spotkania. W trakcie swojej milicyjnej kariery kilka razy musiał współpracować z tym człowiekiem i nigdy dobrze na tym nie wychodził. To znaczy nie działa mu się krzywda i nie musiał wykonywać jakichś specjalnie skomplikowanych zadań. Ot, po prostu, musiał informować Bieleckiego o tym, co dzieje się w śledztwie, no i jeszcze co mówią i co sądzą o pewnych sprawach jego koledzy. Na szczęście dla niego z tej współpracy nie pozostał żaden skreślony jego ręką dokument. Wszystko, co miał do przekazania, przekazywał ustnie podczas spotkań i niczego nie podpisywał. Ale nie wiadomo przecież, czy ten Bielecki nie robił notatek i nie wkładał ich gdzieś do jakiejś teczki, która, nie daj Boże, była teczką tajnego współpracownika. Jeśli tak było, to Bielecki miał go teraz w garści. Mógł swoje brudne notatki wykorzystać przeciwko niemu i zniszczyć tak pięknie rozwijającą się karierę w nowej, odrodzonej służbie.

– Tak, to rzeczywiście ja – stwierdził Bielecki, chwytając go lekko pod ramię i ciągnąc na drugą stronę ulicy. Marjański przeszedł potulnie jak owieczka prowadzona na rzeź. – A pan na spacer? – zapytał były esbek.

– Tak, trochę świeżego powietrza... Wie pan, jak człowiek cały dzień siedzi w biurze, to...

– I przy okazji do Związku Literatów można zajść – wszedł mu w słowo. – A wisi tam w sekretariacie ten portret Reymonta?

– Wisi... – Zdziwiony Marjański przystanął w miejscu. Ten Bielecki wszystko wiedział. To podstępny typ. Czego on może chcieć? Czyżby Związek Literatów polecił mu prześwietlenie kandydata na członka i on teraz właśnie to robił? Czy to możliwe, żeby oni stosowali takie esbeckie metody przed podjęciem ostatecznej decyzji? Ale w końcu to związek, który istnieje już od dawna, więc może w latach pięćdziesiątych przyjęto tu jakieś sposoby sprawdzania członków rodem z NKWD. W końcu do takiego związku nie przyjmowano byle kogo.



– A wie pan, tak od czasu do czasu zaglądam. – Postanowił pokazać, że wcale mu nie zależy na tej literackiej organizacji. – Ot tak, żeby pogadać o świecie literatury. Wie pan, człowiek musi być na bieżąco...

– Z panią Leokadią?

– Jaką Leokadią?

– Leokadią Jarząbek, tą przemiłą panią pracującą w sekretariacie. To pan rozmawia o literaturze i nie wie z kim?

– No nie tylko z nią... rozmawiam. Tam jeszcze są inni. Ludzie przychodzą różni, literaci, dziennikarze, wiele, bardzo wiele interesujących postaci ze świata kultury, ogólnie rzecz biorąc, ludzie pióra. Człowiek musi czasami podyskutować o sprawach duchowych, kultura ducha, rozumie pan?

– Cynceron – rzucił Bielecki.

– W jakim sensie?

– Mówi pan o *cultura animi* w opozycji do *cultura agri*. Użył tego pojęcia po raz pierwszy Cyncero w *Rozmowach tuskulańskich*. To już dwa tysiące lat od czasu, gdy człowiek dzięki niemu zaczął uprawiać ducha. Ale co ja tu panu mówię, jak pan, jako literat i człowiek kulturalny, to wszystko wie.

Nie wiedział. Nie miał pojęcia, o co temu Bieleckiemu chodzi z tym Cynceronem. Trzeba na niego uważać. Wystarczyło, że powiedział tylko o tej kulturze, bo chciał zaszpanować swoją znajomością spraw wyższych, a ten go od razu, z miejsca, zakasował.

– Ale przecież nie będziemy rozmawiać o kulturze, bo wy, pisarze, lepiej się na tym znacie i pewnie w swoim gronie ludzi pióra taka dyskusja łatwiej się toczyć może niż ze mną, człowiekiem, który o kulturze ma niewielką wiedzę.

– Owszem, rozmawiamy w swoim gronie, ale to nie znaczy...

– Ale to znaczy, że my punkt porozumienia znajdziemy zawsze pod warunkiem, że wkroczymy na znany sobie grunt naszych zawodowych spraw. – Nawet nie zauważył, kiedy minęli starą willę, na której ścianie mosiężna tablica informowała, że to właśnie tu mieści się siedziba związku. Przeszli dalej i po chwili znaleźli się w parku Moniuszki, gdzie widać już było pierwsze oznaki nadchodzącej jesieni. Liście zaczynały z wolna zmieniać się z soczyście zielonych w lekko wyblakłe. – Siądźmy na chwilę. – Bielecki wskazał na pustą ławkę. Marjański posłusznie usiadł. – Zapali pan? – zapytał esbek.

Kapitan pokręcił głową. Nie palił, a mimo to przez sekundę przeleciała mu przez głowę myśl, że może jednak powinien zapalić, bo esbek może się obrazić. A jak się obrazi, to będzie zły i może jeszcze coś niedobrego z tego wyniknąć. Nie na darmo w zoo wisiąły wszędzie ostrzeżenia, że nie wolno drażnić dzikich zwierząt. A ten Bielecki, mimo że wyglądał jak człowiek, był jednak w środku, pod tym porządnym płaszczem spiętym paskiem i pod modnym kapeluszem, z opuszczonym w dół rondem, dziką, nieprzewidywalną bestią. Marjański zdobył się jednak na heroiczną odmowę. Bielecki zapalił. Przez chwilę delectował się smakiem aromatycznego tytoniu.

– Lubię jesień – rzucił ni stąd, ni zowąd esbek, wpatrując się w parkową połąć.

– Ja też – stwierdził Marjański, choć wcale nie lubił tej pory roku.

– Ona jest jak zapowiedź zmiany. Odchodzi stare i trzeba się przygotować na nowe.

– Ale w policji zmiany tylko takie, że ludzie odchodzą i coraz więcej młodych się przyjmuje.

– No cóż, tego wymagają nowe czasy. Nasz czas dobiegł końca, a teraz pora oddać pole naszym następcom. Nawet generał Kiszczak nie dał rady oprzeć się zmianom. Taki był mocny, a teraz co, zwykły emeryt. – Bielecki przerwał, wpatrując się w wiewiórkę siedzącą na gałęzi dębu.

– A pan zmienił chyba branżę. – Naraz kapitan przypomniał sobie, co usłyszał od Brodziaka. Mirek powiedział mu, że Bielecki odszedł z resortu do bankowości. To znaczy, że nie jest już w służbie i teraz nie może niczego mu nakazać. A w takim razie skończyła się wszechwładza esbeka.

– Oczywiście w tej nowej rzeczywistości nie mogę niczego panu nakazać – odezwał się były pułkownik, jakby czytał w jego myślach. – No ale wśród starych przyjaciół zawsze możliwe jest porozumienie. Przecież nieraz już współpracowaliśmy dla dobra kraju.

– Chyba dla dobra... służby. – Postanowił, że skoro Bielecki już jest niegroźny, można mu przyłożyć.

– Służyliśmy krajowi. I nadal służymy.

Nadal? Czyżby ten pieprzony esbek był teraz w Urzędzie Ochrony Państwa? Marjański gorączkowo analizował sytuację.

– Nie mogę co prawda wydawać poleceń, ale dla dobra służby, bo w końcu jako ludzie ideowi służymy zawsze i wszędzie, możemy się dogadać, mogę

prosić. Dlatego bardzo pana proszę, kapitanie, o informowanie mnie o szczegółach śledztwa w sprawie zamachu na pana Grubińskiego. Proszę, oto numer, pod który będzie pan dzwonił. – Podał Marjańskiemu wizytówkę. – Będzie mnie pan informował codziennie rano o siódmej. Ważny jest każdy szczegół. A gdyby działo się coś szczególnego, powiedzmy jakaś niespodziewana akcja, to proszę dzwonić natychmiast. Rozumiemy się?

– Ale ja... W zasadzie to nic nie wiem. Bo ja nie jestem blisko tej sprawy, ale teraz sobie przypominam, że jeden mój znajomy, co był w SB, a teraz już nie jest, bo pan wie, nie wszyscy zostają...

– Tak? – zainteresował się Bielecki, uśmiechając się przy tym zachęcająco.  
– To co z tym znajomym?

Marjański przez chwilę milczał, zastanawiając się, czy powinien o tym mówić. Tym bardziej że z tym znajomym łączyły go bardzo bliskie stosunki. Ale w końcu co miał do stracenia? Niewiele. Za to do zyskania... Mógł spełnić swoje literackie marzenie, bo Bielecki miał jak widać dobre rozeznanie i znajomości w związku literatów. Owca

– Znajomy mój, porucznik, co pracował w Czwórcie, mówił mi, wie pan, to może niewiele znaczy, ale to było jakiś czas temu, jak rozmawialiśmy o moim koledze Brodziaku, a Brodziak się przyjaźni z Grubińskim, i podczas tej rozmowy padło nazwisko Grubińskiego. I wtedy mój znajomy powiedział, że kariera Grubińskiego wkrótce się zakończy gwałtownie. Myślałem, że tak tylko gada, żeby gadać...

– Drogi panie kolego. – Bielecki wstał z ławki. – Nieraz zupełnie nieistotne, zdawałoby się, błahe informacje mają w sobie moc porządnego ładunku wybuchowego.

– Jak to?

– Jak nazywał się ten pański znajomy?

Marjański wymienił nazwisko, a Bielecki uśmiechnął się zadowolony.

– A, właśnie, zapomniałem zapytać, jak tam kwestia przyjęcia do Związku Literatów. Czy już pan jest członkiem?

Zaskoczony Marjański pokręcił głową.

– Cóż to jest za niedopatrzenie ze strony związku. Ale od czego się ma przyjaciół. Proszę być dobrej myśli. Zadzwoń, gdzie trzeba, i powiem, żeby przestali opóźniać i natychmiast wystawili panu legitymację. Jutro, najdalej

pojutrze, dowiem się, na jakim jesteśmy etapie. No to nie przeszkadzam. Na mnie już pora. No to... cześć.

Klepnął kapitana w ramię i szybko odszedł w głąb parku. Marjański patrzył za nim i nie bardzo mógł zrozumieć, co się właściwie wydarzyło. Jedno było pewne. Jeśli będzie dzwonił do Bieleckiego, to ten powie mu, co z jego planami związkowymi. Za kilka informacji ze śledztwa już wkrótce zostanie prawdziwym pisarzem. Za coś takiego cena, którą wyznaczył Bielecki, wydawała się naprawdę niewysoka.

## **Okolice Grodziska Wielkopolskiego**

### **Godzina 14.30**

– Tu jest całkiem luksusowo – stwierdził Brodziak, rozglądając się dookoła. Rychu, który przed chwilą się obudził, też miał wrażenie, że znalazł się w innym świecie. Gdy przyjechał tu w nocy, od razu poszedł spać, więc nie zdołał docenić walorów tego miejsca. Antoni Taciak uśmiechał się pod nosem, zadowolony z niespodzianki, jaką zrobił swojemu prezesowi.

– Do luksusów jeszcze daleko, że tak powiem, horrendalnie daleko – stwierdził, zacierając ręce. – Ale w sprawach kulturalno-oświatowych jako miejsce wypoczynkowe dla personelu to jakoś spełnia się we wszystkich oczekiwaniach.

– Jak byłem tu ostatni raz, to była to nora dla samobójców, a teraz to pałac, panie Tuńczyk, he, he! – Prezes Grubiński podziwiał duży salon powstały z połączenia dawnej kuchni i sypialni. Kiedyś był to typowy wiejski dom. Wchodziło się do niego z podwórka przez niewielki przedsionek wprost do kuchni, a z niej do dwóch pokoi sypialnych. Ten największy pełnił też rolę salonu, czyli miejsca, gdzie odbywały się rodzinne uroczystości, ucztowano w święta i przyjmowano ważnych gości. Drugi pokój przeznaczony był dla dzieci, z tym że tych nikt tu nie widział od kilku dziesięcioleci. Ostatni właściciel i spadkobierca tych, którzy ten dom zbudowali, zginął na podwórku parę lat temu, dokładnie w dniu, kiedy pojawił się tu po raz pierwszy Rychu. Można powiedzieć, że w pewnym stopniu jego przyjazd przyczynił się do zejścia mężczyzny z tego świata, choć Grubiński w tej kwestii nie miał sobie wiele do zarzucenia. Widać tak musiało być, odpowiedziałyby, gdyby go ktoś o to zapytał. Ale nikt nie miał ochoty wracać do tamtych czasów i dramatycznych wydarzeń, które rozegrały się w czasie powrotu Rycha do kraju po latach emigracji w Niemczech[26].

Rychu siedział na wygodnej kanapie, której lekką konstrukcję zrobiono z sosnowych desek, a wyłożono ją miękkimi poduchami z surowego lnianego płótna. Wyciągnął z kieszeni marynarki papierosa, włożył go w usta i odpalił. Tunio natychmiast pojawia się z popielniczką, którą przyniósł z kuchni, a dokładniej z tej części salonu, której niewielki fragment wyodrębniono na nowoczesną część kuchenną, składającą się z kilku szafek, blatu przechodzącego w stół, do którego dostawiono cztery wysokie barowe krzesła, i dużej lodówki.

– To jak to jest, panie Tuńczyk? – Wskazał mu fotel naprzeciwko. – Jak to się dzieje, że mamy taką metę, a ja nic o niej nie wiedziałem?

Taciak zrobił zdziwioną i jednocześnie smutną minę.

– I tu się pan szanowny prezes rozmija zez czasu i prawdą ekranu. Bo prawda o tym skromnym przybytku jest taka, że to wszystko się wyadoptowało na pana prezesa wyraźne polecenie, więc czuję się niesmacznie niekomfortowo niedoceniony.

Tunio Taciak, kiedyś nazywany Ząbkim, ponieważ ozdobą jego niezbyt urodziwej twarzy był złoty ząb, pracował u Rycha od samego początku, czyli od czasu, gdy jego szef wrócił z Niemiec i zaczął budować swoje cinkciarskie królestwo. Nie należał do ludzi wykształconych ani odcytanych, jednak zazdrościł tym, którzy wysławiali się w sposób wskazujący na ich wielkie obycie, używając wyszukanych zwrotów i wyrażań. Co ciekawsze, zasłyszane w rozmowach, zapisywał w specjalnym notesie, a później wkomponowywał je we własne wypowiedzi. Nie zawsze wprawdzie udawało mu się stosować je poprawnie i w odpowiednim kontekście, ale to nie miało dla niego żadnego znaczenia. Najważniejsze, że robił w ten sposób dobre, jak mu się wydawało, wrażenie. Dobre wrażenie robił też zębem, ale tylko na sobie, w chwilach gdy patrzył w lustro. Marzył nawet o tym, że kiedy już powypadają mu wszystkie zęby, będzie ubytki po kolei zastępował złotem. Na szczęście dla swoich rozmówców i kontrahentów, a ku niezadowoleniu protetyka jubilera, zrezygnował z tych wspaniałych planów, przeczytawszy w gazecie, że w Ameryce złote zęby przestały być modne w latach czterdziestych. Za to furorę robią białe implanty, które wyglądają jak reklama pasty do zębów. Napisano też, że złote koronki nadal są modne w krajach rozwijających się, wśród bogaczy, którzy chcą imponować biedakom. Tunio też chciał się chwalić, ale jako człowiek postępowy wiedział, że dziś rodakom już nie imponuje byle błyskotka. Ludziom podobały się magnetowidy i taśmy VHS z filmami, ale

z taśm człowiek nie zrobi sobie przecież sztucznej szczęki. Dlatego postanowił, że poprzestanie na śnieżnobiałych implantach i zainwestuje w sprzęt wideo. Kupił więc magnetowid i kilkadziesiąt nagranych kaset. Znajomy podłączył mu to wszystko do telewizora i w zasadzie Tunio mógłby oglądać u siebie w domu, co tylko by chciał, ale przerosła go obsługa pilota i nie zawsze udawało mu się włączyć odtwarzacz. Ten brak umiejętności technicznych zrujnował jego plany, bo chciał do ekskluzywnego mieszkania w budynku Bałtyku przy Bukowskiej zapraszać swoich licznych znajomych cinkciarzy na seanse wideo połączone z konsumpcją. Miał nawet nadzieję, że zaczną go teraz nazywać, co zresztą sam sugerował między wierszami, Wideo Tun. Ale jakoś się nie przyjęło, być może dlatego, że seanse nie wyszły, a drogi peweksowski sprzęt stał się rzadko używaną ozdobą. W końcu postanowił, że wywiezie go do domu na wieś, tym bardziej że kupił sobie okazjnie, za niewielkie pieniądze, prosty odtwarzacz bez pilota, który zaspokajał w zupełności jego skromne domowe potrzeby.

– Moje polecenie? – Rychu spojrzał badawczo na swojego pracownika, bo Tunio od chwili powstania Banku Ziemskiego był jego etatowym pracownikiem z funkcją kierownika do spraw inwestycji, odpowiedzialnego za wszelkie remonty, budowy i przebudowy w centrali i coraz liczniejszych prowincjonalnych filiach.

– Sam prezes powiedział, żeby coś zrobić z tymi nadwyżkami towarów, co zostają z naszych remontów, no to robiłem. Przecież nie można było tego wyrzucać. Znaczący, że ten remont tutaj, co myśmy w dziale inwestycji przeprowadzili, był z oszczędności.

– A skąd w ogóle mamy tą chatę? – zapytał Rychu, bo nie miał pojęcia, że jego bank dysponuje takim miejscem.

– Tego to ja już nie wiem, panie prezesie uszanowany. Jak szukałem czegoś, gdzie by można te nadwyżki spożytkować, to poszedłem do księgowości i kazałem pani Kubasińskiej sprawdzić, w co można wkładać nadwyżki, no i ona wskazała nieruchomość należącą do banku i dość zrujnowaną. I ona powiada: „Panie Tunio, mamy tu między Opalenicą i Grodziskiem jakąś ładną ruinę, to możesz ją pan postawić na cztery nogi”. No to postawiłem, a księgowość wszystko wrzuciła w koszty i zapisała jako Pracowniczy Dom Wypoczynkowy Podgrzybek, że niby tu blisko lasy są i grzyby. Czy grzyby są, to ja nie wiem, ale nasi pracownicy wynajmują pokoje na weekendy i urlopy.

– Co pan powiesz? To jeszcze na tym zarabiamy?

– Dajemy im po kosztach, panie prezesie.

– No patrz, Miruś, co się tu wyprawia. – Rychu zrobił szeroki gest ręką, jakby był autentycznie dumny z tego miejsca. – Kiedyś, jak żeś mnie stąd odbijał, uwięzionego w chlewiku przez jugolską mafię, to tu człowiek normalny nawet by nie usiadł, boby się bał, że się przyklei, taki był tu syf. A teraz to całkiem inny świat.

– No to będziesz miał komfortowe wakacje – stwierdził policjant.

– A ty co, nie zostaniesz ze mną? Przecież Marcinkowski dał ci wolne.

Mirek pokręcił głową. To, że go odsunął od śledztwa, nie oznaczało, że nie ma nic do roboty. Nie zajmował się sprawą oficjalnie, choć przygotowanie zasadzki na wykonawców zlecenia na Rycha to już był jego pomysł od początku do końca. Pomysł, którego realizacja udała się w stu procentach, a jeśli chodzi o zasoby ludzkie, to zaledwie w pięćdziesięciu, bo tylko jeden z napastników przeżył. Ten zastrzelony został po drodze wyrzucony z przytwierdzonym solidnym obciążeniem do rzeki. Drugi, opatrzony z zabandażowanym ramieniem, przyjechał wraz z całą wycieczką na miejsce.

– O, widzę, że pan prezes już się obudził – stwierdził dowódca grupy ochroniarskiej Braun, wchodząc do mieszkania.

– Trzeba było odespać wczorajsze wrażenia. – Grubiński się uśmiechnął. – A jak ma się ten tam... – Wykonał nieokreślony ruch ręką. Nie wiedział, jak nazwać ich jeńca.

– Żyje i pewnie nie może się już doczekać rozmowy.

– Gdzie go trzymacie?

– Gość siedzi w komórcie – zameldował Braun.

Jeszcze w nocy, gdy tylko tu przyjechali, dowódca grupy komandosów poszedł poszukać miejsca, w którym dałoby się spokojnie porozmawiać z zatrzymanym człowiekiem. Z tym nie było większego problemu. Koordynator remontu i przebudowy Tunio wpadł na pomysł, by część obórki przekształcić w nowoczesny garaż, wykorzystując dawne ściany z pruskiego muru. Wewnątrz wyburzono wszystko i w ten sposób powstała hala na cztery auta, a obok, w dawnym chlewiku, składzik na wszystko, co potrzebne jest w obejściu, a czego nie można zostawić na wierzchu, boby mogło przechodzącym przypadkiem miejscowym pijakom przykleić się do ręki. Składzik miał drzwi z solidnym skoblem i niewielkie okienko z kratą. Idealne więzienie, pomyślał szef obstawy i kazał swoim ludziom wrzucić tam jeńca.

– Czyli w chlewiku, ha, ha, ha! No proszę, to przecież ja w tym chlewiku siedziałem zamknięty jak wieprz i dopiero Mirek mnie uratował z tej opresji. Pamiętasz, Miruś?

– Pamiętam. Co mam nie pamiętać.

– To historia zatoczyła koło. Bo teraz to ja będę przesłuchiwał...

– Co chcesz z nim zrobić? – zapytał Brodziak. Co prawda zorganizował tę pułapkę i zgodził się, żeby postrzelonego faceta zabrać za miasto, jednak mimo swoich skłonności do niekonwencjonalnych działań nadal pozostawał legalistą i policjantem. Dlatego nie był zwolennikiem stosowania niepotrzebnej przemocy wobec zatrzymanych. Za to Rychu nie miał nic przeciwko temu. W końcu wyciągnięcie zeznań od zatrzymanego człowieka to był element rozgrywki, której stawką było jego własne życie.

– Tylko sobie z nim pogadam. – Rychu uśmiechnął się, szczerząc złowrogo zęby. Mirek znał ten uśmiech. Nie wróżył niczego dobrego temu biednemu durniowi, który dostał się w ich ręce. – Jeśli będzie współpracował, to nic mu się nie stanie.

Tego nie był tak bardzo pewien. W końcu Rychu stracił bliską osobę. Mirek nie wiedział, czy ta Magda to była jakaś poważna sprawa, bo Rychu nie ze wszystkiego mu się zwierzał. Ale ostatnio dużo o niej mówił, więc mógł przypuszczać, że coś między nimi było. No i poza tym zginęła, wychodząc od niego nad ranem. Zginęła, ale celem był on...

Naraz Mirek podjął decyzję.

– Wyjadę stąd, jak go już przesłuchasz, i go zabiorę!

– Jak chcesz. – Rychu wiedział, że w takich sprawach z Mirkiem nie było co dyskutować. – Niech ci będzie. – Uśmiechnął się do Brodziaka. – No to chodźmy sobie z nim porozmawiać. A pan, panie Tuńczyk, niech pojedzie do sklepu i przywiezie coś do żarcia.

– A tak mniej więcej to co?

– Wszystko, co panu wpadnie w ręce. W końcu kilku solidnych chłopów zostanie tu pewnie przez parę dni, więc trzeba ich dobrze ugościć.

**Opalenica**  
**Godzina 15.30**



Prokurator Brygida Bocian odgarnęła niesforną grzywkę opadającą na czoło, a kapral Wicher pomyślał, że nikt nie robi tego z takim wdziękiem jak ona. Było w tym tyle kobiecej delikatności, że mógłby tak patrzeć na to odgarnianie przez pół dyżuru i wcale by się nie znudził.

– Co się tak gapicie, kapralu, jak szpak w... robaka? Zakochaliście się we mnie czy co? – Złapała go na tym cielecym spojrzeniu i zamiast je zbagatelizować, zaatakowała tak celnie, że od razu zgasła w nim tę drobną iskierkę tlącego się uczucia. Takiej kobiety nie można kochać, bo ona jest zimna jak halibut w oliwie, pomyślał. A tak w ogóle, to o czym ja myślę? O jakim zakochiwaniu się w tej bocianicy? No ładna jest, ale z taką babą nie dałoby się żyć, bo zaraz by człowieka nadziała na ten swój czerwony dziób.

– Ja się nie gapię, tylko patrzę – poprawił ją oschłym tonem. – Gapi się wół na malowane wrota.

– No to na co patrzycie?

– Patrzę w dal.

– Jaką dal, do cholery?

– Jak się tak zamyszę, to patrzę się w jeden punkt i nie widzę tego punktu, tylko patrzę, żeby się mocno skupić i dotrzeć do prawdy.

– A, i tym punktem były moje usta? – zdziwiła się.

– Na usta to się patrzy, jak się z kimś rozmawia. Ja się patrzyłem na oczy. Mówią, że w oczach można znaleźć odbicie duszy. – Nieświadomie brnął dalej, ale chyba nie było to takie najgorsze, bo Brygida uśmiechnęła się tak lekko, że gdyby nie patrzył na te piękne usta, toby w ogóle tego nie zauważył. Jednak jestem bystrym obserwatorem, przeleciało mu przez głowę. Pierwszy raz kształt tych ust dostrzegł wyraźnie wtedy, gdy leżeli obok siebie pod tym autem. A że są piękne, stwierdził, gdy wyrzuciła z siebie przekleństwo. Cudownie przeklinała.

– I co wyczytaliście w mojej duszy?

– W pani jeszcze nic, bo jak na razie mam za mało możliwości obserwacji. Ale z tego, co widać od razu, to myślę, że pani jest taka zasadnicza na pokaz, żeby się pani bali różni złodzieje i żeby się wszyscy liczyli, a tak naprawdę, to w głębi duszy jest pani bardzo wrażliwą...

Drzwi do pokoju przesłuchań otworzyły się. Stał w nich szeregowy Jaskółka. Obrzucił niechętnym spojrzeniem prokurator i zaraz uśmiechnął się do Wichra.

– Melduję, że mam pierwszego z tych gówniarzy.

– Dobra, dawaj go tu – zaordynował kapral, zadowolony, że nie musi tłumaczyć istoty swoich obserwacji, bo gdyby tak dalej miał rozmawiać, to za chwilę pewnie opowiedziałby jej całe swoje życie, które było pasmem tragedii w obcowaniu z kobietami. Na szczęście do pokoju wprowadzono Włodzia Włodarka.

Chłopak przystanął na sekundę w drzwiach, ale eskortujący go policjant szturchnął go w plecy. Wpadł więc do środka i zatrzymał się przy odrapanym, brązowym stole, zapewne pamiętającym jeszcze przedwojenne czasy. Mebel był jednak na tyle solidny, że nikt nawet nie pomyślał, żeby go wymieniać na inny.

– Siadaj. – Prokurator wskazała chłopakowi krzesło naprzeciw siebie. Znany mu policjant Wicher siedział po prawej stronie, przy dłuższym boku stołu. Włodziu spojrział na zakratowane okno, unikając spojrzeń obojga, jakby chciał im dać do zrozumienia, że sytuacja, w której się znalazł, jest niedorzeczna, a on czuje się osobiście dotknięty i obrażony faktem, że trafił do pokoju przesłuchań.

– Nie będę odpowiadał na żadne kretyńskie pytania, dopóki nie porozumiem się z moim adwokatem – rzucił opryskliwym tonem prosto w twarz policjanta. Ten zrobił zdumioną minę.

– Pani prokurator słyszała? On chce się spotkać z adwokatem.

– Proszę bardzo. – Bocian uśmiechnęła się promiennie. – W takim razie nie mamy o czym rozmawiać. Niech pan zapisze imię i nazwisko adwokata, i adres. Wyślemy do niego pismo.

– Słyszałeś? – Policjant zwrócił się do Włodzia. – Dawaj namiar na twojego adwokata.

Teraz chłopak zrobił się jakiś niewyraźny.

– Ale ja nie mam adwokata.

– Jak nie masz, jak żeś powiedział, że nie będziesz rozmawiać bez swojego adwokata.

– No jeszcze nie mam, ale mam prawo do niego...

– Oczywiście, że masz prawo. Skoro nie masz, to przysługuje ci adwokat z urzędu. Napiszemy więc pismo, żeby ci przydzielili...

– Zaraz, jak pismo? Przecież list będzie szedł z tydzień. I zanim odpowiedzą, to miną dwa tygodnie...

– Ale nam się tak bardzo nie śpieszy – stwierdziła pani prokurator.

– To znaczy, że do tego czasu mogę iść do domu i wrócić tu z adwokatem? – domyślił się Włodziu.

Prawniczka pokręciła głową.

– No niestety nie. Do tego czasu posiedzisz w areszcie, a my sobie spokojnie poczekamy.

– Ale...

– Szeregowy Jaskóła, zabrać zatrzymanego! – zawołał Wicher, lecz nie na tyle głośno, by szeregowy mógł usłyszeć. Najważniejsze, że usłyszał Włodziu.

– Jak to, to przecież jest bezprawie!

– Bezprawie to by było, jakbyśmy ci odmówili możliwości kontaktu z adwokatem. A my ci niczego nie odmawiamy – wyjaśniła spokojnym i rzeczowym tonem prokurator. – Dobrze, nie mam czasu na siedzenie tu i jakieś głupie rozmówki. Niech pan wezwie tego drugiego. Może on będzie bardziej skory do współpracy, bo na tego będziemy musieli poczekać dwa tygodnie. A swoją drogą to ci się dziwię, kolego. – Zmierzyła Włodzia przeszywającym spojrzeniem. – Wolisz dwa tygodnie siedzieć w celi z jakimiś bandziorami, zamiast wyjść do domu jeszcze dzisiaj. No ale to twój wybór.

– Ja chcę jeszcze dzisiaj... – bąknął przestraszony chłopak.

– A co z adwokatem? – zapytał Wicher.

– Mogę na razie bez adwokata gadać – wyjaśnił.

– O, to inna rozmowa – ucieszyła się prokurator. – No widzisz, sprawa o narkotyki to coś bardzo poważnego, za co sąd wsadza bez gadania do więzienia. Więc lepiej, że pomożesz nam wyjaśnić wszystkie wątpliwości.

Pewność chłopaka wyparowała natychmiast, a spojrzenie zsunęło się w dół i zatrzymało na trampkach, na razie jeszcze ze sznurówkami.

– Jakie narkotyki? My nic żeśmy nie zrobili – powiedział cicho.

– Może być, że na razie nic, ale o tym „nic” musicie nam opowiedzieć ze szczegółami.

– No to mówię ze szczegółami, że nic. I w ogóle to nic nie wiemy. I nie damy się zrobić w nie wiadomo co. Ja żadnych narkotyków na oczy nie

widziałem.

– Widzi pan, kapralu, że chłopak chce sobie z nami pogrywać. – Mówiąc to, prokurator uśmiechnęła się do Wichra, a ten poczuł naraz dreszcze przechodzące po plecach. Takich lekkich, bardzo przyjemnych dreszczy spływających gdzieś w dół, w okolice pośladków, jeszcze nigdy nie doświadczył. Pytał sam siebie, co się z nim dzieje, ale nie znajdował odpowiedzi.

– Co do narkotyków – zaczął tłumaczyć Wicher – to powiem ci, że my wiemy, co tam przewożono w tym samochodzie. Bo wyobraź sobie, że nie tylko wy coś znaleźliście. My też coś tam odkryliśmy. I wiesz co? My wiemy, co to jest, więc dlatego sądzimy, że to, co wy znaleźliście, to musi być to samo.

– A samochód był dokładnie przeszukany? – zapytała prokurator kaprala Wichra, spoglądając na rozbite auto w chwili, kiedy wyleźli spod wraku.

– Chorąży Smolarek szukał tu już to, co się dało poszukać.

– Dwa razy szukał – stwierdził Cegłowski, który wrócił właśnie ze swojej kanciapy, gdzie miał zapisane dane swoich pracowników i uczniów i przyniósł kartkę z adresami obydwu młodzieńców, którzy grzebali przy tym passacie i chyba się czegoś dogrzebali. – Nie ma ich dziś w pracy. Mieli być, ale nie przyszli. Widać się czegoś przestraszyli. Może się domyślili, że zobaczą ten rozpruty bak i dam im popalić.

Podał kartkę policjantowi. Ten tylko spojrzął na nazwiska i zaraz się uśmiechnął.

– Tych dwóch gagatków dziś w nocy zgarnąłem z ulicy i odwiozłem do domów. Wiem, gdzie mieszkają. I wiem, co to za jedni. To nie żaden element.

– A czy ja mówię, że element? – odpowiedział mu Cegłowski, jednocześnie z pewnym politowaniem patrząc, jak prokurator wchodzi do rozbitego samochodu. Usiadła na tylnej kanapie i zaczęła mocować się z oparciem. Po chwili udało jej się je oderwać, ale nic nie osiągnęła, bo za nim była tylko otwarta komora bagażnika. Wyszła na zewnątrz i wypinając się w kierunku dwóch obserwatorów, zaczęła się szarpać z siedziskiem. Nie udało jej się za pierwszym razem, więc odwróciła się i błyskawicznie natrafiła na spojrzenie Wichra.

– Przestań się gapić i chodź tu! – zawołała do policjanta.

– Co mam robić? – zapytał.

– Wyrwij tę kanapę.

Pochylił się w drzwiach i szarpnął kilka razy. Za piątym mu się udało. Jednak i pod kanapą nie było niczego interesującego.

– Nie ma tu żadnego schowka – stwierdził.

– Mówiłem, że Smolarek wszystko już przejrzał. – Cegłowski próbował wykazać cały bezsens tych dodatkowych poszukiwań. – Dwa razy przeglądał. I kanapy też sprawdzał. Nic już tu nie znajdziecie, bo Smolarek jest bardzo skrupulatny. Nic nie przeoczy. Taki już jest od szczone. Ja jeszcze w szkole pamiętam, że musiał wszystko dwa razy przeliczyć i dopiero wtedy...

– A tu co jest? – Bocian wskazała na płytę obitą wykładziną dywanową, pokrywającą cały bagażnik.

– To jest podłoga bagażnika – wyjaśnił mechanik z cierpliwością godną nauczyciela tłumaczącego coś oczywistego gamoniowatej uczennicy.

– Weźcie no tą płytę – poleciła policjantowi. Ten zwrócił uwagę, że raz mówiła mu na „ty”, a raz służbowo przez „wy”. I chyba zmieniało się to w momentach szczególnego napięcia. Gdy była zła, tykała go, a gdy opanowana, zwracała się służbowo. Uśmiechnął się do siebie. Widać nie był jej całkiem obojętny.

Podniósł podłogę i odłożył ją na zewnątrz. Wewnątrz było koło zapasowe. Wyglądało na nowe, jakby nie było jeszcze nigdy używane.

– Ile ten passat ma lat? – zapytała majstra.

– Trzyletni – wyjaśnił.

– I przez trzy lata ani razu nie złapał pany[27]? – zdziwiła się.

– W Niemczech lepsze drogi – stwierdził policjant, ale to jej nie przekonało.

– Weź to koło wyciągnij – poleciła funkcjonariuszowi, a ten ucieszył się, że znów była podekscytowana. Ciekawe, ile w tym mojej zasługi, myślał, wyciągając oponę. Chwyił ją i pociągnął ku górze.

– Co jest, do cholery? – zdziwił się. – To waży chyba ze sto kilo. – Z trudem wytargał koło na zewnątrz i rzucił na ziemię. – To nie jest zapasówka, ale młyńskie koło – powiedział i naraz zrozumiał, o co chodziło pani prokurator. Opona była wypełniona czymś, czego nie było na razie widać, ale musiało to być coś, co warto przemycać przez granicę.

– Trzeba ją rozpruć – zaordynowała prokurator.

– Zaraz, zaraz! – wtrącił się mechanik. – Nie może być tak, żeby dobrą oponę rozcinać. Pani wie, ile taka opona kosztuje? Niczego się niepotrzebnie nie niszczy.

Podniósł zapasówkę. Była rzeczywiście ciężka, więc zaraz postawił ją na ziemi i pokulał w kierunku warsztatu. Prokurator i policjant poszli za nim. Chwilę później położył koło na specjalnym urządzeniu obrotowym do zdejmowania opon. Dość sprawnie, za pomocą podręcznej brechy, oddzielił felgę od gumy. Wewnątrz opony znajdowały się równo ułożone czarne, plastikowe woreczki, połączone ze sobą szarą taśmą klejącą.

– No proszę, jaka ładna kontrabanda – ucieszyła się prawniczka. Pan da jakiś nóż – poleciła Cegłowskiemu. Ten wyciągnął z kieszeni scyzoryk, otworzył i podał kobiecie. Wbiła ostrze w folię, pogrzebała nim przez chwilę i wydobyła ostrożnie ze środka.

– Co to jest? – zapytał Wicher, pochylając się nad kołem.

– Jeszcze nie wiem, trzeba to zbadać, ale to jakiś narkotyk, może heroina, może amfetamina... W laboratorium w Poznaniu przebadają to dokładnie. W każdym razie jest to jakieś gówno do faszzerowania młodych ludzi – powiedziała, spoglądając tryumfalnie na właściciela warsztatu, który podobno dokładnie przeszukał wraz z policją całe auto.

– Myśmy tam nic nie znaleźli, bo żeśmy nic nie szukali – powiedział Włodziu bardzo wyraźnie, tak żeby ci przesłuchujący go na komisariacie ludzie wiedzieli, że niczego z niego nie wyduszą. Tak się umówił z Szymkiem Łopatką, że póki nic nie powiedzą, to nikt im niczego nie robi. Musieliby im udowodnić, że coś wzięli z tego auta, ale nie udowodnią, jeśli się do niczego nie przyznają.

– No to jak chcesz – rzuciła prokurator. – Ale my i tak się dowiemy, jaka jest prawda.

– Prawda jest taka, że nic żeśmy nikomu nie ukradli – stwierdził hardo chłopak.

– Ty się lepiej zastanów, Włodziu – odezwał się do niego przyjacielskim tonem Wicher. – Po co ci kłopoty? Chcesz codziennie przychodzić na przesłuchania? Ale to twój wybór. A, jak będziesz wychodził z komendy, to poproś, żeby ci oddali twoją torbę, bo żeś ją zostawił wczoraj u mnie w aucie, jak cię odwoziłem do domu.

– Ale ja nie miałem żadnej torby – stwierdził Włodziu.

– Nie? – zdziwił się policjant.

– Żadnej torby! – powiedział trochę zbyt głośno, jak dziecko, które zostało przyłapano na kłamstwie i niewiele się zastanawiając, natychmiast zaprzecza. Ale Wicher nie zwrócił na to uwagi, zapatrzony w prokuratora Bociana, która wyjęła z torebki szczotkę i zaczęła poprawiać nią włosy.

## **Poznań**

### **Godzina 16.10**

– Ja na pana miejscu bym się dobrze zastanowił – stwierdził Mariusz Blaszkowski, przyglądając się uważnie twarzy Roberta Kocięby, pisarza marynisty, który sprawiał wrażenie nieobecnego. Wszystko wskazywało na to, że to z jego mieszkania strzelano do Grubińskiego. A kto mógł strzelać? No przecież nie jakiś przypadkowo przechodzący snajper.

– Ale że niby nad czym mam się zastanawiać? – zapytał pisarz. – Ja w ogóle nie mam pojęcia, o czym pan porucznik mówi. Nikogo nie zastrzeliłem, bo ja nie umiem strzelać.

– Jak to pan nie umie? – zdziwił się Mariusz. – No przecież sam pan powiedział mi, że jest pisarzem marynistą. Czy nie tak powiedział? – Oficer spojrzał na siedzącego za sąsiednim biurkiem sierżanta Mazurka, który udawał, że robi notatki z przesłuchania. Tak naprawdę to wpisywał tylko jakieś ważniejsze sformułowania czy zwroty z wypowiedzi przesłuchiwanego, bo całych zdań notować mu się nie chciało, a zresztą kto by nadążył tak wszystko pisać. Dlatego Mazurek notował tylko wybiórczo, a potem dopiero tworzył z tego pełny protokół. Oczywiście, jeśli taki był potrzebny. Sierżant nie lubił się przepracowywać, więc wszystko, co miał zrobić, wykonywał powierzchownie i po łebkach, wychodząc z założenia, że jakoś to będzie. I zazwyczaj miał rację.

– Tak powiedział – potwierdził sierżant, nawet nie wiedząc, o co go zapytał Blaszkowski, jedyny zainteresowany przesłuchaniem. Olkiewicz zajmujący miejsce za własnym, mało używanym biurkiem złożył dłonie na brzuchu, przymknął powieki i pogrążył się w analizie sytuacji. Tak przynajmniej twierdził, że musi wszystkiemu się przyjrzeć od środka, patrząc z perspektywy. Usłyszał gdzieś to słowo „perspektywa” i tak mu się spodobało, że perspektywiczne spojrzenie na rzeczywistość zdominowało jego sposób analizowania. Wcześniej robił to zwyczajnie, a teraz z perspektywy, i to był

znak nowych czasów. Wszystko się zmieniało i Olkiewicz też postanowił się zmienić.

Miał dziś pójść do swojego dawnego dowódcy Wróbla, żeby z nim pogadać i spróbować wyciągnąć jakieś dodatkowe szczegóły dotyczące tego auta, które stało na ulicy, gdy wyleciał w powietrze samochód Grubego Rycha, ale do niego nie dotarł. Wstąpił bowiem do sklepu spożywczego na Winogradach, tego położonego przy przystanku koło akademików na Dożynkowej. Akurat dowieźli piwo, więc grzechem byłoby nie wypić przynajmniej jednej butelki. Posłuchał przy okazji, o czym gadają baby na zakupach. Nie zainteresowało go nic prócz tego, że podobno każdy ma od Wałęsy dostać sto milionów. Tak miał gdzieś powiedzieć, na jakimś zebraniu Solidarności w Gdańsku czy gdzieś indziej, tłumaczyła gruba sprzedawczyni w czerwonym fartuchu, upstrzonym białymi kwiatkami, i z białą opaską, przytrzymującą kasztanowe włosy.

– Wałęsa se może dawać pieniądze, komu chce, bo jest bogaty jak nikt w tym kraju, bo za Nobla dostał tyle, że mógłby cały Poznań kupić z ratuszem i koziołkami – zgodziła się z nią niska staruszka w słomkowym kapeluszu na głowie i z siatką w dłoni wypchaną zakupami.

– On nikomu nic nie da. Raczej wcześniej ukradnie, jak miałby co komu dać – włączyła się w rozmowę stojąca za nią chuda emerytka w zielonej chustce, związanej pod szyją. – To przez Wałęsę wszystkie nieszczęścia – dodała.

– A niby jakie nieszczęścia pani szanowna ma na myśli? – zapytała ekspedientka.

– A jak jakie? To pani nie widzi, co się dzieje? Że niby obiecywali, że będzie już teraz wolność i równość i wszyscy będą mieli tyle samo, a Wałęsa ma najwięcej. I nie tylko za Nobla, ale i za całą Solidarność. Oni z tej Solidarności to tyle w tym stanie wojennym nakradli. A najwięcej nakradł Wałęsa. I gdyby nie Jaruzelski, toby wszystko, co się da, ukradli, złodzieje cholerni.

– Sama żeś pani nakradła – warknęła niezadowolona sprzedawczyni. – To przez was, komunistów, ten cały bajzel się zrobił. – Wskazała palcem na szczupłą przeciwniczkę Wałęsy. – Przez was, komuchy cholerne, nawet ludzie na ulicę wyjść nie mogą, bo bandziory strzelają, tak jak wczoraj Za Cytadelą.

– Za Cytadelą to nie było strzelania, ino wybuchy – poprawił ją Olkiewicz z pełnym przekonaniem i pewnością człowieka dobrze zorientowanego.

– A pan skąd wiesz? – zapytała staruszka w słomkowym kapeluszu.



– No bo ja, szanowna pani, pracuję w policji. – Powiedziawszy to, dopił piwo do końca, postawił flaszkę na stół i pokazał sprzedawczyni, że nie miałby nic przeciwko następnemu. Ta nie miała nic przeciwko sprzedaży piwa, bo zgodnie z tabliczką wiszącą za jej plecami funkcjonariusze na służbie, inwalidzi wojenni i kobiety ciężarne obsługiwani są poza kolejnością. Sięgnęła więc do skrzynki, wydobyla z niej butelkę i zdjąwszy kapsel otwieraczem, podała piwo funkcjonariuszowi.

– To co tam tak mniej więcej wybuchło, panie oficerze? – zapytała sprzedawczyni, a obie kobiety stojące z drugiej strony lady zastygły w bezruchu, bojąc się odezwać, by przypadkiem nie spłoszyć tego dziarskiego policjanta, który w kilka najbliższych minut mógł sprawić, że staną się najlepiej poinformowanymi osobami w dzielnicy. Co tam w dzielnicy, w całym mieście, bo policjant zrobił zadowoloną minę, jak to w zwyczaju mają ludzie, którzy wiedzą wszystko.

– Tylko... – Przyłożył palec do ust na znak, że to, co powie, to ściśle tajne i tajemnica służbowa i roznosić tej wiedzy nie wolno nigdzie, boby się jeszcze ktoś niepowołany mógł dowiedzieć. Kobiety oczywiście doskonale to wiedziały i dlatego nie zamierzały się z nikim dzielić tą wiedzą. No co najwyżej tylko z najbliższymi sąsiadkami, które też potrafią dotrzymać tajemnicy.

– Wybuchnął samochód, bo podłożyli pod niego bombę z plastiku – rzucił Teofil, a potem upił spory łyk piwa, bo zaschło mu w gębie od tego gadania.

– Jak z plastiku? – Kobieta w kapeluszu przełamała wrodzoną nieśmiałość.  
– Przecie bomby są z żelaza i stali, a z plastiku to mogą być co najwyżej bombki na choinkę.

– Na choinkę bombki to są ze szkła – nie zgodziła się z nią ta chuda, oskarżona o bliskie związki z komunistami. – A plastikowe to są sztuczne choinki...

– Plastikowa bomba to znaczy się z takiego plastiku, co go Czechosłowacja zrobiła – wyjaśnił Olkiewicz.

– Co pan powiesz, bomba z plastiku z Czechosłowacji. – Sprzedawczyni pokręciła ze zdziwienia głową.

– Czesi to potrafią nawet auta z plastiku zrobić – przypomniała sobie ta w kapeluszu, ale Teofil wyprowadził ją z błędu.

– Plastikowe samochody to nie Czechosłowacy, ale Niemcy z NRD. Trabanty są z plastiku. Plastik ma przyszłość.

– Prawda – poparła go komunistka. – Teraz to nawet kule takie można z plastiku robić. Sama widziałam takie pistolety na pomarańczowe kulki z plastiku, co mojej kuzynki szwagier przywiózł dla dziecioków te kulki i pistolet. Jak one strzelały tymi kulkami, że aż strach, we wszystko waliły...

– Łe, to zabawka. – Teoś machnął lekceważąco ręką.

– Ale te kule, co z nich strzelali tam pod tym domem, co to auto się spaliło, to były całkiem prawdziwe. – Sprzedawczyni też chciała dołożyć coś od siebie w kwestii dzielnicowej sensacji.

– Mówiłem pani, że nie strzelanina, ale wybuch.

– Wybuch najpierw, znaczy się rano, tak jak pan major powiada, a w nocy, jak ich wszystkich wyprowadzali z chaty, to była strzelanina.

– Zaraz, a o czym szanowna pani opowiada?

– No jak to o czym? O tym, że tam przyjechali tacy goście ubrani na czarno, w nocy przyjechali, i wyprowadzili z chaty tego bankiera Grubińskiego i jego znajomego, wsadzili ich do samochodów, a potem przejechali z rozpylaczy po dachach, żeby wiaruchna nie patrzyła. Ale i tak wszyscy patrzyli, bo jak nie patrzeć, jak takie ciekawe rzeczy się dzieją w okolicy.

– Jak tak, to ja w takim razie muszę zadzwonić. – Teofil spojrzał na sprzedawczynię. – Bo zdaje się, że pani o ważnych rzeczach mnie tu łaskawie donieść się pozwoliła.

– Na zapleczu jest telefon. – Wskazała przejście oddzielone od sklepu zasłoną z różnokolorowych plastikowych pasków. Olkiewicz, nie zastanawiając się, wszedł tam i zaraz rozsiadł się wygodnie przy niewielkim stolczku, na którym stał aparat. Chwycił słuchawkę i wykręcił numer do dyżurnego.

– Mówi porucznik Olkiewicz Teofil. A czy kto wam meldował, że w nocy były strzały jakieś z broni maszynowej na ulicy Za Cytadelą? No to sprawdźcie, czy był meldunek, bo to ważna sprawa. – Przez chwilę siedział ze słuchawką przy uchu, pilnie obserwowany przez sprzedawczynię, która na wszelki wypadek przyniosła mu jeszcze jedno piwo, bo wiadomo, że funkcjonariusz na służbie może się bardzo zmęczyć i potrzebować orzeźwienia. – Halo, nie było? No to natychmiast łączcie mnie z dochodzeniowo-śledczym w KW. Ale migiem, bo sprawa niecierpliwie oczekująca zwłoki – powiedział, patrząc kątem oka na ekspedientkę, z którą będzie musiał spędzić trochę czasu. Bo dopóki nie

przyjedzie ekipa wysłana przez Marcinkowskiego, musiał gdzieś posiedzieć. A tu wydawało się całkiem przyjemnie.

– Pan to ale ma interesującą robotę – powiedziała sprzedawczyni.

– Ja mam interesującą, ale pani bardziej. – Wskazał na skrzynki z napojami.

– W takich okolicznościach człowiek czuje się jak w niebie. Oczywiście pod warunkiem, że ma jeszcze koło siebie ciekawe towarzystwo.

– Jakie ja tam towarzystwo, hi, hi!

– Bynajmniej pani zamknie sklep w celach służbowych, bo teraz trzeba odczekać, aż przyjadą tu ode mnie z komendy koledzy. A my w międzyczasie pogadamy o interesujących kwestiach – wyjaśnił, kładąc jej rękę na pośladek i lekko ściskając. Kobieta westchnęła, jęknęła cicho, a potem trzasnęła go na odlew w pysk, tak że Teofil Olkiewicz spadł z krzesła.

Miała krzepę, cholera jedna, przyznał w duchu, pocierając obity policzek. Na szczęście dostał z otwartej dłoni, bo gdyby przyłożyła mu z pięści, to mogłaby złamać mu szczękę. A tak wyszedł na swoje szczęście bez szwanku. Teraz siedząc za biurkiem, myślał o tej wielkiej kobiecie i zastanawiał się, gdzie popełnił błąd. Może trzeba było ją złapać za te wielkie cycki, a nie za tyłek...?

– Pan porucznik też słyszał? – Mariusz spróbował wciągnąć Olkiewicza do swojej gry z zatrzymanym, ale ten rozpamiętując wdzięki pulchnej sprzedawczyni, był zbyt zajęty, by zaprzętać sobie głowę pierdołami. Tym bardziej że o ile na niwie podbojów sercowych odniósł dziś kompletną porażkę, o tyle w sprawach służbowych tryumfował. Potwierdziły się bowiem jego informacje o nocnej strzelaninie, a technicy na podjeździe domu Grubińskiego znaleźli kilka łusek od karabinka uzi. Nie znaleziono za to Grubińskiego. Bankier, a wraz z nim kapitan Brodziak, zapadli się pod ziemię.

– Ja tam bynajmniej nic nie wiem o tych sprawach – stwierdził na odczepnego Teoś. – Ale jak pan porucznik tak mówi, to tak jest – powiedział, uderzając jednocześnie dłonią w blat biurka dla podkreślenia wagi swoich słów.

– Bo według mnie pisarze maryniści muszą się znać na różnych broniach, skoro piszą o okrętach wojennych. – Mariusz spróbował ostatecznie przygwoździć Kociębę.

– Bynajmniej, panie oficerze, bynajmniej. – Marynista przeszedł do obrony.

– Ja nie jestem kolega Pertek i nie piszę o *Wielkich dniach małej floty*, ale

o statkach rybackich. Moje powieści rozgrywają się podczas rejsów dalekomorskich na trawlerach przetwórczych, opowiadają o miesiącach na morzu, o tęsknocie za domem, prawdziwych męskich przyjaźniach i paprykarzu szczecińskim.

– To w takim razie jak pan wytłumaczy fakt, że w pańskiej sypialni, pod szafką na bieliznę, znaleźliśmy nabój z karabinku snajperskiego?

– Ktoś podrzucił.

– A niby po co?

– Jak to, pan nie rozumie? Przecież to proste. Żeby odwrócić od siebie podejrzania.

– Kto w takim razie mógł to zrobić?

– Nie wiem. Ktoś, kto chciał mnie wrobić.

– Któryś z uczestników pańskiej... hmm, jak by to powiedzieć, orgii?

– O nie, wypraszam sobie takie insynuacje. To nie żadna orgia. To rodzaj lekko perwersyjnej zabawy w gronie przyjaciół. Nie ma to nic wspólnego z orgiami...

– Orgie to były u Kaliguli. – Mazurek przypomniał sobie serial *Ja, Klaudiusz*, w którym pokazywano, choć niestety bez szczegółów, jak zabawiał się znany z perwersji cesarz rzymski.

– Właśnie, ma pan sierżant całkowitą rację. Orgie to specjalność rzymska, a to, co my robimy, to *gruppen sex*. I coś takiego nie jest w naszym kraju zakazane.

– Czy ten *gruppen sex* odbywał się także w pańskiej sypialni? – zapytał Mariusz.

– Skądże znowu. Sypialnia to moja prywatna przestrzeń.

– Czyli tej nocy, o której mowa, był pan w sypialni sam.

– Tak, całkowicie sam – odpowiedział nieco zbyt szybko. Mariusz zauważył natychmiast ten pośpiech i dlatego postanowił to od razu wykorzystać.

– No to znaczy, że jest pan podejrzany. I niestety nikt nie może potwierdzić, że to nie pan strzelał, bo był pan sam. No trudno, panie Kocięba. Wraca pan do celu, bo jest pan jedynym podejrzany o strzelanie do...

– Mam alibi. Mój... znajomy był ze mną przez całą noc i poranek.

– Nie można było tak od razu? – ucieszył się Mariusz. – Co to za znajomy?

– Wiarygodny. On jest... policjantem.

– Faj – wyrwało się Mazurkowi, który choć był wielkim miłośnikiem seksu, a od kilku godzin także tego w wydaniu grupowym, to jednak w pewnych kwestiach pozostawał zatwardziałym tradycjonalistą.

## Rozdział VIII

### Okolice Opalenicy Godzina 16.30

Wąsacz siedział przykuty kajdankami do krzesła. Gdyby nie był przytwierdzony, to pewno by już dawno wylądował na podłodze tej graciarni. Ale ci, którzy go tu zamknęli, zadbali o wszystko. Przede wszystkim o to, żeby nie stracił przytomności. Znał ten numer z krzesłem i sam go od czasu do czasu stosował w stosunku do niektórych zatrzymanych opozycjonistów, szczególnie tych najbardziej opornych, kiedy trzeba było koniecznie wydusić z nich jakieś zeznania. Jeśliby się takiego delikwenta rzuciło na podłogę, nawet związanego jak baleron, to ten po pewnym czasie mógł zasnąć, bo w końcu by znalazł jakąś w miarę wygodną pozycję. Ale posadzony na krześle człowiek, z rękami skutymi za oparciem, miał zdecydowanie gorzej. Musiał postarać się siedzieć w taki sposób, żeby nie polecieć w dół, bo każdy taki upadek skończyłby się bolesnym uderzeniem w głowę. Ale to było niczym w porównaniu z tym, co on by poczuł, gdyby doszło do uderzenia w zranione ramię. To bolało go przez cały czas, a dodatkowy impuls przy upadku mógłby spowodować niewyobrażalne cierpienie. Dlatego skupił cały swój wysiłek na tym, aby nie runąć z krzesłem, choć głowa leciała mu ku dołowi. Gdy tylko tracił nad nią kontrolę i opadała mu na pierś, pojawiał się przebłysk świadomości i wtedy podrywał ją ku górze, ratując się w ten sposób przed upadkiem.

A może ta walka była zupełnie niepotrzebna? – sam sobie zadawał pytanie, które pojawiało się wraz z narastaniem wątpliwości w sens tego, co zrobił i co się stało. Niewątpliwie przegrał rozgrywkę i teraz ponosił konsekwencje swoich błędów. Kiedyś, gdy był funkcjonariuszem SB, życie było łatwiejsze i zdecydowanie prostsze. Wtedy nie musiał się niczym martwić, bo wiedział, że jest po dobrej stronie, że robi wszystko, co w jego mocy, żeby w kraju panował w dalszym ciągu ustrój społecznej równości i sprawiedliwości. Natomiast ci, których przesłuchiwał, ludzie z opozycji, to byli wichrzyciele i awanturnicy, którym zależało tylko na wprowadzeniu w kraju chaosu, zamieszania i podtrzymywania stanu napięcia. Wiedział, że musi zrobić wszystko, by odechciało im się tej zabawy. I robił, zasługując w ten sposób na uznanie

swoich przełożonych. A teraz to ci źli przejęli władzę, nie tylko w kraju, lecz także nad resortem. I to oni decydowali o tym, co jest słuszne, a co nie. On natomiast nagle znalazł się po złej stronie. I dlatego teraz przegrywał, uwięziony w tej komórce. Ale coś w tym wszystkim było nie tak. Przecież ewidentnie facet, którego miał sprzątnąć, był bandytą. I teraz był w rękach ludzi, którzy działali na jego polecenie, więc też byli bandytami. We wszystkim pomagał im jeszcze skorumpowany glina, więc co miał o tym sądzić?

Głowa mu opadła i poczuł, że odpływa w kierunku, którego nie potrafił określić. Pociągnęła go jakaś dziwna fala magnetyczna i za nic nie mógł jej się oprzeć. Naraz dostrzegł wykrzywioną z bólu twarz kolegi saperskiego, który dostał kulę prosto w czoło. Miał otwarte oczy i wyciągniętą dłoń machał ku sobie, jakby chciał powiedzieć, że czeka na niego i już niedługo się spotkają. On jednak najpierw musi dokończyć jeszcze swoją robotę i rozprawić się z tymi złymi ludźmi.

Ktoś gdzieś tam w oddali szedł ku niemu. Słyszał wyraźne kroki, a potem jęknięcie otwieranych drzwi. Zbliżał się jakiś człowiek, a może nawet dwóch. Czyżby ktoś, kto chciał mu pomóc, nadchodził z odsieczą...?

– Ja jego znam – usłyszał jakiś głos, który wydał mu się znajomy. – To jest kapitan Emil Wąsacz z SB.

Zadrżał, usłyszawszy swoje nazwisko. A więc jednak koledzy, towarzysze odnaleźli go i teraz chcą go uratować.

– Nieciekawy typ – mówił dalej ten sam facet. – Opowiadali o nim, że zajmuje się likwidowaniem ludzi z podziemia, ma się rozumieć tych szczególnie niewygodnych. W mafii kogoś takiego nazywają cynglem. Wyjątkowo odrażająca kreatura. Ale najlepsze jest to, że on podobno rzeczywiście robił to z przyczyn ideologicznych, to znaczy, że wierzył w socjalistyczną ojczyznę i chciał jej bronić za wszelką cenę. Kto wie, czy w tej chwili nadal nie jest na służbie.

Z trudem uniósł głowę ku górze. Spojrzał na faceta, który stał tuż obok. Poznał go. Ten rudzielec to był Brodziak z dochodzeniówki. Zwykły śmieć, którego trzeba było już dawno zlikwidować.

– Prawdziwy czekista jest zawsze na służbie – rzucił mu w twarz esbek Wąsacz. – Możecie mnie zabić, ale i tak przegracie, skurwysyny. A wiecie dlaczego? Bo sprawiedliwość dziejowa jest po mojej stronie. Wy jeszcze tego nie rozumiecie, ale prędzej czy później się przekonacie, że to my wygramy. Tacy jak ja, ideowcy, przejmą znów władzę w tym kraju i pokażą wam, na czym

polega rachunek krzywd. I wtedy zrozumiecie, co chciał powiedzieć Tuwim w swojej *Modlitwie*.

*Lecz nade wszystko słowom naszym,  
zmienionym chytrze przez krętaczy,  
jedyność przywróć i prawdziwość:  
niech prawo zawsze prawo znaczy,  
a sprawiedliwość – sprawiedliwość...*

– To właśnie my za jakiś czas pokazemy wam jeszcze, wy gnoje, co to jest socjalistyczna sprawiedliwość i...

– Miruś, czy ty, kurwa, słyszysz, co on bredzi? – zapytał Rychu Grubiński. – Ten skurwiel nam robi wykłady o sprawiedliwości?

– Mówiłem, że to jest esbecka gnida – stwierdził Brodziak, poprawiając sobie rozcapierzonymi palcami grzywę, która opadła mu na czoło. – On myśli, że on i jego kumple jeszcze będą rządzić w tym kraju.

– Dobra, pierdolić go. – Rychu machnął ręką. – Jak kto ma nasrane w głowie, to my nic na to nie poradzimy. Zresztą co mnie obchodzą jego urojenia. Ja chcę wiedzieć tylko jedno: dlaczego postanowili mnie kropnąć?

– Słyszałeś? – Brodziak klepnął esbeka w policzek. Ten otworzył oczy i popatrzył niezbyt przytomnym wzrokiem na stojących przed nim mężczyzn. Przez chwilę taksował ich spojrzeniem, a potem uśmiechnął się pod zrudziałym od tytoniu wąsem.

– Dajcie zapalić – powiedział.

– Daj mu fajkę. – Rychu położył Brodziakowi rękę na ramieniu. Ten wydobył paczkę z kieszeni swojej dżinsowej kurtki, odpalił sam papierosa, a potem włożył esbekowi w usta.

– Dziękuję – powiedział poczęstowany.

– To nie są imieniny u wuja Stacha – warknął Rychu. – Dostałeś ćmika, mimo że kilka godzin temu próbowałeś mnie zabić. Więc słuchaj mnie, ty esbecka szmato, nie mam zamiaru się z tobą pierdolić. Powiesz mi wszystko, odpowiesz na wszystkie pytania, które ci zadam, i będziesz miał spokój.

– Wypuście mnie? – Wąsacz trochę się zdziwił.

– Tego nie powiedziałem.



– Czyli że co?

– Czyli że oszczędzisz sobie bólu.

– A, rozumiem. – Esbek zaciągnął się dymem i zaczął kaszleć. Jednak nie wypuścił papierosa z ust. – Chcecie, żebym wszystko powiedział, i jedyne, na co mogę liczyć, to że mnie załatwicie bez zbędnego cierpienia.

– Ty, Mirek, patrz, jaki domyślny – rzucił Rychu.

– Myślę, że za dużo z nim gadasz. Ten facet zjadł zęby na technikach przesłuchań. Próbuje cię wciągnąć w dyskusję. Zupełnie niepotrzebnie. Trzeba mu wsadzić palec w ranę i pogrzebać. – Mirek był zwolennikiem najprostszych, ale najskuteczniejszych metod.

– No proszę, pan kapitan się odezwał – rzucił drwiąco Wąsacz. – Wiedziałem, że w policji roi się od półgłówków, ale nie przypuszczałem, że takie prymitywy pracują w dochodzeniowo-śledczym KW.

– Jakbyś mu chciał przypierdolić, Miruś, to się nie certol, śmiało. – Rychu wskazał na esbeka.

– Nie mam zamiaru dotykać ścierwa. – Brodziak włożył demonstracyjnie rękę do kieszeni.

– A co do technik przesłuchań – Wąsacz najwyraźniej poczuł swoją szansę i zamierzał ją wykorzystać – to zdaje mi się, że to nie ja przesłuchuję, ale jestem przesłuchiwany. Więc moja sytuacja jest kiepska, bo technik zastosować nie mogę, ale...

– Próbuje przejąć inicjatywę – rzucił Brodziak.

– Niech przejmuję – odpowiedział Rychu, sięgając do wewnętrznej kieszeni swojej kurtki po butelkę łyskacza. Odkręcił korek i wypił łyk, a potem podał flaszkę Brodziakowi.

– Dziękuję za pozwolenie. – Esbek skinął głową z uznaniem. – Skoro mogę mówić, to powiem, że jako właściciel firmy powinien się pan znać na negocjacjach. I dlatego powinien pan wiedzieć, że przyciśnięcie drugiej strony do muru może przynieść odwrotne skutki od oczekiwanych. To znaczy, że przyciśnięty do muru może usztywnić swoje stanowisko. Tak może też być z nami. Jeśli nie dacie mi szansy na wyjście z tej sytuacji, co tu dużo gadać, niezbyt dla mnie komfortowej, to możemy się nie dogadać. To znaczy, że osiągniecie tyle, że niczego się nie dowiedziecie, a ja także nic nie osiągnę, bo będę cięższy o dziewięć gramów ołowiu. I dlatego proponuję, żebyście dali mi jakąś szansę wybrnięcia z matni, a ja rozważę, czy ta szansa jest warta podjęcia

rozgrywki. Żeby panom ułatwić decyzję, mogę powiedzieć tak, że w tym, co zaszło, powiedzmy, w tej niefortunnej sytuacji, nie ma nic osobistego. Pan Grubiński jako człowiek mnie nie interesuje. Interesowało mnie tylko zadanie, które miało przynieść określone cele. Jeśli się dogadamy, zniknę i nigdy więcej mnie nie zobaczycie. To mogę wam obiecać.

Grubiński spojrzał na Mirka. Ten lekko skinął głową, nie przepadał bowiem za zabijaniem pojmanych przez siebie ludzi. Jak dotąd nikogo nie zabił i nie zamierzał też dopuścić do tego, by Rychu ukatrupił tego faceta.

– No niech będzie. Ty jako esbecka gnida też mnie nie interesujesz – stwierdził Rychu. – Więc jeśli powiesz nam, kto stoi za tym zamachem i dlaczego chciał się mnie pozbyć, pozwolę ci zniknąć.

– No to umowa. A co na to pan kapitan? – Esbek popatrzył na Brodziaka. Ten wzruszył ramionami.

– Mam to w dupie – stwierdził.

– Oto odpowiedź godna prawdziwego funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej, wychowanego na ideałach socjalistycznych, wzorowanych na chrześcijańskiej miłości bliźniego i zaadaptowanych do potrzeb służby, czyli kolega kapitan umywa ręce. Jak Piłat.

– Dobra, przestań już się wymądrzać i gadaj! – Rychu się zdenerwował.

– Co pan chce wiedzieć? – Esbek spojrzał na niego, a w oczach pojawił się pewien blask, którego jeszcze przed chwilą mu brakowało. To ta iskra, która sprawia, że człowiek w beznadziejnej dotąd sytuacji zaczyna wierzyć, że może jeszcze nie wszystko stracone.

– Czemu chcieliście mnie zabić?

Wąsacz uśmiechnął się i pokręcił lekko głową.

– Ja nie wiem dlaczego, ale zapytajcie Bieleckiego...

## **Opalenica**

### **Godzina 16.50**

Chłopak patrzył w zakratowane okno pokoju przesłuchań i zastanawiał się, jak będzie wyglądał za trzydzieści lat. Jeśli do jego szesnastu dodać te trzydzieści, to jak by nie patrzeć, będzie miał czterdzieści sześć, czyli będzie starszy od swojego taty o sześć lat. A musiał przyznać, że tata wcale nie wygląda młodo, a do tego jeszcze ma słabą głowę, bo jak wypije, to

momentalnie zasypia. I w takim razie musiał sobie odpowiedzieć na pytanie, czy jeśli będzie podobny do niego we wszystkim, w tym wyglądzie i w zasypianiu po wódce, to czy w tej sytuacji będzie mógł znaleźć sobie jakąś dziewczynę? Bo jak miałby żyć bez kobiety? Przecież kobiety są potrzebne do gotowania w domu, robienia prania i sprzątanía. Tyle że te wszystkie dziewczyny, które znał z dyskoteki czy z ulicy, na pewno już wyjdą za mąż, będą miały dzieci i będą sprzątać komu innemu, a on nie będzie miał ani żony, ani dzieci, ani mieszkania, ani samochodu, ani nic. Za to będzie miał doświadczenie w siedzeniu w więzieniu. Tylko co z takim doświadczeniem zrobi w dwa tysiące dwudziestym roku? Wtedy już na pewno wszystko się zmieni i na ulicach nie będzie zwykłych samochodów, ale latające poduszkowce. I takimi latającymi wozami będą zajmować się warsztaty samochodowe. A on, mechanik z wykształcenia, pójdzie do najbliższego zakładu naprawczego i powie, żeby go przyjęli do roboty, bo przecież coś musi robić, a wtedy ten szef z autonaprawy zapyta go, czy zna się na poduszkowcach, a on powie, że nie, bo ostatnim razem, przed odsiadką, zajmował się rozcinaniem baku passata, który rozbił się pod Opalenicą. Czyli za trzydzieści lat będzie zupełnie nieprzydatny i nic nie będzie umiał. I ten nadchodzący nowy wiek wcale nie będzie taki fajny, jakby się mogło wydawać, gdy w szkole podstawowej, wraz z innymi uczniami z klasy, śpiewał piosenkę okolicznościową o przyszłości:

*W dwudziestym pierwszym wieku będziemy już dorośli,  
w dwudziestym pierwszym wieku musimy świat uprościć.  
Przyjaźni złoty orzech przetoczy się pod próg  
i świat zapomni może, co znaczy słowo wróg.*

– No i co, Łopatka, zastanowiłeś się? – odezwał się policjant, który wrócił do pokoju ze szklanką herbaty w ręce. Podeszedł do stołu, postawił na nim naczynie i usiadł na krześle. Chłopak nie wiedział, jak długo siedział tu sam. Obstawiałby jakieś pięć godzin, ale nie miał zegarka, bo zapomniał go zabrać w zeszłym roku z przechowalni na basenie Olimpii w Poznaniu. Ten szkieł powiedział mu, zanim wyszedł, żeby się zastanowił nad sobą, bo jak teraz wprowadzi policję w błąd i nie przyzna się do kradzieży narkotyków, to pójdzie siedzieć i najwcześniej wyjdzie za trzydzieści lat. Czyli wtedy, kiedy zgodnie ze słowami piosenki nie będzie już żadnych wrogów, a po ulicach będą latały poduszkowce, dokładnie takie, jak rysował na lekcjach wychowania

plastycznego, gdy pani zadała temat: „Jak wyobrażam sobie XXI wiek”. Narysował te latające samochody i dostał piątkę. A teraz pójdzie do więzienia, i nie będzie mógł oglądać tej przemiany jeżdżących na kołach aut w samoloty, bo będzie siedział w Rawiczu albo we Wronkach.

– Zastanowiłem się – odpowiedział, a policjant Smolarek uśmiechnął się zadowolony i pociągnął łyk herbaty, a potem wydmuchał gorące powietrze ustami wprost na przesłuchiwanego. Ten zmarszczył nos, bo nie przepadał za zapachem alkoholu. Jeszcze był za młody, żeby pić wódkę z herbatą, tak jak ten policjant.

– No to gadaj, co i jak. Bo twój kolega już nam wszystko powiedział, więc nic nie kręć, bo ja nie mam czasu, żeby mi ktoś nawijał makaron na uszy. No dalej. To jak było w tym warsztacie samochodowym? Co żeście tam znaleźli?

– Znaleźliśmy paczki z szynką konserwową, ale tam szynki nie było.

Policjant zrobił wielkie oczy, bo czego jak czego, ale szynki konserwowej się nie spodziewał.

– Jakiej, kurwa, szynki? – jęknął rozpaczliwie.

– Konserwowej, ale bez opakowania, bo jakby była w puszcze, toby się nie dało jej tak pomieścić w tym baku. To myśmy ją wyciągnęli i była zawinięta w worki foliowe, takie czarne worki, żeby nie prześmierdła od bendzyny, i żeśmy to wydobyli, no i żeśmy jedną paczkę otworzyli, a tam nie było szynki, tylko proszek biały, to znaczy, że tą szynkę podmienili i włożyli tam narkotyki.

– A skąd ty wiesz, że biały proszek to narkotyki są? – zapytał chytrze policjant. Chłopak uśmiechnął się, zadowolony z wrażenia, jakie zrobił na funkcjonariuszu.

– Bo ja chodzę do kina i w kinie widziałem.

– A gdzie niby chodzisz do kina? – zapytał podchwytliwie Smolarek. – Przecież kino Orzeł jest u nas już dawno zlikwidowane.

– I dlatego żeśmy chcieli iść nie do kina, ale do dyskoteki. Bo tam, gdzie kino było Orzeł, to jest teraz dyskoteka, co się nazywa Discoland – wyjaśnił chłopak.

– Co ty pierdolisz, Łopotka? Co mają wspólnego narkotyki z dyskoteką w kinie? Przecież gadałeś, że widziałeś w kinie narkotyki.

– Nie. – Chłopak pokręcił głową. – W kinie to na filmie byłem, a do dyskoteki to żeśmy chcieli zanieść dla disc jockeya.

– Dla kogo? – Policjant nie bardzo znał się na tych dyskotekowych nazwach, bo na tego rodzaju muzyczne imprezy nie chodził. Bywał, owszem, w tym Discolandzie, czy jak to się tam nazywa, ale tylko wtedy, gdy ludzie zgłaszali jakieś szczególne ekscesy. A te zdarzały się od czasu do czasu w trakcie imprez, bo wiadomo, że młodzi ludzie, zwłaszcza wtedy, gdy wypiją trochę i chcą zaimponować dziewczynom, lubią się wziąć za łby i wytraskać po mordach. No więc bywały sytuacje, że trzeba było posłać tam patrol i zrobić porządek. Bo na cmentarne ekscesy przestali już na komendzie zwracać uwagę. Discoland położony był tuż przy cmentarzu, więc w trakcie potańcówek młodzież chodziła tam poobściskować się na nagrobkach, a często na coś więcej. Zgorszeni i oburzeni właściciele grobów dzwonili później na policję, że na pomniku leżały puste flaszki, wypalone pety i zużyte kondomy. Ale na to przecież policjanci nie mieli wpływu i Smolarek uważał, że patroli na cmentarz w trakcie dyskotek wysyłać się nie powinno. Jak właściciele chcą, niech sami pilnują spokoju umarłaków, bo wcale nie był przekonany, że ci ostatni muszą koniecznie być zgorszeni widokiem młodych i jędrnych gołych tyłków nad swoim grobem.

– Dla tego Adama Wiśniaka, co on prowadzi dyskoteki...

– Zaraz, zaraz, powiadasz Adama Wiśniaka?

– Tak jest – potwierdził szybko chłopak, żeby nie było żadnych wątpliwości, że całkowicie poszedł na współpracę, by nie przesiedzieć najbliższych trzydziestu lat w więzieniu, jak zapowiedział mu ten policjant. – To wszystko, co żeśmy wyciągnęli z samochodu, znaczy się z tego baku, to my nieśli do Adama Wiśniaka na dyskotekę, tyle że żeśmy tam...

– Zaraz, czekaj. – Policjant poderwał się z krzesła. – Siedź tu – polecił i wyszedł z pokoju. Szymek Łopatka zadowolony spojrział w okno. Chmury, które jeszcze niedawno zasnuwały niebo, teraz jakby się przerzedziły. Być może popołudnie będzie jeszcze słoneczne i pogra w piłkę z chłopakami, jeśli wypuszczą go z tego więzienia. No ale dlaczego by go mieli nie wypuścić, skoro wszystko im powiedział? Ciekawe tylko, czemu policjant aż podskoczył, jak usłyszał, że chcieli tę szynkę oddać Wiśniakowi. Trzeba było mu powiedzieć jeszcze, że Wiśniaka nie było w chacie i dlatego poszli do dyskoteki. Ale właściwie to jaka różnica? I tak Wiśniak nie miał szynki, oni też jej nie mieli, a miała ją chyba policja, bo Włodziu torbę z fantami zostawił w policyjnym aucie. Że też to wszystko jest takie skomplikowane i do tego jeszcze tak groźne...

Rozmyślania przerwało mu wejście policjanta. Najpierw wszedł Smolarek, który go przesłuchiwał, a zaraz po nim ten drugi. Szymek rozpoznał go natychmiast. To był ten policjant, co się nazywał Wicher, ten sam, który go odwiózł wieczorem do domu.

– Powiedz mi, Łopatka, i mojemu koledze, co żeś mi tu zeznał.

Chłopak przez chwilę się zastanawiał, ale nagle przyszło olśnienie i wtedy uśmiechnął się radośnie.

– Powiedziałem, że widziałem narkotyki tylko w kinie.

– Nie o tym. – Policjant machnął ręką zniecierpliwiony. – To do kogo żeście te narkotyki nieśli.

– Jakie narkotyki?

– Te, co mieliście w swojej torbie.

– A, w torbie to była szynka konserwowa, ale bez puszek...

– Nie o szynce, kurwa, o narkotykach gadaj!

– A, o narkotykach. No to my je nieśli... do Adama Wiśniaka. Ale tam była szynka... – próbował uściślić swoje zeznanie, ale nikt już go nie słuchał. Obaj policjanci patrzyli na siebie, jakby właśnie udało im się przez przypadek obliczyć równanie z trzema niewiadomymi.

– Jego matka zgłosiła nam zaginięcie – zaczął powoli mówić Smolarek. – Potem odnajdujemy samochód tego gościa. A teraz na dodatek jeszcze mamy narkotyki z drugiego auta. Widzisz, Wicher, że porywa nas wartki strumień wydarzeń i nie wiadomo, dokąd nas zaprowadzi. Ale ja myślę, że to nas musi najpierw zaprowadzić gdziekolwiek, a potem dopiero pokażemy pani prokurator, co żeśmy odkryli. Co myślisz?

– Myślę, że się nic nie stanie, jak się jej rzuci te narkotyki pod nogi. – Kapral uśmiechnął się do swoich myśli, wyobrażając sobie zgrabne łydki pani prokurator, a do tego jeszcze jej zdziwioną minę, kiedy spogląda na te wory narkotyków, właśnie rzucone jej do stóp, i pyta:

– To ty wszystko to znalazłeś?

A on odpowiada, że oczywiście, bo co to dla niego znalezienie takich narkotyków.

– Jesteś bardzo dzielny – mówi prokurator Bocian, a on robi minę człowieka dumnego, ale skromnego.

– Jak się człowiek weźmie do roboty, to są efekty. Tylko trzeba myśleć o pracy na poważnie, a nie o dupie Maryni – odpowiada i widzi, że jej mina się zmienia, bo przecież przy wrażliwej kobiecie, nawet jeśli jest ostrą jak żyłotka Polsilver prokuratorką, w żadnym wypadku nie można mówić o dupie i czymkolwiek brzydkim. Ale z drugiej strony trzeba przyznać, że jej tyłeczek jest całkiem kształtny i absolutnie nie jest brzydki. Gdyby tak zdjąć jej tę spódnicę, to...

– Słyszysz mnie? – Z zamyślenia wyrwał go głos Smolarka.

– Słyszę. Oczywiście, że słyszę.

– Czyli że się rozumiemy?

– Ale z czym?

– No że nikomu nic rzucać się nie będzie, tylko sami to rozwiążemy, a jak już będziemy mieć wszystko, to my ją ładnie zaprosimy do nas na komendę i wtedy jej dopiero pokażemy, i ona zrobi wielkie oczy.

– Ano tak... – Wicher pokiwał głową, choć wcale nie był przekonany, że to najlepszy plan, na jaki mogli się zdobyć. On chciał oczarować panią prokurator, a ten durny Smolarek utrzyć jej nosa. A jak ona będzie miała taki utarty nos, czyli będzie czerwony, jak to u bocianicy, to jeszcze gotowa się obrazić. I dlatego Wicher tylko pozornie zgodził się ze swoim dowódcą. Bo postanowił, że będzie robił wszystko, tak jak on każe, a jednocześnie będzie po cichu informował panią Bocian o tym, co się w tej sprawie wyrabia. A jak chorąży zapyta, skąd ona coś tam wie, czego wiedzieć nie powinna, to oczywiście powie mu, że nie ma na ten temat absolutnie bladego pojęcia.

– I dlatego idź teraz do tego Discolandu i dowiedz się wszystkiego o tej dyskoteci – polecił Smolarek.

– Że niby co mam się dowiedzieć?

– No wszystko. Czyli co robił na tej dyskoteci ten Wiśniak, z kim gadał, czy z kim pił i kto go widział, jak odjeżdżał do domu. Bo on z tej dyskoteki musiał wyjechać, ale jak wiemy, do chaty nie dojechał. I my musimy wiedzieć, czemu on nie dojechał. I ty to sprawdź jak najszybciej, bo nam się śledztwo zaczyna układać w bardzo ładne przestępstwo kryminalne i jak my je rozwiążemy, to...

Smolarek zatarł ręce i nie dopowiedział już co, bo w zasadzie sam nie wiedział, na co może liczyć. Kiedyś za takie osiągnięcie śledcze dostałby skierowanie na wczasy FWP do Kołobrzegu, nagrodę pieniężną, a może nawet talon na małego fiata. Ale czasy się zmieniły, milicyjne domy wczasowe

podobno się prywatyzują i za turnus płaci się z własnej kieszeni, a samochody trzeba sprowadzać z Niemiec. Wszystko się zmienia, choć było tak pięknie. I komu to przeszkadzało?

Tymczasem Wicher, który nigdy nie był na wczasach pracowniczych i nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek pojedzie, wychodził właśnie z budynku komendy, gdy zawołał go dyżurny, sierżant Listwiak.

– Słuchaj no, młody, ty żeś tu jakąś torbę zostawił na dyżurce, nie?

– No zostawiłem, a co?

– Bo nikt nie odebrał.

– To pewnie odbierze. Te chłopaki były tu dziś...

– Mówisz o tym młodym Łopatce?

– No to on, a co?

– Bo ten Łopatka, jak wychodził, to powiedział, żeby torbę oddać tobie, bo tam jest jakaś szynka konserwowa... A on tej torby nie chce, bo to nie jego i że masz wziąć.

– Jaka szynka?

– Może by sprawdzić. No wiesz, jak szynka, to po co ma tu leżeć. Chłopak ci oddał, to może by się podzielić. W domu szynka zawsze się przyda.

– Dawaj tą torbę – zdecydował Wicher.

Listwiak natychmiast położył ją na stole, otworzył i włożył do środka rękę. Po chwili wyciągnął jakąś paczkę.

– Szczelnie zapakowana – powiedział z uznaniem. – Ale coś tu wysypało mi się na rękę. O, to chyba cukier, bo białe...

– Cukier? – Wicher spojrzał na woreczek i wciągnął z sykiem powietrze. Listwiak tymczasem oblizał dokładnie białe palce.

– Ja pierdolę – mruknął. – Co to za cukier puder? W ogóle niesłodki – stwierdził. – Pewnie rąbnęli z naszej cukrowni. Ja pamiętam, jak za komuny z cukrowni kradli na potęgę. I nie po kilogramie, ale całe worki przerzucali przez płot i samochodami wozili. A tu jakieś kilo pudru, to żadna kradzież...

– To nie jest cukier – stwierdził Wicher.

– Jak nie cukier, jak biały proszek jest, a nawet smaczny, chociaż bez smaku. – Listwiak oblizał palec i przyłożył go do pękniętej torebki. Zaraz kolejna porcja białego proszku powędrowała do jego ust.



– Nie żryj tego, kurwa, bo to narkotyki są! – zawołał Wicher.

– A czemu ty, Wicher, się kręcisz razem z tym pokojem? – zdziwił się dyżurny. – Czy wy nie wiecie, że na dyżurce nie wolno się kręcić, bo cała komenda może się zakręcić z wami? Stójcie i się nie kręćcie!

Wicher się nie kręcił, bo był zajęty policyjną analizą. Na wszelki wypadek wziął nieco proszku na palec i też włożył go sobie do ust, żeby się upewnić, czy to rzeczywiście narkotyk. Bo Listwiak nie mógł już potwierdzić niczego. Usiadł na fotelu i złapał się mocno poręczy, patrząc nieprzytomnym wzrokiem na kolegę. Ten za to poczuł nieprawdopodobną jasność umysłu, którą spowodował zapewne promień słońca wpadający przez okno do wnętrza dyżurki. Wziął paczkę i pognał do pokoju na górę, by rzucić narkotyki pod nogi pani prokurator, tak jak to zaplanował. Ale Brygidy Bocian nigdzie w pobliżu nie było.

## **Poznań**

### **Godzina 18.30**

Mazurek zapalił papierosa i splunął zaraz na chodnik, bo do języka przykleił mu się jakiś paproch.

– Co to są za gówniane fajki – powiedział sam do siebie, bo tak naprawdę nie zamierzał wchodzić w dyskusję z samym sobą o paleniu tego świństwa, którym się truł. Popularne może nie były smaczne, ale miały jedną istotną zaletę. Były najtańszymi papierosami na rynku, a sierżant Mazurek nie lubił wyrzucać pieniędzy w błoto. Uważał, że kupowanie innych papierosów, droższych od popularnych, byłoby marnotrawstwem. Bo przecież efekt palenia tych jego fajek w porównaniu na przykład z carmenami był dokładnie taki sam. Organizm pochłaniał dym, który według lekarzy był szkodliwy dla zdrowia. No to jeśli ten dym szkodził, rozumował słusznie Mazurek, to niech mu szkodzi tańszy, a nie droższy. Jak się truć na własną prośbę, to chyba lepiej za to płacić jak najmniej.

– Jakbyś palił takie jak te moje – Teofil Olkiewicz włożył do ust ekstra mocnego bez filtra – tobyś miał całkiem inny smak w gębie.

– Ja tam zostanę przy swoim, panie Teofilu – stwierdził Mazurek i znów splunął.

– No czemu nie otwieracie drzwi? – zapytał Blaszkowski, wychodząc z nyski. Policyjny samochód, którym przyjechali pod dom zatrzymanego pisarza

marynisty, stał zaparkowany przed podjazdem. Ze środka wysiadał właśnie technik policyjny, starszy chorąży Urbański, z nieodłączną walizeczką, zawierającą wszystko, co potrzeba do prób, jakie zamierzali wykonać w tym domu.

– A czy my są włamywacze? Nie mamy kluczy? – zapytał Teofil, który jak zwykle nigdzie się nie śpieszył i wcale nie miał zamiaru dać się poganiać Blaszkowskiemu. Przyjechał tu, bo nie miał nic do roboty w komendzie, a jako człowiek czynu nie bardzo lubił siedzieć beczynn timer. Pomyślał więc, że może warto rozprostować trochę kości, tym bardziej że dziwnym trafem skończyła mu się wódka, którą miał schowaną na czarną godzinę. Gdy usłyszał, że Blacha chce jechać tam, gdzie sam był jeszcze całkiem niedawno, czyli pod Cytadelę, to przyszła mu do głowy myśl, że być może w swojej willi Rychu Grubiński ma całkiem dobrze zaopatrzone barek. A skoro mieli wejść do jednego i drugiego domu, żeby przeprowadzić jakiś eksperyment balistyczny czy jakiś tam, którego sensu Teofil nie pojmował, bo nawet nie próbował się wgłębiać w tematykę, to była szansa, że on spokojnie będzie mógł się zająć swoimi sprawami. Gdy Blacha wyjaśniał Mazurkowi, o co chodzi, Teofil pogrążony był więc we własnych myślach na temat możliwości, jakie może dawać mu chata Rycha.

– A, prawda. – Blaszkowski sięgnął do kieszeni. – Teoś, tu masz klucze. – Podał mu pęk, który dostał od Grubińskiego na wszelki wypadek. – Idź do kuchni i zdejmij z okna zasłonę z dykty. A jak zdejmiesz, to czekaj, aż wszystko się tu zainstaluje.

Teofil pokiwał głową. Nie wiedział, co się zainstaluje, ale też nic go to nie obchodziło. Myślał już tylko o tym, żeby tam pójść i rozejrzeć się w środku. A jak już się rozejrzy, to zdejmie zasłonę z okna i będzie czekał na to, co oni tam będą chcieli zrobić.

– No i masz tu radiotelefon, żebyśmy mogli cię instruować. – Mariusz podał mu solidny aparat z antenką, który Olkiewicz wziął do ręki i zaraz zaczął mu się podejrzliwie przyglądać.

– A jak to działa? – zapytał na wszelki wypadek, bo z techniką nigdy mu nie było po drodze.

– Przyciskasz tu ten czarny przycisk i mówisz – wyjaśnił technik. A jak słuchasz nas, to nic nie przyciskasz, tylko słuchasz. – Klepnął Olkiewicza w ramię. – Nic się nie martw. Dasz sobie radę, Teofil.

Wzruszył ramionami. Oczywiście, że da sobie radę. Zawsze sobie radził. Gdy oni, wszyscy ci młodzi, jeszcze nie wiedzieli, co to jest milicja, on już

wsadzał przestępców do więzienia. I wtedy obsługiwał znacznie bardziej skomplikowane urządzenia, na przykład wojskową radiostację dalekiego zasięgu. To znaczy nie do końca obsługiwał, ale przez nią rozmawiał podczas ćwiczeń wojskowych na poligonie w Biedrusku, które musiał odbyć w ramach przeszkolenia.

– He, he, nie takie się miało w ręce – rzucił na odchodnym i podreptał na drugą stronę ulicy, odprowadzany spojrzeniami kilkunastu mieszkańców, którzy wyszli ze swoich domów, żeby przyrzeć się operacyjnej robocie śledczych. Zawsze to było ciekawsze niż siedzenie przed telewizorem.

Pozostali policjanci ruszyli do willi naprzeciwko. Gdy podeszli do drzwi, Blaszkowski otworzył je, a potem skinął w kierunku auta. Mazurek ostrożnie pomógł wysiąść Kociębie, którego musiał przytrzymać pod ramię, by się nie przewrócił. Pisarz, odkąd się dowiedział, że policjanci chcą przeprowadzać w jego domu jakieś eksperymenty, utrzymywał, że źle się czuje i powinien natychmiast trafić do szpitala. Blaszkowski był jednak twardy i nie zgodził się na żadne leczenie, dopóki nie przeprowadzi wizji lokalnej. Nie mógł tam jednak jechać sam, bo nie miał na razie zgody prokuratora na wejście do willi. I dlatego potrzebny mu był gospodarz. Musiał więc zabrać go ze sobą.

– Nie rozumiem, o co tu chodzi i ile jeszcze będziecie mnie dręczyć – rzucił zirytowany pisarz.

– Tyle, ile trzeba, panie Kocięba – stwierdził Blaszkowski, uśmiechając się przy tym, choć wcale nie było mu do śmiechu. Bo tak naprawdę nie czuł się najlepiej z tym, co ciążyło mu od chwili, kiedy ten facet powiedział, z kim spędził minioną noc. I dlatego poszedł z tą informacją do swojego szefa.

Fred Marcinkowski pokręcił głową. Ale nie było w tym kręceniu wyrazu jakiegoś niedowierzania. Raczej zdziwienie, a potem coś w rodzaju bezradności. Bo co niby miał zrobić w sytuacji, w której dowiadywał się, że być może jego pracownik był w miejscu, z którego strzelano do Grubińskiego. Tak naprawdę chyba po raz pierwszy w swojej karierze poczuł się bezradny. Musiał przecież wyjaśnić wszelkie wątpliwości, ale jak miał to zrobić, żeby jego oficer nie odniósł wrażenia, że kieruje się jakimiś uprzedzeniami odnoszącymi się do jego orientacji seksualnej. On przecież zawsze był daleki od zagładania komuś do łóżka.

– Blacha, do jasnej cholery, jak z tego wybrnąć?

– Myślę, że... nie wiem. Na szczęście to nie ja jestem szefem. – Mariusz w zasadzie był zadowolony z tego, że może przerzucić odpowiedzialność na swojego dowódcę. Zrobi tak, jak zdecyduje Marcinkowski. Choć wiedział, że każde rozwiązanie będzie złe. Oczywiście zakładając, że ich kolega jest całkowicie niewinny i niezamieszany w tę sprawę.

– No to zacznijmy od początku. – Fred sięgnął po paczkę klubowych leżącą przed nim na biurku. Już dawno obiecał sobie, że rzuci palenie, bo od czasu do czasu czuł jakieś bóle w klatce piersiowej i to go oczywiście niepokoiło. Ale w tej pracy nie sposób było nie palić, usprawiedliwiał sam siebie, zaciągając się dymem. Tu wszyscy palili... No z wyjątkiem Blaszkowskiego, ale on nie miał żadnych nałogów. Taki dziwny typ. – Mamy zamach na Grubińskiego. Samochód wylatuje w powietrze. Ktoś zabezpiecza się dodatkowo i instaluje naprzeciwko snajpera. Dzwonił do mnie Kaziu, znaczy szef UOP-u, Markowski...

– Znam przecież. – Blaszkowski się uśmiechnął. Markowski jeszcze niedawno pracował w ich wydziale jako oficer stażysta.

– Idzie o ten karabinek snajperski SWD, z którego strzelano. Markowski kazał zarządzić natychmiastową inwentaryzację ich zbrojowni odziedziczonej po SB i wiesz co, okazało się, że nie ma w niej kilkudziesięciu sztuk broni, w tym dwóch snajperów. I co myślisz?

– Niezły burdel tam mają – stwierdził Mariusz.

– Racja. I nie wiadomo, gdzie szukać. Okazuje się, że magazynier rusznikarz zniknął bez śladu. Nie ma nawet kogo o tę broń zapytać. I to nie jest jedyny pasztet, na jaki natrafi tam Markowski. – Mariusz, usłyszawszy to, zrobił zatroskaną minę. Ale Fred doskonale wiedział, że on rzeczywiście martwi się tym, co się wyrabia w tej dawnej esbecji. – Podobno z ich archiwum jakiś czas temu wyparowało sporo teczek z aktami i nikt nie wie, gdzie ich szukać. Pewnie odchodzący z pracy esbecy zabrali je ze sobą jako coś w rodzaju polisy, by w razie jakiegoś zagrożenia użyć ich przeciwko ludziom, którzy mają coś na sumieniu, a teraz umościli się na ciepłych posadkach. Ale na razie to nie nasze zmartwienie. UOP musi sobie z tym jakoś poradzić, a nasz problem to karabinek snajperski użyty przeciwko Rychowi. Być może to jeden z tych zaginionych z magazynu SB? A jeśli tak, to wiemy już, dokąd prowadzi nas ścieżka podejrzeń. Za zamachem mogą stać byli esbecy. Tylko rodzi się pytanie, po co by esbecy mieli chcieć sprzątnąć Grubińskiego, skoro mają do niego bezpośrednie dojście przez Bieleckiego?

– Pewnie po to, żeby mieć jeszcze większy wpływ na bank. Może w ten sposób chcieli przejąć jego udziały? – zastanawiał się głośno Mariusz.

– Być może. I tu dochodzimy do najważniejszego pytania. Jeśli zamach zorganizowała grupa byłych esbeków, to co w tym wszystkim robi nasz kolega... Marjański?

Blacha ze świstem wypuścił powietrze z płuc. Ten Marjański, niedoszły literat i gryziپیórek, który w sprawach śledczych był, delikatnie mówiąc, mało przydatny, był jednak tytanem pracy biurowej. Po przyjęciu do wydziału przejął nadzór nad większością dokumentów i był jedynym funkcjonariuszem w wydziale, który doskonale się orientował w papierowym bałaganie. To znaczy, że miał wiedzę na temat każdego prowadzonego tu śledztwa. Mógł więc być łakomym kąskiem dla SB, która zawsze chciała mieć tu swojego informatora.

– Nie mamy żadnych dowodów, że współpracował – rzucił Blaszkowski, a Marcinkowski pokiwał głową, zastanawiając się, jak to możliwe, że myśli jego podwładnego podążają dokładnie w tym samym kierunku.

– Sam fakt, że według tego pisarza Marjański był u niego w domu, w jego łóżku, jeszcze nie dowodzi, że brał udział w zamachu – ciągnął Marcinkowski.

– Dlatego przyszło mi do głowy, żeby to dokładnie sprawdzić, bo na razie opieramy się na samych domysłach – stwierdził Mariusz.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Fred.

– Muszę wiedzieć na pewno, skąd strzelano. I dlatego potrzebuję fachowej ekspertyzy – wyjaśnił szefowi Blaszkowski.

– To jest emiter promieni laserowych, widzisz? – Technik wskazał na niewielkie urządzenie, przypominające swoim wyglądem pojedynczy okular lornetki, i położył aparat na parapecie. Jeśli teraz otworzymy okno i zajmiemy pozycję strzelca, to wystarczy, że włączymy laser i na ścianie po przeciwnej stronie ulicy, tam, w tym mieszkaniu, pojawi się czerwona plamka.

– Aha, czyli Teofil ją zobaczy? – spytał Mariusz.

– Oczywiście. Tak samo jak my tutaj. – Technik nadusił przycisk i na ścianie pojawił się czerwony punkt. – Tam, po drugiej stronie ulicy, będzie tak samo widać. Zaraz sprawdzimy. Teofil, jesteś tam? – rzucił do radiotelefonu.

– Jestem – odpowiedział Olkiewicz jakoś tak trochę nazbyt wyraźnie.

– To teraz patrz na ścianę, przy której stoisz – instruował go technik Urbański.

– No patrzę.

– Widzisz plamkę czerwoną?

– No widzę.

– Okej, to teraz podejdź do okna i stań w nim.

Olkiewicz podszedł i stanął, chwytając się na wszelki wypadek okiennej framugi.

– Patrz teraz, Mariusz. Teoś stoi mniej więcej w miejscu, gdzie stał Grubiński. Zakładam, że jest niższy od gospodarza przynajmniej o głowę, czyli przenosimy światełko z głowy nieco wyżej. I mamy je teraz na ścianie. Teofil, podejdź do światełka i zaznacz punkt flamastrem. Zaznaczyłeś?

– No.

– To idziemy do ciebie.

Pięć minut później wszystko było już jasne. Okazało się, że punkt zaznaczony przez Olkiewicza znajduje się jakieś pół metra poniżej tego, w który uderzyła kula.

– Czyli że co? – zapytał Mariusz.

– Czyli że nie strzelano z tego pokoju – stwierdził stanowczo Urbański.

– A skąd?

– Popatrz wyżej. – Technik wskazał dłonią budynek naprzeciwko.

Wyżej był tylko dach...

## **Opalenica** **Godzina 19.10**

Przewodniczący gminnego koła PSL Marian Kaleta włożył prawą dłoń pod poję marynarki wzorem Napoleona Bonaparte, który też zwykł był wsuwać w ten sposób rękę pod swoją kamizelkę. Kaleta widział tego francuskiego cesarza w radzieckim filmie *Wojna i pokój*, wyświetlanym jakiś czas temu w telewizji, i musiał przyznać, że ten człowiek bardzo mu zaimponował. Przede wszystkim podobało mu się, że Bonaparte był niezbyt okazałego wzrostu, a mimo to został generałem, a później cesarzem, który podbił pół Europy.

– Panie Kaleta, patrz się pan w obiektyw – przywołał go do porządku nieznoszącym sprzeciwu tonem fotograf Żmurko, specjalizujący się w fotografiach ślubnych i komunijnych. O fotografii politycznej nie miał zielonego pojęcia, więc fotografowany obiekt próbował mu pewne rzeczy wytłumaczyć.

– Panie Żmurko, ja nie mogę się patrzyć jak szpak w pizdę w ten obiektyw, bo ja tu mam wyglądać jak człowiek budzący zaufanie. Jak prawdziwy przywódca. A przywódca patrzy nie w oczy ludowi, ale ponad ludem. Żeby ten lud se nie myślał, że rządzi nimi jakiś ich kolega czy sąsiad, ale polityk z prawdziwego wydarzenia. A pan mi każesz patrzeć się w ptaszka w dziurce.

– Jak się pan nie będziesz patrzył, to zdjęcia nie wyjdą dobrze. Ja wiem, co gadam, bo ja już w tym zawodzie robię trzydzieści lat.

– A ile polityków żeś pan już sfotografował?

– No kilku będzie... Gierka na dożynkach i jeszcze...

– Gierka z daleka, a innych to nawet pan nie wiesz, a tu proszę, jak się panu natrafia okazja przyszłego polityka zdjąć, to pan jakieś swoje stare przyzwyczajenia narzucasz.

– Te przyzwyczajenia, panie Kaleta, to się nazywa rutyna.

– W takim razie albo będziesz pan robił tak, jak ja chcę, albo wrócisz pan do rutyny robienia zdjęć z pogrzebów.

– Z pogrzebów? – zawołał fotograf, łapiąc się za głowę. – Z pogrzebów nie robię, z chrzcin co najwyżej.

– No to masz pan teraz prawie że chrzciny. Tak się rodzi wielki polityk. – Peeselowiec włożył dłoń pod poję marynarki i spojrzął ponad obiektyw aparatu, marszcząc przy tym gniewnie brwi.

– A jak se tam chcesz – mruknął fotograf i przycisnął migawkę, utrwalając polityka chłopskiej partii o chmurnym obliczu, wpatzonego w dal, na tle nieskoszonych łąnów pszenicy. Nieskoszonych, bo w Spółdzielni Rolniczej Urbanowo akurat ten kawałek pola wyleciał z planu żniwnego, gdyż zapomniał o nim kierownik Andrysiak, zajmujący się planowaniem robót. I nie było sensu kosić tego hektara, bo i tak nie byłoby co zrobić z ziarnem, gdyż wszystko zostało już odwiezione do elewatora. No więc pszenica stała ku uciesze wróbli i przyszłego ministra Kalety, który dopiero po żniwach pomyślał o zdjęciach politycznych i swojej karierze, która właśnie zaczynała nabierać tempa, podobnie jak niegdyś kariera Napoleona Bonapartego pochodzącego z jakiejś

małej, nikomu nieznanego miejscowości, zupełnie tak jak Kaleta. On też urodził się w małej miejscowości Sielinko, niedaleko Opalenicy. Ale miał zdecydowanie większe ambicje niż perspektywa widziana ze środka swojej wioski. Za wszelką cenę chciał się z niej wyrwać i ruszyć jak cesarz na podbój świata. Wcześniej, za komuny, nie miał na to żadnych szans. Jak Bonaparte mógł co najwyżej powoli wspinać się po szczeblach kariery, wyznaczonych przez system, i dojść do niezbyt wysokiego stanowiska, bo te wyższe były zajęte przez dawną nomenklaturę. Tam, we Francji, karierę mogli robić tylko arystokraci, więc Bonaparte musiał się zadowolić najniższą rangą oficerską, bo nie miał żadnych perspektyw. W Polsce ludowej karierę robili czerwoni arystokraci z PZPR. A on, chłop z krwi i kości, nie chciał zdradzać swoich korzeni i zapisywać się do partii robotniczej. Dlatego wstąpił do ZSL-u. Ale ta przynależność nie dawała żadnej gwarancji na poprawę losu. I wtedy, gdy już myślał, że nic się nie zdarzy, że zostanie na zawsze w Sielinku, nastąpiło trzęsienie ziemi. Tak jak rewolucja francuska sprawiła, że młody Bonaparte z nikomu nieznanego oficera stał się rewolucyjnym generałem, tak on, dzięki polskiej rewolucji i obaleniu komuny, z prowincjonalnego doradcy rolniczego stał się nagle gminnym przewodniczącym nowej, odrodzonej chłopskiej partii. Kaleta czuł, że teraz właśnie wybija jego godzina. Gminne koło to była trampolina, z której zamierzał się wybić i wskoczyć do wielkiej polityki. Ale żeby tak się stało, musiał zacząć pracować na swoje nazwisko. Musiał stać się znany w całym regionie, by wystartować w najbliższych wyborach parlamentarnych jako kandydat PSL. A gdy jego partia obejmie w kraju władzę, on będzie mógł zostać nawet ministrem rolnictwa. W końcu jako profesjonalny doradca rolniczy na rolnictwie znał się jak mało kto.

– I jak ci się podoba? – Kaleta popatrzył na swojego partyjnego zastępcę Skoczylasa.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – pochwalił go kolega. – Ale...

– Ale że niby co?

– No niby... – Skoczylas podrapał się po głowie. – No niby tak jakby...

– Co, do cholery? – zdenerwował się przewodniczący. Ten Skoczylas to niby taki równy gość, bo i wypije, i pośpiewa, jak trzeba, ale jak ma coś powiedzieć, to zawsze kluczy. Nie powie od razu, o co mu chodzi, i prawdę trzeba wyciągać z niego powrozami.

– No że niby brakuje jeszcze atrybutu!

– Jakiego atrybutu?



– Chłopskiego, ma się rozumieć.

– Aaa... – Kaleta pokiwał głową. – Znaczy się może powinienem trzymać wiecheć, znaczy się taki symboliczny snop, że niby idę do was, narodzie mój, ze zbożem. Snop przewiązany biało-czerwoną wstęgą.

– Tak jest. Bardzo dobrze. – Skoczylas ucieszył się, że szef pojął intencje. – Ale snop nie. – Pomachał ręką. – Snop to jest snop, snopek, słoma, że niby słoma, co wychodzi z butów. Tak będą potem gadać. Ten ze słomą, co niesie nam słomę do butów. To nie będzie za dobre.

– Jak komu nasza słoma wiejska śmierdzi, to...! – obruszył się Kaleta, bo pomysł mu się spodobał. Szczególnie ta wstęga o narodowych barwach.

– Nie w tym rzecz... Idzie o to, że słoma jest za bardzo...

– Jaka, do cholery?

– No taka... pokojowa. Dlatego atrybut musi być zdecydowany i ostry jak chłopska siła. A walczy się, o, tym. – Skoczylas pochylił się nad bagażnikiem swojego poloneza, pogrzebał w nim chwilę i wydobył ze środka sierp. – To jest to, czego ci trzeba. Żeby pokazać wszystkim, że żywią i bronią, a jakby co, to i sierpem przejadą po gardłach.

– Ale aż tak? – skrzywił się Kaleta, który był raczej człowiekiem pokojowej natury i nie myślał o podrzynaniu gardeł komukolwiek. Choć niekiedy wpadał w złość i wtedy jego przeciwnik nie miał żadnych szans. Jak choćby ten grajek z Discolandu. Mało brakowało, a dostałby jeszcze bardziej, niż dostał, ale przysły poseł na szczęście mu odpuścił. Był porywczy, ale sprawiedliwy, i wiedział przede wszystkim, na czym polega wybaczenie. Najpierw kara, a potem dopiero może być mowa o wymazaniu win... – Dobra, daj ten sierp. A nie jest za ostry, żebym se jeszcze czegoś nie przeciął?

– Proszę bardzo. Jak nim machać nie będziesz...

– Długo jeszcze? – wtrącił się fotograf, najwyraźniej zniecierpliwiony przedłużającą się przerwą. Nie lubił, kiedy jego modele za dużo marudzą. W swoim atelier w Opalenicy rządził niepodzielnie i nikt nie próbował nawet z nim dyskutować w kwestiach pozowania czy patrzenia w obiektyw. A ci, nie dość, że nie wiedzieli, czego do końca chcą, to jeszcze wydziwiali.

– A stój tam spokojnie i czekaj na pana posła, aż się upozuje – warknął na niego Skoczylas. – To nie są zwykłe zdjęcia. Od nich zależy może przyszłość kraju. A ty tam się niecierpliwisz. Nic się nie martw. Nikt ci twojej flaszki w atelier nie wychleje. Jeszcze zdążysz... ha, ha, ha... się napić dzisiaj.

Fotograf otrzymał celny strzał. Tajemnicą poliszynela było, że pije przez cały dzień w robocie, ale nikt dotąd nie rzucił mu tego pijaństwa w twarz. Więc jako człowiek honoru i wielkiej godności, postanowił się obrazić, bo co mu jakaś łachudra będzie robić głupie uwagi.

– Jak tak, to ja se wypraszam i zaraz mogę se iść w cholerę...

– Zamknij się i stój! – nie wytrzymał Kaleta, który właśnie poczuł się jak przyszły poseł. Nie będzie mu przecież ta zapijaczona kreatura bokami tu robić. Następnym razem trzeba będzie wziąć fotografa z prawdziwego zdarzenia z Poznania, a ten niech robi te swoje komunijne fotki...

– A co tu szkieły robią? – zapytał głośno Skoczylas, przykładając dłoń do czoła, żeby lepiej widzieć. Przez pole wyboistą drogą jechał powoli zielony policyjny gazik.

Kaleta spojrział w tamtym kierunku.

– Pewnie mają jakąś akcję. Jak jeżdżą po polach, to znaczy się, że szukają złodziei, co się gdzieś ukrywają.

Skoczylas pokręcił głową. Nie słyszał nigdy o złodziejach ukrywających się na polach. Jak już, to co najwyżej o zającach, które chowają się przed ludźmi, niekoniecznie przed policjantami. Jedynymi wartymi policyjnego zainteresowania na tym pustkowiu byli oni, domyślił się. A to znaczy, że policja coś od nich chciała. Dlatego szybko zrobił rachunek sumienia i wyszło mu, że jest czysty. W końcu jako doradca rolniczy miał wiele możliwości sprzedawania nowych odmian zbóż po atrakcyjnych cenach. Ale Kaleta...

– Do nas jadą! – rzucił więc, przekonany, że to „do nas” znaczy do przyszłego posła. I nawet się trochę ucieszył. Bo jeśli by Kaletę wsadzili za przekręty, to on automatycznie zostałby jego następcą w partii, a to mogło oznaczać również dostanie się na partyjną listę wyborczą do sejmu. – O Boże – jęknął, ale zaraz powstrzymał się od wołania imion wszystkich świętych, jak to w szczególnie doniosłych chwilach miała w zwyczaju jego matka. Gazik zatrzymał się tuż przy jego polonezie, a ze środka wyskoczył policjant Wicher i jakaś kobieta o czerwonych ustach, ubrana w ciemny kostium, białą bluzkę i białe rajstopy. Wygląda jak bocian, pomyślał na jej widok Skoczylas.

– Dzień dobry – rzucił na powitanie Wicher, którego obaj działacze partyjni znali z widzenia, bo przez lata był ministrantem w kościele Świętego Mateusza i wyróżniał się tym, że szczególnie ładnie czytał podczas mszy fragmenty

Testamentów. A że był jeszcze do tego całkiem ładny, wszystkie baby w kościele patrzyły w niego jak w obrazek.

– Szczęść Boże – powitał go po chłopsku przyszyły poseł Kaleta.

– To jest pani prokurator Brygida Bocian – przedstawił policjant kobietę, a Skoczylas natychmiast uśmiechnął się do swoich myśli.

– Bo my tu z pytaniem – rzucił były ministrant.

– Chyba z ważnym pytaniem, jeśli nam przerywacie ważne sprawy partyjne, czyli zdjęcia na łonie przyrody! – rzucił niezbyt miłym tonem Kaleta.

– Pytanie jest krótkie. Czy to prawda, że wy, obywatelu Kaleta, w czasie dyskoteki, w nocy z poniedziałku na wtorek, popadliście w konflikt z obywatelem Wiśniakiem, co puszczał muzykę?

– A kto by tam pamiętał...

– I że go pobiliście na zapleczu i jeszcze go skopaliście?

– Jak Boga kocham, ten gnojek jeszcze pożałuje, że na mnie donosił... A ja do niego z sercem, a on mi się tak odwdzięcza.

– Nie odwracajcie kotu ogona – wszedł mu w słowo policjant. – Pani prokurator słyszała, co mówi obywatel?

Bocian skinęła głową.

– Jasno i wyraźnie.

– To ja wam zadam jedno pytanie i zastanówcie się dobrze nad odpowiedzią, obywatelu Kaleta. Gdzie jest obywatel Adam Wiśniak, z którym po dyskotecę wyszliście razem przed budynek i odtąd go nikt już nie widział?

– Co, co... kurwa, wy, chyba żeście się z chujami na głowy pozamieniali, wy, kurwa... – zaczął krzyczeć przyszyły poseł w sposób, który nijak nie przystaje do godności poselskiej. Ale za długo nie pokrzyczał. Prokurator Brygida Bocian skinęła głową, a potem policjant sprawnie skuł ręce niedoszłego ministra i wrzucił go do swojego gazika.

Gdy auto ruszyło, Skoczylas wziął do ręki sierp, stanął w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stał przewodniczący, i spojrzawszy na fotografa, rzucił krótko:

– Do roboty!

No i fotograf zabrał się do pracy. Bo tak naprawdę było mu wszystko jedno, którego z tych facetów będzie fotografował. Byle się kasa zgadzała.

## Poznań Godzina 19.50

– Kto jest właścicielem? – zapytał Mariusz Blaszkowski, spoglądając na część budynku, tę przylegającą do połówki należącej do pisarza Kocięby. Mazurek wzruszył ramionami i uśmiechnął się pod nosem. No przecież niczego nie wymyślał. Z dokumentów jasno wynikało, kto jest właścicielem.

– No jest tak jak mówię... O, proszę, tu jest to dokładnie napisane – podsunął kartkę, na której nabazgrano coś niewyraźnie.

– Ja w twoim piśmie nie jestem się w stanie rozeznąć – stwierdził Blaszkowski. Mazurek, urażony, wygładził papier na masce samochodu i powoli odczytał jeszcze raz pełną nazwę:

– Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Poznaniu.

– To czemu mi dopiero teraz o tym mówisz, jak wiesz to już od rana?

Mazurek zrobił głupią minę.

– Bo se myślałem, że to nie jest teraz najważniejsze, jak się robi te badania balistyczne czy jak. A to wcześniej myśmy myśleli, że strzelali od Kocięby, a tu wyszło, że inaczej...

– A czy ta kobieta jest pewna? – pytał dalej Mariusz, choć w zasadzie takie wypytywanie podwładnego było całkowicie zbędne. Chłopak zrobił wszystko, co mu kazał. Rano zadzwonił do wydziału nieruchomości w Urzędzie Miejskim i poprosił miłą panią, która odebrała telefon, o sprawdzenie konkretnej nieruchomości. Trwało to zaledwie piętnaście minut, bo kobieta знаła się na swojej robocie, no i na tym, co leży na archiwalnych półkach.

– Wszystkie dokumenty tej nieruchomości musicie mieć u siebie – wyjaśniła nieco zdziwionemu Mazurkowi.

– Jak to u siebie? To znaczy się, że mamy, bo jakaś sprawa była prowadzona czy jest prowadzona?

– Nie, nie. Chodzi o to, że jesteście właścicielem. To jest milicyjna willa.

– Jak milicyjna? Przecież my jesteśmy z policji, a nie z milicji.

– Ale jak willa do was trafiła, to wtedy jeszcze była milicja. A policja w Poznaniu jest prawnym następcą milicji, czyli jest też właścicielem wszystkich milicyjnych nieruchomości.

– A kiedy ta nieruchomość trafiła do milicji?

– Tego już nie mogę panu powiedzieć przez telefon. I tak za dużo powiedziałam. Teraz musicie sobie tę dokumentację znaleźć w swoich papierach. Wszystko pan znajdzie, czarno na białym, o tej rekwizycji, czyli przypadku mienia...

Sraczkowaty polonez, należący do Marcinkowskiego, podjechał pod willę. Major wyskoczył z samochodu i podszedł do swoich ludzi opartych o milicyjnego transportera. Obaj wyprężyli się na jego widok, ale Fred pomachał ręką na znak, że nie życzy sobie żadnych oficjalnych powitań.

– Blacha, gadaj, jak się udał eksperyment? – rzucił i sięgnął po papierosa. Jego klubowe śmierdziały tylko trochę lepiej niż te ekstra mocne Olkiewicza.

– Nadzwyczajnie. Ten rzutnik promieni laserowych to jest doskonały przyrząd do wyznaczania toru lotu pocisku. Nie można się pomylić, bo laser wysyła wiązkę światła i trafia w punkt, który sobie wybierzemy. Nie może być mowy o żadnej pomyłce.

– Laser to nie saper i się nie myli, he, he! – zażartował Mazurek, ale odechciało mu się zaraz żartów, gdy Marcinkowski zmierzył go zdumionym spojrzeniem.

– Zakładaliśmy, że strzelano do Grubińskiego z okna naprzeciwko, czyli tego, które wychodzi bezpośrednio na jego posesję. To okno z sypialni Kocięby. – Mówiąc to, Blaszkowski wskazał willę z prawej strony. – No i to trzeba było sprawdzić. Tym bardziej że alibi temu Kociębie miał dać nasz człowiek...

– Dał. Wezwałem do siebie Marjańskiego. Potwierdził zeznanie Kocięby.

– To by się zgadzało z naszymi ustaleniami. Okazało się, że nie można było, strzelając z tego okna, trafić w miejsce, gdzie pocisk uderzył w ścianę w kuchni Grubińskiego. Jeżeliby strzelano z sypialni, toby się wbił w innym miejscu. No to trzeba było sprawdzić kąt padania pocisku...

– Kąt padania równy jest kątowi odbicia – wtrącił się znowu Mazurek, bo nagle coś mu się przypomniało z fizyki.

– Brawo, sierżancie – pochwalił go Marcinkowski. – Ale to, zdaje się, dotyczy warunków idealnych, na przykład światła, a nie pocisku.

– A laser to światło przecież – nie dawał za wygraną Mazurek.

– Mazur, zamknij dziób! – Blaszkowski w końcu nie wytrzymał. Chciał przywołać podoficera do porządku, ale Marcinkowski pomachał dłonią i z

cierpliwością nauczyciela wyjaśnił:

– Jeśli kula karabinowa byłaby kulą bilardową, to pewnie odbiłaby się od ściany i uderzyła w sufit albo w coś innego pod takim samym kątem, pod jakim została wystrzelona. Na szczęście ta karabinowa jest ostra i wbija się w przeszkodę. Dzięki czemu możemy określić dość precyzyjnie miejsce, skąd ją wystrzelono. Prawda, panie poruczniku? – Fred uśmiechnął się do Blaszkowskiego. Ten skinął głową, po czym zdradził ostatni szczegół ekspertyzy.

– Technik włożył w otwór po kuli kawałek drutu i w ten sposób określił kąt wejścia, a potem ustawił pod tym samym kątem swój emiter laserowy i wszystko było jasne.

– Skąd strzelano?

– Z dachu. I wcale nie z dachu domu Kocięby, ale z tego drugiego dachu, czyli domu obok. – Mariusz wskazał palcem miejsce. – Bo te domy, jak widać, są ze sobą połączone.

– Więc teoretycznie Kocięba mógłby wejść na dach i strzelić do Grubińskiego?

– Teoretycznie tak. Dach jest jeden dla dwóch domów. Na górę wiodą dwie drabinki, każda z nich zainstalowana jest na bocznej ścianie budynku, czyli każda połówka bliźniaka ma swoje wejście. No to weszliśmy na górę i sprawdziliśmy, mając nadzieję, że zostały jakieś ślady...

Marcinkowski spojrział uważnie na Blaszkowskiego. Znał go na tyle, że natychmiast dostrzegł skrywaną pod maską obojętności satysfakcję.

– No i co tam znalazłeś? – zachęcił podwładnego.

– Weszliśmy od strony Kocięby. Na górze dach jest wyłożony papą i wysypany drobnym grysikiem, więc jak się znaleźliśmy na dachu, to mogliśmy stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że grysik z tej strony budynku był nienaruszony. Wyglądało to tak, jakby nikt tam nie chodził od czasów, kiedy wzniesiono ten budynek. No i przeszliśmy na drugą część dachu. A tam od drabinki do krawędzi budynku ścieżka, co tam ścieżka, jakby droga wydeptana od chodzenia. A w miejscu, które z domu Grubińskiego wskazał nam promień lasera, leży sobie ładnie rozścielony kocyk, znaczy koc wojskowy, a obok niego...

Zrobił minę jak magik tuż przed połknięciem sztyletu i popatrzył przez moment na Marcinkowskiego, a potem skinął na Mazurka. Ten natychmiast

otworzył drzwi mikrobusu i sięgnął do środka. Wyciągnął zielony, maskujący pokrowiec i położył go na chodniku przed majorem. Te spojrzał pytająco na Blaszkowskiego.

– Można śmiało dotykać. Odciski już zdjęte – wyjaśnił Blacha.

Marcinkowski odpiął trzy klamry i otworzył pokrowiec. Przez chwilę patrzył jak urzeczony, a potem złapał czarną lufę i wydobył ze środka snajperski karabin.

– Czy to jest ten, którego szukaliśmy? – zapytał.

– Tak jest. Sprawdziłem numery seryjne w sekretariacie pułkownika Markowskiego. To znaczy UOP sprawdził, bo Markowski kazał im się śpieszyć. No i mamy. Jest to jeden z tych dwóch, co im wyparowały z magazynu.

– No to jesteśmy coraz bliżej rozwiązania... – Marcinkowski był wyraźnie zadowolony.

– Ale mamy coś jeszcze – przerwał mu podekscytowany Blacha. – Mamy jeszcze tę chatę...

– No właśnie. Ten dom. Z którego strzelano. Rozumiem, że masz właściciela pod kluczem? – domyślił się Marcinkowski.

– Nie. Nie mam. Byliśmy w środku, ale nikogo tam nie ma. Chata jest pusta. Nawet Mazurek wchodził przez taras.

– Wchodziłem przez okno i widziałem, że ten dom jest jakby... mało używany.

– Czyli jaki? – zainteresował się Marcinkowski.

– No tam taki syf...

– Jak w melinie? – odpowiedział mu Fred, widząc, że Mazurek nie może znaleźć odpowiedniego określenia. Chłopak pokręcił głową.

– No prawie, ale inaczej. W melinie leżą rozbite flaszki, jakieś szmaty i garnki, a tu jest w miarę porządek. Tyle że na stole pełno butelek po piwie i oranżadzie, popielniczki z petami się przesypują i jeszcze pootwierane puszki po rybkach i paprykarzu szczecińskim. To tak, jakby ktoś tam siedział, palił i jadł od czasu do czasu, popijał i siedział dalej... no na obserwacji.

– To musiał być punkt obserwacyjny. Skurwiele siedzieli tam przez jakiś czas, założyli pod samochodem ładunek i czekali. – Blaszkowski podzielił się swoimi spostrzeżeniami. – I w odpowiednim momencie uderzyli, ale nie do

końca im się udało. Ale prócz tego było tam coś jeszcze. Gadaj, Mazur – ponaglił sierżanta.

– No była jeszcze kamera. Znacząca zainstalowana kamera, którą można było podglądać przez lustro weneckie...

– Fenickie – poprawił go Marcinkowski.

– No właśnie, przez takie lustro można było zajrzeć do tej chaty obok, znacząca się do Kocięby. Czyli tą kamerą nagrywali z tego mieszkania ten cały burdel z panienkami.

– Czyli już wiemy, że te dwie połówki bliźniaka to jedno i to samo przedsiębiorstwo – podsumował Blaszkowski. – W jednej części imprezy seksualne, nadzorowane przez Kociębę, w drugiej studio telewizyjne nagrywające to wszystko...

– Ciekawe, co na to właściciele? – zapytał major.

– I to jest najciekawsze. To właśnie sprawdził dziś Mazurek.

– He, he! Sam bym nie sprawdził, ale taka fajna laseczka w Urzędzie Miejskim mi pomogła. Tak mi się zdaje, że ją zbajerowałem, i ona teraz na mnie leci. Nawet powiedziałem jej, że zadzwonię...

– Mazur, ja pierniczę... – jęknął Blaszkowski, przywołując go do porządku.

– No właśnie, panie majorze, ona mi powiedziała, że ta chata jest nasza.

– Jak to nasza?

– Należy do milicji, znacząca się teraz już policji. Że wszystkie dokumenty tego budynku, bo on został zarekwizycjonowany, to są u nas...

Marcinkowski przez chwilę wpatrywał się w okna willi.

– No i właśnie się zastanawiam, czy ktoś od nas nie maczał w tym palców – odezwał się Mariusz, przerywając ten moment skupienia.

– Jutro wszystko będziemy wiedzieli. Zapytam w naszym dziale administracji – stwierdził Marcinkowski. – Ale raczej obstawiałbym, że to robota esbecji. Oni korzystali z takich tajnych lokali. Ktoś z nich musiał mieć tę chatę do dyspozycji jako lokal służbowy i nie oddał kluczy. Ale w naszej instytucji wszystko zapisuje się skrupulatnie, więc jutro powinniśmy się dowiedzieć, do kogo jest przypisana ta willa. Choć coś mi się wydaje, że wiem, kto w SB zarządzał tajnymi lokalami.

Obaj policjanci spojrzeli na Freda. Ten uśmiechnął się lekko. Jeszcze nie był na sto procent pewien, ale przypomniała mu się sytuacja z willą, którą



wykorzystywali esbecy. To było zresztą całkiem niedaleko stąd.

– Pamiętasz, Blacha, jak w osiemdziesiątym ósmym mieliśmy tu śledztwo w sprawie młotkowego, co go SB schowało w piwnicy...?[28]

– Jasne, że tak. Mało brakowało, a by było już po mnie.

– Wtedy okazało się, że klucze do lokalu musieliśmy zwrócić bezpośrednio do niego.

Ten facet był przeciwnikiem Marcinkowskiego w wielu rozgrywkach między wydziałem a esbecją, która ciągle wtrącała się w ich policyjną robotę. Wiele razy Fred łapał go niemal za rękę, przy jakichś machlojkach i przekrętach, ale zawsze wychodziło na to, że to nie była jego ręka. Kolega pułkownik miał za mocne plecy, żeby jakiś major z dochodzeniówki mógł mu podskoczyć. Ale czasy się zmieniły i zmieniła się też sytuacja. Facet wreszcie się wystawił i można powiedzieć, że się podłożył. Teraz już się nie wywinie.

– No kto to jest? – nie wytrzymał Mazurek.

– To nasz dobry znajomy. Pułkownik Stanisław Bielecki. Jeśli ten dom był jego lokalem operacyjnym, to być może do dziś się z niego nie rozliczył, czyli może z niego korzystać do woli. On i jego ludzie...

## **Berlin**

### **Godzina 22.10**

Do Berlina z Poznania nie jest daleko. Samochodem osobowym do granicy jedzie się jakieś trzy godziny, potem kolejka na przejściu, w zależności od dnia krótsza lub dłuższa, ale z reguły to przynajmniej dwie godziny stania, no i w końcu sama droga do Berlina, już po niemieckiej, betonowej autostradzie, wybudowanej jeszcze za czasów Hitlera, zaledwie dwie godziny. Przy sprzyjających warunkach można było więc do stolicy połączonych Niemiec dotrzeć w sześć godzin. Gdy się jechało autem na niemieckich blachach, to odpadał czas oczekiwania w kolejce, bo Niemców nikt na granicy raczej nie kontrolował.

Falconettiemu i jego ludziom się udało. Byli już w mieście od kilku godzin i w zasadzie nie bardzo wiedzieli, co mają ze sobą zrobić. Poszli więc na wycieczkę, żeby na własne oczy zobaczyć to wszystko, co już doskonale znali. Bo przecież każdy Polak znał Berlin i wiedział, że najważniejszym miejscem na mapie miasta jest Brama Brandenburska. Tę właśnie bramę zdobył czołg Rudy 102 wraz ze swoją dzielną załogą i psem Szarikiem.

– O, to tu musi być ta stacja kolejowa. – Pyśka wskazał palcem wyjście z podziemi, z którego na powierzchnię wychodzili pasażerowie.

– A skąd wiesz? – Wafel obrzucił schody dość podejrzliwym spojrzeniem.

– No jak skąd? Popatrz se, jak czołg Rudy wyjeżdżał z tego metra, to pojechał prosto i potem była brama. O, ta Brama Brandenburska. – Ruchem głowy pokazał monumentalny pomnik pruskiej potęgi. Pyśka był tylko dwa lata młodszy od Wafela, w tym roku kończył trzydziestkę, więc Wafel mógł świadomie w dzieciństwie obejrzeć cały serial najwyżej jeden, no może dwa razy więcej, bo telewizja puszczała go co roku. Ale to wcale nie oznaczało, że był lepszym specjalistą od filmu i miał większą wiedzę na ten temat od swojego kolegi. Nie zamierzał się jednak zbyt łatwo poddać. Podeszedł do wyjścia z tunelu i zaczął uważnie przyglądać się schodom i ścianom.

– To nie tu. – Rozłożył ręce i pokręcił głową.

– Czemu nie tu? – zapytał Pyśka.

– Sam zobacz, przecież tu nie ma żadnych śladów po ładunkach wybuchowych albo chociaż po kulach. Wszystko w stanie nieruszone. Pamiętasz, co kapitan Pawłow zrobił, nie?

– Co niby? – Pyśka oczywiście wiedział, ale wolał, żeby to Wafel odpowiedział na to pytanie, bo w razie czego można było go złapać na jakiejś nieścisłości.

– No wysadził w powietrze te schody, żeby Rudy stamtąd mógł wyjechać.

– Łe tam, to przecież było czterdzieści pięć lat temu. Od tego czasu już dawno wszystko by pozaklejali, odnowili wejście, a ty teraz szukasz śladów...

– A w Poznaniu to kiedy była wojna? W tym samym czasie, nie? No to zobacz, ile tam jeszcze wokoło Cytadeli obstrzelanych budynków z dziurami na ścianach.

– U nas to dziadostwo, bo nikt nie ma bejmów na takie remonty.

– A ci w NRD mieli? Przecież oni takie same komunistyczne dziady jak nasi.

– To chodź, zejdziemy i zobaczymy perony – zaproponował Pyśka. Czuł prawdziwe podniecenie na myśl, że za chwilę skonfrontuje wiedzę filmową z rzeczywistością i prawdziwą historią. – Tam był przecież ten wybuch drezyny wypełnionej materiałami wybuchowymi i kiełbasą. No to jak tam pierdałęto, to muszą być ślady. Idziemy?

– No czemu nie. Idziemy. – Wafłowi spodobał się ten pomysł. Pyśka pokazał mu kciuk, a potem wskazał ku górze.

– Polecę tylko powiedzieć Falcowi i Trąbie, że idziemy na dół.

Przeskakując po dwa schody, wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się w poszukiwaniu kolegów. Siedzieli dwadzieścia metrów dalej, na ławce ustawionej w spacerowej, położonej między dwiema jezdniami, parkowej części ulicy Unter Der Linden.

– My idziemy tylko zobaczyć do tunelu, bo tam, na ten przystanek, wjechał Rudy, jak wyjeżdżał z tunelu. No wiecie, jak jechał pod wodą...

– Wiemy! – odpowiedzieli obaj jednocześnie. Trudno byłoby znaleźć kogoś w Polsce, kto nie wiedział.

– To może też pójdziemy zobaczyć... – zaproponował Trąba. Falconetti chętnie by poszedł, ale naraz dostrzegł w głębi ulicy samochód, który zatrzymał się przy chodniku, na wprost włoskiej restauracji.

– Idźcie sami. Ja nie mogę, bo przyjechała nasza fura – wyjaśnił, wstając z ławki. – Jak skończycie, podejdźcie tu i czekajcie, aż do was nie przyjdę. Aha, i nie pijcie już nic, bo za chwilę bierzemy się do roboty. – Pokiwali głowami. Wiedzieli, że muszą być trzeźwi, więc nie zamierzali się upijać. Po powrocie do Poznania będzie przecież okazja. Trzeba będzie opić powodzenie akcji, a teraz mogli sobie co najwyżej pozwiedzać, bo za chwilę czekała ich poważna praca.

Odprowadził ich czujnym spojrzeniem jednego oka, a potem ruszył do samochodu. Gdy podszedł bliżej, zza kierownicy wysiadł szczupły blondyn, ubrany w jasnobrązowy, sztruksowy garnitur i ciemnobrązowe zamszowe buty za kostkę. Falconetti poznał go jakiś czas temu w Polsce. Nie wiedział, czy nazwisko Gerhardt Schuster, którym się przedstawił, było prawdziwe. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Ten, który go zatrudnił, znał się z Schusterem bardzo dobrze. Podobno wcześniej już pracowali razem.

– No proszę, jak ładnie się urządziłeś – stwierdził Niemiec, oglądając z podziwem gabinet prezesa firmy Dolores. – Może dobrze, że z naszo robota jest fertig i terazki możemy się urządzać w tako nowa rzeczywistość.

– Nie ma się co obrażać na przeszłość. Bo to, z czym mamy do czynienia, to przyszłość. Teraźniejszość przecież też nie istnieje. Idziemy z każdą sekundą ku przyszłości, więc tylko ona powinna nas interesować.

– Ha, tyś był zawsze filozof. Ale na filozofii nie zbudujemy naszo potęga. A póki co, my nic nie zarobili, ale stracili.

– Wiem, dlatego od razu przejdźmy do rzeczy. Zaprosiłem tu pana...

– Falco jestem – wyjaśnił gość. – Tak proszę do mnie mówić.

– Jak ten piosenkarz z Österreich – ucieszył się Niemiec. Falco uśmiechnął się lekko. Nie miał zamiaru wyjaśniać, że jego pseudonim miał całkiem inne korzenie.

– Ja nie śpiewam – rzucił.

– No i dobrze. Ale wie pan, na czym będzie polegać naszo robota?

– Mniej więcej wiem.

– No to jeszcze raz – podsumował prezes. – Potrzebujemy pewnych ludzi, którzy będą przejeżdżać do Berlina co kilka tygodni całkowicie legalnym samochodem na niemieckich numerach i wracać będą tym samym autem. Samochód po przyjeździe na miejsce trzeba będzie oddać panu Gerhardtowi, a on odpowiednio go przygotuje.

– To zajmie kilka godzin – wyjaśnił Schuster. – W tym czasie pójdzie sobie pan ze swój kamrat na piwo. Jak oddam auto, od razu jedziecie, nie zatrzymując się nigdzie niepotrzebnie, czyli żaden obiad, tylko prosto do Polska. A tu oddajecie auto do mój szanowny kolega prezes.

Ten uśmiechnął się zadowolony.

– Każdy taki kurs to cztery tysiące dolarów dla pana, panie Falco. Ile zapłaci pan pomocnikowi, to pański problem – wyjaśnił prezes.

– A, przepraszam, po cholerę mi ten człowiek?

– Towar jest... bardzo pożądanym na rynku, więc mógłby ktoś go wam chcieć odebrać. Dlatego musicie, pan i kolega, mieć broń.

– Broń przez granicę mam przewozić? To nie jest zbyt bezpieczne.

– Życie jest niebezpieczne – stwierdził Schuster. – A broń, znaczy pistolety, będą ukryte w specjalny schowek w siedzeniach aut. Ładunek jest zbyt cenny, żeby przewozić go bez żadna ochrona. Oczywiście mamy do siebie zaufanie i zakładamy, że się nic nie stanie, ale nauczeni doświadczeniem nie możemy drugi raz ryzykować.

– A co się stało? – zapytał Falco.

– Nasz pierwszy transport wyparował – przyznał prezes.

– Rozpłynął się na polskich drogach – dorzucił Niemiec.

– I co z tym zrobicie?

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie. Nie było tu miejsca na jakieś żarty.

– Znajdziemy tych, co ukradli nasz towar, i ich zabijemy – powiedział tak zwyczajnie i bez emocji Schuster. Falco poczuł, że robi mu się zimno. Wolałby nie mieć tego faceta po przeciwnej stronie. – Sam pan rozumie, że zależy nam, żeby towar dotarł na czas, bo nasi odbiorcy nie będą czekać kolejny raz na darmo. Więc proszę potraktować ta sprawa poważnie. Wiem, że można na pana liczyć, bo ręczy słowem pan prezes, z którym znacie się od dawna.

Rzeczywiście znali się już jakieś pięć lat. To dzięki niemu Falco wcześniej wyszedł z więzienia. Zanim trafił za kratki, współpracowali w sprawach politycznych. Falco przyjmował zlecenia pobicia, zastraszania i okaleczenia ludzi z opozycji, których wskazywał mu prezes, wtedy jeszcze kapitan SB. Teraz, gdy na gwałt był potrzebny człowiek, który przewiezie towar z Niemiec, prezes natychmiast przypomniał sobie o swoim dawnym współpracowniku.

– Dzień dobry – przywitał się Falco, podszedłszy do passata.

– Ładna pogoda dzisiaj – odpowiedział mu Niemiec.

– Czy wszystko w porządku?

– W jak najlepszym. Może pan za chwilę odjeżdżać.

– Tak, zaraz się zbieram. Muszę tylko poczekać na mojego kolegę. Poszedł do metra coś zjeść.

– Do metra? – zdziwił się Schuster.

– Tam jest taniej, w tych budkach na dworcu.

– No ja, prawda. Dobry niemiecki kebab z Turcji, he, he! – zażartował. – To co, wyrusza pan natychmiast? – zapytał jeszcze, żeby się upewnić.

– Tak. Nie mam tu nic do roboty – skłamał Falco.

Roboty przed nim było sporo, ale o tym nie musiał wiedzieć jego niemiecki partner. On miał być przekonany, że Falco przyjechał do stolicy Niemiec tylko z jednym współpracownikiem. Nie miał pojęcia, że jest ich trzech. Bo polski przewoźnik był człowiekiem ambitnym i nie lubił tracić nadarzającej się okazji. Skoro już był w Berlinie, zaplanował znaczne zwiększenie zysków. Jego ludzie mieli za chwilę sprzątnąć trzy bryczki z ulicy i pojechać za nim do Polski. Sprawa wydawała się całkowicie prosta. Przeszli szkolenie, więc był spokojny

o efekt tego przedsięwzięcia. Jeszcze dziś w nocy wrócą do kraju, a autami zajmą się specjaliści od kolorów i przebijania numerów i za kilka dni z autonaprawy wyjadą trzy piękne bryczki do opchnięcia. Liczył, że na jednym takim kursie zarobi przynajmniej piętnaście tysięcy dolarów. Oczywiście pod warunkiem, że jego ludzie wybiorą dobre auta, a nie jakieś graty.

– No to życzę, jak to wy mówicie... szerokiej drogi. – Niemiec podał mu kluczyki od passata.

– Dzięki. To co, widzimy się za dwa, trzy tygodnie?

– Jak wszystko dobrze pójdzie, to ja.

– To do... – Chciał się pożegnać, ale naraz przyszło mu coś do głowy. – Mogę o coś zapytać?

– Skąd znam tak dobrze polski? – uprzedził jego pytanie Schuster.

– O, no właśnie o to chciałem...

– Urodziłem się na Śląsku, w Bytomiu. Tam chodziłem do szkoły, ale jak skończył zech ósma klasa, to ja i moja familio pojechali my do Efu.

– A, rozumiem. Dobrze spotkać rodaka.

Schuster pokręcił głową.

– Jo nie jest pana rodak. Jo zech jest Ślunzok.

Klepnął go w ramię, odwrócił się i poszedł przed siebie w kierunku Bramy Brandenburskiej.

Ciekawe, pomyślał Falco, spoglądając za odchodzącym... czy ta czapka, co ją zostawił, tam na samej górze bramy, koło tych koni, Janek Kos, jeszcze tam leży?

## Rozdział IX

### Opalenica Godzina 23.50

Adam Wiśniak przemykał ulicami miasta, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, choć było już dość późno, więc przechodniów prawie nie było. A jeśli już ktoś się znalazł na chodniku, to starał się jak najszybciej przejść swoją trasę i dotrzeć do domu, nie zastanawiając się specjalnie, co stało się młodzieńcowi utykającemu na jedną nogę, z podartą nogawką spodni i do tego jeszcze w tylko jednym trampku. Ten drugi przepadł gdzieś razem ze skarpetką. Wiśniak wyglądał więc niezbyt ciekawie, dlatego każdy, kto go zauważył, wolał ominąć chłopaka szerokim łukiem, tak na wszelki wypadek, dla świętego spokoju, bo przecież nigdy nie wiadomo, co takiemu obdartusowi może strzelić do łba. Bo nie dość, że bez buta, to może jeszcze jest pijany? Od pijanych z daleka, gdyż wiadomo, że każdy pijak to złodziej, więc pobije, okradnie albo jeszcze co gorszego zrobi... Tak myśleli ci, co go dostrzegli, a ci, którzy go nie zauważyli, skupieni na własnych myślach, marzyli tylko o tym, żeby usiąść wreszcie przed telewizorem albo się napić lub zjeść coś, byle we własnym domu. Miasto pogrążało się w swoich sprawach, zatopione w marzeniach o lepszym życiu i w ciemnościach, z którymi nie mógł sobie poradzić nawet pierwszy burmistrz Opalenicy. Materniaka wybrano w maju tego roku na pierwszą kadencję nowego samorządu i nie zdążył jeszcze rozwiązać problemów, z którymi nie dawał sobie rady jego poprzednik, ostatni naczelnik gminy z partyjnego nadania. Lamp ulicznych było za mało, w dodatku nawet jeśli były, to brakowało do nich żarówek, bo cały czas był to towar deficytowy. Więc Wiśnia cieszył się, że co chwilę wchodzi w strefę ciemności, licząc na to, że uda mu się w tym stanie dotrzeć jakoś do domu, umyć, przebrać i zastanowić nad tym, co się stało.

Ocknął się w swoim własnym aucie, ale nie siedział za kierownicą. I dobrze, pomyślał, bo po pijaku mógłby je jeszcze rozbić. Siedział na miejscu pasażera, a samochód właśnie zatrzymywał się przy drodze wiodącej na

Grodzisk. Poznał to miejsce po charakterystycznych zabudowaniach z prawej. Za to nie poznał faceta, który prowadził jego samochód.

– Cooo jeeest, do cholery? – zapytał, wracając powoli do przytomności. Wtedy zdał sobie sprawę, że boli go głowa i w ogóle kręci mu się wszystko przed oczami, jakby miał za chwilę się przewrócić. Ale się nie przewrócił, bo siedział i do tego jeszcze ramieniem opierał się o drzwi.

– Ano jest, do cholery, to, panie kolego, że sprawiedliwość wreszcie wyciągnęła po ciebie ręce – odpowiedział mu brodaty facet w dżinsowej marynarce i okularach top gun, ten sam, który chciał od niego kupić radyjka samochodowe na Łazarzu.

– Nic nieee rozumiem – przyznał Wiśnia, bo nie dość, że ogólnie niewiele przyswajał z powodu otumanienia alkoholem, to jeszcze nie łapał, o czym ten facet gada.

– Zrozumiesz za chwilę, jak ci nogi powyrywam z dupy, a później rzucę świniom. No powiedz mi, czy chcesz tego?

Nad tą kwestią musiał się trochę zastanowić. Nogi były mu oczywiście potrzebne do życia, bo bez nich trudno byłoby prowadzić dyskoteki, a te zazwyczaj prowadziło się na stojąco. No ale z drugiej strony można było założyć, że porusza się podczas grania muzyki na wózku. A jakby już opanował wózek i sprawnie się nim poruszał, to mógłby sobie poradzić nawet bez nóg, tych wyrwanych przez tego gościa. W sumie to byłaby nawet niezła sensacja dla gazet. „Echa Opalenickie” mogłyby zrobić o nim reportaż, zatytułowany na przykład *Disc jockey bez nóg*. A dalej redaktor mógłby napisać, że „Beethoven był głuchy jak pień, a Wiśniak nie ma nóg. To, co ich łączy, to miłość do muzyki. Mieszkaniec naszej Opalenicy stracił nogi w straszliwym bandyckim napadzie. Wtedy wszystkim wydawało się, że już jest po nim, bo przecież nie można wykonywać odpowiedzialnej pracy disc jockeya na inwalidzkim wózku. Ale on jak słynny pilot z *Opowieści o prawdziwym człowieku* radzieckiego pisarza Borysa Polewoja nie poddał się. Tamten wrócił do latania i walczył z faszystowskimi Niemcami, a nasz muzyk do grania, mimo że przecież nogi to podstawa pracy dla prowadzącego dyskoteki...”

– Tej, obudź się. – Z zamyślenia wyrwał go głos faceta w okularach. – Ciekawe, że tam był pilot radziecki, a tu amerykański. Ta myśl, nie wiedzieć czemu, wydała mu się szczególnie zabawna. Roześmiał się więc, a „Amerykanin” trzepnął go wielką łapą w ucho.

– Ja ci się, kurwa, zaraz pośmieję, ty chuju niemyty.



- Jak nieeemyty. Myję się codziennie...
- Mów mi tu zaraz, gdzie jest passat z prochami?
- Z jaaaakimi prochami?
- Z tymi, które żeście podpierdolili.
- Ja nic nieeee podpierdalałem.
- Gdzie są prochy?
- Jaaakie prochy?
- Te, co były w aucie.
- W jaaakim aucie?
- W passacie, gdzie były radyjka, co żeś chciał mi sprzedać. Gdzie masz te radyjka?
- W domu.
- A gdzie są prochy?
- Jaaakie prochy?
- Te z auta.
- Jakieeeeego auta?
- Tego, z którego są te magnetofony.
- To ja nie wiem. Bo mi magnetooofony opchnęli tacy dwaj, jeden się nazywa Łysy, a drugi Faflujnia.
- Co?
- Faflujnia, znaczy się taki, co z nim nie można gadać, jak się za blisko podejdzie, bo pluje przed siebie. No znaczy się Faflujnia.
- A ich nazwiska?
- Nie znam naazwisk. Ale to oni mi wszystko opchnęli.
- To se, kurwa, przypomnij. I to szybko.
- Ale nieee znam...

Facet uderzył go w głowę. Dopiero to spowodowało, że Wiśnia zaczął odzyskiwać jasność myślenia. Rozmawiał z tym gościem, odpowiadał logicznie, ale do końca nie wiedział, co się dzieje. Jakby był pod wpływem jakiegoś dziwnego środka. Jeszcze do końca wszystkiego nie pojmował, ale naraz zrozumiał, że w swoim własnym samochodzie siedzi nie tam, gdzie powinien, a jego miejsce zajmuje obcy facet, który w dodatku jeszcze go bije.

A on nie lubił, gdy go ktoś bił. Tym bardziej że tego wieczora to już był drugi raz. No i ta świadomość przepełniła czarę goryczy. Chłopak ścisnął prawą dłoń w pięść i zamachnął się najmocniej, jak potrafił. Ręka wylądowała na nosie „lotnika”, aż poczuł, że coś tam nieprzyjemnie chrupnęło.

– Jezus Maria! – zawołał uderzony mężczyzna i złapał się za nos. Chłopak patrzył na niego jak urzeczony i zastanawiał się, czy aby nie warto przywalić mu jeszcze raz. Ale za długo trwało to analizowanie sytuacji. Na tyle długo, że pobity facet zdążył wyciągnąć z kieszeni marynarki pistolet i uderzyć nim w skroń disc jockeya. – Ja ci, kurwa, dam, ty jebańcu! – Walnął Wiśnię jeszcze raz, ale zupełnie niepotrzebnie, bo ten opadł z sił i znów zaczął odpyływać w niebyt. – Chciałem się z tobą dogadać po dobroci, skurwysynu, ale widać nie można normalnie z tobą rozmawiać. No to ja ci teraz pokażę, jak się rozmawia z takimi chujami, co stawiają opór władzy. Albo będziesz gadał, albo cię zabiję jak psa. Ej, ty, kurwa, słyszysz mnie? Już po tobie. Zabiję... – Złapał chłopaka za ucho i szarpnął nim boleśnie. Ten otworzył oczy, ale wcale nie oprzytomniał. Wręcz przeciwnie, coraz bardziej przesuwiał się na skraj nieświadomości. Napastnik najwyraźniej musiał to zauważyć, bo zmienił metodę przesłuchania. Odczekał chwilę, potem sięgnął po papierosa, zapalił go i zaciągnąwszy się, zaczął się zastanawiać, co dalej.

Od początku nie poszło najlepiej. Widać się starzeję, pomyślał były esbek Leśniak. Jeśli tak go będę przesłuchiwał, to zatłukę gnojka i niczego się nie dowiem. A przecież przyjechałem tu, żeby się czegoś dowiedzieć i rozwikłać tę skomplikowaną sytuację, w której się znaleźli, a dokładniej, w której znalazł się jego szef.

Dwa tygodnie temu, dokładnie piętnastego sierpnia nad ranem, w Berlinie volkswagen passat został załadowany heroiną. Prochy znalazły się w baku z podwójnym dnem. Do tego jeszcze przygotowano specjalne koło zapasowe, które również wypełniono narkotykami... Dla niepoznaki cały bagażnik został zawalony gównianymi radijkami samochodowymi, kupionymi w tureckiej hurtowni. Ta elektronika miała odwrócić uwagę celników, którzy widząc sprzęt radiowy, pewnie nie zainteresowaliby się zapasowym kołem, nie mówiąc już wcale o spreparowanym baku.

Kierowca samochodu zadzwonił do Polski, że wyjeżdża bez przeszkód, bo taka była umowa. Chodziło o to, by odbiorca miał pewność, że wszystko przebiega zgodnie z planem. I rzeczywiście tak się stało. Samochód przekroczył polsko-niemiecką granicę w Świecku, kierowca zadzwonił i potwierdził, że

jedzie do Poznania, i rozplątał się we mgle. Nie było ani towaru, ani auta. Jeszcze tego samego dnia wieczorem rozpoczęły się poszukiwania zaginionego wozu. Z Poznania wyjechały dwa samochody z ludźmi, którzy mieli za zadanie przejrzeć wszystkie parkingi, stacje benzynowe i knajpy z miejscami postojowymi. Auta nigdzie nie znaleziono. Po kilku dniach bezowocnych poszukiwań odbiorcy doszli do przekonania, że to kierowca ukradł towar. Szukano więc konkretnego człowieka, samochodu, dużej partii prochów, które nagle pojawiłyby się na rynku, no i radyjek. Bo to po nich najłatwiej można było trafić do tych, którzy zgarnęli towar. Tak rozumowali odbiorcy, wychodząc z założenia, że prędzej czy później partia samochodowych radiomagnetofonów pojawi się na rynku. I mieli rację. Na te właśnie radyjka natrafił Leśniak, który od tygodnia nadzorował gemelę na Łazarzu[29]. Teraz musiał tylko wydobyć od tego chłopaka, gdzie jest auto z prochami, i już byłoby po zabawie, bo nie bardzo mu się chciało wieźć go do Poznania.

Spojrzał na niego. Leżał obok na siedzeniu nieprzytomny. A on wiedział, że musi go przepytac jeszcze raz, żeby potwierdzić wszystkie dane o tym Łysym i Faflujni, którzy sprzedali mu radyjka. Nie powinno być z tym problemu, ale musiał się jeszcze trochę wysilić. Takie były przecież zasady. Zeznanie, a potem potwierdzenie i dopiero podejmowanie jakichś decyzji. Ale żeby go jeszcze mocniej nastraszyć i wyciągnąć informacje, musiał go wywieźć gdzieś na odludzie. Włączył więc stacyjkę i auto ruszyło przed siebie. Przejechali kilka kilometrów i znaleźli się w lesie. Leśniak zaczął się rozglądać za jakimś ustronnym parkingiem, ale niewiele było widać, bo jeszcze było ciemno...

Naraz ręka chłopaka szarpnęła za kierownicę. Samochód skręcił gwałtownie i wyleciał z drogi. Esbek nie zdążył nawet wcisnąć hamulca. Golf w pełnym pędzie zjechał na prawo i uderzył w drzewo. Leśniak walnął głową w szybę, a ułamek sekundy później wyleciał z samochodu. Wiśnia spojrzał w ślad za esbekiem. Nie było go widać w ciemnościach. Natomiast on siedział nadal w aucie. A wszystko dzięki zapiętym pasom. Zdziwił się, bo nigdy ich nie używał. Chyba ten facet mi je zapiął, żebym nie uciekł, pomyślał. Ale o sobie zapomniał. I tak właśnie wyglądają skutki niezapięcia pasów bezpieczeństwa, przyszło mu do głowy, a potem wysiadł z auta. Usłyszał jęki. Jego kierowca się budził. Mógł go zacząć gonić i teraz, po tym, co się stało, zrealizować swoje groźby dotyczące wyrywania nóg z dupy. Dlatego postanowił z nich skorzystać i uciekać jak najdalej od rozbitego auta.

Po całym dniu błądzenia po polach i lasach późnym wieczorem dotarł do Opalenicy. Był bardzo zmęczony i głodny. Do tego wszystkiego jeszcze bał się

jak diabli, bo nie wiedział, czy dobrze robi, że wraca do domu. Tam przecież mógł się kryć ten facet, który go porwał i chciał zabić. A on za nic w świecie nie miał w planach żadnego umierania. Zamierzał zostać najśłynniejszym w kraju muzykiem dyskotekowym, jeżdżącym po najbardziej ekskluzywnych imprezach weselnych i okolicznościowych, znanym i podziwianym za swoje niezwykle osiągnięcia w miksowaniu muzyki. I dlatego umieranie, którym zagroził mu ten gość, nie wchodziło w rachubę.

Wreszcie dotarł przed swój dom. W kuchni świeciło się światło. Mama musiała być w środku. Przystanął na chwilę, rozglądając się uważnie, ale niczego podejrzanego nie zauważył. Przeszedł więc szybko ulicę, otworzył furtkę i dwoma susami dopadł drzwi. Położył dłoń na klamce, przycisnął dzwonek... i wtedy usłyszał za sobą pisk opon hamującego samochodu.

– Ręce do góry, milicja! – zawołał ktoś groźnym głosem.

– Policja – poprawił tego pierwszego drugi głos.

– Kurwa, policja! – Pierwszy skorygował pomyłkę. – Policja, ręce do góry!

Wiśnia wykonał polecenie. W sumie nawet poczuł się zadowolony, że ten koszmar się skończył. Bo w rękach policji na pewno będzie bezpieczniejszy, niż czekając w domu na faceta, który chciał go pozbawić nóg.

## **Przejście graniczne w Świecku**

**Środa 5 września**

**Godzina 0.10**

Czarne porsche 910 zatrzymało się na parkingu, niedaleko przejścia granicznego. Z tego miejsca dokładnie było widać budynki służb celnych i straży granicznej, wszystkie przykryte dachem wznoszącym się na lekkich, stalowych konstrukcjach.

Kierowca podjechał na wolne miejsce, obok lśniącej czystością i pięknym czerwonym lakierem beemką 520. Kierowcy musieli się znać, bo ten z porszaka wysiadł z auta i włożywszy papierosa w usta, podszedł do czerwonej limuzyny, a ze środka wysunęła się ręka z zapalniczką. Siedzący za kierownicą niewielki grubasek z czarnymi wąsami, ubrany w ciemną skórzaną kamizelkę i zrobioną z tego samego materiału czapkę z daszkiem, też zapalił i zaciągnął się zadowolony, a potem chrząknął przeciągle i splunął pod nogi flegmą.

– Przejebane mają te biedne skurwysyny – odezwał się Pyśka, wskazując głową na kolejkę ciężarówek i drugą, równoległą, złożoną z aut osobowych.

– Dobrze jest jeździć na niemieckich blachach dobrą furą – potwierdził jego kolega Wafel. Był znacznie wyższy od tego w czapce i zdecydowanie lepiej zbudowany. W obcisłej koszulce Bayernu Monachium wyglądał jak masażysta bawarskiej drużyny futbolowej.

– Jak to takie jest proste, to nie wiem, czemu wiara nie kradnie niemieckich tablic, żeby przejechać granicę. Ja bym tak robił. Wjeżdżam do jakiejś wiochy, podpieprzam rejestrację z jakiegoś niemieckiego wózka i przejeżdżam granicę, a potem wypierdalam te blachy do rowu – stwierdził Pyśka, przypatrując się ogromnej kolejce.

– Bo niemieckie blachy tak średnio pasują do naszych polonezów. Zaraz by się wszyscy pokapowali na granicy. Niemieckie blachy pasują za to do takich fur jak nasze. – Wafel z czułością pogłodził karoserię swojego porsche.

– A gdzie jest Trąba?

– Tam, podjechał do kibla. – Wafel wskazał na niewielki parterowy pawilon, przy którym kręciło się kilkanaście osób czekających na wejście do toalety. Przy krawężniku stał niepozorny na pierwszy rzut oka żółty mini morris.

– A, widzę tą jego mydelniczkę – zadrwił Pyśka. – Co to za pomysł, żeby do kraju ciągnąć małego fiata? Przecież takich u nas na pęczki.

– To nie mały fiat – odezwał się zza jego pleców Falco. – To jest bardzo dobre angielskie autko, za które dostaniemy bardzo dobrą cenę.

– O, już jesteś! – ucieszył się Pyśka. – Ale cię żeśmy odstawili tymi naszymi autami. Ten twój passat to jednak w porównaniu z naszymi to stary grat.

– Roczny to nie stary. Ale przynajmniej nie rzuca się w oczy. A wyście się odwalili jak stróże na Boże Ciało. Najlepsze auta na Unter Der Linden żeście wzięli.

– A jak nie brać, jak się same proszą – rzucił Wafel, machając kluczykami. Rzeczywiście te auta miały jedną wspólną cechę: kluczyki były w stacyjkach. Ukradli je z parkingu podziemnego, gdzie samochody zostawiali klienci restauracji. Trafili tam przez przypadek, gdy Zdzichu Trąba zobaczył, jak goście zatrzymują się przed knajpą i oddają kluczyki chłopakom z obsługi, a ci odstawiają auta na parking. No to weszli na ten parking i tam okazało się, że wszystkie samochody mają kluczyki w stacyjkach. Niewiele się zastanawiając, wybrali trzy najładniejsze, wsiedli i wyjechali, wyłamując plastikową barierkę przy bramie. Nikt ich nie zaczepił, nikt nawet nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Musieli wykorzystać okazję, która sama wepchała się im w ręce. No

i teraz podróżowali samochodami, które wyglądały, jakby właśnie przed chwilą wyjechały z salonu.

– I jak tam jedziemy, panowie? – Wysikany Trąba podszedł do swoich kolegów.

– Robimy tak, najpierw jadę ja – zaczął wyjaśniać strategię Falco. – Ja mam auto jak najbardziej legalne, z papierami, to nic mi nie zrobią. Nie ma raczej szansy, żeby mnie przeszukiwali. No więc przejeżdżam i jadę kawałek dalej w Polsce, tam jest stacja benzynowa. Gnilec się nazywa ta miejscowość.

– Faj, ohydna nazwa. – Pyśka powachlował się dłonią koło nosa, jakby otoczył go smród zgnilizny.

– Tam czekam – ciągnął dalej Falco – na was. Jak się zameldujecie, to jedziemy do chaty. Tylko ostrzegam, żadnego łamania przepisów. Bo nie mam zamiaru ryzykować, że zatrzymają nas szkieły za prędkość, i stracić auto, bo nie będziecie mieć papierów.

– Pojedziemy, jakbyśmy mieli na szybie zielone listki – zażartował Wafel z niedoświadczonych kierowców, którzy przez pierwsze pół roku po zrobieniu prawa jazdy musieli jeździć z naklejką zielonego listka, pokazującą innym uczestnikom ruchu, że od tego auta lepiej się trzymać z daleka.

– I jeszcze jedno – dodał Falco. – Jakby kogoś z was zatrzymali, rozumiecie, kazali wysiadać, pokazywać dokumenty i w ogóle byłoby groźnie, to spierdalajcie, aż się będzie kurzyło, i nie dajcie się złapać. Uciekacie samochodem albo pieszo, bylebyście tylko jakoś dostali się do stacji Gnilec. A tam wsiadacie do któregośkolwiek z samochodów kolegów i jedziemy. Na to, żeby dotrzeć do Gnilca, macie pół godziny. Tyle będziemy czekać, a potem radźcie sobie sami. W razie czego najlepiej jechać do Poznania stopem. Tylko pamiętajcie, nie dajcie się wziąć żywcem, bo to się nam nie opłaca. Jasne, chłopaki?

– Nie ma o czym gadać – rzucił Trąba. – Nie z takich sytuacji żeśmy wychodzili. Co nie, panowie?

Wszyscy pokiwali głowami, uścisnęli sobie dłonie, pokleпали się po plecach, życząc sobie wzajemnie powodzenia, i rozeszli się do swoich aut.

Na parkingu stało sporo samochodów osobowych, które za chwilę miały ruszyć do Polski. Były to jednak tylko auta niemieckie, które zazwyczaj przejeżdżały bez kontroli. Polskie samochody nie zjeżdżały na parking, bo kierowcy bali się, że stracą swoje miejsce w ciągnącej się kilka kilometrów

w głąb Niemiec kolejce, a nikt nie miał zamiaru wracać na sam koniec, by znów przeżyć to długie, trwające całą wieczność czekanie.

W kolejce stały też samochody ciężarowe. Jednak ta rządziła się zupełnie innymi prawami niż ogonek osobowych aut. Kierowcy TIR-ów byli przyzwyczajeni do stania w kilometrowych korkach na przejściach granicznych przed wjazdem do wschodniej, dzikszej części Europy. Celnicy niemieccy i polscy przeprowadzali drobiazgowo kontrole tych aut, by nie dopuścić przypadkiem do wwiezienia jakichś towarów, od których nie uiszczono odpowiedniego cła. Dlatego szoferzy ciężarówek musieli odczekać swoje, bo sprawdzanie jednego samochodu trwało nawet pół godziny. Nic więc dziwnego, że na wjazd do Polski można było czekać i dwie doby. Kierowcy osobówek mieli lepiej. Ich kontrolowano i sprawdzano wyrywkowo. To znaczy każdy musiał okazać paszport z wizą, odpowiedzieć na pytanie, co wwozi do kraju, a ci, którzy wyglądali niezbyt sympatycznie, przechodzili szczegółową kontrolę. Ten problem z czekaniem mieli jednak tylko właściciele aut na polskich numerach. W zupełnie innej sytuacji byli obywatele Niemiec. Tych niemieccy celnicy przepuszczali bez kontroli. Podobnie robili też celnicy polscy, którzy wiedzieli, że jedynym towarem, który sąsiedzi zza miedzy mogą wwozić do Polski, są niemieckie marki. Oni nie bawili się w drobny handel i przemyt, tak jak Polacy. Za dobrze zarabiali, żeby mogło im zależeć na przyrobieniu dodatkowych groszy na sprzedaży kilku magnetowidów.

Falco zjechał z parkingu i ruszył przed siebie w kierunku punktu kontrolnego. Na wszelki wypadek wydobyl z saszetki paszport wystawiony na jego nazwisko. Był to oryginalny niemiecki dokument, który wyrobiono dla niego w Berlinie. Według informacji w nim zawartych Jan Koper, bo takie nazwisko nosił Falco, był obywatelem NRD. Kraj już co prawda nie istniał, ale paszporty enerdowskie były traktowane na równi z tymi zachodnioniemieckimi. Był więc prawdziwym Niemcem, choć po niemiecku mówił raczej niezbyt płynnie.

Podjechał do niemieckiego celnika. Ten spojrział na samochód z niemiecką rejestracją, potem na kierowcę i paszport w jego dłoni, po czym skłonił się lekko i machnął ręką. Falco wrzucił dwójkę. Minął polskie samochody z umęczonymi długim oczekiwaniem kierowcami, którzy obrzucali go spojrzeniami pełnymi niechęci i zazdrości. Oni też chcieli przekraczać granicę jak ludzie, a nie jak bydło. Niektórzy mieli nadzieję, że dożyją tej chwili, gdy i oni będą mogli, jak prawdziwi Europejczycy, jeździć do innych krajów bez kontroli i czekania, choć ta wizja wydawała się w tej chwili kompletnie

nierealna, a to, co działo się na przejściu drogowym w Świecku, wydawało się granicą naszych możliwości.

Polski celnik też tylko machnął i Falco wjechał do kraju. Nawet gdyby miał zamknięte oczy, od razu wiedziałby, że to Polska. Wjeżdżających upewniały w tym rozjeżdżone koleiny i dziury w asfalcie, tak wielkie, jakby ktoś celowo podjął decyzję o pozostawieniu śladów ostrzału moździerzowego z czterdziestego piątego roku na pamiątkę po wyzwolicielach z Armii Czerwonej.

Przejechał jeszcze kilkaset metrów wzdłuż ogromnej, niekończącej się kolejki TIR-ów i osobówek, czekających na wjazd do Niemiec. Jego auto przecięło oś jezdni i skręciło na stację benzynową w Gnildcu. Wysiadł z samochodu i poszedł w kierunku przeszklonego pawilonu, gdzie płaciło się za tankowanie. Wewnątrz siedział znudzony gość w niebieskim kombinezonie i czapeczce ze znakiem firmowym CPN. Spojrzał na klienta zdziwiony, bo nie było przecież żadnego tankowania. Karteczka wisząca na dystrybutorze mówiła wyraźnie, że paliwa nie ma.

– Można zadzwonić? – zapytał Falco.

– Telefon jest tam. – Mężczyzna wskazał na aparat wrzutowy wiszący na ścianie po przeciwnej stronie pawilonu. Falco skinął głową i odwrócił się, by pójść we wskazane miejsce, ale powstrzymał go głos kasjera.

– Ale jest nieczynny. Jakies chuje urwały słuchawkę.

– Aha. – Uśmiechnął się pod nosem. – Ale ma pan służbowy?

– Mam, ale do rozmów służbowych.

– Rozumiem – stwierdził Falco, sięgając do saszetki. Wydobył z niej monetę pięciomarkową i położył na blacie, o który opierał się mężczyzna. Ten rzucił okiem na piątkę i uśmiechnął się.

– Dla pana mogę zrobić wyjątek, bo jak widzę, sprawa jest pilna. – Wskazał drzwi prowadzące na zaplecze, zabezpieczone szarą kotarą. – Dzwon pan.

– Dziękuję. – Falco skinął głową i podszedł do telefonu. Szybko wybrał numer kierunkowy i potem prywatny abonenta, z którym chciał się połączyć.

– Halo, słucham, dobry wieczór.

– Mówi Falconetti.

– A, proszę, bardzo ładnie, a wew czym mogę się przysłużyć?

– W niczym, kurwa. Już jestem. Znaczy się jadę.



Wyszedł na zewnątrz, odprowadzany obojętnym spojrzeniem kasjera. Koło jego auta stało czerwone bmw, obok porsche i żółty mini morris. Odetchnął z ulgą, bo to oznaczało, że cała grupa była w komplecie. Mogli teraz spokojnie wracać do Poznania.

## **Opalenica**

### **Godzina 0.20**

Wiśniakowa leżała na tapczanie i pojękiwała cicho. Trochę ze strachu, a trochę dlatego, że przeżywała jak zwykle każdy odcinek serialu *W labiryncie*. Ten już widziała i wiedziała doskonale, że za chwilę drzwi się otworzą i do pokoju wejdzie Adam Racewicz, grany przez Marka Kondrata, a później pojawi się jego żona, Joanna Racewicz. O ile Kondrat w roli Adama był całkiem dobrze obsadzony, o tyle Sławomira Łozińska za bardzo kojarzyła się jej z Bronką z serialu o Leszku, czyli z *Daleko od szosy*, i nie bardzo pasowała do roli kobiety z miasta. No ale w sumie ludzie się zmieniają, myślała, i Bronka mogła wyjechać z tej swojej wsi zabitej dechami i zostać żoną Racewicza. Tylko to imię nie pasowało, bo Bronka nie mogła przecież zmienić imienia na Joanna. No chyba że Joanna miała na drugie i jak się przeniosła do miasta, to zmieniła, bo Bronka to takie bardziej imię wiejskie, a Joanna to jak najbardziej miastowe.

Facet z rozbitym nosem też oglądał ten film. Siedział na fotelu ustawionym przy węższej krawędzi szwedzkiej ławy w kolorze orzecha, lakierowanej na wysoki połysk podobnie jak stanowiąca z nią komplet meblościanka, składająca się z szafy ubraniowej i trzech części z dwudrzwiowymi szafkami na dole i półkami powyżej. W części segmentu, tuż przy szafie, postawiono czarno-biały telewizor Neptun, a nad nim, na półkach, stały kryształowe wazoniki otaczające zdjęcie uśmiechniętego papieża Polaka w plastikowej, przezroczystej ramce. To był efekt kolekcjonowania przez całe lata wyrobów z kryształu, które gospodyni kochała prawie tak bardzo jak swoje dzieci, a właściwie może nawet bardziej. Poświęciła je wszystkie największej miłości swojego życia, Ojcu Świętemu, któremu zbudowała kryształowy ołtarz. Modliła się do niego codziennie rano, by przyniósł swoim wstawiennictwem szczęście jej i całej rodzinie, za wyjątkiem stryjka Antka, który był pijakiem, a jak wiadomo pijakom wymodlone szczęście do niczego nie jest potrzebne, bo ci dawkują je sobie samodzielnie w ilościach odpowiednich do doraźnych potrzeb.

Połączenie ołtarzyka z telewizorem miało jeszcze jedną praktyczną cechę. Podczas modlitw można było spoglądać jednym okiem w ekran, obserwując, czy nie dają tam czegoś ciekawego. Oczywiście takie oglądanie musiało się odbywać z wyłączonym dźwiękiem, żeby gadanie z telewizora nie zakłócało modlitewnego skupienia. Ale w przypadku czegoś ważnego, co pojawiało się na ekranie, zawsze można było na chwilę przerwać modlitwę, obejrzeć i po chwili znowu do niej wrócić z pełnym poświęceniem i oddaniem.

Barek umieszczony w kolejnym elemencie segmentu był otwarty. Uchyłne drzwiczki, które po otwarciu zamieniały się w blat do nalewania alkoholu, jednocześnie zwalniały przycisk jarzeniowej żaróweczki, podświetlającej wyłożone lustrami wnętrze. Dzięki temu dwie butelki ze spirytusem, jedna rozrobiona z miodem, a druga z zalanymi bursztynami, wyglądały tak, jakby wewnątrz stało jeszcze ze dwadzieścia podobnych flaszek. Chwilę wcześniej tych lustrzanych odbić było znacznie więcej, bo stała tam jeszcze jedna półlitrowka domowej miodówki, ale ta nalewka została zabrana przez gościa, bo ten musiał koniecznie się napić.

– Ja to nawet specjalnie jakoś dużo nie piję – rzucił, spoglądając na leżącą na tapczanie gospodynię. W normalnych warunkach zapewne to ona podałaby mu butelkę i kieliszek. A może i sama by wypijała, bo ta miodówka to był jej specjalny domowy wyrób dla najważniejszych gości. Ale warunki były nienormalne, bo gospodyni leżała ze związanymi rękoma i dłońmi, a do tego jeszcze miała zakneblowane usta. Ale otwarte usta do niczego nie były jej potrzebne. To, co miała powiedzieć gościowi, już powiedziała i teraz mogła tylko czekać na to, co się wydarzy. Dobrze, że przynajmniej z twarzą odwróconą do telewizora i papieża. Te dwa ekrany, święty i świecki, dawały jej poczucie siły. Wiedziała, że przetrwa, bo jest z nią moc obrazów.

– Ale czasami to muszę się napić – mówił ten facet, który ją związał i rzucił na tapczan. Nawet przez chwilę zastanawiała się, czy aby nie zechce jej wykorzystać. Ale jak to bywa z mężczyznami, wolał wódę przed telewizorem. Gdyby jeszcze nie gadał i nie zagłuszał tego, co mówili w filmie, to nawet dałoby się wytrzymać to leżenie nieruchomo. Ale temu wzięło się na zwierzenia.

– Ja to do pani syna to nic nie mam. Nawet to, że uderzył mnie w nos i doprowadził samochód do wypadku, a mogliśmy w tym wypadku obaj zginąć, to nawet to nie nastawiło mnie przeciwko niemu. On zrobił to, co musiał, bo walczył jak mężczyzna. I to znaczy, że ma jaja. No ale w zetknięciu

z profesjonalistą nie ma żadnych szans. I dlatego jak tu przyjdzie, to ja jego tak samo związę i rzucę na fotel, a potem on będzie mi musiał oddać ten towar, który ukradł. A jak nie odda, to...

Kobieta pisnęła głośno akurat w chwili, gdy Marek Kondrat, siedzący w restauracji przy stoliku z Dorotą Kamińską, nachylił się i chciał ją pocałować. Serce Wiśniakowej zadrżało, więc krzyknęła, jak to miała w zwyczaju w szczególnie emocjonujących momentach. Ale na szczęście przyszedł kelner i pan Marek odsunął się od pani Doroty i nie doszło do niczego, czego mogliby później żałować. Choć on jednak pocałował ją w rękę. No ale miał za co, bo chwilę wcześniej ona dała mu piękne pudełko z trzema piórami firmy Parker, czyli z prezentem, który był wart grzechu.

– Ja wiem, że się pani boi – zareagował na ten pisk nieproszony gość – ale dobrze by było, żeby poszedł ze mną na współpracę, to ja jemu nic nie zrobię. Odda wszystko i nikomu się nic nie stanie, a ja wyjadę stąd z tym, co miałem odebrać. I będzie wtedy po sprawie. Tak będzie najlepiej dla wszystkich. Rozumie pani?

Chwycił butelkę i nalał sobie kolejny kieliszek miodówki. Wypił i otarł dłonią usta.

– Dobrze, cholera. Ale mocne. Moja mama też robiła takie miodówki, ale słabsze. Mówiła, że z mocą nie ma co przesadzać, bo najważniejsze jest, żeby grzało. No dobra, to jeszcze jeden kielonek i na razie wystarczy. Bo ja dzisiaj do Poznania muszę jechać. Mam nadzieję, że szybko się uwiniemy z pani synem. Odda mi, co trzeba...

Naraz usłyszał jakiś dźwięk. Jakby ktoś usiłował sforsować metalowe ogrodzenie. Podszedł do okna i spojrzął na zewnątrz, ukryty za zasłoną. Dostrzegł dwóch facetów prowadzących się pod rękę. Na chwilę zatrzymali się przy płocie, bo jednemu z nich najwyraźniej zrobiło się niedobrze.

– Kurwa, Marceli, strułem się czymś. Czuję, że zaraz się porzygam – stwierdził ten oparty.

– Ciekawe niby czym? Może sałatka była nieświeża?

– Nie jadłem sałatki.

– A co żeś jadł?

– Nic. Ino piłem.

– Ano to nawet nie masz czym rzygać.

- Jak nie mam, jak mi się chce?
- No to, kurwa, rzygaj – poradził mu jego kumpel.
- Ale nie mam cofki, Marceli. To przez tą pieprzoną sałatkę.
- No przecież żeś jej nie jadł.
- I wew związku z tym mi zaszkodziła, bo nie ma co się cofnąć.
- To se włóż paluchy, to ci się zrobi samo.
- Masz rację, Marceli. Ale się odsuń, żebym nie narzygał ci na trzewiki.
- To rzygaj za płot.
- Racja, Marceli. Ty, ale masz łeb – stwierdził ten struty.

Oparł się o krawędź płotu i wsadziwszy sobie palce w gardło, zwymiotował kulturalnie, bynajmniej nie na chodnik, ale na drugą stronę, do ogródka. Jego kompan podał mu chusteczkę, którą wymiotujący otarł usta i zaraz schował ją do kieszeni. Po załatwieniu tej jakże istotnej czynności, przynoszącej ulgę umęczonemu żołądkowi, obaj wędrowcy oddalili się, pozostawiając ulicę pustą, bez wyraźnych śladów życia.

Obserwujący ich zza firanki człowiek uśmiechnął się z pewną wyrozumiałością, ale i lekką ulgą. Ci dwaj na pewno mu nie zagrażali. On znał się dobrze na metodach operacyjnych i sposobach inwigilacji, więc wiedział, że często na rozpoznanie wysyła się ludzi udających pijaków, bo ci jak nikt inny wtapiają się w otaczającą rzeczywistość i w zasadzie prawie nikt nie zwraca na nich uwagi. A jeśli nawet zwróci, to zazwyczaj lekceważy. Wywiadowcy mogli udawać pijaków, ale rzygania raczej udawać się nie da. A zresztą, kto by mnie miał niby namierzać? – zapytał sam siebie w myślach, gdy pijacy zniknęli w oddali.

– Wiara to ma zdrowie tak chlać – powiedział Henryk Leśniak, wracając na swoje miejsce. Kobieta nie zareagowała na jego słowa. Wpatrzona w twarz Wiesława Drzewicza, chłonęła jego monolog, jak zwykle interesujący i pouczający. W końcu każda miłośniczka seriali lubi, gdy bohater dzieli się z nią swoimi życiowymi mądrościami, z którymi na dodatek telewizzka się zgadza i się z nimi identyfikuje.

– Skąd wiesz, że zegarek jest zepsuty? – zapytała Maria Jarosz, odgrywana przez aktorkę Barbarę Horawiankę.

– Bo nie tyka – stwierdził z miną znawcy Leon Guttman sympatycznym głosem Gargamela.

Leśniak spojrział na swój zegarek. Działał i wskazywał dwadzieścia minut po północy. Mógłby już przyjść ten gnojek, bo pobyt w Opalenicy przeciąga się już naprawdę zbyt długo. Całe szczęście, że po tym wypadku przyszło mu do głowy, żeby spokojnie wrócić do miasta i nie pętać się gdzieś po okolicy, nie przesiadywać w swoim malutkim samochodzie, tylko od razu uderzyć do jedyne go miejsca, gdzie Wiśniak na pewno trafi. Przedstawił się matce, która otworzyła mu drzwi, że jest kolegą jej syna. A gdy ta wpuściła go do mieszkania, szybko ją obezwładnił i powiazaną rzucił na tapczan. I tak trwali przez ładnych kilka godzin w oczekiwaniu. Ona na wyzwolenie z niewoli, on na pomyślne zakończenie swojej misji. Zastanawiał się jeszcze nad tym, co powinien zrobić z tą babą i jej synem, ale jak długo by o tym nie myślał, i tak wynik tego prostego równania był jeden. Musiał ich oboje zlikwidować. Przecież nie zostawi świadków, którzy mogliby go zidentyfikować i co za tym idzie, pomóc namierzyć ludzi, którzy z nim współpracują. Szkoda tylko, że wraz z tą kobietą odejdzie w zaświaty receptura tej doskonałej miodówki. A może by tak wyjąć jej knebel i kazać podyktować przepis...

Wtem za oknem dostrzegł jakiś ruch. Czyżby ci dwaj nawaleni goście wrócili? Uśmiechnął się pod nosem, pełen wyrozumiałych myśli o ludziach, którzy pomimo zmian ustrojowych i przejścia z komunizmu do kapitalizmu nadal trwali na ścieżce wyznaczonej przez ojców i dziadów, kultuwując wielowiekową tradycję picia dla samego picia bez żadnej okazji.

Podszedł do okna. Furtka skrzypnęła. Wyciągnął pistolet. Kobieta też to usłyszała i próbowała wydusić z siebie jakiś krzyk. Zawyla gardłowo, ale on był czujny. Jednym susem doskoczył do niej i zdzielił ją kolbą w skroń. Natychmiast zamknęła oczy. Nawet przestraszył się, że uderzył ją za mocno, ale zaraz przyszła refleksja, że przecież i tak nie miało to żadnego znaczenia, bo już raczej jest po niej. Szkoda tylko tej nalewki. Cała nadzieja, że może syn zna, myślał, podchodząc do drzwi. Spojrzał przez wizjer i dostrzegł znajomą twarz Wiśniaka. Ten położył dłoń na klamce i nacisnął dzwonek...

Pisk opon hamującego samochodu. Z radiowozu wyskoczyło trzech policjantów z pistoletami w dłoniach.

- Ręce do góry, milicja! – krzyknął najstarszy z nich.
- Policja – poprawił go znacznie młodszy.
- Kurwa, policja! – Pierwszy poprawił się natychmiast. – Policja, ręce do góry.

Dopadli do stojącego pod drzwiami chłopaka. Tymczasem Leśniak zrobił krok do tyłu i wrócił do pokoju, w którym leżała kobieta. Wcześniej sprawdził rozkład mieszkania i wiedział, że na tyłach jest wyjście do ogrodu. Ruszył w tamtym kierunku i naraz stanął jak wryty. Stała przed nim drobnej budowy blondynka w dwuczęściowym kostiumie urzędniczki pocztowej z pistoletem w dłoniach.

– To, co mam w ręce, to się nazywa *browning baby*, ale zapewniam cię, że mimo malutkich rozmiarów potrafi zrobić całkiem niezłą dziurę w głowie swoim nabojem kalibru 6,35 milimetra.

Leśniak wiedział o tym doskonale. Dlatego zdecydował, że lepiej będzie odrzucić swojego czaka. Bo ta niezbyt wielka kobieta robiła całkiem poważne wrażenie.

## **Poznań**

### **Godzina 0.30**

Tunio Ząbek oglądał film na wideo, ale nie mógł powiedzieć, że akcja jakoś szczególnie go wciągała. Może dlatego, że nie bardzo rozumiał, o co chodzi. To była jakaś opowieść o facecie z mieczem, który nazywał się Conan Barbarzyńca. No i ten gość przez cały film chodził z tym mieczem albo jeździł konno i walczył z jakimiś rycerzami, też wyposażonymi w miecze. Nawet ładnie walczyli, myślał Tunio, tylko że nic z tego nie wynikało, bo nie wiedział, o co walczą.

– To jest, panie szanowny, taka fajna rąbanka, że aż zęby bolą. – Zachwalał swój towar właściciel wymiennej wypożyczalni wideo, który swoje pudełka z filmami eksponował na stoliku kempingowym, rozstawionym na chodniku koło Okrągłaka wśród innych podobnych prowizorycznych stoisk, oferujących wszystko, czego brakowało w handlu uspołecznionym. Miał tych pudełek ze dwadzieścia, więc Tunio zapytał go, co ma obejrzeć, bo postanowił, że skoro musiał być na chodzie przez całą noc, spędzi ją, oglądając filmy.

– A tak mniej więcej to o czym jest ten film?

– O takim gościu, co się napierdala mieczem. I tak tnie tych, co z nim walczą, że aż miło patrzeć. A gra tego gościa, Conana, ten Austriak, jak on się nazywa? No taki wielki...

Wzruszył ramionami, bo nie znał żadnego Austriaka osobiście. Ten jedyny, o którym słyszał, wcale wielki nie był. No chyba że wielkość się bierze z przechodzenia do historii, a ten przeszedł, ale zapisał się w niej niezbyt dobrze.

– Hitler? – podpowiedział nieśmiało Tunio.

– Nie! – Sprzedawca pokręcił głową. – To nie malarz, ale aktor. O, już wiem, on się nazywa Schwarzenegger. Był kulturystą, ale teraz się przebranzowił i został aktorem. I napierdala tym mieczem, że nawet pan Wołodyjowski nie dałby mu rady.

– He, he, he! – zaśmiał się Tunio, bo takie głupoty to mógł opowiadać dzieciom, a nie jemu, człowiekowi wychowanemu na *Przygodach pana Michała* i *Potopie*. Michałowi Wołodyjowskiemu nikt by nie poradził. – Kmicic też tak myślał i jak na tym wyszedł? Przejechał się jak koń po betonie.

– Sam pan zobaczysz. Sam zobaczysz, że Conan to siła...

No i zobaczył, ale niczego szczególnego nie dostrzegł. Conan Barbarzyńca właśnie zabił jakiegoś gościa pięknym ciosem swojego wielkiego miecza.

– Tak to jest jak, wybiera się filmy, o których nic się nie wie i później nie można nic zrozumieć – powiedział sam do siebie, kolejny raz cofając taśmę, bo nie dość, że nie rozumiał treści, to jeszcze zdarzało mu się przysypiać, bo w końcu było już dość późno, a on nie należał do nocnych marków. W tym niezasypaniu nie pomagała mu nawet czysta wódka, którą popijał z małego kieliszeczka, tak żeby za szybko się nie upić, bo tej nocy musiał być trzeźwy i szczególnie uważny. Takie polecenie dostał bowiem od swojego szefa prezesa Grubińskiego, żeby reprezentować go tu, na miejscu, i koordynować wszystkie kwestie związane z odbiorem towaru, który miał dziś dojechać do miasta.

– Wrócisz pan teraz do Poznania – powiedział do niego Rychu, który już doskonale zaaklimatyzował się w domu wyremontowanym dzięki pomysłowości Tunia. Ale mimo że wyjechał z Poznania, ani na chwilę nie przestał prowadzić interesów. Co prawda nie mógł pracować tak, jak to robił na co dzień, w swoim gabinecie, ale od tego miał przecież dyrektorów, którym mógł zlecić działanie w trybie bieżącym bez podejmowania decyzji strategicznych. Bank więc mógł działać normalnie. Ale Gruby Rychu miał jeszcze sporo innych interesów, które wymagały jego osobistego nadzoru. Dlatego właśnie jego bliski współpracownik Tunio musiał zająć się szczegółami. – Dzisiaj będzie dostawa towaru, dlatego trzeba wszystkiego

dopilnować. A ja sobie spokojnie poczekam w tej budzie. – Wskazał drewnianą podłogę, na której stali.

– To nie jest buda, ale ośrodek wypoczynkowy Banku Ziemskiego... – Urażony Tunio chciał wytłumaczyć swojemu szefowi, że efektem jego pracy wcale nie jest jakaś buda, ale porządne miejsce nadające się do rekreacji i wypoczynku, ale Rychu machnął ręką.

– Ładnieś pan to wszystko tu pourządzał, ale nie ma teraz czasu na wypinanie piersi do orderów. Teraz jest robota i trzeba nią się zająć. Dlatego czekasz pan pod telefonem, a później, jak się dowiesz, o której transport będzie na miejscu, uruchamiasz pan naszych ludzi.

Tunio podrapał się po głowie. W zasadzie wszystko było jasne i nie miał żadnych wątpliwości. No może poza jedną. Nie wiedział, jak się do Poznania dostać. Ale to nie był problem. Odwieźli go do centrum miasta ochroniarze jednym z mikrobusów. Kazał się wieźć pod Okrągłak, żeby jeszcze wypożyczyć film. No i tę nieszczęsną noc spędzał teraz z jakimś barbarzyńcą, a mógł przecież wybrać interesującą opowieść o miłości. Zaglądał nawet kątem oka do pudełka z pornosami i dostrzegł kilka intrygujących tytułów, jak choćby *Inwazja mokrych cipek*, ale nie odważył się poprosić wypożyczającego o któryś z tych filmów, bo wydawało mu się to niezbyt przyzwoite.

Oczy mu się same zamknęły akurat w momencie, gdy Conan Barbarzyńca wszedł do jakiejś komnaty, oczywiście z mieczem w dłoni, a tu naraz rozdzwonił się telefon. Wojownik rozejrzył się, szukając źródła dźwięku, zapewne by odebrać połączenie... Zaraz, przecież ten Conan jest wojownikiem barbarzyńskim, a tacy wojownicy nie używali telefonów. Coś tu jest nie tak w tym filmie. Ale telefon przecież ciągle dzwoni. Jak ten Schwarzenegger będzie tak jeszcze chwilę stać, to ten po drugiej stronie w końcu się zniecierpliwi i rozłączy. Więc nie będzie wiadomo, kto i po co dzwonił. A do niego też ma ktoś dzwonić, tyle że nie dzwonił, bo akurat dzwoni do Conana...

Tunio poderwał się na równe nogi. Dźwięk dzwonka dochodził z przedpokoju. Pobiegł tam i szybko podniósł słuchawkę.

– Halo, słucham, bardzo dobry wieczór.

– Mówi Falconetti. – Tunio odetchnął z ulgą. Zdążył, mimo że Conan Barbarzyńca chciał mu przeszkodzić. Na szczęście spisek wideo się nie powiódł. Falconetti to był ten bandzior z serialu *Pogoda dla bogaczy*. Tunio niezbyt go lubił, bo miał jedno oko i źle mu z niego patrzyło. Mimo to przewyciężył niechęć i odpowiedział najgrzeczniej, jak potrafił:



– A proszę, a wew czym mogę się przysłużyć?

– W niczym, kurwa. Już jestem. Znaczy się jadę – odpowiedział Falco niemiło. No ale w końcu czego się można spodziewać po gościu z jednym okiem. I dlatego odpowiedział mu kulturalnie, ale już bez zbędnych uprzejmości, bo te zostawił sobie na rozmowy z ludźmi na nieco wyższym stopniu kulturalnego rozwoju.

– Aha, no to se weź pan wsiądź do auta i jedź pan na miejsce. A reszta?

– Auta wyjeżdżają razem ze mną z granicy. To znaczy, że w Poznaniu powinniśmy być za jakieś trzy, cztery godziny, w zależności, jak będą jechać chłopaki. Dlatego możesz pan powoli uruchamiać warsztat, żeby był tam ktoś, kto przyjmie ich na miejscu, i żeby od razu schować te fury.

– Się schowa, spokojna głowa, bo tam już będzie się przygotowywać oczekiwanie, czyli znaczy się wew naszym warsztacie.

Pożegnali się bez niepotrzebnych grzeczności. Tunio spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Nie wyglądał na zmęczonego, choć musiał przyznać, że chciało mu się spać. No ale co było robić, obowiązki wzywały. W końcu był etatowym kierownikiem w banku i w związku z tym nie mógł sobie pozwolić na niewykonanie polecenia. Zresztą wiedział dobrze, że prezes Grubiński to człowiek, który w swoich biznesowych działaniach się nie myli, dlatego nie wolno go zawieść i trzeba robić, co każe, bo jakiś drobny błąd czy zaniedbanie pracownika mogło doprowadzić do katastrofy. Jak choćby tej sprzed kilku lat, kiedy Tunio zlekceważył zasady bezpieczeństwa i mało brakowało, a skończyłoby się to dla niego tragicznie. Jechał wtedy z reklamówką pełną zarobionych przez chłopaków pieniędzy rozliczyć się z szefem do jego willi na Junikowie. Powinien wziąć taksówkę, ale nie chciało mu się czekać, bo z taksówkami był kłopot, a poza tym zawsze to kilka złotych zaoszczędzonych w kieszeni. Postanowił więc, że pojedzie z Bukowskiej tramwajem. W końcu było to tylko kilka przystanków. I niestety jego pomysł się nie sprawdził. Gdy tramwaj podjechał, napadło go dwóch osiłeków, dostał w łeb, a reklamówka z forszą zniknęła[30].

Wtedy jego kariera zawisła na włosku. W końcu przez własną głupotę stracił pieniądze, na które pracowali w pocie czoła cinkciarze z całego Poznania. Na szczęście Rychu wziął sprawy w swoje ręce i jego ludzie dorwali łobuzów. A Tunio... Zrozumiał swój błąd i postanowił, że więcej nie będzie kombinował i polecenia Grubińskiego będzie wykonywał dokładnie tak, jak mu nakaze prezes. I rzeczywiście od tego czasu nie stało się nic, co naraziłoby ich

współpracę na szwank. Tunio robił swoje, a Rychu wiedział, że może na niego liczyć w każdej sytuacji.

Założył na nogi mokasyny z miękkiej skóry. Co prawda nie za bardzo pasowały do jaskrawoseledynowych, kreszowych spodni dresowych, ale Tunio nie przejmował się takimi niepotrzebnymi kwestiami jak moda. Najważniejsze, że buty były wygodne, a dresy wyglądały młodzieżowo. Zresztą i tak nikt nie będzie mu się o tej porze przypatrywał. Wsiądzie tylko do taksówki i...

Sięgnął po słuchawkę telefonu i wykręcił numer zaprzyjaźnionego taksówkarza. Karol jeździł z nim od kilku lat, a dokładnie od chwili, kiedy Tunio dostał w łeb na przystanku. Wtedy wymyślił, że będzie umawiał się tylko z jednym taryfiarzem, do którego miał zaufanie. Karol mieszkał w tej samej co on kamienicy przy Bukowskiej, nazywanej przez poznaniaków Bałtyk od kina, które mieściło się na jej podwórku. Kiedyś rzeczywiście było to typowe kino podwórkowe, otoczone ze wszystkich stron budynkami. Jednak po wojnie wyburzono spalone budynki Szkoły Rzemiosła i jej internatu i w ten sposób na ulicę wyjrzała nieciekawa fasada kina. Tunio mieszkał w tej części budynku, z której okna wychodziły na ulicę, a Karol mógł podziwiać ze swoich okien kinowy dach. Ale dziś nie dane mu było oglądanie ludzi wychodzących z ostatniego seansu. Czekał na telefon swojego stałego zleceniodawcy, bo ten wcześniej uprzedził go już, że będzie dziś jeszcze nocny kurs.

– No wciągaj pan pory, bo trzeba jechać – rzucił do słuchawki kierownik Tunio.

– Co zrobić, jak trzeba, to trzeba – odpowiedział z pewną rezygnacją w głosie taksówkarz Karol, ale była to z jego strony tylko pozorna niechęć do roboty. Gdy Tunio zamawiał kurs, wiedział, że wyjazd mu się opłaci, bo zarobi przynajmniej trzykrotność normalnej taryfy. Marudzenie było czymś w rodzaju rytuału, który poprzedzał jazdę. W tym kraju przecież każdy narzekał, więc dobrze zarabiający taksówkarz nie mógł zachować się inaczej.

– W noc porządni ludzie śpią, ale widać taki nasz los, że żeśmy porządni nie są – stwierdził Tunio i odłożył słuchawkę. Spojrzał na wieszak, by sięgnąć po kurtkę dresową i czapeczkę z daszkiem...

– A dokąd to się pan wybiera, panie kierowniku? – usłyszał za sobą jakiś głos.

Odwrócił się natychmiast. W uchylonych drzwiach stał sam wiceprezes.

– Ja, bo tego... a pan prezes to niby... bo to właśnie oglądałem film...

- Muszę się zobaczyć z prezesem Grubińskim.
- Ale prezesa nie ma.
- Tyle to i ja wiem.
- Ale prezes...
- Słyszałem przez przypadek, że się pan wybiera gdzieś... Czy aby nie do niego, panie Tunio?
- Broń Boże. To nie do prezesa...
- Nie? – zdziwił się wiceprezes. – Ale pozwoli pan w takim razie, że się zabierzemy z panem. – Tunio dopiero teraz zauważył, że Bielecki nie jest sam.
- Ale ja...
- Nie mamy czasu na pierdoły – warknął ten drugi, a Tunio natychmiast przypomniał sobie go z czasów, gdy SB inwigilowało cinkciarzy. Facet często dawał się we znaki jemu i jego kolegom pod peweksami. – Musimy się widzieć z Grubińskim – stwierdził esbek i dla podkreślenia powagi sytuacji wyciągnął z kieszeni kurtki pistolet. Taciak poczuł, że pot spływa mu po plecach. Z takim poważnym argumentem wołał nie dyskutować. Trudno, zawiezie go tam, gdzie ten będzie sobie życzył. A potem niech się inni martwią. I przypomniał sobie jego nazwisko. Facet nazywał się Galaś. Fabian Galaś.

## **Opalenica**

### **Godzina 1.20**

- Z pani to jest ale pistolet – stwierdził głosem pełnym podziwu kapral Wichar.
- Ten pistolet kupił mi tata – odpowiedziała nie do końca zgodnie z intencją policjanta Brygida Bocian. Miał nadzieję, że ona się będzie krygować, twierdząc, że wcale nie jest taka wystrzałowa, jak on myśli, a on powie, że i owszem jest, i w ogóle taka z niej fajna babka. Tymczasem ona o tym pistolecie...
- Postawił przed nią biały kubek z niebieskim otokiem na górze i logo PSS Społem. Był to jedyny kubek, jaki znalazł w szafce, gdzie on i koledzy trzymali niezbędne rzeczy do zaparzania ciepłych napojów. Były tam więc cztery puste butelki po wódce, do których nikt nie chciał się przyznać, słoik po dzemie truskawkowym do przechowywania cukru, ale bez cukru, bo ten dawno się skończył i nikt nie wpadł na to, żeby iść do sklepu i kupić. Do tego można tam

było znaleźć kilkanaście kieliszków, szklanek w metalowych koszyczkach i literatek tak różnych, że dałoby się z nich stworzyć kolekcję szklanych osobliwości. Na szczęście była też kawa, której nikt nie pił, bo była stara i zwietrzała. Ale o tym Wicher nie miał pojęcia, bo nie należał do amatorów kawy i nie wiedział, że ta zalegająca w szafie do niczego się już nie nadaje. Gdyby był z niego lepszy śledczy, to mógłby wydedukować, że coś z nią jest nie tak, skoro od dwóch lat stoi zawsze w tym samym miejscu. Ale nie poddał paczki analizie poznawczej. Nic go nie obchodziła do dzisiejszego wieczora, gdy do pokoju, w którym urzędował, weszła pani prokurator i stwierdziła, że ma ochotę na mocną kawę, bo inaczej zaśnie na stojąco. No to on ucieszył się, mogąc jej zrobić przyjemność, i zapytał, ile łyżeczek sobie życzy na jedną szklankę.

Spojrzała na niego trochę zdziwiona.

– Ale kawy się nie pije w szklance – stwierdziła, lekko się uśmiechając. Też się uśmiechnął. W ogóle dziś wieczorem zdecydowanie częściej się do siebie uśmiechali. Musiał przyznać, że od chwili, kiedy pojechali razem na oględziny tego passata, do teraz, ich stosunki diametralnie się zmieniły. Na samym początku był dla niej zwykłym funkcjonariuszem oddelegowanym do pomocy, a teraz stał się... funkcjonariuszem niezwykłym, znajomym i całkiem sympatycznym, na którego nie pokrzykiwała i nie trzymała na dawny dystans, ale zaczęła traktować prawie po partnersku. – Kawę podaje się w filiżankach, ewentualnie w kubkach.

– Coś takiego? – Był autentycznie zdumiony. Miał już dwadzieścia cztery lata na karku i swoje przeżył. Zdążył być na kilku weselach, komuniach i rodzinnych imieninach, ale nigdy nigdzie nie widział, żeby podawano tam kawę w kubkach. W ogóle mało kubków w swoim życiu widział, bo nikt niczego w nich nie pił. Do picia kawy i herbaty były przecież szklanki.

– A szklanki? To one niby od czego są?

– Szklanki są do niczego. No może do kompotu. Ale w Europie podaje się kawę w kubkach. Szklanki przysły do nas ze Wschodu. Rosjanie piją herbatę ze szklanek, czyli ze stakanów, a te koszyczki na szklanki, które mają chronić palce przed oparzeniem, nazywają się podstakancyki.

– No proszę, tyle lat człowiek żyje na świecie, a na kubki nigdzie nie natrafiłem.

– Jeszcze pan natrafi. Przyjdą do nas wraz z zachodnią, europejską cywilizacją. A teraz niech pan da tę kawę w szklance. Jakoś sobie poradzę.

– A, tu jest taki kubek! – Chwycił ten społemowski, przyniesiony przez kogoś dawno temu z jakiegoś baru. Służył tu nie do parzenia napojów, ale trzymania łyżeczek. Wyjął więc je szybko i zadowolony pokazał znalezisko Brygidzie. – Co prawda ciężki i toporny, ale lepsza polska porcelana niż ruskie szkło.

Wymył dokładnie kubek, wsypał kawę, na szczęście nie słodziła, i zalał wrzątkiem z porcelanowego czajnika. Postawiwszy zaparzoną kawę przed panią prokurator, uśmiechnął się zadowolony, że mógł jej sprawić przyjemność. No i chciał jeszcze więcej, więc powiedział, że jest wystrzałowa.

– Mój tata zna się na broni, więc kupił mi ten zabawkowy pistolecik, jak skończyłam studia. – Pani prokurator znowu nie zrozumiała intencji. – Nie przypuszczałam nigdy, że się przyda. Choć od czasu do czasu z niego strzelam. Jeżdżę na strzelnicę, bo jak się okazuje, taka umiejętność może się przydać.

Tym razem się nie przydała, ale pistolet owszem. Gdy dostali sygnał od jakiegoś przechodnia, że ulicą Poznańską idzie jakiś niebezpieczny typ, obdarty i do tego jeszcze w jednym bucie, Smolarek natychmiast podjął decyzję. Był przekonany, że to ten Wiśniak, który wyszedł cało z wypadku, teraz wraca do domu. Zawołał więc Wichra, który wraz z panią prokurator przesłuchiwał działacza partyjnego, i kazał mu jechać z sobą. Ale prokurator nie chciała, by coś ją ominęło. Dlatego uparła się, że pojedzie z nimi. Tym bardziej że przesłuchanie peeselowca utkwilo w martwym punkcie. No i Smolarek musiał się zgodzić. W końcu to ona nadzorowała śledztwo, a dodatkowo była w pewnym sensie jego siłą sprawczą. Musiał przyznać, że to jej dociekliwość spowodowała odkrycie narkotyków w samochodzie.

Gdy znaleźli się na Poznańskiej, chorąży kazał kierowcy Maćkowiakowi zwolnić, bo w oddali dostrzegł postać chłopaka idącego chodnikiem i utykającego na jedną nogę.

– Zatrzymaj się. A ty patrz, czy to jest on. – Podał Wichrowi lornetkę. Ten przyłożył ją do oczu.

– On, na sto procent – powiedział po chwili kapral.

– Na pewno?

– Jak bum-cyk-cyk. – Wicher uderzył się w pierś na potwierdzenie swoich słów. – Znam gościa, bo ześmy chodzili razem do szkoły. On nie do mojej klasy, ale do równoległej. Ale go pamiętam, bo ześmy mieli razem WF. On był najgorszy w klasie i dlatego zawsze stał na budzie. No wiecie, taki typek, co

nie ma wyjścia i musi wpuszczać piłę do bramki, i dzięki temu wszyscy uważają takiego ćwoka za jeszcze większą ofiarę losu, niż był wcześniej, bo przez niego się przegrywa mecz.

– Może to i jest ofiara losu, ale dla nas to jest potencjalny przestępca, co być może handluje narkotykami – stwierdził Smolarek, przyglądając się utykającemu chłopakowi przez lornetkę.

– Tego jeszcze nie wiemy – nie zgodziła się z nim prokurator.

– Wiemy, nie wiemy, ale zgarnąć go trzeba. Bierzymy go, bo podchodzi do domu. Najlepiej na ulicy, żeby matki za bardzo nie przestraszyć – objaśnił swój autorski plan akcji chorąży. A pani prokurator zostaje w aucie – zarządził.

– Ale... – spróbowała się przeciwstawić, ale wiedziała, że niewiele może ugrać. Procedury były w tych kwestiach jednoznaczne. W zatrzymaniu potencjalnego przestępcy nie mogą uczestniczyć osoby trzecie. Prokurator w tej sytuacji była traktowana jak cywil.

– Żadnego „ale” nie ma w tym wypadku – uciął ostro Smolarek, zadowolony, że teraz może się odegrać na tej Bocianicy, która opłotła siecią swoich intryg jego człowieka, a ten durny Wichler dał się jej podpuścić i przez to aresztowali niewinnego działacza politycznego. Już zacierał ręce z radości, że zrobi się z tego niezła gemela, bo peeselowiec raczej nie odpuści tej zniewagi. No ale na razie trzeba było się brać do roboty, a nie zastanawiać nad pierdołami. – No, szeregowy, ruszajcie i po hamulcach, jak będzie pod chatą! – Wskazał na chłopaka przechodzącego przez ulicę. Maćkowiak wrzucił bieg i radiowóz ruszył do przodu, przejechał dwieście metrów i zahamował gwałtownie przed domem. Smolarek razem z Wichrem wypadli z auta i pobiegli do furtki. Prokurator wyjrzała przez otwarte drzwi samochodu. Nie lubiła siedzieć, nic nie robiąc, jeśli coś się wokół działo. Wyskoczyła na chodnik i od razu zobaczyła, że płot nie ma jednego przęsła, można więc było bez problemów wejść do ogrodu. No to weszła.

Naraz dostrzegła przez okno mężczyznę w skórzanej kurtce. Nic nadzwyczajnego, przecież tam mógł być jakiś facet. Może ojciec tego chłopaka? Ale dlaczego w mieszkaniu siedział w kurtce i z jakiego powodu na tapczanie leżała związana kobieta. Mężczyzna tymczasem podszedł do drzwi i wtedy zobaczyła, że trzyma pistolet. Nie zastanawiała się ani przez sekundę. Wydobyła z torebki swój zabawkowy pistolecik i pobiegła na tył domu. Znała te stare domki i dobrze wiedziała, że każdy ma z tyłu dodatkowe wyjście do

ogródka. Tu też było takie. Nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły. Pchnęła je i z pistoletem w dłoni weszła do środka...

Duży facet, który także trzymał w ręce broń, był najwyraźniej zdumiony, ale na szczęście dla siebie też przewidujący. Może dlatego, że dostrzegł w jej oczach determinację i zrozumiał, że jeśli zrobi niepotrzebny ruch, który ona uzna za zagrożenie, może do niego strzelić. A strzał z tak bliskiej odległości będzie celny na sto procent. Postanowił więc nie ryzykować życia w sytuacji, z której można było wyjść bez szwanku.

Szeregowy Maćkowiak wprowadził do pokoju faceta w kajdankach. Był średniego wzrostu, lekko łysiejący z jasnym wąsem pod nosem. Ubrany w skórzaną kurtkę, której niezbyt dobrze udawało się przykryć wystający nieco brzuch. O kobiecie z takim brzuchem można by było powiedzieć, że jest przynajmniej w czwartym miesiącu, o mężczyźnie, że co najmniej pięć lat temu przestał o siebie dbać.

Policjant doprowadził go do stołu i wskazał miejsce na wprost pani prokurator. Po jej prawej ręce siedział Wichur, pochylony nad kartkami papieru kancelaryjnego, gotowy do zapisywania czegokolwiek, czyli jak zwykle do bazgrania esów-floresów markujących pismo. Gdy doprowadzony usiadł, prokurator skinęła głową i szeregowy wyszedł z pokoju. Musiał wprowadzić do pomieszczenia jeszcze jedną osobę, żeby dokonać konfrontacji. Gdyby znajdowali się w nowoczesnej komendzie policji, to takie okazanie odbywałoby się w porządnym pokoju przesłuchań, który byłby wyposażony w fenickie lustro, zza którego ten drugi mógłby patrzeć do woli, nie obawiając się identyfikacji ze strony siedzącego za stołem człowieka. Ale tu nie było takich udogodnień, a jedyne lustra, którymi dysponowała policja w Opalenicy, należały do wyposażenia ubikacji.

- Jak się pan nazywa? – spytała bez żadnych wstępów prokurator.
- Henryk Leśniak.
- Ma pan pozwolenie na broń?
- Mam – odpowiedział, a kobieta popatrzyła na niego z niedowierzaniem.
- Jak to możliwe?
- Jestem funkcjonariuszem – rzucił hardo Leśniak.
- Policjantem?
- Tak jest. – Pokiwał głową. – Dokładnie z UOP-u.

- Gdzie ma pan legitymację służbową?
- Zginęła mi podczas wypadku.
- Jakiego wypadku?
- Tu pod Opalenicą. Jechałem z podejrzanym, niejakim Wiśniakiem, w celu okazania miejsca, gdzie ten ukrywa narkotyki...
- Jak on się znalazł w pańskim samochodzie?
- Nie moim. – Mężczyzna pokręcił głową. – Pojechaliśmy jego autem.
- Dlaczego?
- No... bo w jego aucie mogły być dowody rzeczowe – stwierdził, tracąc dotychczasową pewność siebie.
- Zaraz, zaraz, bo czegoś tu nie rozumiem – weszła mu w słowo. – Pan chciał odnaleźć narkotyki? A skąd pan o nich wiedział?
- Dostaliśmy informację o przemyśle i dlatego pułkownik Markowski wysłał mnie tutaj. Może pani do niego zadzwonić. Dać numer? – zapytał głosem zabarwionym lekką drwiną. Kobieta pokręciła głową. Nigdy w życiu nie zadzwoniłaby do szefa UOP-u. Leśniak o tym wiedział i dlatego rzucił tę propozycję z nonszalancją zabarwioną lekceważeniem. Nie miał innej możliwości rozegrania tego pojedynku. Dał się złapać i położył całą operację, dlatego musiał teraz próbować jakoś z tego wszystkiego wybrnąć. Arogancka zagrywka wydała mu się najlepszym rozwiązaniem. I gdy już mu się wydawało, że jest górą, wprowadzono do pokoju jeszcze kogoś. Leśniak był gotowy na konfrontację z uprowadzonym przez siebie chłopakiem. Jeśli ten powie coś na temat gróźb, które od niego usłyszał, to łatwo się wyłga, mówiąc, że to normalne w tej robocie zastraszanie dla osiągnięcia pożądanego celu. Nie będą się czepiać, bo przecież ani ta młoda gówniara, ani ten chłopaczek z dystynkcjami kaprala nie mieli zielonego pojęcia o pracy w UOP-ie ani o metodach, które przecież opracowane zostały w Służbie Bezpieczeństwa...
- To jest ten esbek – rzucił chropowatym głosem okrągły jak dojrzała dynia gość w jasnym garniturze. Leśniak spojrział na niego i zdębiał. Znał go. To był Marian Kaleta, działacz zeteselowski, facet, którego prowadził jako swojego tajnego agenta w szeregach partii ludowej, człowiek, który donosił mu regularnie co miesiąc o nastrojach i poglądach na rzeczywistość ważniejszych członków partii w województwie. Nie widzieli się od roku, bo w czasie zmian nikogo nie obchodziło ZSL. I nagle Kaleta pojawia się, jak królik wyciągnięty z kapelusza. – To on był w SB i mnie niejednokrotnie próbował skłonić do



współpracy i donoszenia na kolegów. Ale ja się nie dałem złamać. I jak tylko nastąpiła wolna Polska i powstał UOP, ja zaraz zameldowałem im o tym, co ten łajdak chciał od nas, i chciałem, żeby mi dali wgląd do teczek, ale powiedzieli mi, że teczek nie ma, a jego wyrzucili z pracy za łajdactwa. Tak mi powiedzieli, że ten facet nawet nie stanął do weryfikacji, bo by jej nie przeszedł. Ale teczek naszych nie ma, więc jakby co, to niech on je odda... Słyszysz, ty esbeku pierdolony?

– Dziękujemy, panie Kaleta. – Prokurator Bocian uśmiechnęła się do działacza. – Może pan już odejść. Bardzo nam pan pomógł.

– Tylko pamiętajcie, te teczki to... ważna sprawa, po linii partyjnej. Pani rozumie, że tu chodzi o dobro Polski.

– O swoją dupę się boisz – warknął z gorzką satysfakcją w głosie Leśniak. – Przez całe lata żeś donosił na swoich kolegów i teraz się boisz, że to wyjdzie. No to się nie martw, wyjdzie w odpowiednim czasie. A teczki twoje i innych waszych zeteselowskich donosicieli są dobrze schowane. Jeszcze się przydadzą.

– No widzi pani, co to za bydlę! Mnie, działacza chłopskiego... na tych, co żywią i bronią... podnosi rękę, ale mu się tą rękę...

– Dziękujemy, panie Kaleta. Proszę nam to zostawić. – Brygida Bocian była stanowcza. Pokazała szeregowemu Maćkowiakowi drzwi, a ten w mig zrozumiał, o co chodzi. Ujął działacza, niezbyt mocno, ale zdecydowanie, pod łokieć i wyprowadził na zewnątrz. A prokurator spojrzała w oczy Leśniakowi.

– No to co, może teraz zagramy w otwarte karty. Bo mam wrażenie, że nic innego panu nie zostało. – Były esbek skinął głową. Musiał jej coś rzucić, jakiś ochłap, bo inaczej ona rzuci się na niego z tymi czerwonymi pazurami i rozszarpie, jak wygłodniała wilczyca.

– No więc te narkotyki miały trafić do niejakiego Stanisława Bieleckiego, wiceprezesa Banku Ziemińskiego w Poznaniu.

– Czyli gdzie, do niego do domu?

– Nie, do domu to nie. A gdzie, to tak nie da się wyjaśnić. Mogę pokazać...  
– zaproponował esbek, licząc na to, że będzie mógł tę dwójkę gówniarzy wprowadzić w pole. Niech no tylko zawiozą go do jego szefa...

**Poznań**  
**Godzina 2.30**

Marjański podniósł słuchawkę telefonu. Nie spał jeszcze, bo do teraz siedział nad pewnym kryminałem, który analizował od strony literackiej, i wyszło mu, że jest beznadziejnie skonstruowany. „Te polskie kryminały są zwyczajnie nudne”, tłumaczył niedawno chorążemu Kowalowi, który zapytał go o polecenie jakiejś lektury. Sięgnął więc do służbowej szafki, w której przechowywał podręczną literaturę kryminalną, i wydobył z niej kilka książeczek. Miał ich sporą kolekcję, bo kupował kryminały w kioskach i księgarniach, w miarę jak te ukazywały się na rynku, ale uzupełniał też kolekcję starociami znalezionymi na antykwarycznych półkach. Tutaj miał akurat kilka pozycji całkiem nowych.

– Bo te nasze kryminały są takie... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – mało interesujące. One nie mają wartkiej akcji, tylko ciągną się jak flaki z olejem.

– Może nie mamy dobrych pisarzy – zauważył chorąży.

– Nie w tym rzecz. – Marjański pokręcił głową. – Rozchodzi się o to, że te nasze książki nie są tworzone dla rozrywki ludzi, którzy je czytają, ale po to, żeby zadowolić tych, którzy książki zamawiają, czyli Komendę Główną MO. To nasz wydział propagandy, znaczy nie nasz teraz, ale wydział propagandy Milicji Obywatelskiej, zamawiał książki i chciał, żeby one pokazywały trudną milicyjną robotę. Bez fajerwerków, pościgów, szybkich zwrotów akcji i tego wszystkiego, co sprawia, że włosy na głowie stają dęba, jak się to czyta. Jak na przykład weźmiesz kryminał takiego Alistaira Macleana, to wiesz, że go nie odłożysz, dopóki nie skończysz. A nasze są takie, że się czyta i czyta, i człowiek się nudzi, tak samo jak ten biedny śledczy, który chodzi z miejsca w miejsce i łączy mozolnie fakty ze sobą, aż w końcu połączy, ale wcale nie dlatego, że jest błyskotliwy jak Sherlock Holmes, ale dlatego, że ma do pomocy cały zespół fachowców. I oni wszyscy z takich drobinek rozbitego lustra składają kawałek po kawałku całą taflę. Czyli nudy jak cholera.

– To tak jak u nas w robocie. Też się wszystko składa ze sobą powoli i bez większych emocji. Czyli że się komuś może wydawać, że nic się nie dzieje.

– Widzisz, samo życie. A kryminał to ma być rozrywka, a nie gadanie i gadanie. Dlatego masz taki najlepszy z tych ostatnich. *Kuzyńeczki* czytają się całkiem dobrze i chyba ich autor wie, że w polskim kryminale musi coś przyśpieszyć, bo inaczej ten gatunek zdechnie na całe lata. Ten wydany w tym roku, ale jeszcze opowiada o Milicji Obywatelskiej. A nowego, o pracy policji, jeszcze nie widziałem. Może to znaczy, że autorzy nie chcą się mierzyć

z terażniejszością, bo nie potrafią sobie poradzić z zapotrzebowaniem rynku. A rynek, znaczy czytelnicy, chce szybkiej akcji, takiej jak dają im Maclean albo Ludlum. Nudziarze, jak Edigey czy Zeydler-Zborowski, albo się przystosują do nowych realiów, albo wymrą jak dinozaury. – Podał Kowalowi książkę, którą kupił kilka dni temu w kiosku RUCH-u i już zdążył przeczytać.

Dziś wieczorem, siedząc w domu, myślał o tym, że niepotrzebnie mu ją pożyczył, bo teraz chętnie by się jeszcze zastanowił nad niektórymi rozwiązaniami formalnymi w tekście. Dzięki temu mógłby spróbować zastosować je w swojej nowej książce, którą opracowywał punkt po punkcie. Wpadł na pomysł, gdy auto Grubińskiego wyleciało w powietrze. Wtedy pomyślał, że to już czas, by napisać powieść, gdzie pojawiają się zupełnie nowe przestępstwa, takie jak podkładanie bomb i morderstwa przy użyciu broni maszynowej. Chciał więc stworzyć gangsterską historię z akcją rozgrywającą się w Poznaniu. Ale na razie miał za mało danych. Słuchał pilnie tego, co mówią koledzy między sobą, i już mu coś świtało w głowie. A poza tym jeszcze chciał w to wszystko wprowadzić wątek terrorystyczny, który sam wszedł mu w ręce w postaci porwanych funkcjonariuszy i jednego cywila. Ciekawy byłby też wątek miłosny, jak choćby ta historia między nim a jego ukochanym. To dla niego skłamał Marcinkowskiemu, kiedy ten pytał, czy był u Kocięby, kiedy doszło do zamachu na Grubińskiego. Znając swojego kochanka, mógł jednak śmiało za niego poręczyć, bo ten nie był przecież jakimś mordercą. Potem zameldował też o swoich podejrzeniach dotyczących Czarnych Brygad, ale Marcinkowski tylko machnął ręką i kazał wykopać na zbity pysk tego faceta, który był porwany.

– Powiem ci, jak to było. Ci dwaj młodzi uchlali się, zesłi ze służby i nie wiedzieli, co zrobić. Więc wzięli jakiegoś szuszwola, żeby uwiarygodnić ich historię. A ty żeś się dał nabrać na Czarne Brygady... Wysadzanie obiektów w Poznaniu? Bzdura kompletna!

Chciał powiedzieć, że są świadkowie, którzy widzieli, jak jacyś bandyci wciągają funkcjonariuszy do auta, ale major nie chciał słuchać. Postanowił więc, że sam wytropi sprawców. Dlatego pijaka, który opowiedział mu o Czarnych Brygadach, kazał wsadzić do celi na czterdzieści osiem godzin, a potem przywołał do siebie dwóch funkcjonariuszy, którzy zostali uprowadzeni.

– Powiem wam, jak jest. Nikt nie wierzy w wasze porwanie. Wszyscy mówią, że żeście się uchlali i dlatego wymyśliliście tą całą historię, a tego szuszwola wzięliście dla uwiarygodnienia tych opowieści. – Ten niższy chciał zaprotestować, lecz Marjański go powstrzymał. – Ale macie szczęście, bo ja wam wierzę. Za godzinę doprowadzą tego faceta z celi do pokoju przesłuchań, a wy sobie z nim pogadacie. Bo ja myślę, że on wie, gdzie was przetrzymywali, i współpracuje z porywaczami. A wypuścili go tylko po to, żeby zagmatwać sytuację. Więc wy musicie ją odgmatwać, bo inaczej będzie z wami kiepsko. Zrozumieliście?

Obaj pokiwali głowami.

– Tak jest, panie kapitanie. Wyciągniemy z niego wszystko, co się da – zadeklarował ten niższy, a drugi potwierdził gotowość do najbardziej skomplikowanych i trudnych działań.

– Powie nam wszystko, nawet ile ważył, jak się urodził.

– I o to chodzi. Pamiętajcie, że to wasza jedyna szansa. Albo się sami uratujecie, albo was wywalą z hukiem z policji.

Powiedział im też, że jeśli się czegoś konkretnego dowiedzą, mają dzwonić do niego do domu o każdej porze dnia i nocy. Więc gdy usłyszał dzwonek telefonu, pomyślał, że to któryś z tych młodzieńców.

– No i co tam? – rzucił do słuchawki, przekonany, że chłopaki telefonują z dobrą nowiną.

– To ja się chciałem zapytać, co tam? – usłyszał znajomy głos Bieleckiego.

– A... zasadniczo to na chwilę obecną jeszcze nic się nie dzieje.

– Panie kapitanie, miałem nieco lepsze zdanie o pańskiej sprawności śledczej.

– Ale... kiedy naprawdę nic się nie zdarzyło. No chyba żeby uznać, że oni mają podejrzenia dotyczące willi, co sąsiadowała z willą Grubińskiego.

– Tak...?

– Ta willa należała podobno do lokalowych zasobów SB – wyjaśnił. Powiedział mu o tym Blaszkowski. W ogóle było w tej informacji coś dziwnego, bo Blacha zadzwonił do niego do domu. Powiedział mu o willi i poprosił, żeby sprawdził, kto z SB miał nadzór nad tym budynkiem.

– Ale jak niby mam to sprawdzić? – zapytał zdziwiony Marjański.

– No wiesz, tak żeśmy się z Fredem Marcinkowskim zastanawiali, gdy dowiedzieliśmy się o tej willi, i wyszło nam, że ty żeś miał całkiem dobre stosunki z SB. Więc może swoimi starymi kanałami...

Jakie dobre stosunki, myślał nerwowo. Przecież jego kontakty z esbekami były sporadyczne i nigdy nie wyszły poza typowo służbowe kwestie, kiedy musiał przekazywać im pewne informacje dotyczące śledztw. Ale nie robił niczego z pobudek ideologicznych, a tym bardziej nie był jakimś tajnym współpracownikiem.

– Postaram się coś ustalić – rzucił do słuchawki bez przekonania. – Ale wiesz, z tymi stosunkami to raczej przesadziłeś. Miałem kontakty tak jak wszyscy, znaczy się od czasu do czasu. No ale oczywiście powiedz Fredowi, że jak mi się coś uda ustalić, to zaraz wam przekażę. Ale może być trudno, bo wiesz, ja teraz mam taką sprawę związaną z terroryzmem, może być rozwojowa...

Ale Blaszkowski nie chciał słuchać o terrorystach. Widać miał ważniejsze problemy na głowie. A Marjański szybko zapomniał o kwestii ustalenia szczegółów dotyczących esbeckiej willi, bo tak naprawdę nie miał się kogo o te szczegóły wypytać. No chyba że Bieleckiego. Więc mu o niej powiedział, gdy ten zadzwonił. Tak sobie wymyślił, że wybada go w ten sposób.

– No i oni nie wiedzą, jak to było z tą willą. Bo jeśli ona rzeczywiście była w gestii SB, to może oznaczać, że ktoś z SB maczał palce w tym zamachu.

– Znam ten lokal – przyznał Bielecki. – Ale z tego, co wiem, to od czasu likwidacji resortu, jak wszystkie lokale przeszedł w ręce UOP-u. O tym, kto tam dziś gospodaruje, najlepiej będzie wiedział szef urzędu, Markowski.

– No tak – zgodził się z nim Marjański. – Ale oni chyba zdają sobie z tego sprawę. W każdym razie szukają jakiegoś śladu i mam wrażenie, że robią to po omacku i na razie nic z tego nie wynika.

– Owszem, ale jeśli coś wyniknie, proszę, panie kolego, o kontakt. Mam nadzieję, pan rozumie, że to kwestia bezpieczeństwa.

Rozumiał, ale do końca nie wiedział, o co Bieleckiemu chodzi. No ale to nie jego sprawa. Skoro chce, niech ma. Trzeba z nim współpracować, bo to w końcu tylko jakieś tam śledztwo. A on ma ważniejsze kwestie na głowie. Przede wszystkim książka, czyli coś, co da mu nieśmiertelną sławę. Bo o ile wszyscy autorzy, którzy tworzyli powieści opowiadające o tych nudnych śledztwach, zaliczani byli do gatunku, który nazywał się kryminał milicyjny,

o tyle on stworzy nowy gatunek kryminalny, którego bohaterami będą policjanci. I ten gatunek będzie można nazwać gatunkiem... postmilicyjnym, bo będzie nawiązywał do czasów milicyjnych i opowiadał o policjantach, którzy byli jeszcze niedawno milicjantami... Nawet ładnie to się będzie nazywało, pochwalił w myślach sam siebie twórca *in spe* nowego gatunku literackiego.

Telefon znów zadzwonił. Pomyślał, że to Bielecki przypomniał sobie o czymś, ale po drugiej stronie rozległ się entuzjastyczny młodzieńczy głos:

– Panie kapitanie, mówi starszy szeregowy Podsiadło. Mamy go.

– Kogo? – nie zrozumiał w pierwszej chwili.

– Tego skurwiela. Znaczą się oszusta cholernego. Do wszystkiego się przyznał, jak żeśmy mu powiedzieli, że za współudział w porwaniu grozi mu trzydzieści lat albo nawet czapa za porwanie funkcjonariusza.

– I co on na to?

– Przede wszystkim to jego rozpoznał dyżurny w areszcie. Ten dyżurny, kapral Kołodziej, powiedział nam, że on jego zna. To znaczą się, nie żeby dobrze znał, ale że wie, co to jest za facet. I okazało się, tak nam Kołodziej wygadał, że on jest z tej bandy, co robią ludzi w konia na trzech kartach na Łazarzu. No i jeszcze, że on się nazywa Ulung, znaczą ma taką ksywkę jak ta herbata. No to jak żeśmy weszli do pokoju przesłuchań, to mój kolega, kapral Stulejko, powiada mu tak: „Słuchaj, ty Ulungu jeden, my już wszystko wiemy i żeśmy właśnie zaczęli rozpracowywać twoją całą bandę, co gracie w karty na Łazarzu, i gadaj, gdzie oni są, bo masz nad sobą czapę za porwanie policjantów”. No i Ulung się uląkł i zaczął sypać. I my wszystko już wiemy. Oni dziś w nocy wracają do swojej bazy, gdzie mają przywieźć auta z Niemiec do przebiccia numerów i przemalowania. I on tam ma na nich czekać, jak przyjadą.

– Ma na nich czekać, powiadacie?

– Tak jest. Tak się umówili, że Ulung będzie tam, jak wrócą.

– No to weźcie wy tego Ulunga do radiowozu i przyjedźcie po mnie. Poczekamy sobie na nich wszyscy.

– Tak jest, panie kapitanie – ucieszył się młody policjant, ale chyba nie bardziej niż Marjański. Bo o ile ci młodzieńcy nie zdawali sobie jeszcze sprawy z wagi tego, co się może za chwilę wydarzyć, o tyle on jako stary funkcjonariusz wiedział to doskonale. Nie dość, że złapie porywaczy, to jeszcze będzie ich miał złapanych na gorącym uczynku z kradzionymi samochodami. A to może oznaczać jedno – niebywały sukces poznańskiej policji. Już widział

oczyna wyobraźni nagłówki w gazetach z całego kraju: „Poznańska policja zlikwidowała gang porywaczy i złodziei aut”. A tą policją poznańską będzie oczywiście on, kapitan Marjański, twórca nowego gatunku literackiego, kto wie, czy nie przyszły laureat nagrody literackiej...

## Rozdział X

**Poznań**

**Godzina 2.40**

– Kto to jest ten Blaszkowski? – zapytał kapral Wicher. W jego głosie dało się słyszeć pewną nutkę zazdrości, choć prokurator Bocian zdawała się nie zwracać na to uwagi. Jak zwykle w sytuacjach, w których trzeba było się skupić na konkretach, odrzucała wszystkie niepotrzebne kwestie, mogące skierować jej myśli na jakieś manowce. Skupiła się teraz na Blaszkowskim jako na celu, a nie obiekcie wspomnień, które trzeba całkowicie wyłączyć, żeby nie zejść ze ścieżki zawodowego profesjonalizmu.

– Blaszkowski to jest nasza przepustka do Poznania.

– Nic nie rozumiem.

– I nie musisz rozumieć. Bierz tego esbeka do auta i jedziemy!

– Jedziemy do Poznania? – zdziwił się Wicher.

– A czego nie dosłyszałeś? – Znów przeszła na „ty”, ale kapralowi to wcale nie przeszkadzało. Dostrzegał w tym przejściu tylko obiecujące skrócenie dystansu. Nie widział natomiast, że ona skraca ten dystans, kiedy nie ma czasu ani ochoty zastanawiać się nad formą, a jego traktuje wtedy tylko i wyłącznie instrumentalnie.

– Znaczy do Poznania. Ale czy nie można by jutro? Przecież siedzimy już tutaj...

Spojrzała na niego tak, jak boa dusiciel spogląda na mysz, którą zaraz połknie. Nie widział nigdy boa dusiciela ani atakowanej przez niego myszy, ale tak musiało to wyglądać. Od razu też uświadomił sobie, że jej wzrok był zupełnie inny po tym, jak dodzwoniła się do Poznania.

– Mówi prokurator Brygida Bocian z Opalenicy – rzuciła do słuchawki telefonu głosem tak zimnym i ostrym, że mógłby mrozić wódkę w kieliszkach. – Mam pilną sprawę do porucznika Blaszkowskiego z wydziału dochodzeniowo-śledczego.



– Ale porucznik jest w tej chwili... – Dyżurny komendy wojewódzkiej się zawahał. – W tej chwili najprawdopodobniej jest w domu. Bo o tej porze nie ma dyżuru. Ale jest na miejscu jeden porucznik, może go z panią połączyć?

Wzruszyła ramionami, tak jakby ten dyżurny mógł ją widzieć. Widział ją za to Wichra i stwierdził, że nawet taki zwykły gest w jej wykonaniu nabiera jakiejś magicznej mocy. Wszystko, co robiła, było niezwykle.

– Dajcie mi w takim razie tego porucznika. Jak on się nazywa?

– Olkiewicz.

– Aha, to nie znam. Ale połączcie mnie.

Po sekundzie usłyszała sygnał połączenia, ale na podniesienie słuchawki musiała trochę poczekać.

– Śpią tam, cholerniki – stwierdziła, spoglądając na zapatrzonoego w nią Wichra.

– Normalni ludzie w nocy śpią – odpowiedział zgodnie ze swoimi odczuciami chłopak wspierający głowę na pięści.

– Jakie cholerniki śpią, że się tak zapytam, co? – odezwał się głos po drugiej stronie.

– Nie o noc się rozchodzi – odpowiedziała zupełnie bez sensu.

– Noc jest dla ludzi zakochanych. – Wichra wpadł w romantyczny nastrój, ale Bocian nie miała czasu na żadne uniesienia. Podobnie jak ten, z którym się połączyła.

– A o co się rozchodzi, bo ja nie mam czasu na ksiuty. Albo panienska gada, albo paciorek, siusiu i spać!

– Słuchajcie, poruczniku – rzuciła ostro. – Czasy milicji się już dawno skończyły i teraz funkcjonariusz ma być...

– Ma być tak, że jak się dzwoni, to się przedstawia, żeby funkcjonariusz wiedział, że rozmawia z czynnikiem urzędowym, a nie z panienką, co jej się w nocy nudzi, bo nie ma jej kto złapać za dupę. Więc albo mi tu zaraz gadasz, w czym rzecz, albo...

– Prokurator Brygida Bocian!

– A co, jakaś prokurator przejechała kota na pasach? Co mnie to może obchodzić? Tu jest Komenda Wojewódzka Milicji...

– Chyba policji? A ja jestem prokurator Bocian.

– Bocian... he, he!

– Coś was śmieszy, poruczniku?

– Absolutnie wszystko mnie śmieszy, pani Bocian, prokurator, he, he. W samej szczególności w środku nocy. Ale żeby nie gadać za dużo i niepotrzebnie, to powiadaj mi zaraz, znaczy pani prokuratoro, czego potrzeba, bo ja mam tu ważne sprawy na głowie służbowe i nie po to siedzę na nocnej zmianie, żeby nic nie robić.

– Ja muszę porozmawiać natychmiast z porucznikiem Mariuszem Blaszkowskim.

W słuchawce zaległa cisza.

– No to nie można było tak od razu? To bym pani prokuratorce powiedział, że Blacha, znaczy się Blaszkowski, jest w domu. Poszedł do chaty się przespać, bo przez dwa dni nie wychodził z roboty. Będzie jutro rano. Więc pani prokuratoro niech se rano dzwoni, bo ja nie mam...

– A czy pan zna Stanisława Bieleckiego?

Znów cisza.

– Kogo?

– Bieleckiego, wiceprezesa prywatnego banku, a na jego prezesa, niejakiego Grubińskiego, był właśnie zamach i wysadzono jego samochód.

– No znam. A niby co?

– Bo to ważna sprawa z tym zamachem. Mamy tu jednego gościa zatrzymanego w sprawie narkotyków przewożonych do Polski. I on zeznał, że pracuje dla Bieleckiego. Czyli mamy zamach i narkotyki. To się pewnie musi połączyć w jakąś całość...

– Wew co się połączy, to się zobaczy. To niech pani zadzwoni jutro...

– Jutro będzie futro. Jak nie umiecie pomóc... – przerwała na chwilę, zdając sobie sprawę, że nie ma pojęcia, z kim rozmawia, bo zapomniała nazwiska, którego użył dyżurny, a jeśli miała działać dalej, to musiała się na tego nieżyczliwego typu gdzieś poskarżyć. – Jak wy się właściwie nazywacie?

– Ja? – Po drugiej stronie zapadła cisza. Porucznik chyba zbierał myśli, zastanawiając się, czy mu się opłaca ujawnienie swojej tożsamości ukrytej za telefoniczną słuchawką.

– Nazywam się Olkiewicz, porucznik Teofil Olkiewicz, jakby co.

– To słuchajcie, poruczniku, możecie sobie lekceważyć mój telefon, możecie sobie spać na służbie czy robić, co wam się tam żywnie podoba, ale informacji o narkotykach i przestępcy Bieleckim na waszym miejscu bym nie lekceważyła.

– Jakim przestępcy? Przecież Bielecki to żaden przestępca. Ja jego znam dobrze i on... – przerwał, bo uświadomił sobie naraz, że zna Bieleckiego, ponieważ ten kazał mu kiedyś donosić na kolegów z wydziału. Więc tak naprawdę nie znał go wcale, a miał z nim do czynienia tylko w sprawach służbowych.

– Pozwólcie, że o tym zadecyduje prokuratura i... porucznik Blaszkowski. Gdzie go mogę znaleźć?

– Jak gdzie? Przecież mówiłem już, że w chacie śpi – odpowiedział Teofil głosem urażonego dziecka.

– To dajcie mi do niego numer.

– A niby skąd ja mam mieć numer? – odpowiedział zgodnie z prawdą. Nie miał żadnego numeru. Nie prowadził zapisków, w których notowałby jakiegokolwiek numery telefoniczne, bo telefonu używał raczej rzadko. Wolał zdecydowanie rozmowy twarzą w twarz. – Jak kto ma numer, to centrala. Niech panią łączą, jak się pani upiera – rzucił jeszcze do słuchawki, po czym połączenie zostało przerwane.

Prokurator Brygida Bocian spojrzała z niedowierzaniem na telefon, po czym mruknęła pod nosem coś, co mogło być przekleństwem.

Jak ona pięknie przeklina, pomyślał Wicher, ale zapytał o tego Blaszkowskiego:

– A kto to jest ten Blaszkowski?

– Blaszkowski to – odpowiedziała, spoglądając w ciemną taflę okna – cholernie dobry policjant.

## **Godzina 2.50**

Kapitan Marjański czuł, że to będzie noc, która zadecyduje o jego przyszłości. Niby to w końcu nic nadzwyczajnego, akcja na jakąś samochodową melinę, czy jak to teraz popularnie się nazywa, dziuplę, ale łup mógł się okazać nie byle jaki. A Marcinkowski, jak się rano dowie, to zrobi wielkie oczy i zapyta, dlaczego nie poprosił o wsparcie, a on tylko wzruszy ramionami i powie:

– No cóż, uznałem, że ja plus dwóch to wystarczy z powodzeniem, bo nie spodziewałem się kłopotów z tą terrorystyczną organizacją.

A wtedy odezwie się Olkiewicz i zapyta:

– A skąd u nas terroryści?

A on powie:

– Terroryzm powoli staje się plagą ludzkości, drogi Teofilu. O ile jeszcze niedawno, w czasach gdy należeliśmy do rodziny państw socjalistycznych, to terroryzmu u nas nie było, bo to zjawisko charakterystyczne dla krajów kapitalistycznych, ale i w tej chwili, gdy wkraczamy na ścieżkę kapitalizmu, pojawiają się u nas takie patologie życia społecznego jak terroryzm. Niestety, drogi przyjacielu, nie ustrzeżemy się takich sytuacji, bo nie tylko importujemy z Zachodu to, co dobre, ale do tego dobrego przykleja się też sporo złego.

Teofil Olkiewicz podrapie się po głowie, poprawi swoją zaczeskę na pożyczkę i powie...

– Zaraz, nie możemy jechać! – zawołał kapitan, a dwaj młodzi policjanci odwrócili się jak na komendę. Szeregowy Podsiadło, czyli ten mniejszy o pucułowatej twarzy nastolatka, który siedział za kierownicą nyski, spojrzał na kapitana i najwyraźniej trochę się przestraszył, czy aby ich akcja, zorganizowana dzięki zeznaniom przykutego do siedzenia Ulunga, nie została właśnie odwołana. Ale Marjański natychmiast wyjaśnił, w czym rzecz:

– Musimy podjechać jeszcze do komendy, bo ja jestem przecież nieuzbrojony. A na akcję przeciwko terrorystom nie mogę jechać bez broni, a ta została w szufladzie mojego biurka, bo idąc do domu, nie przypuszczałem dziś...

– No to jedziemy i raz-dwa lecimy dalej – potwierdził ten drugi, wyższy i szczuplejszy, kapral Stulejko.

Marjański mieszkał w bloku na Wierzbicicach, więc do pracy miał stąd bardzo blisko. Pięć minut później nyska zatrzymała się przy schodach wiodących do wejścia do komendy. Kapitan wyskoczył ze środka i pognął ku drzwiom, nie odpowiadając nawet na salut zdziwionego wartownika. Skinął tylko zaspanemu dyżurnemu, który zwolnił blokadę zamka elektrycznego w drzwiach, i pobiegł zaraz na drugie piętro. Wpadł do pokoju, gdzie stało jego biurko, i zapaliwszy światło, przystanął zdziwiony. Przy biurku, na prawo od wejścia, siedział porucznik Olkiewicz. W zasadzie siedział to za dużo powiedziane. On pólleżał na swoim krześle z nogami wyłożonymi na blat i spał

w najlepsze. Marjański musiał przyznać, że Teofil zachował się niezwykle kulturalnie, bo zdjął buty i był tylko w skarpetkach. Obrzucił je ciekawym spojrzeniem, ale nigdzie nie dostrzegł żadnej dziury. Interesujące, pomyślał, bo jego skarpetki ciągle się dziurawiły i kapitan spędzał sporo czasu na ich cerowaniu. A Olkiewicz nie wyglądał na człowieka, który potrafiłby cokolwiek zreperować, czyli albo miał nowe skarpetki, albo żonę, która dbała o jego garderobę.

Teofil pochrapywał głośno, roztaczając wokół siebie woń alkoholu. Widać przed zaśnięciem musiał się czegoś napić. Na szczęście nie muszę tu z nim siedzieć i wdychać tych wyziewów, pomyślał Marjański zadowolony, i by nie zbudzić kolegi, jak najciszej podszedł do swojego biurka. Zostawianie broni osobistej w szufladach było surowo zabronione, bo mogła wpaść w niepowołane ręce. Ale przepisy sobie, a ludzie sobie. Jeśli się po służbie szło do miasta, na przykład na zakupy, to nie wypadało łązić ze spluwą pod pachą. No i Marjański, podobnie jak wielu jego kolegów, sprawę rozwiązywał najprościej, jak się dało, czyli wrzucał czaka do szuflady i zamykał ją na klucz.

Usiadł przy biurku, wydobyl klucz z kieszeni, włożył go do zamka i przekręcił. Olkiewicz przestał chrapać. Powoli, by nie narobić hałasu, zaczął wysuwać szufladę. Zaskrzypiała, więc przerwał i spojrzał na Teofila. Ten patrzył na niego niezbyt przytomnym wzrokiem. Nie było już potrzeby zachowania ciszy. Szarpnął szufladą. Olkiewicz szeroko otworzył oczy, ziewnął, przeciągnął się, a potem się uśmiechnął.

– O, Maryjanek – powiedział, uradowany. – A ty co tu robisz?

– Ja, no w zasadzie tylko tak wpadłem...

Teofil spojrzał na swój radziecki zegarek ręczny marki Poljot z siedemnastoma kamieniami.

– O trzeciej tylko żeś tak wpadł?

– Ano w zasadzie nie będę ci opowiadał pierdół. – Marjański machnął ręką.

– A ty to niby co tu robisz?

– Łe, ja to nic takiego. Tak se siedzę tutaj, bo ja mam dyżur nocny.

– No tak – zreflektował się Marjański. Dyżury nocne trzeba było od czasu do czasu odbębnić, żeby dostać dodatek do pensji. Z reguły nic na takich dyżurach się nie działo, tylko trzeba było odsiedzieć swoje. Jednak w sytuacji kryzysowej funkcjonariusz mógł przez dyżurnego zostać skierowany do jakiejś interwencji domowej albo nawet czegoś poważniejszego. Fakt, że Olkiewicz

spał w najlepsze, świadczył o tym, że noc raczej należała do spokojnych. Ale zaraz się to zmieni, pomyślał z satysfakcją kapitan, widząc już oczyma wyobraźni jego rozprawę z terrorystami, oczywiście przy użyciu broni, kto wie, czy nawet nie maszynowej. Różnych rzeczy można się przecież było spodziewać po tych fanatykach, dla których nie liczyło się ludzkie życie. – No wiesz, jest taka sprawa, że za chwilę do jednego warsztatu samochodowego przyjeżdżają Czarne Brygady...

– Aha. A po co przyjadą?

– Teofil, ty sobie wyobraź, że to są terroryści. Rozumiesz? Terroryści najprawdziwsi pod słońcem. I ja wiem, gdzie oni będą, bo się dowiedziałem, i w zasadzie to musiałbym to zgłosić...

– Się zgłasza dyżurnemu, a on wysyła funkcjonariusza z dyżuru – wyjaśnił mu Olkiewicz całą procedurę.

– No właśnie wiem, ale ja tam muszę... Bo w aucie czekają na mnie...

– Nie ma sprawy – rzucił Olkiewicz. – Zaraz zgłosimy na biurze przepustek dyżurnemu, jak będziemy wychodzić. Dzisiaj dyżurnym jest Jasiu Kaczmarek, to jemu nie trzeba za dużo tłumaczyć. Przyjmie zgłoszenie i będziemy na łączach. Masz radiowóz?

– Mam, zaraz, Teofil, jak to wychodzić?

– No, Maryjanek, ty niby jesteś kapitan, a tu ja ci muszę opowiadać takie rzeczy i jeszcze do tego wszystkiego objaśniać. No ale żeś ty jest pisarz, to ty tam tylko piszesz, nie wiadomo po co, ale prawdziwe życie jest na ulicy. A ja na ulicy pół życia spędziłem i se nie myśl, że takiego, za przeproszeniem, gryzipiórka, to ja sam puszcę na zatracenie, jak ciebie jakieś brygady chcą unieszkodliwić. Tam trzeba mieć doświadczenie i tego no – dotknął palcem czubka swojego nosa – trzeba mieć policyjną insty... ty... intu... icję. – Pochylił się i sięgnął po sfatygowanego, starego, służbowego buta w przepisowym czarnym kolorze. Przyjrzał mu się uważnie, ale nie stwierdził uchybień regulaminowych w wyglądzie. Zresztą i tak nie znał regulaminu, więc trudno byłoby mu coś stwierdzić. But był w miarę czysty. – Zejdziemy na dół i powiemy dyżurnemu, gdzie jedziemy, i powiemy, że żeś mnie wszystko zgłosił i będzie po bożemu.

– Naprawdę chcesz jechać? – Marjański wolał się upewnić, bo wiedział, że Olkiewicz nie należał do ludzi wyrywnych.

– A co ty se, Maryjanek, myślisz, że mi się chce tu siedzieć samodzielnie? Nawet radyjko się zepsuło. – Wskazał na stary odbiornik Amator Stereo, który do pokoju przyniósł jakieś dziesięć lat temu Fred Marcinkowski. – Tak w ogóle to trzeba by je zanieść do ZURT-u[31], niech naprawią, bo jak tu żyć w robocie, jak człowiek w nocy nie może nawet se muzyki posłuchać. – Założywszy drugiego buta, otworzył szufladę i wyciągnął z niej wielki jak armata stary pistolet TT. Nie miał do niego kabury takiej jak Marjański, zakładanej na szelkach, bo pistolet był do tego za duży. Dlatego gdy jechał na jakąś akcję, gdzie potrzebna była broń, zakładał dużą kaburę do paska spodni. Przytroczył ją teraz szybko i nałożył na siebie swój stary prochowiec, który dobrze maskował pistolet. – To co, gdzie lecimy? – zapytał.

– Z tego, co wiem, to gdzieś na końcu Dąbrowskiego, jak już się wyjeżdża z Poznania.

– Smochowice – rzucił Olkiewicz, który zdecydowanie lepiej od Marjańskiego znał miasto. – To w tej sytuacji, jak mamy jechać do roboty, to musimy coś wypić, żeby nam nie było zimno.

– Wypić? – zdziwił się Marjański. – Ale ja nie piję, zasadniczo.

– To też nic się, Maryjanek, nie martw, bo ja za ciebie wypiję. Ino że jest taka sprawa...

– Jaka?

– No bo mi się akuratnie wszystkie zapasy skończyły. – Powiedziawszy to, Teoś wskazał bezradnie na swoje biurko. – Ale na szczęście na wprost Dworca Zachodniego jest sklep nocny. Podjedziemy tam i pośle się jakiego mundurowego, żeby bez kolejki kupił... Masz mundurowych?

– Mam dwóch.

– O, to dobrze, że masz. A samochód też masz? – upewnił się Olkiewicz.

– No mam...

– To dobrze. W try miga się uwiniemy.

No i Marjański wreszcie zrozumiał, dlaczego Olkiewicza, człowieka znanego z nieprawdopodobnego lenistwa, naszła nagle taka ochota do nocnego wyjazdu. Wcale nie zależało mu tak bardzo na pomocy w walce z Czarnymi Brygadami, ale na flaszcze, którą mógł kupić podczas wyjazdu na akcję. A niech go diabli. Pojedziemy po flaszkę, niech się napije, a potem na pewno się przyda jeszcze jedna dodatkowa lufa podczas aresztowania terrorystów, pomyślał przyszyły pogromca Czarnych Brygad, wychodząc z komendy.

## Godzina 3.05

Mariusz Blaszkowski stał w drzwiach prowadzących do klatki schodowej i trząsał się z zimna. Na zewnątrz wcale nie było jakoś przeraźliwie chłodno, ale kiedy się wychodzi z ciepłego łóżka, które dodatkowo rozgrzewa jeszcze ktoś leżący obok, to człowieka od razu ogarnia fala chłodnego przygnębienia. Mariusz za nic w świecie nie opuściłby dziś dobrowolnie sypialni... Nie miał jednak innego wyjścia. Po tym, co usłyszał od Brygidy Bocian, musiał się zebrać w sobie i zrezygnować z tej nocy, która mogła zaoferować mu jeszcze wiele atrakcji.

Wiktorია zasnęła wtulona w niego. Czuł to rozleniwiające ciepło, które przelewało się z niej na niego, do tego przyjemne zmęczenie, pozwalające spowolnionym myślom odpływać w krainę snu, w których on i ona, tak jak to było jeszcze kilkanaście minut temu, byli jednym ciałem i umysłem połączonym przez namiętność i radość bycia ze sobą. Z żalem myślał o tym, że za kilka godzin trzeba będzie wstać. Ona założy szlafrok i przemknie przez klatkę schodową do swojego mieszkania, żeby obudzić dzieci i przygotować im śniadanie, a on ogoli się, żeby nie straszyć w pracy swoim wyglądem. W pracy, gdzie będzie musiał się zająć tym wszystkim, co teraz wydawało się takie dalekie, ale być może wkrótce znajdzie się w zasięgu ręki. Bielecki był przecież w zasięgu ręki. Facet przygotował zamach na Grubińskiego, bo dzięki temu przejmował kontrolę nad ich wspólnym bankiem. Wszystko wskazywało na to, że to jego robota. Esbeckie mieszkanie na wprost domu Grubińskiego, esbecka broń i do tego wszystkiego jeszcze zasadzka przygotowana przez Brodziaka, w którą wpadł jeden z zamachowców, niejaki Emil Wąsacz. Brodziak dzwonił w tej sprawie do Marcinkowskiego. Powiedział mu, że mają esbeka, a dokładnie, że ma go Grubiński, ale nie odda, dopóki nie ustali właściwej sekwencji zdarzeń. Fred nie miał wyjścia, musiał się zgodzić na tę zwłokę, bo i tak nie był w stanie wyrwać gościa z łap Rycha. Jeśli Wąsacz wyda Bieleckiego, całą sprawę będzie można zamknąć, a były esbek trafi do aresztu. W zasadzie więc wszystko było już jasne, trzeba było tylko trochę poczekać. Dlatego Mariusz poszedł do domu zadowolony, że będzie miał wolny wieczór. Kupił po drodze butelkę czerwonej wytrawnej soppii, mając nadzieję, że Wiktorია będzie miała ochotę wpaść do niego wieczorem. Miała i przyszła.

Zadrżał, gdy zadzwonił telefon. Przez chwilę nie wiedział, co się dzieje, dopóki nie dotarła do niego świadomość, że to dzwonek telefonu wwierca mu



się w mózg.

– Cholera – mruknął sam do siebie. Gdyby ten aparat stał bliżej, tuż koło łóżka, to może chwyciłby słuchawkę i zaraz odłożył ją na powrót na widełki, zrywając połączenie. Ale telefon był jak w większości mieszkań zainstalowany na korytarzu obok wejściowych drzwi. Pracownicy Telekomunikacji montowali aparaty jak najbliżej wejścia, by oszczędzić możliwie dużo kabla, który był towarem importowanym, a co za tym idzie bardzo drogim.

– Muszę odebrać – wyjaśnił, choć Wiktoria nie zdradzała żadnych oznak przebudzenia. Ostrożnie wysunął się spod niej i podszedł do telefonu.

– Blaszkowski, słucham – rzucił zniecierpliwionym tonem.

– Halo, mówi Brygida. Brygida Bocian. – Usłyszał głęboki, zmysłowy głos kobiety, która jeszcze kilka miesięcy temu rządziła niepodzielnie jego myślami. Ale to było dawno temu, w innej epoce, w odległej galaktyce. Teraz wszystko się zmieniło. Spojrzał na tapczan, na którym pod ubraną w białą poszwę kołdrą leżała Wiktoria Łabędzka.

– Dzień dobry... cześć. Co u ciebie? Miło cię słyszeć.

– Na uprzejmości przyjdzie czas później – odpowiedziała szybko, ale Mariusz wyczuł, że to tylko poza, która ma przykryć drżenie głosu. Też poczuł, że coś zatyka mu gardło. Brygida, dziewczyna, którą poznał na wakacjach trzy lata temu. O kimś takim mówi się „wakacyjna miłość”. Ona, studentka prawa, przyjechała na wczasy do ośrodka wypoczynkowego nad jeziorem Płotki koło Piły. On miał akurat dwa tygodnie wolnego przed rozpoczęciem studiów w szkole oficerskiej. Wpadli na siebie podczas dyskoteki w kawiarni Słoneczna i spędzili razem te dwa tygodnie, na tyle, na ile pozwalały dobre obyczaje i czujne oko matki Brygidy, która pilnowała, aby dziewczyna nie wracała do domku kempingowego zbyt późno. Wtedy oboje byli przekonani, że ich spotkanie nie było kwestią przypadku, ale prawdziwym przeznaczeniem, i że po wakacjach będą nadal ze sobą. Ale jak to w życiu bywa, odległość robi swoje. Płomienny związek umarł śmiercią naturalną po napisaniu mniej więcej setki listów i kartek pocztowych.

Po powrocie do Poznania Mariusz nawet myślał o tym, że może warto byłoby odezwać się do Brygidy, bo w końcu ta Opalenica jest całkiem blisko. Ale nie wystarczyło mu czasu, determinacji, a i dawne uczucie nie było już tak silne, by próbować rozpalać je na nowo. I nagle teraz, w środku nocy, Brygida Bocian dzwoniła do niego...

- Brydzia... skąd masz mój telefon? – zapytał drżącym głosem.
- Myślisz, że ustalenie telefonu policjanta to dla prokuratora jakiś problem?
- Jakiego prokuratora? – zdziwił się.
- Ja jestem prokuratorem. Pracuję w Opalenicy.
- O, coś takiego... Wiesz, myślałem, żeby cię, znaczy, żeby napisać...
- Co, chciałbyś mnie zobaczyć? – zapytała z jakąś nutką ironii w głosie. Ale nie wyczuł tu żadnej zasadzki.
- No pewnie.
- No to wstawaj, ubieraj się i...
- Ale zaraz, jak to się ubieraj?
- Normalnie, rób, co mówię, i się nie dziw. Za pół godziny, no może trochę dłużej, będę w Poznaniu i...
- Ale wiesz, ja nie jestem...
- Nie interesuje mnie, kto jest w twoim łóżku – odpowiedziała, domyślając się, nie wiadomo, w jaki sposób, co chciał jej przekazać, a nie umiał tego powiedzieć. Czuł się jak facet, którego żona wraca nagle do domu i zastaje go z kochanką. Nie, zaraz, przecież nie mogę się zachowywać jak jakiś kompletny idiota. Przecież Brydzia... Brygida nie jest moją dziewczyną. Jedyna kobieta, z którą jestem, leży teraz tu obok, myślał gorączkowo, zastanawiając się jednocześnie nad tym, jak wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji. Ale to Brygida wyciągnęła go z kłopotów.
- Mariusz, ja jadę do ciebie w służbowej sprawie i musisz mi pomóc. Wiem, że się w wydziale zajmujecie sprawą Grubińskiego, tego bankiera, na którego był zamach. Mam rację? – Aż otworzył usta ze zdumienia. Nie zdążył ich zamknąć, bo ona mówiła dalej: – No więc mam w Opalenicy u siebie jednego gościa. To były esbek. Facet został zatrzymany w związku z uprowadzeniem i kto wie, czy nie próbą zabójstwa. Ale to wszystko jest mało ważne. Najistotniejsze jest to, że w grę wchodzi przemyt narkotyków z Niemiec. Cały transport tych narkotyków przejęliśmy. To prawie dziesięć kilo heroiny. Ale najciekawsze jest to, co on nam powiedział o swoim zleceniodawcy. On twierdzi, że pracuje dla tego niejakiego...
- Stanisława Bieleckiego – wyrwało się Mariuszowi.
- No proszę, znaczy, że wszystko wiesz.
- Nie do końca, ale ten twój zatrzymany to były esbek. Dobrze zrozumiałem?

– Tak, nazywa się Henryk Leśniak. Znasz go może?

– Nie znam, ale zaraz poznam, jak się domyślam.

– Tak, właśnie o to chodzi. Ten Leśniak chce nas zaprowadzić do swojego mocodawcy. Wiesz, w czym rzecz, ma za dużo za uszami i postanowił być kimś takim, jak w USA jest ktoś, kto idzie na współpracę z prokuratorem.

– Świadek koronny – przypomniał sobie Mariusz. – No to dawaj mi tego świadka. Jadę zaraz do komendy i czekam na ciebie.

Odłożył słuchawkę i wszedł do pokoju. W świetle ulicznej latarni widać było dokładnie całe wnętrze pokoju. Wiktoria leżała na boku z otwartymi oczyma.

– Rozumiem, że bajka się skończyła i mój księżę jedzie walczyć ze smokiem.

– To nie będzie żadna walka, kochana. Po prostu obetnę mu łeb.

Uśmiechnęła się do niego, a on poczuł ukłucie żalu w sercu, że musi ją zostawiać dla jakiegoś cholernego esbeka... i trochę też dla Brydzi.

Policyjny polonez zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową, w której stał, chroniąc się przed deszczem. Jeszcze wczoraj była ładna słoneczna pogoda, a dziś już zaczynała się deszczowa jesień. Podniósł kołnierz dżinsowej kurtki i mocniej naciągnął amerykańską czapeczkę bejsbolową. Podbiegł do auta, otworzył drzwi i wskoczył na miejsce pasażera. Mazurek obrzucił go ponurym spojrzeniem człowieka, który musiał wykonywać głupie polecenia głupiego dowódcy.

– Mam nadzieję, że się coś ważnego stało, bo jak wstaję za wcześnie, to później mam cały dzień spierdolony.

– No to powiem ci tylko, żebyś nie wpadł w całkowity pesymizm, że jedziemy zamknąć Bieleckiego. Mamy gnoja w ręce i już nam się nie wymknie.

Mazurek wrzucił tylko ramionami, a potem wrzucił jedynekę. Jakoś nie bardzo potrafił wczuć się w nocny entuzjazm swojego dowódcy. Zwłaszcza przy takiej paskudnej pogodzie.

### **Godzina 3.20**

Tunio Ząbek rozejrzał się nerwowo. Jego ludzie już otworzyli bramy garażowe prowadzące do stanowisk naprawczych i czekali w milczeniu, paląc papierosy. Żaden z nich nie zadawał niepotrzebnych pytań. Było ich sześciu.

Stali ubrani w granatowe, robocze kombinezony i czekali na to, co miało nastąpić. Nie przejawiali najmniejszych oznak zniecierpliwienia, podekscytowania czy strachu. To byli prawdziwi fachowcy w swojej dziedzinie. Wszyscy mieli za sobą lata praktyki w państwowym Polmozbycie, a potem pracę w warsztacie mechanicznym należącym do Grubińskiego. Stracili posady jednego dnia, gdy ich zakład spłonął. Firma została zamknięta, a Rychu sprzedał wypalone budynki. Początkowo myślał o odbudowaniu firmy, ale później pochłoneły go inne interesy, a zniecierpliwieni pracownicy znaleźli sobie na jakiś czas inne zajęcie. Wszystko to byli ludzie, którzy doskonale wiedzieli, jak przerobić ukradziony samochód, by nie dało się go rozpoznać i by można go było sprzedać bez strachu przed wpadką.

Rychu nie lubił ciągnących się w nieskończoność budów i remontów. Lubił szybkie działania. Gdyby wtedy, po tym pożarze, był do kupienia jakiś warsztat w mieście, to może zdecydowałby się na kontynuację samochodowej działalności, ale żadna okazja się nie trafiła. Jednak gdzieś z tyłu głowy miał zakodowaną miłość do sprowadzanych aut, bo gdy w tym roku na wiosnę dowiedział się, że jest do kupienia warsztat w bardzo dobrym stanie na Smochowicach, pojechał do syna zmarłego właściciela z walizką pieniędzy i w niecałą godzinę dobili targu. Odtąd autonaprawa, do której Falco sprowadził swoich ludzi na szkolenie w otwieraniu aut, należała do Grubińskiego.

– Lepiej to wygląda niż ta stara nora, w której Rychu miał swój dawny warsztat – stwierdził wiceprezes Bielecki, obserwując podwórze z wysokości okna salonu na podniesionym parterze willi należącej do zakładu. Kiedyś mieszkał w niej mechanik z rodziną, ale po jego śmierci dom został sprzedany razem z firmą. Taki warunek postawił syn, bo nie chciał sprzedawać warsztatu oddzielnie. Więc Rychu, chcąc nie chcąc, stał się właścicielem całości. Ta niezbyt urodziwa willa, z zewnątrz wyglądająca jak budynek administracyjny PGR-u, ozdobiona była na frontowej elewacji mozaiką ze stłuczki porcelanowej. Rychu pomyślał nawet, że można by było ten dom zburzyć i dobudować na tym miejscu kolejną halę, ale w końcu o tym zapomniał. Budynek stał, a Tunio wyremontował go wewnątrz na wszelki wypadek. Mozaiki nie odważył się ruszyć, bo nie wiedział, czy prezesowi się podoba, czy nie. Za to na pewno podobała się wiceprezesowi.

– I ta mozaika z talerzy całkiem atrakcyjnie wygląda. – Pochwalił gust, nie wiadomo czyj, Bielecki.

– Jak jest tak wyłożona porcelaną, to bynajmniej się tak szybko nie spali – rzucił złośliwie Tunio.

Bielecki, który doprowadził do tego nieszczęsnego pożaru poprzedniego zakładu Grubińskiego, wzruszył ramionami[32].

– Jak się kto bawi zapałkami w nieodpowiednim miejscu, to się takie historie zdarzają – rzucił i odszedł od okna. Jego współpracownik, Fabian Galaś, siedział w skórzanym fotelu z przymkniętymi oczyma. Dłonie trzymał na kolanach, a ramiona oparł na dwóch miękkich podłokietnikach. Wyglądał, jakby spał, ale Bielecki dobrze wiedział, że jego człowiek w ten sposób koncentruje się przed wykonaniem zadania. Jedno było pewne, że dziś musi dojść do rozstrzygnięcia i ktoś może zakończyć swoje życie z kulką w głowie. Oczywiście z kulką wystrzeloną z rewolweru Galasia. Innej opcji Bielecki nie przewidywał. Dlatego kazał się Tuniowi wieźć na spotkanie z prezesem Grubińskim, który skutecznie się ukrywał.

– Zapałki są dla ludzi, ale trzeba wiedzieć, jak się z nimi obchodzić. Ja na ten przykład, jak se zapalę papierosa, to zaraz odkładam zapałkę do popielniczki. – Tunio nie mógł najwyraźniej przeboleć tego poprzedniego zakładu samochodowego. To tam właśnie składał meldunek Rychowi o tym, że stracił całodzienny utarg, zrabowany przez złych ludzi, i tam właśnie Rychu dał mu drugą szansę. Od tego momentu nie zrobił nic, co mogłoby zachwiać zaufaniem Rycha do niego. Także dziś postanowił, że nie wystawi swojego szefa, nawet pod groźbą użycia broni. W pierwszej chwili pomyślał nawet, że może trzeba by było tego wiceprezesa zawieźć na wieś. Ale gdyby Grubiński chciał się widzieć z Bieleckim, toby go wezwał do siebie. Ostatecznie to, że Galaś wyciągnął na niego spluwę, przekonało Tunia, że intencje tych dwóch byłych esbeków nie są czyste, dlatego postanowił ich wyprowadzić w pole. Ten zakład mechaniczny idealnie się do tego nadawał, bo za chwilę zacznie się tu zamieszanie, a on korzystając z tego, co się tu będzie działo, spróbuje uciec. A jak ucieknie, to obudzi tego swojego sąsiada taryfiarza i każe się wieźć pod Grodzisk...

– O której może tu być prezes Grubiński? – zapytał coraz bardziej zniecierpliwiony Bielecki. Tunio wzruszył ramionami i zrobił minę pracownika najmniej zorientowanego w sprawach swojego pryncypała.

– Z tego, co wiem, to będzie, jak przyjedzie.

– Też mi pomocna informacja – rzucił esbek.

– Informacja jest dobra albo zła, ale zawsze przynosi nowinę – rzucił Tunio, nie mając pojęcia, skąd mu się taka mądrość pojawiła w głowie. Ktoś musiał to przy nim kiedyś powiedzieć, a on zapamiętał. Ale nie wiedział, kiedy i kto. Ważne, że dzięki temu zabłysnął, bo Bielecki spojrział na niego z pewną dozą zainteresowania.

– Pan jesteś poeta, panie Tunio – zażartował.

– Łe tam. – Tunio machnął ręką. – Zaraz tam poeta. – Uśmiechnął się i nawet otworzył usta w tym uśmiechu, niegdyś tak dobrze wyćwiczonym, by odsłaniać złotą, górną trójkę, symbol prestiżu i bogactwa. Ale trójka padła ofiarą nowoczesności i postępu, zamieniając się w śnieżnobiały, wkładany w szczękę implant.

– A ci, co tam czekają, to co to za jedni? – Bielecki wskazał palcem ludzi kryjących się przed deszczem pod daszkiem wjazdu garażowego.

– To wszystko pracownicy firmy pana Rycha, co pan prezes uprzejmy był ją wypierdolić w powietrze.

– Nie ja, tylko... – Bielecki zamierzał coś powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, ale wtedy rozległ się dźwięk klaksonu auta, które podjechało pod bramę. Tunio natychmiast podbiegł do okna i wyrzwał w dół.

– No i przyjechali – rzucił, uradowany, bo wszystko wskazywało na to, że jego przymusowa niewola się skończy i będzie mógł się stąd wyrwać, zostawiając esbeków samych sobie. – Muszę natychmiastowo iść ich wpuścić – rzucił w kierunku Bieleckiego.

Galaś otworzył oczy i popatrzył na swojego szefa, chcąc się przekonać, czy można pozwolić wyjść temu gościowi, którego jeszcze niedawno trzymał przecież na muszce, zmuszając, by przywiózł ich do kryjówki Grubińskiego. Bielecki lekko skinął głową, przekonany, że to wjeżdża właśnie jego wspólnik. Ale to nie był wcale Rychu.

### **Godzina 3.30**

Falconetti nie czuł zmęczenia. W końcu ta droga z Niemiec do Polski nie była wcale taka długa. Jedyne, co w niej było nużące, to jazda po tych beznadziejnych polskich drózkach. Niby to krajówka, łącząca granicę z Poznaniem i dalej biegnąca do Warszawy, ale tu, na odcinku od Świecka do stolicy Wielkopolski, była po prostu fatalna. Wąska i pełna dziur, jak to nakazywała polska tradycja, wiodła przez środek każdej mijanej miejscowości.

Nikt w tym kraju nie wpadł bowiem na to, że dla spokoju mieszkańców warto by było poprowadzić ruch bokiem, budując obwodnice. A nawet jeśli ktoś o tym myślał, to państwo miało zbyt dużo innych, znacznie ważniejszych wydatków, żeby łądować pieniądze w niepotrzebne inwestycje. Skoro ludzie przez lata żyli z ciężarówkami jeżdżącymi przez całą noc pod ich oknami, to nic nie stało na przeszkodzie, żeby dalej mieszkali w podobnych warunkach, a potem będą tak żyły ich dzieci i wnuki, bo zdążyły się już przyzwyczaić do hałasu.

Ludzie mówili, że może trzeba by było pomyśleć o autostradzie biegnącej z Warszawy do niemieckiej granicy, tylko skąd na taką budowę wziąć pieniądze? W Polsce, owszem, były autostrady, ale te koło Wrocławia i Szczecina wybudował Hitler. Zrobił to tak solidnie, że w dobrym stanie przetrwały do teraz. Komunistyczni dyktatorzy nie byli widać tak twardzi jak wódz Trzeciej Rzeszy, bo zbudowali zaledwie kilkadziesiąt kilometrów autostrad, ale żadnego do granicy. Teraz też chyba nie było co liczyć na to, że w końcu znajdzie się ktoś, kto chciałby nam zafundować taką drogę do Europy, myślał Falco, przemierzając wąskie, wyboiste i kręte fragmenty drogi, oślepiany co chwila światłami samochodów, bo kierowcy mieli w nosie zmianę świateł z długich na krótkie. Do tego wszystkiego zaczął jeszcze padać deszcz, więc widoczność na drodze znacznie się pogorszyła. Zbliżając się do Poznania, Falco nie mógł się pozbyć jakiegoś niepokoju, który trzymał go chłodną łapą za kark i za nic nie chciał odpuścić. Cała ta sprawa ze sprowadzeniem prochów do kraju była od początku do końca dość ryzykowna, no ale sam to ryzyko podjął. A wszystko przez swojego starego kumpla Grubińskiego.

Gdy wyszedł z pudła, od razu skierował się do niego. Znali się od dawna, bo Falco pracował z Rychem pod peweksami i ich współpraca zawsze doskonale się układała. Dlatego po wyjściu na wolność zgłosił się do tego, który mógł mu pomóc na starcie. Grubiński nie wyparł się starej znajomości. Dał mu na początek trochę forsy na powitanie wolności i kazał przyjść za dwa dni, jak już wytrzeźwieje. Obiecał, że do tego czasu znajdzie dla niego dobrą robotę. Ta dobra, jak zwykle u Rycha, miała lekki posmak ryzyka, ale tym się akurat Falco nie przejmował, bo należał do ludzi, którzy nie boją się pracy w ekstremalnych warunkach. Rychu słowa dotrzymał. zaproponował mu etat w ochronie, czyli zbieranie utargów z kantorów wymiany walut, które należały do Banku Ziemskiego. Falco miał zostać więc kimś w rodzaju konwojenta i ochroniarza w jednej osobie. Nie miał nic przeciwko temu, bo forsa zaproponowana przez Grubińskiego była całkiem przyzwoita. I wtedy pojawiła

się propozycja z gatunku tych, którym trzeba dobrze się przyjrzeć i podjąć odpowiednią decyzję.

Do Falca zgłosił się dość niespodziewanie esbek, z którym w cinkciarskich czasach miał pewne układy. A kto ich swoją drogą nie miał spośród ludzi pracujących na ulicy w walutowej branży? Facet nic nie wiedział o tym, że Falco zamierza zacząć w miarę uczciwe życie na etacie u Grubińskiego. Zaproponował mu przewóz auta z Polski do Niemiec i z powrotem. Falco od razu wyczuł, że auto będzie musiało być wyładowane trefnym towarem, ale zrozumiał też, że mu się ten kurs opłaci, lecz będzie jeszcze bardziej opłacalny, gdy powie o wszystkim Grubińskiemu. I wtedy Rychu wkroczył do akcji. Ustalili, że Falco pojedzie dla esbeków, ale samochód po powrocie do Polski trafi najpierw do warsztatu na Smochowicach. Chodziło o to, by sprawdzić, co to za towar został przywieziony, i wykorzystać tę wiedzę, żeby za jakiś czas przejąć esbeckie interesy albo chociaż namieszać im w działaniach. Rychu nie miał pewności, co z tego może wyniknąć, ale nie byłby sobą, gdyby nie skorzystał z nadarzającej się okazji. A poza tym miał zaufanie do Falca jako sprawdzonego współpracownika. Obaj postanowili jeszcze przy okazji ściągnąć do kraju kilka aut.

Czekał teraz na swoich pomocników na stacji benzynowej w Pniewach. Tu umówili się na ostatni postój przed Poznaniem. Zaparkował passata na parkingu wprost pod latarnią, żeby być widocznym z daleka. Kilka minut później zatrzymało się obok niego porsche i zaraz po nim mini i bmw.

– No i co, panowie, nie mówiłem, że się uda? – powiedział, patrząc z dumą na samochody. Robota rzeczywiście przeprowadzona została wzorowo i mieli z czego być zadowoleni.

– No to kiedy jedziemy po następne, szefie? – zapytał uśmiechnięty od ucha do ucha Pyśka.

– Najpierw dowieź pierwsze w całości. – Trąba klepnął go w tył głowy, ale nie było w tym żadnej złośliwości. Wszyscy byli naprawdę zadowoleni, jak zawodnicy po przebiegnięciu poważnego dystansu.

– Idźcie się odlać i jedziemy dalej. Od razu lecimy do autonaprawy. Tam odstawiamy auta. Jutro dostajecie pierwszą kasę. Oczywiście zaliczkową. Reszta w ciągu kilku dni...

Falco był zadowolony, że wszystko się udało, jednak cały czas czuł na karku ten zimny powiew niepokoju. Szczególnie mocno go poczuł, gdy podjechał pod



bramę warsztatu, w którym mieli zostawić samochody. Jego ludzie zatrzymali się kilka metrów za nim, po prawej stronie ulicy. Gdy podjechał do zamkniętej, wielkiej bramy, obitej blachą i osadzonej w solidnym murze, nie wiedzieć czemu przed oczami stanęła mu więzienna brama, którą całkiem niedawno przekraczał z mocnym postanowieniem, że już tam nigdy nie wróci. A ta wyglądała bardzo podobnie, a na dodatek wjeżdżał przez nią z własnej i nieprzymuszonej woli... Zatrąbił dwa razy i nie wyłączając silnika, czekał, aż się otworzy. Z radia samochodowego płynęła spokojna muzyka nocnego programu nadawanego na falach długich. Przypomniał sobie, że ta audycja, której nie słuchał od ładnych kilku lat, nazywa się „Muzyka Nocą”...

Brama otworzyła się na oścież. Na dziedzińcu stał Tunio i machał do niego, by podjechał we wskazane miejsce. Zrobił, co mu kazał, i już chciał wyłączyć silnik, ale gospodarz otworzył drzwi passata z drugiej strony.

– Co jest, panie, bo jak pragnę...

– Nic, kurwa, nie gadaj, tylko spierdalamy! – rzucił Tunio, wskakując na siedzenie i zatraskując drzwi.

Nic tak nie działa na człowieka kochającego wolność, zwłaszcza takiego, który niedawno wyszedł z pudła, jak hasło nakazujące ucieczkę. Falco wrzucił jedynkę i ruszył z pełną mocą silnika, robiąc koło na obszernym podjeździe. Minął wjeżdżające do środka samochodu swoich ludzi i nie patrząc we wsteczne lusterko, pognał na ulicę. Skręcił w prawo i za chwilę nie było po nim śladu. Zdezorientowani kierowcy wysiedli z aut, nie wiedząc, co mają robić. Ale nikt nie potrafił im tego wytłumaczyć. Zresztą nie było na to czasu, bo zaraz ktoś zaczął coś głośno krzyknąć, a potem rozległy się strzały.

### **Godzina 3.35**

Najpierw na podjazd wtoczył się powoli passat, a zaraz po nim wjechało bmw, mini i porsche. W tym samym momencie z hali naprawczej zaczęli wychodzić pracownicy w roboczych kombinezonach. Passat odjechał na prawo, a w jego kierunku zaczął biec jakiś drobny człowiek w szarym trenczu, z podniesionym kołnierzem i w kraciastym kaszkiecie.

Marjański ze swojej kryjówki patrzył na tę scenę jak urzeczony. Ależ to wszystko dobrze zorganizowane, myślał. Faceci przywieźli ukradzione niemieckie auta i zaraz do pracy biorą się mechanicy, którzy mają zmienić je nie do poznania, przerabiając na samochody ze sfalszowaną polską historią. Obok

niego, za płotem sąsiedniej posesji, bo z niej właśnie obserwowali teren warsztatu, siedział szeregowy Podsiadło. Dwa metry dalej stał kapral Stulejko z groźną miną, mierzący do zatrzymanego Ulunga z pistoletu, tak na wszelki wypadek, gdyby bandyta postanowił uciec. Ale Ulungowi nigdzie się nie śpieszyło. Miał tylko potwierdzić, że jego kumple, terroryści z Czarnych Brygad, są na miejscu i tyle. Jak ich zidentyfikuje, Marjański obiecał mu nadzwyczajne złagodzenie kary, czyli natychmiastową zamianę kary śmierci na wypuszczenie na wolność. No a Ulung nie był głupcem. W końcu nic nie zrobił, poza udziałem w porwaniu dwóch funkcjonariuszy. Zresztą ten udział był dość niejasny, bo utrzymywał, że też został porwany. I dlatego Marjański postanowił wykorzystać tę nieścisłość w jego zeznaniach.

– Jak cię porwali, to nam ich tylko wskażesz i zaraz cię puszczamy do chaty. Jasne?

Co miało nie być jasne. No więc jak zobaczył te auta i wysiadających z nich kolegów, jęknął, a na znak Marjańskiego Stulejko wyjął mu knebel z gęby.

– To ci, co wysiedli z samochodów – powiedział Ulung, a Stulejko zatkał mu znowu usta. Zadowolony Marjański sięgnął po krótkofalówkę i odezwał się do Olkiewicza, który siedział w radiowozie zaparkowanym kawałek dalej:

– Tu Orzeł jeden, tu Orzeł jeden, Orzeł dwa, jak mnie słyszysz?

– No co jest, Maryjanek, tu Teoś – odezwał się Olkiewicz, psując kapitanowi całą przyjemność, jaką dawała mu możliwość użycia wymyślonych przez siebie wyszukanych kryptonimów.

– Orzeł dwa, ruszaj z kopyta i blokuj bramę, żeby żaden wróbel się nie prześlizgnął.

– Maryjanek, jaki wróbel? – zdziwił się Olkiewicz. – Gdzie tu masz jakie wróble? Jak deszcz pada, to wróble śpią...

– Teoś, na miłość boską, ruszaj!

– Aha, no dobra. Ej ty, kierowca, nie śpij, tylko jedź. Słyszał żeś, co Maryjanek powiedział o wróblach? No to jedź!

Marjański odetchnął z ulgą. Jego pułapka właśnie się domykała. Wystarczyło, że Olkiewicz podjedzie nyską i stanie nią na podjeździe, blokując cały wyjazd, a ludzie, którzy z nim siedzą w mikrobusie, wyskoczą i zaczną łapać terrorystów. Bo Olkiewicz nie jechał sam. Dyżurny Jasiu, kolega Olkiewicza, kiedy usłyszał, że oni w czwórkę zamierzają łapać terrorystów, pokręcił głową z niedowierzaniem, a potem wezwał przez centralę wszystkie

patrole samochodowe, które akurat były w śródmieściu, na Jeżycach i Grunwaldzie. W sumie było tego sześć radiowozów. Wszystkie przeszły pod rozkazy Marjańskiego, który przez radio przekazał dowódcom patroli, że na hasło „Orzeł wylądował” mają podjeżdżać pod zakład i wchodzić do środka. Kolejne rozkazy mieli dostać na miejscu, bo on zamierzał tam być już przed nimi. Dlatego gdy zobaczył, jak passat, do którego wskoczył ten szczupły gość w treczu, nagle zawraca i na pełnym gazie wyjeżdża, zrobił to, co powinien był zrobić każdy dowódca.

– Orzeł wylądował! Orzeł wylądował! – krzyknął do krótkofalówki i podał zaraz aparat szeregowemu Podsiadle, a ten dał mu w zamian rakiетnicę. Marjański wymierzył w niebo i przycisnął spust. Wojskowy pistolet sygnałowy wypłuł z siebie rakiетę, która ciągnąc za sobą świetlistodymny ogon, poleciała w górę, oświetlając całą okolicę. Nie było możliwości, żeby jego ludzie nie zauważyli sygnału, nawet jeśli nie usłyszeli o lądującym orle. Lawina ruszyła, więc kapitan machnął na swoich podwładnych i wskazał betonowy płot przed nimi.

– No to, panowie, do ataku! – zawołał i podbiegł do ogrodzenia. Tak jak go uczono w szkole policyjnej, wybił się w górę, chwyciwszy krawędzi. Ale jakoś niezbyt dobrze było z tym wybiciem, bo zaraz opadł z powrotem na ziemię. Nie miał zamiaru się jednak poddawać. Skoczył jeszcze raz i tym razem się udało. Oparł brzuch o krawędź płotu, przechylił się głową w dół, chwycił betonową tralkę i przewinął się jak akrobata, unosząc wysoko nogi, by za sekundę pozwolić im opaść po drugiej stronie. Dwaj podwładni ruszyli jego śladem. Kapral Stulejko przez sekundę analizował, co można by zrobić z aresztowanym, no ale skoro dowódca nic nie powiedział, on tylko groźnie spojrział na Ulunga.

– Tej, Ulung, czekaj tu na nas, bo jak nie, to wiesz!

Ulung pokiwał głową, na znak, że wie, choć nie miał pojęcia, o co chodzi. Usłyszał tylko, że ma czekać, więc gdy policjanci przeskoczyli płot, natychmiast wyciągnął sobie knebel z ust i pobiegł w kierunku wyjścia z ogródka na ulicę. Przecież nie będzie tu stał samotnie i czekał na to, co się wydarzy.

A dzieć się zaczęło sporo. Najpierw Marjański wbiegł na plac z pistoletem w dłoni i na wszelki wypadek wystrzelił w powietrze, żeby dodać powagi swojemu wystąpieniu. Potem z radiowozu, który zablokował wyjazd, wyskoczył Teofil. Za nim z ulicy zaczęli wbiegać z bronią w rękę funkcjonariusze wezwani przez Marjańskiego sygnałem „Orzeł wylądował”.

Mieli uniemożliwić komukolwiek ucieczkę. No i uniemożliwili, bo zaczęli po kolei, bez żadnego rozkazu, kłaść wszystkich na podjazd i skuwać, tak na wszelki wypadek, wychodząc ze słusznego założenia, że najpierw trzeba użyć kajdanek, a potem dopiero rozmawiać.

Innego zdania był chyba Olkiewicz, który podszedł do jednego z mężczyzn stojących przy autach i odciągnął go na bok.

– A ty, kurza twarz, co tu robisz? – zapytał Zdzicha Trąbę. Ten spojrzał na Teosia zdziwiony.

– Jak co? Jestem w robocie – wyjaśnił zgodnie z prawdą Trąba.

– No to ja ciebie w takim razie aresztuję natychmiast! – krzyknął głośno Teofil, tak żeby wszyscy słyszeli, ale nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, oczywiście oprócz tego, którego chciał aresztować. Chwycił go mocno pod rękę i pociągnął w kierunku willi stojącej na prawo od bramy. Dostrzegł, że drzwi prowadzące do budynku są otwarte, więc tam się skierował. Wepchnął szybko Zdzicha do środka i wszedł za nim.

– Masz ty szczęście, ćwoku pierdolony, że żeś na mnie trafił i cię mogłem zaaresztować.

– No co ty, Teofil. Aresztujesz mnie, własnego... szwagra?

Olkiewicz klepnął go w czoło, a potem się uśmiechnął.

– Leć no do góry po schodach na piętro, a tam na pewno jakieś okno na ogródek będzie i żebyś mi się tu nie kręcił. Powiem, jakby się kto pytał, że żeś mi uciekł. Nikt cię nie znajdzie, jak się pośpieszysz.

– Już spadam, Teoś. – Zdzichu Trąba wyszczerzył zęby i po sekundzie nie było po nim śladu. Olkiewicz odczekał chwilę i sam ruszył po schodach, zapalając światło na klatce. Wspinając się po stopniach, rozmyślał nad kwestią przypadku w życiu. Bo gdyby nie ten Maryjanek, to on by tu dziś nie przyjechał i Zdzichu trafiłby jak nic do pierdła. A to by na pewno nie ucieszyło Marylki Drażkowskiej, od ładnych kilku lat kochanki Teofila, z którą spotykał się dość nieregularnie, ale stale i w miarę możliwości. Bywał też jako jej partner na uroczystościach rodzinnych, więc dzięki temu zdążył poznać Zdzicha. I dlatego Trąba miał dziś swój dobry dzień, a Teoś pomyślał, że warto by było skoczyć do Marylki i opowiedzieć jej o wszystkim, co się właśnie zdarzyło.

Wszedł na korytarzyk na pierwszym piętrze, zapalił światło i rozejrzał się. Na wprost zobaczył szeroko otwarte drzwi wiodące do sypialni. Dostrzegł tam też otwarte okno i już wiedział, że Zdzichu jest bezpieczny. W tej sytuacji

postanowił poszukać pokoju, w którym ewentualnie można by znaleźć coś do picia, bo butelka zakupiona w nocnym na Głogowskiej już mu się skończyła. Pchnął pierwsze drzwi z lewej i znalazł się w obszernym salonie połączonym z kuchnią. Ucieszył się, bo jego nos go nie zwiódł. Trafił za pierwszym razem. Zapalił światło i stanął jak wryty. Pod oknem wychodzącym na dziedziniec stał jakiś mężczyzna. Gdy odwrócił się do Teosia, wszystko było jasne. Olkiewicz rozpoznał go natychmiast, dlatego wyszarpał z kabury swoją wysłużoną tetetkę i wymierzył nią w kierunku faceta.

– Ręce do góry, bo będę strzelał! – zawołał i machnął pistoletem, żeby ten wiedział, że to nie przelewki. I wtedy magazynek z jego starej służbowej broni wypadł na podłogę z głośnym trzaskiem, a zaraz potem padł strzał... Teofil Olkiewicz osunął się na podłogę...

## **Godzina 5.20**

– Jedna rzecz mi nie pasuje – powiedział Rychu Grubiński do Mirka. Ten wpatrywał się w twarz Falconettiego, która wydawała się przypominać maskę z greckiej tragedii. Była nieskażona najmniejszym grymasem czy nawet drżeniem ust, choć to byłyby jak najbardziej naturalne w takiej sytuacji. Upiorne wrażenie potęgowane było jeszcze nieruchomym, szklanym okiem, które nie należało do szczytowych osiągnięć krajowej wytwórczości protetycznej.

– Po jaką cholere – ciągnął dalej Rychu – Bielecki chciał się ze mną spotkać za wszelką cenę.

– No chciał pana zabić, panie prezesie – stwierdził z pełnym przekonaniem Tunio. – Przecież ten jego cyngiel, jak on się nazywa...?

– Galaś – odpowiedział Brodziak, który dobrze znał tego esbeka ze specjalnością „rozwiązywanie sytuacji nierozwiązywalnych”. – Myślałem, że ten gość już dawno został rozjechany przez walec historii i nie ma po nim śladu, a on tymczasem wylazł jak stary pajak zza zakurzonego obrazu.

– Pojawił się, bo widać był Bieleckiemu do czegoś potrzebny. Może po prostu miał mnie sprzątnąć – zastanawiał się głośno Rychu.

– I po to by Bielecki uruchamiał swojego uspionego agenta? – Mirek coraz bardziej wchodził w układankę z porzrzuconych elementów i jak rasowy śledczy zaczął logicznie dopasowywać do siebie poszczególne elementy. – Taki Galaś, spec od brudnej roboty, żyje sobie gdzieś na wsi i zajmuje się

pszczelarstwem na przykład. Facet nie wystawia nosa z ula i zbiera miód. Rychu, widziałeś go przez ostatnich kilka miesięcy? Pojawiał się u was w banku?

– Ani razu go nie widziałem, a przecież mamy gabinety obok siebie z Bieleckim. Jakby się pojawiał, tobym go zobaczył.

– No więc mamy już niemal pewność, że dawny goryl Bieleckiego nie współpracował z nim w ostatnich miesiącach, czyli był wyłączony. Naraz dochodzi do sytuacji kryzysowej, czyli zamachu na ciebie. Bielecki natychmiast pojawia się na miejscu i przekonuje cię – tu spojrzął na Grubińskiego – że nie miał z tym nic wspólnego. Wyczuł od razu, że jest głównym podejrzanym, i przyjechał nas przekonywać. Nie przekonał do końca. A widać chciał się w twoich oczach uwiarygodnić, bo bez tego wasza dalsza współpraca byłaby niemożliwa. No więc zaczyna szukać i gada ze swoimi dawnymi współpracownikami. Dzwoni do swojego „pszczelarza” Galasia i mówi mu, że ma się rozejrzeć i znaleźć odpowiedź na pytanie, kto za tym wszystkim stoi.

– I Galaś znalazł? – zapytał retorycznie Grubiński.

– Otóż to. Znalazł, dlatego Bielecki dziś w nocy chciał się z tobą spotkać. Chciał ci podać winnego na srebrnej tacy.

– Tak? To po co mi groził pistoletem?! – rzucił Tunio niezbyt przekonany do tej teorii.

– Bobyś pan inaczej nie dał się wywlec z chaty. Myślał, że przestraszony zawieziesz go pan do Rycha, no i miał rację. Warsztat należy przecież do Rycha, ale Bielecki o nim nie wiedział. Był przekonany, że Rychu tam przyjedzie, a tymczasem pan Tunio nie wytrzymał napięcia i zwiął...

– A niby co miałem robić? Oczekiwać niecierpliwie na nie wiadomo co? Wołałem przyjechać tu, do prezesa, żeby o wszystkim mu opowiedzieć i przy okazji jeszcze przywieźliśmy pana Falconettiego. – Wskazał na przemytnika, który cały czas siedział wpatrzony w okno, za którym jesienny deszcz, stukając o blaszany parapet, przypominał światu, że to lato przeszło już do historii.

– I bardzo dobrze – potwierdził Rychu. – Dzięki temu wiemy mniej więcej... więcej.

– Ale jeśli wiemy więcej i nasze przypuszczenia na temat roli w tym całym zamieszaniu Bieleckiego są fałszywe, to znaczy, że nasz przyjaciel z SB – tu Mirek palcem wskazał kierunek oznaczający miejsce przetrzymywania zamachowca – zrobił nas w konia.

Rychu wstał z fotela, przeciągnął się i ruszył do drzwi. Szef ochroniarzy Braun sprawdził swój pistolet, wsunął go do kabury i ruszył za nim. Brodziak też poszedł. Przecież musiał trzymać rękę na pulsie, gdyby ci dwaj za bardzo wczuli się w rolę.

Były esbek Emil Wąsacz leżał na starym materacu, rzuconym na podłogę w kącie graciarni. Był porządnie związany, więc nie miał najmniejszej szansy, by spróbować ucieczki. Rychu na jego widok uśmiechnął się pod wąsem. Gdy on siedział zamknięty w tym chlewiku kilka lat temu, nie dość, że się oswobodził z więzów, to jeszcze załatwił swoich porywaczy. No musiał przyznać, że trochę pomógł mu w tym Teoś Olkiewicz, ale z drugiej strony bez Olkiewicza też by sobie pewnie poradził...

– Pobudka! – Szef ochrony kopnął leżącego mężczyznę. Ten jęknął, a potem uniósł głowę.

– Co, już mnie chce wypuścić? – zapytał esbek z lekką drwiną w głosie. Był bezczelny, bo dostrzegł w takim zachowaniu swoją szansę. Ale też był na tyle bystry, by zaraz zrozumieć, że chyba sytuacja się zmieniła. Teraz jego oprawcy wiedzieli, przynajmniej tak im się zdawało, zdecydowanie więcej niż wczoraj.

– Proszę, jaki domyślny – rzucił Rychu. – Weźcie go – rozkazał ochroniarzom, którzy weszli za nimi do składziku. Esbek został bez zbędnych czułości usadowiony na starym krześle, a ręce skuto mu z tyłu za oparciem.

– Jak pan chce go przesłuchać? – zapytał główny ochroniarz.

– Skutecznie – odparł Grubiński, na co mężczyzna uśmiechnął się, szczerząc przy tym złowrogo zęby.

– Idź do samochodu i przynieś akumulator – polecił swojemu człowiekowi Braun. Ten skinął głową i zaraz zniknął.

– Po co ci akumulator? – zapytał Brodziak. – Nie możecie mu normalnie wpierdolić?

Ochroniarz wzruszył ramionami.

– My pracujemy, stosując naukowe metody. Niedługo dwudziesty pierwszy wiek, a ja miałbym go łąć pałą jak w średniowieczu? To już nie te czasy. Teraz trzeba pracować tak, żeby nie zostawiać śladów na ciele, a jednocześnie, żeby było to jak najbardziej skuteczne, czyli efektywne. Bo akumulator to serum prawdy.

– Znaczy, że co, wsadzisz mu żarówkę w dupę? – zakpił Mirek.

– Światła mamy pod dostatkiem. – Braun wskazał na okienko, przez które dostawały się promienie słońca, rozświetlając całe pomieszczenie. – My tego gościa podłączymy zaraz do prądu...

– Jak do prądu? Zgłupieliście? Przecież wam, kurwa, wszystko powiedziałem – zawołał przestraszony Wąsacz.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł ochroniarz z akumulatorem. Podeszedł do siedzącego na krześle esbeka i postawił urządzenie na podłodze. Od razu wyciągnął z kieszeni klemy do ładowania i podłączył dwa zaciski. Na koniec zetknął ze sobą obie końcówki, co wywołało iskrzenie.

– No to, chłopaki, ściągnijcie mu spodnie – zarządził Braun. Jego ludziom nie trzeba było nic więcej tłumaczyć. Widać było, że mieli wprawę w takiej robocie, bo wraz ze spodniami zdjęli mu też majtki.

– Kurwa, ludzie, co wy chcecie robić? – krzyknął Wąsacz, szukając w spojrzeniach otaczających go ludzi odrobiny zrozumienia. Ale wszyscy ci faceci wyglądali tak, jakby nie dostrzegali w nim żywego człowieka, a jedynie obiekt naukowych badań.

– Przyczepicie mu to do nóg? – zapytał Brodziak.

– Nie, do nóg nie – odpowiedział ochroniarz. – Te żabki na końcu drutu podczepia się do jaj.

– Coś takiego – zdziwił się Rychu. – I to jest skuteczne?

– Zaraz się pan przekona. Proszę mu tylko zadać jakieś kontrolne pytanie i zobaczymy, czy będzie chciał kręcić.

– Aha, jakiegokolwiek? – upewnił się prezes Banku Ziemskiego. – No dobra, to powiedz mi, kto zlecił zabicie mnie?

– Jak Boga kocham, tak jak mówiłem wczoraj, za wszystkim stoi Bielecki...

– Dobra, zakładajcie – rzucił chłodnym tonem Grubiński.

Dwaj ochroniarze przydepnęli esbekowi gołe stopy do podłogi, żeby nie wierzgał, a ich szef założył najpierw jedną żabkę na jądro, a potem przyczepił drugą.

Nieludzki krzyk rozdarł ciszę i poniósł się z komórki na podwórko, by poszybować nad dachami gospodarskich budynków ku ścianie lasu. Tam stadko żarłocznych szpaków, objadających resztki owoców ze zdziczałej śliwy, poderwało się natychmiast do lotu, bo jak wiadomo, krzyki przeszkadzają w spokojnej konsumpcji. A potem zapadła kompletna cisza, ponieważ



przesłuchanie skończyło się szybciej, niż zaczęło. Były esbek, kapitan Wąsacz, powiedział wszystko, czego chciał się dowiedzieć Ryszard Grubiński. Okazało się, że szef jego ochrony wiedział, co mówi, twierdząc, że z akumulatorem na jajach jeszcze nikt nie skłamał.

## Godzina 7.15

Siedzieli w szaropopielatej nysce bez policyjnych oznaczeń, żeby niepotrzebnie nie rzucać się w oczy. Auto stało na parkingu przy jakimś pawilonie sprzedającym płytki i armaturę łazienkową. Po drugiej stronie ulicy była brama prowadząca do zakładu odzieżowego o wdzięcznej nazwie Dolores. Do środka wchodziła właśnie grupa kobiet, zapewne biegłych w obsłudze maszyn do szycia, bo jak wiadomo mężczyźni nie radzą sobie dobrze z tak skomplikowanym sprzętem. Do tego trzeba mieć zgrabne palce i zwinność, której facetom nie brakowało jednak podczas podnoszenia w górę kieliszków.

– Patrzymy na wchodzących i wkraczamy dopiero, jak pojawi się Bielecki – zarządził Blaszkowski, obserwując wejście z siedzenia pasażera.

– Ja już jemu pokażę – mruknął Olkiewicz, łapiąc się jednocześnie za obandażowaną głowę. W pierwszej chwili, gdy ból rozdarł mu czaszkę, zdążył pomyśleć, że został śmiertelnie trafiony, ale zaraz dotknął głowy i zrozumiał, że jednak żyje. Ale przecież wyraźnie słyszał strzał. I słyszał też głos Bieleckiego, który pochylając się nad nim, powiedział do kogoś głośno i wyraźnie:

– No nieźle żeś mu przywalił, ale wyliże się z tego. Łeb cały.

– To gdzie jedziemy, szefie? – zapytał ten, którego Olkiewicz nie widział, ale głos wydał mu się znajomy.

– Teraz musimy sprawy wziąć w swoje ręce – stwierdził esbek. – Skoro nie ma Grubińskiego, pojedziemy na Obornicką, do szwalni Dolores, posprzątać ten burdel sami.

I tyle Teofil zdążył zapamiętać, bo zaraz osunął się w ciemną otchłań, która wypłuła go kilka minut później, gdy Marjański wylał mu szklanekę wody na twarz, fachowo zabandażował głowę, a potem wytłumaczył, że musi jechać szybko do komendy wojewódzkiej, bo Blacha go pilnie potrzebuje i wzywa przez radio. No to nie miał innego wyjścia. Pojechał. Marjański polecił odwieźć go kierowcy jednego z radiowozów, a sam został na miejscu, żeby zabezpieczać ślady, ale przede wszystkim napawać się swoim sukcesem zlikwidowania bandy terrorystów spod znaku Czarnych Brygad.

– Maryjanek ustalili, że ta cała autonaprawa, do której przywieźli auta z Niemiec, należy do Grubińskiego – wyjaśnił Teofil. – I coś w tym musi być, bo ja widziałem, zanim żeśmy tam weszli, jak spieprzał stamtąd ten przydupas Grubińskiego, co ma złoty ząb.

– Tunio Ząbek – podpowiedział mu Mariusz.

– No właśnie. Tunio spieprzał, aż się kurzyło, passatem z jakimś gościem za kierownicą. A później, jak poszedłem do góry, do tej chaty, to tam był Bielecki, ktoś wystrzelił mi koło ucha, żeby mnie ogłuszyć, i dostałem jeszcze w łeb. Ale tego adresu nie pomyliłem – stwierdził. – To na pewno zakład, co nazywa się Dolores.

– Zaraz, mówi pan Dolores, poruczniku? – weszła mu w słowo prokurator Bocian.

– Jak Dolores Pararura czy jakoś tam. – Przypomniał sobie ze szkoły powszechnej nazwisko znanej komunistki, ale chyba niezbyt dokładnie je zapamiętał.

– To jest właśnie nasz adres – rzuciła z radością prokurator. – To ten Leśniak nam podał tę nazwę. To on nam wyznał, że to jest firma należąca do Bieleckiego, w której on tam pierze swoje brudne esbeckie pieniądze – wyjaśniła, a potem popatrzyła Blaszkowskiemu w oczy i uśmiechnęła się. Przystojny z niego facet i do tego jeszcze dość inteligentny, pomyślała, zastanawiając się nad swoją przeszłością i błędami, jakie popełniła w życiu. Wyszło jej, że tych błędów właściwie nie było. No może trzeba było na studiach przyłożyć się bardziej do nauki języków obcych. Nauczyła się tylko angielskiego, a przydałby się jeszcze niemiecki. Ale na ten drugi lektorat nie miała czasu i wybrała rosyjski, bo tego nauczyła się dość dobrze w podstawówce i ogólniaku. Doszła więc do wniosku, że ten język pójdzie jej bardzo łatwo i dzięki temu przynajmniej jeden przedmiot na prawie będzie miała luźny. I rzeczywiście tak było. Angielskiego uczyła się bardzo intensywnie i na koniec dostała z egzaminu cztery, a do rosyjskiego wcale się nie przykładała i zaliczyła go na piątkę. I została z tym ruskim zupełnie bez sensu, bo przecież nikt teraz w tym języku w naszym kraju mówił nie będzie, gdy Polska otwiera się na Zachód. Więc ten niemiecki by się przydał... I przydałby się jej jeszcze taki fajny facet jak Mariusz, ale to chyba sprawa stracona. On miał swoje życie w Poznaniu, a ona swoje w Opalenicy... No właściwie to nie miała tam żadnego życia, poza tym zawodowym, i na razie nic nie wskazywało na to, że coś się zmieni. Bo przecież nie da się zbudować

przyszłości na maślanych oczach, które robił do niej Wicher. Dziś jakby bardziej pochmurny niż wcześniej. Może to ze zmęczenia po nieprzespanej nocy, a może dręczyła go zazdrość o Mariusza? Faktem jest, że od chwili gdy przyjechali do Poznania, chłopak stał się markotny. Już na naradzie w komendzie wojewódzkiej, gdzie spotkali się z Blaszkowskim, by ustalić plan działania, zachowywał się tak, jakby nic go nie obchodziło. Co było przecież zdecydowanie dziwne w porównaniu z jego wcześniejszym zaangażowaniem w śledztwo.

– A wy, kapralu, jak rozumiem, od początku byliście przy sprawie i wiecie o niej wszystko? – zapytał Blaszkowski, odwracając się za siebie. Kapral siedział na krzeselku, na samym końcu przedziału pasażerskiego nyski, jakby chciał pokazać, że separuje się od tego, co się tu dzieje.

– Ja tam tylko jestem od jeżdżenia – rzucił chłopak opryskliwym tonem. – Pani prokurator wie wszystko – dodał.

Mariusz spojrział na Brygidę, ale jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Musi być zmęczona, pomyślał.

– To w takim razie porucznik Olkiewicz...

– Kto? – zapytała prokurator.

– Porucznik Olkiewicz. – Wskazał na Teosia z obandażowaną głową, siedzącego na tylnym siedzeniu z papierosem w zębach i oddającego się myślom, z których najważniejsza przeprowadzała właśnie inwentaryzację zasobów ukrytych w szafkach pokoju. Ale niewiele to dało, bo zapasy dawno się wyczerpały i nic nie można było na to poradzić. A poza tym i tak byli przecież poza firmą. A tu, w okolicy, nie było żadnego sklepu, gdzie można by dostać choć jakieś piwo. Musi więc siedzieć i czekać cierpliwie na to, co przyniesie mu dzień, a ten zapowiadał się dość ciekawie, zważywszy na to, że za chwilę mieli aresztować Bieleckiego, który chciał go zabić. Tylko jeśli chciał, to czemu nie zabił, jak już leżał na podłodze? Wtedy miał nad nim pełną władzę i mógł go kropnąć raz-dwa. Może przez to, że znali się od tylu lat i Teofil musiał składać mu raporty. W każdym razie powiedział przy nim głośno i wyraźnie o tej Dolores. Czyli że może chciał...

– Cholera, tam idzie pisarz! – zawołał podekscytowany Blaszkowski.

– Kto? – zapytał siedzący za kierownicą nyski Mazurek.

– Pisarz pierdolony, dopiero co żeśmy go wypuścili z pierdla. Co on tu robi?

– Może przyszedł se obstalować garnitur – stwierdził Teofil Olkiewicz, który od razu dostrzegł praktyczną stronę wizyty w szwalni ubrań.

– To zaczyna wyglądać coraz dziwniej. – Mariusz zaczął przypominać sobie po kolei wszystkie fakty związane z pisarzem marynistą, ale nie zdążył ich poukładać w głowie. Przeszkodził mu w tym kolejny gość, który pojawił się przed zakładem kilka minut później. – Jest Bielecki – powiedział, widząc, jak z czarnego bmw 520, które wjechało na podjazd przed biurowcem, wysiada wysoki mężczyzna.

– Który to? – zapytała Brygida siedząca tuż za Blaszkowskim.

– Ten elegancki, z rękami w kieszeniach. Widzisz go?

– Ma modny płaszcz, z poduchami wszytymi w ramiona – zauważyła Brygida, która orientowała się dość dobrze w modowych trendach.

– No to jak jest Bielecki, to go zdejmujemy chyba, co nie? – rzucił Olkiewicz z tylnego siedzenia.

– Nasz esbek mówił, że za narkotykami stoi Bielecki – przypomniał im kapral Wichur, który wyraźnie się ożywił na myśl o tym, że za chwilę zacznie się coś ekscytującego.

– O, a ten tam, co idzie za nim, to jest Galaś. – Teofil naraz przypomniał sobie nazwisko faceta, którego rozpoznał po głosie chwilę po tym, gdy dostał w łeb. – Ten Galaś to był człowiek od czarnej roboty w esbecji. I teraz pewnie też dla tego Bieleckiego sprzęta.

– To co robimy? – zapytała Brygida, która najwyraźniej chciała już działać. Wszyscy chcieli ruszyć do akcji, ale Mariuszowi wydawało się, że jest jeszcze za wcześnie i że powinni na coś poczekać. Nie wiedział na co, dopóki nie zauważył dwóch czarnych transporterów wjeżdżających na podjazd. Drzwi samochodów otworzyły się niemal równocześnie i ze środka zaczęli wysypywać się ludzie ubrani w czarne kombinezony i czapki kominiarki. Każdy miał w dłoniach krótki karabinek uzi.

– Do cholery, to jakiś bandycki atak! – zawołał zdziwiony Teofil, który jeszcze nigdy w życiu nie widział takiej akcji. Mariusz też nie miał ku temu okazji, ale nie miał czasu na zdziwienie...

– Ruszaj! – Klepnął Mazurka w ramię. Ten przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik jęknął trzy razy, ale nie zaskoczył. – Co się dzieje? Odpalaj! – ponaglił kierowcę.

– No przecież próbuję! – warknął Mazurek.

- Może by go na zapych wziąć? – zaproponował Teofil.
- Ja nie będę pchała żadnego samochodu! – rzuciła prokurator Bocian.
- Trzeba by mocniej sprzęgło wdusić – podpowiedział Wicher, który jeździł od czasu do czasu nyską i znał różne sposoby na odpalanie takich gratów.
- Wciskam i nic! – Mazurek autentycznie próbował, ale silnik nie miał zamiaru współpracować.
- Ja to chrzanię. Idziemy! – zarządził Blaszkowski, obserwując, co dzieje się po drugiej stronie ulicy. Otworzył drzwi, gotowy do działania i w tym momencie silnik nyski odpalił.
- No jedź, ty krowo! – krzyknął zadowolony Mazurek i wrzucił jedynekę. Skrzynia biegów jęknęła jak potępieniec na piekielnych mękach i wóz powoli zaczął toczyć się przed siebie. Już wjeżdżał na ulicę, gdy wtem z prawej strony zajęchała mu drogę wielka ciężarówka. Auto przystanęło i zablokowało wyjazd. Zaskoczony Blaszkowski spojrzał w prawo. Nie tylko ciężarówka stała. Przed nią zatrzymał się cały sznur aut. Coś sprawiło, że na drodze utworzył się wielki korek. A oni nie mieli samochodu z dźwiękowym sygnałem i za nic w świecie nie byli w stanie precyzyjnie się między autami. Teofil Olkiewicz nie miał jednak zamiaru dłużej czekać. Wyskoczył na ulicę i pognął w stronę szwalni.

## **Godzina 7.20**

– Pani Kuropatwowa, pani da kawkę dla mnie. Może być bez cukru, zasadniczo, bo za dużo tego cukru ostatnio i później brzuch rośnie. – Prezes Jeleń poklepał się po brzuchu, który urósł mu już dawno, jakieś piętnaście lat temu, ale wcześniej tego nie zauważał. Kiedyś nie było tego tak dokładnie widać, bo milicyjny, generalski mundur przykrywał wszelkie niedoskonałości i sprawiał, że człowiek zbyt gruby czuł się smukły i wiotki.

Kobieta uśmiechnęła się promiennie.

– Ale też pan prezes gada pierdoły. Nic a nic brzucha nie widać. Gdyby pan chciał, to ja zaraz wezwę dwie krawcowe i pana prezesa obmierzą dokładnie, i się marynarkę nową skroi, że nic nie będzie widać. Nie będzie żadnej wypukłości. Teraz te marynarki to takie wspaniałe z tymi dwoma rzędami i jeszcze do tego te poduchy w ramionach, że nawet jak kto jest mikrej postury, to się z niego zrobi kawał chłopa. A z pana prezesa to nie trzeba...

– Nie trzeba żadnych garniturów. Niech pani da kawkę i niech pani do niej wleje kieliszek koniaku albo wódki jakiejś, tak wie pani, na rozbudzenie.

Kuropatwowa wiedziała. Miała tu już przez ostatnie dwadzieścia lat kilkunastu dyrektorów i wszyscy pili mniej lub więcej. Ale niezależnie od tego, czy mało czy dużo, każdy wypijał na kaca jej specyfik, czyli kawę z prądem, bo wiadomo było, że nic tak nie stawia na nogi jak pięćdziesiątka w małej czarnej.

– A, i jak przyjdzie gość, wie pani... – Pokiwała głową. – To niech wchodzi od razu.

Gdy kobieta wyszła, usiadł w fotelu i włączył radio. Na Jedynce akurat dawali „Sygnały Dnia”, więc miał nadzieję w spokoju wysłuchać wiadomości i dowiedzieć się, co też knują te szczury z Solidarności i co będą chcieli zrobić złego w tym pięknym kraju. Ale te informacje nie interesowały go tak bardzo, jak to, czego dowie się niebawem od swojego snajpera. Facet był doskonałym strzelcem i chyba tylko cholerny pech sprawił, że nie odstrzelił łąba temu Grubińskiemu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nim zdążył powiedzieć „proszę”, sekretarka otworzyła je i weszła z tacą, na której stały dwie filiżanki kawy. Pomyślał, że zrobiła drugą dla siebie, ale zaraz za nią wszedł do środka mężczyzna ubrany w sztruksowy, zgniłozielony garnitur, którego marynarka miała na rękawach podszyte łąty z miękkiej skóry.

– No jesteś nareszcie – ucieszył się generał. – I co, gadaj, jak tam sprawy się mają? Wszystkiego żeś się dowiedział?

– Melduję, że mam dobre wieści. – Kocięba przeszedł od razu do rzeczy, ale Jeleń powstrzymał go na chwilę.

– Pani Kuropatwowa, niech pani nikogo teraz nie wpuszcza.

– Tak jest, panie prezesie. – Uśmiechnęła się do szefa i wyszła.

– No to mów, co i jak.

– Grubiński wywieziony został przez grupę ochroniarską, która się nazywa Huzar. No i ci husarze...

– Jak huzar, to huzarzy. Jakby się nazywali Husarz, toby byli husarze, rozumiesz? – pouczył go Jeleń.

Gość skinął głową. Nic go nie obchodziło, kim byli ci gnoje, którzy mało go nie zabili, gdy siedział na tym pierdolonym dachu. Ale przetrwał ten dach i przetrwał wszystko, co się wydarzyło tam, na dole, gdy on leżał i zastanawiał

się, co dalej robić. Miał nadzieję, że wreszcie będzie mógł się zacząć rozglądać za jakąś uczciwą robotą w firmie, którą sobie upatrzył. Ale przez tego Grubińskiego, którego nie udało się wykończyć, wszystko odsuwało się w czasie. A jego bezpośredni szef gdzieś zniknął, wywieziony przez tych ochroniarzy. Na szczęście dziś nad ranem wszystkiego się dowiedział. Siedział w tej chacie naprzeciw willi Grubińskiego. Dom należał wcześniej do autentycznego pisarza marynisty, człowieka związanego z opozycją, który uciekł kilka lat temu za granicę i wtedy jego majątek przejęło SB. Drugą połówkę bliźniaka resort odkupił od innego właściciela i w ten sposób powstała doskonała melina, którą od dawna esbecy wykorzystywali jako metę do organizacji оргietek filmowanych kamerą z ukrycia, by potem szantażować uczestników tych imprez ujawnieniem nagrań. Gdy SB przestało istnieć, willa nadal działała, zarabiając na utrzymanie grupy byłych funkcjonariuszy, a on występował w roli gospodarza i organizatora seksualnych imprez.

Tu właśnie czekał na telefon od swojego kochanka. Ten zadzwonił około szóstej rano.

– Wiesz, jeszcze mi tu trochę zejdzie – powiedział kapitan Marjański.

– Chcesz, żebym tu bez ciebie uschnął? Przyjedź do mnie, tygrysku, jak najszybciej.

– Mrrau! Przyjadę. Ale wiesz, mam tu tyle roboty.

– A co się stało?

– Przede wszystkim twój tygrysek osiągnął dziś sukces, bo rozbił gang handlarzy narkotyków i złodziei aut.

– Och, przerażasz mnie.

– Nic się nie musisz bać. Już jest po wszystkim.

– A co z tym bandziorem Grubińskim?

– Czemu pytasz?

– No wiesz, w końcu to mój sąsiad.

– No tak. To wyobraź sobie, że ten Grubiński jest ukryty pod Grodziskiem w jakimś domu, w którym już kiedyś się ukrywał. Ma ochronę z jakiejś firmy ochroniarskiej Huzar. To byli komandosi, Czerwone Berety. A tu u mnie Czarne Berety, hi, hi. To prawdziwy kryminal. Moglibyśmy o tym razem napisać książkę, mówię ci, ty i ja...

Ale dalej już Kocięba nie słuchał. Dowiedział się, gdzie jest Grubiński, i jego zadanie w tej willi, którą można było uznać za całkowicie spaloną, już się skończyło. Chciał wracać do siebie, do Wolsztyna, zająć się typowaniem firmy możliwej do przejęcia. Miał już dwie na oku i teraz mógł wreszcie dokonać wyboru. Trzeba było jeszcze tylko przedstawić wyniki generałowi Jeleniowi. No i jego romans z Marjańskim też kończył się nieodwołalnie. Ten pożyteczny idiota nie był mu już do niczego potrzebny.

– No więc policja myśli, że ten zamach na Grubińskiego to robota Bieleckiego. Że oni dwaj się pokłócili i doszło do sprzeczki rodzinnej, i Bielecki postanowił sprzątnąć swojego kumpla, żeby przejąć cały bank. A na nas nikt nic nie ma. W żaden sposób nie da się nas powiązać z tym zamachem na Grubińskiego.

– A gdzie jest nasz przyjaciel? – zapytał Jeleń.

– Ukrywa się pod Grodziskiem, dokładnie w małej wiosce pomiędzy Opalenicą a Grodziskiem, bliżej Grodziska, ale jak się nazywa, to ja nie pamiętam...

– Nie musicie już sobie tym zawracać głowy – odezwał się jakiś głos od drzwi. Jeleń podniósł się zza biurka, by dokładnie się przyjrzeć natrętowi. Kocięba odwrócił się i zamarł z przerażenia. W drzwiach stało dwóch mężczyzn. Obaj byli ubrani w dobrze skrojone garnitury i płaszcze. Szykowni, pomyślał generał Jeleń fachowo, jak przystało na właściciela szwalni. I to była jedna z ostatnich refleksji, która naszała go w jego długim sześćdziesięcioletnim życiu, w całości poświęconym sprawie umacniania sojuszu robotniczo-chłopskiego w ramach ustroju socjalistycznego i obrony przed wewnętrznymi wrogami władzy ludowej.

– Stare porzekadło mówi: nie podnoś ręki na pułkownika Bieleckiego, bo ci pułkownik tę rękę upierdoli – powiedział Bielecki, uśmiechając się złowroźnie. – Chcieliście załatwić Grubińskiego, zrzucić winę na mnie i przejąć nasz bankowy interes...

– My? To pomyłka, bzdury, kompletne bzdury! – Jeleń aż się zapowietrzył.

– Tymczasem Grubiński przejął wasze narkotyki, a ja zabieram resztę.

– Jaką, kurwa, resztę?! – Generał jeszcze nie zrozumiał, co się dzieje, ale jego podwładny Kocięba pojął to w lot. Sięgnął do kieszeni, by wyciągnąć z niej pistolet. Nie zdążył. Bielecki z Galasiem, niemal bez celowania, zaczęli strzelać jak na strzelnicy. Kule z ich P-64 trafiały raz za razem. Gdy opróżnili



magazynki, natychmiast załadowali nowe i wyszli z pokoju, zostawiając za sobą dwa trupy.

Stanęli przy swoim aucie akurat w chwili, gdy na podjazd wtoczyły się czarne mikrobusy z szybami oklejonymi ciemną folią. Natychmiast wysypali się z nich byli komandosi i zabezpieczyli teren. Z jednego z transporterów wysiadł Grubiński. Za jego plecami pojawił się Brodziak. Rozejrzeli się, a potem, dostrzegłszy Bieleckiego, podszli do niego.

– Już wszystko wiem – rzucił Grubiński. – Jeden z tych, co chciał mnie zlikwidować, wszystko nam powiedział. Widzę, że też się dowiedziałeś, kto za tym stoi.

Bielecki uśmiechnął się.

– Ma się te kontakty – stwierdził były esbek.

– Co z generałem? – zapytał Brodziak.

– Generał Jeleń chyba się słabo czuje. Proponuję, żebyście tam wpuścili chłopaków na górę, niech się rozejrzą i zrobią trochę bałaganu. Ty tam nie wchodź – zwrócił się do Rycha. – Żebyś nie zostawił jakiegoś śladu po sobie.

– Zrobili wszystko, żeby rzucić całe podejrzenie na ciebie – stwierdził Rychu.

– Jakbym był na ich miejscu, też tak bym zrobił. – Bielecki się uśmiechnął. – Potrzebowali kasy, jak najwięcej pieniędzy na swoje inwestycje, takie jak Dolores. – Wskazał na szyld szwalni wiszący nad bramą. – Liczyli, że gdy ciebie sprzątną, uda się mnie obarczyć winą. Zresztą prawie im się udało. A ci czarni to twoja ochrona? – zapytał, wskazując zamaskowanych facetów, zabezpieczających wejście do budynku.

– Ma się te kontakty – stwierdził Grubiński, wkładając papierosa do ust. – W zasadzie to moglibyśmy zrobić tu i teraz zebranie zarządu banku.

– Może jutro? – Bielecki klepnął Grubińskiego w ramię i wsiadł do samochodu. Galaś odpalił silnik i auto zaczęło zjeżdżać z podjazdu. W tym momencie ulicę przecięła szaropopielata nyska i zajęła im drogę. Z samochodu wyskoczył Błaszowski, którego były esbek znał jeszcze z czasów pracy w komendzie wojewódzkiej MO.

– O, pan porucznik. Zdaje się, że niechcący zablokował mi pan wyjazd.

– Nie niechcący. Widzieliśmy, jak pan wchodzi do tego budynku, a potem słyszeliśmy strzały.

– Tak? – zdziwił się Bielecki. – Jak myśmy tam byli, żadnych strzałów nie słyszeliśmy. Prawda? – zapytał Galasia. Ten pokiwał głową.

– Proszę wysiąść i położyć dłonie na masce samochodu. Sierzancie, przeszukajcie tych ludzi. Pani prokurator, pani też słyszała strzały? – Blaszkowski spojrzał na Brygidę.

– Oczywiście – odparła z pełnym przekonaniem.

– Czyści, panie poruczniku.

– Jak czyści?

– Nie mają broni.

– Na górze mamy jatkę. Dwa truposze. To nasz znajomy Kociamber i generał Jeleń – odezwał się Teofil Olkiewicz, który wrócił właśnie z biurowca. Pognał tam, żeby sprawdzić, co się stało, i przy okazji znalazł w sekretariacie otwartą butelkę koniaku. Zabrał, bo po co miała się zmarnować. Naraz dostrzegł stojącego koło auta Bieleckiego. – O, ten Jeleń to był dowódca obywatela pułkownika. Będziesz pan musiał kupić wieniec albo nawet dwa.

– ZBoWiD kupi – stwierdził cierpko Bielecki.

– Kociamber za młody na kombatanta – rzucił Olkiewicz.

– Chyba Kocięba, nie Kociamber – poprawił Teofila Bielecki.

– Kociamber czy kejter[33], jeden pies. – Olkiewicz machnął ręką i chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wszedł mu w słowo Blaszkowski:

– Panowie, jesteście zatrzymani – oświadczył, zwracając się do Bieleckiego i Galasia.

– Na jakiej podstawie? – zapytał pułkownik.

– Podejrzenie morderstwa – wyjaśnił Mariusz.

– Och, kolego poruczniku, przecież pan doskonale wie, że aby komuś udowodnić morderstwo, trzeba mieć świadków zdarzenia, ślady pozostawione na miejscu, ewentualnie broń, z której zabito, najlepiej z odciskami palców. A pan, przepraszam za ciekawość, czym dysponuje?

– Znajdą się ślady... – Mariusz spojrzał za siebie w kierunku drzwi do biurowca, z którego wychodziło właśnie kilku ochroniarzy. Jeśli byli tam, na górze, to każdy ślad został skutecznie zdeptany. Popatrzył na Brygidę. Ta pokręciła głową.

– No widzę, że pani prokurator się ze mną zgadza. To co, możemy już jechać? – Bielecki był pewny siebie.

Mariusz poczuł się naraz całkowicie bezradny. Domyślał się, co się stało, i był przekonany, że ci dwaj to zabójcy, ale nic nie mógł zrobić. Musiał działać w granicach prawa, a to prawo pomagało w tej chwili przestępcom.

Spojrzał na transporter, przy którym stał Grubiński i Brodziak. Rychu uśmiechnął się do niego i pokiwał dłonią. Blaszkowski skinął głową i w tej chwili zrozumiał, gdzie jest broń, z której strzelano na górze. Bielecki po wyjściu z budynku przystanął koło Grubińskiego i Brodziaka. To oni musieli wziąć pistolety jego i Galasia i wrzucić do auta. Gdyby zaczął przetrząsać samochód, to pewnie by je stamtąd wyciągnął. Ale nie mógł przecież wejść do prywatnego auta bez nakazu. To nie był już PRL. *Dura lex, sed lex*, przypomniał sobie rzymską sentencję, jedną z pierwszych, których nauczył się na studiach. Teraz rządziło prawo, które on, funkcjonariusz, musiał respektować. I dlatego, że go przestrzegali, to bandyci byli górą, a on nic nie mógł zrobić. A Brodziak? Czy był jeszcze szkiełem, czy stanął po ciemnej stronie...?

– No co tak stoisz, Blacha? – Mirek podszedł do niego i klepnął go w plecy, uśmiechając się przyjaźnie.

– Nie mam, kurwa, broni – rzucił Mariusz.

Brodziak przygładził włosy, robiąc przy tym zafrasowaną minę.

– Co zrobić. Zawsze jest jakaś granica możliwości.

Koniec  
Cerekwica, sierpień 2022

## Podziękowania

Żeby moje opowieści były wiarygodne, potrzebni są ludzie, którzy zechcą pomóc w procesie tworzenia. Bez ich udziału ta książka by nie powstała. Wypada więc im podziękować. Przede wszystkim dziękuję Krzyškowi Sadowskiemu, mojemu koledze z dawnego Radia Merkury w Poznaniu, który jest dyrektorem Ośrodka Kultury w Opalenicy. To on namówił mnie, żeby akcję *Granicy możliwości* osadzić w tym mieście. Mam nadzieję, że ten zabieg się powiodł i dzięki temu opowieść o przemytnikach i gangsterach zyskała ciekawe tło. Nie byłoby w powieści wiarygodnego obrazu tej malowniczej miejscowości, gdyby nie pomoc pani Małgorzaty Kołodziej, bibliotekarki i regionalistki, dzięki której mogliśmy wspólnie przenieść się do Opalenicy początku lat dziewięćdziesiątych. Szczególne podziękowania należą się również pani komendant Powiatowej Komendy Policji w Grodzisku Wielkopolskim, mł. insp. Romie Figaszewskiej, która poświęciła mi sporo swojego czasu, odpowiadając na pytania i rozwiewając wątpliwości na temat początków policji w latach transformacji.

- [1] Szkieły (gwar.) – policjanci.
- [2] Klunkry (gwar.) – stare części, graty.
- [3] Bejmy (gwar.) – pieniądze.
- [4] Bimba (gwar.) – tramwaj.
- [5] Kłyniec Dymbiec (gwar.) – popularne powiedzonko w Poznaniu, oznaczające koniec czegoś, coś się stało i nie odstanie. Pochodzi od okrzyku motorniczego zatrzymującego tramwaj na pętli Dębiec, oznajmiającego podróżnym koniec jazdy.
- [6] Więcej w powieści *Upiory spacerują nad Wartą*.
- [7] Lisek – fotel, którego nazwa pochodzi od nazwiska projektanta, Henryka Lisa.
- [8] Gemela (gwar.) – bałagan, bajzel.
- [9] Więcej w powieści *Trzynasty dzień tygodnia*.
- [10] Ryszard Ćwirlej, *Śliski interes*.
- [11] Szuszwol (gwar.) – łajza, brudas, człowiek niezadbany.
- [12] Szczon (gwar.) – chłopak.
- [13] Pener (gwar.) – rozrabiaka, łobuz.
- [14] Więcej w powieści *Trzynasty dzień tygodnia*.
- [15] ZBoWiD – Związek Bojowników o Wolność i Demokrację, organizacja skupiająca kombatantów.
- [16] Więcej w powieści *Błyskawiczna wypłata*.
- [17] Ćmiki (gwar.) – papierosy.
- [18] Szneka z glancem (gwar.) – drożdżówka z lukrem.
- [19] Poraszplowane (gwar.) – poobijane, pokaleczone.
- [20] Dylać (gwar.) – tańczyć.
- [21] Juchciarz (gwar.) – złodziej.
- [22] Klunkry (gwar.) – graty, przedmioty, tu sprzęt RTV.
- [23] Uślomprany (gwar.) – pobrudzony, uwalany czymś.
- [24] Kociambry (gwar.) – koty.
- [25] Więcej w powieści *Upiory spacerują nad Wartą*.
- [26] Więcej w powieści *Śmiertelnie poważna sprawa*.

- [27] Pana (gwar.) – przebita opona.
- [28] Więcej w powieści *Mocne uderzenie*.
- [29] Gemela na Łazarzu – targowisko różności, pchli targ na poznańskim rynku Łazarskim.
- [30] Więcej w powieści *Błyskawiczna wypłata*.
- [31] ZURT – Zakład Usług Radiotechnicznych i Telewizyjnych, firma państwowa, zajmująca się naprawą sprzętu RTV.
- [32] Więcej w powieści *Milczenie jest srebrem*.
- [33] Kejter (gwar.) – pies.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz